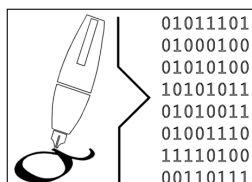


MERCEDES LACKEY  
LARRY DIXON

# CZARNY GRYF

Pierwszy tom z cyklu  
„Trylogia Wojen Magów”

Przełożył: Grzegorz Jasiński



Tytuł oryginału:

*THE BLACK GRYPHON*

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1995 r.

*Książkę tę dedykuję  
Mel. White, Coyote Women  
na zawsze pozostanie legendą  
w sercach tych, którzy ją znali*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Cisza.*

W nozdrza Skandranona uderzał zimny wiatr — tak zimny jak serca znajdujących się pod nim zabójców. Ich najważniejsze narządy wewnętrzne tłoczyły krew niepodobną do krwi jakichkolwiek innych stworzeń: czarną, gęstą krew; gorącą tylko wtedy, gdy tego pragną ich dowódcy — tylko wtedy gdy latają, tylko wtedy gdy polują, tylko wtedy gdy zabijają.

Krew tych niesamowitych istot była zimna, a mimo to cieplejsza od krwi ich panów. Dobrze o tym wiedział Skandranon Rashkae, który walczył z ich panami, odkąd się tylko opierzył. Makaary były okrutne i przebiegłe, a jednak nawet najgorsze cechy tych wymyślonych straszycieli bladły wobec okrucieństwa ich twórców.

*Cisza. Nie ruszaj się. Bądź cicho.*

Skandranon siedział bez ruchu, skulony, z piórami ciasno przyciśniętymi do ciała. Zachowywał się tak cicho, że zupełnie nie było go słychać; cisza była jedną z mocy jego pana i przyjaciela, była mocą tak potężną, że od niej właśnie wzięto imię jego władcy — Urtho, Mag Cizy. Mistrzowie Urtho byli nie wykrywalni nawet za pomocą magicznego wzroku swych przeciwników — byli odporni na badanie umysłu, na działanie czarów, na magiczne wróżenie z kuli. Wrogowie jego pana musieli zużywać większość swoich sił na pokonywanie tej bariery — jak się wydawało bez żadnego skutku — i teraz skupili się na bardziej bezpośrednich metodach odebrania Urtho władzy nad bogactwami zielonych ziem środkowych.

Skan złożył skrzydła, przyciskając je do miękkich, czarnych piór po bokach piersi. — Najważniejsze to być cicho, mieć spuszczoną głowę, nawet tu — z dala od obozowiska. Dotarcie do tego miejsca oznaczało długi, męczący lot i chociaż Skan był w swojej najlepszej kondycji, mięśnie jego skrzydeł odmawiały posłuszeństwa. Na razie lepiej odpocząć i obserwować. Ostry wiatr szarpał jego pióra. Dzień okazał się niezwykle zimny jak na tę porę roku, co wcale mu nie pomagało — no, może trochę; w taką pogodę makaary wykonywały tylko absolutnie konieczne loty.

Obserwował, jak śpią niespokojnie, wstrząsane drgawkami. Czy wiedzą, jak szybko przemija ich życie? W jaki sposób ich twórcy je skonstruowali, rozma-

żali, ulepszeni, każąc ginąć słabym w służbie na granicy? Czy wiedzą, że ich panowie wyznaczyli im krótki żywot, aby następujące szybko po sobie pokolenia ujawniały wady gatunku?

Bez względu na swą straszną powierzchowność i mordercze szpony, były godne politowania. Nigdy nie dane im było zaznać pieśszoty czulego kochanka — znały tylko gorączkę przymusowego parzenia się. Wiedziały, że jeśli zawiodą, ich przeznaczeniem są śmiertelne tortury. Nigdy nie leżały z przyjaciółką na słońcu ani nie szybowały z kolegami w powietrzu. . .

Nigdy nie narażały swego życia dla jakiejś sprawy tylko dlatego, że czuły, iż jest to słuszne. Najbardziej godne pożalowania było to, że nie można ich było załamać, ponieważ nie miały ani honoru, ani woli.

Mimo oczywistych wysiłków czarnych magów, by były imitacjami stworów Maga Ciszy, makaary i gryfy stanowiły absolutne przeciwieństwo. Gryfy były łagodną, pełną wdzięku burzą, makaary zaś gwałtowną nawałnicą. Gryfy były śmiałe, inteligentne, zręczne; makaary natomiast zaprogramowano do ślepego posłuszeństwa. I gdyby spytać Skandranona, kto jest bardziej atrakcyjny, z pewnością odpowiedziałby: „Ja”.

*Pyszny ptaku. Będziesz piękną ozdobą na ścianie pokoju komendanta.*

Skandranon oddychał głęboko, odpoczywając za linią drzew na szczycie wzgórza; przed nim znajdowała się Przełęcz Stelvi. Nadchodząca armia zdobyła ją kosztem zaledwie kilkuset żołnierzy; garnizon Urtho stracił ich tysiąc. Za przełęczą leżała rozwidlająca się dolina. Po jednej jej stronie było niegdyś dobrze prosperujące miasto handlowe, Laisfaar. Obecnie znajdowała się w nim kwatera armii Ma'ara, a mieszkańcy, którzy przeżyli, zostali jego niewolnikami. W drugim rozwidleniu doliny dowódca umieścił tabory z zaopatrzeniem i stworzenia wraz ze śpiącymi w tej chwili makaarami.

Mogły spać spokojnie; nie musiały obawiać się, że ktoś je obserwuje w magicznej kuli. Magowie armii dokładnie osłonili obszar przed czarami wroga i żadne wysiłki Urtho, aby przeszukać dolinę za pomocą magii, nie odniosłyby skutku. Pozostało tylko szpiegowanie z ukrycia — w najlepszym razie ryzykowne, w najgorszym — samobójcze.

Skandranon oczywiście zgłosił się na ochotnika.

*Leć dumnie ku swemu przeznaczeniu, śmiejąc się, próżny ptaku, najlepszy z najlepszych; masz więcej chęci niż rozumu, więcej okazałości niż mądrości, ostre szpony gotowe wykopać swój własny grób. . .*

Jego spotkanie z Urtho było krótkie. Padła propozycja, aby posłać strażników i magów; Skandranon się nie zgodził. Urtho zaproponował, że wzmocni jego obronne zaklęcia, jak robił to już wiele razy; Skan i na to nie przystał. Skandranon poprosił jedynie o wyostrzenie jego magicznych zmysłów — jego wzrok magiczny, nie używany przez dłuższy czas, stracił swą ostrość. Urtho uśmiechnął się i spełnił jego prośbę, a Skandranon natychmiast wyleciał z Wieży, chwytając

porywisty wiatr w szeroko rozpostarte skrzydła.

Było to trzy tuziny mil i cztery posiłki temu; wystarczający czas, aby pokonać taką odległość. Nieprzyjaciel był mistrzem strategii. Dla Urtho katastrofą był już sam fakt, że armia wroga zbliżyła się do jego Wieży, a teraz okazało się jeszcze, że wróg był gotów maszerować na samą Wieżę. Układ obozowiska wskazywał, że w skład armii wchodziły trzy korpusy wojska; makaary zostały przydzielone do dwóch. Między nimi znajdował się wóz zbrojmistrza, silnie zabezpieczony i osłonięty, otoczony dwoma innymi przykrytymi brezentem.

*Chwileczkę. Będąc tak blisko miasta — gdzie jest palenisko i wygodne spanie — zbrojmistrz stacjonuje w namiocie?*

Każda strona w tej wojnie miała swoich jasnowidzów i wróżbitów, których moc mogła wypaczyć sekretne plany bez względu na to, jak misternie zostały opracowane. Jasnowidz na przykład, przeczuwając morderstwo, potrafi udaremnić ten czyn. W noc poprzedzającą zajęcie Przełęczy Stelvi, jedna z wróżek miała wizję straszliwej nowej broni, która zniszczy stacjonujący w przełęczy garnizon Urtho. Kobieta powiedziała, że jest to coś magicznego, ale znajduje się w rękach zwykłych żołnierzy. Już samo to ostrzeżenie wystarczyło, aby Skan stał się podejrzliwy i zbadał tę dolinę.

W wojnie magów ograniczona liczba adeptów i mistrzów ułatwiała taktyczne posunięcia — można zbadać swoich przeciwników, określić ich siły, a nawet zidentyfikować dowódcę, tylko obserwując jego strategię. Skandranona zaalarmowała myśl, że moc magów mogła się znaleźć w rękach nie wyszkolonych ludzi — tych, którzy nie mieli wrodzonej mocy lub wyuczonych umiejętności posługiwania się magią. Wyposażone w taką broń oddziały stałyby się nieprzewidywalne i trudno byłoby się przed nimi zabezpieczyć. Mistrz mógł wjechać na pole bitwy i użyć swej mocy, wypuszczając ogniste strzały, błyskawice, huragany — ale nadal był to tylko jeden człowiek i można go było wyeliminować. Gdyby jednak taką moc zyskali zwykli żołnierze, staliby się prawdziwym postrachem, nawet jeśli każdy z nich mógł tylko raz użyć swej broni. A gdyby adept odkrył sposób, w jaki można zasilać taką broń mocą magicznych węzłów. . .

Wolał o tym nie myśleć. Skandranon dwadzieścia miesięcy temu zmierzył się z adeptem, Kiyamvirem Ma'arem, dowódcą wszystkich znajdujących się poniżej oddziałów. Zgłosił się do tej misji na ochotnika i przywłókł się z niej do domu ze złamanym skrzydłem, nawiedzany przez zmory. Widział swoich towarzyszy obdzieranych ze skóry przez zaklęcia adepta, których Skandranon nie potrafił odeprzeć. Zmory już go opuściły, ale koszmarne wspomnienie kazało mu bronić ludzi Urtho przed bezlitosną tyranią Kiyamvira.

Skandranon objął spojrzeniem miasto Laisfaar. Garnizon Urtho nie składał się z samych ludzi, byli tam także hertasi, kilku tervardi i trzy rodziny gryfów. Skan przebiegł wzrokiem po murach obronnych. Wstęgi dymu unosiły się nad zgłiszczami. . . Tylko tyle pozostało po przypuszczonym przez wroga ataku. Jeszcze

niedawno były tam legowiska gryfów, rampy dla gości, słoneczne leża, gniazda gryfiątek...

...krwawe plamy, spalone pióra, połyskujące żebra...

*Zwykłe okrucieństwo wojny. Do diabła z tym.*

Jeszcze tak niedawno była żywa; umarła z upływu krwi, uciekła przed najgorszym... Makaanary nie miały litości dla gryfów. W nagrodę od swych panów dostawały po bitwie jednego, jeszcze żywego. Często był to przerażony młodzik, podobny do szaropiórej, której zwłoki widział. Inne gryfy bez wątpienia pozabawiono skrzydeł, wsadzono do klatek i wysłano do Kiyamvira, aby się zabawił. Skandranon dobrze wiedział, że pod koniec dnia żadnego z nich nie będzie już można uratować, chyba że nie cierpiące zwłoki sprawy oderwą Ma'ara od ulubionego zajęcia.

Gdyby mógł, Skandranon upewniłby pojmanyh, że męka nie potrwa długo. Nie był w stanie pomóc kalekom w ucieczce, ale mógł skrócić ich męczarnie.

Musieli poczekać; miał pilniejsze sprawy.

Skradał się, trąc brzuchem po ziemi niczym kot; stawiając powoli łapy, pełził po podszyciu z tak daleko posuniętą ostrożnością, że nawet liść nie zaszeleścił. Wokół wozów zbrojmistrza stało wielu strażników, ale nawet sam mistrz nie mógł kontrolować całego terenu. W górach było wiele pokrytych zaroślami wąwozów, którymi mógł się czołgać Skandranon, oraz skarp, które go osłaniały. Makaanary strzegły obozu przed niespodziewanym szturmem z powietrza, jednak nie zapuszczały się zbyt daleko; nikt nie podejrzewał, że gryf mógł wylądować kilkaset stóp od wartowników i ruszyć dalej na piechotę.

Tylko gryf mógł tego dokonać, gryf o imieniu Skandranon. Dowódcy nie wystawili wart, strzegących obozu przed jego atakiem. Skan nie potrzebował niczego więcej. Kiyamvir na pewno solidnie by ich zganił za taki błąd — ale tylko on zdawał sobie sprawę z możliwości gryfów. Dowódcy zazwyczaj uważali gryfy za inny rodzaj makaarów i nie zwracali sobie głowy wystawianiem czujek.

Skandranon przyczaił się w cieniu zarośli i bezszelestnie pełznął dalej; w niczym nie przypominał makaara.

Czas nie miał dla niego żadnego znaczenia; gryf był gotowy brnąć tak do celu choćby i całą noc. Nawet w najbardziej zdyscyplinowanej armii po zwycięstwie następuje rozprężenie: żołnierze są zmęczeni i potrzebują odpoczynku; zwycięstwo przytępia czujność. Właśnie taki czas wybrał dla swej misji Skan.

W granicach samego obozu nigdzie nie dostrzegł wartowników; jego doskonały słuch podpowiadał mu, że dowódcy nie patrolują terenu, jak to mieli w zwyczaju przed każdą bitwą. Bez wątpienia komendanci byli tak samo zmęczeni jak żołnierze i spali równie głęboko.

Czekając na dogodny moment, gryf próbował zapamiętać szczegóły. Gdyby zginął, a Urtho zdołał wydostać jego ciało z rąk wroga — mag będzie mógł poddać dokładnemu badaniu jego pamięć, by uzyskać potrzebne informacje. O ile umrze

szybko: inaczej wspomnienia obozu zostaną zastąpione wspomnieniami tortur. Kilka razy odbijali już swych martwych towarzyszy, a ich pamięć przynosiła wiele informacji.

Na przykład dowiadywano się, gdzie znajduje się reszta gryfiej rodziny. Jednak tę zdolność do zapamiętywania szczegółów mógł też wykorzystać przeciwnik: często przełamywano opór jeńców i więźniowie udzielali informacji wrogowi. Dlatego właśnie Skandranon poznał straszliwe zakłęcie śmierci, przynoszące wybawienie schwytanym gryfom.

Całym sobą pragnął jednak, by nie musiał go nigdy więcej użyć.

W połowie drogi do swego celu znieruchomiał, usłyszawszy kroki kogoś zbliżającego się do kępy wysokich traw, gdzie leżał ukryty. Kryjówka, która chwilę wcześniej wydawała się tak wspaniała, teraz mogła okazać się pułapką. . .

*Sprytny ptaku, ukryty w trawie, módl się lepiej, żeby nie powiał wiatr. . .*

Odgłos kroków stawał się coraz bardziej wyraźny, Skan wstrzymał oddech, aby jego pozycji nie zdradził strumień pary wydychanej w mroźne powietrze. Znieruchomiał w pół kroku; prawy szpon zawisł nad ziemią.

Nie był w stanie zobaczyć człowieka, który właśnie nadszedł, bez obracania głowy. A tego właśnie nie chciał zrobić. Mógł tylko czekać i nasłuchiwać.

Kroki ustały, usłyszał stłumione przekleństwo i odgłos szarpania się z ubraniem. . .

Potem wyraźny odgłos strumyka cieczy spadającej na trawę.

Człowiek chrząknął i ziewnął. Gryf usłyszał jeszcze, jak zapina spodnie, a potem oddalające się kroki.

Skandranon poruszył się, opuścił nogę na ziemię.

Dalszą drogę do obozowiska przebył już bez żadnych niespodzianek. Wślizgnął się pod kępę krzaków dzięki śliwy, aby przeczekać do świtu. Mijały minuty i czuł, że oblażą go chrząszcze i pająki. Powstrzymał nieodpartą chęć strząśnięcia ich, i pozostawał nieporuszony. W cichości ducha błogosławił tysiące drobnych nóżek, dzięki nim jego zmysły pozostawały czujne.

Skandranon postanowił czekać, aż nastanie zupełna ciemność, potem wyśliźnie się z ukrycia i zbada obóz. W armii uważano, że swą umiejętność ukrywania się zawdzięcza magii Urtho. Starzec jednak zaprzeczał, wyjaśniając to prawie obsesyjnym zainteresowaniem gryfa tańcem. Często obserwował, jak Skandranon naśladuje w ukryciu artystów — ludzi, tervadi czy hertasi. Skan ćwiczył z odaniem, do jakiego nigdy by się nie przyznał, chyba że dotyczyłoby to latania, uprawiania miłości czy walki. Właśnie te ćwiczenia, a nie żadne czary czy sztuczki, czyniły go cichszym od poszumu wiatru. Wyćwiczona gracia.

*Sama cisza nie wystarcza. Urtho przekonał się o tym w najboleśniejszy sposób — straciliśmy graniczne miasta na połowę pokolenia i dopiero teraz zaczynamy robić coś więcej niż tylko bronić naszych granic. No dobrze, Urtho nigdy nie miał*



*zamiaru być arcymagiem. Bardziej nadaje się do spokojnej dłubaniny w srebrze i rzeźbienia figurek niż do musztrowania szeregów wojska.*

Szkoda, że człowiek o tak dobrym sercu musi być wojownikiem... lepszy on, niż ktoś zupełnie pozbawiony serca.

*Dużo bym dał, aby teraz robić małe gryfiątka.*

To musi poczekać, aż świat stanie się bezpieczniejszym miejscem dla młodych. Na razie Skandranon czekał... aż od strony miasta dobiegł go straszny krzyk, który odbił się echem od ścian doliny.

Tylko wyćwiczona samokontrola powstrzymała go przed wyskoczeniem w powietrze. Szpony napięły się, gryf miał ochotę drzeć i targać...

*Co najmniej jeden jeszcze żyje. Nadchodzę, przyjacielu, nadchodzę... wytrzymaj jeszcze trochę. Choć odrobinę.*

Skandranon wstał i jeszcze raz przyjrzał się obozowisku. Podobne krzyki słyszał już wiele razy w życiu. Rozpostarł do połowy skrzydła i skoczył w kierunku wozów zbrojmistrza, licząc na swą szybkość. Przeszywający wiatr zaświszczał mu w nozdrzach, mroząc zatoki, szarpiąc mózg. Kiedy był w ruchu, wszystko, co widział i słyszał, intensywniało, w jego polu widzenia pojawiały się nawet szczegóły mijanych kształtów.

*Poderwać się i polecieć, oto twój plan, prawda, ty cholerny, głupi ptaku? Masz zamiar zginąć jak bohater, którym cię potem obwołają. Dlaczego? Ponieważ nie możesz wytrzymać ani chwili dłużej, gdy drugi gryf skręca się z bólu? Nie możesz jeszcze trochę poczekać?*

Wozy były coraz bliżej, a ich magiczne alarmy błyszcząły w świetle, czekając, niczym kolczaste sidła, aby je ktoś ruszył. Czy oprócz tego, że są alarmami, są też pułapkami? Czy torturowany gryf jest tylko przynętą?

*A jakie to ma znaczenie? Łatwo cię przewidzieć, Skan, jesteś zbyt wrażliwy, nie możesz trochę poczekać. Ona, zanim tam dotrzesz, i tak umrze, wiesz o tym. Po co to robisz?*

Trójwymiarowe kolory i struktury mijały go, kiedy coraz bliżej skradał się do wozów.

*To dlatego, że nie jesteś dość sprytny, głupi gryfie. Głupi, głupi gryfie.*

*Śmierci i tak nie da się uniknąć, a więc śmierć w imię słusznej sprawy jest...  
... Również końcem.*

*Głupi gryfie.*

Za późno na żal... Obszar wozów alarmowych majaczył coraz bliżej i Skan musiał zaryzykować jakieś zakłęcie, aby je rozbroić — najprościej było kazać im sprawdzić inne miejsce w pobliżu tego, które miały rzeczywiście ochraniać.

Skoncentrował się na nich, rzucił zakłęcie, skierował pole ich oddziaływania na otwartą część obozu... i alarmy nie zadziały. Teraz pozostali jeszcze żołnierze, którzy mogli go zobaczyć... i magaary, oczywiście. Potrafił sprawić, aby alarmy go nie wykryły, ale nadal był czarną plamą widoczną dla każdej pary oczu.

Żołnierz z armii Ma'ara nie będzie się zastanawiał, co to za cień porusza się po niebie — natychmiast podniesie alarm.

Gryf czekał, aż go ktoś wykryje; dopadłby ofiarę, zanim zdołano by rzucić na niego jakiegokolwiek czary. Będąc już zdemaskowany, nie musiałby się dłużej ukrywać. . . mógłby posłużyć się zaklęciem wykrywania, aby odnaleźć gryfa, którego krzyk słyszał wcześniej. W przeciwnym razie był skazany na długie, ostrożnie prowadzone poszukiwania. Oczywiście zdemaskowanie łączyło się także z takimi kłopotami, jak strzały, ogniste pioruny, pułapki, zaklęcia. . .

Zwinął skrzydła i wylądował, rozpryskując grudki błota obok wozu. Kręcił głową z boku na bok, szukając zwiadowców. Nie dostrzegł żadnego, ale to z pewnością bardzo szybko się zmieni. Zrobił dwa kroki do przodu, wskoczył na tył wozu, a potem pod niego — *nikt nigdy nie strzeże rzeczy od spodu, tylko z boków lub przy drzwiach* — i zaczął napierać na podłogę, niedaleko osi kół, gdzie błoto, woda i tarcie podczas jazdy zawsze powodują butwienie drewna. Leżał skulony na plecach, z ogonem podwiniętym między łapami, ze skrzydłami złożonymi wzdłuż klatki piersiowej, tylnymi szponami przytrzymując ich końce. Bał się zahaczyć o płótno plandeki wozu; z doświadczenia wiedział, że pozornie słaba osłona bywała często naszpikowana zaklęciami alarmującymi. Jego szpony promieniowały delikatnie zaklęciem zniszczenia i tam gdzie drapały, drewno zaczynało się powoli zwęglać. Jego skrzydła tłumiliły wszelkie dźwięki.

Wozy wrogów tradycyjnie miały wejście z tyłu i tam właśnie próbował dostać się Skandranon. . . jeszcze czwarte cięcie, piąte, szóste i pod osłoną zaklęcia ciszy mógł wyciągnąć kilka desek. Zajrzał do środka, spojrzął na pożądaną łup. . .

Zaczął w myślach recytować czar ciszy, przyzywając zgromadzoną w sobie energię i uwalniając ją wokół wozu. Dbał o to, aby ukształtować ją tuż przy samym wozie, poczynając od ziemi. Umocnienia wozu mogły być wrażliwe na tego rodzaju czary. Trudno było cokolwiek przewidzieć, wciąż wymyślano nowe pułapki. . .

Miał nadzieję, że magowie Ma'ara nie otoczyli obozu tarczami chroniącymi przed działaniem magii. Wszystko idzie dobrze, aż za dobrze. Skan zacisnął szpony i pociągnął za ośkę przy kole, wyłamując ją; całe zawieszenie upadło na ziemię o kilka centymetrów od jego dzioba. . .

. . . i oto Skandranon znalazł się twarzą w twarz z wściekłym, wyrwanym ze snu zbrojmistrzem, który zaczął coś wyciągać — na pewno broń — spod swego posłania. Wycelowany w gryfa oręż bojowy zaczął się zmieniać. . .

Prawy szpon Skana wystrzelił, wbijając się w głowę człowieka, w jego oczodół. Wpił się w niego i Skan poczuł, jak ciało człowieka ustępuje, poddaje się. Bulgocący krzyk słabł pod osłoną czaru ciszy, aż w końcu słychać było jedynie odgłos wyciąganego z ofiary szponu.

Ręce człowieka przeszedł skurcz. Upuścił broń wycelowaną w Skana. Był to wypolerowany pręt ze skórzaną rękojeścią i z wysuwającym błyszczącym ostrym

końcem. Wypadł on z martwych palców mężczyzny i potoczył się na ziemię. Ostrze schowało się z powrotem do pręta.

*W pozycji na plecach, ukryty pod wozem, na dodatek w obozie wroga, zabiłeś jedną ręką zbrojmistra? Nikt ci nie uwierzy. Nigdy. Poszło za łatwo, za łatwo, głupi gryfie.*

*Wkrótce na pewno ktoś nadejdzie, Skan. Ruszaj się. Bierz to świństwo i zmykaj. Tego właśnie ci trzeba. Zmykać.*

Skan uwolnił końce skrzydeł i przeciągnął się nad ciałem zabitego człowieka, ocierając grzbietem o nierówne krawędzie wyłamanego drewna. Brzegi skrzydeł zaczepiły się, unieruchamiając go w otworze. Sapał z wysiłku, próbując przecisnąć się przez małą dziurę. Wewnątrz wozu było ciemno, jedynie przez szpary w brezencie dochodziło słabe światło. W otwartych skrzyniach leżały błyszczące przedmioty, takie same jak ten, który jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni zbrojistrz, każdy długi jak szpon Skana. I ostrzejszy od jego szponów, Skan był tego pewien. Nigdy przedtem nie widział podobnej broni i nie potrzebował zakłęb, żeby wiedzieć, że wykonał ją mag. Magia promieniowała z niej, a jej skumulowana moc powodowała, że skóra mu cierpła, jakby znalazł się w środku mającej właśnie się rozpętać burzy z piorunami. Teraz trzeba wziąć choć jedną sztukę i zmykać! Skan sięgnął do skrzyni, prawie dotykając już jednego z tych przedmiotów, gdy nagle jego wewnętrzny głos krzyknął: nie!

*Taki sam oręż miał zbrojistrz... tych tutaj strzegł... mogą okazać się niebezpieczne...*

Cienki niczym włos strumień czerwonej energii przepłynął między bronią a jego wyciągniętym szponem, upewniając gryfa co do słuszności obaw.

*Jednak jest jedna sztuka, która z pewnością nie spowoduje nic złego...*

Skan poruszył się wolno, złożył ciasno skrzydła, potem wycofał się na wszystkich czterech kończynach do tyłu wozu. Następnie sięgnął przez pogruchotane deski podłogi, szukając po omacku broni zabitego zbrojmistra. We własnej broni człowiek na pewno nie umieścił pułapki; zbrojmistrzowie z reguły byli pyszni i sądzili, że sami mogą sobie ze wszystkim poradzić.

*Niedobrze. Pierwszy błąd będzie ostatnim. O co chodzi, głupi ptaku? Pysznisz się, bo jeszcze żyjesz? Przecież masz jeszcze coś do zrobienia, liczy się każda sekunda.*

W końcu Skan poczuł pręt; był gorący w dotyku, choć szpony gryfa chroniła gruba, łuskowata skóra. Gryf wycofał się, mrużąc oczy i starając się nie dotknąć skrzynek z chronioną przez czar bronią. Wetknął swój łup do dzioba i przeszedł ostrożnie nad zrobionym przez siebie otworem, sięgając w kierunku nie związanej poły brezentu.

*Pomyślmy, co może stać się najgorszego? Dotknę płótna i cały wóz wyleci w powietrze, bo uwolnię energię tych przedmiotów? To podobne do Ma'ara; jeśli on nie może ich mieć, to nikt inny też nie... Powinienem się z tym liczyć.*

Skandranon naprężył mięśnie nóg, przygotowując się do solidnego skoku przez wyjście, kiedy usłyszał kroki na zewnątrz. Chwilę później ktoś szarpnął klapę i w wejściu zamajaczył przeklinający cień.

*Teraz. Teraz!*

Gryf skoczył w tej samej chwili, gdy postać odchyliła płótno. Skan użył ramion mężczyzny jako podpórki, siłą rozpędu rozgniół twarz mężczyzny o bok wozu. Rozpostarł skrzydła, zahaczając nimi o brezent, i wzbil się w powietrze. Wtedy rozległ się ogłuszający huk: pułapka zastawiona w wozie zadziałała i po ziemi rozpełzł się purpurowy okrąg ognia, zagarniając ciało człowieka i dosięgając drugiego wagonu. Ludzkie zwłoki wygięły się w łuk i w jednej chwili zmieniły się w popiół.

Wtedy obudziły się makaary.

*Koniec twojego pięknego życia, gryfie. Zanim umrzesz, możesz wreszcie działać... znajdź ją, gdziekolwiek jest, uczyni przynajmniej to...*

Skrzydła Skana uderzały powietrze, powiększając dystans dzielący go od obozu. Jednak sumienie nie pozwalało mu wrócić do domu, zanim nie dokończy pewnej sprawy. Gdzieś — jego umysł przeszukiwał obóz i miasto, aby ją znaleźć — powoli umierała jedna z jego gatunku...

Szukał i gdy wznosił się nad grzbietem skał, znalazł jej udręczony umysł. Poczuł, jakby w jej ciało wbito tysiące szpilek, widział je pocięte przez setkę oszalałych chirurgów, potrzaskane drewnianym młotkiem. A jednak nadal żyła. Nastąpił bolesny moment, gdy umysł Skana nie mógł już dłużej znieść tej udreki. Gryf poczuł, jak jego skrzydła składają się odruchowo.

*Zabij mnie — krzyczała — powstrzymaj ich, zrób coś, cokolwiek!*

*Posłuchaj mnie — wysłał jej wiadomość Skan. — Posłuchaj i zaufaj mi: najpierw będzie ból, a potem wszystko stanie się ciemnością. Znowu wzlecisz, jak pragnął tego Urtho...*

Przestała krzyczeć, ponieważ rozpoznała słowa zaklęcia śmierci. Nie zdarzyło się, aby ktoś próbował je zatrzymać...

Odwrócił się od niej na chwilę, próbując wyrównać swój lot. Potem wypowiedział do końca zaklęcie, pochwycił jej umysł i uwolnił go z jej ciała w ciągu jednej skręcającej wewnętrzności chwili. Zaklęcie zatrzymało pracę jej serca.

*Przykro mi, tak mi przykro... wzlecisz znowu, gdy przeminą ciemności...*

Potem uwolnił jej ducha, by mógł poszybować z wiatrem.

W odległym więzieniu związane ciało z poobcinanymi skrzydłami poruszyło się w konwulsjach i zastygło. Skandranon rzucił się w desperacki lot ponad doliną, nie mogąc nawet nad nią zapłakać, gdyż siedem makaarów puło po niebie, aby go dopaść.

W końcu generał zasnął.

Bursztynowy Żuraw zaczął wstawać, ale szybko opadł na swe miejsce obok łóżka, bo Corani przebudził się, cicho wzdychając. Niepokój nadal wypełniał komnatę. Był wyczuwalny nawet dla najsłabszego empaty, a dla kogoś tak silnego jak Bursztynowy Żuraw ból Coraniego stawał się niemal nie do zniesienia.

Bursztynowy Żuraw czekał, aż generał zacznie mówić. Jednocześnie promieniował ciepłem i poczuciem pewności, a kojące zapachy, unoszące się nadal w powietrzu, ułatwiały mu zadanie. Wokół wyczuwalna była woń bursztynu, olejku rumiankowego, którego używał podczas masażu, oraz jaśminu neutralizującego smak ziół nasennych w herbatce, jaką podał Coranemu. Nie zwracał uwagi na pulsujący ból w skroniach, ściśnięty żołądek i okropne przeczucie, które ogarnęło go, gdy został wezwany przez generała. Jego uczucia nie liczyły się, on był kestra'chern, a jego klient — bardziej pacjent niż klient, jak to często bywało — potrzebował go. On musiał być tą silniejszą stroną, tą opoką, na której można się oprzeć. Nie znał dobrze Coraniego — tym lepiej dla obydwu. Często ludzie sprawujący władzę łatwiej otwierali się przed obcym niż przed przyjacielem.

Kwaterna generała mieściła się w twierdzy Urtho, a nie w namiocie na terenie obozu. Tutaj można było zaciągnąć ciężkie zasłony, aby odciąć się od świata, zapalić pachnące lampy dające delikatne światło, które pozwala zapomnieć o wojskowym obozie znajdującym się pod twierdzą. To nie generał wezwał Bursztynowego Żurawia. Kilkakrotnie posyłał do obozu po kestra'chern, ale chciał, aby przybyła Riannon SilKedre — jeśli chodzi o umiejętności, była trochę słabsza od Żurawia, ale równie utalentowana i ceniona. Nie, zrobił to jeden ze służących Urtho, który cicho wszedł do namiotu, a swą liberię okrył płaszczem. To powiedziało więcej o jego wizycie niż sam chłopak.

Gdy Bursztynowy Żuraw przybył, generał był u Urtho. Corani wrócił w końcu do swojej kwatery, ale nie zdziwił się, widząc tam kestra'chern. Był wyraźnie rozbity i Bursztynowy Żuraw potrzebował kilku godzin i wszystkich swych umiejętności, aby skłonić go do zrzucenia ciężaru ze swego serca.

Wiedział, dlaczego Urtho wybrał jego, a nie Riannon. Czasami łatwiej było mężczyźnie dogadać się z drugim mężczyzną niż z kobietą — a Bursztynowy Żuraw był całkowicie godny zaufania. Zawsze zatrzymywał dla siebie wszystko, co usłyszał. Potrafił zagrać różne role, na przykład dziś wieczór był uzdrowicielem, kapłanem i zwykłym, nie wpłątym w żadne układy „uchem”.

— Musisz być rozczarowany — powiedział generał z rezygnacją w głosie, wpatrując się w przyciemnione światło lampy. — Pewnie myślisz, że jestem słabeuszem.

Takie słowa wypowiedział Corani, ale Bursztynowy Żuraw dzięki swym zdolnościom usłyszał to, co jego klient myślał.

W rzeczywistości mówił: „Budzę w tobie wstręt, kiedy tak się nad sobą rozczulam, i wydaję się taki nieopanowany” i „Pewnie mną gardzisz i myślisz, że nie jestem wart swej pozycji”.

— Nie — odparł krótko Bursztynowy Żuraw na oba — to wypowiedziane i to nie wypowiedziane — przypuszczenia. Nie chciał myśleć o tym, co załamanie generała oznacza dla niego samego; nie wolno mu o tym myśleć. Nie wolno mu pamiętać o posłańcach, którzy ostatniej nocy wyrwali ze snu cały obóz, o przeczu- ciach, które obudziły bardziej wrażliwych uzdrowicieli i kestra'chern z majaków pełnych koszmarów o krwi i ogniu za linią gór. Nie wolno myśleć o tym, że rodzina Coraniego pochodzi z Laisfaar, miasta leżącego za Przełęczą Stelvi, i że podczas gdy jego synowie dostali posady w wojsku, jego żona i wszyscy krew- ni byli właśnie tam. Tam, gdzie poleciał Skandranon. On i Gesten nie wiedzieli, dlaczego i z jakiego powodu; wiedzieli tylko, że odleciał bez pożegnania.

— Nie — powtórzył Bursztynowy Żuraw, ujmując zwisającą dłoń generała, zanim Corani zdołał ją cofnąć, i ostrożnie zaczął mu masować nadgarstek i palce. Mięśnie były napięte i skurczone, a ręka zimna. — Nie jestem głupcem. Jesteś człowiekiem i jesteś śmiertelny; na nasze życie składają się pomyślne i złe chwile. Każdego z nas dopadną te drugie. Trzeba je pokonać; tym razem padło na ciebie. To nie wstyd prosić o pomoc.

Gdzieś, głęboko w środku, zastanawiał się, czy złe chwile nie przyszły rów- nież na niego. Narastało w nim napięcie, które w każdej chwili groziło wybuchem. Nie był aż tak pyszny, aby myśleć, że sam potrafi sobie z tym poradzić, bez niczy- jej pomocy. Pytanie tylko, czy jakiś ratunek dla niego był możliwy? Musiał pomóc zbyt wielu poranionym duszom, zbyt wiele posiniaczonych ciał pocieszyć, a moż- liwości uzdrowicieli, jak i kestra'chern, były wykorzystane do ostateczności. To że był blisko wyczerpania swych rezerw, nie miało większego znaczenia.

Zbyt wielu jego klientów wyruszyło na bitwę i nie powróciło. Oczekiwał Ska- na o wschodzie słońca; kiedy służący Urtho przyprowadzili Bursztynowego Żu- rawia do kwatery Coraniego, miało się już prawie ku zachodowi. Skan nigdy się nie spóźniał.

Jednak w tej chwili kestra'chern musi pozbyć się dręczącego go napięcia. Nie może niczego dać po sobie poznać — nie powinien pozwolić, aby cokolwiek osła- biło jego koncentrację i skupienie. Najpierw trzeba pocieszyć i wesprzeć Cora- niego, to on jest walącą się ścianą. Musi wyzdrowieć i normalnie funkcjonować. W Przełęczu Stelvi stało się coś niedobrego, coś strasznego. Corani nie powiedział mu co, ale Bursztynowy Żuraw wiedział to z całą pewnością. Przełęcz Stelvi zo- stała zaatakowana. Laisfaar, a wraz z nim rodzina Coraniego, przestało istnieć. Lepiej byłoby dla nich, gdyby nie żyli, niż mieli znaleźć się w rękach Ma'ara, chyba że zdołali ukryć swoją tożsamość i zniknęli wśród ludności. A to było mało prawdopodobne.

Corani przyjął to tak, jak mądrzy generałowie przyjmują wszystkie fakty. Po- podobnie zareagował na pocieszenia Bursztynowego Żurawia. W każdym razie w tej chwili. Była to jeszcze jedna z umiejętności tego kestra'chern — potrafił oszukać czas. Czas potrzebny, by nabrać dystansu, czas potrzebny do uzdrowienia.

— Moi synowie...

— Myślę, że Urtho już się z nimi widział — odparł szybko Bursztynowy Żuraw. Urtho wszystkiego dopatrzył, taki był.

*Skan...*

Szybko zdusił tę myśl i ból, jaki ona wywołała.

Środek nasenny dosypany do herbaty generała zaczynał działać. W przytłumionym świetle Corani zmagał się z opadającymi powiekami. Oczy miał nadal zaczerwienione i opuchnięte od płaczu. Generał zwalczał te łzy, walczył, aby zatrzymać je w środku z determinacją, która uczyniła go przywódcą. Bursztynowy Żuraw zmagał się z tą jego determinacją za pomocą swej woli, która była nie mniej silna.

— Czas spać — powiedział cicho.

Corani zamrugnął, ale zmierzył go jeszcze taksującym spojrzeniem.

— Nie jestem pewien, czego się spodziewałem, gdy ujrzałem cię tutaj — powiedział w końcu. — Zawsze liczyłem na Riannon...

— Riannon dawała ci wcześniej to, czego wtedy potrzebowałeś — odparł Bursztynowy Żuraw, lekko dotykając policzka generała. — Ja robię to, czego potrzebujesz teraz. Czasami jest to coś innego niż to, czego spodziewa się klient. — Położył dłoń na czole generała. — W końcu na tym polega zadanie kestra'chern, dawać każdemu to, czego mu trzeba.

— A niekoniecznie to, czego on sam chce — dopowiedział szybko Corani.

Bursztynowy Żuraw pokiwał głową.

— Tak, generale. Niekoniecznie to, o czym myślisz, że chce. Serce wie, czego trzeba, ale głowa ma często inne pomysły. Na tym polega zadanie kestra'chern, aby zapytać twoje serce, a nie twoją głowę, czego ci trzeba, i odpowiedzieć na tę potrzebę.

Corani skinął głową, jego powieki opadły.

— Jesteś silnym człowiekiem i dobrym dowódcą, generale Corani — ciągnął Bursztynowy Żuraw — ale żaden człowiek nie może być w dwóch miejscach naraz. Nie mogłeś być jednocześnie tam i tutaj. Nie możesz przewidzieć wszystkich posunięć wroga. Wojna rządzi się własnymi regułami. Nie jesteś odpowiedzialny za całą armię. Zrobiłeś, co mogłeś, dobrze wypełniłeś swe obowiązki.

Mięśnie na szyi Coraniego napięły się, jakby usiłował nad sobą zapanować. Bursztynowy Żuraw wyczuł, że generał połyka łzy. Corani zmagał się jednak z czymś więcej niż tylko ze łzami; był bliski załamania. A to by niczego nie dało, absolutnie niczego. Ten człowiek potrzebował odpoczynku. Bursztynowy Żuraw trzymał rękę na jego czole, próbując nagiąć go do swej woli.

— Musisz zasnąć — powiedział kestra'chern Bursztynowy Żuraw, przekazując rozkaz do mózgu. Corani zamknął oczy i tym razem nie przebudził się, gdy

Bursztynowy Żuraw wstał, aby odejść.

Gesten najprawdopodobniej znajdował się tam, gdzie był od świtu, na lądowisku, czekał na powrót Skandranona. Bursztynowy Żuraw dyskretnie opuścił twierdzę w szkarłacie zachodzącego słońca. Lądowisko było niedaleko i kestra'chern postanowił skierować się tam, zamiast wracać do swojego namiotu.

Przygnębienie, które czuł w sercu, nie zniknęło na widok Gestena, cierpliwie przygotowującego się do nocnego czuwania.

Bursztynowy Żuraw milczał przez chwilę, po czym odezwał się.

— Nie wraca — powiedział cicho.

Jego towarzysz, hertasi Gesten, spojrział na niego swymi Wyrazistymi oczami i prychnął. Trzymał swój łuskowaty pysk zamknięty przez długą chwilę.

— Wróci. Zawsze wraca — powiedział w końcu Gesten. — Jakoś.

Bursztynowy Żuraw z całego serca pragnął, aby mały hertasi miał rację i tym razem. Skandranon opuścił Wieżę dwa dni temu, a Przełęcz Stelvi była od niej oddalona o mniej niż dzień lotu. Nigdy przedtem się tak nie spóźniał. Gesten miał zamiar rozpalić ognisko dla wspólnego przyjaciela, a pośród drewna na podpałkę poutykał naczynia z wydostającym się z nich kolorowym dymem. Być może był to bezużyteczny gest, ale w tej chwili mógł tylko wzniecić białoniebieskie wstęgi dymu, aby powitać lotnika w domu, aby Skan już z daleka wiedział, że za chwilę będzie bezpieczny. . .

Bursztynowy Żuraw próbował mu pomóc, ale nie miał serca do tej roboty.

— Urtho zwołał naradę — rzekł. Wiedzieli o tym wszyscy i nic się nie stanie, jeśli powie o tym teraz hertasi. — Dwa gryfy przybyły z Laisfaar prosto do Wieży, a dwie godziny później Urtho przysłał mi wiadomość, abym udał się do generała Corani.

Gesten skinął głową, najwyraźniej rozumiejąc, co Bursztynowy Żuraw miał na myśli; Corani potrzebował szczególnych umiejętności kestra'chern. Dopóki Urtho nie zaczął go bardziej potrzebować tutaj niż w jego rodzinnym mieście, generał był na stałe przydzielony do przełęczy. Przez ostatni tydzień przebywał w Wieży, prosząc Urtho o szczególną opiekę nad przełęczą i miastem. O tym również wszyscy wiedzieli.

— Co możesz mi powiedzieć? — Gesten wiedział dobrze, że Bursztynowy Żuraw niewiele mógł mu wyjawiać. — Czego Corani potrzebował?

Zapytany zastanowił się, szukając właściwego słowa.

— Potrzebował współczucia, Gestenie — odparł, układając stos z oleistych klocków opałowych. — W Wieży wydarzyło się coś, o czym nie chciał rozmawiać; a ze sposobu, w jaki się zachowuje, mogę przypuszczać, że wieści były złe. Mówiąc między nami, jest bliski załamania. To do niego niepodobne. A teraz. . . Skandranon się spóźnia.



Bursztynowy Żuraw wygładził swój jedwabny kaftan, strzepując drewniane wióry. Wiedział, że bruzdy zmartwienia przeorały jego przystojną twarz, ale był zbyt przygnębiony, żeby się tym martwić. Bezwiednie odgarniał czarne włosy, które niesfornie opadały mu na twarz.

— Sądzę, że tym razem on nie wróci — rzekł. — Czuję to w swoim brzuchu...

Gesten podniósł jedną kłodę i wycelował nią w Bursztynowego Żurawia.

— A ja czuję w swoim brzuchu, że on wróci, i nie mam zamiaru słuchać twojego jęczenia o „biednym Skanie”. On zawsze wraca. Zawsze. Rozumiesz? A ja będę tutaj siedział, przy tym ognisku, dopóki on nie powróci albo wojsko nie strati tego ogniska.

Bursztynowy Żuraw cofnął się, zdziwiony gwałtownością mowy zwykle spokojnej jaszczurki. Gesten jeszcze przez chwilę stał, wskazując na niego kłodą, potem splunął w powietrze i dorzucił ją do rosnącego stosu ogniska.

— Przepraszam, Gesten. — Choć Bursztynowy Żuraw chciał przeprosić hertasi tylko za to, że go zdenerwował, ten prawdopodobnie zrozumiał to w inny sposób. — To dlatego, że... no wiesz, co do niego czuję.

— Phi. Wiem. Wszyscy o tym wiedzą. Wydajesz się jedynym, który tego nie wie. — Hertasi otworzył drzwiczki piecyka i wyciągnął poczerńiałymi szczypcami węgiel. Gdy mówił, cały czas machał ogonem. — Wszystkimi się przejmujesz, Żuraw, i nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Nie ma w służbie Uitho nikogo lepszego od Skana. Nikt inny prawdopodobnie by nie wrócił. — Gesten wrzucił węgiel między drewniane kłody a naczynia dymne. — Nawet jeśli nie wróci, to umrze tak, jak tego pragnął.

Bursztynowy Żuraw przygryzł wargi. Gesten uważał, że jak zwykle ma rację. Bez względu na to, co powiedziałyby kestra'chern, nic go nie przekona, że sytuacja jest beznadziejna, jedynie informacje, których jednak nie wolno mu było zdradzić. Musiał przyznać Gestenowi rację; nawet gdyby stało się najgorsze, Skan umarłby tak, jak tego pragnął.

— Będę cicho, dopóki się czegoś nie dowiemy.

— Dobrze. A teraz wracaj do swego namiotu. Dziś w nocy będziesz musiał sobie radzić z klientami beze mnie. — Gesten skupił się na zapalaniu najpierw środka ogniska, a w chwilę potem zapłonęły białe i niebieskie naczynia dymne. Bursztynowy Żuraw szedł w tę coraz chłodniejszą noc w kierunku Wieży i ruchomego miasta, które wokół niej wyrosło. Tylko raz jeszcze się zatrzymał, aby spojrzeć do tyłu na samotną postać. Gdyby była taka potrzeba, Gesten będzie czekał na Czarnego Gryfa choćby i całą wieczność. Jego serce, już i tak ciężkie, zostało obciążone jeszcze większym ciężarem, prawie nie do zniesienia: łzami,

które wstydził się wylać.

*Nie, nie teraz, teraz tego mi nie trzeba...*

Skandranon zmagał się z grawitacją i z ostrym powietrzem, zaciskając mocno szczęki na swoim łupie. Jego serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a pogoń ledwo co się zaczęła. Ścigające go makaary były coraz bliżej, a on dopiero przeleciał nad grzbietem gór. Jakby nie dość tego, że makaary były szybsze od gryfów, to jeszcze odznaczały się większą wytrzymałością. Wystarczyło tylko, aby odcięły mu drogę...

Najwyraźniej właśnie to miały zamiar zrobić. Jego przewaga polegała na zdolności szybszego nabierania i tracenia wysokości. Przy odrobinie sprytu mógł zmusić je do reakcji zamiast ataku. Jedyna pociecha w tym, że nie są dobrze zorganizowane — chyba nie prowadzi ich Kili...

Skandranon odwrócił głowę, aby otaksować spojrzeniem swych prześladowców i dojrzał zbyt dobrze znane czarnobiałe prążki Kili, starego dowódcy makaarów, któremu ubliżał niezliczoną ilość razy. Kili, który ostatnim razem prawie go złapał, choć dowodził o wiele mniejszym oddziałem, leciał teraz na wysokości tysiąca stóp, trochę powyżej pozostałej szóstki, wykrzykując rozkazy.

Trzy szaro nakrapiane makaary pochyliły skrzydła i przeszły w płytkie nurkowanie, doganiając go coraz bardziej, poświęcając wysokość na rzecz szybkości. Ich trajektoria wypadła poniżej jego i minęły go kilka sekund później, a po nich to samo zrobiły następne trzy. Próbował mieć je wszystkie na oku. Przerzucał wzrok z jednego na drugiego, gdy rozpraszały się i ponownie łączyły. Dlaczego zeszyły pod niego, kiedy wysokość jest taka ważna w walce z gryfami?

*Wysokość — cholera!*

Instynkt wziął górę, zanim jeszcze przejrzał zagrywkę Kiliego. Złożył prawe skrzydło i zanurkował beczką w dół, podczas gdy najstarszy makaar przemknął obok niego prawie o długość pióra. Mijając Skana, Kili wydał okropny wrzask wściekłości. Gryf wyszedł z becзки, rozpościerając znowu skrzydła i poruszając się po spirali głową w dół ku ziemi i sześciu pozostałym makaarom.

*Drań! Miał czelność nauczyć się tego ode mnie!*

Skan ponownie złożył skrzydła i pomknął w dół. Szpony i ostre dzioby przeciwników mignęły mu tylko przed oczami, gdy mijał je niczym strzała. Podążał ślepo za ogonem Kiliego. Nie miał wielu szans na wykonanie tego ruchu i ujęcie z życiem — liczył na swoją szybkość. Na szczęście makaar nie uczynił mu większej szkody, pozbawił go tylko kilku piórek.

*Dystans na rzecz szybkości... zobaczymy, czy są w stanie i tego się nauczyć.*

Kili leciał tuż przed nim i Skan czuł pokusę, by go zaatakować, ale jego głównym zadaniem było przeżyć i uciec. Obie eskadry makaarów już leciały za nim, wrzeszcząc z furją. Gryf minął ich dowódcę, który zamierzył się na niego zbyt

wcześniej i stracił cenną szybkość. Jej odzyskanie utrudnił mu podmuch wywołany przelotem podwładnych. Cała szóstka przemknęła obok niego, goniąc Skandranona, który skierował się z powrotem ku Laisfaar.

*Głupi gryfie, miałeś uciekać z tego miejsca!*

Graniczne pasmo gór wyrosło przed nim niespodziewanie szybko. Skandranon skupił całą uwagę na skalnej płaszczyźnie znajdującej się przed nim i badał szczeliny wyżłobione w kamieniu przez czas. Jego oddech stał się nierówny, gdy zmagał się ze zmęczeniem. Kątem oka ujrzał kolejne makaary szybujące przez przełęcz w jego kierunku.

*Gdy tylko zobaczą, jak rozkładam skrzydła, będą myślały, że chcę przyhamować, aby zakreślić lub polecieć do góry...*

Skandranon złożył skrzydła, prując prosto na urwisko. Czuł na karku oddech żądnych krwi makaarów. Kamienna ściana wypełniła mu całe pole widzenia, kiedy wykonywał swój desperacki ruch. Podwinął pod siebie skrzydła z głośnym kłasnieniem, a jego wyciągnięte ciało wykonało koziołka. Runął łukiem w dół, ale siła rozpędu i tak pchnęła go na nagą skałę.

Zderzywszy się z czarną ścianą, uderzył głową o swoją pierś. Odrętwiały, sparaliżowany uświadomił sobie, że pojawił się nowy, ostry ból w piersi, tam, gdzie wbił się czubek dzioba. Stracił orientację, a świat wokół pociemniał; mógł tylko zacisnąć szczęki i zastanawiać się, ile kości połamał tym razem.

*Dalej, ptaku, zrób to, zrób to...*

Napiał mięśnie tylnych nóg i rozłożył ogon. Wiatr targał jego piórami, gdy koziołkując, spadał.

Chwilę później znalazł się pośród zaskoczonych makaarów, trzy znajdowały się ponad nim, a trzy poniżej. Żaden z nich nie zauważył skalnej ściany, która miała za sekundę przed nimi wyrosnąć.

*Chyba ci się uda, głupi szczęściarzu...*

Gwałtowne zmiany szybkości oraz siła przyciągania ziemskiego mieszały się w uszach Skana z tętnem jego serca i wrzaskiem makaarów. Usłyszał, jak ich kości zderzają się z kamieniem i pękają. Nogi Skandranona dotknęły nagiej skały znajdującej się tuż za nim — i mocno się odepchnął.

Ten dziwny manewr przerwał spadanie, dał mu okazję do rozpostarcia skrzydeł i zamiast koziołkować, zaczął nurkować.

*Tylko że ziemia była już tak strasznie blisko...*

*Hamuj, głupi ptaku, hamuj!*

Napinając skrzydła, z bijącym sercem musnął skałę na dnie urwiska. Dotknął ją końcami skrzydeł, wykorzystał siłę pędu, aby wystrzelić ponownie w niebo, minął rozbryzniętą plamę na skale, która była wszystkim, co pozostało po jego prześladowcach.

*Teraz zmiataj stąd, idioto!*

Ruszył z powrotem ku bezpiecznemu domowi — i spojrzał w dół.

Ujrzał setki kusz.

Dla nich był tylko przelatującym cieniem, jednak wiedzieli, że tam jest. To wystarczyło, by wypełnili niebo strzałami i kamiennymi pociskami: jeden lub nawet więcej z pewnością go trafi. Szybki rzut oka na obie strony uświadomił mu, że został otoczony przez dwie nowe eskadry makaarów, które znajdowały się o kilka długości ponad nim. Kili zniknął mu z oczu; prawdopodobnie czekał jeszcze wyżej.

Jego jedyną szansą była szybkość. Gdyby tylko mógł minąć łuczników, zanim oni wypuszczą strzały. . .

Za późno.

Usłyszał świst strzały; powietrze wokół niego wypełniło się śmiertelnym deszczem ognistych bełtów i pocisków z procy. Skan zwinął skrzydła w próżnym wysiłku, aby zawęzić obszar rażenia.

Najpierw poczuł uderzenie, a potem zobaczył krew, płynącą z prawego skrzydła przy każdym ruchu. Wtedy się złamało. I zabołało.

Gryf znowu zanurkował w sposób, którego nie nazwałby kontrolowanym, wydając z dzioba, w którym mocno zaciskał skradzioną broń, bezładne piski.

Uderzyły go dwa kolejne bełty; tym razem o wiele szybciej poczuł ból, ale Skan zmusił się, aby go zlekceważyć. Rzucił się w dół, ale tym razem nie mógł się odbić od żadnego klifu.

Gryf zwinął również lewe skrzydło i leciał głową w dół; odzyskiwał równowagę, lecz ciągle spadał. Nie śmiał przyhamować, bo jego zranione skrzydło mogłoby tego nie wytrzymać. Zamiast tego rozciągnął nieco oba, aby przemienić upadek w ostre nurkowanie, i skierował się ku przyjaznemu terytorium. Gdy tylko rozwinął skrzydła, ujrzał, jak Kili śmignął tam, gdzie przed chwilą on sam się znajdował.

*Jeszcze trochę dalej — trochę dalej. . .*

Ziemia zbliżała się straszliwie szybko.

Był już teraz nad terytorium Urtho, po drugiej stronie linii frontu, ale nie mógł, nie śmiał całkowicie rozpostrzeć skrzydeł. Nadal nurkował ostro i szybko. Ziemia nigdy nie wyglądała tak zachęcająco ani nie wydawała się tak twarda.

*O Sketi, to będzie bolało. . .*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Bursztynowy Żuraw nie mógł ze zmęczenia spać. Nie było sensu leżeć i oglądać wnętrza swych powiek. Okrył ramiona kocem i udał się ciemnymi przejściami wśród namiotów ku lądowisku.

Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń, ujrzał na wschodzie srebrną poświatę zachodzącego księżyca. Do świtu było już niedaleko. Gesten czekał cierpliwie obok rozpalonego ogniska. Bursztynowy Żuraw pożegnał ostatniego ze swoich klientów, aby przyłączyć się do swej jaszczurki, ale Gesten najwyraźniej nie był w nastroju do rozmowy.

Kiedy przepełniały ich uczucia, których nie mogli wyrazić, i hertasi, i Bursztynowy Żuraw milczeli: ten ostatni nauczył się zachowywać ciszę dzięki żmudnym ćwiczeniom. Milczenie pozwalało zachować złudzenie wiecznej i niezmiennej równowagi.

Obowiązkiem Bursztynowego Żurawia było sprawiać wrażenie spokojnego opiekuna — ponieważ ostatnio każdy jego klient był w jakiś sposób poszkodowany, a współczucie działało lepiej niż empatia.

Klienci nie chcieli wiedzieć, że ich kestra'chern miewa własne problemy.

A ponieważ nie mógł się ich pozbyć, musiał się starać, aby ich nie uzewnętrznić. Była to nieodłączna część jego powołania i chociaż się z nią pogodził, nadal wywoływała głuchy ból podobny do bólu współczucia.

Ból współczucia. Tak, do tego właśnie było to podobne.

Przygnębienie pogłębiało się z każdą nową pogłoską i obozową plotką. Skan nigdy tak się nie spóźniał, wracając z misji. Nawet Gesten musi już teraz zdawać sobie sprawę z tego, że gryf nie wróci. Zawsze żartował, że Skan pędził do domu z misji, bo nie mógł się doczekać nagrody i podziwu.

Ostatnie wieści donosiły o odniesionej w Przełęczy Stelvi straszliwej klęsce, najgorszej ze wszystkich, jakie poniosły siły Urtho. I chociaż nie wybuchła panika, Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, czy ktokolwiek w ich szeregach zdawał sobie sprawę z tego, o czym on już wiedział: że garnizon został całkowicie starty z powierzchni ziemi. Chłód nocy wkraadał się powoli do serca Bursztynowego Żurawia i ciasne owijanie kocem ciała odzianego w jedwab nic nie dawało.

Gesten nadal się nie odzywał. W końcu Bursztynowy Żuraw nie mógł już

dłużej tego wytrzymać: wstał i bez słowa odszedł w ciemność, czasami spoglądając w tył na małą plamkę światła i cierpliwie wyczekującą postać. Bolało go serce i miał ściśnięte gardło od powstrzymanego szlochu — powstrzymanego, ponieważ nie był pewien, czy gdy zacznie płakać, będzie w stanie przestać. Szlochu nad Gestenem — i nad Skanem. Gdziekolwiek ten drugi był.

Wyczekiwanie w ciemnościach na kogoś, kto nie wróci do domu, niczego nie rozwiąże. Wojna trwała nadal, rządząc się swoimi prawami, bez względu na żalobę. Bursztynowy Żuraw, tak jak wielu Kaled'a'in, od dawna myślał o wojnie jako o samoistnym bycie, który ma własne potrzeby, plany i żądze. Ci, którzy chcieli być posłuszni jej woli, i ci, którzy przypadkiem znaleźli się na jej ścieżkach, musieli nadal żyć i podążać za swymi marzeniami, nawet jeśli czuli się tak, jakby stale próbowali wylewać gołymi rękami wodę z dziurawej łodzi. Umiejętności, jakie posiadał Bursztynowy Żuraw, były potrzebne bez względu na to, czy wojna szalała czy słabła — ludzie zawsze będą odczuwać ból, samotność, chwiejność, wątpliwości, napięcie. Już dawno temu postanowił nie zaprzętać sobie głowy swoimi troskami, ale pomagać w kłopotach tym, którzy go potrzebowali. Nie, niekoniecznie jego: raczej jego umiejętności. Ta świadomość chłodziła jego serce i kazała mu odejść od ogniska.

Gesten służył tylko Bursztynowemu Żurawowi i Czarnemu Gryfowi. Kestra'chern mógł sobie poradzić bez niego przez jakiś czas. Hertasi najwyraźniej miał zamiar pilnować ogniska i nie przejmować się Bursztynowym Żurawiem. Kestra'chern jednak miał swe obowiązki, a teraz czuł się straszliwie, wręcz przerażająco samotny. Jakże inaczej można się czuć, gdy się odda komuś kawałek siebie, a on nagle zniknie? Bursztynowy Żuraw nigdy nie był magicznie związany z Czarnym Gryfem, i nie mógł poznać z absolutną pewnością, czy ten żyje czy nie. Pozostała mu czysta dedukcja, a fakty jasno wskazywały, że właśnie stracił przyjaciela. Zaufanego przyjaciela.

Zbliżał się do obozowiska.

Wchodząc w oświetlony obszar, pokusił się o lekki uśmiech i teraz kroczył dostojnie, aby wyglądać na kogoś, kto zasługuje na pełne zaufanie. O tej porze niewielu ludzi czuwało, ale i ci potrzebowali uspokojenia, gdyby go ujrze-  
li. Nachmurzony uzdrowiciel to zły omen, a widok nieszczęśliwego kestra'chern oznaczał, że jeden z jego klientów powierzył mu coś tak przygnębiającego, co spowodowało silny wstrząs i zachwiało jego równowagę. Ponieważ Bursztynowy Żuraw był jednym i drugim, wszystko, co nie było spokojem, mogło wywołać nowe plotki, które i tak już zalewały cały obóz. W miejscach publicznych nigdy nie zapominał, kim jest.

Starął się przybrać przyjemny wyraz twarzy, ale zmęczone i obolałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Obóz Urtho był bardzo dobrze zorganizowany, namioty stały w równych rzędach, co piąty rząd był oświetlony latarnią wiszącą na żerdzi. Każdy, kogo by

spotkał Bursztynowy Żuraw, ujrzałby jego twarz w pełnym świetle, musiał więc wyglądać tak, jak gdyby w ciągu ostatnich kilku godzin nic się nie stało.

Doskonale wiedział, że nim komukolwiek przyniesie ulgę, musi najpierw sam uporać się ze swymi smutkami, lękami i bólem.

Wkroczył do obozowiska uzdrowicieli, raz się potknąwszy. Była w nim jakaś cząstka, która wstydziła się za tę chwilową utratę równowagi. Przypisał to uczucie niespokojnemu stanowi umysłu — czyż nie opowiadał gładko innym, że nie wolno się wstydzić takich rzeczy? A jednak...

Gdyby chciał prosić o pomoc, miał ją na wyciągnięcie ręki. Był uprawniony do zasięgania porad i poddawania się uzdrawianiu, ilekroć tego potrzebował. Nieraz z tego przywileju korzystał. A jednak cichy wewnętrzny głosik wyszeptał „słabość” — *stłum ją, nic poddawaj się* — i Bursztynowy Żuraw przeklął swą dumę. Nie potrzebował jej teraz, kiedy był kłębkim nerwów i trząsał się, bliski załamania. Zbyt często widział oznaki depresji u innych, by nie wykryć jej u siebie.

Mijał namioty i szałas, w których małe latarnie oświetlały samotne postacie. Ludzie ostrzyli narzędzia chirurgiczne albo zszywali podartą odzież i bandaże. Stary uzdrowiciel ciął i składał temblaki, najwyraźniej niepomyślny świata za swym otwartym namiotem. Dźwięki rozchodzące się w chłodnym powietrzu nabierały ostrości i pogwizdywanie uzdrowiciela niesło się po całym obozowisku. Na grzędach przed namiotem, w którym odbywały się zabiegi chirurgiczne spały ptaki-poślańce z głowami schowanymi pod miękko upierzonymi skrzydłami. Pod nimi głośno chrapały kyree. Słabe dzwonięcie wiszących uprząży i sprzętu przypominało podmuchy wiatru w spokojnym ogrodzie. Dziwne, że pośród tego całego zamieszania nadal pojawiały się takie wzruszające chwile.

Uzdrowiciel Tamsin oraz jego kochanka i asystentka, lady Cinnabar, już od dziesięciu dni pełnili nocny dyżur. Powinien ich znaleźć w namiocie operacyjnym. Za obozowiskiem, na małym wzniesieniu zwanym Wzgórzem Uzdrowiciela, stały wspólne namioty służące jako sale szpitalne i przychodnie. Kilku z nich używano w szczęśliwszych dniach do odprawiania świąt Kaled'a'in, mogły one pomieścić stu lub więcej ludzi. Ich kolory spłowieły przez lata, ponieważ cele, którym teraz służyły, nie miały nic wspólnego ze świętowaniem.

Światła w centralnym namiocie oraz cienie rzucane na płótno powiedziały mu, że ktoś tam jest. Odsłonił klapę i wszedł cicho do wnętrza: zastał Tamsina i Cinnabar wśród stołów zastawionych zwałami przyrządów do łątania i bandażujących zwiadowcę w średnim wieku. Bursztynowy Żuraw rzucił okiem na bandaż na jego ramieniu i ujrzał plakietkę z głową wilka: najemnik. Wilki Pedrona... Urtho był bardzo ostrożny w zatrudnianiu najemników, ale Wilki cieszyły się świetną reputacją. Nawet gryfy miały o nich jak najlepsze zdanie.

Nawet Skan dobrze o nich mówił...

*O Sketi. Żuraw, masz fioła. Wpadłeś w spiralę, musisz zwolnić, bo inaczej*

zwariujesz.

Ukrył twarz w cieniu, czując, że nie panuje nad jej wyrazem. Chciał, aby go zauważono, ale nie chciał być natrętny. Stłumił tyle smutku, ile potrafił, ale oni byli jego kolegami, na dodatek uzdrowicielami, empatami — i najbliższymi przyjaciółmi, jakich miał. Zaraz po Gestenie i Skanie... Tamsin nie spojrział w jego stronę, ale Bursztynowy Żuraw wyczuł, że skupił na sobie jego uwagę. W następnej chwili uzdrowiciel powiedział do najemnika:

— Wyzdrowiejesz, pożeraczu ognia. Potrzeba ci teraz tylko trochę odpoczynku. Przez kilka dni ogranicz swą działalność do narzekania. Oto zielona karta na wolne dni.

Podpisał drewniany kwadrat srebrnym atramentem i wręczył go żołnierzowi.

— Trzy dni, a przez następne sześć tylko lżejsze obowiązki.

Teraz Tamsin spojrział na Bursztynowego Żurawia, jakby go dopiero zauważył, i powiedział cicho:

— Chyba mam przyjaciela, który potrzebuje pomocy.

Najemnik spojrział na ukrytą w cieniu postać i chrząknął.

— Dzięki, mistrzu Tamsin, spodziewam się, że przyślesz mi rachunek, co?

Tamsin zaśmiał się ze starego dowcipu, a najemnik powlókł się do wyjścia. Mijając Bursztynowego Żurawia, skinął głową, po czym odsunął klapę i wyszedł w ciemność. Bursztynowy Żuraw położył się na łóżku, które przed chwilą zwolnił zwiadowca, nie zważając, że gniecie swój jedwabny kaftan. Zasłonił oczy ramieniem, a dłoń zacisnął w pięść. Uzdrowiciele unikali przesadnie zaciskania ręki w kułak jako czegoś, co przynosiło pecha, ale w tej chwili zapomniał o wszystkich przesądach. Usłyszał, jak ktoś myje ręce i wyciera je w ręcznik, a potem odkłada narzędzia na swoje miejsce. Minuty mijały bez słowa, sprzątanie po uzdrawianiu przeciągało się. Bursztynowy Żuraw usłyszał, jak wokół łóżka zaciągnięto zasłony, aby nikt im nie przeszkadzał.

— Plotki na temat Przełęczy Stelvi są prawdą. Ta prawda jest przypuszczalnie gorsza niż to, co słyszeliście — powiedział w pełną oczekiwaną ciszę. — A Skandranon jeszcze nie wrócił.

Poczuł, jak czyjaś dłoń dotyka delikatnie jego policzka, a ktoś drugi bierze jego dłoń w swe ręce. Oba dotknięcia wyzwoliły falę smutku, jaki w sobie dusił, i zatopiły go w ciemnych wodach cierpienia. W jego głowie falowało. Nie miało znaczenia, kto z tej dwójki gdzie go dotyka. Liczyło się tylko to, co robili. Cieszył się z bliskości ich obojga.

Po jego policzkach popłynęły łzy, napięcie w gardle nie pozwoliło mu mówić.

— Nie wolno opłakiwać kogoś, kto może nadal żyje — przemówił łagodnie Tamsin. — Poczekał, aż się dowiesz...

Oboje jednak wiedzieli, że gdyby Skandranon mógł, to by wrócił lub w jakiś sposób przesłał wiadomość. Tamsin przełknął ślinę, jakby powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś głupiego.



— Faktem jest, że niczego nie wiemy — powiedziała lady Cinnabar, kiedy Bursztynowy Żuraw starał się nad sobą zapanować. — Żuraw, my także go kochamy, wiesz o tym, ale wiele razy widzieliśmy, jak ludzie, których uważaliśmy za straconych, powracali. Skandranon. . .

— Zawsze wracał cało z misji — Bursztynowy Żuraw krzychał na wpół z rozpaczy, na wpół z gniewu. — Gdyby mu się udało. . . Gdyby mógł. . .

Reszta słów utonęła w łzach, gdyż w końcu przestał się kontrolować i zaczął szlochać. Łóżko zaskrzypiało pod dwoma ciężarami „moszczącymi się” obok niego; jedno z nich pocałowało go w czoło, a drugie objęło, a on schował twarz w ramieniu, gdy zaczęły od nich promieniować na przemian fale współczucia i wsparcia.

— To za wiele! — łkał gorzko. Ktoś objął go i kołysał jak dziecko. — Czekać, aby zobaczyć, jak wraca w kawałkach. . . albo w ogóle nie wraca. A nie przebywać tam, gdzie odnoszą rany i umierają.

— Wiemy o tym — wyszeptał smutno Tamsin. — Wiemy.

— Ale nie wiecie, jak trudno jest wspomagać tych, którzy przeżyli, podczas gdy opłakujesz tych, którym się nie udało. . .

Nie potrafili nic odpowiedzieć.

— Niedobrze mi się robi, gdy muszę być taki obojętny! — wybuchnął kolejnym potokiem łez. — Przychodzą do mnie, aby zapomnieć o swoim bólu. A kiedy mnie będzie wolno pogрузić się w smutku?

Nie odpowiedzieli: odpowiedzią była ich obecność. Po prostu obejmowali go, kiedy płakał, ściskali i próbowali choć trochę pocieszyć. W końcu, gdy wypłakał się w ich ramiona, był w stanie rozmawiać trochę spokojniej.

— Żuraw, słyszałeś już o tym — powiedziała Cinnabar, podczas gdy Tamsin wstał, aby przygotować Bursztynowemu Żurawowi zimny okład — ale powiem ci to jeszcze raz. Jesteśmy tutaj po to, aby ci pomóc, tak jak ty pomagasz innym. Radzisz sobie lepiej niż inni. Nigdy nie widziano, abyś stracił panowanie nad sobą, ale nie musisz być nadczłowiekiem.

— Wiem — odparł wyczerpany wybuchem emocji. — Bogowie, właśnie dziś wieczorem mówiłem komuś podobne słowa. Jednak nigdy przedtem tak się nie czułem. Tym razem chodzi o Skandranona. — On był dla mnie oparciem. Zawsze wiedziałem, że jemu nic się nie stanie. Bezpiecznie było go kochać, ponieważ nigdy nie sądziłem, że go utracę. Zawsze wracał cało, najgorsze, co mu się przytrafiło, to strata pióra w ogonie.

Cinnabar odgarnęła do tyłu mokre od łez włosy Bursztynowego Żurawia i położyła mu na czoło okład, zimny jak niebo w zimie. Ból w jego sercu znowu się wzmógł.

— Teraz gdy go tracę, nie mogę tego znieść. To za bardzo boli.

Odgłosy wczesnego poranka przytłumione przez mokre płótno na czole i brezent namiotu przerwały rozmowę. Czy nie jest jeszcze za wcześnie na to wszyst-

ko? Być może nadszedł czas, aby po prostu sobie pójść. Być może jest to kolejna lekcja dla nich wszystkich — że bez względu na to, jak on się czuje, wszyscy i tak sobie bez niego poradzą. A jednak...

Tamsin usiadł z drugiej strony, podczas gdy Cinnabar ujęła jego dłoń.

— Nie mogę ci powiedzieć niczego, czego byś już nie wiedział — rzekł cicho Tamsin. — Twoje zadanie jest trudniejsze niż nasze: nosisz podwójne brzemie. My składamy ciała w całość, ty musisz uzdrawiać również serca i umysły. Jedy-  
nym pocieszeniem, jakie mogę ci ofiarować, to zapewnienie, że nie jesteś sam. My też cierpimy. Skan jest naszym przyjacielem i...

Hałas na zewnątrz nie był głuchym pomrukiem budzącego się dnia i ciągle narastał.

W istocie brzmiało to tak, jakby do ich namiotu zbliżał się tłum. Przez głowę Bursztynowego Żurawia przebiegła myśl: *Co ja takiego zrobiłem?*, ale opuściła go w sekundę później, kiedy odzyskał panowanie nad sobą.

Zrzucił mokrą szmatkę z oczu i uniósł się, gdy powietrze rozdarł przeszywa-  
jący jęk, świdrujący uszy Bursztynowego Żurawia i przyciągający uwagę całej trójki uzdrowicieli.

— Co to... — Tamsin był już na nogach, a Cinnabar stanęła obok niego, gdy otwarto kłapę namiotu i do środka wtoczyła się spora gromada.

Pośrodku niej znajdowało się coś na kształt gryfa oplecionego gałęziami i umazanego szczerze błotem. Bursztynowy Żuraw nie byłby w stanie rozpo-  
znać w nim Skandranona, gdyby nie czarne pióra i okropne słownictwo.

Bursztynowy Żuraw wstał z łóżka, podczas gdy Gesten dyrygował grupą nio-  
sącą nosze — tak, pod tą masą były nosze! — aby na jednym ze stołów operacyj-  
nych złożyć to, co zostało z gryfa. Hertasi rozejrzał się w poszukiwaniu uzdrowi-  
cieli; dojrzał Tamsina, Cinnabar, a za nimi Bursztynowego Żurawia.

— Uda wam się! Do roboty! — wysapał Gesten.

*Bogowie, jeśli on uciekł przed armią...* Cała trójka uzdrowicieli zabrała się do  
pracy, zanim hertasi zdążył cokolwiek powiedzieć. Tamsin sięgnął po tacki z na-  
rzędziami chirurgicznymi, Cinnabar wezwała asystentów, a Bursztynowy Żuraw  
przepchnął się do rannego gryfa.

Dotknął go i poczuł jego ból, przeszywał jego własne nerwy, walił go niczym  
młot w czoło. Oto cena pracy przy bliskim przyjacielem. Odruchowo chciał się  
osłonić, ale przecież ten ból mówił mu o stanie Skana, więc bał się go całkowicie  
zablokować.

Asystenci Cinnabar zmywali błoto z poranionego ciała i wyciągali gałęzie  
z połamanych kończyn. Bursztynowy Żuraw natomiast przyjmował ból Skan-  
dranona na siebie, ostrzegając pozostałych, aby niechcący czegoś nie naruszyli.  
„Widział” swe rozwarte usta, łapiące urywany oddech, oczy rozszerzone w po-  
dwójnym widzeniu, umysł rozdzielony między widzeniem fizycznym i widze-  
niem wewnętrznym. Wydawało się, że minęła j wieczność, zanim uwolnili ciało

Skandranona z resztek drzewa, na które spadł, i umyli go, by obejrzyć zewnętrzne rany.

Pozostała dwójka bez słów zostawiła Bursztynowemu Żurawowi skrzydła, koncentrując się na ciele i nogach Skandranona. Bursztynowy Żuraw jako jeden z nielicznych w obozie znał na tyle dobrze anatomię gryfów, aby złożyć skrzydła tak, by znowu nadawały się do lotu. Mięśnie, ścięgna, kości, żyły, wszystko to; w żywym ciele zależne jest od siebie — a w ciele ptaka najwyraźniej tę zależność widać. Naruszyć ją — to zmienić równowagę, rozkład ciężaru ciała, powierzchnię przydatną do sterowania i tysiące innych rzeczy. . .

Strzała z kuszy przebiła lewe skrzydło, które nadal nieznacznie krwawiło; prawe było złamane w kilku miejscach. Bursztynowy Żuraw polecił Gestenowi, aby opatrzył krwawiącą ranę. Kości skrzydeł gryfów, tak jak ptaków, zrastały się prawie natychmiast po złamaniu. Im szybciej dostanie się do tego miejsca, gdzie owo złamanie nastąpiło, tym większa szansa, że nie będzie musiał niczego łamać na nowo i powtórnie składać.

Skandranon zajęczał i kaszlnął, gdy czwarty uzdrowiciel wyciągnięty z łóżka i jeszcze zaspany, stanął przy jego głowie i trzymając dłonie po obu stronach dzioba, wprowadził go w sen. Zabulgotało mu w gardle i jego dziób rozdziawił się.

Mięśnie skrzydeł rozluźniły się i Bursztynowy Żuraw przystąpił do pracy.

Gołymi rękami wyjął strzaskane fragmenty kości, po czym włożył je we właściwe miejsca. Jego umysł narzucił wszystkim kawałkom właściwy porządek i rozpoczął się proces zrastania. Jednocześnie kestra'chern przez cały czas odciągał płyny, które wytworzyły się wokół rany. Kiedy kość zaczęła zdrowieć, poprosił o szyny i bandaże, owinął ciasno fragment skrzydła i przeszedł do następnego, przerywając pracę tylko na chwilę, aby otrzeć krew z dłoni, nim zaschnie i zacznie przeszkadzać.

— Żuraw? — odezwał się Gesten, prawie wybijając go z rytmu.

— Co? — zapytał krótko, całą uwagę skupiając na właściwym złożeniu ostatniej kości.

— Lepiej się pospiesz. — To wystarczyło: Bursztynowy Żuraw zostawił bandażowanie i usztywnianie ostatniej kości jednemu z asystentów i obszedł stół, aby znaleźć się obok Gestena.

Jeden rzut oka wystarczył, aby domyślił się, dlaczego Gesten go wezwał. Ciężar zranionego, bezwładnie zwisającego skrzydła był tak duży, że rana po strzale rozrywała się, zagrażając głównej tętnicy. Jeśli nie zmniejszą nacisku, tętnica pęknie.

Szybko nakazał Gestenowi przytrzymanie skrzydła, aby w ten sposób zmniejszyło się nieco jego napięcie, a sam zabrał się ostrożnie do zamykania rany. Przyklnął oczy i skoncentrował się, widząc ranę swym wewnętrznym wzrokiem, składając na powrót przerwane włókna mięśni, łącząc krwawiące żyły, wprowadzając

wszystko w proces zdrowienia tysiącrotnie szybszy niż naturalny i dostarczając ciału Skana swej własnej energii. Na szczęście powstrzymał infekcję. Umocował resztę mięśni, odciążając nieco te poranione, a dotykiem palca złagodził skurcz. Zajął się mniejszymi złamaniami, ranami i skaleczeniami, których wcześniej nie zauważył. Uporał się z nimi wszystkimi, szukając niebezpiecznych skrzepów i odcedzając je z płynącej krwi, a w końcu osłonił skrzydła łańcuchami energii, które za jakiś czas pozwolą Skandranonowi znowu latać.

Skandranon jęknął i kaszlnął słabo, jakby coś uwięzło mu w gardle. Jego oddech ustabilizował się, gdy czwarty uzdrowiciel wprowadził go w sen, ale gryf znowu dostał napadu kaszlu i wszyscy, którzy stali blisko, musieli go mocno przytrzymać. Bursztynowy Żuraw ledwo poczuł, jak Tamsin wkłada swą rękę do gardzieli Skandranona, podczas gdy jeden z asystentów przytrzymuje otwarty dziób metalowym prętem. Potem Skan zacharczał, zadrżał i znowu zapadł w głęboki sen.

Asystenci zajęli się pokrzepianiem gryfa różnego rodzaju naparami z ziół i minerałów. Tymczasem Bursztynowy Żuraw umacniał złamane przedramiona Skandranona i unieruchamiał jego szpony.

W końcu było po wszystkim. Kestra'chern odsunął się od stołu, pozwalając, by asystenci obandażowali i spięli klamrami ciało Skana. Zobaczył, że Tamsin i Cinnabar też już skończyli: Cinnabar tłumaczyła niosącym nosze, gdzie mają położyć gryfa, tymczasem Tamsin gdzieś zniknęła. Poranne słońce przeświecało przez ścianki namiotu, oświetlając go ciepłym, bursztynowym światłem.

Stoły i podłoga wyglądały jak po katastrofie. Krew — jak coś, co lata, może mieć tyle krwi? — pióra, kawałki kory i liście walały się na podłodze. Na stole pomiędzy sprzętami medycznymi, obok złamanej strzały leżało coś, co przypominało skórzaną rękojeść, być może złamany miecz. *Pewnie to blokowało mu gardło* — pomyślał otępiały Bursztynowy Żuraw. — *Skąd się tutaj wzięto... ?*

Zamrugnął i zachwiał się.

— Uważaj! — Gesten opuścił bok Skandranona i podskoczywszy do Bursztynowego Żurawia, chwycił go pod ramię i podtrzymał. — Żle z tobą, Żuraw. Skan wyzdrowieje, ale ty lepiej się połóż, zanim zemdlejesz!

— Chyba masz rację — wymamrotał, a potem cicho się zaśmiał. *Skan wyzdrowieje. Udało mu się wrócić.* Tylko to tak naprawdę się liczyło. Zniknął chłód, który czuł w sercu; pustka na powrót się wypełniła. *Skonowi udało się wrócić.*

Z pomocą Gestena dowlóknął się po niewielkiej pochyłości do części obozu przeznaczonej dla kestra'chern, znajdującej się zaraz za kwaterami uzdrowicieli. Był tak zmęczony, że prawie nie zauważył, jak wprowadzono go do namiotu. Dostrzegł jedynie jasno świecące słońce poranka. Chłodne, świeże powietrze pachniało mu kadzidłem i perfumami. Odesłał Gestena. Zachwiał się i padł w poprzek

łóżka. Po chwili przekręcił się i położył prosto, a potem już nic nie pamiętał.

Bursztynowy Żuraw obudził się. Nadal czuł ból i cierpienie Skandranona. Nawet po tylu — ilu? — godzinach zapomnienia czuł ból tam, gdzie zeszłej nocy uzdrawiał rany Skandranona. Czuł ból nawet tam, gdzie nie mógł: w skrzydłach i ogonie. Działo się to na skutek pooperacyjnego szoku, który był znany uzdrowicielom; musieli z tym żyć. Ból skrzydeł skupił się w łopatkach i ramionach, jakby kontuzjowane mięśnie skurczyły się w stosunku do kości.

Bursztynowy Żuraw obudził się, czując, jakby biegał od wielu dni z ciężkim pakunkiem na plecach; jakby od dwóch dni pracował bez odpoczynku. . .

. . . krótko mówiąc, jakby obsłużył wszystkich swoich klientów, a nie tylko uzdrowił ciężko rannego gryfa.

Gesten — lojalny, kompetentny Gesten — zaciągnął kotary, aby jak najmniej światła docierało do wyczerpanego kestra'chern, i z dala od namiotu układał listę obowiązków swego towarzysza.

Zdjął z siebie koc i wstał, chwytając się oparcia łóżka. Szybko się umył i przekłnął śniadanie składające się z kilku kawałków mięsa i kromek chleba. Potem włożył kaftan i pas, które Gesten zostawił przy łóżku. Obok ubrania leżał rozkład spotkań przewidzianych na dzisiejszy dzień. Wszystkie wizyty oprócz jednej zostały wykreślone, a ta jedna miała się odbyć dopiero za dwie godziny.

Bursztynowy Żuraw wyszedł spod magicznie wyciszonego płótna namiotu na popołudniowe słońce obozowiska. Nad namiotami latali ptasi posłańcy, kolorowo upierzeni, ćwierkając radośnie w obłokach niebieskiego dymu znad palenisk. Obok przebiegła trójka roześmianych dzieci, oznaczona żółtozielonymi naszywkami korpusu swoich rodziców. Ścigał ją rozbawiony kyree z jasnoczerwoną piłką w pysku. Tak właśnie powinno wyglądać życie.

Kestra'chern przeciągnął się, potem pogładził brodę i policzki, mrużąc oczy od słońca. Musi się ogolić, zanim spotka się z klientem, a gdy tylko upewni się, że Skandranon właściwie zdrowieje, weźmie gruntowną kąpiel. Zawsze czuł się lepiej, gdy był porządnie umyty i uczesany.

Przeszedł między chałupami, kuźniami i szałasami służby, kierując się do wielkiego namiotu, gdzie rano zostawił nieprzytomnego Czarnego Gryfa. W świetle dnia obóz wyglądał o wiele przyjemniej, pomimo napięcia, jakie wszędzie się wyczuwało.

Mijając namiot chirurgiczny, ujrzał asystentów uzdrowicieli i pielęgniarki, zajętych zwykłymi sprawami administracyjnymi i uzupełnianiem zapasów na półkach. W każdej chwili spodziewali się kolejnych rannych, a więc każdą wolną minutę trzeba było przeznaczyć na przygotowania. Wojna nie zostawiała uzdrowicielom wiele czasu na odpoczynek, podobnie jak grabarzom i tym, którzy dokonywali kremacji, oraz kapłanom. Taka była natura wojny. Pożerała ducha i ciało.

Potrzebowała pożywienia jak każde inne stworzenie.

Zmuszała jednostki i gatunki do takich układów, jakie nigdy nie zdarzyłyby się w czasie pokoju. Czasami trzeba było zrezygnować ze starych przyjaźni, a nawet miłości. Uczucie Bursztynowego Żurawia do Gestena było naturalne, biorąc pod uwagę związki Kaled'a'in z hertasi. Tylko wojna i potrzeby wojowników nie pozwalały, by Bursztynowy Żuraw zatrudnił całą grupę przedstawicieli tego gatunku. A teraz był zmuszony dzielić usługi Gestena ze Skandranonem.

Natomiast więź między nim a Czarnym Gryfem nigdy by nie zaistniała w czasach pokoju. Gryfy były czymś całkowicie nienaturalnym — tworam i Urtho, Maga Ciszy — i nigdy by się nie znalazły na falistych równinach, które nomadowie Kaled'a'in nazywali swym domem. Przynajmniej nie za życia Bursztynowego Żurawia. Kilka razy słyszał, jak Urtho wspominał o niewyraźnych planach, jakie miał, aby osiedlić gryfy w niewielkich koloniach na bardziej dzikich obszarach gór, tworząc nową populację inteligencji nieludzkiej, tak jak poprzednicy Urtho stworzyli hertasi i kyree. Ten plan jednak spełził na niczym z powodu wybuchu wojny między Wielkimi Magami.

Urtho pragnął zażegnać konflikt, lecz osiągnął przeciwny rezultat: wojna przeniosła się na jego tereny. Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, czy Urtho kiedykolwiek winił się za to, że zwlekał. Kiedy Ma'ar dopiero zaczynał, Urtho z łatwością mógł go pokonać. Kto jednak przypuszczał, że wojna tak silnie zagnieździ się w głowie upartego Ma'ara? Nie można winić Urtho za to, że niegdyś nie pohamował Kiyamvira.

Pośród wszystkich okropności wojny były też i małe radości. Jedną z nich była miłość, która zakwitała nagle jak polne kwiaty na polu bitwy.

Bursztynowy Żuraw westchnął lekko. Kochał Skana tak mocno, jak gdyby wzrastali w tym samym gnieździe, w tym samym domu. Jednak często zastanawiał się, czy Skan odwzajemnia to uczucie. Trudno było cokolwiek wyczytać z twarzy gryfa: emocje odbijały się na niej w o wiele bardziej subtelny sposób niż na ruchliwym pysku kyree. A Skan to po prostu — Skan. Bardzo często najskrytsze uczucia zachowywał dla siebie, maskując je żartami, figlami, narzekaniem czy udawaną irytacją. Człowieka, którego lubił, równie często wyśmiewał, co chwalił.

Opiekowanie się gryfem z pewnością miało swe ujemne strony.

Bursztynowy Żuraw przemknął między rzędami mniejszych namiotów przeznaczonych dla rekonwalescentów. Była tam wydzielona część dla gryfów — szeregi namiotów ze specjalnie wzmocnionymi masztami albo wyciągami, które utrzymywały którąś z czterech kończyn gryfów lub jedno z dwóch skrzydeł.

Kestra'chern ujrzał Gestena w chwili, gdy tamten go zauważył, wychodząc z jednego z namiotów. Gesten był w niezwykle pogodnym nastroju: jego oczy błyszczały radością, a ogon sterczał uniesiony wysoko do góry.

— Jego Królewska Wysokość cierpi na ból głowy i twierdzi, że jest mu zbyt niedobrze, aby cokolwiek przełknąć — relacjonował hertasi. — Cinnabar mówi,

że to z powodu tego wstrząsu mózgu. A poza tym podrażnił sobie gardło tym czymś, co w nie wpełchnął. Ja nie mogłem go nakłonić, aby cokolwiek zjadł, więc Cinnabar chce, żebyś ty spróbował.

Bursztynowy Żuraw skinął głową.

— Cóż to za rzecz, której o mało nie połknął? — zapytał. — Nie dawało mi to spokoju w czasie snu.

Gesten pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Jakaś magiczna broń, po którą wysłał go Urtho — odparł obojętnie. — Zaraz potem jak zaprowadziłem cię do łóżka, zrobiło się wielkie zamieszanie. Połowa magów z Wieży przybiegła szukać tego przedmiotu, kiedy Skana przeniesiono już tutaj. Jeden z nich obudził Tamsina i próbował go zbesztać za to, że od razu nie przyniósł mu tej rzeczy.

Bursztynowy Żuraw zauważył ostrożne użycie słowa „próbował”.

— Założę się, że Tamsin dał mu niezłą nauczkę.

Gesten zachichotał radośnie i pokiwał głową.

— Miło było słuchać — powiedział z satysfakcją. — Był prawie tak dobry jak ty, kiedy jesteś wściekły.

— Hmm. . . — Bursztynowy Żuraw pokręcił głową. — A więc to jakiś rodzaj magicznej broni. . . no cóż, przypuszczam, że i tak się nie dowiemy całej prawdy.

Domyślił się, że ta broń, bez względu na to, czym była, przyczyniła się do zdobycia Laisfaar. Dlatego Skan musiał ją znaleźć i dostarczyć tutaj, aby magowie Urtho mogli stworzyć skuteczną obronę.

Nawet jeśli Skan o tym wiedział i tak nic nie powie. Im mniej ludzi zaangażowanych w sprawę, tym lepiej. Niezwykle łatwo było szpiegowi poruszać się po obozie Urtho — właśnie dlatego, że jego ludzie byli o wiele mniej bezwzględni niż przeciwnicy znajdujący się po stronie Ma'ara. A obozowe plotki, jak to zauważył zeszłej nocy, rozchodziły się szybko niczym płomień z nasączonej oliwą hubki.

Bursztynowy Żuraw od dawna pogodził się z faktem, że musiał wysłuchiwać miliona męczących szczegółów, które nie miały dlań żadnego sensu. Jednakże taka była jego profesja. . .

— W każdym razie jeśli możesz, nakłoń Jego Zrzedliwość. . .

— Słyszałem — dobył się niski pomruk zza kłapy namiotu.

— . . . Jego Przekorność, aby coś zjadł, a ja przygotowuję wszystko, co trzeba dla twojego następnego klienta — zakończył gładko Gesten.

Bursztynowy Żuraw chrząknął.

— Chyba dam sobie radę. Muszę coś zrobić z jego podrażnionym gardłem.

— Tylko się nie przeforsuj — ostrzegł Gesten, odsuwając kłapę namiotu, aby wejść do środka. — Nie on jeden jest pod twoją opieką. A w dodatku on nie płaci!

Ostatnie słowa skierowane były do Skandranona. Gryf tylko uniósł na chwilę brodę ponad zabandażowanymi ramionami i odezwał się z godnością i odrobiną zniecierpliwienia:

— Wydawało mi się, że tego rodzaju opieka należy komuś, kto właściwie powrócił z dobrze wypełnionej misji.

— Zgadza się — odparł Bursztynowy Żuraw, zauważając, że Skandranon wyraźnie przedłuża niektóre głoski dla „podkreślenia” treści. Dykcja Skandranona, kiedy tego chciał, nie różniła się niczym od dykcji człowieka. Bursztynowy Żuraw natężył swe precyzyjnie wyostrzone zmysły i nie znalazł nic niepokojącego, tylko zrastające się kości i gojące się rany oraz — tak — łagodniejący wstrząs mózgu.

— Jak głowa? — zapytał, pozwalając jednocześnie, aby jego świadomość wniknęła w obszar przetyku i gardzieli Skana, łagodząc podrażnienia spowodowane obcym przedmiotem, który Skan (niechący?) połknął. Było oczywiste, że gryf nie mógł przechowywać w gardzieli niczego, czego nie potrafił bez wysiłku przełknąć, a przedmiot, o którym mowa, nie był rzeczą wygodną w przenoszeniu na duże odległości, szczególnie, że składał się z samych kantów, jak przypominał sobie Bursztynowy Żuraw.

— Głowa jest bardzo biedna, dziękuję — odparł z irytacją gryf. — Sspodziewam się, że coś z tym zrobisz.

— Przepraszam, Skan — odparł Bursztynowy Żuraw. — Chciałbym, ale nie jestem specjalistą od tego rodzaju uszkodzeń. Mogłbym wyrządzić więcej szkody niż pożytku, grzebiąc w twojej głowie.

Wysłał odrobinę uzdrawiającej energii — dbając o to, by się nie nadweryżać. Nie potrzebował przestróg Gestena: już raz zdarzyło mu się upaść na ziemię. Gdyby przydarzyło mu się to znowu, miałby niemałe kłopoty. Zazwyczaj potrzeba było dwóch albo trzech uzdrowicieli, aby naprawili to, co taki głupi uzdrowiciel sobie zrobił. W jednej chwili ból i podrażnienie osłabło i zniknęło z gardła Skana. Gryf ostrożnie przełknął ślinę.

— No cóż, mam wrażenie, że nie wyjdiesz stąd, dopóki czegoś nie zjem — powiedział Skan bez najmniejszej oznaki wdzięczności. — Lepiej więc coś przekąszę. Ty sobie pójdziesz, a ja będę mógł pospać.

Bursztynowy Żuraw nie odezwał się, wziął tylko miskę z kawałkami surowego mięsa: Skan połykał je w całości. Jak wszystkie gryfy wolał surowe mięso, im świeższe tym lepsze, chociaż mógł również jeść pożywienie smażone czy gotowane, lubił nawet pieczywo i makarony. Gesten zostawił ogromną miskę mięsnych kawałków. Bursztynowy Żuraw podawał je gryfowi jeden za drugim, aż opróżnił naczynie. Gryf chętnie zjadłby coś jeszcze — spoglądał łakomie na dłoń przyjaciela.

Bursztynowy Żuraw starał się nie urazić jego uczuć. Wiele razy widywał niezwykle aktywnych ludzi, którzy z powodu ran musieli polegać na innych. Skan był



całkowicie unieruchomiony z powodu złamań i nie mógł używać nawet przednich łap. Mimo bólu głowy spowodowanego wstrząsem, nie zachowywał się aż tak źle.

Z drugiej jednak strony Bursztynowy Żuraw był jego przyjacielem, a Skan traktował go gorzej niż wynajętego służącego.

Coś z tych myśli musiało się uzewnętrznić na jego twarzy, gdy podawał Skanowi ostatni kawałek surowego mięsa. W tym momencie do namiotu wszedł Gesten, spojrzął na obu przyjaciół i zaczął wygłaszać drapieżnikowi wykład na temat wdzięczności.

— Można by oczekiwać, że najmądrzejszy gryf z armii Urtho będzie miał odrobinę rozsądku — zadrwił. — Można by oczekiwać, że tenże gryf przywoła Żurawia i będzie go tak ścisnął, że prawie go udusi! Można by oczekiwać, że ten sam gryf będzie pamiętać, że Żuraw odczuwa bóle fantomowe z powodu uzdrawiania. Jednakże nie... — prychnął hertasi. — Do tego potrzeba rozsądku i wzajemnej grzeczności. Kiedy Żuraw nie siedzi przed namiotem, czekając, aż pewien gryf się obudzi, ten gryf myśli, że nikt go nie kocha, i postępuje jak rozpuszczony dzieciak. Choć Żuraw tu przychodzi, nawet się jeszcze nie ogoliwszy!

Skan nie mógł prawdopodobnie wyglądać gorzej, jednak pęki piór na uszach, które przylegały płasko do głowy, teraz prawie rozpląszczyły się o czaszkę. Gryf wyglądał na naprawdę smutnego.

I skruszonego.

Po wykładzie Gestena zaległa cisza. Hertasi zerknął na Skana z miną mówiącą: „wszystko zepsułeś”, a Skan westchnął.

— Żuraw — odezwał się miękko gryf. — Przepraszszszam. Byłem bardzo niegrzeczny...

Bursztynowy Żuraw znał ten nastrój. Skan będzie go teraz przeproszał, aż mi nie jedna miarka świecy, z każdym słowem stając się coraz bardziej rozdrażniony i zły.

— Wszystko w porządku — przerwał mu. — Nie byłeś gorszy niż inni moi klienci. Jestem do tego przyzwyczajony. — Zaśmiał się słabo. — Sam jestem niezwykle paskudnym pacjentem. Zapytaj Gestena.

Hertasi wywrócił oczami, ale się nie odezwał.

— Nie martw się zatem. Jesteśmy po prostu szczęśliwi, że wróciłeś... chociaż w tak wielu kawałkach.

Wsadził dłoń między pióra na karku Skana i podrapał go tam, gdzie gryf sam nie był w stanie sięgnąć.

Skan westchnął i oparł głowę o zabandażowane i unieruchomione ramiona.

— Jesteś zbyt cierpliwy, Żuraw.

— Właśnie, jeśli nie ruszę go stąd, spóźni się — wtrącił Gesten, najwyraźniej udobruchany przeprosinami. — Masz klienta, kestra'chern. I będziesz musiał znaleźć czas na odwołane poranne wizyty.

— Racja. — Bursztynowy Żuraw podrapał Skana po raz ostatni i wstał, wglądając fałdy swej tuniki. — Lepiej się najpierw ogolę i umyję. Ile jeszcze mam czasu?

— Niewiele, zważywszy na fakt, jak porządnego mycia wymagasz — odparł Gesten. — Lepiej się pośpiesz. . .

Jakiś czas później Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, dlaczego tak się kłopotuje. To nie był jeden z jego zwykłych klientów; nie wiedział, czego się po nim spodziewać, ale musiał być niczym drewniana kukła wobec każdego człowieka, który na niego patrzył.

Tamten był magiem, jednym z najemników, których Urtho przyjął, gdy jego pomocnicy i uczniowie okazali się niezdolni, by poradzić sobie z wszystkimi magami Ma'ara. Prawdopodobnie był przystojnym mężczyzną, ale trudno to było określić w tym momencie. Miał surowy i nieodgadniony wyraz twarzy i, szczerze mówiąc, bardzo proste potrzeby.

Gdyby rzeczywiście chodziło mu tylko o to, co ujawnił, nie potrzebowałby Bursztynowego Żurawia. Mógł pójść do każdego pierwszo- czy drugorzęd- nego kestra'chern znajdującego się w każdym korpusie i zaoszczędziłby sporą sumę pieniędzy. Iluzja ulgi, luksusu, odprężenia. . . i pieszczoty — ale wszak kestra'chern nie są najemnymi towarzyszami do łóżka, jak sądziło wielu ludzi, włączając do nich tego maga. Jeśli tylko o to chodziło temu magowi, mógł to znaleźć w wielu innych miejscach, łącznie — jeśli mu na tym zależało — z pozyskaniem czyjegoś szacunku.

Bursztynowy Żuraw miał ochotę odesłać go gdzie indziej; to, z czym przyszedł jego klient, było tak obraźliwe jak nakazanie kuchmistrzowi, by przyrządził owsiankę.

Jednakże — tak jak powiedział generałowi — nauczył się przez lata, że prośba klienta może nie być tym, czego on naprawdę chce, pacjent może sobie nawet nie uświadamiać swoich prawdziwych potrzeb.

Umiejętność rozpoznawania ukrytych pragnień czyniła z Bursztynowego Żurawia eksperta.

Kiedy zadał kilka spokojnych pytań, usłyszał jedynie zduszony rozkaz: „Rób, co do ciebie należy”, wstał i przyjrzał się mężczyźnie ze swej wysokości.

— Nie mogę wykonywać swej pracy tak, abyś był z niej zadowolony, gdy jesteś kłębkim nerwów — odparł chłodno. — Co więcej, nie mogę być zadowolony z efektów mej pracy. Może zacniemy od prostego masażu?

Skinął ręką w stronę leżanki znajdującej się po jaśniejszej stronie pokoju, a mag opornie podniósł się i jeszcze bardziej opornie na niej się położył.

Gesten pojawił się akurat we właściwym momencie, jakby na wezwanie. Zręcznie rozebrał mężczyznę i wystawił olejki. Bursztynowy Żuraw wybrał ten o zapachu rumiankowym, nasycony odprężającymi ziołami. Potem zaczął masować maga od ramion. Dłońmi wyszukiwał i usuwał skupiska napięcia — i jak

zawsze, zlikwidowanie napięcia uwalniało informację o jego źródle.

— To z powodu Zimowej Łani — powiedział z rozdrażnieniem mężczyzna. — Zaczęła się ode mnie oddalać i, niech to licha, nie wiem dlaczego! Nie wiem, o co jej chodzi, ale powiedziałem, że jeśli nie chce mnie zadowolić, mogę równie dobrze poszukać satysfakcji gdzie indziej.

Bursztynowy Żuraw domyślił się na podstawie uczuć towarzyszących wymawianiu imienia „Zimowej Łani”, że kobieta była kochanką tego człowieka — a przynajmniej on ją za taką uważał. Dziwne, ten rodzaj imion zazwyczaj nosiły kobiety ze szczepu Kaled’a’in, a rzadko zdarzało się, aby Kaled’a’in były blisko związane z innymi plemionami.

— Dlaczego przyszedłeś tutaj? — zapytał, badając lekko węzeł poplątanych emocji, a równocześnie masując napięte mięśnie. — Dlaczego nie poszedłeś do kogoś... tańszego?

Mężczyzna chrząknął.

— Ponieważ cała armia zna twoje nazwisko — odparł. — Każdy w naszej sekcji będzie wiedział, że tu dzisiaj byłem, i nikt nie będzie potrzebował pytać dlaczego.

*Bardzo poplątane emocje* — zadumał się Bursztynowy Żuraw. Chociaż na pierwszy rzut oka dominowała chęć zranienia swej kochanki przez publiczne udanie się do świetnego — lub sławnego, zależy od punktu widzenia — kestra’chern, prawdziwym powodem była szczególnie chęć pochlebiaenia sobie. Jak gdyby chodząc tylko do najlepszych i najdroższych, próbował powiedzieć Zimowej Łani, że jedynie najlepszy może ostatecznie ją zastąpić.

I jeszcze coś — postępując tak, zrównywał ją z płatną towarzyszką, jeszcze raz w ten sposób ją obrażając i wyłączając ze swego głębszego intymnego i emocjonalnego życia. A jednak była to dwuznaczna próba schlebiaenia jej. Bursztynowy Żuraw nie był łózkowym towarzyszem do wynajęcia, był kestra’chern, uprawiał zawód wysoko ceniony przez Urtho i większość z kręgu dowódców. Wśród Kaled’a’in poważany był nieomal tak, jak kapłani dotknięci przez Boginię. Samo słowo niosło w sobie konotacje boskiej intuicji i uzdrawiania duszy oraz przyjaźni. Zatem było to tylko pobożne życzenie czy raczej pragnienie wywarcia wrażenia na Zimowej Łani, kimkolwiek ona była.

Bez względu na problemy, z jakimi kestra’chern zetknął się w tych dniach, wszędzie było więcej tajemnic niż odpowiedzi.

— Wiesz zapewne, że to, co się dzieje w tym namiocie, zależy od tego, co ja uznaję za najlepsze dla ciebie, prawda? — zapytał tylko po to, aby uporządkować swe myśli. Jeśli ten człowiek pragnie wyłącznie wyczerpujących ćwiczeń, trzeba go wysłać gdzie indziej.

Bursztynowy Żuraw masował stopy mężczyzny, posługując się uciskiem i ciepłem, aby usunąć bóle z całego ciała, nie używając żadnych uzdrawiających mocy. Niektórzy uważali, że nie musi się wysilać, ponieważ ma moc uzdrawiania

ciała i uspokajania nerwów. Od pokoleń jego poprzednicy wykorzystywali tylko fizyczne, wyuczone umiejętności — jak masaż — kierowani wyostrozonymi zmysłami i jasnym umysłem. Jako kestra'chern Bursztynowy Żuraw wykorzystywał swój dar uzdrawiania tylko wtedy, gdy bardziej „konwencjonalne” metody zawodziły. Jednakże pierwsze umiejętności dopełniały drugie i mógł ich używać wszystkich, jeżeli wymagało tego dobro klienta. Nigdy jednak nie świadczył usług, jakie można mieć od perchi. Mimo to ciągle na ten temat żartowano i kpiąno.

— No cóż, hm, słyszałem o tym — powiedział, jak gdyby do końca w to nie wierzył.

— Jeśli cię to nie zadowala, mogę ci podać jedno czy dwa nazwiska perchi, przyzwyczajonych od tego rodzaju bezczelności — zaryzykował Bursztynowy Żuraw. Nie miał zamiaru rozzłościć mężczyzny, który płacił przecież za drogi zabieg; poza tym jeśli klient uzna, że nie było warto, może zacząć sprawiać kłopoty.

— To, co robisz... nieważne — odparł przebiegle mag. — Najważniejsze jest to, co Zimowa Łania myśli, że robisz. Ty musisz dotrzymać tajemnicy, o ile wiem, a więc pozwolę, aby popracowała trochę jej wyobraźnia. Zapewne nieco podkoloryzuje wydarzenia.

Bursztynowy Żuraw poczuł nagłą ochotę, gdy odesłać tego człowieka. Nie mylił się — to, co tamten planował, było paskudnym posunięciem w stosunku do jego kochanki.

Może na to zasługiwała, a może nie. Nie był w stanie się tego dowiedzieć.

Westchnął. Górę wzięła jego zawodowa duma. Postanowił, że postąpi tak, aby ten człowiek nie żałował wydanych pieniędzy — i da mu choć odrobinę tego, czego ten się spodziewał.

## ROZDZIAŁ TRZECI

— Mam nadzieję, że na dzisiaj to już koniec, Gestenie — powiedział Bursztynowy Żuraw, kiedy opadła za nim zasłona. Potarł nos kciukiem i westchnął. — Jestem wykończony. Ostatni klient zażyczył sobie masażu miękkimi młotkami i kłótni. Na grafiku była sesja nie wymagających specjalnego wysiłku porad. . .

— Ale to wszystko na dziś — odparł Gesten, zadowolony z siebie.

— Ostatnich dwóch wynagrodziło ci wszystkich klientów, których nie przyjąłeś rano, ponieważ płacili godziwie i gotówką, a nie jakimiś żetonami. Ostrzegłbym cię, gdybym coś wiedział o ostatnim. Nie wspominał o młotkach; przygotowałam je dla ciebie, gdybym wiedział. Był naprawdę małomówny.

— Może to i lepiej. Prawdopodobnie odesłałbyś go gdzie indziej, gdyby cokolwiek powiedział, a on by się obraził. — Bursztynowy Żuraw nie wdawał się w szczegóły. Ostatni dwaj klienci byli, mówiąc łagodnie, niemili. A ponieważ Gesten zawsze dyskretnie obserwował gabinet, prawdopodobnie dobrze o tym wiedział. Hertasi położył czystą nocną koszulę, prostą i bez ozdób (w przeciwieństwie do szat, których Żuraw używał, gdy przyjmował klientów) i odkrył talerz z żołnierskim chlebem i serem. Ostatnio niewiele przysmaków było dostępnych dla ludzi Urtho, nawet dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Te, które Bursztynowy Żuraw jeszcze posiadał, zachowywał dla swoich klientów, którzy często bardzo pozytywnie reagowali na takie smakowe rozpieszczanie. Krążyła plotka, że nawet sam Urtho zrezygnował ze swoich ulubionych uczt. Na szczęście nie brakowało wody. W narożniku czekała na niego gorąca kąpiel, znad drewnianej balii już unosiła się zapraszająco para.

— Dziękuję, Gestenie — powiedział z niekłamany uznaniem. Bursztynowy Żuraw zdjął swoje przepecone jedwabie i wślizgnął się do balii, krzywiąc się z lekka od gorąca. Miał zamiar jednak wytrzymać w tym ukropie, choćby za kilka minut przyszło mu się ugotować. Tego mu było trzeba, aby rozluźnić mięśnie. Przypomniawszy sobie, niczym z odległej przeszłości, że zanim klan Kaled'a'in sprowadził tu swe rodziny i stada, zawsze tam, gdzie mieszkał, tworzył gorące źródła, jeżeli nie było w pobliżu naturalnych. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Źródła tworzone przez magów pochłaniały ogromną ilość magicznej energii i obecnie stanowiły luksus, na który nie można było sobie pozwolić.

Wojna próbowała pożreć wszystko, co stało jej na drodze. Bursztynowy Żuraw i ci, którzy wspierali wojowników, to właśnie z wojną walczyli, a nie z wojakiem, czarami i makaarami. W podobny sposób myślało też wielu spośród wojowników — widzieli wojnę jako naturalnego wroga, z którym trzeba się stanowczo uporać i mieć ją za sobą. Jednakże ona miała moc, której tak długo pragnął unikać Urtho — i której unikał, aż sama przyszła pod jego próg. Lud z Północy odnosił się do ludu Południa jak do „cywilizowanego”; nie miało to wiele wspólnego z jego technologiami i mocami — i było w równej mierze pragmatyczne, jak idealistyczne. Kiedy armia Ma’ara stanęła na granicy, napotkała opór. Dlatego usługi Bursztynowego Żurawia, które w czasach pokoju służyłyby spełnianiu zachcianek najbogatszych cudzoziemców i zaspokajaniu potrzeb własnego ludu, teraz stały się darmową nagrodą dla bohaterów...

I bardzo kosztownym kaprysem ludzi, którzy byli snobami.

Wrócił myślą do najemnego maga, człowieka, którego zimnej duszy nie potrafił ogrzać. Większość magów wcielonych do sił Urtho znalazła się w nich dlatego, że byli przekonani, iż sprawa Maga Ciszy jest słuszna albo dlatego, że szanowali Urtho jako jednego z największych żyjących adeptów. Mieli oni nadzieję nauczyć się czegoś od niego w czasie służby pod jego dowództwem. Byli też tacy, którzy zaciągnęli się do jego armii, bo nienawidzili Ma’ara albo dlatego, że ich własne ziemie zostały zniszczone przez zachłannego napastnika. Niewielu walczyło wyłącznie dla pieniędzy.

Ten człowiek, Conn Levas, do nich należał. Nie miał przyjaciół i nic go nie obchodziło poza jego własną mocą i umiejętnościami. Był jednym z najbardziej ograniczonych ludzi, jakich Bursztynowy Żuraw kiedykolwiek spotkał. Narcyz najwyższego stopnia. Interesowało go tylko powiększanie swego bogactwa i sławy: wojna też służyła temu celowi. Służył u Urtho, ponieważ był to pan, który dawał swym magom o wiele większą autonomię i cenniejsze nagrody niż Ma’ar.

Niestety, sytuacja pozwalała takim bestiom odnosić sukcesy. Jednakże jak kobieta z plemienia Kaled’a’in została jego kochanką — tego Bursztynowy Żuraw nie potrafił zrozumieć.

Levas co prawda przyznał, że jego chłód był częściowo przyczyną tego, że Zimowa Łania rozczarowała się w stosunku do niego. Bursztynowy Żuraw miał wrażenie, że tego rodzaju przyznanie się do błędu było nie lada ustępstwem z jego strony.

Rozczarowana... to jest myśl. Czyżby ten mag rzucił urok na tę kobietę? Nie mógł użyć silniejszych czarów, ponieważ inni magowie by to zauważyli, ale małe zaklęcie we właściwym czasie sprawiłoby, że ujrzałyby go takim, jakim chciała go widzieć. Mogła trafić do jego łóżka dużo wcześniej, zanim zrozumiała swój błąd. Posiadanie kobiety Kaled’a’in jako kochanki było uważane przez niektórych najemników w siłach Urtho za sukces. Posiadanie uzdrowicielki jako kochanki było jeszcze większym wyczynem. Mogła dla niego być cenna właśnie jako kolejne

jego osiągnięciu. I . . .

Dlaczego się o nią martwił? Przecież niewiele o niej wiedział, znał tylko jej imię, które brzmiało jak imię kobiet Kaled'a'in. Może ona w ogóle nie należy do tego plemienia, inne szczepy też przybierały barwne imiona albo nadawały je swym dzieciom przy narodzinach. W ogóle dlaczego myśli o Conn Levasie? Człowiek ten otrzymał wystarczającą usługę za swoje pieniądze. Nie wygląda na to, żeby miał wrócić, wzięwszy pod uwagę jego opór przed sondującym krzyżowym ogniem pytań Bursztynowego Żurawia. Kestra'chern wiedział, że najemnik będzie się martwił, że powiedział za dużo. No cóż. Usługa, którą mu zaoferował, nie była zbyt skomplikowana, nawet w standardzie kestra'chern. A jednak . . .

*Jeśli będziesz się przejmował każdym mężczyzną i każdą kobietą w armii, uwiłkasz, się w kłopotliwą sytuację i nawet nie będziesz wiedział, z jakiego powodu — powiedział do siebie. — Stwarzasz problemy z niczego, a potem się zamartwiasz. Nigdy nawet nie widziałeś tej uzdrowicielki Zimowej Łani. Dlaczego więc przyprowadzasz się o ból głowy?*

Dobrze wiedział, dlaczego się przejmując najemnikiem i jego kochanką — powstrzymywał go to przed zamartwianiem się o Skana.

Jakby i tak nie miał dość problemów . . .

Skandranon był wdzięczny za to, że żyje, a jeszcze bardziej dziękował za to, że wypełnił swoją misję do końca, a już bezbrzeżnie był wdzięczny za to, że znowu został złożony do kupy. Co jakiś czas zapewniano go, że będzie mógł latać. Dokuczał mu jednak bezustanny ból głowy. W dodatku wszechogarniające poczucie wdzięczności powodowało, że miał ochotę gryźć.

Było to nieładne z jego strony; wiedział o tym i tym bardziej chciało mu się gryźć. Chciał być zły na swój sposób. Gdyby tylko w jego namiocie pojawił się ktoś, kto zasłużył na porządne, zjadliwe zbesztanie. Na przykład głupiec, który zapewniał Urtho, że Przełęcz Stelvi jest bezpieczna, albo idiota, który wydał rozkaz obciążający gryfy misjami specjalnymi, nawet ten imbecyl, kucharz, który najpierw przysłał mu surową rybę na śniadanie zamiast dobrego, czerwonego mięsa, a potem uraczył go gulaszem. Jednakże jedynymi ludźmi, którzy się do niego zbliżali, byli ci, którym powinien być wdzięczny — jakie to irytujące! — Gesten i Żuraw, Tamsin i Cinnabar, członkowie jego dywizjonu, piesi i najemnicy, którzy narażali swe życie, aby przytaszczyć go do domu. Po wykładzie Gestena zdwoił swoje wysiłki, aby okazać im właściwą wdzięczność . . .

Ciągle jednak chciało mu się gryźć — co też robił. W końcu są jeszcze jakieś inne poduszki w obozie.

Gdyby tylko nie bolał go tak dziób. Czuł bezustannie wokół nozdrzy lekkie klucie od zadrapań i swędzenie u nasady, a jego zatoki rwały jakby . . .

*Jakbyś uderzył w coś twardego po zbyt długim nurkowaniu, ptaku.*

Sprawę pogarszała jeszcze zupełnie nienaturalna pozycja, w której leżał, z przednimi nogami wyciągniętymi przed siebie, a tylnymi kończynami unieruchomionymi w szynach, co powodowało, że nie mógł się wygodnie ułożyć. Wiedział, że uzdrowiciele mogli spowodować, aby jego kości się zrosły podczas jednej sesji wytężonego uzdrawiania. Wiedział jednak również, że na liniach frontu nie tylko on odniósł obrażenia i że wielu ludziom grozi śmierć, jeśli nie dostaną się do uzdrowiciela. Taka sesja zajmowała odległe miejsce na liście priorytetów.

Nie poprawiło mu to nastroju.

Zdziwił się, gdy późnym popołudniem Tamsin i Cinnabar pojawili się w jego namiocie — aż przyrzędów, które niósł hertasi, gryf domyślił się, że nie było to towarzyskie zebranie. Tamsin był ubrany jak zwykle w zielone bryczesy i koszulę. W przeciwieństwie do innych uzdrowicieli krótko przycinał jasne włosy i nosił brodę: inni zazwyczaj nosili długie włosy i byli gładko ogoleni. Tamsin nie mógł stanowić lepszego tła dla wysokiej i pełnej wdzięku lady Cinnabar: był krępy i umięśniony jak zapaśnik. Cinnabar oczywiście była elegancka, jakby dopiero co wyszła z przyjęcia na dworze. Spod jej szkarłatnej sukni, długiej do pół łydki wyłaniały się szkarłatne skórzane botki, podkreślające jej szczupłe kostki. Obcisłe rękawy sukni uwydatniały piękno jej ramion bez odkrywania choćby kawałka ciała. Skandranon słyszał, że według ludzkich gustów nie była piękna ani nawet przystojna, ale jemu jej twarz o wydatnym nosie, podobna trochę do głowy dumnego sokoła, wydawała się dość atrakcyjna. Włosy po bokach głowy uzdrowicielki były krótko ścięte, zaś na czubku uniesione, a z tyłu spływały na plecy związane w ogon: przypominały Skanowi grzebień. Pięknie.

Oboje wyglądali na stosunkowo wypoczętych i pełnych energii. Czyżby się miały ziścić nadzieje Skana? Czy oni mają zamiar...

— No dobrze, stary ptaku — powiedział wesoło Tamsin, trzymając uchyloną klapę namiotu, aby obciążony hertasi mógł swobodnie wejść. — Musimy coś zrobić z twymi nogami, abys mógł normalnie odpoczywać. Jak myślisz, wytrzymasz?

— Czy mógłbym powiedzieć cośś innego? — odparł Skan. — Zniossę wszystko!

— Wszystko? — spytała Cinnabar z łobuzerskim błyskiem w oku. Kiedy Tamsin wymownie uniósł brew, dodała pośpiesznie: — Nie, nie odpowiadaj. Jesteś najbardziej nienasyconym stworzeniem, jakie znam!

Skan miał zamiar łypnąć pożądliwie okiem, ale to mu się nie udało.

— Proszę — zamiast tego prawie zakwilił.

Słońce już prawie zachodziło, kiedy dzięki wielkiemu wysiłkowi ze strony Tamsina i Cinnabar oraz bólu i współpracy ze strony Skana, połamane kości gryfich przednich kończyn się zrosły, a tylne ozdrowiały w takim stopniu, że po-



zbył się szyn. Pozwolono mu zrobić ostrożnie kilka kroków. Teraz mógł sam zaspokajać swe potrzeby, które były ogromne, gdyż jak dotąd, o ile mu było wiadomo, nikt nie wymyślił nocnika dla gryfów. Mógł też sam się nakarmić, a ponieważ Cinnabar uśmierzyła ból głowy, odczuwał głównie głód. Mógł leżeć w wygodniejszej pozycji i słuchać, jak burczy mu w brzuchu.

Cinnabar wyglądała równie pogodnie i spokojnie jak wtedy, gdy zaczęli. Tamsin był wyraźnie zmęczony, ale równie wesoły.

— Należało ci się, stary ptaku — powiedział, klepiąc Skana po boku. — Najpierw kolacja czy gość?

— To i to — odparł Skan. — Jeśli ten ktośś nie znosi widoku jedzącego gryfa, każ mu przyjść później. A jeśli ktośś jest to ktośś, kogo ja nie znoszę, to on będzie moją kolacją.

Z pewnością dziś wieczór Skan nie zechce jeść małych kawałków mięsa. Nie, Cinnabar i Tamsin znali gryfy i o ile ten idiota kucharz nie przekreśli ich polecenia, będzie to spory tłusty udziec z jakiegoś świeżo zabitego i krwistego zwierzęcia, coś, co Skan mógłby rozdrzeć, aby dać upust swej frustracji. Być może nawet połowa sarny albo wołu — gryf był tak głodny, że z pewnością zjadłby jedno i drugie.

Srebrzyście nakrapiany hertasi odebrał sygnał dochodzący doń zza płóciennej kłapy namiotu i wraz z towarzyszem natychmiast zniknęli, jakby wyparowali. W chwilę później rozwarła się płachta przy wejściu i ukazała się czcigodna i wyjątkowa postać.

— Chyba jestem w stanie znieść widok jedzącego gryfa — powiedział Urtho, Mag Cisy.

Wkroczył do namiotu i zamilkł, a jego uspokajająca obecność wypełniła wnętrze wilgotnego i ciepłego pomieszczenia. Trudno było określić prawdziwy wiek Urtho. Mógł mieć sześćdziesiąt lat albo sześćset. Odkąd Skan go znał, wyglądał zawsze tak samo. Wieczny wizerunek geniusza. Był wysoki i szczupły niczym bocian, fala siwych kręconych włosów spływała mu do pasa, miał ogromne szare oczy, nos tak samo wydatny jak u lady Cinnabar, podbródek gładko ogolony. Nie wyglądał jak najlepszy adept — w ogóle nie wyglądał jak mag. Był podobny raczej do skryby, złotnika czy akrobata na emeryturze.

Skan przypuszczał, że w żyłach Urtho mogła płynąć krew Kaled'a'in, szczególnie, jeśli wzięło się pod uwagę jego nos oraz związek, który łączył go z tym plemieniem od dawna. Jeśli jednak nawet tak było, nikt nigdy o tym nie wspominał przy Skanie.

Urtho przytrzymał klapę namiotu dla dwóch hertasi wnoszących dwie ćwiertki sarny, z obiema przednimi nogami, łopatkami, piersią i ze skórą, choć bez głowy, ale prośba o ten kawałek byłaby już przesadą. Ludziom robiło się słabo na samą myśl, że mają dostarczyć gryfom posiłek z całą głową: nie brali pod uwagę tego, że była naprawdę pyszna. No cóż, ludziom robiło się niedobrze z jeszcze wielu

innych głupich powodów. Skan chwycił łup przednimi szponami, oderwał kawał mięsa ze skórą, zanim zdążył zauważyć dowódcę jednej z dwóch największych armii, jakie kiedykolwiek widziano w Yelgarth.

Potrząsając głową, połknął cały kawał. Podobnie jak wszystkie drapieżne ptaki, które hodowali ludzie Kaled'a'in, potrzebował sierści i twardej skóry do oczyszczania gardzieli.

— Przyłączysz się do kolacji? — zaproponował. Urtho zaśmiał się.

— Czy w ten sam sposób sokół proponuje kolację myszy?

Tamsin i Cinnabar ukłonili się z szacunkiem i pośpiesznie wyszli. Moc Urtho onieśmiała tych, którzy go dobrze nie znali. Ten skinął im na pożegnanie i usiadł na jednym z dwóch krzesel, które przed chwilą zajmowali.

Skandranon urwał następny kawał mięsa; smakowało wspaniale, było pożywne i słone od potu. Przełknął, czując, jak prążki śliskich od krwi mięśni spływają przez przełyk do gardzieli. Strzelił uchem i obrócił głowę ku swemu dowódcy. Ich spojrzenia spotkały się i z błysku oka wyczytali wszystko.

— No cóż, ssstaruszk, mimo wszysstko przeżyłem. Mam nadzieję, że masz to.

Urtho skinął głową.

— Udało ci się. I miałeś rację, nalegając, aby lecieć samemu. Dobrze się spisałeś, Skan. Tak, mam to. Chociaż cudem wydobyto ów przedmiot z twego zachłannego gardła.

— Chcesz powiedzieć, że tylko ja byłem na tyle głupi, żeby tego ssspróbować — odparł Skan, starając się nie pysnić. Oderwał kolejny kawał swego posiłku.

— O ile sobie przypominam, nie byłeś jedynym chętnym, ale nalegałeś, by lecieć samemu — stwierdził Urtho z odrobiną wyzwania w głosie. Skan tylko chrząknął.

— Być może — zasugerował złośliwie po chwili — pamięć ci nie dopisssuje.

Ku jego zdziwieniu Urtho westchnął.

— Rzeczywiście — powiedział zmęczonym głosem. — Ostatnio o wielu rzeczach zapominam. Kelethen jest coraz bardziej niecierpliwy. . .

— Mussisz pamiętać o tak wielu sssprawach — przerwał szybko Skan. — Kelethen jessst ssstraszenie zrzędlivy jak wszyssscy hertasssi. Powinieneśś mu powiedzieć, że jeśśśli jessst niessspokojny, niech zaprowadzi terminarz ssspotkań taki, jaki mają kessstra'chern.

— Czasami czuję się jak kestra'chern — wyznał smutno Urtho. — Od którego oczekuje się, że zadowolony wszysskich. . .

— Prawie wszyssstkich — przerwał Skan. — Poza tym ktośś musssi dowodzić, a ja jessstem za bardzo zajęty. Co ty tutaj w ogóle robiszszsz? Czy nie powinieneśś dowiedzieć sssię czegoś o broni, porozmawiać o odzyssskaniu przełęczszy? W końcu jessstem tylko głupim gryfem.

— To prawda. — Urtho znowu westchnął. — Ale ty jesteś bardzo szczególnym głupim gryfem. Przyszedłem zobaczyć, czy miewasz się tak dobrze, jak to twierdzą uzdrowiciele. Z bronią się uporałem, przeprowadzenie kontrataku w przełęczy leży w gestii dowódców. Niewiele mam do zrobienia tutaj, kiedy rozpocznie się atak.

Twarz Urtho była trochę szczuplejsza i Skan domyślił się, że mag niewiele ostatnio spał i jadł. Rozumiał, że pragnie wyrwać się z Wieży choć na trochę. A jednak...

— Mam nadzieję, że ktośś będzie wiedział, gdzie jesteśś.

— Kelethen. Chciałbym, aby było już po wszystkim, albo jeszcze lepiej, żeby to nigdy się nie zaczęło.

Skandranon wytarł swój dziób o pierze i utkwiał wzrok w Urtho.

— Urtho, to sssię zaczęło i trwa. Lecimy razem z tym samym wiatrem. To nie ty ssspowodowałeśś, że wiatr zmienił się w orkan.

— Chciałbym móc powiedzieć, że ja niczego nie wywołałem, ale już sam fakt naszego istnienia wystarczył, aby spowodować tę napaść Ma'ara. Zastanawiałem się nad nim. Nawet jako młody chłopak pragnął władzy nad ludźmi, bardziej niż czegokolwiek, i upajał się nią. — Urtho pokręcił głową, jakby nie mógł zrozumieć kogoś o tego rodzaju umysłowości. — Nic, co posiadał, mu nie wystarczało. Jest w nim głód, którego nic nie potrafi zaspokoić. Na świecie może być tylko jeden pan i tym panem musi być Ma'ar.

— To szaleństwo — odparł Skan.

— Niezupełnie — powiedział Urtho ku zdziwieniu gryfa. — To nie jest szaleństwo takie, o jakim myślimy. On nie znosi niczego, co nim nie jest, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

— Nie — odparł krótko Skan. Nie był w ogóle w stanie wyobrazić sobie kogoś z tego rodzaju umysłem, a to, co wiedział o Ma'arze i jego stworzeniach, przekonało go o tym, że Mag Czarnego Ognia jest samym złem i szaleństwem.

— Gdybym mógł, pomógłbym mu — odparł łagodnie Urtho.

— Co?! — zaskrzeczał Skan i nastroszył pióra w zdziwieniu. Czuł się prawie tak jak wtedy, gdy uderzył głową o ziemię: odebrało mu oddech i był zbyt otępiaty, by myśleć.

— Pomógłbym mu — upierał się Urtho. — Gdyby przestał myśleć o tym wszystkim, co spowodował, i przyszedł do mnie, pomógłbym mu. Jednakże on tego nie zrobi. Nie może. Nie mógłby tego zrobić i być nadal Ma'arem. — Pokręcił głową. — Jego obsesje są podobne do moich, Skandranonie. Rozumiem go o wiele lepiej, niż on rozumie mnie. On myśli, że jestem zbyt miękki i że poddam się, ponieważ tak wielu zginęło i tak wielu jeszcze zginie. On myśli, że ja nie uświadamiam sobie, że zabijanie nie skończy się tylko dlatego, że się poddamy. Nie sądzę, aby miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co zrobimy, aby go powstrzymać. — W głosie Urtho wyraźnie brzmiała nieubłagana determinacja.

Skan odprężył się. Przez chwilę pomyślał, że poniesiona; w przełęczu klęska mogła zachwiać magiem.

— To wśśściekły piesss — odparł szorstko Skan. — Wśśściektemu psssu sssię nie pomaga, tylko sssię go zabija.

— Ostre słowa, moje dziecko. — Urtho lekko zmarszczył i brwi, chociaż powinien w pełni zdawać sobie sprawę z gwałtownej i drapieżnej natury gryfa.

Skan pomyślał o torturowanych gryfach w Przełęczu Stelvi i wysyczał:

— Nie dośść ossstre. Nie powiedziałem ci jeszcze, co zrobili z dywizjonem Ssstelvi: wszysstko, o czym kiedykolwiek sssłyszafesśś. Wszysstkim. Także piessskłtom. Possstąpili nawet gorzej niż z moją essskadą.

Urtho pobladł i Skan nagle pożałował tego, co powiedział. Mag nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, więc uważał za nie wszystkie swoje inteligentne stworzenia, a w szczególności gryfy.

Na chwilę zapadła między nimi cisza i Skan przeklął w duchu! swój zwyczaj mówienia, a potem myślenia nad swymi słowami. *Głupi ptaku, zanim cokolwiek powiesz, powinieneś najpierw pomyśleć, chociaż przez chwilę. Byłby to wielki postęp.*

Gdy tak milczeli, usłyszeli dochodzące z obozu odgłosy. Ludzie krzyczeli do siebie, a gdzieś blisko metal stukał o metal. Skan zaczął znowu jeść, bo głód zwyciężył dobre maniery. Jednocześnie myślał, jak przeprosić Urtho.

— Urtho, przepraszam — powiedział w końcu. — Jessstem tylko głodnym, obolałym, nerwowym, głupim ptakiem. Traktuj mnie tak, jakbym sssię pierzył.

— Masz rację, Skan — odparł Urtho. — Masz rację. Biorąc pod uwagę to, co przed chwilą powiedziałem, czasami nie myślę o tym, do czego jest zdolny Ma'ar. Chcąc myśleć jak Ma'ar, muszę ruszyć swoją wyobraźnią i nagiąć siłę woli — a to nie jest przyjemne.

Skandranon nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Połknął tylko kolejny kęs mięsa.

— No cóż, dzięki tobie ta nowa broń już nam nie zagraża — ciągnął mag, zmieniając temat. — Przyszedłem tu właściwie po to, mój przyjacielu, aby się dowiedzieć, jaką chcesz nagrodę. Zaslugujesz na nią. Może masz ochotę na potomstwo? Z pewnością jesteś obdarzony dużym potencjałem i każda samica w dywizjonie będzie szczęśliwa, wyświadczając ci tę przysługę. Chciałbym widzieć, jak linia Rashkae'ów się rozwija.

Nie oferta zdziwiła Skana, ale to, że Urtho nazwał go swoim przyjacielem, chociaż takie proste słowa nie powinny być żadną rewelacją. Urtho spędził wiele godzin, rozmawiając z nim, nie jak dowódca z podwładnym ani pan ze służącym, ani nawet jak twórca ze swym stworzeniem — ale jak równy z równym. Jedyne Skandranon wśród gryfów miał przywilej odwiedzać Wieżę i przeszkadzać magowi o każdej porze dnia czy nocy.

— Pomyśślę o tym — odparł Skan. — W tej chwili powinienem sssię cieszyć, że zosstałem uzdrowiony i będę mógł znowu latać.

Urtho skinął głową.

— Jak chcesz. Jestem pewien, że coś wymyślisz. Proszę tylko, żebyś miał wzgląd na moje ograniczone zasoby! Nie mogę transportować biblioteki, wszędzie gdzie lecisz!

Skan uśmiechnął się, o ile można powiedzieć, że gryfy się uśmiechają. Urtho nie zapomniał o jego miłości do książek.

— Na pewno cośśś wymyśślę!

Urtho nie miał zamiaru odejść, toteż Skan po prostu kontynuował posiłek, a zwierzchnik sił zbrojnych opowiadał obozowe plotki. I właśnie na tym zastał ich komendant Loren.

I chociaż w namiocie nie było drzwi, aby zapukać, ostentacyjne kasznięcie na zewnątrz powiedziało Skanowi, że mają gościa, którego głosu nie rozpoznawał. Gryf instynktownie napiął się, ze wszystkich sił próbując zmusić swe ciało do gotowości, aby chronić Urtho, chociaż przychodziło mu to z trudem.

Urtho jednak poznał ten głos; była to jego wyjątkowa cecha, którą Skan mógł tylko podziwiać. Mag znał każdego komendanta swej wielkiej armii na tyle dobrze, by poznać go po głosie. Pamięć Urtho była niezwykła i niezawodna. Wpadał w przygnębienie, gdy zdarzyło mu się zapomnieć o czymś nieważnym.

— Możesz wejść, Loren — odezwał się natychmiast — skoro jest to coś na tyle ważnego, że wyśledziłeś mnie nawet tutaj.

Kiedy komendant Loren odsłonił klapę namiotu, Skandranon rozpoznał jego kwadratową twarz i zwałistą figurę, chociaż nie mógł przypisać mu właściwego imienia. Loren nie był ani wybitnie dobry w dowodzeniu gryfami, które zostały mu przydzielone, ani też nie był wybitnie zły. Tylko jedno lub drugie mogło zmusić gryfa, aby go zauważył.

Toteż pierwsze słowa mężczyzny kazały Skanowi unieść ze zdziwieniem głowę znad resztek posiłku.

— Lordzie Urtho, chciałbym, aby nagroził pan pewnego gryfa — powiedział przepraszająco Loren. — Nigdy bym pana nie kłopotał, skoro pan tak wyraźnie starał się zmylić swoich adiutantów, ale nie chciałem, aby ta sprawa poszła w niepamięć.

— Najwyraźniej ten gryf dokonał czegoś niesamowitego... — Urtho przerwał znacząco.

— Absolutnie niesamowitego. — Loren zarumienił się z dumy. — Była na patrolu w sektorze, który uznaliśmy za bezpieczny. Tam odkryła i wyeliminowała trzy makaary.

*Trzy makaary?* — Skan był pod wrażeniem.

— Kto z nią leciał? — spytał. — Chciałbym wiedzieć, kto jej je wysstawił.

Wystawienie trzech makaarów wymagało prawie takich samych umiejętności i jeszcze większej odwagi niż ich zabicie.

— O to właśnie chodzi, Czarny Gryfie — powiedział Loren, a jego twarz rozpromieniła się. — Zrobiła to zupełnie sama. Leciała w pojedynkę, bo miał to być bezpieczny obszar. Ponieważ moje patrole są nieliczne, pomyśleliśmy, że będzie rozsądnie, aby nad obszarami bezpiecznymi latać w pojedynkę zamiast parami. W ten sposób młodsze czy mniejsze gryfy mogły nabierać doświadczenia bez zbytniego narażania się. Ma na imię Zhaneel.

Zabicie trzech makaarów było rzeczą niezwykłą, ale unicestwienie trzech naraz było czymś rzadko spotykanym nawet wśród bardzo doświadczonych frontowców. *Kim jest ta Zhaneel?* — pomyślał Skan, rozwarłszy dziób ze zdziwienia. — */ dlaczego nigdy wcześniej o niej nie słyszałem?*

Zdziwienie Urtho było równie wielkie jak Skana, co można było poznać po jego wytrzeszczonych oczach. To samo w sobie było dość zdumiewające. Gryfy były jego ulubionymi stworzeniami, znał każde obiecujące młode i śledził jego postępy. O tej jednak nawet nie słyszał.

— Przyrowadź ją tutaj — powiedział rozkazująco Skan, zanim Urtho zdążył odzyskać mowę.

Loren spojrział najpierw na Urtho, aby uzyskać jego pozwolenie. Kiedy mag skinął potakująco głową, odchylił kłapę namiotu i wymaszerował w kierunku poczerwieniałego od zachodu słońca obozu.

Wrócił o wiele wcześniej, niż Skan się spodziewał, chociaż i tak nie dość szybko dla niecierpliwiej natury gryfa. Drapieżnik połknął resztę swojego posiłku i wezwał hertasi, aby zanim tamci przyjdą, zabrał resztki i zapalił lampy. Częściowo dlatego, aby całą swoją uwagę poświęcić gościom, a po części — aby sam był dobrze widoczny, chociaż w tej chwili to „dobrze” było trochę przesadzone. Poowijany w bandażę, wsparty na poduszkach i bez uczciwej kąpieli nadal nie prezentował sobą wspaniałego widoku. Jednakże Gesten umył go najlepiej, jak potrafił, gdyż nie wypadało przedstawiać się tej odważnej damie z resztkami tłustego posiłku na brzuchu.

*Po prostu chcesz dobrze wypaść przed tą damą, próżny ptaku. Jak gdybyś chciał mieć pewność, że dołączy ona do twego haremu, gdyby ci przyszła na to ochota. Zachowujesz się jak kolekcjoner figurek pożądaną jeszcze jednej malej statuetki.*

A jednak nie chciał, by sobie pomyślała, że jest jakimś nie umyтым chuliganem. Bogowie tylko wiedzą, co ona o nim słyszała. Żuraw i Gesten nie chcieli powtórzyć połowy historyjek, które o nim krążyły. Ale tylko ich słowa były dowodem, że w ogóle coś słyszeli. . .

Dobrze, że ten namiot był stosunkowo duży: zazwyczaj służył dwóm pacjentom. Kiedy komendant Loren przyprowadził swojego młodego gryfa, zrobiło się tylko odrobinę tłoczno.

— Oto Zhaneel, moi panowie — rzekł urzędowo Loren. — Panie Urtho, Skandranonie, oto młoda Zhaneel, która dzisiaj rozprawiła się sama z trzema makaarami.

Kiedy Urtho wygłaszał swoją okolicznościową mowę pochwalną, Skandranon siedział bardzo cicho i badał wzrokiem Zhaneel. Była niewielka, drobna, z wystającą, ale wąską klatką piersiową. Pędzelki na uszach były gęste i zgrabne, pióra bardzo gładkie. I w ogóle nie miała krawatki. Upierzenie było jasnobrązowe, a końcówki piór złoto nakrapiane, jak u większości gryfów z wyjątkiem nie oznaczonych. Jej lotki były wybielone i pomalowane w kolorach dywizjonu — w tym wypadku na czerwono i złoto. Na głowie i twarzy miała prążki w trochę ciemniejszym brązie i plamki zbiegające od oczu ku policzkom niczym delikatne ślady łez.

Słuchając Lorena i Urtho, trzymała głowę opuszczoną i lekko przechyloną na jedną stronę, jakby była nieśmiała albo zakłopotana — u gryfów był to odpowiednik ludzkiego rumieńca. Czy to tylko nieśmiałość, czy naprawdę czuła się niezbyt dobrze w ich towarzystwie? Większość gryfów, które Skan znał, mogła być przytłoczona obecnością swego pana i twórcy, ale nie zachowywałyby się w ten sposób.

Kiedy w końcu Loren zmusił ją do zabrania głosu, jej ton okazał się niski i łagodny. Mówiła prostymi zdaniami, przedłużając głoski syczące, jednak nie dlatego, że była głupia. Głupi gryf nie byłby zdolny zrobić tego, czego ona dokonała. Słuchając jej, miało się wrażenie, że z powodu swej nieśmiałości nie może znaleźć odpowiednich słów.

— To nie było nic wielkiego — upierała się. — Po prosssst leciałam wysssoko, bardzo wysssoko. Tak jessst bezpieczniej. Makaary nie potrafią latać wysssoko. Zobaczyłam je wszysstkie trzy pode mną.

Skan z łatwością mógł to sobie wyobrazić, szczególnie jeśli rzeczywiście leciała tak wysoko, jak sądził. Bez trudu zobaczył w wyobraźni te spiczaste skrzydła — z pewnością z takimi skrzydłami moment przyspieszenia byłby niesamowity. Ich wąski brzeg był przedłużeniem długich pierwszorzędowych lotek. Jeśli makaary znajdowały się w połowie drogi między ziemią a nią, mogła być dla nich niewidoczna.

— Było zbyt daleko, żeby wracać i zdawać raport — ciągnęła. — Zanim wojownicy by przybyli, ich jużżż mogło nie być. One prawdopodobnie czegośś szukały. Znalazłyby to i zniknęły.

Teraz Skan pokiwał głową.

— Racja — zagrzmiął, a ona wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. — Całkowita racja. Twoim obowiązkiem było próbować je powstrzymać.

— Ale jak je zabiłaś? — zapytał Urtho. Przekrzywiła głowę.

— Byłam wysssoko. Nie mogły mnie widzieć. Zatrzymałam ssię nad nimi, uderzyłam w dowódcę. W ten sssposób. . .

Wyciągnęła jedną przednią łapę zaciśniętą w pięść i uderzyła w powietrze.

— Trafiłam go w głowę. Ssspadł na ziemię i zginął.

Bez wątpienia, z takiej wysokości Zhaneel siłą rozpędu złamała dowódcy kark, a ziemia dokonała reszty.

— Poleciałam za nim na dół. Tamci za mną, ale ja wzbiłam się znowu, zbyt szybko, by mogli mnie dogonić.

Gestykulowała przednimi szponami i Skan dostrzegł coś, na co przedtem nie zwrócił uwagi — powód, dla którego mogła uderzać, nie rozszarpując swej ofiary, tak jak on by to zrobił. Miała bardzo krótkie szpony, a długie i ruchliwe „palce” podobne do ludzkich. Cięcie tylko by rozzłościło makaara, chyba że udałoby jej się przeciąć którąś z głównych arterii na jego szyi.

— Znowu wzniosłam się wyssoko, tamci dwaj za mną, ale nie potrafili wzlecieć tak jak ja. Zawróciłam, zaczęłam nurkować, uderzyłam w pierwszego, który leciał naprzeciwko mnie.

Przysiadła na ogonie i pokazała całe „spotkanie” z makaarami za pomocą obu swych dziwnych przednich łap — jak makaar usiłował się wznieść, jak spadła na niego od przodu, przedłużając swoje nurkowanie do ostatniej chwili, aby uderzyć go w czubek głowy zaciśniętymi „pięściami”.

— Zossstał ogłuszony, zaczął ssspadać i w końcu złamał sssobie kark, gdy uderzył o ziemię. Poleciałam za nim, aby sssię upewnić, że nie żyje, wtedy znowu zmieniłam nurkowanie w lot wznoszący.

Nie patrzyła na żadnego ze znajdujących się w namiocie, utkwiała wzrok w jakimś niewidzialnym punkcie na ziemi.

— Trzeci sssię przesstraszył i próbował uciekać. Znowu wzniosłam sssię najwyżej jak mogłam i zanurkowałam. Był szybki, ale ja byłam jeszcze szybsza. Uderzyłam go i ssspadł — mówiąc to, przekrzywiła głowę — i ssskończyło sssię. To nic szczególnego.

Nic szczególnego — z wyjątkiem tego, że była to taktyka, którą niewiele gryfów, jeżeli w ogóle jakiś, wypróbowało. Wyjątkowo udana taktyka. Większość gryfów, kiedy walczyła z makaarami, pragnąc je zabić, wpijała się w grzbiet ofiary i ściągała ją na dół albo rozszarpywała szponami. Przypominały w walce jastrzębia i orła, a nie sokoła. Zhaneel walczyła niczym bardzo głodny — lub bardzo odważny — sokół. Kiedy ten ptak chwytały gęś albo dużą kaczkę, która była od niego cięższa, strącał ofiarę! na ziemię bez użycia szponów.

— Zhaneel, twoja odwaga prawdopodobnie ocaliła życie wielu naszym ludziom i z pewnością także kilku gryfom — powiedział Urtho, gdy te myśli przebiegały przez głowę Skana. — Jestem pełen podziwu i zadowolony, że komendant Loren postanowił przyprowadzić cię do mnie. Moje drogie dziecko zasłużyłaś sobie na nagrodę.

Mówiąc te słowa, sięgnął do kieszeni i wyciągnął jeden z żetonów, których używał zamiast medali czy odznak. Urtho uważał medale za całkowicie beuży-



teczne; odwagę nagradzał konkretami. Ten żeton miał najwyższą możliwą wartość: był to złoty kwadrat z mieczem po jednej stronie i słońcem z promieniami po drugiej. Wsadził go do małego woreczka, który Zhaneel miała zawieszony na szyi. Było to akcesorium, bez którego gryfy nie mogły się obejść. Za tę szczególną nagrodę gryficy mogła otrzymać w obozie dosłownie wszystko, od pięknego namiotu po ekskluzywne całomiesięczne usługi osobistego hertasi. Mogła też ją zachować i dołożyć do innych. Skan miał na przykład otwarty rachunek u Gestena, którego usługi dzielił z Bursztynowym Żurawiem. Zanim wyruszył na tę ostatnią wyprawę, był mu dłużny kilka miesięcy do przodu i Gesten byłby bardzo bogatym hertasi, gdyby wojna się skończyła.

— Jednakże zdradź mi dziecko jedną rzecz — ciągnął Urtho, utkwivszy w niej wzrok, podczas gdy Loren promieniował zadowoleniem, a młoda gryficy wyjąkała podziękowania — kim są twoi rodzice? I kto oprócz nich cię szkolił?

— Nie mam już rodziców — odparła. — Zmarli, gdy byłam jeszcze pissekłem, nie mam też rodzeństwa.

Rozczarowanie Urtho było widoczne nawet dla Skana; nie będzie jej podobnych, chyba że się z kimś sparzy. Zanim zdążył ją wypytać o to, kto ją trenował, skoro nie byli to jej rodzice, do namiotu wpadł jeden z jego adiutantów z okrzykiem:

— Lordzie Urtho, kontratak w Przełęczy Stelvi...

Więcej nie musiał mówić; Urtho natychmiast się podniósł i ruszył biegiem za chłopakiem, burząc swoją misternie ułożoną z siwych włosów fryzurę, i zniknął w ciemnościach.

Nie po raz pierwszy Urtho opuszczał Skana w ten sposób i prawdopodobnie nie po raz ostatni. Skandranon wiedział, co robić. Próbuąc wyglądać godnie i pewnie mimo ran i bandaży, zapanował nad sytuacją.

— Panie komendancie, dziękuję panu za przyprowadzenie tutaj Zhaneel — powiedział, unosząc głowę, a potem lekko skłaniając ją ku Lorenowi. — Dopełnił pan, a nawet wyszedł poza zakres zwykłych obowiązków i gdyby Urtho nie był zmuszony nas opuścić, z pewnością by to panu powiedział.

Miał nadzieję, że Loren właściwie to zrozumie i tak też się stało.

— Dziękuję, Czarny Gryfie — odparł, a potem ciągnął ze szczerością, która niekoniecznie była powszechna wśród komendantów. — Trochę to trwało, zanim nauczyłem się jak najlepiej wykorzystywać zdolności nieludzi, ale mam nadzieję, że sukces Zhaneel okaże się zwiastunem większej liczby takich zwycięstw. Teraz, jeśli pozwolicie, muszę was opuścić, bo przecież wieści z Przełęczy Stelvi dotyczą nas wszystkich. Odwrócił się do Zhaneel.

— Szeregowy Zhaneel, przez następne dwa dni jesteście na oficjalnym urlopie. Zawiadomię waszego dowódcę i mam nadzieję, że dobrze wykorzystacie swój zasłużony odpoczynek.

Loren odwrócił się i odsunął klapę namiotu, podążając za Urtho w ciemną

noc, chociaż zrobił to bardziej godnym krokiem niż jego zwierzchnik.

Skan miał nadzieję, że wyjście ludzi odpręży trochę Zhaneel, ale nadal była wyraźnie przerażona. Trochę go deprymowała: nigdy przedtem nikt się go nie bał, oczywiście ze sprzymierzeńców Urtho, a już z pewnością nikt z jego gatunku, szczególnie zaś atrakcyjna, młoda dama. Spodziewał się raczej, że będzie zalotna, a nie przerażona.

Otrząsał pióra i lekko opuścił powieki, mając nadzieję, że jego swobodna postawa pozwoli jej się odprężyć. Niestety, teoria minęła się z praktyką.

— Ssskoro Urtho mussiał sssię oddalić, ja zadam resztę pytań, które on chciał ci posstawić — powiedział Skan wolno i przymilnie. — Wierz mi, nie mamy zamiaru cię niepokoić, ale musssimy sssię tego dowiedzieć, aby udossskonalić szkolenie następnego miotu pissskląt.

Pokiwała sztywno głową, ale nie odprężyła się.

— Nie był to żaden wielki wyczyn — upierała się. — Nie zbliżyłam sssię i nie walczyłam należycie. Nikt nie będzie miał z tego właśściwej nauki.

Skan słyszał już wiele różnych „skromnych” protestów, sam kilka razy podobnie się zachował, ale ten nie wyglądał na udawany, nie miał ukryć czegoś całkiem innego. Przeciwnie, Zhaneel wyraźnie wierzyła w to, co mówiła. Była święcie przekonana, że zrobiła coś, o czym nie warto wspominać.

— Nie wszysstkie gryfy sssą wysstarczająco duże i sssilne, aby zmierzyć sssię z makaarem — przypomniał jej łagodnie. — A próbowanie tego nie byłoby nawet rozsssądne, szczególnie wtedy, gdy wróg ma liczebną przewagę. Kto nauczył cię uderzać jak sokół?

— Nikt — wyjąkała. — Posstąpiłam tak, ponieważ nie mogłam walczyć jak prawdziwy gryf, gdyż jessstem za mała i za sssłaba.

Mała, być może, ale z pewnością nie była słaba, a Skan wołał, by gryf używał częściej mózgu niż mięśni. Zbyt często widywał dobrze zbudowane okazy zwierające się z makaarami. Były przekonane, że są niezwyciężone, a potem musiały szybko uciekać. Kimkolwiek był jej nauczyciel, Skan był prawie gotów postawić go do raportu. Ta mała samica przeszła szkolenie, które powinno wyposażyć ją w zaufanie we własne siły, a zamiast tego wyszła z brzemieniem zwątpienia. Byłaby bezużyteczna, gdyby nie jej odwaga, determinacja i poczucie odpowiedzialności. Było też jasne, że ten brak pewności siebie wiązał się z tym, co myślała o swoim wyglądzie. Zachowywała się tak, jakby była pewna, że nie ma w niej niczego atrakcyjnego — jak gdyby uważała się za straszego potwora.

Przypomniał sobie, że jakiś rok czy dwa lata temu pisklaki na ćwiczeniach znęcały się nad jednym mniejszym od siebie. Czyżby to była...?

Tak, teraz przypomniał to sobie dokładnie, podczas gdy Zhaneel nie przedstawiała twierdzić, że jej postępowanie nie było warte nagrody. Trzy albo cztery gryfiątka, wszystkie z jednego wylęgu, otoczyły pisklę mniejsze od siebie, przezywały je i obrażały. Tym obiektem prześladowań mogła być Zhaneel. Skan pa-

miętał tylko, że przerwał całe to zajście. Ich nauczyciel w ogóle się nie pojawił, żeby zainterweniować. Pisklak był mały, niezdarny i niedojrzały. Biorąc pod uwagę fakt, że teraz usiłowała wtopić się w płótno namiotu, nie byłoby dziwne — jeśli wtedy to była ona! — że jej nie pamiętał.

Było to jednak jakiś czas temu, jedynym powodem, dla którego zapamiętał to zajście, było zdziwienie, że właściwa osoba nie wkroczyła wtedy, by rozwiązać problem, a hałas działał mu na nerwy. Między młodymi rozwijało się pewne współzawodnictwo, gryfy ciągle nie były doskonałą rasą, i te, które nie wykazały się niczym szczególnym podczas szkolenia, Urtho przeznaczał do mniej odpowiedzialnych zadań; pracowały one w charakterze posłańców i pomocników obozowych. Im też nie pozwalano się rozmnażać.

Jeśli jednak tamto młode to Zhaneel, przeszła pozytywnie szkolenie i „wykazała się”, gdyż należała do dywizjonu i była uprawniona do takiej samej opieki i troski jak sam Skandranon. Nie powinna ciągle odczuwać kompleksu niższości. W jej dywizjonie powinien być zatrudniony trondi’irn, którego praca polegała na leczeniu lżejszych ran i zajmowaniu się wszystkimi gryfami, jakie mu przydzielono. Dlaczego zatem trondi’irn nie zauważył dotąd problemu, z którym borykała się samotnie Zhaneel?

No cóż, jest ktoś, kto z pewnością rozpozna jej duchowy stan i coś z nim zrobi, a potem dopilnuje, aby trondi’irn miał na nią oko.

— Jeśśli nie masz żadnych planów co do ssswojej nagrody, możesz ją zrealizować u Bursztynowego Żurawia — zaproponował ostrożnie. — On jessst tu najlepszy.

*Żuraw w krótkim czasie zmieni jej mniemanie o sobie i kiedy on i Gesten będą ją masować, pielęgnować i adorować, stanie się tak elegancka, że będzie miała połowę dywizjonu u swych stóp. To z pewnością sprawi, że lepiej się poczuje.* Była to jedna z wielu rzeczy, które potrafił prawdziwie utalentowany kestra’chern i jego pomocnik — poświęcić wiele godzin na przemianę zwykłego stworzenia w najbardziej oszałamiający okaz swego gatunku. Większość gryfów szła do kestra’chern przed swoim godowym lotem, chociaż naprawdę niewiele z nich mogło sobie pozwolić na usługi kogoś takiego jak Bursztynowy Żuraw.

— Oczywiście to tylko propozycja — dodał. — Być może masz już cośś innego namyśśli.

— Nie — odparła. Wydawała się trochę oszołomiona, chociaż trudno było powiedzieć, czy samą propozycją, czy tym, że to Skan ją złożył. — Jeśśli uważasz, że to dobry pomysś. . . Nigdy przedtem nie miałam takiego żetonu. . .

— No cóż, wygląda na to, że jessst to pierwszy żeton z wielu, które po nim nassstąpią. Możesz go ssspożytkować na cośś innego, co sssprawi ci przyjemność — powiedział Skan — ale obiecuje ci, że nie będziesz żałowała, że poszłaś do Żurawia.

Wzięta te słowa za odprawę, wyjąkała podziękowania i wycofała się z namio-

tu, zanim Skan zdążył ją zatrzymać. W pierwszej chwili chciał ją zawrócić, ale było już ciemno i prawdopodobnie miała jeszcze jakieś sprawy do załatwienia.

Zdziwiło go zainteresowanie, jakie okazał jej Urtho: potraktował ją inaczej niż zwycięskiego wojownika. Jak gdyby coś w samej gryficy oraz w sposobie jej walki przypomniało Urtho o czymś, o czym zapomniał z powodu pilniejszych trosk.

Teraz jednak, skoro goście wyszli i ciemność zapadła nad obozem, nawet światło lampy nie mogło zmusić Skana do czuwania. Ból był już do zniesienia. Mógł się położyć we względnie wygodnej pozycji i miał pełny brzuch. Urtho dostał swoją tajemniczą broń, a on sam nie miał nic do roboty, zanim całkiem nie wyzdrowieje. Zdaje się, że zalecano mu sen, i nie było takich naglących zagadek, które by nie mogły poczekać z rozwiązaniem do rana.

Pokręcił się trochę na poduszkach, aż znalazł najwygodniejszą pozycję. Położył głowę na przednich łapach, ziewnął — i to była ostatnia rzecz, którą zrobił, zanim uzdrowiciele obudzili go następnego dnia o świcie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gesten zmienił grafik Bursztynowego Żurawia, aby w ciągu następnych kilku dni włączyć Skana jako stałego „pacjenta”. Bursztynowy Żuraw odkrył zmianę, kiedy następnego ranka sprawdzał listę. Nie miał zamiaru tego komentować, bo wiedział, że odpowiedź Gestena będzie ironiczna. Drogi Gesten, którego najmował już od tak dawna, uważał, że wszyscy wierzą w jego wypieszczony obraz jako istoty bez serca, i ciągle kłuł złośliwymi komentarzami i dwuznacznikami. Choć do małego hertasi zupełnie nie pasowała poza apodyktycznego wilkołaka, Bursztynowy Żuraw nie miał zamiaru mu tego mówić ani nawet delikatnie dawać do zrozumienia. Zbyt często gburowatość, którą ktoś okazywał światu, w istocie była obroną mającą chronić tych, których kochano. Tak właśnie było z Gestenem. Tak również było ze Skandranonem. I kiedy Bursztynowy Żuraw nie pogrążał się w rozczulaniu nad sobą, był świadom tej prawdy.

Na rozkładzie dnia Skan był pierwszy i wyznaczono mu hojnie dużo czasu. Bursztynowy Żuraw mógł pójść do niego, aby go uzdrawiać, a potem jeszcze cieszyć się po prostu jego towarzystwem, nim wróci do pracy w namiocie.

Interesujące, rozkład dnia zaczynał się od gryfa i na gryfie się kończył. Pierwszym pacjentem był Skan, a ostatnim gryf o imieniu Zhaneel. Samica — zgodnie z tym, co wyczytał — z kwadratowym złotym żetonem. Musi się upewnić, czy Gesten przygotował wybielacze i farby. Być może ona zażąda malowania końcówek piór oprócz innego rodzaju dopieszczania i strojenia. Inne talenty Bursztynowego Żurawia często przysłaniały właśnie ten i niewielu wiedziało, że ukończył specjalizację w zakresie malowania piór, i nadal lubił to robić. Skan oczywiście nigdy by; mu nie pozwolił ćwiczyć na swoich skrzydłach, bez względu na to, jak przekonywająco Bursztynowy Żuraw zapewniałby, że wykona tylko subtelny wzorek, delikatny i elegancki. Nie, Czarny Gryf był Czarnym Gryfem i takim chciał pozostać. Skan nieodmiennie wyjaśniał, że jedynym barwnikiem odpowiednim dla jego piór jest całkowita czerń, którą sam wybrał.

Jednakże samice gryfów, którym natura i Urtho nadali płowe ubarwienie, często lubiły farbować pióra. W czasie pokoju nosiły je malowane w barwne wzorki, tak jaskrawe jak tkaniny Kaled’a’in czy jasne pióra ptakówposłańców — teraz jednak musiały się zadowolić czymś, co nie wystawiało ich zbyt na cel. *Jeśli*

*ma ubarwienie jastrzębia, być może zdołam ją namówić na coś w błękicie i szarości — dumał. — W ten sposób będzie w locie mniej widoczna na niebie, ale na ziemi będzie miała pióra w prążki i wstęgi.*

Byłoby to całkiem miłe zwieńczenie dnia.

Umył się i ogolił, związał włosy z tyłu, nałożył czystą, lnianą tunikę i bryczesy, po czym skierował się na śniadanie do namiotu, pełniącego funkcję mesy. Mógł jadać u siebie i często tak robił, gdy miał mało czasu lub był zmęczony, ale wolał choć jeden posiłek jadać razem z innymi kestra'chern. Doświadczenie i obserwacja nauczyły go, że gdyby najlepsi kestra'chern postępowali podobnie, byłoby mniej zjadliwości i zazdrości, które prowadziły do zadrażeń i wynikającego z nich sabotażu. Zawsze dbał o to, by na służbie być schludnie ubranym, dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem, a jeśli był zmuszony odwołać spotkania, starał się dopilnować, aby jego klienci zostali przydzieleni innym. Dzięki temu reszta kestra'chern uważała go za nieoficjalnego przywódcę i swego rzeczniaka. Miał w związku z tym mieszane uczucia, lepiej jednak, że to on, a nie ktoś inny pełnił tę rolę. Był jedynym Kaled'a'in wśród kestra'chern; inni z tego plemienia woleli pracować jako uzdrowiciele i służyć swymi umiejętnościami własnemu ludowi. Żaden kestra'chern w obozie nie miał tyle doświadczenia co Bursztynowy Żuraw. Kiedy wraz z klanem Kaled'a'in przeniósł się do Wieży Urtho i powstało pytanie, jaką podejmie pracę, nie wahał się ani chwili. W najlepszym razie mógłby być przeciętnym uzdrowicielem, a operowanie pod przymusem zawsze przypominało mu pracę bez połowy palców. Najlepiej robić to, w czym się jest naprawdę dobrym.

Podczas śniadania było zdumiewająco cicho, inaczej niż zwykle. Towarzysze Bursztynowego Żurawia byli zmęczeni i przybici, tak jak i reszta wojska. W końcu kestra'chern nie byli w żaden sposób uodpornieni na to, co się stało w Przełęczy Stelvi. Nawet jeśli żaden z nich nie miał tam przyjaciół czy znajomych, to i tak wojownicy z pewnością przyniosą swoje problemy do tych, których zawodem było niesienie wsparcia i dostarczanie przyjemności.

Nikt nie był w nastroju do rozmowy na tematy osobiste, nikt nie patrzył na Bursztynowego Żurawia zdesperowanym wzrokiem kogoś, kto przyjął więcej bólu niż mógł znieść; nikt też nie prosił go o radę w swych własnych sercowych problemach. Z początku jadł śniadanie w milczeniu, podtrzymując błahą rozmowę. Zamierzał szybko wyjść, pozdrowiwszy wszystkich.

Jeden z młodszych kestra'chern zapytał o Coraniego i napotkał krótkie, ostre spojrzenie Bursztynowego Żurawia. To było impulsem dla kilku innych kestra'chern siedzących przy stole, aby rozpocząć rozmowę na temat wieści z Przełęczy Stelvi, Laisfaar i Wieży. Każdy dodawał nowe strzępki informacji. Najprawdopodobniej pochodziły one od ich klientów, a nie były obozowymi plotkami. Niektórzy z kestra'chern uważali, że dopóki nie zdradzają tożsamości swoich klientów, nie wyjawiają też zawodowej tajemnicy. Mając zaufanie do siebie wza-

jemnie, lubili zajmować się składaniem układanki. Uprawiali to przez cały czas. Bursztynowy Żuraw wiedział o tym i chociaż dawało to kestra'chern ukrytą siłę, nie pochwalał do końca tego beztroskiego dzielenia się wiedzą. Jednak wojna miała własne prawa, a oni walczyli właśnie z wojną, a nie z armią przeciwnika, więc być może to „przekroczenie” protokołu kestra'chern mogło dostarczyć wielu wartościowych rozwiązań. Tak uspokajał sumienie.

Bez względu na wewnętrzne opory Bursztynowego Żurawia wobec tej rozmowy, gorączka dyskusji narastała i co jakiś czas sam Żuraw wtrącał stwierdzenia w rodzaju: „Mogło tak być” albo „Z tego, co wiem, chyba nie”, które pomagały pewnym fragmentom układanki wskoczyć na właściwe miejsce. Kiedy poczuł, że już czas na niego, skierował dyskusję z powrotem na troskę o klienta i różne techniki uzdrawiania, a potem wyślizgnął się niezauważenie.

Kiedy dotarł do namiotu Czarnego Gryfa, Skan już nie spał. Tego ranka był wyraźnie w lepszym nastroju. Skan otaksował go spojrzeniem od góry do dołu i cmoknął z udawanym zdziwieniem.

— Oho, kestra'chern w normalnym stroju! Gdzie się podziały twoje pawie piórka, dumny ptaku?

— Hm, to ubranie odpowiednie do pracy.

— Czyżbyś przez pomyłkę przyszedł tutaj zamiast do stajni? — odparł gładko Skandranon. Tak, zdecydowanie czuł się lepiej. Wczoraj by tylko pomrukiwał.

— Czy ktoś oglądał twoje skrzydła? — spytał Bursztynowy! Żuraw.

— Nie, po tobie nikt ich nie oglądał — odparł Skan. Jego wymowa także znacznie się polepszyła: prawie niezauważalnie przeciągał głoski syczące. — Wszyscy, którzy tu byli, mówili, że lepiej zostawić to ekspertowi.

— Mieli prawdopodobnie rację, ale z braku eksperta ja muszę się tym zająć — powiedział Bursztynowy Żuraw w roztargnieniu. Przesunął dłonią nad zranioną i zabandażowaną powierzchnią prawego skrzydła. Zanurzył swoją świadomość we wnętrze uszkodzonego narządu, w mięśnie, ścięgna i kości. - A jednak lepiej z tobą. Wytrzymaj chwilę, muszę dokładniej to zbadać.

Przestawił się na prawdziwe uzdrawianie, jednak robił to ostrożnie, ponieważ gdyby za bardzo zagłębił się w kości, nie zrosłyby się właściwie i pozostały słabe, niczym kości staruszka. Przesłał energię do poszarpanych mięśni, uszkodzonych tętnic i żył, a dopiero potem delikatnie do kości.

W końcu wycofał swoją świadomość i powrócił do siebie, potrząsając lekko głową, aby usunąć z niej współodczuwany ból.

— Zostawię na razie te bandaże — ciągnął. — Potrzeba jeszcze kilku dni pracy, aby wyleczyć twoje skrzydła, i kilku tygodni, aby je wzmocnić na tyle, żebyś mógł ich użyć. W bandażach są mniej narażone na deformację. Mam nadzieję, że zachowałeś pióra z ostatniego pierzenia, będziemy musieli dodać ci ich trochę, by wzmocnić twoje połamane lotki. Nie potrafimy sprawić, aby wyrosły ci nowe pióra.

— Ty tu jesteś uzdrowicielem — odparł filozoficznie Skan, po czym spojrzał nieśmiało kątem oka na Bursztynowego Żurawia. — Muszę cię przeprosić, Żuraw. To znaczy jeszcze raz. Moje wczorajsze przeprosiny nie były do końca szczere. — Nabrał powietrza i wypuścił je wolno. — Źle cię potraktowałem, a nie powinienem, bo nie miałem racji. Mogę się jedynie tłumaczyć bólem. Gdy cierpię, nie jestem najmiłszy.

— Najmiłszy? Skan, mógłbyś dawać lekcje gburowatości makaarom — parsknął kestra'chern. Po chwili jednak się uśmiechnął i podrapał Skana za uchem, tłumiąc jego oburzenie. — Wszystko w porządku. Ja również nie jestem dobrym pacjentem, wiesz o tym. Całe szczęście, że nie jestem ranny ani nie choruję zbyt często, w przeciwnym razie chyba bym stracił Gestena.

— Gestena? Nie, on lubi cierpieć. Co więcej, uwielbia publicznie okazywać swe cierpienie — odparł złośliwie Skan, a potem dodał poważnie: — Co się tutaj dzieje? Nikt nie chce mi niczego powiedzieć. Boją się, że nie będę chciał wyzdrowieć, czy co?

— Siły Ma' ara odparły nasz kontratak — odparł Bursztynowy Żuraw, wiedząc, że jeśli on mu nie powie i tak zrobi to ktoś inny. — Straciliśmy Przełęcz Stelvi raz na zawsze, chyba że Urtho znajdzie jakiś sposób, aby wyprzeć nieprzyjaciela.

Skan pokręcił swą ogromną głową i westchnął.

— Nie bardzo wiem jak. Stelvi zostało dobrze zbudowane, jest niedostępne, ma zbiorniki wody w każdej części fortecy Dlatego właśnie nikt tutaj nie brał poważnie możliwości ataku. — Utkwił wzrok w płótnie namiotu, jak gdyby chciał poza nim dojrzeć przełęcz. — Zatem ma to być kolejny odwrót. Jeśli tak dalej pójdzie, przyjdzie nam opuścić Wieżę.

Bursztynowy Żuraw przytaknął:

— Obawiam się, że tak.

— Niech ich licho! — Skan tak się wpatrzył w ścianki namiotu, aż Bursztynowy Żuraw zaczął się obawiać, że wypali w niej dziurę. Potem pokręcił głową i w końcu zwrócił się do przyjaciela. Jego wzrok był jasny, chociaż zmarszczki zdradzały; głęboki i narastający gniew czający się gdzieś na dnie oczu. Czy Ma'ar szykuje dla nas jakieś nowe niespodzianki?

Teraz z kolei Bursztynowy Żuraw pokręcił głową, chociaż zrobił to z ulgą.

— Jak te magiczne pociski, którymi nas zasypał w zeszłym miesiącu? O niczym takim nie wiem, a słyszałem większość plotek po trzy razy.

— To dobrze.

Skan był napięty, a teraz trochę się rozluźnił. Bursztynowy Żuraw postawiłby całą miesięczną pensję, aby dowiedzieć się, co skłoniło go do zadania tego pytania. Bardzo dobrze wiedział, że Skan nigdy by mu tego nie zdradził. Mógł tylko przypuszczać, że w armii Ma'ara użyto nowej broni — i że Skan ją w jakiś sposób zneutralizował. Jednakże były to jedynie domysły, gdyż gryf nigdy nie wyjawia mu



prawdy.

— A więc, niegodziwco, czym się zajmowałeś, kiedy ja nurzałem się do woli w tym gnieździe pełnym poduszek? — zapytał Skan, szybko zmieniając temat, zanim Bursztynowy Żuraw zdąży go o cokolwiek zapytać.

— Masz jakichś nowych interesujących klientów?

— Miałem jednego wczoraj, ale mam nadzieję, że on nigdy do mnie nie wróci — odparł Bursztynowy Żuraw. — Najbardziej nieprzyjemny gość, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a w dodatku najemny mag.

Zrelacjonował Skanowi wszystko, co wiedział o Connonie Levasie, nie wyjawiając jednak jego nazwiska ani czegokolwiek, co mogłoby go zidentyfikować — ukrył nawet fakt, że jego kochanką mogła być kobieta Kaled'a'in. Rzadko wyjawiał poufne dane klienta, nawet przełożonemu, Artisowi Camlodonowi, głównemu uzdrowicielowi, albo samemu Urtho, jeśli znalazł się w jego szacownej obecności. Niewielu ludzi onieśmiało Bursztynowego Żurawia — zbyt wielu wielkich i silnych widział obnażonych, fizycznie i duchowo, ale Urtho zawsze go fascynował i wzbudzał w nim podziw. Błyskotliwy intelekt, aura kontrolowanej i absolutnej władzy, i przytłaczająca kompetencja człowieka, do tego pewnego rodzaju charyzmat, kazały Bursztynowemu Żurawowi padać na kolana. To, jak wyglądał, nie miało znaczenia; niezmiennie widział Maga Ciszy oczami kestra'chern — kogoś, kto zawsze dostrzega wszystko, co znajduje się pod powierzchnią.

A jednak przyłapał się na tym, że mówi Skanowi więcej, niż powiedziałby komuś innemu, a gryf słuchał tego z zainteresowaniem. To wspaniałe mieć przyjaciela, z którym można w ten sposób porozmawiać. Obaj cieszyli się z tego, pomimo że nie dawali tego po sobie poznać.

— Żał mi tej jego kochanki — powiedział w końcu Skan. — Właściwie bardzo żał. Wydaje mi się, że ma dla niego większe znaczenie jako własność niż osoba.

— Do podobnego wniosku i ja doszedłem — przyznał Bursztynowy Żuraw. — Co gorsza, miałem się uporać z problemami mojego klienta, a w końcu stwierdziłem, że pragnę odbyć długą rozmowę z jego kochanką. Było to mało profesjonalne z mojej strony, ale on nie chciał mi pozwolić sobie pomóc.

— Tym większy z niego głupiec — rzekł Skan pogardliwie. — Żeby zapłacić tyle pieniędzy i nie chcieć za nie nic nabyć!

Skan potrafił ująć wszystko w bardzo prosty sposób. Bursztynowy Żuraw musiał się uśmiechnąć.

— Dzięki ci, Skanie Rashkae, zrobisz jeszcze ze mnie perchi. Czyż nie powinienem zostać na przykład piekarzem i oszczędzić sobie kłopotu?

— Znalazłbyś inny sposób, aby wziąć na siebie brzemię armii jako piekarz. Każdy najmniejszy kawałek chleba byłby wypieczony z żołnierskiego żywota i ducha — parsknął Skan.

Bursztynowy Żuraw roześmiał się — było to w końcu dobre porównanie.

— Sądzę, że w porównaniu ze sprawami armii emocjonalne problemy jednego maga nie są najważniejszą z rzeczy, którymi muszę się przejmować.

Skan zachichotał.

— Oto rozsądne stwierdzenie. Rozsądniejsze niż zamartwianie się. Byłeś u mnie dłużej, niż powinien; twoi klienci będą nieszczęśliwi, jeśli się o tym dowiedzą.

— Zatem się nie dowiedzą. — Bursztynowy Żuraw podniósł się do wyjścia. — Będzie to bardzo interesujący dzień, rozpoczęty od gryfa i na gryfie zakończony. Pierwszy raz coś podobnego mi się przytrafia.

— Myślałem, że jestem jedynym gryfem wśród twoich klientów — zakpił Skan. — Mogę być zazdrosny!

— Nie martw się, stary ptaku — odparł Bursztynowy Żuraw. — To pojedyncza wizyta, nagroda. Nie wiem, dlaczego ten gryfa wybrał akurat mnie. Takie same usługi może przecież otrzymać od ucznia za o wiele mniejszą opłatą. Będzie to jednak miła odmiana po zniszczonych emocjonalnie wojownikach i zasłużenie odrzuconych magach.

Skan parsknął aprobująco na przytyk pod adresem Conna Levasa. Od dawna utrzymywał, że Bursztynowy Żuraw był zbyt i łaskawy.

— A jednak mogę być zazdrosny.

Kestra'chern wygładził swoją nieskazitelną tunikę w żartobliwym geście.

— To młoda samica, i jeśli będziesz bardzo grzeczny, mogę cię jej przedstawić, gdy już z Gestenem ją upiększymy. Co prawda nie jesteś w odpowiedniej kondycji, abyś mógł ją uwieść, ale być może zdołasz ją przekonać, aby poczekała, aż wyzdrowiejesz!

Skan zrobił dziwną minę, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Dusił się rozbawiony, a Bursztynowy Żuraw nie miał pojęcia dlaczego. Młoda gryfica, jak wnosił z danych, nie służyła w dywizjonie, w którym Skan by kiedykolwiek latał, a poza tym była kilka dobrych lat od niego młodsza. Bez względu na to, jaka za tym kryła się tajemnica, Skan zatrzymał ją dla siebie. Bursztynowy Żuraw czekał, aż Skan się z czymś zdradzi, ale ten powiedział tylko:

— Bardzo bym chciał poznać tę młodą damę, kiedy już wyjdzie od ciebie.

— Zobaczę, co się da zrobić — odparł Bursztynowy Żuraw. A ponieważ Skan nie miał zamiaru mówić nic więcej, kiwnął mu w końcu na pożegnanie i wrócił do swojej pracy, zgodnie z rozkładem.

*Wygląda na to, że już gdzieś ją widział. . . Próżny ptak, prawdopodobnie już planuje z nią gorącą kolację. . .*

Bursztynowy Żuraw siedział i ocierał szmatką oliwę z rąk, kiedy Gesten przypomniał mu o jego ostatniej klientce. Był to dzień naznaczony cierpieniem i bólem, począwszy od emocjonalnego szoku młodego uzdrowiciela, który widział

zbyt wielu umierających, po ból strzelca konnego, kobiety, pod którą zastrzelono trzy zwierzęta, gdy brała udział w odbiciu Przełęczu Stelvi. Miała tyle zwichnięć i nadwerżonych kręgow z powodu upadków, że o mało co Bursztynowy Żuraw nie wysłał jej do uzdrowicieli, bez względu na to, czy sobie tego życzyła czy nie. Przysięgła mu jednak, że woli, by raczej „najlepszy kestra’chern na świecie” poskładał jej kręgosłup do kupy niż jakikolwiek uzdrowiciel, i wydawała się poruszona faktem przebywania z nim, jakby rozmawiała z jakimś sławnym tancerzem czy śpiewakiem. Przysięgała, że zniesie każdy ból, który będzie musiał jej zadać.

Powód? Jeden, ale ważny: uważała, że uzdrowiciele są przeciążeni i to, że będą zmuszeni zablokować jej ból, jeszcze bardziej ich obciążą. Tak, wiedziała, że wyleczą ją za darmo, a jego usługi kosztują niemało. Jednakże nie obchodziło ją to.

— Mam już cały pliczek tych żetonów. Oszczędzam je na lepsze czasy, kiedy skończy się ta wojna — powiedziała twardo. — Adiutanci Urtho dali mi nowego konia, w dodatku z hodowli Kaled’a’in. Mam już nowy namiot. Nie zbieram żadnych cacek. Sama wyglądam jak koń, więc fantazyjne ubranie wyglądałoby na mnie jak zbroja na mule. Zatem na co jeszcze mam wydawać te kwitki? Poza tym będzie mnie dotykał atrakcyjny mężczyzna, a więc mogę skorzystać.

Kiedy nastawiał jej kręgi, ona dyszała z bólu, aż w końcu jej dyszenie zmieniło się w oznaki ulgi. Był pod takim wrażeniem jej odwagi i rozsądku, że kazał przygotować Gestenowi gorącą kąpiel z aromatycznymi olejkami. Moczył ją, dopóki jej mięśnie nie rozluźniły się całkowicie, potem zrobił masaż, którego sobie zażyczyła, nacierając ją delikatnie, aż zrobiła się senna. Wtedy dał jej to, czego nigdy nie dałby Connowi Levasowi. To były dobrze spędzone godziny.

Opuszczając jego namiot uśmiechnięta i wyczerpana. Bursztynowy Żuraw usiadł na chwilę, a Gesten sprzątał i robił przygotowania do przyjęcia ostatniego klienta, uśmiechając się prawie tak szeroko jak ona. Rzadko Bursztynowy Żuraw miał klienta, który był wart wszystkich jego umiejętności — strzelec konny była właśnie takim klientem i służenie jej było przywilejem. Dziwne, oboje, ona i Conn Levas, byli najemnikami, a jednak tak bardzo się od siebie różnili. No cóż, doświadczenie uczyło, że jedyną rzeczą łączącą wszystkich żołnierzy był mundur, który nosili.

— Wspaniała kobieta — zauważył Gesten, kiedy odkładał olejki i mył stół do masażu. — Myślę, że powinienem jej zasugerować, aby wydała jeden z tych swoich „bezużytecznych” kwitków na kilka „przeróbek” u nas. Nie widzę powodu, aby nadal upierała się przy wyglądzie dzikiej klaczy. Jest dość szczupła, by być elegancka, i gdyby tylko pozwoliła mi zrobić coś z jej włosami...

— Wspaniały pomysł — przyznał Bursztynowy Żuraw. — Pasowałby do niej styl egzotyczny, no wiesz, wyglądałaby wspaniale w niektórych strojach Kaled’a’in. Być może wzory z kocimi pręgami na ramionach...

— Właśnie to u ciebie lubię, Żuraw — przerwał wesoło Gesten. — Zawsze

dostrzeżasz nowe możliwości. Potrafisz powtórzyć swój wyczyn? Ta gryfica Zha-neel niedługo tu będzie.

— Gryfica? — zapytał roztargniony Bursztynowy Żuraw. Potem stuknął się palcem w głowę. — Racja! Prawie zapomniałem! Mam jeszcze zamęt w głowie po dzisiejszym dniu. Jestem po prostu zmęczony. Czy przygotowałaś. . .

— Tu są olejki, a tu satynowe sznurki, paciorki i farby do piór — odparł Gesten, lekko parszkając. — Zapomniałbym, słuchaj, chciałbym wyskoczyć i położyć Skana do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jak myślisz, dasz sobie sam radę z tą młódką?

Tym razem parszknął Bursztynowy Żuraw.

— Zajmował się gryfami, zanim ty rozejrzałeś się za jakimś głupcem, aby cię wynajął! Oczywiście, że sobie poradzę.

— Dobrze zatem, głupczek któryśmnie wynajął — odwzajemnił się Gesten. — Pójdę sprawdzić, czy pierzasta głowa na wzgórzu kładzie się do łóżka, a potem wpadnę do ciebie, aby sprawdzić, czy nie utopiłeś się w wannie. — Kiwnięciem głowy wskazał błyszczącą, choć poobijaną skrzynię na kółkach. — Wszystko, czego ci trzeba, jest tam. To, co wyszło lub było przestarzałe, wymieniłem. Gdyby mnie zapytano o zdanie, powiedziałbym, że w tej armii nie ma drugiego kestra'chern lepiej wyposażonego w gryfowe „cacka”. Kiedy skończysz, powinna być osołomiona, zakładając, że zrobisz to, co do ciebie należy.

Wymknął się przez zasłonę, zanim Bursztynowy Żuraw zdołał cokolwiek odpowiedzieć. Kestra'chern tylko się zaśmiał i wstał z krzesła. Przebrał się w zwykłe lniane bryczesy, luźną koszulę i obwiązał się szarfą. Dla tej klientki nie potrzebował wkładać żadnych fantastycznych sukni. Przeciwnie, jego ubranie musiało być na tyle wygodne, aby mógł pracować, nie bojąc się, że popłami je farbą czy się skałeczy. Na to nałożył tunikę w wymyślny wzorek, w której zawsze przyjmował klientów.

Wyszedł przed namiot, aby zanim przybędzie klientka, zaczerpnąć stosunkowo świeżego obozowego powietrza. „Niewielkie” pióra — wielkości dłoni — unoszone przez wiatr, zostały odrzucone prawdopodobnie przez jakiegoś krzepkiego strojącego się gryfa. Aktywność w obozie wyraźnie wzrosła i wyglądało na to, że plotki rozpętały szaleństwo pakowania się. Dzieci, które widział wcześniej, były zajęte związywaniem kocy i paczek przy pomocy dwóch kyree szarpiących sznurki zębami. Bursztynowy Żuraw widział dorosłych naprawiających brezent na wozach i sprawdzających koła furmanek. Nieco dalej, oddział żołnierzy wraz z uczniem magii — który wyglądał na Vikterena, jednego ze znajomych Bursztynowego Żurawia — mierzył i sprawdzał latające sanie. Wielkie sanie leciały nad ziemią na wysokości pasa człowieka — chociaż mogły unosić się wyżej — były używane głównie do zaopatrywania oddziałów. Kilku kestra'chern, włącznie z Bursztynowym Żurawem, posiadało podobne, ale służyły im głównie do przenoszenia swoich narzędzi, a nie do utrzymywania kontaktu z armią.

Obok nich, strzelec konny, kobieta, którą przyjął wcześniej w swoim gabinecie — poruszająca się znacznie swobodniej, niż gdy do niego przyszła — skupiła wokół siebie kilku wojowników, najwyraźniej opowiadając im jakąś niezwykłą historię. No, jeśli nie niezwykłą, to w każdym razie wymagającą silnej gestykulacji.

*Może opowiada o mnie... ? Jeśli tak, to dobrze. Niech wiedzą, że niższych rangą traktuję tak sarno dobrze jak ich dowódców.*

Ukryty za gromadą ludzi, stał niepokazny gryf, pisklę albo młodzik, sądząc po wielkości. Tak, ona, zdecydowanie była to samica, podsłuchiwała wszystko, co mówiła kobieta. Dziwne, normalnie gryfy po prostu podchodziły i wtrącały się do rozmowy, bez względu na to, czy były o to proszone czy nie.

Uwagę Bursztynowego Żurawia przykuły ptakiposłańcy, które przemknęły obok niego niczym kule żywej farby przelatujące przez niebo. Ich płynny lot niósł wiadomości do Wieży. Być może miały oznajmić, że wojna nasyciła na chwilę swój apetyt.

Bursztynowy Żuraw wrócił do namiotu i zaczął przygotowywać ozdoby dla swojej następnej klientki. Dla odmiany ten czas będzie czasem odprężenia.

Kiedy Zhaneel przybyła, okazało się, że to ona była małym gryfem, którego widział wcześniej przyczajonego za wojownikami. Była bardzo ładna, choć nie w krzykliwy sposób, smukła i zgrabna, z długimi skrzydłami i piórami przylegającymi do ciała. Bursztynowy Żuraw wyszedł właśnie z tylnej komory namiotu z pełną garścią ręcznie plecionych satynowych sznurków i znalazł ją w pokoju przyjęć, nieśmiało rozglądającą się wśród poduszek i pudełek.

*Od razu widać, że ona nigdy wcześniej nie była u kestra'chern. Zdenerwowana, wyczekująca, niepewna.*

Zakaszał cicho, a ona wzdrygnęła się.

— Witaj, Zhaneel – powiedział miękko, ale stanowczym głosem. — Nazywam się Bursztynowy Żuraw. Mam zaszczyt tobie służyć.

Wykonał zamaszysty, wdzięczny ukłon, który zwykle towarzyszył powitaniu, i zakończył go, przyklękawszy na jedno kolano tak, aby jej nie przestraszyć. Kiedy ukląkł, jego szata ułożyła się wokół niego w połyskujące fałdy, stanowiąc migoczący kontrast dla roboczego ubrania znajdującego się pod spodem.

Obrzuciła wzrokiem jego ciało, podczas gdy się pochylał, aby dotknąć jednej z jej przednich łap, co także należało do zwyczaju. Właśnie ten pierwszy dotyk pozwalał kestra'chern określić, jaka będzie sesja. Wrażliwy kestra'chern mógł odebrać wszystkie mimowolne reakcje, które w połączeniu z postawą i gestami, pełnymi nadziei bądź desperacji i oczekiwania, wiele mu mogły podpowiedzieć. Nie musiał być empatą, aby odczytać język ciała, była to umiejętność, której uczyli się wszyscy kestra'chern podczas terminowania.

W tym przypadku sygnały były bardzo dziwne. Zhaneel położyła po sobie pióra, przekreśliła głowę, aż jej delikatny dziób dotknął górnego brzegu złożonego skrzydła. Z jej dzioba dobył się miękki, świszczący głos, tak bliski szeptu, na ile tylko mogło się to udać gryfowi.

— Przyssnął mnie do siebie Czarny Gryf. Jesssteś moim kessstra'chern.

Potem jej głowa opadła, a skrzydła zatrzępotwały przy ciele, rozkładając się nieco.

— Tak, jestem kestra'chern, który będzie tobie służył, Zhaneel, jeśli sobie tego życzysz. Taką sobie wybrałaś nagrodę za swoją odwagę. Mogę cię przystroić, pocieszyć i pomóc, poświęcić ci uwagę, na jaką zasługujesz, i podać pomysły, których ci trzeba.

Uniósł rękę i dotknął jej drugiej łapy, odczytując wyraźnie jej reakcje fizyczne, podczas gdy inna część jego umysłu zastanawiała się, co z nimi zrobić.

*W niej dosłownie wrze od napięcia seksualnego... najwyraźniej wpędziła się w jakieś szaleństwo w ciągu ostatniej miarki świecy. No cóż, wiem, co to zazwyczaj oznacza. Trochę pracy nad piórami olejków powinno dać jej niepowtarzalny urok, a kochanek będzie niezwykle zadowolony po takiej sesji. Chociaż...*

Chociaż to gładkie małe stworzenie nie zachowywało się tak jak gryfy, które chciały być przygotowane na szczególną randkę. Było w niej oczekiwanie i jakaś dziwna żądza, ale brakowało jej poczucia pewności siebie, z którego słynęły gryfy. A żaden gryf nie udałby się na drogi zabieg, jeśli by nie był pewien, że czeka na niego partner!

Zhaneel nagle spojrzała wprost na niego i zrobiła krok naprzód, powodując, że Bursztynowy Żuraw aż się zachwiał — ale ona nie przestawała napierać. Kestra'chern upadł do tyłu, a Zhaneel stanęła nad nim. Jej długie skrzydła otoczyły ich z obu stron, ogon podniósł się do góry, a pióra na karku nastroszyły się. Jej dziób prawie dotykał jego nosa.

— Czy dasz mi przyjemność, Bursztynowy Żurawiu?

*O bogowie, to wyjaśnia, dlaczego...*

Wpatrzył się w jej dziób — pamiętając o rozmiarach szponów gryfa — i poczuł, że blednie.

— Zhaneel, nie, poczekaj, zrobisz mi krzywdę — błagał. — Proszę, puść mnie!

Skandranon zaznaczył stronę zbędnym piórkiem i wyciągnął się, spoglądając do tyłu, gdzie Gesten metodycznie szczotkował jego grzbiet tuż nad ogonem. Urtho przysłał mu książkę napisaną przez uczonego, który pracował dla niego, jeszcze zanim zaczęła się wojna. Ciężkie tomisko było zabazgrane na marginesach notatkami, obserwacjami i anegdotami pisanymi przez tych, którzy wcześniej je czytali. Urtho przesłał je przez swego posłańca — kyree, aby wynagrodzić

mu swoje pośpieszne odejście; mały gest wiele mówił o poważaniu, jakie Czarny Gryf miał u Urtho. Gesten siedział u niego już ze dwie miarki świecy, milcząco wykonując swoją pracę: strzyżenie, czyszczenie piaskiem, zaokrąglanie częściowo połamanych piór, nacieranie łagodzącym żelem uszkodzonych trzonów lotek. Nie mówiąc wiele, obracał Skandranonem — który ważył przynajmniej dwa razy tyle co przeciętny mężczyzna — układając go w wygodne dla siebie pozycje, aby zająć się mniejszymi ranami, których nie zauważyli uzdrowiciele. Wyczyścił piaskiem łuszczący się dziób Skana, wypełniając ledwie widzialne szczeliny spoiwem, i uporał się z przerośniętymi szponami. Potem przystąpił do dokładnego szczotkowania, usuwając z czarnego płaszcza Skana wszelkie drobne zawady, kawałki szwów i gałązek.

Skan był w dobrej formie — w o wiele lepszej niż rano — i nie odczuwał dolegliwości dzięki sztuczce z „przetaczaniem bólu”, jednej z umiejętności lady Cinnabar. Znać tę kobietę, nawet niezbyt blisko, było prawdziwą przyjemnością. Odnaczała się osobowością, jaką chciałby, aby miała jego przyszła towarzyszka.

Gryf uważał, że ma szczęście, iż żyje tak długo. No cóż, ale wziąć sobie towarzyszkę? Poważne rozważenie możliwości ojcostwa zostało zastąpione przez te wszystkie lata służby nudną rozrywką. Czasami czuł, że jest to jedyny powód jego uporczywego trwania, a kiedy indziej, że jest to jedynie niemożliwa do zrealizowania fantazja z opowieści pieśniarzy. Nie chodziło tylko o zaspokojenie seksualne. Nie brakowało mu kochanek, było kilka gryfic, które nie posiadałyby się z radości, aby podnieść dla niego ogon, ale były to tylko przypadkowe przyjaciółki i żadna z nich nie była płodna. Były jednak takie słodkie, takie gorące...

Poruszył się, myślenie o kochankach spowodowało, że jego brzuch się napiął z tęsknoty. Nigdy wcześniej nie wstydził się swej męskości i teraz też nie czuł wyrzutów, ale stan rekonwalescencji uświadomił mu, jak naprawdę ograniczone są jego ruchy.

Gesten nie skomentował poruszenia Skana, chociaż myjąc jego boki i ogon, z pewnością zauważył zewnętrzne oznaki jego podniecenia. Prawdopodobnie bardzo niewiele mogło umknąć uwadze małego hertasi, ale ponieważ codziennie było wiele nowych tematów do rozmowy, najlepszym komentarzem Gestena był w ogóle brak komentarza.

*Oho, teraz mała Zhaneel siedzi w cieple i wygodzie z Bursztynowym Żurawiem. On już będzie wiedział, jak poukładać wszystko na właściwe miejsca. Jest takim dobrym kestra'chern — takim zdolnym, wdzięcznym, inteligentnym. Jestem dumny z tego, że go znam, i cieszę się, że mogłem ją do niego posiadać.*

*Zabiję za to Skandranona — wściekał się Bursztynowy Żuraw, odsuwając się od Zhaneel. Na pewno ta bezrozumna, kipiąca od seksu, dokuczliwa, arogancka kupa czarnych piór w jakiś sposób zasugerowała Zhaneel, że Bursztynowy Żuraw*

ma zamiar się z nią kochać. To był niewybaczalnie okrutny żart z jego strony! Kiedy już upora się z tą sytuacją, pójdzie i zmyje Skanowi głowę, nie bacząc na to, czy gryf śpi, jest ranny czy też cokolwiek innego z nim się dzieje.

Zhaneel chwilę wcześniej uwolniła go i teraz, kiwając głową do góry i na dół i zaciskając szpony, obserwowwała każdy jego ruch, aby otrzymać jakąś wskazówkę.

Bursztynowy Żuraw potarł dłonią twarz i zwrócił się do niej bez ogródek:

— Zhaneel, nie mogę być twoim kochankiem. Jesteśmy fizycznie dla siebie nieodpowiedni. Po prostu nie mogę. . .

Minęła chwila.

Z jej spojrzenia wyczytał nie dające się niczym wyjaśnić przerażenie, a desperacka żądza w jednej chwili zmieniła się w całkowite załamanie. Wydała bulgoczący okrzyk i przez otwartą klapę namiotu wpadła do ciemniejszego i bardziej odizolowanego wewnętrznego pokoju.

Skandranon skończył rozdział z komentarzami na temat organizacji społecznej wśród południowoschodnich plemion i rozkoszował się staraniami Gestena, który chciał pomóc jego sponiewieranemu grzebieniowi.

*Teraz, musi się już czuć jak najpiękniejszy i najzdolniejszy gryf na świecie! Bursztynowy Żuraw zawsze wie, co należy powiedzieć, aby ktoś dobrze się poczuł. Usłyszałem od niego tyle komplementów i prawie nigdy się nie mylił. Być może kiedy już wróć do zdrowia, przygotuje mnie na randkę i będziemy mogli porozmawiać, ile dobrego zrobiły Zhaneel moje sugestie.*

Czarny Gryf westchnął i ułożył się do drzemki, pewien, że wszystko na świecie układa się dobrze, przynajmniej jeśli chodzi o Zhaneel i Bursztynowego Żurawia.

Bursztynowy Żuraw znalazł Zhaneel zwiniętą w kłębek w najdalszym narożniku namiotu, drżącą, z głową schowaną pod skrzydło. Widok ten był dla niego bardzo smutny i przygnębiający: w ten sposób gryfy szlochały rozdzierająco. Uderzyły w niego napływające, namacalne fale wstydu, samoobwinianie się świszcząco w jego „mentalnych” uszach, im bliżej do niej podchodził. Napiął się, przygotowując się na jej gwałtowną reakcję, po czym wyciągnął dłoń, aby dotknąć drżącego ciała.

Zamiast jednak zadać cios, w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Żadnej reakcji. Jednak gdy ją dotknął, oszołamiający natłok ściskających za serce emocji prawie go oślepił.

*Ona siebie nienawidzi. Na miłość bogów, ona autentycznie siebie nie znosi. Zwątpienie, użalanie się nad sobą, przytłaczające poczucie bezwartościowości.*



*U gryfa! Tego mógłbym spodziewać się u człowieka, ale u gryfa? Wszystkie są przekonane, że Urtho stworzył je jako ulepszenie wszelkich ras! Ten, kto doprowadził ją do takiego stanu, jeszcze długo musi się uczyć. Jeśli można to powstrzymać, to tylko teraz. Jeśli mogę ją zmienić, muszę zacząć od razu.*

Odezwał się cichym, łagodnym głosem:

— Zhaneel?

Podskoczyła na dźwięk jego szeptu.

— Cśśś, malutka, jestem tutaj dla ciebie. Proszę, posłuchaj. Sprawię, że poczujesz się lepiej, obiecuję. Jestem tutaj dla ciebie.

Otoczył jej ciało swoją szatą, aby ją pocieszyć, tak jak to się robi ze strapionymi gryfami; materiał miał sprawiać wrażenie osłaniających skrzydeł. Czuł jej ciało pod sobą — wysoka temperatura, szybki oddech i mocno zaciśnięte powieki. Delikatne pęczki na uszach ciasno przylegały do głowy. Bursztynowy Żuraw przeczesał jej pióra na karku, nie przestając mówić uspokajających słów głębokim, pewnym głosem, prosto w jej ucho, i obejmować jej, aż w końcu przestała drżeć.

*Jej wcześniejsze seksualne oczekiwania mogą trochę pomóc. . .*

Przeniknął do nerwów Zhaneel ze swą uzdrawiającą mocą, znalazł jej ośrodki przyjemności i łagodnieje stymulował, jednocześnie uspokajając ją słowami. Ciało gryfów miały zapasy specjalnych płynów, składników znajdujących się w różnych gruczołach i przechowalniach; delikatny dotyk doświadczonego uzdrowiciela mógł je uwolnić we właściwym czasie. Lekkie muśnięcie tam i prawie niewyczuwalna stymulacja tu, i „wynagradzające” wrażenie, takie jakie występuje zazwyczaj po parzeniu się, przebiegło przez jej żyły. Niewielkie, nie mogło być tak duże jak euforia po prawdziwym parzeniu, ale jednak było. Uzyskał pożądaną efekt. Z wolna napięcie ustąpiło miejsca odprężeniu — przynajmniej fizycznemu — i po chwili, długiej jak wieczność, Zhaneel rozwinęła się. Przez jakiś czas Bursztynowy Żuraw pocieszał ją i mówił słowa dodające otuchy. To nie zlikwidowało żadnego z jej problemów, ale jej stopniowe odprężenie przynajmniej otworzyło drzwi ku wyleczeniu.

Minęła chyba jedna miarka świecy, zanim znowu przemówiła. Jej kestra'chern obejmował ją, drapał za uszami, przez cały czas delikatnie dotykając jej umysłu i zanurzając się w uczuciach, które, choć o tym nie wiedziała, wysyłała ku niemu. Dobrze, że wybrała jego niż kestra'chern nie specjalizującego się w empatii czy uzdrawianiu. Ktoś inny musiałby posłać po jej trondi'irn — a terminatorka pewnie byłaby równie przerażona i przestraszona jak pacjentka.

— Zhaneel — odezwał się nagle. — Musisz mi powiedzieć, dlaczego sprawiłem ci taki ból. Nie miałem zamiaru cię zranić.

Zadrzała.

— Ty jesssteś kessstra'chern i myślisz, że jessstem wyrodkiem. Żadnej żądy, nigdy. . . — Zgarbiła ramiona i zwiesiła głowę, pogrążona w nieszczęściu. —

Powinam umrzeć — zapłakała cicho. — Niewarta wychowywania, powinam umrzeć. Próbowałam.

Bursztynowy Żuraw nie wahał się ani chwili; dziwne, jak po tak długim milczeniu spóźniona odpowiedź może zniszczyć wszystko.

— Nie, dziecko, całkowicie mnie nie zrozumiałaś! Nie jesteś wyrodkiem, Zhaneel. Zostałaś stworzona przez Urtho jako najdumniejsze z jego stworzeń. Ty też jesteś mi bliska.

Wyprostowała się trochę i nerwowo spojrzała na niego jednym okiem.

— Ale powiedziałaśśś: żaden kochanek. Fizycznie. Nie chcesz mnie nawet. . .

Potał swymi policzkami jej policzki, jak robi to rodzeństwo gryfów i szybko odpowiedział:

— Zhaneel, nie, malutka! Powiedziałem, że nie mogę być twoim kochankiem, a nie że nie chcę. Jestem tylko człowiekiem. Mam cienką skórę i jestem mniejszy od ciebie. Nie pasowalibyśmy do siebie, ty i ja, nasze rozmiary i nasze ciała są tak inne. Rozszarpałabyś mnie, gdybyś chciała spróbować. - Pozwolił sobie na cichy śmiech. — Droga, wierz mi, gdybym był gryfem, ty i ja bylibyśmy razem na niebie chwilę po tym, gdy cię ujrzałem.

Otworzyła oczy i zamrugła; czyżby nigdy nie zauważyła, że ludzie są czasami trzy razy mniejsi od gryfów?

*Niektórzy uważają, że kestra'chern może dokonać wszystkiego!*

— Nigdy nie dowiedziałam się, jak dochodzi do parzenia. Rodzice zmarli. Zostawili mnie samą. — Zhaneel pochylili się, dziobem dotykając podłogi. — Wyrodek. Skrzydła spiczaste i zbyt długie w stosunku do ciała, głowa za duża, zbyt okrągła, bez pęków za uszami! — płakała, drżąc. — Dlatego mnie zostawili, dlatego odlecieli, a potem umarli. Byłam nieudana i wstydziłam się mnie.

Bursztynowy Żuraw drapał ją po głowie, zanurzając palce w jej głębokich, miękkich piórach, przesłał jej więcej spokoju, uśmierając ból, inaczej znowu zwinęłaby się w kłębek i nigdy nie rozwinęła.

— Nie mogę w to uwierzyć, Zhaneel. Jesteś piękna i silna, twoi rodzice z pewnością musieli cię kochać i z radością wyczekiwać chwili, kiedy zaczniesz latać.

Pierwsze słowa przerwały tamę i Zhaneel wyrzucała z siebie potok swych uczuć.

— Szpony za krótkie, żeby zranić nawet owada. . .

Bursztynowy Żuraw spojrział z powątpiewaniem na wyciągniętą przednią łapę. Szpony wydawały mu się dość długie.

— Dziwna, nieudana, powinam umrzeć — szeptała chrapliwie. — Nikt nie chce Zhaneel w swoim dywizjonie. Nikt. Nikt nie chce Zhaneel jako towarzyski. Bezżyteczna.

Bursztynowy Żuraw uniósł jej głowę — było to trudniejsze zadanie, niż się wydawało — i gładził ją lekko wokół nozdrzy, a potem podniósł zapomniany żeton.

— Jeśli jesteś tak bezużyteczna, dlaczego zatem dostałaś to? Takich rzeczy nie dostaje się za kopanie latryn, podniebna damo. Tylko najodważniejsi dostają takie nagrody.

Lewe ramię zupełnie mu ścierpło od podtrzymywania jej ciężkiej głowy. W końcu uniosła ją i zamrugała. Potem spuściła wzrok.

— Nie jestem odważna — upierała się słabo. Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się lekko.

— Może powiesz mi, w jaki sposób ten kwadracik dostał się w twoje ręce, a ja osądzę, czy na niego zasłużyłaś, dobrze? Naprawdę chciałbym to usłyszeć, Zhaneel. Przygotuję mocnej herbaty. Napijesz się ze mną?

Wstał z trudem i wskazał, by za nim poszła. Wstała, zrobiła trzy pełne wahania kroki w kierunku jego łóżka i przysiadła na nim.

— Nikt nie chciał przyjąć mnie do dywizjonu. Ja jednak chciałam latać dla Urtho. Dlatego... po prostu wprowadziłam się do dywizjonu Kelreeshy Trondara.

*Interesujące, to ten sam dywizjon, w którym jest ten najemny mag, Conn Levas.* Bursztynowy Żuraw poruszył węgle w zawsze płonącym palenisku, a później ustawił na nim czajnik z wodą.

— A potem...

— Latam na patrole. Patrole na tyłach — te, na które wysyłają świeżo opierzone gryfy. — Głos jej się załamał. Obowiązki, które opisywała, były upokarzające dla dorosłego gryfa, zwykle traktowano je jako karę, ze względu na dalekie odległości i monotonię, i to, że były treningiem dla żółtodziobów.

— Przebywałam z dala od obozu. Miałam czas na latanie. Potrafię okrążyć rewir o wiele szybciej niż inni.

Bursztynowy Żuraw włożył torebki z herbatą do czajnika i przemówił łagodnie:

— Szybciej niż inne gryfy? To wspaniale. Ile razy szybciej, Zhaneel?

— Trzy razy. Oblatywałam rewir sama.

Uniósł brew pełen podziwu i uznania.

— Byłam na wysokości piątej chmury — ciągnęła.

*O połowe wyżej niż latają inne gryfy na patrolach — coraz, bardziej interesujące...*

— I zobaczyłam makaary opuszczające nasze terytorium. Trzeba było je jakoś zatrzymać, gdyż prawdopodobnie szpiegowały. Nie potrafię dobrze posługiwać się myślumą — nie mogłam więc wezwać pomocy. Toteż zanurkowałam i uderzyłam na nie. Nie obchodziło mnie, czy umrę.

Myśli Bursztynowego Żurawia biegly coraz szybciej, a wystudiowany, kamienny wyraz twarzy nie zmieniał się. *Ona mówi poważnie. Naprawdę było jej wszystko jedno, czy umrze. Teraz już jasne, dlaczego powiedziała, że nie była odważna. To był czyn samobójczy. Chciała, żeby jej śmierć coś znaczyła.* Wziął głębokimi wdech i palcami zaczesał włosy do tyłu.

— Zhaneel, znam wielu wojowników, wielu szamanów, wielu kapłanów i wysokich magów. Wielu z nich czuło, że się do niczego nie nadaje. Rozmawiałem z nimi, tak jak teraz z tobą, droga podniebna damo. Kiedy wojownicy boją się, że im czegoś brakuje, to tylko dlatego, że są zapominalscy. Nie pamiętają, do czego naprawdę są zdolni.

Usiadł na łóżku obok niej i głaskał ją po czole, a ona szlochała.

— Gdybyś nie była Zhaneel — piękną, silną, smukłą Zhaneel — poleciała-byś po pomoc albo odfrunęła przerażona, albo zaatakowała makaary i przegrała. Udało ci się tylko dlatego, że jesteś tym, kim jesteś, dzięki sile twego umysłu jak i ciała. To niemało, zwłaszcza że niektóre znane mi gryfy nie mają więcej rozumu od wołu.

Znowu chwycił żeton i łagodnie przysunął go do jej dzioba.

— A teraz masz to, wręczył ci to sam Urtho. Wiesz, jaki to rzadki przypadek?

Pokręciła przecząco głową, podobnie jak to robią ludzie.

— To bardzo rzadkie, Zhaneel, bardzo niezwykle. Dowodzi to, że jesteś wyjątkowo dobra, moja droga, i że w żadnym razie nie jesteś nieudacznikiem. Ani nie jesteś bezwartościowa.

— To nie ma znaczenia — zakrakała. — Wszyscy sądzą, że jestem.

— Ci „wszyscy” nie powstrzymali trzech makaarów. Mało kto dostał taką nagrodę. — Pokręcił głową, pewien, że przyciągnął już jej uwagę. — Czasami „wszyscy” również mogą się mylić. Czyż „wszyscy” nie mówili, że Przełęcz Ste-lvi jest nie do zdobycia?

Jej pęczki na uszach lekko się uniosły i ostrożnie kiwnęła raz dziobem na znak zgody.

Przyglądał się jej budowie i wyglądowi.

— Jesteś inna, Zhaneel. Ja też byłem odmieńcem wśród moich ludzi. Kiedy tu przyszedłem, czułem się trochę podobnie jak ty — nie, bardzo podobnie jak ty. Po prostu wyśmiewano się ze mnie, z powodu tego, co robię i kim jestem. Uzdrowiciele nie chcieli mnie przyjąć, ponieważ byłem kestra’chern. Kestra’chern byli ostrożni wobec mnie, ponieważ potrafiłem uzdrawiać. Jednak gdy dostrzegłem, jak odsuwają się ode mnie, zastanowiłem się, dlaczego to robią. — Bursztynowy Żuraw znowu się uśmiechnął. Zhaneel odprężyła się nieco i patrzyła wprost na niego, zachwycony drapieżnik słuchający bazarza. — Patrzyli na mnie, a ja byłem dla nich lustrem. Widzieli we mnie fragmenty siebie, warstwy i te części swego własnego życia, które chowali w rękawie. Kiedy mówiłem, uzdrowiciele wiedzieli, że w środku jestem kestra’chern i byli przerażeni. Inni kestra’chern nie ufali memu stanowisku i zdolnościom uzdrawiania. Ale w tym wszystkim byłem sobą. Ciągłe sobą, Zhaneel, tak jak ty jesteś ciągle sobą. Ci, którzy cię upokarzają, boją się ciebie. Zazdroszczą ci. A ty jesteś silniejsza, niż mylisz.

Zhaneel kręciła się niespokojnie pod jego troskliwym wzrokiem.

— Nie silna, panie.

Pokręcił przecząco głową i znowu zachichotał.

— Oho, podniebna damo. Proszę, nie nazywaj mnie „panem”. Jestem po prostu Bursztynowym Żurawiem — przyjacielem.

Wstał i podszedł do czajnika, nalał dwie filiżanki, jedną dużą, drugą małą, mówiąc:

— Gdybyś nie była silna, nigdy bym ciebie nie spotkał, Zhaneel. Zginęłabyś i zapomniano by o tobie, a tak uhonorował cię sam Mag Ciszy i zostałeś zauważona przez Czarnego Gryfa.

Zhaneel obróciła głowę na bok, a jej nozdrza zarumieniły się z zakłopotania. *Oho, jest tak zachwycona Skandranonem, jak on: sam sobą. Ciągle mani ochotę obedrzyć go ze skóry, ale tymczasem wykorzystam go dla dobra Zhaneel.*

— Pozwól mi coś powiedzieć o Skandranonie, Zhaneel — poprosił. — Także on jest ofiarą prześmiewców: nazywają go psem goniącym za sławą, uważają, że jest drażliwy, arogancki, szalony, a niektórzy mówią, że ma maniery głodnego żółtodzioba. A jednak on ciągle tu jest, starając się najlepiej robić to, co do niego należy. Oni mu zazdroszczą — głównie tego, że robi to, o czym oni tylko mówią. Działanie określa siłę. A ty, podniebna damo, latasz szybciej i wyżej niż oni i sama możesz pokonać trzy makaary.

Znowu się zarumieniła, a on ponownie zastanawiał się, co takiego wydarzyło się w jej dzieciństwie. Gdzie byli jej nauczyciele i rodzice? Te proste rzeczy które jej mówił, powinny być najbardziej podstawowymi pojęciami, wpajany mi normalnie młodemu gryfiątkom. Normalnie — to słowo było kluczem do zagadki. Bursztynowy Żuraw widział tysiące obnażonych dusz i dobrze wiedział, że to, co większość nazywa „normalnością”, nie zdarzało się w rzeczywistości. Czuł także ciepło w piersiach i brzuchu i wrzało mu w umyśle, co oznaczało, że tym razem polowanie się udało — i że ta młoda Zhaneel przeżyje.

— Ciągle słyszę, że oni powiedzieli to czy tamto, a jednak nigdy nie spotkałem ich twarzą w twarz. Kim są w ogóle ci oni? — zapytał retorycznie, gdyż nie spodziewał się od niej odpowiedzi. — Co daje im monopol na prawdę? Dlaczego są większymi ekspertami ode mnie czy od ciebie?

Zrobił kilka kolejnych kroków i podał jej większą filiżankę. Zachwyciła go zręczność, z jaką chwyciła czarę jedną tylko łapą - nie, jedną ręką. Podążyła za jego wzrokiem.

— Żadnych szponów. Muszę nosić szpony bojowe jak głupie kyree — wymamrotała i znowu spuściła wzrok.

— Och nie, to żaden defekt, podniebna damo. Widzisz moje ramiona i nogi, moje mięśnie? Pasują bardzo dobrze do mojego ciała, tak jak twoje części ciała pasują do twojego. Popatrz na moje ręce, na ich proporcje w stosunku do ramion.

Utkwiła wzrok w jego dłoniach. Rozszerzyła oczy, kiedy uświadomiła sobie, na co patrzy.

— Twoje dłonie — podobne do moich.

— Tak! Bardzo podobne. Matka Natura stworzyła mnie w ten sposób. — Pokiwał głową z zadowoleniem. — A Urtho stworzył ciebie z dokładnie takim a nie innym kształtem szponów, ciała, skrzydeł. Sądzisz, że Urtho byłby tak niekompetentny, aby stworzyć brzydactwo?

To było nie do przyjęcia, nawet dla gryfów. Również Zhaneel nie mogła w to wierzyć.

— Nie!

Uśmiechnął się, teraz ją miał.

— Oczywiście, że nie. Wszyscy o tym wiemy. Zawsze był dokładny i sumienny, miał wzrok niepodobny do żadnego adepta w historii. Nie, Zhaneel, sądzę, że jesteś czymś nowym. Gładka i niewielka, szybka jak sokół. Inni mają kształty ptaków o szerokich skrzydłach, jak jastrzębie czy orły — ty jednak jesteś zupełnie inna. Nie jesteś gryfem, ale czymś nowym — gryfem i sokolem. Gryfsokolem.

Jej oczy załśniły ze zdziwienia i dech jej zaparło. Nadal trzymała filiżankę z parującą herbatą. Wymówiła słowo, które Bursztynowy Żuraw dopiero co stworzył, smakując je na języku, jak gdyby próbowała słodkie jabłko lub schłodzone wino.

— Gryfsokół.

Wszystko szło o wiele lepiej niż miarkę świecy temu. Bursztynowy Żuraw pociągnął łyk herbaty ze swojej filiżanki i rozkoszował się grą smaków — orzeźwiający, cierpki, słodki i kwaśny, każdy po kolei. Mieszanka gatunków, która odpowiadała zestawieniu problemów.

Kiedy rozmawiali, na dworze zmierzch przemienił się w noc. Zhaneel opowiedziała mu niepewnym głosem o losie swoich rodziców. Oboje zostali zabici podczas misji, która miała być misją o małym ryzyku. Jednakże wojna łaknęła i musiała być nakarmiona, jak wszystkie stworzenia. Zhaneel została sama. Od tam żółtodziobem opiekowali się zastępczy rodzice i trondi'irn, którzy nie czuli do niej szczególnej sympatii. Raz za razem zmieniali się albo znikali. Wspomnienie o jej rodzicach stało się tylko niejasnym wrażeniem przyjmowania pokarmu, tak odległym, że zaczęło wydawać się snem lub bajką nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością.

Kontrast między wspomnieniami o kochających i troskliwych rodzicach a obojętnością okazywaną dorosłej gryficy był tak wielki, że zamknął ją w zimnej klatce nienawiści do samej siebie.

Jednak te same wspomnienia powstrzymywały ją przed samobójstwem. Na wpół świadome wspomnienia, że gdy była jeszcze pokryta puchem, kochano ją, wzmocniły jej duszę. Pewnie nie pamiętała żadnych obrazów ani słów. Przypominała sobie jednak jak przez mgłę, że wyrażali swe uczucie, śpiewając, kiedy zasypiała, i ucząc ją, kiedy się budziła. Chociaż trwało to krótko, dało jej potrzeb-

ną siłę i rozum do przetrwania.

Minęła spora część nocy; filiżanki były puste, a oni pogrążyli się w rozmowie, wzajemnie się obserwując. Zhaneel pytała o życie kestra'chern. Kiedy był już pewien, że temat jej nie przestraszy, zapytał, skąd wzięła pomysł, że Bursztynowy Żuraw mógłby być jej kochankiem.

Jej nozdrza poczerwieniały.

— Ta kobieta, strzelec konny, opowiadała wszystkim o tobie, a ja słuchałam. Niektórych rzeczy nie rozumiałam, ale myślałam, że to dlatego, że ona jest człowiekiem. — Przechyliła trochę głowę, a jej nozdrza zrobiły się jeszcze bardziej czerwone. — Myślałam, że to właśnie robisz ze wszystkimi, którzy do ciebie przychodzą. Byłam przekonana, że dlatego wielki Skandranon powiedział, abym do ciebie przyszła, kiedy dostałam nagrodę.

Na moment zacisnęła szczęki. *Powinienem wiedzieć, że za tym wszystkim kryje się Skan! Nic dziwnego, że byt taki... taki zadowolony z siebie! Ale konfrontacja ze Skanem musiała poczekać.* Teraz, nieświadomie, Zhaneel dała mu kolejny powód do polectania jej ambicji.

— To Skan przysłał cię tutaj, prawda? — zamrugął. — A więc czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie musiałaś na nim wyrzeć wrażenie, Zhaneel? Dopiero dwa dni temu go poskładaliśmy — jeszcze jest nie całkiem wyleczony — i dał mi do zrozumienia, swemu przyjacielowi, że nie życzy sobie, by zwracano mu głowę błahostkami. A jednak pomyślał o odpowiedniej nagrodzie i przysłał cię do mnie! Jak długo przebywaliście razem?

— Nie wiem... może pół miarki świecy? — odparła niepewnie.

— Pół miarki świecy? — Bursztynowy Żuraw zachichotał. — Nie przypominam sobie, żeby spędził tyle czasu z kimś, kto nie był uzdrowicielem. Musiałaś naprawdę go zafascynować!

— O — odparła słabo, a jej nozdrza znowu poczerwieniały.

— Może nudziło mu się? — zasugerowała równie słabo.

Bursztynowy Żuraw parsknął śmiechem.

— Gdyby mu się nudziło, szybko by się ciebie pozbył. Lekarstwem Skana na nudę jest w kolejności: czytanie, spanie i dokuczanie przyjacielom. Nie, myślę, że uznał cię za kogoś interesującego.

Język jej ciała i głos wyraźnie mówiły, że Zhaneel była zafascynowana co najmniej ciałem Czarnego Gryfa.

— On nie interesuje się byle kim — ciągnął gładko. — Jeśli cię zauważył, to dlatego, że jesteś tego warta.

Ożywiła się na moment, potem jej pęczki na uszach znowu oklapły.

— Nawet jeśli mnie zauważył, to pewnie dlatego, że jessstem dziwaczna.

— Że jesteś inna a nie dziwaczna — upomniał ją. — Skandranon nie należy do osób, które boją się odmienności.

— Czy jessstem — zawahała się i poczuł, że chce teraz powiedzieć coś bardzo śmiałego — czy jessstem wysstarczająco odmienna, aby on sssobie o mnie przypomniał? Znowu mnie zauważył?

Bursztynowy Żuraw udawał, że się namyśla.

— Idę o zakład, że zależy ci na czymś więcej niż tylko na zwykłym zauważeniu.

Pokiwała nieśmiało głową.

— Tak. — Nabrała powietrza. — O tak. . .

— No cóż, Zhaneel, niełatwo jest wyrzucić wrażenie na Skanie. Musiałabyś być kimś bardzo szczególnym, aby podtrzymać jego zainteresowanie. Musiałabyś zrobić coś więcej niż strącenie paru makaarów. — To, co mówił, było bardzo odważne, ale na szczęście ona przyjęła to za dobrą monetę. Patrzyła na niego wyczekująco, jak gdyby miała nadzieję, że usłyszy oczekiwaną odpowiedź. — Znam go bardzo dobrze. Jeśli chcesz Skana, Zhaneel, musisz wyrzucić na nim takie wrażenie, aby i on ciebie zapragnął, aby poprosił cię, byś przyłączyła się do jego dywizjonu. — Nie zostawiając jej czasu na wahanie, pochylił się do przodu i rzekł, wkładając w swe słowa cały dar empatii: — Potrafisz tego dokonać, Zhaneel. Wiem, że potrafisz. Wierzę w ciebie.

Jej oczy rozbłysły, a pęczki na uszach powstały.

— Mogłabym zastawić pułapkę na makaary. . . — Przerwała, gdy przecząco pokręcił głową. — Gdybym zrobiła z siebie cel, prześcignęła je i zaczaiła się?

Znowu pokręcił głową. Oba jej pomysły były zbyt impulsywne i samobójcze.

— Musiałoby to być coś, co tylko ty potrafisz, Zhaneel — zasugerował. — Nie musisz codziennie robić z siebie bohatera i nie chodzi też o jakiś natychmiastowy rezultat. Sposób, w jaki zabiłaś makaary, był charakterystyczny tylko dla ciebie. Być może Urtho lub Skan powiedzieli coś, co mogłoby ci pomóc. . .

Siedziała głęboko zamyślona, Bursztynowy Żuraw nalał sobie drugą filiżankę herbaty. W końcu przemówiła.

— Urtho pytał o moje szkolenie i był rozczarowany, że nikt nie poświęcił mi szczególnej uwagi. — Patrzyła na niego pytająco, a on zachęcił ją skinieniem głowy. — Skandranon także wydawał się zdziwiony, że nie przeszłam żadnego specjalistycznego szkolenia. Skoro nie mogę latać i walczyć jak inne, być może. . . być może powinnam sama się wyszkolić? — Znowu spojrzała na niego, a on pokiwał entuzjastycznie głową. — Być może powinnam dodatkowo poprosić o trening, jaki przechodzą młodzi ludzie, ale włączając w to latanie. . .

— Świetny pomysł, podniebna damo — powiedział z przekonaniem. — To może się przydać nie tylko tobie, ale także innym, którzy są lżejsi i mniejsi. A kiedy już się wyszkolisz, z pewnością przyciągniesz uwagę Skana.

Teraz spojrzała na jego dłonie, a potem na swoje.



— Bursztynowy Żurawiu, mam dłonie podobne do ludzkich... mogłabym wykonywać niektóre czynności, które potrafi tylko człowiek, prawda? — Poruszyła swoimi dłońmi, najpierw jedną, potem drugą, jakby sprawdzała ich ruchliwość. — Być może mogłabym posługiwać się jakąś bronią albo... latać, aby pomagać rannym!

Jej dziób rozszerzył się z podniecenia. Bursztynowy Żuraw musiał stłumić swoje emocje. Wizja gryfauzdrowiciela, choćby polowego uzdrowiciela, który unieruchamiałby kończyny i bandażował rany, wystarczyła, aby miał ochotę skakać i natychmiast wcielić pomysł w życie. Iluż wojowników wykrwawiało się na polu tylko dlatego, że nie mógł się do nich dostać? Ruchliwość gryfa uratowałaby wielu, którzy nie mieliby szans na przeżycie...

— Na to jednak potrzeba czasu, Zhaneel — powiedział, napominając jednocześnie ją i siebie. — Potrzeba wiele czasu, aby się tego nauczyć, a jeszcze więcej, aby to wcielić w życie. Ale jest to wspaniały pomysł. Pomogę ci, na ile tylko będę mógł, przyrzekam!

Zhaneel wysłuchała jego ostrzeżeń, potem pokiwała poważnie głową.

— Jedna broń — zadeklarowała. — Nauczę się posługiwać jedną bronią. Kuszą. Wydaje się łatwa do opanowania. I nauczę się prostego uzdrawiania, które znają zielone opaski.

Przez „zielone opaski” rozumiała giermków i sierżantów, którzy je nosili na ramieniu i służyli jako zwykli uzdrowiciele polowi, znający jedynie podstawy sztuki. Akurat tyle, aby załatać kogoś, nim dostanie się on do prawdziwego uzdrowiciela.

Aby uratować życie.

— Będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem nauczenie cię tego uzdrawiania, moja podniebna damo — odparł miękko Bursztynowy Żuraw.

— I... — zniżyła swój głos prawie do szeptu. — I wtedy Skandranon mnie zauważy?

Zachichotał.

— O tak, moja damo. Nie będzie miał innego wyjścia. Będziesz jedną z niewielu, które zauważy.

Przechyliła głowę na jedną stronę.

— Niewielu? — spytała dziwnie.

Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Och, czasami myślę, że ma obsesję na punkcie swej ostatniej wyprawy i niczego innego nie dostrzega. Także i przyjaciół.

Nie przestawała dziwnie na niego spoglądać i w końcu odezwała się:

— Dostrzega. Kocha cię. Cały obóz o tym wie.

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć, dlatego zapytał zaskoczony.

— Co?

Przez chwilę sądził, że ją źle zrozumiał, ale powtórzyła swoje stwierdzenie:

— Kocha cię, jakbyście byli z jednego gniazda — upierała się. — Być może nie mówi tego, ale cały obóz wie, że Bursztynowy Żuraw i Skandranon mogliby równie dobrze pochodzić od jednej matki.

Kiedy otworzył usta w zdziwieniu, zachichotała w sposób charakterystyczny dla gryfów — był to pierwszy dźwięk szczęścia, jaki od niej usłyszał.

— Słyszałam to... słyszałam, jak mówił pewnemu kapitanowi, że jesteście nierozłączni!

— Co słyszałaś? — spytał, próbując sobie wyobrazić Skana mówiącego podobne rzeczy.

— Słyszałam, jak to mówił — powiedziała stanowczo. Za namową opowiedziała całą historię. Jak dzisiaj, tak i wtedy podsłuchiwała pewną rozmowę. Jeden z najemnych kapitanów żartował sobie z nazwisk i reputacji kilku perchi i kestra'chern. Gdy mijał go Skan, pojawiło się nazwisko Bursztynowego Żurawia. Już samo to wystarczyło, aby przyciągnąć jego uwagę, ale jeden z kapitanów krzyknął do niego wyzywająco, prosząc, aby potwierdził to, co usłyszał, ponieważ „ty go dobrze znasz”. A Skan oczywiście stanął w obronie honoru Bursztynowego Żurawia, wiedząc, że może się ośmieszyć, a tego nie cierpiał bardziej niż zimnej wody.

— Tak więc — zakończyła Zhaneel — sam widzisz.

— Widzę — odparł, ale był raczej przytłoczony tym dowodem sympatii. Co prawda pragnął przyjaźni, jednak tak naprawdę nigdy w nią nie wierzył. Kestra'chern nie miał wielu przyjaciół, podobnie jak i zwykłych znajomych.

Zamrugął. Poczuł, że oczy mu trochę powilgotniały.

— Bursztynowy Żurawiu — powiedziała, przerywając ciszę. — Jesteś uzdrowicielem.

Zamrugął jeszcze raz, przywracając oczom ich zwykły niewzruszony wyraz. Sądził, że powrócą do poprzedniego tematu dyskusji.

— Oczywiście, podniebna damo.

Jednak ona pobiła przeciwnika jego własną bronią.

— Kiedy dzieje ci się krzywda, kto leczy duszę uzdrowiciela?

*Czyżby zmieniła się w Gestena lub Tamsina i wyczuwa moje uczucia, zanim ja sam je poznam?* — pomyślał, ponownie zaskoczony. Zachichotał jednak, aby pokryć swoje zmieszanie i odparł:

— Moja damo, nie wydaje mi się, abym potrzebował usług uzdrowiciela. Nie działałam na polu bitwy.

Parsknęła, bardzo podobnie jak robił to Skan, ale nie odezwała się. W tym właśnie momencie straż ogłosiła północ i oboje zamrugali zdziwieni.

*Minęła połowa nocy — ale dlaczego tak się dziwię? Czuję się, jakby to było pół roku.*

— Musisz trochę odpocząć, moja damo — powiedział, biorąc prawie zapomniany żeton i wkładając go z powrotem do jej woreczka. Zaczęła się wzbraniać, ale położył dłoń na jej dziobie, aby ją powstrzymać.

— Ustalanie honorarium należy do mnie. Zatrzymaj żeton. Gdybyś miała jakieś kłopoty z przekonaniem swojego dowódcy, że potrzeba ci szczególnego szkolenia i ekwipunku, możesz wtedy go wykorzystać. A kiedy znajdziesz kogoś, kto będzie cię wart, przyjdź do mnie. Przemienię cię wtedy w najbardziej oszałamiające stworzenie, jakie kiedykolwiek latało.

Jej nozdrza jeszcze raz poczerwieniały, tym razem z radości. Ruszyła ku wyjściu, ale zatrzymała się na progu.

Wyrwawszy pióro wielkości dłoni, wręczyła mu je z powagą.

— Kiedy będziesz czegoś potrzebował — czegokolwiek — przyślij mi je, uzdrowicielu.

Potem wyszła, zostawiając go z płowym piórem w dłoni i z wielkim bagażem spraw do przemyślenia. Spuścił za nią klapę, chroniąc namiot przed chłodem nocy i wścibskimi obserwatorami. Przeciągnął piórem między palcami prawej ręki.

*Kto uleczy duszę uzdrowiciela?...*

## ROZDZIAŁ PIĄTY

— Co słyhać, bohaterze? — spytał Tamsin, odchylając klapę. — Widzę, że masz towarzysza w namiocie. Czyżby wydało się, że nie jesteś generałem i nie należy ci się prywatna kwatera?

Skan zachichotał. Zadziwiająco, jak nawet niewielkie polepszenie kondycji wyraźnie poprawiało mu nastrój. Nie był w wyśmienitym humorze, ale przynajmniej nie miał już ochoty nikomu urywać głowy.

— Nie, stwierdzili, że muszę czuć się samotny. Jednak zamiast przysłać mi zgrabną, młodą samiczkę, dali tę odrażającą kupę postrzępionych piór. Poznajcie się, to Aubri. Uważaj, żebyś się o niego nie potknął.

Drugi gryf w namiocie, owinięty w bandażę pokrywającą oparzenia, uniósł wolno jedną brew i prychnął:

— A ja myślałem, że umieścili mnie tu z tobą za karę, pierzasty łbie. — Uniósł głowę, którą miał położoną na przednich kończynach i posłał Tamsinowi i Cinnabar długie, pełne cierpienia spojrzenie. — Powinniście wiedzieć — ciągnął z udawanym oburzeniem — że on w nocy chrapie.

— Podobnie jak ty — odparł Skan. — Śniło mi się, że zostałem zaatakowany przez ogromnego śpiewającego ptaka, który okropnie fałszował. Obudziłem się i stwierdziłem, że to ty wydajesz te straszne dźwięki. Może samego siebie usłyszałeś we śnie. Chrapałeś tak głośno, że nawet ciebie to obudziło!

— Nie sądzę — zaprzeczył Aubri, potem znowu położył głowę na przednich kończynach i zaczął udawać, że śpi.

Skan znowu zachichotał.

— Lubię go — zwierzył się Tamsinowi donośnym szeptem — ale mu nie mówcie. Zrobi się tak arogancki, że zaczną go mylić ze mną.

Od strony „śpiącego” Aubriego dobiegło ich tylko ironiczne parsknięcie.

— No cóż, wiesz, dlaczego tu jesteśmy — odezwała się Cinnabar, wychodząc zza pleców kochanka i witając się ze Skanem czule.

— Tak — odparł Skan. — Jesteście tutaj, aby udawać, że zajmujecie się moimi ranami, podczas gdy w rzeczywistości dotykacie siebie nawzajem. Och wy! Połączeni więzią życia! Muskacie zawsze tylko siebie nawzajem! Co gorsza, jako ludzie zawsze jesteście w porze godowej...

— A ty nie?... — zagrział Aubri ze swojego miejsca.  
— Co? — zdziwił się Skan. — Zdawało mi się, że coś słyszałem.  
— To niemożliwe — odparł Aubri — bo ja śpię.  
— I całe szczęście. — Skan skupił swoją uwagę na ludziach, którzy ze wszystkich sił starali się nie wybuchnąć śmiechem. — Jak powiedziałem, co gorsza, zawsze jesteście w porze godowej, zawsze się głaskacie. Wystarczy, aby przyzwoitemu gryfowi zrobiło się mdło od tych czułości.  
— Zatem Skandranonowi nic nie grozi, bo on z pewnością nie jest przyzwoity — doszedł ich pomruk.  
Skan z udawanym smutkiem pokiwał głową.  
— A nie mówiłem? Ten gbur nie tylko chrapie w nocy, ale na dodatek w dzień plecie bzdury. Podejrzewam, że większość ran ma na zadzie, bo tam z pewnością mieści się jego mózg.  
— Denerwuje go, że nie ulegam jego wymyślanemu „urokowi” — zagderał Aubri, uniósłszy głowę. — A w dodatku pobiłem go w „logicznych łami-główkach”.  
— Najpierw musiałbyś mieć jakąś logikę, aby się nią posłużyć. Po prostu udawało ci się zgadnąć. Pokonałem w tym samego Urtho.  
Skandranon zasmucony spojrział na oboje uzdrowicieli.  
Cinnabar podeszła do gryfa, przesuwając dłońmi po jego lewym skrzydle i boku.  
— Widzę, że Gesten wykonał dobrą robotę. Wyglądasz wspaniale. Wkrótce będziesz w tak dobrej formie, że olśnisz wszystkie samice. Masz w końcu zamiar wybrać sobie towarzyszkę?  
Skandranon nagle trzasnął skrzydłami i utkwiał w niej wzrok, który był ostrzejszy, niż naprawdę zamierzał, by był. Poczuł, jak ciemniej mu nozdrza — ciągle zadawanie tego pytania irytowało go. Jakby się założyli, z kim, kiedy i jak!  
Cinnabar przygryzła wargę i cofnęła się, udając — udawanie było trochę zbyt oczywiste — że szuka czegoś przy pasku torebki. Tamsin przełamał napięcie kasznięciem i przyciągnął głowę Skana do siebie.  
— Pozwól, że zajrzę ci teraz w oczy.  
— Pomyśli sobie, że się w nim zakochałeś — prychnął Aubri. Zanim Skan mógł cokolwiek odpowiedzieć, Tamsin zamknął mu dziób jedną ręką i utkwiał w nim wzrok. Chodziło o poważną sprawę. Gryf mógł oceniać względną odległość i szybkość każdym okiem niezależnie od siebie i potrafił dokładnie porównywać najmniejsze szczegóły znajdujących się przed nim obiektów. Na przykład papierowa okładka książki, którą czytał Skandranon, była dla niego wyraźną płaskorzeźbą, dostrzegał nawet zagłębienia od pióra. Jednak podobnie jak wiele innych części ciała gryfa, oczy można było wykorzystać do sprawdzenia stanu zdrowia reszty ciała. Tamsin pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż przy

soczewce prawego oka Skandranona, stając się rozlaną plamą, która wypełniła większą część pola widzenia gryfa.

— Żrenica prawidłowo się powiększa. Żadnych problemów z akomodacją? Czy każdym okiem widzisz dobrze dal?

— Z Aubrim w namiocie trudno znaleźć jakąś dal — odparł żartobliwie Skandranon. — Ale tak, wszystko wydaje się w porządku. Chciałbym już wziąć udział w jakiejś akcji.

— Nie bój się, wojowniku, jeszcze w niejednej będziesz uczestniczył, a to z pewnością znaczy, że niedługo znowu spotkamy się w namiocie operacyjnym — zażartowała Cinnabar. — Na razie oddziały Ma'ara muszą przestać robić zakłady o twoją głowę. Wiedzą, że i tak prędzej czy później będą mieli okazję do ciebie strzelać.

Skandranon wstał — czuł się teraz znacznie lepiej — i poczerwieniał z oburzenia. Chodząc, mógł wyrządzić jakąś szkodę.

— Jeszcze mnie nie zabili, prawda, Jewel?

Oszołomiona hertasi, która właśnie przyniosła zwinięte koce dla Aubriego, spojrzała na Skana rozszerzonymi oczami.

— N... nie — odparła, nerwowo zerkając na uzdrowicieli. Była to oczywiście ulubiona zagrywka Czarnego Gryfa — wciąganie innych w swoje kłótnie bez względu na to, czy tego chcieli czy nie albo czy w ogóle mieli jakieś pojęcie, o co chodzi. Zawsze kpił! Szczególnie kiedy przedmiotem dyskusji stawał się on sam, i zaczynało robić się niemiło.

— Widzicie więc? Jewel wie. Było to tylko chwilowe niepowodzenie i migiem wróć do zdrowia, by służyć w armii Urtho.

Nastroszył pióra na piersiach i przybrał heroiczną pozę.

— Bogowie, chrońcie mnie przed nim! — rozległ się błagalny jęk. Tamsin i Cinnabar wybuchnęli śmiechem, podczas gdy Jewel, nadal oszołomiona całą sceną, pośpiesznie układała zwoje koców, aby Aubriemu było wygodniej. Skan oczywiście nie przerwał występu dla swojej publiczności.

— On nie jest przyzwyczajony obcować tak blisko z wielkością.

Skan z ukosa rzucił Aubriemu wyniosłe, protekcyjne spojrzenie.

— Nie jestem przyzwyczajony do tkwienia w sketi po uszy! On jest nie do zniesienia w nocy i w dzień — skarżył się Aubri. — Uzdrowiciele, czy moglibyście unieruchomić mu język albo zatkać mi uszy? A najlepiej jedno i drugie.

— Biedne ślepe piskłę — odciął się Skan. — Jestem zmuszony przebywać w towarzystwie zubożniałca. Wyznam wam szczerze, że to jest nawet gorsze niż cieleśne rany.

Jewel zatrzymała się na chwilę, przyjrzała się sytuacji, i najwyraźniej uznała, że musi pilnie zabrać się do zwijania czystych bandaży dla Aubriego, co też uczyniła z ogromnym namaszczeniem, w najdalszym kącie namiotu. Lady Cinnabar przychodziła do siebie po gwałtownym ataku śmiechu i patrzyła rozbawiona na

Skana, podczas gdy Tamsin uszczypnął gryfa w ogon. Potem otarł ręce, jak gdyby skończył pracę po całym ciężkim dniu i rzucił zadowolone spojrzenie swojej kochance.

— Powiedziałbym, że to już koniec naszej pracy, lady. Skan jest w tak dobrej formie jak jeszcze nigdy.

— To straszne — wymamrotał Aubri.

— O, proszę — odparł Skan. — Mam możliwości, którymi...

— ... chwale się wszystkim wokół od lat — wtrącił szybko Aubri — i nigdy ich nie wykorzystałem.

Skan postanowił, że przyda się szybka zmiana tematu.

— Czy wy dwoje macie oko na naszego Pana i Mistrza? — spytał. — Kiedy Urtho mnie odwiedził, wydało mi się, że wygląda na niedożywionego.

— To nie było łatwe, ale upewniałam się, że z każdego posiłku, który mu przynoszono, zjadał przynajmniej kęs lub dwa — odparła z westchnieniem Cinnabar. — A jego hertasi przynosił mu jedzenie co dwie miarki świecy. Jednak nie prędzej będzie przyjmował normalne porcje posiłków, aż złe wieści przestaną przychodzić z linii frontu, inaczej o nich zapomina.

— Daje z siebie więcej niż może — powiedział Skan, siadając i poważniejąc na chwilę. — Nigdy nie chciał być dowódcą. Nie nadaje się do tego.

— Dość dobrze sobie radzi. Jeszcze wszyscy żyjemy — stwierdziła Cinnabar. — Został dowódcą, dlatego że król abdykował. A ludzie króla okazali się bez charakteru.

Aubri zamrugął.

— Niestety to święta prawda — dorzucił.

Jednak Skan wytknął język z niesmakiem.

— Ona jest bardzo życzliwa, Aubri. Kiedy Ma'ar zaatakował po raz pierwszy, ziemie graniczne płonęły niczym drewno do podpałki. Baronowie wpadli w panikę i najszczerze wysiłki króla, aby zebrać ich razem, na nic się zdały. Wszystko się rozpadło. Pozostał nam tylko Urtho, do którego mogliśmy się zwrócić. Nikt inny nie miał pojęcia o tym, co się działo. Rodzina Cinnabar i kilka innych wystąpiły przeciwko rozpadowi królestwa. Reszta rozpierzchnęła się jak przestraszone kury, zresztą mózdzki też mieli kurze.

— Pamiętaliśmy, że służymy naszym poddanym. Ci, którzy uciekli, dbali o własne tyłki i zostawili swoje ludy płaczące w żałobie — dodała Cinnabar. — Nie wiemy, co stało się z większością z nich. Niektórzy mieli zmienione twarze. Inni oszaleli albo umarli. Większość stale się ukrywa. Urtho ich nie wini. Powiedział królowi, że Ma'ar rzucił na nich czar strachu. Jednakże — rzekła, kręcąc kosmyk włosów — wydaje się, że nie wszyscy z nas zostali nim dotknięci.

Na kłapę namiotu padł cień, a w sekundę później pojawiła się w wejściu kobieta o surowym wyglądzie, ubrana w nienaganny mundur. Jej brązowe włosy były krótko przycięte, z wyjątkiem trzech warkoczyków spadających na plecy, każdy

był długości ludzkiego przedramienia, wszystkie ułożone z matematyczną precyzją na jej smukłej szyi. Kiedy weszła, jej piwne oczy zmierzyły najpierw ludzi, potem gryfy, a na końcu hertasi. Potem popłynęła niczym zimna woda ku Aubriemu. A raczej popłynęłaby, gdyby nie utykanie, które starała się ukryć. Skan wpatrzył się w nią zdziwiony, wtargnięcie bowiem nieproszonego gościa do namiotu było nie tylko niegrzeczne, ale i niebezpieczne, szczególnie kiedy taki namiot mieścił poranione gryfy. Jednak Aubri nie wyglądał na zdziwionego ani obrażonego, tylko zrezygnowanego.

— Czym możemy ci służyć? — zapytał Tamsin wyraźnie zdziwiony, że kobieta nawet nie skinęła głową na powitanie.

Nieznajoma nawet na niego nie spojrzała.

— Dziękuję, uzdrowicielu. Przyszłam, aby zająć się tym gryfem,

— A ty jesteś...? — zagrzemiał Skandranon niebezpiecznym tonem.

Kobieta nie zwróciła na to uwagi lub po prostu zlekceważyła go.

— Jego trondi'irn, Zimowa Łania z Szóstego Wschodniego Dywizjonu — odparła lakonicznie, ignorując Skana i zwracając się do Tamsina. — Nazywa się Aubri i cierpi na oparzenia spowodowane atakiem wroga — wyjaśniła.

*Jak to miło z jej strony. Wprowadza nas w szczegóły, które są oczywiste, jakbyśmy nie mieli swojego rozumu czy oczu. Jakże nas szanuje! Poza tym zwracała uwagę tylko na ludzi, Tamsina i Cinnabar. Co za arogancka dziewczucha! Myśli, że kim jest? Narzeczoną samego Urtho?*

Kobieta jednak nie skończyła.

— Przyszłam także zwolnić cię, Jewel. Potrzebna jesteś do przygotowywania posiłków dla Szóstego Wschodniego Dywizjonu. Zamelduj się tam natychmiast.

Jewel zatkało, potem mrugnęła oczami i potaknęła.

Zimowa Łania wyciągnęła krótki, ale najwyraźniej ostry srebrny nóż zza swego połyskliwego pasa i przecięła bandaże Aubriego, przyglądając się pokrytej pęcherzami skórze.

— Nie sądzę... — zaczął Tamsin. Kobieta przerwała mu, gdy Jewel wybiegała z namiotu.

— Aubri jej nie potrzebuje — odparła szorstko — a Szóstemu trzeba rąk do pracy.

Tym razem Skan zlekceważył jej arogancję, gdyż jej słowa zastanowiły go.

— Szósssty, ten od Zhaneel? — zapytał.

Kobieta spojrzała na niego. Wydało mu się, że jego słowa ją uraziły, ale odpowiedziała.

— Tak. Jest to niezwykle przypadek. Wszystkich nas zadziwiła swoim wyczynem. — Wzruszeniem ramion podsumowała Zhaneel i jej trywialne dokonanie. — To raczej dziwne. Wcześniej nigdy nie mieliśmy w naszych szeregach żadnego wyrodka.



Oczy Skandranona błysnęły złowrogo i nie wiedząc kiedy, rzucił się w stronę kobiety.

— Wyrodka?

Tamsin i Cinnabar schwycili go z obu stron za skrzydła Powtórzył niedowierzająco swoje pytanie:

— Wyrodka?

Zimowa Łania zlekceważyła jego jawną wściekłość i jego pytanie. Wzięła się natomiast do zdejmowania Aubriemu bandażu. Wzniosła swe dłonie nad oparzeniami.

Nawet Skan wiedział, że lepiej nie przerywać transu uzdrawiania, ale potrzebował kilku chwil, aby powściągnąć swój gniew.

— Wyrodek! Rzeczywiście — parsknął do Tamsina oburzony. — Jeśli młoda Zhaneel miałaby być wyrodkiem, to może i ja nim jestem! Ci idioci w Szóstym nie wiedzą, jak szkolić kogoś, kto nie ma stalowych mięśni o rozmiarach komody. Oto ich problem! Wyrodek!

Tamsin wydawał syczące dźwięki, które Skan zlekceważył. Zamiast tego przyjrzał się dokładnie Zimowej Łani. Fakt, że ta kobieta o zimnym sercu była trondi'irn Zhaneel, wiele mówił na temat nieśmiałości i poczucia bezwartościowości młodej samicy. Zimowa Łania nie interesowała się stanem emocjonalnym Zhaneel. Traktowała swoich podopiecznych, gryfy, jak katapulty. Dbała tylko o to, żeby były dobrze przygotowane do walki i właściwie opatrzone, lekceważąc wszystko, co wykraczało poza stan fizyczny. Zhaneel potrzebowała kogoś takiego jak Cinnabar albo Bursztynowy Żuraw, a nie ten... chodzący sopel lodu.

Dała Aubriemu całą swą moc uzdrawiania; przynajmniej jeśli chodzi o to, nie oszukiwała. I była dobra, bardzo dobra, co prawda pacjent nie był zbyt wymagający, jeśli chodzi o podejście do chorego czy empatię. Aubri przyjął uzdrawianie cicho i nie skomentował niczego ani nie narzekał, kiedy skończyła.

Ale najwyraźniej nie obchodziło jej, że ma też inne obowiązki: nie sprawdziła, czy Aubriemu jest wygodnie, nie zapytała, czy ma jakieś inne rany niż te, które widziała, nie spytała, czy czegoś potrzebuje. Skinęła tylko szybko głową Tamsinowi i Cinnabar, zlekceważywszy zupełnie Skana, i wyszła.

Nikt się nie odezwał.

— No cóż — rzuciła Cinnabar, przerywając ciszę — jeśli uzdrowiciele dzisiaj mają takie przygotowanie, powinnam zapytać Urtho, gdzie ta kobieta się szkoliła!

Tamsin pokiwał poważnie głową, Cinnabar jednak nagle zamyśliła się.

— Dziwne — wymruczała — mogłabym przysiąc, że już wcześniej gdzieś ją widziałam.

Chwilę później pokręciła głową, zwróciła się do Aubriego i powiedziała:

— Przyślę ci jednego z moich osobistych hertasi, dopóki nie sprowadzimy z powrotem Jewel. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Pęczki na uszach Aubriego uniosły się ze zdziwienia.

— Nie, dziękuję, moja pani — odparł, usiłując ukryć zdumienie. — Jest mi całkiem wygodnie, naprawdę.

— Gdybyś czegoś potrzebował, pošlij kogoś po mnie. — Uporawszy się z Aubrim, Cinnabar zwróciła się do Skana: — Jak myślisz, jesteś w stanie się opanować, jeśli ona wróci? — spytała. — Jeśli nie, będę musiała przenieść Aubriego, abyś nie był narażony na spotkanie z nią.

— Nie mogę obiecać — zagrzmiał Skan — ale będę się ssstarrrał.

Miarą jego gniewu było to, że znowu zaczął przedłużać niektóre głoski.

— Niczego więcej od ciebie nie oczekuję — odparła Cinnabar. Jej oczy rozbłyły ze złości, gdy spojrzała na ciągle jeszcze rozkołysaną kłapę namiotu. — Niczego więcej nie oczekuję też od siebie.

Tamsin wymruczał coś pod nosem; być może zapomniał, że słuch gryfów był tak dobry jak jego wzrok. Dla człowieka było to niesłyszalne, ale Skan zrozumiał go całkiem wyraźnie.

— Muszę o niej porozmawiać z Bursztynowym Żurawiem... Tamsin przy gryźł na moment swoją dolną wargę, zmartwiony zmarszczył brwi, a potem westchnął.

— No cóż, największy z podniebnych wojowników — rzekł lekko, utkwivszy w Skanie złośliwe spojrzenie. — Jak sądzę, w ciągu najbliższych kilku godzin nie będziesz już od nas niczego potrzebował. Udajemy się więc do tych z większymi ranami i mniejszym ego.

Skan udał, że jest obrażony, a Aubri parsknął rozbawiony. Złość Cinnabar stopniała nieco, gdy jej kochanek ujął ją za rękę i wyprowadził z namiotu.

Aubri usadowił się wygodniej, trochę się krzywiąc, kiedy oparzenia tarły o bandażę. Skan ułożył się w swoim gnieździe z poduszek, uważając na zrastające się kości. Spojrzał wyczekująco na swojego towarzysza, mając nadzieję, że za chwilę rozpocznie się kolejna bitwa na dowcipy. Ale uzdrawianie widocznie zmęczyło Aubriego i przerwa w bólu sprawiła, że na jego miejsce, niczym zamachowiec, aby go powalić, pojawiło się wyczerpanie. I nim Skan zdołał obmyślić jakikolwiek atak, oczy Aubriego zamknęły się i zaczął chrapać.

— A nie mówiłem! — wyszeptał Skan w kierunku śpiącego gryfa.

Przynajmniej biedak może w końcu trochę się przespać. Skan dobrze wiedział, że ostatniej nocy sen Aubriego nie był najlepszy, przerywany dotkliwym bólem; zastanawiał się wtedy, dlaczego trondi'irn jego towarzysza nie przychodzi sprawdzić, czy gryf przynajmniej zasnął — no cóż, teraz wiedział dlaczego.

*Ta Zimowa Łania w ogóle się nami nie przejmuje. Jesteśmy dla niej tylko czymś w rodzaju broni, zaopatrzonej w użyteczne pióra, broni, która sama potrafi znaleźć swój cel ataku. Interesuje ją tylko to, jak najszybciej można nas z powrotem wysiać na front. Mogłaby równie dobrze przytwierdzać strzałom lotki.*

Zimowa Łania nie była jedyną osobą w siłach Urtho, która myślała w ten sposób; niestety, dwóch z dowódców Urtho, generał Shaiknam z Szóstego i je-

go zastępcą, komendant Garber, reprezentowali taką samą postawę. Większość wspaniałych stworzeń Urtho traktowali jak konie, jastrzębie czy psy. Jeśli gryf nie wykonywał dokładnie tego, co mu kazano, nawet, jeśli rozkazy były bezsensowne, był przegrany. Oczywiście, Shaiknam wybierał sobie podwładnych, którzy prezentowali tę samą humanitarną postawę.

Skan oparł podbródek na przednich kończynach i pogrążył się w myślach. Nieczęsto dane mu było w tak wyraźny sposób Przekonać się, jakim jest szczęściarzem, mając za swego trondi'irn Bursztynowego Żurawia, oraz Tamsina i Cinnabar za swych uzdrowicieli.

A jeśli coś by się przydarzyło Bursztynowemu Żurawiowi?

*Mógłbym trafiona równie zimną, nieczułą skałą, jak ta Zimowa Łania. I nie miałbym nic do powiedzenia w tej sprawie. . . Tak jak nie mam nic do powiedzenia na temat tego, kiedy chciałbym mieć młode, któremu dowódcy chciałbym służyć albo jak zmienić piany bitwy, jeśli komendant nie będzie miał ochoty zapytać gryfa o zdanie.*

Gryfy były często traktowane dokładnie tak, jak traktowali je Shaiknam i jego podwładni — jak głupie zwierzęta, przynęta dla wroga, pozbawiona własnej woli, inteligencji czy duszy.

Im dłużej o tym dumał, tym więcej gorzkich myśli napływało do jego głowy. Dzięki Bursztynowemu Żurawiowi prowadził stosunkowo swobodne życie, w takim stopniu, w jakim było to możliwe dla każdego z wojowników Urtho. Jednakże Zhaneel była przykładem tego, jak za pomocą lekceważenia można zmienić dobrego gryfa w kogoś niedowartościowanego i okaleczonego duchowo.

*Zbyt wielu spośród ludzi Urtho — a czasami nawet on sam! — traktuje nas tak, jakbyśmy nie byli inteligentnymi istotami. Jesteśmy rzeczami. Nie mamy żadnej autonomii.*

Z miejsca, w którym leżał, mógł bez kłopotu odczytać tytuły na grzbietach książek, które przysłał mu Urtho. Biografie, dzienniki, przeważnie wielkich ludzi, oczywiście, i wielkich przywódców albo tych, których za takich Skan uważał. Czy Urtho spostrzegł, w jaki sposób Skan studiuje te książki, ocenia postępowanie tych ludzi, to, co zrobili, stając się inspiracją dla swych naśladowców? Czy zauważył, że poszukiwał iskry, sekretu, słów, które zmieniły zwykłych naśladowców w wyznawców? A może myśli, że Skan czyta je tylko dla czystego ćwiczenia?

*Spraw, by twoja motywacja była tajemnicą dla wroga, ogłupiaj go fałszywymi planami, wykorzystuj jego siłę przeciwko niemu, sprowadź go na nieprzyjazny mu grunt, nie okłamuj swoich naśladowców i pokaż im sposób, w jaki mogą stać się podobni do ciebie. Prowadź przykładem. Oni nie byli fikcją na papierze, stali się sposobem życia dla tych, którzy układali potem o nich legendy. Urtho znał połowę tych pisarzy. Ćwierć z nich pracowała dla niego, kiedy nas stwarzał. A jednemu z nich służył.*

Urtho uczył się od nich wszystkich; a teraz uczy się Skandranon. Dlaczego zatem wszystko ma zostać tak jak jest?

Bursztynowego Żurawia obudził zapach podgrzewanej migdałowej śmietanki. Gesten krzątał się już żwawo, kiedy jego kestra'chern dopiero się budził. Gwizdał skoczne melodie hertasi, jednocześnie składając ręczniki, polerując mosiądze, co jakiś czas przerywając te czynności, aby doglądać dzbanka ze śmietanką na palenisku. Bursztynowemu Żurawiowi przypomniały się witające świt strzyżyki z opowieści hertasi, o słońcu, które trzeba zachęcać do wyjścia z drzemki poranną muzyką.

Kestra'chern przewrócił się na drugi bok, wyciągnął nogi spod błyszczącego czerwonosrebrnego satynowego przykrycia, które dostał od Urtho po skończeniu nauki. Schował się pod kołdrę i miał nadzieję, że Gesten nie zauważy, iż się obudził, ale było już za późno. Hertasi odkrył narożnik koca i podał mu filiżankę.

— Dzień dobry i smacznego, kestra'chern. Jak zwykle robota czeka.

Bursztynowy Żuraw zamrugał i wymruczał coś, co byłoby obraźliwe, gdyby było zrozumiałe. Na Gestenie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, podobnie jak sto razy wcześniej, i zaczął poprawiać poduszki pod głową uzdrowiciela.

— Czekaj już na ciebie ciepły chleb i pokrojone kilsie. Dzisiaj mamy trzech klientów. Losita naciągnęła sobie mięśnie i nie może przyjąć swych zwykłych klientów, więc zgodziłem się, abyśmy jednego przyjęli. Nie powinno to długo potrwać. I zanim zapytasz, że Skandranonem wszystko w porządku, ma się dobrze i przesyła ci pozdrowienia.

Bursztynowy Żuraw pociągnął łyk gorącej pienistej śmietanki i uśmiechnął się do Gestena. Co zrobiłby kestra'chern bez hertasi co zrobiłby Bursztynowy Żuraw bez Gestena?

— A więc wszystko wraca do normalności.

— O ile na wojnie można mówić o normalności. — Hertasi splunął i trzepnął ogonem. — Przyszły nowe rozkazy od Shaiknarna i jego zastępcy Garbera. „Wszyscy hertasi z personelu rekonwalescencyjnego mają być przydzieleni do ważniejszych zadań według uznania oficerów”. — Znowu uderzył ogonem o łóżko. — Nie sądzę, żeby Urtho o tym wiedział. To najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałem od lat. Nie jesteśmy narzędziami, którymi można handlować! Hertasi znają swoje obowiązki. Trochę potrwa, zanim kogoś się tego nauczy! To nie do pomyślenia, aby odsyłać hertasi, kiedy ich obowiązkiem jest przynoszenie ulgi w cierpieniu. Gorzej, to okrucieństwo.

Bursztynowy Żuraw skończył pić i na chwilę się zamyślił. Najwyraźniej Gesten spodziewał się, że Żuraw zrobi coś w tej sprawie. Przypuszczenie zmieniło się w pewność, gdy Gesten przyniósł pełną garderobę na ten dzień, ustawił san-

dały i stanął nad nim ze skrzyżowanymi ramionami, niecierpliwie tupiąc nogą.

— Gdzieżeś się tak poparzył? — zapytał Skandranon swego towarzysza, kiedy obaj skończyli solidne śniadanie, które Gesten przyniósł im o świcie. Prawdopodobnie od Cinnabar albo od jednego z jej hertasi mały kolega dowiedział się, że Aubri nie ma służącego, i po prostu wpisał usługiwanie jeszcze jednemu gryfowi na listę swoich obowiązków. Zatem podwójne śniadanie, piękna tłusta owieczka, zostało podzielone na dwóch. Głowę Skan kurtuazyjnie zaproponował Aubriemu, ten przyjął ją i kazał Gestenowi podzielić, aby każdy z nich mógł skosztować tego przysmaku.

Aubri nie szczędził podziękowań, a Skan pokornie ograniczył swoje żądania do koniecznego minimum, aby Gesten mógł skoncentrować się na Aubrim. Zanim Gesten poszedł, Aubri został umieszczony w miękkim gnieździe z poduszek, aby posłanie nie uciskało jego oparzeń, i wszelkie oznaki cierpienia gryfa zniknęły.

— Jak zostałem ranny? — spytał Aubri. — Hm. Częściowo z powodu własnej głupoty. Lecieliśmy na zwiad z rozkazu Shaiknama. Mieliśmy jeden raport o nadciągających zza linii wroga miotaczach ognia, ale tylko jeden. A znasz Shaiknama.

Skan prychnął z dezaprobatą.

— Rzeczywiście. Jeden raport nigdy mu nie wystarcza.

— Szczególnie kiedy nie pochodzi od ludzi — zaskrzeczał Aubri.

— Szkoda mówić, dla nas ten jeden raport z pewnością był wystarczający, ale on go zlekceważył. Nie zatroszczył się nawet, żeby wysłać drugi zwiad dla sprawdzenia informacji.

Gryf chrząknął i zacisnął szpony, jak gdyby chciał chwycić za skórę pewnego dowódcę. Skan nie winił go za to.

— W każdym razie — ciągnął Aubri po chwili — wróciłem właśnie ze swego ostatniego lotu i oficjalnie byłem wolny, a więc nie mógł mi zlecić jednej z tych swoich głupich spraw. Stwierdziłem jednak, że mam jeszcze dość siły, aby tam polecieć i samemu się przekonać. I odnalazłem te miotacze ognia.

— Swoim ogonem — odparł ironicznie Skan.

Aubri wybuchnął śmiechem, akurat gdy przyszedł Tamsin z Cinnabar i jej dwoma osobistymi hertasi.

— Przynajmniej Shaiknam uwierzył, widząc dowód na własne oczy, kiedy przyleciałem, dymiąc. Prawie go rozgniotłem! — Aubri zachichotał. — Powinieneś widzieć jego minę! Kiedy wylądowałem w jego namiocie, podpaliłem go i chciałbym tylko wiedzieć, ile tego gniazdka poszło z dymem.

— Nie tyle, ile byśmy sobie obaj życzyli, Aubri — powiedział Tamsin. — Przy okazji, płonący bohaterze, dopóki nie wydobrejesz, jesteś pod naszą opieką. Jesteś teraz naszym pacjentem i gdyby Jej Wysokość Zimowa Łania przyszła

wydawać ci rozkazy, powiedz jej, żeby najpierw zgłosiła się do nas.

Skan zamrugął zdziwiony. Nie zdarzało się często, aby Tamsin w swoim przeładowanym rozkładzie robił miejsce dla pacjenta z innego dywizjonu, w dodatku podległego innemu dowódcy. Zimowa Łania musiała go wczoraj naprawdę rozłościć!

— Tak, Shaiknam powinien być odesłany na jakiś czas do skrobania garnków — dodała Cinnabar, marszcząc z niesmakiem swój elegancki nos. — Moja rodzina знаła jego rodzinę od czasów, gdy nasi dziadkowie byli dziećmi, i szkoda, że ta błada gęś dorwała się do władzy. Jediną rzeczą, do jakiej ma naprawdę talent, jest tracenie zainteresowania dla swych kolejnych pomysłów.

— Oraz do wydawania nie swoich pieniędzy — przypomniał jej Tamsin.

Pokręciła głową i odrzuciła włosy do tyłu.

— Tak było w czasach pokoju — poprawiła go. — Teraz on żeruje na reputacji swego ojca, zamiast trwonić jego złoto na kolejne głupie pomysły. — Zaczęła na swoich palcach wyliczać niektóre z nich, a Skan i Aubri słuchali z nastawionymi uszami. — Zespół teatralny, który porzucił, kiedy sztuka była w trakcie prób, dekoracje na wpół zbudowane, a kostiumy skrojone. Usiłowali wystawić sztukę bez niego, ale ponieważ napisał ją jeden z jego przyjaciół, który miał o tym słabe pojęcie, nie wyszło to najlepiej i zespół wkrótce zbankrutował. Następnie postanowił być wydawcą, ale znowu, kiedy okazało się, że zadanie wymaga tego, by mu poświęcił trochę czasu, stracił całe zainteresowanie i zostawił pół tuzina pisarzy nie wiedzących co począć z płodami swych umysłów. Potem zaplanował ogród przyjemności. Och, Bursztynowy Żuraw zna opowieść o tym lepiej ode mnie. I ta skończyła się tak jak poprzednie. Na wpół ukończony ogród zarósł chwastami, a wielu utalentowanych ludzi, którzy odrzucili inne oferty zatrudnienia, wylądowało na bruku. Teraz zajmują drugo- i trzeciorzędne stanowiska, po tych, którzy mają może mniej talentu, ale lepsze rozeznanie, jeśli chodzi o Shaiknama i jego entuzjazm.

— Jego ojciec był pierwszym i największym generałem w siłach Urtho — powiedział Tamsin dwóm zafascynowanym gryfom. — Na własne uszy słyszałem, jak Shaiknam mówił, że jest pewien, iż odziedziczył talenty po ojcu. Tak jakby można było przekazywać w genach wiedzę i doświadczenie!

Skan zaśmiał się w głos.

— Powiedziałbym raczej, że ten Shaiknam jest żywym dowodem na to, iż inteligencja może pewne pokolenia omijać.

Cinnabar uśmiechnęła się, oczy błyszczały jej z rozbawienia.

— No cóż, dowodem na to, że Skandranon ma rację, jest ostatni rozkaz Shaiknama: „Hertasi z personelu rekonwalescencyjnego mają być natychmiast przydzieleni do zadań ważniejszych”. Dlatego właśnie przyprowadziłam tu Callę i Rio, prawda, mali przyjaciele?

Spojrzała czule na dwoje hertasi, a oni uśmiechnęli się szeroko.

— Niech tylko jakiś głupiec z Szóstego Wschodniego Dywizjonu przyjdzie tu i spróbuje nam wydać jakieś rozkazy — powiedział Rio, który tak samo jak jego koleżanka był schludnie ubrany w kolory osobistej świty lady Cinnabar. — Dostanie po uszach i będzie zmykał, aż się będzie kurzyć.

— Jednak będziesz się musiał nami podzielić — dodała Calla. — Lady sprawdziła, że wśród rannych jest wielu podwładnych Shaiknama, i wszystkich musimy obsłużyć. Nie masz nic przeciwko?

— Przeciwko? — odparł Aubri, wyraźnie zdziwiony, ucieszony i trochę zakłopotany. — Jak mogę mieć coś przeciwko? Nie spodziewałem się żadnej pomocy! Mogę wam tylko podziękować, wiedząc, jak nieadekwatne są te wyrazy wdzięczności. . .

Oboje, lady Cinnabar i Rio, machnęli rękami.

— Moi przyjaciele mają wielką ochotę robić coś poza zaspokajaniem mych nie istniejących potrzeb — odparła. — Gdyby moja rodzina nie należała, sama przejęłabym obowiązki swojej świty i w ogóle tych dwojga by tu nie było.

— Za co jesteście rodzinie stokrotnie wdzięczni — wtrącił się Rio. — Jak i za to, że możemy zrobić coś pożytecznego. Kiedy poznamy wszystkich pacjentów, wrócimy tu, aby się przekonać, czego ci potrzeba, dobrze?

Aubri milcząco skinął głową.

— Nie dziwię się, że Shaiknam powierzył funkcję trondi'irn komuś takiemu jak ta Zimowa Łania — zauważył Tamsin, sprawdzając zrastające się kości Skana. W tym czasie Cinnabar i dwoje jej pomocników smarowali Aubriemu oparzenia łagodzącymi kremami i maściami.

Aubri zasyczał z bólu, ale odparł:

— To dla niego typowe. Ona nie będzie mu się sprzeciwiać. Dlatego ją wybrał. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby w naszej armii był inny trondi'irn, który byłby w stanie znieść tego sketi. Ona jednak jest do niego podobna; uważa, że jesteśmy tylko bronią zdolną do rozmnażania się. Jesteśmy podobni do miotaczy ognia, a nawet lepsi, ponieważ sami powracamy do zdrowia, jeśli się nam da trochę czasu. Bardzo przebiegła jest ta Zimowa Łania.

— Wystarczająco przebiegła, aby odesłać Jewel, skoro tylko przekonała się, że jesteś w kiepskim stanie — zauważył Skan.

Aubri prychnął.

— Byłem zdziwiony, że zostawiła mi Jewel na tak długo. Być może nie zauważyła, że zniknąłem. Jednakże w sprawie tego nowego rozkazu wykazała dużą pomysłowość.

— A kto właściwie wymyślił tę kupę bzdur? — spytał z niesmakiem Tamsin.

— Garber. Zastępca Shaiknama. Jeśli go nie znasz, jest to oficer w każdym calu. — Aubri powiedział to tonem, który nie zostawiał wątpliwości, co myśli o tego typu oficerach.

— A więc, ci, którzy zostaną ranni na linii frontu — gdzie przypuszczalnie ani Shaiknam, ani Garber nigdy nie byli — mają sobie radzić bez pomocy tych, którzy mogliby sprawić, że ich powrót do zdrowia przebiegałby w lepszych warunkach? — Zimny głos lady Cinnabar powiedział Skanowi, że kobieta gotuje się z gniewu. Im bardziej była rozdrażniona, tym chłodniejszy stawał się jej głos. — Zobaczymy.

Skan szybko pochylił głowę, aby wzrokiem nie zdradzić swej radości. Lady Cinnabar rzadko wykorzystywała swą pozycję — była jednym z najbardziej zaufanych doradców Urtho. Co prawda rzadko doradzała, ale gdy już udzieliła rady, poruszała góry i rozdzielała oceany, doprowadzając do drżenia niejednego twardego, nim została w końcu usatysfakcjonowana. Gdyby chodziło o walkę jeden na jednego, Urtho wysłałby lady przeciwko Ma'arowi i mógłby być pewien, że nawet jeden włos w fryzurze Cinnabar nie zmieni położenia, podczas gdy Ma'ar będzie związał się u jej stóp, błagając o litość.

Jednak chociaż była bardzo rozgniewana, pożegnała się grzecznie z Aubrim i Skanem. Poleciała Calli i Rio, aby z Tamsinem odwiedzili resztę pacjentów z oddziałów Shaiknama, po czym dumnym krokiem wyszła.

Tamsin zachichotał, a Skan mu zawtórował. Aubri przyglądał się im zdumiony.

— Co w was wstąpiło? — zapytał w końcu, zżerany ciekawością.

Skan posłał Tamsinowi wymowne spojrzenie, które wywołało tylko u niego kolejny napad śmiechu. Zatem Skan odpowiedział za nich obu.

— Lady Cinnabar ma niezwykły posłuch u Urtho — wyjaśnił. — Myślę, że stanowi ona kombinację młodszej siostry i szanowanego nauczyciela. A kiedy jest zła — aj, może rozpuszczać szkło! Nie zadowolili się zwykłą rozmową z Urtho i zmianą tych rozkazów. Będzie się upierała, by spotkać się z Shaiknamern i Garberem, aby osobiście udzielić im lekcji. A gdy się już to stanie, nie ty jeden będziesz leczył przypalony ogon!



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bursztynowy Żuraw postanowił odłożyć swoje śniadanie i najpierw umówić się z Urtho. Wiedział, że Gesten nie da mu spokoju, dopóki nie załatwi sprawy Shaiknama. Miał nadzieję, że zdoła się szybko wślizgnąć do czarodzieja i odbyć z nim cichą pogawędkę. Nie było mu to jednak pisane: gdy przybył do Wieży, okazało się, że Urtho już od dłuższego czasu jest pochłonięty rozmową z doradcami. Było oczywiste, że są sprawy pilniejsze niż spotkanie z wysłannikiem hertasi.

Sytuacja została by opanowana, i to wkrótce, gdyby tylko najstarsi uzdrowiciele, Cinnabar i Tamsin, wiedzieli, co się święci. W ostateczności można tę sprawę załatwić później, kiedy Urtho będzie miał wolną chwilę. Wtedy Bursztynowy Żuraw łatwiej znajdzie okazję, by szepnąć magowi słówko. Pod warunkiem oczywiście, że lady Cinnabar sama nie przedstawi sprawy swemu krewniakowi. Byłoby to rozsądne wyjście. Jednak Gestena nie zadowalało takie załatwienie sprawy, kiedy chodziło o rzeczy, które on uznawał za ważne. Toteż Bursztynowy Żuraw uniknął konfrontacji z nim, unikając jego samego. Zamiast wrócić do namiotu na samotne śniadanie, poszedł do mesy, w której jadali wszyscy kestra'chern. Jedzenie tutaj będzie i tak dokładnie takie samo jak to, które miał zjeść sam: Gesten zazwyczaj przynosił je bezpośrednio od kucharzy. I nawet jeśli większą przyjemność sprawiłby mu samotny posiłek, jego obowiązkiem jako najwyższego rangą kestra'chern było spędzanie jak największej ilości czasu w towarzystwie innych. Chociaż kestra'chern nie mieli formalnej struktury, na Bursztynowego Żurawia spadał obowiązek dopatrzenia, czy ktoś nie jest przeciążony, oraz przypilnowania, aby „grupy wsparcia” funkcjonowały równie sprawnie jak reszta armii. W końcu wszyscy byli prawdziwymi uzdrowicielami, a nie tylko za takich uchodzili. Mieli ogromny wpływ na grupy bojowe.

Niewygodna funkcja — być przywódcą grupy bez przywódców — której by z pewnością nie przyjął, gdyby nie został do tego zmuszony.

Wydawało się, że to, co działo się na górze, u Urtho, nie dotarło jeszcze na dół, do jego podwładnych. W namiocie pół tuzina kestra'chern siedziało przy prostych drewnianych stolikach, nad chlebem i owsianką, popijając gorzkie piwo i rozprawiając. Nie było w tym nic dziwnego; kestra'chern nie lubili wcześniej wstawać. Często pracowali do późna w nocy. Nikt nie wydawał się szczególnie podenerwo-

wany czy przygnębiony. Wszyscy powitali Bursztynowego Żurawia, okazując na różny sposób szacunek i sympatię, i powrócili do swoich rozmów. Bursztynowy Żuraw zamówił szklankę piwa, kawałek chleba i jajko na twardo. Usiadł w takiej odległości, aby mógł słuchać, nie narzucając się.

Szczególnie ożywiona rozmowa odbywała się pomiędzy dwiema kobietami. Wkrótce zaczęło się robić naprawdę gorąco. Znał je obie, żadna nie była Kaled'a'in. Jedna, krzepka, o rudych włosach, nosiła dość niestosowne imię — Lily. Druga, o imieniu Jaseen, była szczupłą, eteryczną blondynką, która z pewnością była w stanie pierwszego z brzegu mężczyznę z piechoty przełamać w pół, nie uroniwszy nawet kropli potu.

Wydawało się, że bardziej rozgniewana jest Jaseen, a wszystko z powodu klienta, którego przydzielono Lily. Bursztynowy Żuraw pochylił głowę nad szklanką i słuchał. Po jakimś czasie kobiecie szepc przerodził się w coś znacznie bardziej głośniego.

— Nie obchodzi mnie to, gdzie był przydzielony albo kto go przydzielił! — syczała. — Ty nie masz doświadczenia, aby sobie z nim poradzić, a ja mam. . .

— A ty nie masz zdolności! — przerwała jej ostro Lily. — A ja tak! Dlatego przydzielono go mnie. . .

— Naprawdę? — odparła cierpko Jaseen. — A zatem doprowadzenie człowieka do załamania nerwowego nazywa się teraz zdolnością i bardziej się liczy od doświadczenia!

Lily skoczyła na nogi, obie dłonie zaciskając w pięści, a jej twarz poczerwieniała.

— Moje zdolności nie są niczym, czego bym się musiała wstydzić! — wykrzyknęła.

— Nie daj się, Lily — ponaglił ją jeden ze świadków, a drugi podniósł się z miejsca i stanął obok Jaseen.

*Oho, dzielą się na stronnictwa. Czas, abym to przerwał!*

Bursztynowy Żuraw podniósł się — w samą porę.

Lily zamierzyła się bowiem pięścią, aby uderzyć Jaseen w policzek. Bursztynowy Żuraw skoczył niczym atakujący wąż i uchwycił jej nadgarstek, zanim zdążyła zadać cios.

— Co wy wyprawiacie? — prawie krzyknął, przerywając tym kłótnię. Obie strony spojrzały na niego zaskoczone. Najwyraźniej wszyscy zapomnieli, że jest na sali.

Bursztynowy Żuraw puścił rękę Lily. Jej policzki zrobiły się szkarłatne ze wstydu, schowała obie ręce za siebie. Spojrzał na Jaseen i z powrotem na Lily, nie kryjąc swego niezadowolenia.

— Wiem, że to napięcie każdemu się udziela, ale nie można sobie z nim radzić w ten sposób! Zachowujecie się tak, jak życzyliby sobie tego nasi wrogowie! — rzekł z wyrzutem. — Nie uważacie, że obie jesteście po prostu dziecinne? Nie

dość, że zaczęłyście tę kłótnię, to na dodatek jeszcze robicie to w miejscu publicznym, w mesie! Przychodzą tutaj uzdrowiciele. Co by sobie któryś z nich pomyślał, gdyby naszedł was tutaj, kłócące się o klienta jak para. . . !

Pokręcił głową, nie mogąc zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Teraz nie tylko Lily się zaczerwieniła. Jaseen i ci dwaj, którzy opowiedzieli się po przeciwnych stronach, zrobili się równie szkarłatni.

Gdy już skupił na sobie ich uwagę, musiał uciec się do słownej ekwilibrystyki, której nie powstydziliby się kapłan czy dyplomata. Trzeba je było jakoś uspokoić, nie wspominając słowem o tragedii, która przyczyniła się do tego, że zostały kestra'chern.

*Tylko kestra'chern zna dobrze ból serca i ran — powtarzali Mu nauczyciele — ponieważ wszyscy inni odczuwają tylko swój własny ból. Nie tak jak my.* W tym obozie każda para oczu widziała niejedną tragiczną historię, a za niejednym pięknym uśmiechem skrywały się łzy. Nikt nie był świadom tego lepiej od Bursztynowego Żurawia.

— Żadnej z was nigdy nie brakowało klientów — karmił. — Jesteście wziętymi specjalistkami! Macie tę samą rangę. Różnicie się tylko siłą. Ten klient, o którego się spierałyście, ma szczególne Potrzeby. Jaseen, co jest ważniejsze: twoja duma czy dobre samopoczucie klienta?

Za wszelką cenę musiał unikać przy Jaseen słowa „trucizna” — trzy lata przebywała w więzieniu za otrucie swego kochanka, a uwolniono ją, bo jej brat przyznał się do popełnienia tej zbrodni. Jednak „łagodne” traktowanie przez strażników zmieniło ją nie do poznania.

Schowała się za burzą swych włosów, ale jej rumieńce były ciągle widoczne.

— Klient — odpowiedziała zduszonym ze wstydu głosem.

— Właśnie — odparł surowo. — Po to właśnie tu jesteśmy. A jaka jest druga zasada, Lily?

Lily szkoliła się na wojownika i służyła w armii Urtho. Została ranna i porzucona bez przytomności. To doświadczenie zszarpało jej nerwy, a rany uniemożliwiły powrót na pole walki. Zanim odnalazła swą drogę jako kestra'chern, traktowano ją jako bezradną kalekę, ułomną na ciele i umyśle. Spojrzała mu w oczy. Jej twarz była równie szkarłatna jak jej włosy.

— Klient otrzymuje to, czego potrzebuje, a nie to, czego pragnie.

— A wy mogłybyście — gdybyście były o tym głęboko przekonane, a nie tylko tak wam się zdawało — dać mu to, czego chce, gdy już dostanie to, czego mu trzeba — powiedział Bursztynowy Żuraw.

Jaseen pociągnęła nosem i zerknęła, czy ta oznaka jej skruchy zrobiła na nim wrażenie. Wyraz twarzy Bursztynowego Żurawia musiał jej powiedzieć, że nie zdobyła żadnych punktów, ponieważ z wolna uniosła głowę i odgarnęła do tyłu włosy, chociaż jej twarz była równie czerwona jak twarz Lily.

— Jaseen. Według mnie, tak jak według uzdrowiciela twojego byłego klienta,

potrzebuje on mniej pieśczoć, a więcej cierni. — Patrzył jej prosto w oczy, aby nie mogła odwrócić wzroku. — Jesteś bardzo dobra, jeśli chodzi o współczucie, ale twój błąd polega na tym, że nie wiesz, kiedy przestać się litować. Współczucie może zmienić się w uzależnienie i powalić silnego mężczyznę tak jak dieta składająca się z samego cukru.

Wyszeptwała coś niedosłyszalnie, ale Bursztynowy Żuraw potrafił na tyle czytać z ust, aby się przekonać, że powiedziała tylko: „Tak, Bursztynowy Żurawiu”.

Odwrócił się do Lily.

— Twoim zadaniem było postawić go wobec wyzwania. Mam nadzieję, że to zrobiłaś, przekonam się o tym po rozmowie z jego uzdrowicielem. Przez wyzwanie niekoniecznie rozumiem wyzwanie fizyczne. Mogłaś go sprowokować, każąc mu zarobić na to, co od ciebie dostanie. — Fakt, że unikała jego wzroku, powiedział mu, że zrobiła coś dokładnie odwrotnego. — My nie jesteśmy towarzyszami do łóżka — surowo przypomniał im obu. — Jesteśmy czymś więcej, niż utrzymują to nasi prześmiewcy.

Obie kobiety zmieniły się na korzyść po ostatnich przejściach — wiedział o tym, podobnie jak każdy kestra'chern w tej grupie. Gdyby nie to, nie byłoby ich tutaj. Otrzymały wskazówki, jak wyjść z psychicznego dołka, w jaki wpędziły je straszliwe doświadczenia. Teraz musiały dzięki nabytej wiedzy pomagać innym tak, jak wcześniej pomogły sobie. Bursztynowy Żuraw nie pozwoliłby na niekompetencję — i chociaż nie był oficjalnie przywódcą, miał posłuch u kestra'chern. Z doświadczenia wiedział, że prawdziwym przywódcom nie potrzeba kwiecistych tytułów.

Jaseen i Lily pochylały głowy, rumieńce na ich twarzach zbladły.

— Tak, Bursztynowy Żurawiu — wymamrotała Lily. — Masz rację, oczywiście. Jednak czasami tak łatwo o tym zapomnieć, zwłaszcza że ludzie traktują nas...

— Ludzie widzą was takimi, jakimi chcieliby was widzieć. To nie znaczy, że takie jesteście — powiedział łagodnie, przypominając im delikatnie o ich przeszłości. — Musicie zawsze pamiętać, kim jesteście. Zawsze. I zawsze w siebie wierzyć.

Jaseen skinęła głową bez słów.

Bursztynowy Żuraw lekko podniósł głos, aby reszta obserwatorów mogła dobrze słyszeć.

— Bez względu na to, kim byli kestra'chern w przeszłości, teraz są kimś bardzo ważnym dla wojowników. Od nas zależą losy wojny. Jesteśmy odpoczynkiem po bitwie i kocem, by ich ogrzać, gdy drżą. Jesteśmy pocieszeniem w ciemności, kiedy śmierć staje się czymś zbyt osobistym. Jesteśmy cierpliwymi słuchaczami, którzy zawsze wysłuchają i nigdy nie osądzają. Jesteśmy kapłanami i kochankami, towarzyszami i obcymi. Dla wielu z nich jesteśmy jedyną rodziną, jaką mają, a czasami jesteśmy na tyle obcy, że mogą nam wyznać wszystko. Potrzebują nas,

jak potrzebują swoich racji, broni, uzdrowicieli. Miejcie to zawsze na uwadze, bez względu na to, jak jesteście traktowani.

Obie kobiety wyprostowały się i patrzyły mu teraz prosto w oczy. Kilku innych kestra'chern pokiwało głowami na znak aprobaty dla jego słów. Zauważył to z zadowoleniem.

— Teraz wracajmy do naszych zajęć — powiedział. — Jesteście zbyt wrażliwe, aby kłócić się o takie rzeczy.

Posłał serdeczny uśmiech obu kobietom, a potem całej reszcie.

— Możemy tracić czas, narzekając na pory roku. Na pogodę, Na temat czegoś produktywnego, pożytecznego.

Po tych słowach swoją uwagę skierował z powrotem na zapomniane śniadanie, zostawiając zakończenie sporu samym zainteresowanym. Obie kestra'chern były dorosłe i odpowiedzialne, był więc pewien, że zachowają się rozsądnie.

Przez kilka następnych minut szeptały nerwowo, a potem się wyniosły. No cóż, dobrze. Nawet jeśli są na tyle głupie, żeby kontynuować kłótnię, dopóki robią to dyskretnie, Bursztynowy Żuraw nie miał nic przeciwko. . .

*Opuszczam się* — pomyślał, wyciągając szklanke ku hertasi, aby ją znowu napełnić, i podziękował małej jaszczurce słabym uśmiechem. — *Jeszcze niedawno przejąłbym się i został z tymi dwiema, aż byłbym pewien, że się pogodziły. Teraz jestem zbyt zmęczony, aby uszczęśliwiać cały świat.*

Zbyt osłabiony albo może zbyt praktyczny, Bursztynowy Żuraw kiedyś sądził, że każdy może być przyjacielem każdego, trzeba tylko trochę czasu, żeby zaakceptować odmienność drugiego człowieka. Teraz wystarczyło mu, aby te dwie kestra'chern wykonywały dobrze swoją pracę i nie mieszały do niej swych sporów.

*Ostatnio poprzestaję na małym.* W tej chwili nie potrafił powiedzieć, czy ten brak energii był dobry czy zły. Po prostu był. a on oszczędzał swe zasoby na czas, kiedy będą naprawdę potrzebne. Na swoich klientów, na Urtho, na Skana — gdyby zużył każdą cząsteczkę swej energii, wypompowałby się do reszty, osłabił i. . .

— Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw?

Ostro postawione pytanie wyrwało go z zamyślenia. Spojrzał w górę lekko wytracony z równowagi. Nad nim stał młody człowiek, sądząc po zielonych szatach — uzdrowiciel. Zważywszy na dobry stan materiału — pewnie jakiś nowy. Nachmurzona mina nie dodawała uroku jego twarzy. Dziwny uzdrowiciel. Stał pochylony, spięty, a jego wielkie dłonie o grubych palcach nadawały się bardziej do pracy z siekierą czy do pługa. Włosy koloru marchewki były ścięte najeża, a kanciasta twarz, upstrzona piegami była gładko ogolona i spalona słońcem. Przeczył powszechnym wyobrażeniom o uzdrowicielach.

*No cóż, ale ja też nie. . .*

— Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw? — młodzieniec zapytał znowu, zaciskając swe wielkie dłonie w pięści. — Tak mi powiedziano.

Bursztynowy Żuraw nie zamierzał pytać, kto mu powiedział. Nie widział powodu, by ukrywać swą tożsamość.

— Tak, to ja — odpowiedział z ostrożną grzecnością. — Czym mogę ci służyć? Muszę cię ostrzec, że lista moich klientów jest długa, i jeśli chcesz się umówić...

— Umówić? — wybuchnął chłopak. — W żadnym wypadku! Żądam, abys wykreślił mojego pacjenta z tej twojej listy klientów! Na wszystkie świętości, co ty sobie w ogóle wyobrażasz. Zabierasz mi człowieka ot, tak sobie, prosto z łóżka i...

Przez jakiś czas młody uzdrowiciel ciągnął swoją przemowę w podobny sposób. Bursztynowy Żuraw czekał, aż zabraknie mu tchu, podczas gdy w nim samym zaczynało z wolna wrzeć. Ten głupiec najwyraźniej wysuwał zwykłe podejrzenia na temat tego, kim jest kestra'chern, i insynuował, że Bursztynowy Żuraw nakłaniał jego pacjenta do jakiejś egzotycznej miłosnej działalności.

A wszystko to wyrzucał z siebie, nie zapytawszy kogokolwiek o Bursztynowego Żurawia, o jego klientów czy o to, kto ich tu przysłał.

*Wystarczyłoby popytać wśród uzdrowicieli, a miałby właściwą odpowiedź — pomyślał Bursztynowy Żuraw, zaciskając mocno zęby. — Jedno słowo i wiedziałby, jak klienci do mnie trafiają, wiedziałby, że jego pacjent został do mnie przysłany przez starszego uzdrowiciela na masaż terapeutyczny. Ale nie — on woli raczej podsycać swe uprzedzenia niż poszukać prawdy!*

Kiedy chłopak w końcu przestał krzyczeć, Bursztynowy Żuraw wstał. Jego oczy znalazły się na poziomie oczu uzdrowiciela, ale miały taki wyraz, że ten mimowolnie się cofnął.

Bursztynowy Żuraw jednak tylko się uśmiechnął. Był to jeden z tych uśmiechów, który dobrze znali Gesten i Tamsin. Gdyby go widzieli, natychmiast robiliby zakłady, ile słów wystarczy Bursztynowemu Żurawowi, aby nie zostawić na biednym głupcu suchej nitki.

— Jesteś nowy w obozie Urtho, prawda? — wypowiedział cicho zdanie, które było największą zniewagą wśród załogi Maga Ciszy. Zastępowało wszelkie negatywne epitety, jakimi można było opisać kogoś beznadziejnie niezorientowanego i niemożliwie niedoświadczonego — ciemniak, ciamajda, fajtłapa, żółtodziób, mleczak, szczawik, gołowąs — i było powszechnie używane jako wstęp do porządnej nauczki.

Chłopak był w wojsku na tyle długo, by to zdanie rozpoznać. Zaczerwienił się, otworzył usta, ale Bursztynowy Żuraw przerwał mu, zanim w ogóle zdążył się odezwać.

— Biorę poprawkę na młodych rekrutów — rzekł cierpko — ale radzę ci, abys nigdy nie zwracał się tak do innego kestra'chern. Chyba że chcesz sobie zafun-

dować wykład u starszego uzdrowiciela lub dostać w skórę tak, że nie pomogą ci własne umiejętności. Czy w ogóle zadałeś sobie trud, aby się dowiedzieć, dlaczego „twój” pacjent został do mnie przysłany? Dla twojej informacji: „twój” klient został przysłany przez starszego uzdrowiciela na masaż terapeutyczny. A ja musiałem nieźle się napracować, żeby zmieścić się w moim przeciążonym rozkładzie. Oddałem ci przysługę. Ten człowiek wymaga leczenia, którego ty nie zdołasz mu zapewnić, bo nie jesteś odpowiednio wyszkolony. Gdybyś próbował, prawdopodobnie zrobiłbyś mu krzywdę. Wystarczyło zadać sobie trud i zapytać starszego uzdrowiciela, dlaczego przepisał mu inne leczenie i gdybyś to zrobił, zamiast się tu awanturować i obrażać mnie, dowiedziałbyś się prawdy.

Chłopak stał z otwartymi ustami i czerwonymi uszami. Jego oczy były pozbawione wyrazu: został absolutnie zaskoczony.

— Co więcej — ciągnął Bursztynowy Żuraw — jeśli znajdziesz czas, aby zapytać starszego uzdrowiciela, dlaczego przysyła się kogoś na leczenie na Wzgórze do kestra'chern, dowiesz się, że starsi uzdrowiciele cenią nasze umiejętności na równi ze swoimi. Poza tym możemy zaoferować pacjentom parę rzeczy, których ty, z całym twoim wykształceniem, nigdy nie byłbyś zdolny im dać. Nasze wstępne wykształcenie jest podobne do twojego. Tylko że większość kestra'chern nic posiada daru uzdrawiania. Musimy wykonywać naszą pracę cierpliwie, z pomocą słów i fizycznego wysiłku. Uzdrawianie to coś więcej niż leczenie ciała, młody człowieku, oznacza także leczenie serca, umysłu i ducha, w przeciwnym wypadku ciało jest bezużyteczne. Nie czyni to nas lepszymi czy gorszymi od ciebie. Po prostu jesteśmy inni. Czasami możesz wyleczyć to, czego my nie potrafimy, a nieraz jest dokładnie odwrotnie. Lepiej naucz się szybko tej prawdy. Niedoświadczenie można przewyciężyć, niewiedzę oświecić, ale uprzedzenie trzeba zdusić w zarodku. — Przez chwilę dał upust swojemu gniewowi. — Ta wojna nie jest łaskawa dla głupców.

Uzdrowiciel cofnął się mimowolnie jeszcze o krok. Spuścił ze wstydu oczy.

Bursztynowy Żuraw skinął sztywno głową.

— Zobaczę się z twoim byłym pacjentem o wyznaczonym czasie. Gdybyś jednak chciał temu przeszkodzić, porozmawiam o tym osobiście z Urtho. Słowo uzdrowiciela M'laud powinno się dla ciebie bardziej liczyć niż własne obiekcje.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z mesy, zbyt rozgniewany, aby zostać i czekać na to, czy chłopak zdobędzie się na jakieś przeprosiny, i tak nie miał nastroju, aby je przyjmować.

Wrócił do swojego namiotu, wiedząc, że nie będzie tam nikogo, gdyż Gesten odbywał swoją zwykłą rundę na Wzgórze Uzdrowiciela. To dobrze. Nie chciał w tej chwili nikogo widzieć. Musiał się uspokoić.

Spuścił klapę namiotu i ciasno ją od środka zasznurował na znak, że nie życzy sobie, aby mu ktoś przeszkadzał. Następnie kilka głębokich oddechów. Przez chwilę zastanawiał się nad kolejną czynnością, pozwalając, aby uspokajały go

lekkie perfumy i półmrok namiotu.

*Jest wiele rzeczy do zrobienia — pomyślał. — Wiele rzeczy które normalnie wykonywał Gesten. Na przykład cerowanie. Gesten byłby pewnie zadowolony, gdyby odkrył, że nie musi już wykonywać swej zwykłej czarnej roboty.*

Dobrze. Wszedł do drugiego pokoju w namiocie, do którego nigdy nie wchodzili klienci. Podszedł do łóżka, gdzie panował mały bałagan, którego Gesten nie zdążył jeszcze uprzątnąć. *Odzież wymagająca cerowania jest w koszu z przykrywką.* Pozbierał rzeczy z porozrywanymi szwami i poskładał na stosik. Przyniósł igły i nici ze schowka. Usadowił się na poduszkach w miejscu, gdzie miał dobre oświetlenie i zaczął zszywać rękaw równym, pięknym ściegiem.

Chirurdzy, którzy byli niegdyś jego nauczycielami, podziwiali jego ścieg.

*Nikt lepiej od kestra'chern nie zna bólu i smutku, ponieważ nikt nie odczuwa go tak jak kestra'chern.* Gdyby o tym powiedział temu chłopcu, czy ten idiota by w to uwierzył?

*A gdybym opowiedział mu pewną historię. „Żyła sobie kiedyś rodzina Kaled'a'in, z dala od obozowisk swojego plemienia...”*

Jego rodzina z jeszcze kilkoma innymi pogodziła się z ciężarem życia z dala od klanów, w ziemi, która niegdyś zwała się Tantara, w mieście zwanym Therium. Wyruszyli tak daleko, aby Kaled'a'in mieli tam swoich wysłanników. Jego rodzina przywykła do życia w mieście, już kilka pokoleń wzrastało z dala od wsi. I wiele przejęła ze zwyczajów i myśli tych, którzy z nimi mieszkali. Zapożyczyli tak wiele, że gdyby nie ich kolor skóry i włosów, trudno byłoby odgadnąć ich pochodzenie. Podobnie jak wszyscy Kaled'a'in, włosy mieli czarne, cerę bursztynową, a oczy błękitne.

Zdarzyło się, że jedna z rodzin dostrzegła w swoim młodszym synu wielką moc empatii i uzdrawiania. I zamiast odesłać go z powrotem do klanów, aby nauczył się „staromodnych” sposobów, jakimi posługiwali się uzdrowiciele Kaled'a'in, posłali go bardzo daleko, do stolicy sąsiedniego kraju Predain, aby nauczyć się „medycyny współczesnej”.

Bursztynowy Żuraw westchnął ciężko na wspomnienie rozłąki. Wstrząsające przeżycie wciąż w nim tkwiło, stało się tylko bardziej mgliste, z upływem czasu trochę łatwiejsze do zniesienia.

*Byli przekonani, że postępują właściwie. Wszyscy powtarzali mi, jak ważna jest nauka najnowocześniejszych metod leczenia i wykorzystanie darów, które miałem od urodzenia. Byłem niespełna trzynastoletnim chłopcem. Musiałem im wierzyć. Jedynym problemem była Szkoła Chirurgiczna, tak „nowoczesna”, że odnosiła się z pogardą do empatii, uzdrawiania czy jakiegokolwiek innego daru. Chirurdzy wierzyli jedynie w to, co mogli zobaczyć, zważyć, zmierzyć; w to, co po odpowiednim wyszkoleniu mógł robić każdy, a nie tylko ci z mistycznymi darami.*

Szkoła Chirurgiczna w Predain dała mu rzeczywiście dobre, solidne podstawy uzdrawiania, które można było wykonywać, nie będąc obdarzonym żadnym



darem. Bursztynowy Żuraw nauczył się technik chirurgicznych, wytwarzania lekarstw z ziół i minerałów, nastawiania kości i diagnozowania. Gdyby tylko mógł mieszkać w domu, może nawet sprawiałoby mu to radość.

Jednakże nie mieszkał w domu. Otoczony chorymi i rannymi, żyjąc z dala od ludzi, którzy mogli go zrozumieć, bezustannie chorował. W pierwszym roku stał się przedmiotem przykrych żartów i drwin ze strony kolegów z klasy, którzy przezywali go „barbarzyńcą”. Dar empatii nie był wcale darem, jeśli wokół znajdowało się tylu chorych i umierających, od których nie potrafił się odgradzić. Jego nauczyciele — chirurdzy wpędzali go w coraz poważniejszą chorobę, bo nie potrafili postawić właściwej diagnozy i leczyli go na choroby, których wcale nie miał.

Na dodatek był bardzo samotny, nie mając przy sobie żadnego rówieśnika, który zachowywałby się wobec niego przyzwoicie. Chore serce i dusza osłabiały jego ciało.

Czuł się aż tak źle, że nie uświadamiał sobie, jak wszystko się zmieniało poza szkołą. Nie miał pojęcia o tym, że mag Ma’ar gromadzi armię naśladowców i pomocników i pragnie raczej świeckiej niż magicznej władzy. Słyszał o Ma’rze jedynie w kontekście „Ma’ar mówi”, kiedy jeden z jego niemiłych kolegów znalazł sposób, aby go prześladować, i czuł potrzebę usprawiedliwienia tego prześladowania.

Z tych przypadkowych cytatów wiedział jedynie, że Ma’ar jest wojownikiem i filozofem, który pod swoim przewodnictwem połączył tuziny wojowniczych plemion, czyniąc z nich część swej „Najwyższej Rasy”. Rzecznicy teorii najwyższej rasy już wcześniej się pojawiali i, pociągając kilku fanatyków, znikali po wybiciu paru okien. Wszyscy nauczyciele tak mówili, kiedy ich o to pytał. . .

*Nie widziałem powodu, aby im nie wierzyć.* Bursztynowy Żuraw szył równym, ciasnym ściegiem, koncentrując na nim swą wolę, jak gdyby naprawiając swój rękaw, mógł naprawić i swą przeszłość.

Tak naprawdę nie interesowało go to, co działo się poza Szkołą. Nie wiedział nawet, że Ma’ar został premierem Królestwa Predain. Był w zbyt wielkiej depresji, aby zwrócić uwagę na to, że król zmarł bez dziedzica, zostawiając Ma’ara jako tytularnego władcę Predain. Król Ma’ar, królwojownik.

Jednak zauważył zmiany, jakie temu towarzyszyły.

Kaled’a’in i inni „cudzoziemcy” w Predain nagle stali się przedmiotem nasilających się prześladowań. Ograniczono im możliwość poruszania się, prowadzenia działalności, a nawet określono, jak mają się ubierać.

W szkole czy poza nią, gdziekolwiek by poszedł, stawał się ofiarą szyderstw, a raz czy dwa razy nawet fizycznej przemocy.

W tym czasie nauczyciele w szkole byli przybici, a nawet przerażeni tym, co działo się w szerokim świecie. Chronili Bursztynowego Żurawia w pewien sposób, ale wszystko, co mogli zrobić, to nie wypuszczać go z terenu szkoły.

Dziwili się, że wcześniej nie zauważyli Ma'ara i jego zbójców, a teraz było już za późno, aby przeciwdziałać. Dobrze rozumieli problemy intelektualne, ale problem wymagający bezpośredniego działania przerastał ich i czynił bezradnymi.

*Jakże niepodobni byli do Urtho!*

Restrykcje na zewnątrz nie ustawały, i Bursztynowy Żuraw stał się więźniem w murach szkoły. Przestał otrzymywać listy od rodziny. Sam też nie mógł ich wysyłać.

*Miałem tylko piętnaście lat! Skąd mogłem wiedzieć, co robić?*

Potem doszły go plotki z miasta — podsłuchane wśród innych studentów bojących się o swój los — że ludzie Ma'ra mieli „deportować cudzoziemców” i wywozić ich w nieznane miejsce. Gdy dowiedział się, że mają przyjść do szkoły, chory, przerażony i spanikowany, zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła na myśl.

Uciekł, tak jak stał tej samej nocy. Zabrał tylko trochę pieniędzy i jedzenia ze szkolnej kuchni. Była wtedy straszna zima. Uciekał przez cały kraj, ukrywał się za dnia, a poruszał nocą. Po drodze był zmuszony kraść jedzenie i przez cały czas kierował się do Therium. Blisko tydzień miał wysoką gorączkę. Zachowywał się raczej niczym oszalone zwierzę, a nie zdolny, choć zmienny w nastrojach młody student. Dwa razy złapała go policja miejska. Pierwszy raz uciekł, używając siły fizycznej, a drugi — dzięki sztuczce.

Był dopiero w połowie drogi do domu, kiedy jego miejskie trzewiki się rozpadły i musiał się wlec, mając zmarznięte i zdrętwiałe stopy. Ukradł buty ze stopni jakiejś wiejskiej chałupy i podsłuchiwał plotki w tawernach i garkuchniach. Z kryjówek widział rzeczywistość. Ma'ar eliminował każdego, kto sprzeciwiał się jego władzy — i każdego, kto nie popierał wojny z sąsiednimi krajami. Stworzył armię, a na oficerów wyznaczył ludzi spośród swoich naśladowców. Chciał uderzyć, zanim sąsiedzi zorientują się, jakie ma zamiary.

Ma'ar pragnął zostać imperatorem.

Kiedy Bursztynowy Żuraw dotarł do rodzinnego miasta, przekonał się, że tak jak przepowiedzieli studenci, wszyscy „cudzoziemcy” zostali schwytani i wywiezieni. Chory ze strachu i poczucia winy, przez dzień ukrywał się w opuszczonym budynku z wyłamanymi drzwiami. Oddziały Ma'ra były tu pierwsze. Gdy tylko zapadła noc, zabrał całe jedzenie, jakie mógł znaleźć, i ruszył dalej. *Splądrowałem domy tych, którzy już zginęli. Niechaj mi wybaczą.*

Dla człowieka dorosłego, z pieniędzmi, zapasami i doświadczeniem, cała ta tułaczka byłaby niewyobrażalnie trudna. Dla Bursztynowego Żurawia był to prawdziwy koszmar. Większość jego wędrówki wiodła przez pola, lasy i pastwiska, był głodny i spał w rowach pod chrustem. Nic zatem dziwnego, że dokuśtykał do Iherium z silną gorączką, było mu słabo i miał nudności z głodu.

*Wróciłem do domu. Znalazłem pusty budynek w mieście ogarniętym paniką. Oddziały Ma'ra przy były tu dzień wcześniej.*

Nikt nie wiedział, co stało się z jego rodziną. Nikogo nie obchodził jego los.

Znalazł sąsiadów przygotowujących się do ucieczki, ładujących na wozy swój dobytek. Ludzie, którzy ongiś mienili się jego „przyjaciółmi” i znali go od urodzenia, teraz nie mieli dla niego czasu.

*Błagałem ich, aby mi powiedzieli, gdzie jest moja rodzina. Padłem na kolana i błagałem ich, zalewając się łzami. Leżałem tam w błocie, końskim nawozie i padającym śniegu, i błagałem ich. Obrzucili mnie wyzwiskami. A kiedy wstałem. . .*

Powrócił cały tamten żal i gorycz. Musiał przerwać szycie i przeczekać, aż spłyną łzy.

*Aż do tamtej chwili nie wiedziałem, co to naprawdę znaczy być samotnym. Ojciec, matka, Ognista Klacz, Gwiazdny Śpiewak, mały Zefir — zniknęli, wszyscy zniknęli — wujek Srebrny Róg, Klejnot Gwiazd, Rumak Wiatru, Jasny Ptak. . .*

Popędził się ku obłudnym sąsiadom, a oni go odpędzili, a potem zdzielili końskim pejczem. Jeden cios i wszystko zniknęło. Świat i niebo rozplynęły się dla Bursztynowego Żurawia. Minęła co najmniej jedna miarka świecy, zanim się obudził, krwawiąc, z pręgą na policzku tak grubą jak jego nadgarstek. Na wpeł oszalały ze strachu i żalu, poczołgał się w śnieg.

Upadł niedaleko wozu pełnego uciekinierów.

Furmanka należała do kestra’chern Srebrnego Trenu oraz jej służby i uczniów.

*Zmuszał się, aby jego ręce nie drżały. To już przeszłość. Nie mogę jej zmienić. Robiłem, co mogłem, starałem się. Skąd miałem wiedzieć, co robić, gdy nawet starsi i mądrzejsi ode mnie zawiedli?*

Srebrny Tren nie kazała sługom go odegnąć. Do dziś nie wie, co się z nim wtedy działo. Leżał pogrążony w bólu, drżąc z zimna lub płonąc z gorączki. Ledwie pamięta, jak wzięto go do jadącego wozu i że zapadł w miękką ciemność.

W tej ciemności pozostawał bardzo długo. . .

Jego ręce drżały, odłożył więc na chwilę szycie. Zamknął oczy i aby się uspokoić, zaczął ćwiczenia oddechowe — te same, których nauczyła go Srebrny Tren.

Zanim wyjechał, słyszał, jak o niej szeptano złe słowa. Podobnie jak wszyscy mali chłopcy przed dojrzeniem, grupa jego przyjaciół plotkowała o niej i przechwalała się, jak to będą odwiedzać, gdy dorosną i się dorobią. Była piękna niczym posąg wyrzeźbiony przez mistrza, szczupła jak chłopiec, delikatna jak gazela. Jej imię związane było z włosami, których nigdy nie ścinała. Platynowy wodospad jedwabiu opadał do ziemi, kiedy je rozpuściła. Zawsze sądził, że jego wybawicielka była kurtyzaną — bardziej egzotyczną i droższą od innych — lecz tylko kobietą lekkich obyczajów.

Musiał zamieszkać w jej domu, aby przekonać się, że było inaczej.

Leczyła go z choroby, ona i jej służba. Kiedy przemierzali drogi ku bezpieczniejszym miejscom, udawał jednego z jej uczniów. Po jakimś czasie nie musiał już udawać.

Srebrny Tren starała się chronić go przed zgrozą tej wędrownicy, nie mogła jednak uchronić go przed wszystkim. Nie posiadała darów, ale miała niezwykle wy-

czucie w znajdowaniu bezpiecznej trasy. Niestety, wiele z tych szlaków wiodło przez miejsca, którymi wcześniej przedzierały się oddziały Ma'ara.

Siły Ma'ra nie były łaskawe dla poddających się, a jeszcze mniej dla stawiających opór. Bursztynowy Żuraw nadal budził się w nocy, drżący i spocony, gdyż miał straszne sny, w których widział całe rodziny wbite na pale, umierające powolną śmiercią. Pewnego razu musieli się ukryć, podczas gdy najemnicy Ma'ara — oraz jego makaary — eskortowali, zdawało się nieskończoną, kolumnę jeńców. Bursztynowy Żuraw przyglądał się im z ukrycia, szukając twarzy swoich krewnych.

Czy to, że nie znalazł nikogo, było błogosławieństwem czy przekleństwem?

Podczas wędrówki Srebrny Tren nie zaprzestała wykonywać swego zawodu. Czasami robiła to za wynagrodzeniem, częściej jednak za darmo, świadcząc usługi tym, którzy potrzebowali jej pomocy. Bywało i tak, że jej usługi stanowiły łapówkę, aby mogła przeprowadzić swych ludzi przez pozycje zwiadowcze Ma'ara. Uczniowie, a wraz z nimi Bursztynowy Żuraw, próbowali ją wyręczać, na ile to było możliwe. Często ich oferta była przyjmowana, ponieważ Srebrny Tren onieśmiała oficerów Ma'ara. Była dla nich zbyt spokojna, zbyt inteligentna, zbyt wysublimowana. Ludzie, których musieli przekupić, woleli coś mniej... o niż to, co mogła dać im Srebrny Tren.

W końcu, wraz z nadejściem wiosny, dotarli na bardziej przyjazne tereny. Jednak po krótkim czasie Srebrny Tren zrozumiała, że i tam nie mogą pozostać. Postanowiła wyruszyć w przeciwnym kierunku do tego, który najprawdopodobniej obrała jego rodzina — to znaczy do Ka'venusho, ziemi Kaled'a'in.

I znowu oddała przysługę młodemu Bursztynowemu Żurawiowi. Znalazła kestra'chern idącego do Ka'venusho, który wziął go na ucznia i stał się jego obrońcą. Ów kestra'chern był stary i niepodobny do Srebrnego Trenu. Nazywał się Lorshallen i posiadał takie same dary, co Bursztynowy Żuraw, uzdrawianie i empatię. Srebrny Tren pożegnała się czule z Bursztynowym Żurawem i jego nowym mentorem, po czym wraz ze swoimi ludźmi wyruszyła na południe. Jeden z jej uczniów twierdził, że czekało tam na nią miejsce na dworze jednego z królów-szamanów, w kraju, gdzie nigdy nie było zimy. Bursztynowy Żuraw życzył jej z całego serca, aby jej się powiodło. Nigdy potem już o niej nie słyszał.

Jak przewidziała Srebrny Tren, wojna zagarniała coraz większe tereny. Bursztynowy Żuraw i jego nowy protektor musieli przed nią uciekać.

Lorshallen przekazał Bursztynowemu Żurawiowi wszystko, co sam wiedział na temat swej starożytnej sztuki. Chłopak uczył się gorliwie, pragnąc opanować wszystkie możliwe dziedziny. Nauczył się od Lorshallena tego, w co nie wierzyli chirurdzy. Sam zaś przekazał swojemu mistrzowi to, czego nauczył się od nich. Srebrny Tren uzupełniła jego erotyczną wiedzę i starała się uzdrowić jego ciało. Lorshallen uzupełnił jego edukację jako uzdrowiciela, starając się wyleczyć jego umysł i serce.

W końcu dotarli do klanów. Bursztynowy Żuraw na krótko zajął należne mu miejsce wśród swego ludu. Pozycja była zaszczytna, gdyż Kaled'a'in znali wartość kestra'chern, szczególnie tak wysoko wykształconego jak on i tak udęczonego cierpieniem. Kaled'a'in głęboko wierzyli w to, że wszelki ból ma ogromne znaczenie, gdyż jest początkiem rzeczy wartościowych. Bursztynowy Żuraw był świadom, że opowieści o tym, co przeszedł, szeptało przy ogniskach, chociaż nigdy ich nie słyszał. Ci, którzy cierpieli, mogli szukać siły u kogoś, kto przecierpiał więcej od nich.

Wszędzie rozpytywał o swoją rodzinę. Jego ludzie to rozumieli, ponieważ dla Kaled'a'in klan był wszystkim. Klan, w którym osiadł, k'Leshya, starał się, jak mógł. Wysyłał wieści do innych klanów, próbując się dowiedzieć czegoś o jego bliskich.

*I nigdy ich nie znaleźli. W narodzie tak blisko żyjących rodzin, pozostałem sam, na zawsze sam. . . Nie mani brata, z którym mógłbym prowadzić męskie rozmowy, ani siostry, którą mógłbym pocieszyć po przeżyciu pierwszego miłosnego zawodu. Ani ojca, który z dumą kiwałby głową nad moimi dokonaniem, ani matki, do której mógłbym przyjść po radę. Ani kuzynów, którzy by mnie prosili na ojca chrzestnego swych dzieci. A kiedy będę umierał, przyjdzie mi iść samemu w tę wielką ciemność. . .*

*Straciłem tak wiele, że czasami myślę, iż w środku jestem pusty jak wyluskana łupina. Jestem pustką, której nie można niczym zappełnić. A jednak, ciągle żywię nadzieję, ogromną nadzieję, że ten smutek się skończy.*

Kiedy dowiedział się, że Mag Ciszy poszukuje ochotników, od razu się zgłosił. Przynajmniej nie był już otoczony przez klany i rodziny, do których nigdy nie należał, ale przez ludzi podobnych do niego, oderwanych od domu i korzeni. Być może wreszcie dzięki swym umiejętnościom będzie mógł walczyć z Ma'arem. Co prawda, w końcu wszystkie klany osiadły u podnóża Wieży Urtho, ale on już wtedy zdobywał swą pozycję pośród kestra'chern.

Potrząsnął głową i przygryzł wargę. Gesten może sobie myśleć, że kieruje się jakimiś ślepych instynktami, ale on wie, dlaczego tak bardzo kochał Czarnego Gryfa. Skan i Gesten stali się dla niego najbliższymi istotami, zwłaszcza teraz, gdy nie miał rodziny.

*I najbliższymi istotami, jakie najprawdopodobniej kiedykolwiek będę miał.*

Kiedy — o ile w ogóle — kestra'chern ma towarzysza, jest to przeważnie ktoś z szeregow kestra'chern. Nikt inny nie potrafiłby go zrozumieć; nikt inny nie byłby w stanie znosić dzielenia się towarzyszem z innymi. Jednakże taka para musi składać się z dwóch równych sobie. Sprzeczka między Jaseen i Lily pokazała, jak łatwo mogą wybuchać spory o klienta. A jeśli jeden kestra'chern z pary jest wyższy rangą od drugiego, takie kłótnie — a nawet gorzej, zazdrość — są bardziej niż prawdopodobne i nie do uniknięcia. Każdy kestra'chern, jakiego Bursztynowy Żuraw kiedykolwiek spotkał, lękał się, że jego umiejętności nie wystarczą, by

zatrzymać przy sobie partnera. Zatem jeśli oboje byli sobie równi. . .

Nie było innego kestra'chern równego Bursztynowemu Żurawiowi. Był to fakt przez nikogo nie kwestionowany. A to oznaczało, że nawet do chwilowych związków musiał podchodzić ostrożnie.

To powodowało, że był jeszcze bardziej samotny.

*Jeszcze bardziej samotny — o nie! To śmieszne. Gdybym był klientem, powiedziano by mi, abym przestał uważać się nad sobą i skoncentrował się na czymś, co poprawi mi nastrój lub przynajmniej powstrzyma przed nurzaniem się w przeszłości.*

Rękaw skończony. Bursztynowy Żuraw podniósł następne ubranie i zaczął przyszywać oderwaną lamówkę, na której znajdowały się maleńkie paciorki. Tysiące maleńkich, kolorowych, błyszczących paciorków na wspaniałej imitacji kostiumów tanecznych Kaled'a'in, ze skórzanymi barwnymi frędzlami. Było to zadanie wymagające koncentracji i praca ta pochłonęła go całkowicie.

Aż do chwili gdy ktoś zaskrobał w zasznurowaną klapę namiotu. Bursztynowy Żuraw uniósł głowę, zaskoczony. Ciężki na płótnie namiotu miał ludzki kształt, nie był to więc hertasi.

*Kto to może być?*

Odłożył szycie i podniósł się, aby odsznurować płachtę. Był trochę rozdrażniony, widząc kolejnego młodego uzdrowiciela. Jeszcze jeden obcy, czekający niespokojnie, aż pozwoli mu wejść.

— Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw? — zapytał młodzieniec, czerwieniąc się niemiłosiernie. — Kes... kes... kes..

— Tak, to ja, kestra'chern Bursztynowy Żuraw — odparł, wzdychając. — Jak mogę ci pomóc?

Chudy i niezdarly młodzieniec — który dopiero co wychodził z wieku dojrzewania i jeszcze nie był smukłym i zgrabnym młodym mężczyzną, choć oznaki przyszłej urody Bursztynowy Żuraw już teraz dostrzegał — wpatrywał się w swoje buty.

— Ja... ja mam pacjenta i mój starszy uzdrowiciel powiedział, że ten pacjent powinien się z tobą zobaczyć i że gdybym chciał dowiedzieć się dlaczego, to... to muszę sam cię o to zapytać.

— A kto jest twoim starszym uzdrowicielem? — spytał Bursztynowy Żuraw trochę ostrzej niż zamierzał.

— M'laud — padła ledwie słyszalna odpowiedź. Bursztynowy Żuraw cudem powstrzymał się od ryknięcia śmiechem. Po tym, jak pogonił jednego z młodziaków M'lauda, starszy uzdrowiciel najwidoczniej uznał, że najlepiej nauczyć swych podopiecznych, kim jest kestra'chern, poprzez bezpośredni z nim kontakt.

W porę się jednak opanował i kiedy chłopak spojrział na niego, zobaczył na jego twarzy wyraz zadowolenia, maskę, z której byłaby dumna sama Srebrny Tren.

— Wejdz, proszę — powiedział uprzejmie. — Przypuszczam, że masz mylne wyobrażenia. Będę szczęśliwy, mogąc wyprowadzić cię z błędu.

Uniósł klapę namiotu i wskazał gestem, by wszedł. Chłopak nie miał wyboru. Bursztynowy Żuraw zauważył z rozbawieniem, jak gość dyskretnie rozgląda się wokoło, próbując za wszelką cenę to ukryć.

*Co on spodziewa się tu zobaczyć? Nieważne, chyba i tak zgadnę,*

— Siadaj, proszę — powiedział, wskazując mu miejsce w wygodnej odległości od swojej poduszki. — Idę o zakład, że boisz się, iż zrobię krzywdę twojemu pacjentowi. Prawda? — Uśmiechnął się, widząc sztywne skinięcie głowy. — Założę się także, iż sam nigdy nie korzystałeś z usług kestra'chern?

— Oczywiście, że nie! — zaprzeczył skwapliwie chłopak, a potem zdał sobie sprawę, jak było to niegrzeczne i zachnął się. Bursztynowy Żuraw jednak tylko chrząknął.

— Młody człowieku, jak masz w ogóle na imię?

— Lanz — padła niewyraźna odpowiedź.

— A więc, Lanz, przypuszczam, że M'laud mówił ci, iż wstępne szkolenie uzdrowicieli i kestra'chern jest takie samo. Ja także zaczynałem jako uzdrowiciel. — Bursztynowy Żuraw uniósł jedną brew. Chłopak patrzył w niego jak w obraz.

— Ale dlaczego... to znaczy... dlaczego zostałeś kestra'chern? — wybuchnął Lanz.

— Zabrzmiało to, jakbyś powiedział: „Dlaczego zostałeś kupą gnoju?” Czy zdajesz sobie z tego sprawę? — odparł Bursztynowy Żuraw. — Powinieneś wiedzieć, że Kaled'a'in traktują kestra'chern jak szamanów. Było to więc nie tylko niegrzeczne z twojej strony, ale wśród ludzi wywodzących się z klanów potraktowano by to jako policzek.

Lanz zwiesił głowę. Wyjąkał coś niewyraźnie, a jego uszy i szyja stały się czerwone jak ulubiona szata Bursztynowego Żurawia.

*Zdaje się, że dzisiaj wielu ludzi czerwieni się przeze mnie. Kolejny dar?*

— Lanz, powody, dla których zostałem kestra'chern, są zbyt skomplikowane, aby w nie teraz wnikać. Mogę jednak podać ci ten najprostszy. Jestem także empatą, zbyt silnym, aby pracować jako konwencjonalny uzdrowiciel.

Bursztynowy Żuraw pokiwał głową, gdy Lanz spojrzał na niego ostrożnie spod czarnej grzywy.

— Nie oznacza to, że zostałem kestra'chern dlatego, iż jestem dotknięty jakimś strasliwym przekleństwem umysłowym. Będąc kestra'chern, nie widuję się z ciężko rannymi, których fizyczny ból przytłacza inne uczucia. Mogę jednak wykorzystywać swe dary i wyszkolenie, aby uzdrawiać głębsze i bardziej subtelne rany umysłu, ciała i serca, których istnienia ludzie nawet sobie nie uświadamiają.

— Jednak nie wszyscy kestra'chern są uzdrowicielami — powiedział z powątpiewaniem Lanz — albo empatami... .

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się.

— To prawda. Większość nie jest. A ci, którzy nie mają żadnych darów, muszą ciężiej pracować, aby się nauczyć odczytywać język ciała i ton głosu; rozpoznawać subtelne sygnały tego, co obdarowani mogą odczytać bezpośrednio. — Rumieńce Lanza zbladły, więc Bursztynowy Żuraw pozwolił sobie na uśmiech. — Mój przyjacielu, jednej rzeczy kestra'chern musieli się nauczyć przez wieki: ludzie, którzy wiedzą, że przychodzą do kogoś na godzinę czy dwie czystej przyjemności, są skłonni o wiele prędzej wyznać swoje kłopoty niż wtedy, gdy stają wobec uzdrowiciela czy innego autorytetu. Jeśli osłodziemy uzdrawianie odrobiną przyjemności, fizycznej przyjemności, czy to źle? Czy twój pacjent to ta osoba, która jest ostatnia w moim dzisiejszym rozkładzie?

— Tak sądzę. — Lanz siedział teraz bardziej wyprostowany i trochę się rozluźnił, co utwierdziło Bursztynowego Żurawia w przekonaniu, że chłopak się go już nie boi.

— M'laud przysłał mi opis jej przypadku. Przychodzi do mnie dlatego, że jest w niej wewnętrzne napięcie, którego M'laud nie potrafi rozładować. Jest to pewien rodzaj urazu pobitewnego, uniemożliwiającego jej powrót do zdrowia.

Twarz Lanza rozbłysła i Bursztynowy Żuraw odgadł, że chłopak przez cały czas winił się za to, iż pacjentka nie powraca do zdrowia.

— M'laud przypuszcza, że w dzieciństwie przeżyła coś strasznego i że to stało się przyczyną jej problemów. Krótko mówiąc, nieświadomie karze siebie za to, że jest zła. Uważa, że zasługuje na to, co ją spotkało. — Westchnął i pokręcił głową. — Wiem, że to nie ma sensu, ale my, kestra'chern, ciągle obserwujemy takie przypadki. Nie jest to coś, z czym ty mógłbyś sobie poradzić. Nie sądzę, abyś był osobą, której mogłaby zaufać. Nie dlatego, że nie jesteś tego zaufania godzien, ale po prostu przez wzgląd na rodzaj jej problemów. Ja jestem dla niej obcy, a bardzo często łatwiej opowiedzieć o strasznych rzeczach nieznanemu niż komuś, kogo się zna. Obcy bowiem nie ma uprzedzeń. Nigdy też nie znajdę się blisko linii frontu. Ona wie, że nie zostanie zabity przez wroga. A lepiej widzieć przyjaciela w kimś, kogo się tak szybko nie straci.

Lanz uniósł się lekko z miejsca, patrząc na kestra'chern raczej z powątpiewaniem.

— Udowodnię ci to — powiedział zdecydowanym głosem Bursztynowy Żuraw.

Wymienił mu całą litanię wszystkich formalnych szkoleń, jakie przechodził, najpierw u chirurgów, potem u Srebrnego Trenu i na końcu u Lorshallena. Trochę to trwało i kiedy skończył, oczy Lanza były szkliste i biedny chłopak wyglądał, jakby zakręciło mu się w głowie.

— Widzisz? — kończył już. — Gdybyś był choć w połowie tak wyszkolony, nazwałbym cię dobrym uzdrowicielem.

— Nie wiedziałem... — powiedział zdumiony młodzieniec. — Kiedy Karły przyszedł po rozmowie z tobą...



— Karly? Ten rudy? — Bursztynowy Żuraw odrzucił głowę wybuchając śmiechem.

Lanz także zaczął się nieśmiało śmiać.

— Słyszałem, jak pewien inny starszy uzdrowiciel powiedział: „Mam nadzieję, że ma normalną kochankę, bo po takiej rozmowie z Bursztynowym Żurawiem żaden kestra'chern w całym obozie nie przyjmie go za żadną cenę!” Karly był chyba wobec ciebie strasznie niegrzeczny.

— Niegrzeczny? — odparł Bursztynowy Żuraw. — Słabo powiedziane! A jednak Karly nie potrzebuje się martwić. Jesteśmy zobligowani przyjmować każdego, kto tego potrzebuje i prawdę powiedziawszy, nie widzę, aby ktokolwiek bardziej potrzebował naszych usług niż on sam!

Lanz uśmiechnął się.

— Sądzę, że Karly jest raczej tępy — stwierdził. — Po rozmowie z tobą — byłeś tak miły i w ogóle — no cóż, gdybyś wziął któregoś z moich pacjentów, byłbym bardzo wdzięczny i raczej by mi to pochlebiło.

Tym razem uśmiech Bursztynowego Żurawia wyrażał tyle samo zdziwienia co radości.

— Dziękuję, Lanz. Biorę to za wielki komplement. Czy mogę ci czymś służyć?

Chłopak zamrugnął, onieśmielony.

— Sądzę, że dobrze by mi zrobiła szklaneczka piwa. A poza tym, czy mógłbyś opowiedzieć mi coś więcej o innych kestra'chern?

Bursztynowy Żuraw wstał, Lanz także.

— Może pójdziesz ze mną do mesy i sam zobaczysz? — spytał.

— Chętnie! — odparł Lanz i jakby sam zdziwił się swoją odpowiedzią.

*Dzięki takim małym zwycięstwom wygrywa się wojny i zdobywa serca* — pomyślał z wątpliwą satysfakcją Bursztynowy Żuraw, wskazując drogę do mesy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zhaneel zacisnęła szpony, wbijając je w drewno swej ogromnej grzędy. Po raz kolejny sprawdzała wyposażenie — nożyce do drutu, strzały, gwoździe, nóż do lin, wiązania — wszystko dostosowane do wymiaru jej dużych „dłoni” o krótkich i grubych palcach — i przyglądała się torowi przeszkód, który sama wymyśliła. Tor ciągnął się na przestrzeni kilku akrów, był zbudowany głównie w rowach erozyjnych i korytach wyłobionych przez strumyki, nie do przebycia dla kogośkolwiek z obozu Urtho, usłany zwalonymi drzewami i kamiennymi otoczkami. Aby przedostać się stąd na drugi koniec, musiała latać, omijać przeszkody, czołgać się, a nawet płynąć. Były tam pułapki wodne, ogniowe, pociski wyrzucane przez katapulty...

A teraz nawet pułapki magiczne.

Gesten, hertasi Bursztynowego Żurawia, pomagał jej od samego początku. Dowiedział się być może od Bursztynowego Żurawia, czego ona pragnie dokonać, ale nigdy nie zapytał, dlaczego. Zjawił się nawet nieproszony i zastępował jej dłonie. Polem znalazł jeszcze trzech innych: razem zbudowali tor i wymyślili pułapki. Z początku nikt nie zwracał uwagi na to, co robiła Zhaneel, ale stopniowo jej biegi zaczęły przyciągać niewielką grupkę widzów. Martwiło ją to aż do dnia, kiedy po kilku nieudanych próbach ominięcia pułapki symulowanych strzał z kuszy przeszła przez nią bez szwanku, a niewielka grupka nagrodziła ją wielkimi brawami.

Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że oni przychodzą nie po to, by się z niej naśmiewać, ale by ją dopingować.

Szczerze mówiąc, nie wiedziała, co o tym myśleć; była oszołomiona. Dlaczego ktokolwiek miałby się nią interesować?

Poza tym zawsze miała trudności z odgadnięciem, dlaczego hertasi i ludzie postępują tak, a nie inaczej...

Dzisiaj jej widownia była większa niż zazwyczaj i tym razem dobrze wiedziała dlaczego: wśród żołnierzy rozeszła się wieść, że jej tor treningowy zawiera magiczne przeszkody.

Nie planowała magicznych pułapek; wymagały wiele wysiłku i czasu, a jej nie przeszło nawet przez myśl, że w obozie może znaleźć się jakiś mag, który

chciałby jej pomóc. Albo raczej myślała tak jeszcze kilka dni temu.

Młody mag, czeladnik imieniem Vikteren, sam zaproponował jej pomoc. Potrzebował pewnych czarodziejskich składników; żywych składników, które nie miały ochoty wchodzić w skład żadnych zaklęć.

Jego uwagę przyciągnęła szybkość i zwinność Zhaneel, a właśnie tego brakowało mu w pogoni za szpakami, królikami i innymi małymi, szybkimi stworzeniami. Zatem stworzyli spółkę: ona dla niego polowała, a on zaopatrzył jej tor w magiczne przeszkody.

Ich współpraca trwała już od kilku dni. Wczoraj powiedział jej, szczerząc zęby w uśmiechu, że jest absolutnie pod wrażeniem. Jego słowa brzmiały: „Dobrze ci idzie, gryfie! Cholernie dobrze!”

Ku jej zdziwieniu i oszołomieniu, podobnie wyraził się trener gryfów, Taran Shire. Taran pojawił się na torze następnego dnia po Vikterenie. Teraz więc, obok młodego czeladnika, pomagał jej doświadczony trener, poświęcając jej swój wolny czas.

Starła się nie myśleć o widowni, nie było to jednak łatwe, tym bardziej, że byli tam też przedstawiciele jej gatunku — gryfy zarówno z innych dywizjonów, jak i z jej własnego. Co więcej, niektóre z tych gryfów próbowały również trenować na jej torze, wyrażając przy tym swoje uznanie.

Za każdym razem, kiedy kończyła bieg, widzowie nagradzali jej wysiłki huczными brawami. Fascynowała wszystkich: od hertasi po ludzi, od gryfów po kyree. Wszyscy czekali na kolejny bieg.

W połowie toru uniosły się strzępiaste białoczerwone chorągiewki i zafalowały dwukrotnie, a ona wleciała z konara. Tym razem była to misja ratunkowa — Zhaneel miała uwolnić złapanego gryfa. Na jej żądanie szczegóły pozostały tajemnicą, wiedziała zatem bardzo mgliście, czego się spodziewać. Jednego była pewna — Vikteren i hertasi postanowili uczynić jej zadanie trudniejszym niż kiedykolwiek.

Pierwsze niebezpieczeństwo pojawiło się już w dwanaście machnięć skrzydłami po starcie — był to nagły podmuch wiatru z prawej strony. Pchnął ją w kierunku dolnych pałkowatych konarów drzewa — łatwo można było stracić pióra i skaleczyć się. Zareagowała odpowiednio, robiąc w połowie drogi beczkę i lądując, złożony ciasno skrzydła. Pazurami czepiała się kamieni i krzaków. Wkrótce wiatr ustał i ku radości widzów Zhaneel wzniosła się nad parowem.

Następnie trzeba było wczłgać się do żlebu. Zrobiła to, bezustannie rozglądając się w poszukiwaniu kolejnego niebezpieczeństwa. Zza głązu wzniosła się szybko do góry strzała ognia, a zaraz po niej pojawiła się z hukiem pioruna ogromna ognista kula. Toczyła się wolno przez parów, podpalając ściółkę. Zhaneel ponad tym hukiem usłyszała, jak widzowie wstrzymali oddech, gdy ona sama, czołgając się, zniknęła im z oczu. Wiedziała, o czym pomyśleli: „Czy ta gra nie posunęła się za daleko?”

Nie mogła się jednak nimi przejmować. Wkrótce znowu ją ujrzą. . .

Wychynęła daleko na końcu sąsiedniego parowu. Z rykiem wskoczyła na głaz i wyciągnęła swój nóż do lin, mierząc w zaskoczonego maga, który ukrywał się za skałą.

*Mam cię, Vikterenie!*

— Jesteś martwy! — wysyczała, a Vikteren uśmiechnął się i padł na plecy.

— Tutaj, owszem — potwierdził, wstając i otrzepując szatę — ale może zobaczymy się później.

— Nie obiecuj sobie zbyt wiele, truposzu! — zaśmiała się, a potem schowała nóż. Miała misję do wykonania, musi jeszcze uratować gryfa, a przygoda dopiero się zaczęła.

Bursztynowy Żuraw czuł się niczym dumny i niespokojny ojciec, obserwując, jak młoda gryfca siedzi na swej grzędzie w oczekiwaniu na start. Drżące mięśnie zdradzały jej napięcie i koncentrację. Przyszedł, gdy już tkwiła na swej pozycji, ale udało mu się jeszcze zająć miejsce na przedzie, obok Skana. Czarny Gryf szybko wracał do zdrowia po odniesionych ranach, oficjalnie jednak nadal był rekonwalescentem z rozkazu lady Cinnabar. Trzymał dziób opuszczony, aby go nie rozpoznano — jak gdyby bał się, że jego obecność w jakimś ważnym momencie rozproszy młodą samicę.

*No cóż, mogłoby się tak zdarzyć.* Młódka była wyraźnie pod wrażeniem Czarnego Gryfa. Gdyby wiedziała, że ją teraz obserwuje, z pewnością wypadłaby z rytmu.

Ogon Skana drgał niecierpliwie. Bursztynowy Żuraw położył przyjacielsko dłoń na jego skrzydle. Skan uśmiechnął się po gryfiemu, a potem skupił całą uwagę na dalekiej szaropłowej postaci.

Na drugim końcu toru opadła chorągiewka. Zhaneel uniosła się z konara, bezgłośnie rozpościerając skrzydła.

Bursztynowy Żuraw był na torze przeszkód po raz pierwszy, jednak od Gestena wiedział, że Skan przychodził tutaj codziennie w ciągu ostatnich trzech dni. Nie potrafił wyobrazić sobie, jakie przeszkody można wymyślić dla gryfa, którego zdolność latania sprawiała, że zwykłe tory były dla nich pestką. Był pod wrażeniem zarówno zdolności Zhaneel do tworzenia przeszkód, jak i do ich pokonywania.

Podobnie zresztą Skan.

Wraz z innymi zastygł z przerażenia, gdy okazało się, że tocząca się kula ognia prawie ją pochłonięła. Nie uświadamiał sobie, że na tym torze mogą być jakieś prawdziwe pułapki i odetchnął z ulgą, kiedy Zhaneel znowu się pojawiła, a gdy „zabiła” kogoś, sądząc po ubraniu — czeladnika, wrzasnął z radości.

Skan pozostawał absolutnie w bezruchu, z wyjątkiem samego końca ogona,

który wił się i podrygiwał jak ryba na piasku. Tak jak u kota, ogon zdradzał jego myśli.

No cóż, pozostałe gryfy obserwowały Zhaneel równie bacznie. Z natury interesowały się wszelkiego rodzaju fantastycznym lotem. W końcu był on częścią godów i łączenia się w pary. Żaden jednak gryf nie patrzył z takim napięciem w oczach na Zhaneel jak Skan.

Co prawda, wyglądał raczej na oszołomionego niż na zachwyconego, jakby ktoś uderzył go kijem w tył głowy.

Bursztynowy Żuraw zaśmiał się cicho, kiedy dostrzegł szklisty wzrok Skana. Biedny Czarny Gryf! Jak dotąd to on zawsze oszałamiał, a nie jego oszałamiano!

Zhaneel zgrabnie ominęła strzały z kuszy, spadające sieci oraz iluzorycznych wojowników.

— Jest dobra, prawda? — powiedział Żuraw, przepelniony dumą. Była niezwykle zwinna. Wspaniale koordynowała ruchy. płynnie lądując i startując.

— Jest piękna — mruknął bujający w obłokach Skan. — Po prostu piękna. . .

Otworzył dziób i Bursztynowy Żuraw zdusił śmiech. Czyżby Czarny Gryf był nie tylko pod wrażeniem, ale. . . ? No cóż, u gryfów piękny lot był odpowiednikiem miłosnego tańca.

— Skan — wyszeptał. — Czyżbyś chciał nam obu narobić wstydu? Ten język zwisający z kącika dzioba wygląda naprawdę głupio.

Skandranon nie zdawał sobie sprawy, że tak jawnie okazuje swoje zainteresowanie Zhaneel.

— Schowaj go — wymruczał z naciskiem Bursztynowy Żuraw. Zdenerwował Skana, ale upominanie było przywilejem przyjaciół; lepiej żeby to on mu zwrócił uwagę niż kto inny. W pobliżu znajdowało się wielu, którzy cieszyliby się, mając okazję mu dołożyć. Nie miał zamiaru dać im tej satysfakcji.

Co więcej, takie docinki mogłyby się obrócić przeciwko Zhaneel. A on dobrze wiedział, że jej poczucie własnej wartości było bardzo kruche. Skan nie był pewien, czy potrafiłaby właściwie zrozumieć niewinne docinki.

Jeden gryf z Drugiego Zachodniego Dywizjonu, samica o imieniu Lyosha, usiadła obok niego i przez chwilę muskała pióra na jego grzebieniu. Było to dość powszechne powitanie, które mogło się przerodzić w bardziej intymne pieszczoty lub pozostać tylko powitaniem. Kiedyś on i Lyosha wykonali razem kilka spiral i najwyraźniej ona miała nadzieję, że dzisiejsze powitanie będzie prowadziło do tego samego. Tym razem jednak gryf nie był nią zainteresowany. Patrzył oczarowany, jak Zhaneel kreśli swoje wzory, igrając z niebezpieczeństwem.

— Lyosha — powiedział po przyjacielsku, nie okazując innych uczuć. — To jest fascynujące.

Lyosha pogłaskała go po piórach ostatni raz, a potem westchnęła.

— To prawda — odparła z rezygnacją. — Sama mam ochotę Przejść przez ten tor. To wystarczy, aby podpalić ogon gryfa!

Zignorował przytyk i chrząknął uprzejmie.

— No cóż — odezwał się, nie odrywając wzroku od Zhaneel — jeżeli nie będzie uważała, to właśnie jej ogon może zostać podpalony.

*I niech Lyosha rozumie sobie przez, to, co chce...*

Zhaneel przekradła się nad spróchniałym pniem drzewa w kierunku czterech stojących worków siana. Na znajdujące się wokół płonącego ogniska worki zarzucano mundury. Obok nich widniała tablica z napisem: „Po służbie. Rozmawiają. Jedzą”. Nieopodal stał niewielki namiot i paliki dla czterech koni, ale zwierząt nie było.

*Namiot pomieściłby dziesięciu. Czterej są tutaj, czterech koni nie ma, to razem ośmiu. Czterech nie ma albo są na misji. Szwadrony Ma'ara składają się z ośmiu żołnierzy i jednego oficera, ale oficerowie mają osobne namioty. Zatem gdzie jest oficer i pozostali czterej?*

Zhaneel wyciągnęła swoją kuszę. Ruchem dzioba naciągnęła cięciwę, wyciągnęła strzałę z kołczanu i położyła na kuszy, gotowa do oddania strzału.

*Skorzystaj z odpowiedniej osłony. Oprzyj się o coś solidnego.*

Schowała się za pniem, oparła kuszę o łuszczącą się korę pnia i wystrzeliła. Pocisk trafił w worek po lewej. Pośpiesznie wyciągnęła drugą strzałę, jednocześnie naciągając dziobem cięciwę. Drugi pocisk ugodził w środkowy worek i pchnął go w kierunku ognia. Zhaneel przypięła kuszę i skoczyła ponad pniem, aby uderzyć na pozostałe dwa worki z sianem.

Wtedy otworzono ogień.

Zza drzew po lewej stronie posypał się grad wyrzucanych z procy kamieni, a ukryte miniaturowe maszyny obłężnicze po prawej rozerwały swoje maskownice z listowia. Zhaneel skoczyła wysoko w powietrze i w ten sposób uniknęła większych obrażeń, chociaż niektóre kamienie uderzyły ją w stopy i bok. Wystawiła się jednak na cel ognistym strzałem, wyrzucanym ze stoku; dostrzegła tam rannego gryfa, którego szukała, prawdziwego gryfa, leżącego pod drucianą siatką, związanego w bardzo niewygodnej pozycji.

*O, nie! Tego nie chciałam*

Zatem niespodzianka Vikterena polegała na tym, że nie miała uwolnić jakiegoś tobołka szmat zwanego „gryfem” — ale musiała sobie poradzić z żywym stworzeniem! Jeśli jednak Vikteren nakłonił jakiegoś gryfa do udawania więźnia, co jeszcze mógł...

Dochodzący z nieba świst był jedynym ostrzeżeniem. Dwa szerokoskrzydłe gryfy — z Czwartego Zachodniego Dywizjonu, jak wywnioskowała z oznak na lotkach — nadlatywały ku niej i góry. Ciągnęły za sobą białe wstęgi przywiązane

do tylnych nóg. *Udają makaary!*

A więc to tak!

Bursztynowy Żuraw zacisnął dłoń na ramieniu Skana i poczuł, jak mięśnie gryfa napinają się pod jego palcami. Dwa „makaary” spadały z góry na Zhaneel, a on nie potrafił wymyślić sposobu, w jaki mogłaby im umknąć.

On nie potrafił, ale ona najwyraźniej tak!

Zrobiła unik i salto, tak że „makaary” minęły ją prawie o długość szpona. Kiedy spadały obok niej, wzniosła się w powietrze i dzięki szczęściu lub niesamowitej koordynacji, trafiła w jedną ze wstążek i zerwała ją.

„Martwy makaar” łagodnie zaklął i zaśmiał się, a potem grzecznie usunął z pola walki. Dzięki temu Zhaneel mogła wystrzelić w niebo, zyskując na wysokości i prędkości i zamierzała zawrócić, aby znowu zaatakować. Drugi szerokoskrzydły gryf usiłował ją gonić, ale był zbyt ciężki. Gdyby jej zadaniem było tylko wygrać tę gonitwę, już okrzyknęliby ją zwyciężcą.

Jednak musiała dokonać czegoś znacznie trudniejszego — „uwolnić uwięzionego gryfa” i przeprowadzić go cało z powrotem przez tor. Owym gryfem był Aubri, stary przyjaciel z namiotu Skana. Nadal był na liście „rekonwalescentów” i nie mógł latać. Pełna imitacja rzeczywistości! Każdy gryf w niewoli Ma’ara odniósłby rany, być może nawet poważne, a jego szybkość i ruchy byłyby mocno ograniczone.

Aubri zgłosił się na ochotnika do tej sromotnej roli, częściowo z nudy, częściowo chcąc pomóc Zhaneel, a częściowo dlatego, że drażnienie dowódcy sprawiało mu szczególną przyjemność. A sukcesy Zhaneel w tym szczególnym szkoleniu musiały bardzo irytować przełożonego, który nie dopuszczał do siebie myśli, że gryf może mieć swój rozum. Ten zaś, kto miał swoje pomysły, znajdował się w kłopotach.

Zhaneel zatoczyła koło i zaczęła nurkować. „Makaar”, który bezskutecznie próbował ją dogonić, nagle zdał sobie sprawę, że choć mógłby jej dorównać w walce wręcz, nigdy jej nie sprosta w sztuce uników.

A ona nie zamierzała pozwolić mu się zbliżyć.

Zawrócił, kierując się do miejsca, gdzie — jak przypuszczał Bursztynowy Żuraw — ukrywał się młody mag. Czy Zhaneel także to zauważyła?

A może jest tak pochłonięta „bezpośrednim” wrogiem, że zapomniała, iż mogą być jeszcze inni na tym torze?

Podobnie jak sokół rzucający się na łup, ciasno zwinęła skrzydła i podwinęła nogi. Nie tak jak szerokoskrzydłe gryfy udające makaary, które trzymały szpony wyciągnięte przed sobą, gotowe złapać i rozszarpać ofiarę. Kiedyś nauczono ją, jak uderzać w locie na łup i ten sposób walki stał się jej drugą naturą. Czyżby tak bardzo ogarnęła ją euforia walki, że widziała tylko swego najbliższego przeciw-

nika?

Skan wstrzymał oddech, gdy Zhaneel spadała z nieba. Był pewien, że zapomniała o czeladniku, ale on z pewnością nie stracił jej z oczu — a najlepszą kryjówką dla niego było miejsce w pobliżu unieruchomionego „więźnia”. Być może ona dopadnie swoją ofiarę, ale Vikteren z pewnością dopadnie ją. . .

Jednak podczas gdy gryf szaleńczo machał skrzydłami, usiłując przed nią uciec, ona po prostu przemknęła obok niego, zupełnie go ignorując!

Zatrzymała się nad niewinnie wyglądającą kępą zarośli, wymierzyła w słabe wybrzuszenie i natarła skrzydłami i pięściami. Zza maskującego krzewu wychylił się Vikteren, śmiejąc się serdecznie.

— Dobrze! Dobrze! — wołał, wycierając piasek z oczu. — Święta Kreeshto, już mnie złapałaś! Zostaw mnie, dobrze?

— Zginałeś dwa razy, magu! — krzyknęła, unosząc się znowu w niebo.

Rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu drugiego „makaara”, ale szerokoskrzydły gryf, idąc za przykładem większości makaarów, nie chciał się mierzyć z gryfem i opuścił scenę, ratując wstęgę i „życie”. Oczywiście w przeciwieństwie do prawdziwego makaara, nie zostanie ukarany za dezercję.

Skan wymamrotał pochwałę, gdy Zhaneel wylądowała możliwie najbliżej unieruchomionego „więźnia”, czyli nieomal na jego głowie. Wokół niego najprawdopodobniej było pełno pułapek, których uniknęła, stojąc tak blisko więźnia, jak człowiek, który go wiązał. Szerokoskrzydłe gryfy nie potrafiłyby tego. Nie mogłyby też użyć przednich szponów tak jak ona: specjalnymi nożycami przecięła drucianą siatkę, a potem ciężkim nożem, którego już raz tak skutecznie użyła, liny wiążące Aubriego.

*Pięknie, pięknie, mała gryfco!* — chwalił ją Skan. — *A teraz, jak ochronisz plecy rannego gryfa? To będzie prawdziwy test.*

Zhaneel przyjrzała się Aubriemu.

— Czy możesz latać? — spytała niecierpliwie.

— Nie. Nie mogę się poruszać szybciej niż koń z połamanymi nogami. Poza tym moje rany są prawdziwe, wiesz?

Zhaneel zakłęta i rozejrzała się wokoło za czymś, co mogłaby wykorzystać. O kilka długości skrzydeł od niej rosły konary drzewa, a ona miała kawałki liny, którą właśnie przecięła, i drucianą siatkę. Schwyciła kawałki liny nadające się do użytku, zwinęła je i zarzuciła sobie na szyję.

— Dwa pytania — powiedziała. — Jak daleko możesz skoczyć i czy możesz mocno trzymać tyczkę?

Aubri zmrugał oczy, najwyraźniej próbując odgadnąć, co ten dziwny ratownik ma na myśli. Jednak nie pozostało mu nic innego, jak się poddać.

— Gdybym bardzo musiał, może skoczyłbym. . . na dwie swoje długości. Ale



nie będzie to szczególnie przyjemne. A tyczkę potrafię trzymać mocno. Nadal czuję się wystarczająco silny, aby połknąć makaara.

— Dobrze. Zostań tutaj.

Rzuciła mu coś, co przy odrobinie dobrej woli mógłby uznać za pocieszający uśmiech. Potem napięła mięśnie nóg i skoczyła w powietrze, trzymając linę. W locie odbiła w kierunku pobliskich trzech konarów.

Konwencjonalne pułapki na gryfy zazwyczaj budowano tak, aby raziły z boku poprzez otwarty teren, podobnie jak ta, w którą wpadła przy fałszywym obozie żołnierzy. Pułapki magiczne były często konstruowane tak, aby wykryć nadlatującego nisko ptaka; strzelały wysoko, wybuchwały w górze i spadały szerokim łukiem. Po uruchomieniu były w stanie zabić albo okaleczyć w każdym możliwym punkcie. Ponieważ te zbudował Vikteren — mag -. gryfica miała wszelkie powody, by przypuszczać, że zmierzy się z obiema rodzajami pułapek.

*Najlepszym sposobem, aby ominąć zasadzki, jest w ogóle się do nich nie zbliżać!*

W ciągu paru minut miała to, czego jej było trzeba — długi konar odłamany dziobem i ociosany z gałązek, aby mógł go uchwycić Aubri. W najwyższym miejscu rozwidła się na szerokość dwóch szponów. Zrobiła tam nacięcia, w których zamocowała dwie inne gałęzie.

*Teraz trzeba dostarczyć moje gniazdko.*

Znów minęło parę minut i kilka kawałków liny zamieniło się w jeden bardzo długi — niezbyt ładny, ale mocny sznur. Zhaneel wykorzystała cztery troki, aby przywiązać do jednego końca liny liście i niewielkie gałązki, które oskubała chwilę wcześniej z konara. Pochyliła głowę, odmierzając odległość do Aubriego oraz „bezpieczny” pułap, na którym już wcześniej leciała i nie uruchomiła pułapek. Po czym wzbija się, trzymając mocno luźny koniec sznura w tylnych łapach.

*Magiczne pułapki na gryfy uruchamiają się, kiedy w ich zasięgu przeleci coś żywego, ale nie zawsze. Mogą czasami być uruchomione przez cokolwiek — byle tylko wysoko latało!*

Zhaneel zatoczyła koło, chcąc się wznieść wyżej — a był to spory wysiłek, ponieważ im wyżej leciała, tym cięższe stawało się jej jarzmo. W końcu poczuła szarpnięcie, gdy tobołek z liści oderwał się od ziemi. Wznosiła się ponad unieruchomionym Aubrim, unosząc linę coraz wyżej, aż uznała, że tobołek jest już na poziomie, który uważała za bezpieczny. Potem swoje zmaganie o wysokość zmieniła w zapierający dech lot nurkowy z dalekiego końca polany w kierunku, gdzie znajdował się przygotowany konar. Odmierzyła, mając nadzieję, że dobrze — i puściła.

Zawiniątko z liści poszybowało w dół, prosto ku bezradnemu Aubriemu. Za nimi leciała lina, dziko się wijąc, wyprzedzając pęk gałęzi, który wzbudzał większy opór powietrza niż sznur. Podczas gdy Zhaneel wystrzeliła z powrotem w niebo, zielone liście i gałązki uderzyły Aubriego w plecy i skrzydła. Nie było to

z pewnością przyjemne, ale łatwiejsze do zniesienia od wszystkiego, co makary mogły zrobić uwięzionym gryfom. Pośród oburzonych przekleństw ze strony „pojmanego” lina upadła, tworząc węzowe zawijasy przez całą szerokość polany. Tak jak oczekiwała, upadek liny nie uruchomił pułapek.

*Następna sztuczka.*

Zhaneel wylądowała przy konarze i dysząc ciężko, zbierała myśli. Aubri patrzył na nią oburzony, ale nie wyraził głośno tego, co myśli o swoim „ratowniku”. Pomachała mu pocieszająco i przywiązała linę do konara.

Kilka sekund później była znowu na niebie z dwiema żerdziami przyczepionymi do tyłu jej uprzęży. Poleciała wypróbowaną drogą i wylądowała obok Aubriego.

— Spodziewam się, że masz istotny powód, by zasypywać mnie liśćmi i patykami — zagrzmiął.

— Przepraszam. Mam pewien plan. Potrzyмай. . . — wymruczała, odczepiając żerdzie z pleców. — Drapią! O, teraz. Połóż się na boku i zwiń w kłębek. Trzymaj te patyki w górze, jeden przednimi, drugi tylnymi łapami. O tak. — Wskazała na miejsce, gdzie leżała lina. — Bądź cierpliwy.

Aubri westchnął.

— Nigdzie mi się nie spieszy. Moje życie jest w twoich rękach.

Zhaneel przyciągnęła drucianą siatkę do Aubriego i wykorzystwała kolejne dwa troki, aby przy czepić ją do dwóch żerdzi. Kiedy kładła na siatkę tobołek z liści, w oczach Aubriego pojawił się błysk zrozumienia.

— Tarcza.

— Właśnie. Niezbyt duża, ale może nam pomóc. — Uśmiechnęła się i poklepała go po grzebieniu. — Teraz, pozwól, że wcisnę się pod twój brzuch, gdzie lina biegnie pod siatką.

Aubri zgodził się, zafascynowany. Usadowiwszy się na Aubrim, Zhaneel zaczęła zwijać wolno linę, aż w końcu ciężkie gałęzie przywiązane do drugiego jej końca zaczęły torować sobie drogę ku dwóm gryfom.

— Szukam pułapek ziemnych — wymamrotała Zhaneel. — Gdyby coś się działo, trzymaj mocno żerdzie! A ja będę chronić twój brzuch.

*Wszystko ma sens — on nie może latać, zatem ja także muszę tylko skakać. Jeśli ochronię go przed ciężkimi ranami, uda nam się wrócić do domu piechotą.*

Nagle rozległ się przerażający świst, jak gdyby została uwolniona ogromna cięciwa kuszy, i na polanę runął deszcz kamieni. Oba gryfy zacisnęły powieki, podczas gdy grad kamiennych pocisków grzmocił o ich zieloną tarczę, po czym ustał. Wtedy otworzyły się dwa ziemne kratery, wyrzucając z siebie kije, które spadały niedaleko nich. Kilka minut później Zhaneel sięgnęła bez przeszkód po przyciągnięte ze sobą gałęzie.

*Ostatnia sztuczka.*

Pracując, jednocześnie cierpliwie wyjaśniała Aubriemu, co robi. Gdy skończyła, pozwoliła sobie na chwilę satysfakcji. Zebrany tłumek pochwalił oklaskami sposób, w jaki uporała się z ziemnymi pułapkami, i czekał oczarowany, zastanawiając się, co jeszcze wymyśli. A Zhaneel kończyła właśnie robić baldachim z siatki drucianej, liści i gałęzi, który zamierzała wznieść na Aubrim.

— Pamiętaj, abyś go mocno trzymał. Rozumiesz?

Aubri pokiwał głową.

— Masz to u mnie, podniebna tancerko.

Nozdrza Zhaneel poczerwieniały i uniosła się prosto w gór szaleńczo nabierając szybkości. Kiedy osiągnęła bezpieczną wysokość, obróciła się na plecy, wyprostowała i złożyła ciasno skrzydła, pędząc szybciej niż strzała z kuszy. Jej cień posuwał się po ziemi, kiedy nurkowała. Czuła, jak wiatr tnie jej ciało, i widziała, jak krajobraz staje się rozmytą plamą, kiedy gnała ponad polaną o długość skrzydła ponad ziemią, lecąc tą samą ścieżką w powietrzu, którą wcześniej po ziemi przemierzyła jej miotła z gałęzi.

Za sobą słyszała wybuchające kule ogniowe i widziała błyski żółtego światła. W chwilę później poświęciła szybkość na rzecz wysokości i wzniosła się w górę, aby zobaczyć deszcz iskier, spadający na całą polaną i tarczę Aubriego.

Prowizoryczna tarcza zdała egzamin, chroniąc gryfa.

Wydając pierwszy w swym życiu okrzyk zwycięstwa, zbliżyła się do „więźnia”, aby go oswobodzić.

Zimowa Łania skrzywiła się, gdy widownia zaczęła wznosić okrzyki radości. Ktoś ją potracił, szturchając w plecy, i wywołując ukłucie bólu w prawej nodze, co dodatkowo pogorszyło jej nastrój.

Garber rozkazał jej, aby tu przyszła. Nie podobał jej się ten rozkaz i nie była pewna, czy się na to godzić. A teraz dodatkowo jeden z gryfów rąbnął ją w plecy i poczuła, że szczerze nienawidzi tych pierzastych stworów. W końcu to przez nich dawny uraz odnowił się.

*Bądź sprawiedliwa. To nie była jej wina.* Zimowa Łania od dawna cierpiała na bóle pleców, lecz nie zwracała na to uwagi. W końcu, kto tutaj nie miewa bólu głowy czy pleców pod koniec dnia? Jej kontuzja zdarzyła się, gdy nastawiała ciężko zranione i bolące skrzydło mającej gryficy, która wierzgnęła z bólu tylnymi łapami. Zimowa Łania poszybowała w powietrze, a potem z hukiem spadła na plecy. Niczego sobie nie złamała, ale gdy się podnosiła, poczuła kłujący ból w plecach, który z czasem wcale nie mijał, lecz stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

Była uzdrowicielem. Wiedziała, że ktoś powinien ją zbadać i że przez jakiś czas powinna poleżeć w łóżku, orientowała się nawet w naturze swej kontuzji. Jednak wtedy wszyscy uzdrowiciele byli zajęci, a ona nie miała czasu. Toteż po

prostu nie wspomniała o tym nikomu. Starła się jak najmniej ruszać, mówiąc, że nadwreżyła kręgosłup, i używała tego jako wymówki, aby nie robić czegoś, co pogorszyłoby jej stan. Jednak ból nie mijał, a ulgę czuła tylko w dwóch pozycjach. Niestety, żadnej z nich nie mogła wykorzystać do pracy. Prawdziwy kłopot. Uzdrowiciel powinien umieć sam sobie pomóc. Czyżby to był przejaw niekompetencji?

Ból nie poprawiał jej nastroju, a szturchańce jeszcze go pogarszały.

*Cholerny Garber. Miał rację, ale z zupełnie innych powodów.*

Już od kilku dni obserwowała Zhaneel, ponieważ tor przeszkód zainteresował ją na długo przedtem, zanim Garber w ogóle zauważył, że coś się dzieje. Do dziś targały nią sprzeczne uczucia.

Z jednej strony podziwiała małą gryficę, najwyraźniej nie nadającą się do walki, która jednak znalazła sposób, aby sobie poradzić. Zhaneel ćwiczyła, pokonując swe ograniczenia i przeszkody. Udogodnienia, które musiała wymyślić, aby nadrobić swoje braki, były niesamowite. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam mały wyrodek, którego Garber uznał za bezwartościowego.

Z drugiej jednak strony te tak zwane „sesje treningowe” całkowicie ją wyczerpywały. Nie otrzymała wyraźnego rozkazu i działała na wpół legalnie. Na to można było przymknąć oko. Nie można było jednak zlekceważyć faktu, że wciągała do tego także inne gryfy, z bardzo wątpliwymi rezultatami.

Zhaneel sama wychodziła z tych sesji z nadciągniętymi mięśniami. Nie przychodziła do Zimowej Łani po pomoc, ale to bez różnicy. Odnosiła obrażenia, ale przecież sama wymyśliła ten tor i ten trening. Zimowa Łania obawiała się, że jeśli jakieś inne gryfy spróbują pokonać przeszkody Zhaneel, mogą odnieść poważne rany.

A jeśli nie, zmęczą się i mogą zawieść na linii frontu. Wojna szalała, a siły zmniejszały się. Chociaż nie rozgłaszano tego, Zimowa Łania wiedziała, że wojska Urtho każdego dnia traciły ziemię, kawałek po kawałku. W powietrzu znalazł się nowy miot makaarów i śmierć zbierała żniwo wśród gryfów. Jeśli gryfy będą traciły swoje siły, forsując się na tym torze przeszkód, może im w przyszłości ich zabraknąć w starciu z makaarami.

Garber dopiero co dowiedział się, że gryfi wyrodek wykonuje rzeczy, których on nie rozkazał, nie tyle może szydząc z jego autorytetu, ile go umniejszając. Żadnemu gryfowi w Szóstym Dywizjonie nie wolno było samodzielnie myśleć; już sam pomysł toru przeszkód był niedorzeczny. Zabolało go jednak dopiero upokorzenie, jakiego doznał od lady Cinnabar, która wygłosiła mu wykład — przy Urtho — dotyczący zabrania hertasi rannym gryfom. Zimowa Łania nie była przy tym obecna, ale znaleźli się tacy, którzy podsłuchali, jak lady dawała mu naukę. Podobno nie wyrażała się pochlebnie o inteligencji Garbera i jego zdolności do podejmowania ważnych decyzji. Potem przyszedł wieści o Zhaneel, tworzącej własny program treningowy i zachęcającej innych, aby się do niej przyłączyli,

całkowicie pomijając Garbera. Na to nie mógł pozwolić. Wysłał zatem trondi'irn gryfów — najniższego rangą oficera w dywizjonie, to znaczy Zimową Łanię — by obręgała Zhaneel. To, że treningi Zhaneel zdawały egzamin, Garber wzgardliwie pomiął.

Zimowa Łania przedzierała się przez tłum, co z każdą chwilą było trudniejsze. Nie lubiła konfrontacji, zwłaszcza w obliczu widowni.

Dostała jednak wyraźny rozkaz. Miała też gotową przemowę, dostarczoną jej przez adiutanta Garbera, wyuczoną na pamięć. Przypuszczalnie dowódca nie ufał, że wygłosi właściwą naganę... albo nie wierzył w jej inteligencję, tak jak nie wierzył w inteligencję gryfów.

Wreszcie znalazła się na wolnej przestrzeni, twarzą w twarz z małą gryficą.

Zhaneel zamruęła zdziwiona i cofnęła się o krok czy dwa.

— Zimowa Łania — powiedziała bez namysłu. — Co ty tutaj rrobisz?

Tylko tego potrzeba było Zimowej Łani.

— Lepiej trzeba by zapytać, co ty tutaj robisz, gryfie — rzekła zimno. — Znajdujesz się tu bez rozkazu, używasz wyposażenia, do którego nie masz prawa, i wciągasz do tego personel i inne gryfy, aby nie tylko tobie pomagały, ale i cię naśladowały w twoich nierozumnych planach. Twój dowódca jest wyraźnie niezadowolony. Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Spodziewała się, że Zhaneel zachowa się tak jak zwykle, się trochę, wyjąka przeprosiny i ucieknie do swojego gniazda, zapominając o swoim śmiesznym „programie szkoleniowym”. Przygotowała wspaniałomyślne przyjęcie tych przeprosin, będąc w połowie swojej przemowy. Parę słów, które uczyniłyby z niej coś więcej niż tylko tubę Garbera...

— Ja? — odparł wyrodek, strosząc pióra. Zhaneel wyprostowała się na całą swą wysokość i spojrzała w dół na trondi'irn pełnymi wściekłości. — Ja? — powtórzyła, podnosząc głos. — Czyżby to była moja wina, że dowódca Szóssstego Dywizjonu nie ma więcej wyobrrraźni od żółwia błotnego? Czy to moja wina, że isstnieje tylko jeden progrrrram szkoleniowy dla wszysstkich, bez względu na okoliczności czy na ich zmianę? Czyżbym źle postępowała? Co ja takiego zirrobiłam, że jessstem ossskarrzona?

Jej głos nabrał mocy, a widownia, która zaczęła się rozpraszać, ponownie się skupiła, oczekując zupełnie innego widowiska. Było jasne, że nie poprą Zimowej Łani.

— Nie robię niczego złego! — krzyczała Zhaneel. — Wykonuję to, co powinno być wykonane, tyle że nikt się o to nie zatroszczył! A ty, moja trondi'irn, miałaś obowiązek zauważyć, czego potrzebuję!

Ludzie otoczyli je ciasno, odcinając Zimowej Łani drogę ucieczki. Wbrew sobie — zaczerwieniła się, zakłopotana.

— Nie masz rozkazu ani pozwolenia... — zaczęła.

— Rozkazu? — powtórzyła gryfica z głębokim niedowierzaniem. — Mam teraz czas wolny! Ci, którzy mi pomagają, są po służbie! O jakich rozkazach mówisz, o jakim pozwoleniu? Czy teraz mamy składać specjalne prośby nawet wtedy, gdy chcemy zrobić siusiu?

Ze wszystkich stron rozległy się chichoty, a nawet głośny śmiech. Zimowa Łania dostrzegła wściekle spojrzenia zebranej publiczności. Jej twarz płonęła boleśnie.

— Jesteśmy po służbie — powtórzyła gryfica. — Czyżby Garber miał prawo wydawać nam rozkazy, co mamy robić po służbie?

— Nie ma — przyznała Zimowa Łania z oporem — ale wydał mi rozkaz. . .

Zanim zdołała cokolwiek dodać, ogromny, czarnopióry gryf bez widocznych oznak regimentu przepchnął się przez tłum i stanął przed nią. Z każdego cala jego ciała bił gniew.

— Zatem dlaczego — zagrzemiał słynny Skandranon, Czarny Gryf — nie powiesz temu aroganckiemu nieopierzonemu idiocie, że jego rozkazy to kupa cuchnącego łajna? Jesteś trondi'irn — to twoje prawo i obowiązek wobec twoich gryfów.

Zimowa Łania spojrzała na niego zdumiona. Nigdy przedtem nie słyszała, jak Czarny Gryf mówi. Kiedy mieszkał w jednym namiocie z Aubrim, wypowiedział w jej obecności zaledwie jedno czy dwa słowa. Zazwyczaj spał albo ją ignorował. Nie miała pojęcia, że jest taki wymowny i potrafi mówić bez gryfiego akcentu. Słyszając czysty, wyraźny głos dobywający się z dzioba, tak się zdziwiła, że zwróciła się do niego, jakby był człowiekiem.

— Nie mogę tego zrobić! — wykrzyknęła bez zastanowienia. — Jest moim przełożonym!

Czarny Gryf wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Nie widzę powodu, dla którego nie możesz powiedzieć mu, że jest beznadziejnie tępy — odparł. — Sam mówię to dość często swoim przełożonym, kiedy zachowują się jak idioci. Przeważnie mówię im, że nie potrafią odróżnić swojego grzebienia od ogona. To dotyczy także Urtho.

Urtho? Ten. . . ten stwór, ta kreatura, rozmawia z Urtho? Była osłupiała, przerażona i rozpaczliwie brakło jej słów. Zdobyła się tylko na to, by wyjąkać:

— A. . . ale tak się nie r. . . robi!

Zabrzmiało to jeszcze głupiej.

Skandranon tylko parsknął z pogardą, a wokół wybuchnął równie pogardliwy śmiech.

— Być może ty tak nie robisz, to prawda — odparł Czarny Gryf. — Problem w tym, że zbyt wielu oficerów myśli, iż książki i szlachetne urodzenie załatwiają wszystko. A zbyt wielu podwładnych wierzy im bez zastanowienia.

Zrobił krok czy dwa w jej kierunku. Spozierał ze swej wysokości, celując w nią dziobem.

— No, dalej, rozśmiesz mnie, postaw do raportu! Garber kazał ci uprzątnąć kupę nawozu, a ty bez namysłu przygnałaś tutaj. Nie zaświtało ci w głowie, co jest prawdziwym powodem, że kazano tobie udzielić nauczki tej młodej damie? Przecież nie chodzi o to, że ona zrobiła coś złego, ale o to, że zrobiła coś, o czym Garber i Shaiknam w ogóle nie pomyśleli. Dla nich była to prawdziwa obraza, bo to, co oni nazywają „zwykłym zwierzęciem”, okazało się sprytniejsze od nich, zabrało się do czegoś bez pytania o pokolenie. Bez opowiedzenia się.

Zimowa Łania otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć — ale nie potrafiła znaleźć słów. Skandranon miał rację i ona o tym wiedziała, bo sama często myślała podobnie. Nie mogła zmusić się, by bronić Garbera, szczególnie gdy przypomniła sobie protekcyjnalne, prawie obraźliwe zachowanie adiutanta, gdy wręczał jej ten rozkaz. Stała więc tylko z otwartymi ustami, zawstydzona, z niemądrą miną.

Zhaneel uratowała resztę jej godności.

— Trondi'irn — powiedziała szorstko. — Chcę z tobą zamienić parę sssłów. Na osssobności. Od razu.

Zimowa Łania skorzystała z tej furtki, choć nie była tym zachwycona, i skinęła głową.

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak tylko się zgodzić.

Akceptacja każdego rozkazu weszła jej w krew.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Bursztynowemu Żurawiowi udało się zaciągnąć Skana tam, gdzie nie mógł usłyszeć go nikt z obozu, gdyby wybuchnął gniewem. Zaprowadził go daleko, na sam środek toru przeszkód, w niewielki osłonięty obszar z jednym czy dwoma drzewami rzucającymi cień i kamieniami, na których można było usiąść. Miał szczęście, że tor przeszkód Zhaneel był wystarczająco duży, żeby ich nie usłyszano, nawet jeśli Skan zacznie wrzeszczeć. Wielkie gryfy mają wielkie płuca.

Teraz, gdy „przedstawienie” się skończyło i wszystkie pułapki powybuchwały, tor był stosunkowo bezpieczny. A poza tym ci, którzy mogli podsłuchać Skana, i tak byli przyjaźnie do niego nastawieni. Od dziś nie mieli wrogów wśród widzów.

Pierwszy wyczyn Zhaneel został zupełnie zaćmiony przez drugi, gdy wystąpiła w obronie swych praw, odważnie sprzeciwiając się tej urzędnicze Zimowej Łani. Nikt się tego nie spodziewał, gdyż Zhaneel zawsze była bardzo nieśmiała.

*Widocznie tamta posunęła się za daleko. Nic dziwnego. Ta kobieta nawet mnie wytrąciłaby z równowagi.*

Nawet trener Szósteego Dywizjonu zraził się do trondi'irn gryfów. A jeszcze bardziej do Garbera. Gdyby wszyscy niezadowoleni złożyli na Garbera protesty do Urtho, to — nie licząc Shaiknama — zostałby on uznany za najbardziej nie lubianego dowódcę. Nawet ludzie byli przerażeni jego najnowszym wyczynem. Jak może oficer dowodzący określać, co wolno, a czego nie wolno robić po służbie?

*No cóż, Zimowa Łania była przynajmniej na tyle rozsądna, że czuła się zażenowana rozkazami, które miała przekazać. Tyle można powiedzieć na jej obronę, jednak nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Trondi'irn powinien mieć dość hartu, aby właściwie spełniać swoje obowiązki, a nie robić z siebie durnia za każdym razem, gdy dowódca wyda jakieś głupie rozkazy. Czyż to nie o niej mówił mi Gesten, że wydała polecenie odesłania hertasi do innych zadań? Czy ona potrafi tylko powtarzać jak papuga wszystko, co jej każe Garber?*

Bursztynowy Żuraw usiadł na rozgrzanym od słońca kamieniu i pozwolił, aby Skan dał upust swojej wściekłości. Gryf był zirytowany postępowaniem tej kobiety, a jeszcze bardziej rozjuszył go jej dowódca. Gdyby powstrzymał Skana, ten zakopałby topór, aby wyciągnąć z ukrycia sztylet. Lepiej dla niego, aby dał



upust swemu gniewowi w obecności przyjaciela, niż demonstrował go przed całym obozem, i wpadł przez to w jakieś tarapaty. Nie pierwszy raz swoim dziobem wykopałby dołek wystarczająco wielki, aby samemu w niego wpaść.

— Właśnie tak myślałem! — pieniał się Skan. Kroczył miarowo tam i z powrotem, niecierpliwie rozkładając skrzydła. Przy każdym kroku jego szpony orały ziemię, zostawiając długie zagłębienia w piaszczystej glebie. — Właśnie o tym usiłowałem ci powiedzieć! Teraz zobaczyłeś to na własne oczy — całą tę śmierdzącą sprawę! Dowodzą nami ludzie, którzy nas nie znają i w ogóle ich nie obchodzimy! Wystawiamy się na niebezpieczeństwo, usiłując bronić ich życia, a ci bezmyślnie nas narażają! Kompletni idioci, nie potrafią odróżnić hełmów od swoich jaj, a usiłują mówić nam, co mamy robić! A teraz jeszcze chcą nam rozkazywać, co mamy robić po służbie. Zakute pały, twierdzą, że takie jest ich prawo i przywilej!

I tak dalej, a każde słowo przesycone było czystą nienawiścią. Bursztynowy Żuraw siedział na swoim kamieniu, kiwał głową, patrzył ze współczuciem i co jakiś czas uspokajająco pomrukiwał. W tej chwili, choć tego pragnął, nie mógł niczego więcej zrobić, słuchał więc, co Skan miał do powiedzenia. Sam był zbyt rozgniewany, aby poprawiać Skanowi nastrój. Gdyby starał się go uspokoić jakimiś logicznymi wywodami, do gniewu Skana dołożyłby jedynie własny. Poza tym Skan nie chciał, by go uspokajano. On szukał celu.

Problem polegał na tym, że Skan pod wieloma względami miał rację. Bursztynowy Żuraw sam wielokrotnie był świadkiem tego, o czym mówił jego przyjaciel. Gryfy jednak nie miały żadnego wyboru. Bez względu na to, jak było im ciężko, nie mogły tak po prostu spakować się i opuścić swego twórcy. W pewien sposób były na niego skazane, gdyż tylko Urtho znalazł sekret ich płodności. Bez niego nie potrafiłyby się rozmnażać. Gdyby zatem odeszły, stałyby się ostatnimi ze swego gatunku.

Skan wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek, bo za każdym razem, kiedy wracał z misji, cały lub ranny, ktoś pytał go, kiedy ma zamiar wziąć sobie towarzyszkę i spłodzić młode. To pytanie niezmiennie go irytowało i nigdy o nim nie zapomniał, choć je zbywał. Mimo to nigdy otwarcie nie poskarżył się Urtho.

*Dlaczego? Nie wiem. Być może, pomimo przechwałek o rozmawianiu z Urtho jak z równym, boi się maga. Być może liczy, że Urtho sam się domyśli, jaka niesprawiedliwość spotkała gryfa. . .* Takie myśli kłębiły się w głowie Bursztynowego Żurawia. Pragnął on znaleźć jakieś racje, które mogłyby uspokoić jego przyjaciela. W tej chwili jednak Skan był uosobieniem zemsty — postawił grzebień, nastroszył pióra na karku, rozłożył skrzydła, szponami rozdzierał cienką darń na strzępy. Bursztynowy Żuraw we wszystkim zgadzał się z Czarnym Gryfem. Jak mógł uspokajać Skana, skoro sam pragnął — za Skana i Zhaneel — rozerwać Garbera i Shaiknama na najdrobniejsze kawałki?

*I nie tylko za Skana i Zhaneel. Niedługo sketi mogą spróbować tego na innych*

*grupach. A może wcześniej zechcą rządzić wyjątkowymi usługami jednego lub kilku uzdrowicieli, albo i kestra'chern? Jeśli raz złamali zasady, ile razy jeszcze je złamią? A wtedy, gdy już narzucą swoje, czy zostanie ktoś, kto będzie mógł się im sprzeciwić?*

Pomyślał, że obecny stan Skana „oczyszczył” pole. Nikt nie chciał zbliżyć się do rozwścieczonego gryfa, a szczególnie gdy tym gryfem był Skan. Właściwie nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, ale kiedy był aż tak zły, lubił udawać, że jest tego bliski. Słuchając Skana już ćwierć miarki świecy, Bursztynowy Żuraw spostrzegł, jak ktoś pędzi przez nierówny teren w ich kierunku. Tylko jeden czeladnik miał włosy jak marchewka — Vikteren.

*Zmierza prosto ku nam. Dobrzy bogowie, co się stało? Kolejna katastrofa?*

— Bogowie! — krzyczał młody mag, gdy Skan przerwał, aby nabrać oddechu. — Obdarłbym ze skóry tego durnego, tępego idiotę, gdybym tylko wiedział, jak to zrobić, żeby najbardziej bolało!

— Garbera? — spytał słodko Bursztynowy Żuraw.

— Bogowie! I Shaiknama! — powiedział gorzko Vikteren. Gdy przestał krzyczeć, podniósł leżącą gałązkę i zaczął ją metodycznie łamać na coraz mniejsze części. — Sądziłem, że cała ta sprawa z biedną Zhaneel jest już wystarczająco okropna, ale to, co się stało teraz. . .

Zmagał się z napięciem i emocjami. Najwyraźniej jego wściekłość była tak wielka, że aż go dławiła, i nawet Skan, obserwując go, opuścił swój grzebień i przechylił głowę na jedną stronę. Młodzieniec należał do najbardziej opanowanych magów w korpusie. Potrafił w każdych okolicznościach zachować zimną krew. To, co wytrąciło go z równowagi, musiało być naprawdę straszne.

— Co się stało? — zapytał nerwowo Bursztynowy Żuraw, promieniując na maga spokojem, czego nie zrobił wcześniej ze Skanem. Nie za wiele, ale wystarczyło to, by powstrzymać młodzieńca przed kolejnym wybuchem.

Vikteren zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Jego rumieniec zbladł, i chłopak nie wyglądał już na kogoś na skraju apopleksji.

— Słyszałem, co przed chwilą mówił Skan i muszę wam powiedzieć, że Shaiknam w taki sam sposób traktuje oddziały składające się z ludzi. Zdzięsił wszystkie. Właśnie rozmawiałem z magami z Szóstego Dywizjonu. Dziś rano straciliśmy prawie wszystkich z Szóstego Karmazynowego, także i maga, ponieważ Shaiknam poprowadził ich wprost do zasadzki, choć od swoich zwiadowców dobrze wiedział, że to pułapka. Ividian krył ich odwrót; zginął przy tym i ich ocalił. Ividian zginął! A Shaiknam zbeształ całą kompanię za „nielegalne manewry”! Ividian był moim przyjacielem, ale to nie wszystko — Shaiknam zabił dziś jeszcze trzech innych magów. W dodatku ma czelność gadać, że to był wypadek.

Bursztynowy Żuraw syknął z oburzenia, jego żołądek zmienił się w kamień, a skóra nagle stała się zimna. Strata kogokolwiek z Szóstego Karmazynowego była rzeczą straszną — a strata maga była katastrofą. I wszystko przez głupotę

zadufanego w sobie Shaiknama.

Jednak Vikteren zarzucał mu coś więcej niż zwykłą głupotę. To, co powiedział, wskazywało, że Shaiknam zamordował pozostałych trzech magów.

— Jaki wypadek — spytał ostrożnie — miał namyśli Shaiknam? Twarz Vikterena znowu zapłonęła purpurą.

— Zmusił ich — rozkał — aby wyczerpali swą moc, tak że w końcu stracili przytomność. A potem zostawił ich tam, gdzie upadli. Nie udzielił im żadnej pomocy, nawet nie przykrył kocem. Zmarli z szoku po utracie mocy. Mówił potem, że tyle wokoło się działo i po prostu o nich zapomniał. Jednak dowiedziałem się od kogoś, że było inaczej; on rozkazał ich tam zostawić. Stwierdził, że skoro są tak silnymi i wszechmocnymi magami, to sami mogą sobie poradzić. Nazwał ich słabeuszami. Powiedział, że przyda im się nauczka.

Bursztynowy Żuraw i Skan jednocześnie zagrzmieli z oburzenia. Wyglądało to bardziej na morderstwo niż na zaniedbanie. Mag, który traci przytomność z przepracowania, powinien być natychmiast poddany uzdrawianiu, inaczej umiera. Każdy dowódca o tym wie. Nawet Shaiknam.

Nie miał żadnej wymówki. Żadnej.

— Shaiknam to małoduszny głupiec. Problem polega na tym, że jego głupie rozkazy pociągają za sobą straszne skutki — kończył Vikteren, a jego szkarłatny rumieniec gniewu z wolna bladł. — Nie ma w nim odrobiny współczucia, nic się dla niego nie liczy oprócz niego samego i władzy. Wykorzystał tych trzech, aby pokryć straty, jakie odniósł przy odwrocie. Nie chciał wypaść aż tak źle, więc wydał rozkaz ataku. W dodatku walczyli tam przeciwko zwykłym oddziałom i nie było potrzeby używać magicznej broni!

Vikteren nabrał znowu powietrza i wyrzucił połamane gałązki, które przez cały czas trzymał w dłoni.

— Przyszedłem, aby wam zakomunikować, że dziś wieczorem odbędzie się zebranie wszystkich magów. Mamy zamiar powiedzieć Urtho, że żaden z nas nie chce służyć pod dowództwem Shaiknama ani pod żadnym innym nieodpowiedzialnym idiotą. Jesteśmy zmęczeni traktowaniem nas niczym kusze czy katapulty. Zamierzam poruszyć kilka spraw na tym zebraniu, a zanim to zrobię, chciałbym, żebyście zbadali, czy inni poprą mój głos!

— Ale ty nie masz głosu — rzekł Bursztynowy Żuraw. — Jesteś tylko uczniem... no, czeladnikiem...

Vikteren parsknął.

— Ha! Nie jestem czeladnikiem, jestem już pełnym mistrzem magii, ale mój nauczyciel nigdy mnie nie awansował. Sprawdził, kto byłby moim dowódcą, i zaniżył mój status, abym nadal pracował tutaj. Gdybym został wysłany na linię frontu, mógłbym zginąć przez tego głupca. Jego decyzja uratowała mi dziś życie, przynajmniej ja tak to odbieram. Mógłbym zostać mistrzem, ale musiałbym się liczyć z tym, że zginę. Każdy mag w obozie wie o tym.

Bursztynowy Żuraw zerknął na Skana, który lekko skinął głową. Jeden mistrz zawsze potrafił wskazać drugiego. No cóż, było to z pewnością interesujące, ale nie bardzo wiązało się ze sprawą gryfów.

Vikteren jednak jeszcze nie skończył.

— Do diabła! Bursztynowy Żurawiu! Nie jesteśmy makaarami, nie jesteśmy niewolnikami i nie można nas zastąpić, pstrykając palcami! Mamy zamiar żądać autonomii i określenia, jak ma się ona rozwijać. Przyszedłem, aby wam powiedzieć, że wszyscy magowie, z którymi rozmawiałem, uważają, że wy, gryfy, powinniście postąpić podobnie! Być może, gdy obie partie uderzą na Urtho jednocześnie, będzie zmuszony potraktować nas poważnie!

Czub Skana znowu się unióś, a jego szpony darły poszycie.

— Nie mam zamiaru uderzać na Urtho! On jest moim przyjacielem. Przecież równie dobrze moglibyśmy być cuchnącymi makaarami — zagrzmiał. — Jedyne Urtho potrafi spowodować, by nasze pary były płodne. Trzyma nas w szachu. — Zamilkł na chwilę. — Chociaż mi na nim zależy, mógłbym go za to zniechęcić — dodał z sykiem.

Vikteren wzdrygnął się.

— O czym ty mówisz? — spytał, najwyraźniej zaskoczony. — Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. . .

— Pozwól — powiedział pośpiesznie Bursztynowy Żuraw, zanim Skan zdążył się nastroszyć. — Vikterenie, to dlatego że gryfy są sztucznymi tworam. Tylko Urtho zna tajemnicę ich płodności. Jedyne gryfom, które przeżyły określoną liczbę misji, pozwala spłodzić potomstwo. Co innego wywołuje płodność samic, a co innego samców; z obojgiem należy zrobić coś szczególnego, żeby ich parzenie przyniosło w efekcie potomstwo. Poza tym muszą dokonać w powietrzu lotu godowego. Tylko wtedy, gdy te trzy rzeczy mają miejsce, mamy do czynienia z płodnym parzeniem się.

— Możemy kopolować, ile chcemy — dodał beznamietnie Skan — ale bez tej wiedzy albo bez tego składnika, który Urtho zatrzymał dla siebie, mamy tylko przyjemność. — Pokręcił swoją ogromną głową. — To nie tylko niewolnictwo, ale coś gorszego, to jest niebezpieczne. Nigdy więcej niż dziesięcioro spośród nas nie jest płodnych naraz. Wystarczy jeden czar Ma'ara — albo śmierć Urtho — a nasza rasa wyginie! Nie można mieć zdolnej do rozmnażania populacji, gdy tylko dziesięcioro spośród dorosłych jest płodnych! Nawet hodowcy psów o tym wiedzą. . .

— Ale dlaczego? — spytał oszołomiony Vikteren. — Dlaczego Urtho ukrywa to przed wami?

Skan westchnął gwałtownie.

— Nie mam pojęcia. Żadnego. Nie trzeba nas kontrolować. Czy wiesz, jak bardzo go czcimy? Służymy mu wiernie jak kyree. Troszczymy się o niego, ponieważ on ma rację i ponieważ szanujemy go, a nie dlatego, że on sprawuje kontrolę

nad naszym przeznaczeniem. Prawdopodobnie służylibyśmy mu lepiej, gdyby nas w ten sposób nie kontrolował. Cholera! Jeśli nie chce nam tego dać, może powinniśmy mu to ukraść?

— A więc ukradnijcie czar, czy cokolwiek to jest — powiedział wolno Vikteren. — To nie jest zły pomysł.

Bursztynowy Żuraw patrzył na niego, nie wierząc, że mag powiedział coś tak śmiałego, chociaż słowa te wyszły właśnie z jego ust.

— I co byście tym osiągnęli? — spytał Bursztynowy Żuraw. — Jeśli potrzeba wam maga, aby się udało. . .

Skan zamknął na chwilę oczy, jak gdyby słowa Vikterena wywołały w nim gonitwę myśli.

— Połowa gryfów jest magami na poziomie uczniów lub wyższym — zagrzmał. — Jesteśmy magiczni z natury. Nie potrzeba nam maga, który by z nami współpracował. Na przykład ja jestem pełnym mistrzem.

— Nawet jeśli zabraknie wśród was magów, znajdziecie wielu ochotników wśród ludzi — nalegał Vikteren. — Zrób to, Skan! Masz do tego prawo! Jeśli on nie daje wam go z własnej woli, ukradnij cholerny czar! A skoro jesteś mistrzem, możesz zmienić zaklęcie! Nie pozwól, aby wami manipulowano!

Bursztynowy Żuraw ku swemu zdziwieniu stwierdził, że się zgadza.

*Pomysł o rodzinach rozłączonych przez Ma 'ara. Przecież nie Zasłużyły na taki straszny los. A te gryfy, które znasz i kochasz nie mogą mieć w ogóle rodzin, dopóki nie zezwoli im na to ich pan.*

— Wybierz wolność, Skan — wyszeptał Bursztynowy Żuraw. — Ukradnij ten czar i naucz go każdego, do kogo masz zaufanie.

Skandranon złożył skrzydła, a potem wyprostował się na całą swą wysokość.

Nagły powiew powietrza wywołany skrzydłami Czarnego Gryfa zarzucił Vikterenowi włosy na twarz i wzniecił kurz, który na chwilę oślepił Bursztynowego Żurawia.

— Jednak ukraść czar Urtho. . . — Oczy Vikterena zapłonęły szalonym blaskiem. — Wiecie, że to jest prawie niemożliwe? Nie chodzi o samo zaklęcie, to całkiem proste: czary płodności zawsze są proste. Nie, chodzi o wykradnięcie czaru. Trzeba dostać się do Wieży Urtho, przejść przez wszystkie ochrony. . .

W wyrazie twarzy Vikterena uzewnętrzniło się wyzwanie i niemożliwość.

— Potrafię tego dokonać — odparł Skan, strosząc arogancko pióra.

Bursztynowy Żuraw jednak pokręcił głową.

— Bądź realistą, Skan. Kiedy odwiedzałeś Urtho, zawsze przylatywałeś prosto na jego balkon. Nie masz pojęcia, jakie zabezpieczenia są w Wieży. Wiele z nich jest skonstruowanych tylko dla ludzkich rąk, nie będziesz w stanie ich pokonać. Chyba że z nami.

— Z wami? — zapytał Skan, patrząc na obu mężczyzn. Vikteren pokiwał radośnie głową, przytakując Bursztynowemu Żurawiowi.

— Właśnie — powiedział kestra'chern z wielkim zadowoleniem, czując, jakby rozpieierała go siła tysiąca gryfów. — Z nami.

W końcu to „z nami” oznaczało również Cinnabar i Tamsina. Po krótkiej dyskusji sposób omińnięcia specjalnych zabezpieczeń okazał się absurdalnie prosty.

Cinnabar wymyśliła treść wiadomości, która miała być wysłana do Urtho tuż przed jego spotkaniem z przedstawicielami magów. Donosiła w niej, że są jakieś problemy, które ujawniły się jej i Tamsinowi w związku z badaniami prowadzonymi nad anatomią gryfów — nie było to nawet kłamstwo — i że muszą przejrzeć zapisy na temat ich rozwoju, aby mogli określić, czego Urtho użył jako „modelu”.

Nie określiła, czego dotyczą te kłopoty, tylko że potrzebuje pewnej „pomocy”.

— Urtho przechowuje zapisy na temat wszystkiego, co kiedykolwiek skonstruował — powiedziała, kiedy czekali w jej namiocie na odpowiedź. Siedziała spokojnie i cicho, jak gdyby przyjmowała gości na towarzyskiej pogawędce, a nie przygotowywała się do dokonania poważnej kradzieży. Trzymała ręce złożone na podołku i opierała się o ramię Tamsina, tajemniczo się uśmiechając, jej jasnozielone szaty były tak gładkie i nieporuszone jak malowana porcelana. Przy swoim kochanku wyglądała jak kosztowna lalka oparta o szmaciankę dziecka wieśniaków.

— Wiem, że ma obszerne zapisy na temat tego, jak skonstruował waszą rasę i na jakich modelach się opierał. Wymieniłam „problemy wewnętrzne”, które mogą dotyczyć wszystkiego w jamie brzusznej. Jest to poważna sprawa i można łatwo wszystko popsuć, jeśli się na tym ktoś nie zna. Aby dobrze radzić sobie z gryfami, nie wystarczy być uzdrowicielem znającym się na ptakach drapieżnych, chociaż w taki właśnie sposób zostałam uzdrowicielem twojego ludu, Skan. Wasza budowa nie jest w całości ani nawet w przeważającej mierze taka sama, jak u ptaków drapieżnych. Liczę na to, że Urtho będzie zajęty spotkaniem z magami i udostępni bibliotekę w Wieży, zamiast tracić czas na wyjaśnianie nam wszystkiego osobiście.

— Szkoda zatem — zauważył trzeźwo Skan — że nie będzie z nami Vikterena, ponieważ ma on pewne niezwykle talenty jako mag. Mógłby być bardzo przydatny. Jednakże z pewnością będzie zajęty przyciąganiem uwagi Urtho na spotkaniu.

Czarny Gryf leżał wzdłuż jednego boku namiotu na kosztownym purpurowo-złotym dywanie Cinnabar, z dala od wszystkich mebli. Dopóki się nie poruszył i nie przemówił, wyglądał jak droga rzeźba wspaniale pasująca do dywanu, albo raczej jak bardzo droga i wymyślna kanapa.

Bursztynowy Żuraw zachichotał.

— No cóż, w każdym razie będzie z nami duchem — powiedział, klepiąc się po kieszeni, gdzie ukrył magiczny wytrych, który powierzył mu Vikteren. — Tak-

że i z tego powodu zebraliśmy się niczym konspiratorzy i siedzimy tu przez całe popołudnie. Gdyby ktoś zobaczył nas razem, może przypuszczać, że bez Vikterena nie ruszymy się z miejsca i nie będzie nas obserwował.

Tamsin zaśmiał się i sięgnął ponad ramieniem Cinnabar po filiżankę gorącej herbaty

— Nasłuchałeś się zbyt wielu opowieści przygodowych, kestra'chern — zakpił. — Kto ma nas obserwować? I dlaczego? Nawet jeśli Urtho nas przyłapie, najgorsze, co nam może zrobić, to zbesztać. Przecież to nie to samo, co próba kradzieży jego Kamienia Mocy czy czegoś podobnego. Nie jesteśmy nawet szczególnie ważnymi osobistościami w obozie.

Skan nastroszył czub.

— Mów za siebie, Tamsinie! — odparł ostro. Tamsin tylko się zaśmiał, a Cinnabar uśmiechnęła się szerzej.

Zanim doszło do słownej potyczki, jedna z hertasi Cinnabar zaskrobała w połę namiotu. Weszła, wręczając lady zapieczętowaną kopertę. Cinnabar otworzyła ją, przeczytała wiadomość i pokiwała z zadowoleniem głową.

— Tak jak myślałam — powiedziała. — Urtho jest tak pochłonięty sprawą magów, że nawet nie zapytał, o co mi w chodzi. Rozkazał, aby wpuszczono nas do Wieży. Mamy stosunkowo wolny dostęp do zapisów o gryfach. Ostrzega mnie tylko, że niektóre rzeczy mają magiczne zabezpieczenia i jeśli będę chciała je zobaczyć, muszę go o to poprosić.

— Czego oczywiście nie zrobimy — powiedział Bursztynowy Żuraw — ponieważ mamy inne sposoby dostania się do nich.

— Widzicie zatem, że nie musimy się czaić ani wkradać przez okna, jak planowaliście — odparła Cinnabar z wymówką w głosie.

— Lady, nie włączaj mnie do tego — zaprotestował Bursztynowy Żuraw. — To Tamsin, Skan i Vikteren zamierzali włamać się do Wieży! Ja myślałem o czym innym!

— Naprawdę? — wymruczał Tamsin półszepem, kiedy wstawali, aby wyjść. — I nigdy nie zabierałeś sznura i innego ekwipunku do związywania więźniów? Więc nawet nie zapytam, dlaczego przypadkiem masz to wszystko przy sobie!

Bursztynowy Żuraw uniósł brew i udawał, że nie dosłyszał. Wstał tylko z całą godnością, jaką dawały mu lata praktyki, i skierował się do wyjścia.

Maszerowali równym krokiem ku Wieży, ogromnej, a jednak dziwnie lekko budowli z gładko ciosanego kamienia. Przyjaźnie skinęli głowami strażnikowi, który odwzajemnił powitanie. Najwyraźniej się ich spodziewał. Tamsin i Cinnabar nie potrzebowali nawet wymyślać żadnej wymówki dla usprawiedliwienia obecności Skana i Bursztynowego Żurawia. Strażnik nie kłopotał się, by o nich zapytać.

Wieża nie potrzebowała żadnego ogrodzenia; prawdopodobnie niepotrzebny był także ludzki strażnik, ale podobne pozory sprawiały, że śmiertelnicy lepiej się czuli w pobliżu takiego maga jak Urtho. Wejście znajdowało się we wnęce muru. Drzwi otworzyły się przed nimi, gdy tylko strażnik je dotknął. Przeszli, tonąc w ciemnościach, do pustego i oświetlonego holu o mozaikowej posadzce z kamienia. Znajdowało się tam troje drzwi. Cinnabar była już tu przedtem i ona wskazała im drogę.

*Ach, błogostawieni niech będą magowie — pomyślał Bursztynowy Żuraw — gdyby nie oni...*

Wtedy być może lady Cinnabar znalazłaby inną wymówkę. Była kobietą o niezwykłych możliwościach.

Pomieszczenie, w którym Urtho przechowywał swoje zapisy na temat gryfów, znajdowało się kilka pięter wyżej, ale wszyscy sprawnie pokonali kondygnacje schodów. Okrągła klatka schodowa była wystarczająco szeroka dla Skana i gdyby nie to, że oświetlono ją magicznymi lampami, wyglądałaby całkiem zwyczajnie. Została w całości wykonana z miejscowego kamienia, ułożonego równo i tak ściśle dopasowanego, że połączenia były nie szersze od ostrza noża.

Kiedy dotarli na odpowiednie piętro, delikatnie rzeźbione drzwi same się przed nimi otworzyły. Wszystkie inne wierzeje, które mijali po drodze, pozostały zamknięte, a klamek nigdzie nie dostrzegli. Weszli do pomieszczenia składającego się z korytarzyków i zakamarków, od podłogi po sufit wypełnionych książkami.

Wyglądało na to, że dobrze trafili. Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, jak Urtho utrzymuje świeże i cyrkulujące powietrze w takim miejscu. Nie było tam nawet śladu kurzu, pleśni czy wilgoci. Gdy Żuraw stanął nieruchomo, wyczuł delikatny Jednostajny strumień powietrza, ale nie potrafił określić, skąd się on brał.

Także to miejsce oświetlały magiczne światła. Mądre rozwiązanie wobec tak wielu łatwopalnych książek wokoło!

*Interesujące, że sama Cinnabar powiedziała, iż powinniśmy odkryć sekret bez pytania Urtho o zgodę. Ona zna najlepiej Maga Ciszy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego doszła do takiego wniosku. Musi być jakiś powód, dla którego przypuszcza, że nie zgodziłby się zrezygnować z trzymania gryfów w szachu.*

Ciekawość Bursztynowego Żurawia jako kestra'chern została rozbudzona. Chodziły mu po głowie różne możliwe motywacje, ale chciał się dowiedzieć, która z nich była najbardziej prawdopodobna.

Podczas gdy Tamsin i Cinnabar przeglądali indeks zapisów, aby znaleźć książki na temat systemu reprodukcyjnego gryfów, on czytał napisy na grzbietach książek w poszukiwaniu jakiegoś tropu.

Nie znalazł niestety żadnego. Wszystkie napisy były absolutnie bezosobowe, większość z nich to daty albo jakieś hasła odnoszące się do treści. „Jaja, drapież-



nik, błędny stosunek” — mówił jeden napis. „Zapisy hodowli, więź-ptaki Kaled’a’in”.

*Także w tym maczał palce ? Czy tylko wykorzystał studia, które poczynił mój lud?*

Obok tego: „Zapisy hodowli, konie Kaled’a’in”.

Bursztynowy Żuraw musiał się zaśmiać. Tylko jedna książka? Zatem Urtho nie miał w ogóle pojęcia na temat tego, co Kaled’a’in wiedzą o swoich tabunach. Chociaż najprawdopodobniej było to tylko bardzo ograniczone studium na temat hodowli koni bojowych.

Tylko to mogło go interesować. Bursztynowy Żuraw mimo to wątpił, aby hodowcy koni Kaled’a’in podzielili się swymi najskrytszymi sekretami nawet z wszechmocnym Magiem Cisy, ich tytułarnym panem. Uzdrowiciele Kaled’a’in i magowie razem pracowali nad bojowymi końmi i więź-ptakami — i chociaż efekty na drapieźnikach mogły być bardziej widoczne, praca nad końmi była bardziej spektakularna, choć może niewidoczna gołym okiem.

Drapieźniki otrzymały nie tylko większą inteligencję i ciekawość, ale i możliwość porozumiewania się z ludźmi oraz zdolność do wiązania się z sobą i z ludźmi, którzy ich stworzyli. Aby wyrównać zwiększoną masę tkanki mózgowej i uczynić je bardziej skutecznymi w walce, były większe od swoich dzikich odpowiedników.

Konie jednak zostały zmienione w bardziej subtelny sposób.

Zwiększono im ciężar właściwy kości, powiększono siłę kopyt, w pewnych przypadkach dodano nowe mięśnie, które nie istnieją u zwykłych koni. Zmieniono system trawienny; konie bojowe mogły się wyżywić tam, gdzie niewiele innych koni by potrafiło, czerpiąc pożywienie z takich nieprawdopodobnych źródeł jak oset czy martwe lub wyschnięte rośliny, podobnie jak kozły czy dzikie owce. Tak jak u drapieźników, zwiększono im inteligencję, ale jedna rzecz została zmieniona całkowicie.

Konie bojowe nie były już zwierzętami stadnymi. Stały się zwierzętami żyjącymi w sforze. Nie zachowywały się już jak konie, ale raczej jak psy. Właściwie wyszkolone potrafiły zrobić dla jeźdźca prawie wszystko — mógł on liczyć, że wierzchowiec wykona polecenie, nawet gdy jeździec zniknie mu z pola widzenia, wystarczyło tylko powiedzieć: „Pilnuj” albo „Idź do domu”.

Niewielu ludzi wiedziało o tym, że znacznie więcej pracy potrzeba było, by zmienić ich zachowanie niż proste cechy fizyczne. Czy Urtho o tym wiedział?

Sięgał po książkę, gdy lady Cinnabar zawołała go. Z żalem cofnął rękę. Kolejna tajemnica pozostanie nie rozwiązana, przynajmniej na razie.

— Znaleźliśmy książkę, której potrzebujemy — powiedział Tamsin, kiedy podszedł do wypełnionego książkami regału. — Bardzo ładnie odnotowana w indeksie, włącznie z tym, że zawiera formułę płodności. Przy okazji, odnosi ją raczej do konkretnego „czaru”, toteż Cinnabar i ja przypuszczamy, że tylko do jego

niewielkiej części konieczna jest magia.

— Zatem dobre wieści dla gryfów — powiedział z zainteresowaniem Skan, przychodząc z przeciwnego kierunku co Bursztynowy Żuraw.

— Jeśli do tego potrzeba tylko odrobinę magii, większość z nich potrafi zrobić to sama.

— Jednakże obawiamy się, że książka jest magicznie zamknięta — wtrąciła Cinnabar, wskazując na duży, oprawny w skórę wolumin, bezpiecznie związany rzemykiem i metalowymi spinkami. Nie widać było żadnego zamknięcia, ale na tym polegała specyfika magicznych zamków.

Vikteren i jego wsparcie rozwiązali ten problem.

„Wytrychy” nie były podobne do zwykłych wytrychów; raczej wyglądały jak zbiór różnego rodzaju rzeźbionych koralików.

— Urtho używa tylko około tuzina czarów, aby zamykać zwykłe książki — powiedział Vikteren. — W ogóle istnieje około stu zaklęć tego rodzaju. Oczywiście mógł użyć czegoś zupełnie nowego, ale po co? Większość ludzi nie zna więcej niż dwa lub trzy magiczne zamknięcia, nawet ci na poziomie mistrzów. Prawdopodobieństwo, że użył czegoś niezwykłego dla stosunkowo zwykłej książki, z której miał zamiar później często korzystać, jest niewielkie.

Bursztynowy Żuraw spojrzał z zaciekawieniem na sznurek koralików.

— A tutaj, ile jest czarów? — spytał.

— Siedemdziesiąt sześć — odparł z uśmiechem Vikteren. — Mój mistrz oprócz innych umiejętności jest także mistrzem zamków, a ja byłem ważnym uczniem. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba się do czegoś dostać.

— Albo wydostać — zauważył szyderczo Bursztynowy Żuraw, ale wziął do ręki „wytrychy”.

Teraz trzeba było kolejno przykładać każdy koralik w miejscu, gdzie schodziły się wszystkie wiązania. Vikteren umieścił zaklęcia w kolejności — od najbardziej powszechnych do najrzadszych — i w takiej kolejności właśnie Bursztynowy Żuraw ich używał. Trzeba było tylko cierpliwości.

Udało mu się za dwunastym razem. Gdy przesunął koralik i sięgnął po następny, rzemienie same puściły, zgrabnie składając się obok na stojaku i otwierając książkę.

Cinnabar wydała okrzyk zadowolenia.

— Cały Urtho — powiedziała z uśmiechem. — Tak metodyczny jak zawsze. Wszystko kaligraficznie umieszczone w indeksie niczym w kopii skryby, a oto to, czego nam trzeba. Strona pięćset druga.

Razem z Tamsinem przekartkowali szybko księgę i wkrótce kopiowali potrzebną formułę. Planowali wykonać dwa odpisy, na wypadek gdyby zostali odkryci. Wtedy zwróciliby jedną kopię a drugą zachowali, chyba że Urtho w jakiś sposób dowiedziałby się, że ją mają.

Nagle Skan poruszył głową, coś obudziło jego czujność, nastroszył czub, który lekko drżał.

— Co się stało? — wyszeptał Bursztynowy Żuraw, bojąc się narobić hałasu. Czyżby nadchodził strażnik?

— Tutaj jest jeszcze jeden gryf — wymruczał Skan, przechylając głowę lekko na bok i do przodu; w jego oczach błyszczało skupienie. — Jest w następnym pokoju, ale coś z nim jest nie tak... coś dziwnego...

Zanim Bursztynowy Żuraw zdołał go powstrzymać, Czarny Gryf wyrwał mu z dłoni sznur z koralikami. Skan odwrócił się i pobiegł korytarzem w kierunku ledwie widocznych drzwi na jego końcu.

Tamsin i Cinnabar byli tak pochłonięci przepisywaniem, że nie zauważyli nagłego wyjścia Skana. Bursztynowy Żuraw musiał więc sam go gonić i wyrwać koraliki z jego szponów, gdy zwinięte w kłębek wpychał w zamek drzwi.

— Co ty wyprawisz? — wysyczał, gdy gryf odwrócił się do niego, rzucając wymowne spojrzenie. — Czy chcesz, aby nas tu odkryto?

— Ja... — pokręcił głową Skan. — Ja po prostu poczułem, że muszę tam iść i pomóc innemu gryfowi, uznałem, że to ważne. Wiem, że muszę się tam szybko dostać.

Bursztynowy Żuraw powstrzymał się od uszczypliwej uwagi.

— A jeśli właśnie o to chodziło? — spytał. — A jeśli to jakiś rodzaj pułapki, a twoje odczucia są przynętą? Obaj wiemy, jakie sztuczki potrafi robić Urtho! Stać go właśnie na coś w tym rodzaju.

— Nie miałby nam tego za złe, a przynajmniej nie na długo — odparł cicho Skan. — Mógłbym z nim pogadać.

— Do czasu, aż odkryłyby, że skradliśmy jego słynną formułę płodności — odrzekł Bursztynowy Żuraw. — Bądź rozsądny! Czy już otworzyłeś te drzwi?

— Chyba słyszałem trzask — powiedział Czarny Gryf z nietypowym dla siebie brakiem zdecydowania. — Ale nie jestem pewien. Mogłem słyszeć, jak korale trzaskają o siebie.

*To miało otwierać książki, nie drzwi... Może nic się nie stało.*

— Słuchaj, Skan, cokolwiek jest za tymi drzwiami, może poczekać, aż będziesz miał okazję sam porozmawiać z Urtho. Jeśli będzie chciał, odpowie ci. Sama twoja obecność w bibliotece to nic złego i możesz powiedzieć, że wyczułeś innego gryfa. Jeśli zapytasz Urtho, co jest za tymi drzwiami, prawdopodobnie powie ci.

— Tak jak powiedział mi o formule płodności? — odparł z przekąsem gryf. Przeszedł obok Bursztynowego Żurawia jak zwykle nadzwyczaj bezgłośnie. — O, proszę..

— Zrobione! — uśmiechnął się Tamsin. — Skopiowaliśmy także inne informacje, gdybyśmy po drodze spotkali Urtho i gdyby nas o nie zapytał. Zabierajmy się stąd. Raczej wolałbym nie próbować go nabierać.

— Racja — powiedział Bursztynowy Żuraw. — Dalej, Skan. Możesz później rozwiązywać swoje tajemnice.

Bursztynowy Żuraw schował „wytrychy” głęboko do kieszeni pełnej innych rupieci, jakie zazwyczaj noszą przy sobie kestra'chern: kawałków ozdób, luźnych koralików, ciężkich łańcuchów na szyję, dziwnych odznak. Miał nadzieję, że w tym wszystkim sznur koralików zniknie nie zauważony. Poza tym liczył na to, że Urtho, o ile go spotkają, nie zechce ich magicznie przeszukiwać.

Pędem zbiegł na dół za innymi, sądząc, że Skan za nim podąża. Magiczne światła gasnące w miarę, jak schodził, pozostawiły za nim ciemność i ciszę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Skan jeszcze odrobinę pchnął otwarte drzwi. *Głupi gryfie. Głupi, głupi gryfie. Czyżbyś zamierzał znowu wpakować się w tarapaty? Tym razem robisz to na własne żądanie!* Skan odsunął drzwi jeszcze trochę, ostrożnie nasłuchując odgłosów i obserwując poruszające się cienie. Nabrał głęboko powietrza, szukając zapachów innych niż kurz. Ciekawość pożerała go żywcem, ostrożność natomiast nawoływała, by zawrócić i dołączyć do reszty znajdującej się na klatce schodowej. Jak zawsze ciekawość zwyciężyła.

*Metalowe drzwi. Ciekawe, po co? Nieważne. Urtho by się to nie spodobało, głupi gryfie. Zawsze zakłada zamki z jakiegoś powodu.*

Tak, ale co może być tym powodem? Dlaczego ojcowski, dobry Urtho ukrywa coś, co przywoływało jak gryf — ale niezupełnie? A jeśli to coś ważnego, co zniszczy wizerunek dobrotliwego Urtho? A jeśli Urtho, zawsze spokojny i opanowany, jest tak samo zły jak Ma'ar? Czy w końcu Mag Ciszy nie ukrywał sekretu płodności przez cały ten czas? A jeśli ma w zanadrzu coś jeszcze groźniejszego?

*Głupi i szalony gryfie, może zaćmiło ci umysł, kiedy uderzyłeś głową o ziemię? Już tak się zdarzało.*

Spokojnie. To, że jesteś szalony, nie oznacza, że twoje obawy nie mają podstaw. A jeśli Urtho nie ma zamiaru dać gryfom wolności, ponieważ wynalazł coś, co je zastąpi? Jakiegoś supergryfa, który jednak nie będzie zdolny do samodzielnego myślenia i formułowania własnych opinii. Lepszy rodzaj makaara?

*Głupi, głupi gryfie. A jeśli rzeczywiście coś takiego tu odkryjesz, co wtedy? Wykorzystasz okazję, że Urtho o niczym nie wie, i zostaniesz tu, aby powiadomić innych, czy odleczisz, zanim cię złapią? Jeśli tak, to dokąd?*

Do szerokości szpona drzwi rozchyłały się bardzo wolno. Potem nagle zaczęły otwierać się bardzo szybko, jakby gryf coś uruchomił.

Przez chwilę patrzył w ciemność przytłoczony „obecnością” gryfa, obecnością tak silną, że nie mogła pochodzić od jednego osobnika.

Nagle zapaliły się światła — były słabe i pozostawiły przeciwległe ściany w mroku — i stanął twarzą w twarz z...

*Duchy gryfów!*

Taka była jego pierwsza myśl. Zjawy pływały zawieszane w powietrzu i były

przezrocyste. To one oświetlały pokój. Czyż w taki sposób nie mogłyby wyglądać duchy? Na pewno to one były źródłem „obecności”, która tak silnie go poraziła!

Potem jednak zobaczył, że się w ogóle nie poruszają, nawet nie oddychają; wpatrywały się w nicość z absolutnym brakiem Wyrazu na twarzach. *Nie są martwe... ale nie mają życia* — Pomyślał. — *Jak gdyby nigdy nie żyły.*

Nie przestawał obserwować i wydało mu się, że dostrzega nie tylko powierzchnię tego, co obserwuje, ale także wewnątrz! Każdy szczegół ich anatomii. Kiedy skoncentrował się na żołądku jednego z nich, widział żołądek, tajemniczo przezroczyście, zawieszony wewnątrz przejrzystego gryfa.

Zafascynowany, odrobinę wzdragając się, wszedł do środka, a drzwi zamknęły się za nim cicho.

Duchy były zawieszane nad podłogą na wysokości ludzkich kolan. Można było między nimi przechodzić i dokładnie przypatrywać się ich szczegółom. Każdy następny gryf był inny od poprzedniego, niektóre różniły się tylko nieznacznie, inne z kolei całkowicie. Mijał właśnie rudego szerokoskrzydłego gryfa, podobnego do Aubriego. Kolejny był ciemnoszary, podobny do jastrzębia, z szalonymi czerwonymi oczami, dziwnie żywymi nawet w pozbawionej życia twarzy. Dalej był krępy gryf ogoniasty, o zwartej budowie ciała, najlepszy w lotach osłaniających...

*Są wszystkie typy. Patrzę na wszystkie rodzaje gryfów! Wszystkie, jakie kiedykolwiek widziałem! Nie jesteśmy jedną rasą, tylko wieloma! Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyłem? Czy to dlatego Urtho zatrzymał sekret płodności dla siebie? Czyżby chciał utrzymać wszystkie rasy w czystej formie?*

Oszołomiony odkryciem, minął trzy kolejne przezrocyste modele, by znaleźć się dziób w dziób z...

*Zhaneel!*

Tylko że to nie była Zhaneel, ale stworzenie bez osobowości. Miało taką samą budowę, ubarwienie i kształt.

Spojrzał w tył na szereg gryfów, lustrując je od miejsca, w którym przed chwilą stał, aż do typu Zhaneel. Z wolna w jego głowie powstała myśl. W tym szeregu gryfów było coś, co trąciło nieświadomą strunę. Co to było? Oczywiście. Typy bliżej drzwi przedstawiały liczniejszą populację niż te, które były bliżej niego, a jeśli mu było wiadomo, to w typie Zhaneel była tylko jedna Zhaneel...

*Ponieważ ona jest pierwsza ?*

Tak jest! Był to widoczny dowód istnienia całego programu hodowlanego Urtho! Zhaneel nie była wyrodkiem, nie była zdeformowana, była pierwsza w nowej populacji gryfów!

*Teraz wszystkie te pytania, które Urtho jej zadawał, o jej rodziców, rodzeństwo, wychowanie, nagle nabrały sensu! Z pewnością jej rodzice wiedzieli, że ona jest nowym typem — gdyby żyli, dopilnowaliby, aby wyszkolono ją odpowiednio do jej*

*szczególnych predyspozycji! Ale ponieważ zginęli, została sama, zdana na siebie, a Urtho nie może pamiętać o wszystkim. . .*

Najwyraźniej zapomniał o tym pojedynczym gryfie, podobnym do sokoła. . .

*Bursztynowy Żuraw nazwał ją gryfsokołem. . .!*

. . . który przeżył, był samotny i potrzebował troskliwej opieki. Skan już wtedy rozżłościł się na maga, a teraz był wściekły. Jak Urtho mógł jej to zrobić? Z pewnością wiedział, co za tym się kryje, gdy spostrzegł, że nie jest do nikogo podobna! Wiedział też, jak gryfy traktują karły, odrzutki i wyrodki.

*Ale jest wojna. Czy musiał o tym pamiętać. Być może ufał jej trenerom, wierzył, że zauważą, iż ona nie jest dziwadłem, ale czymś zupełnie nowym. Są równie winni jak on, może nawet bardziej.* Jego gniew zmalął. Westchnął i okrążył wizerunek gryfsokoła.

I nagle spojrzął na swoje nogi, swoją pierś, swoją twarz. Na swój własny dziób, grzebień i oczy, bez życia, bezmyślnie gapiące się na żywego Skandra-nona.

Tym razem szok był nieco mniejszy. Gryf szybciej zorientował się, że to nie on, tak jak Zhaneel nie była Zhaneel. A jednak oszołomiło go coś całkiem innego. Łatwiej przyszło mu pogodzić się z faktem, że inne gryfy są rezultatem programu hodowlanego, nawet gdy chodziło o Zhaneel. O wiele gorzej było mu pogodzić się z faktem, że także o sobie musi myśleć w tych kategoriach.

Było to coś tak nieprzyjemnego, że znów odebrało mu dech.

Kiedy jednak przyglądał się prototypowi, pewne pocieszenie dał mu fakt, że jego proporcje są nieco lepsze niż u modelu. Szczególnie w niektórych miejscach.

*Jestem zdecydowanie przystojniejszy. Lepiej upierzony. Mam gładsze mięśnie. Jestem wyższy. . .*

**STRACH — ALARM — GNIEW!**

Emocje poraziły go niczym pocisk z katapulty i zanim zdołał w je powstrzymać, coś uderzyło go z tyłu. Wskoczyło z miejsca, które podświadomie odnotował jako otwór drzwiowy, ale go nie zauważył, ponieważ po drugiej stronie nie było światła.

Uderzenie spowodowało, że się poślizgnął i upadł na bok. Grzmotnął o ścianę, a jego gracia tancerza na nic mu się tej chwili nie zdała. Cokolwiek to było, było o połowę od niego mniejsze i pachniało jak gryf. . .

. . . niezupełnie jak gryf. Bardziej jak piźmo czy gleba. . .

Nie było jednak czasu, by zastanawiać się nad zapachami! Cokolwiek to było, skoczyło na niego znowu i zdzieliło go w dziób tak, że uderzył nim w ścianę. Tylko refleks uratował go przed kolejnym ciosem, ale atak nie ustawał.

*To coś jest jak żbik! Jest zbyt małe, aby mnie pokonać, i zbyt dzielne, aby o tym wiedzieć. Może mnie poważnie pokaleczyć. A ja nie lubię być ranny!*

A jeśli to jest jakiś stwór Urtho — niech go diabli — muszę go powstrzymać, nie robiąc mu krzywdy!

Cięcie u nasady nosa zalało mu krwią oczy. Na chwilę został oślepiony, ale zamrugał i mgła ustąpiła. Obrócił się. Podciągnął stopy i tylne nogi pod siebie, nie zważając przez chwilę na ból spowodowany ciosami i zadrapaniami, i wstał.

Tamto coś potoczyło się pod przeciwległą ścianę w sposób pozornie niekontrolowany, jakby poszczególne jego części się poplątały. Jednak była to tylko gra, to więcej niż pewne. Gdy tylko przestało się toczyć, skoczyło z powrotem na nogi i stanęło przed nim, wyciągając pazury i sycząc.

To był gryf.

Było to coś, za co uważała siebie Zhaneel, coś, co inne gryfy traktowały jak wyrodka. Było nie dwukrotnie, ale czterokrotnie mniejsze od Skana. Jego głowa była za mała w stosunku do ciała, bardzo wąska, podobna raczej do głowy prawdziwych ptaków drapieżnych niż do czaszki gryfów czy gryfsokołów. Skrzydła miało o wiele za długie w stosunku do ciała i ciągnęło je po podłodze, strzępiąc końce lotek.

Upierzenie miało brudnoszare i płowe. I to spowodowało, że Skanowi wydało się skądś znajome.

Był to wyrodek z typu Zhaneel. ?

W tej chwili dotarło do niego, że stwór właściwie nie syczy ale usiłuje wydać prawdziwie gryfi okrzyk wyzwania.

Skan zamrugał, próbując usunąć krew z oczu. Silna telepatyczna „obecność” gryfa, obecność tak mocna, że myślał, iż pochodzi od kilku z jego gatunku, emanowała w całości tylko od tego jednego małego stworzenia, które odważnie usiłowało wydać okrzyk wyzwania.

To ono wysyłało mentalne sygnały alarmu, strachu, gniewu.

Skan instynktownie przybrał bojową postawę, podczas gdy jego umysł próbował sobie poradzić z natłokiem informacji. Wyrodek patrzył w górę, na gryfa cztery razy większego od siebie.

Stworzenie otwarło na moment oczy, po czym skuliło się.

Jednak w następnej sekundzie powróciło znowu do obronnej postawy. Natężenie jego mentalnego promieniowania wzrosło i Skan lekko się cofnął. Nie atakowało go myślami z rozmysłem, tym niemniej były one bardzo silne.

W chwili gdy Skan się cofnął, spojrzało w bok i wpadło do kolejnego pokoju. Gdy się tam znalazło, zapaliły się światła. Stworzenie wskoczyło na stół z niesamowitą szybkością, szczególnie że sprawiało wrażenie niezgrabnego. Rozrzuciło książki i różne przyrządy na wszystkie strony swoimi zbyt długimi skrzydłami i znowu stanęło dęba. Korzystając ze swej powiększonej wysokości, krzychało:

— Zły! Zły! Odejdź!

Skan zrezygnował ze swej bojowej postawy i starał się trochę rozluźnić. Ślady po zadrapaniach i ugryzieniach piekły, ale jego rany nie były aż tak ciężkie, nie były gorsze od tych, które odnosił w zabawie z gromadą żółtodziobów. To maleństwo było prawie bezsilne.



— Czym... kim jesteś? — zapytał ostrożnie Skan. Stworzenie potrafiło na tyle mówić, aby mu powiedzieć, że ma odejść, więc na pewno potrafi go też zrozumieć.

— Odejdź! — wyszczało znowu, strasząc szponem. — Odejdź! Gdzie on jest? Czy zraniłeś go?

Znowu się nastroszyło, mimowolnie parodiując bojową postawę. Było jasne, że jego złość jest przytłumiona strachem. Dlaczego tak się boi i gniewa? I kim jest ten „on”?

— Zranię cię! — próbowało wyskrzeczec. — Zranię cię! Zrobię to!

Skan był całkowicie oszołomiony. Miał tylko nadzieję, że w tym wszystkim była jakaś odrobina sensu. Jeśli to stworzenie jest zupełnie szalone, będzie musiał pozbawić je świadomości albo obezwładnić. Inaczej nie będzie mógł się stąd wydostać. A naprawdę nie miał zamiaru zrobić mu krzywdy.

*Cholerny Urtho; to jak zranienie kota, który broni swoich małych. To stworzenie nie ma pojęcia, kim jestem, i nie wie, że nie mam zamiaru zrobić mu krzywdy. Jeśli nie będę w stanie mu tego wytłumaczyć, nie przestanie mnie atakować.*

— Kogo miałem zranić? — spytał. — Nikogo nie zraniłem, nawet nikogo tutaj nie spotkałem! Kogo miałem zranić? Urtho? Kim jesteś?

Skan położył grzebień i uśmiechnął się, próbując wyglądać najprzyjaźniej, jak to możliwe. Najwyraźniej podziałało, ponieważ małe stworzenie przez chwilę na niego popatrzyło, a potem nagle usiadło na poszarpanej bibule. Zrezygnowało ze swej buńczucznej postawy, jakby nagle ktoś z niego wypuścił powietrze, i zaczęło wycierać swoje przednie szpony z krwi Skandranona.

— Nie zły? — spytało żałośnie. Jego gniew zupełnie zniknął. — Ojciec nie ranny? Gdzie jest Ojciec?

*Ojciec? Kogo, u licha, ma na myśli to stworzenie? Z pewnością nie żadnego gryfa, bo gdyby któryś był tutaj, nie zdołałby tak długo utrzymać tego w tajemnicy! Nie, oczywiście, że nie było tu innych gryfów, w przeciwnym razie to maleństwo rozpoznałoby mnie jako jednego z nich.*

Rozejrzał się po pokoju, szukając wskazówki, kim mógł być ten „ojciec”, ale niczego nie znalazł. Znajdował się tu tylko stół z częściami dziwnych przyrządów, kilka książek i papierem, dziwaczna szafka, która wyglądała na prawie pustą, i zlew. Pomieszczenie najbardziej przypominało gabinet uzdrowiciela.

— Nie — powiedział z przekonaniem. — Nie jestem zły. Nikogo nie zraniłem. Po prostu otworzyłem drzwi i wszedłem. — Gdy stworzenie się trochę uspokoiło, zbliżył się odrobinę do niego. — Kto to jest Ojciec? Kim ty jesteś?

— Ojciec jest Ojcem — odparło stworzenie, jakby przedstawiało sprawę opóźnionemu dziecku. — Ojciec nazywa mnie Kechara.

Skan podszedł do stołu i usiadł przed stworzeniem, co spowodowało, że znalazł się dziób w dziób z maleństwem.

— Opowiedz mi o swoim Ojcu, Kechara — powiedział łagodnie. — wszystko, co pamiętasz. Dobrze? Tam, skąd przychodzę, jest wiele ludzi, i muszę wiedzieć, jak twój Ojciec wygląda, abym wiedział, kim jest.

Kechara (co w języku Kaled'a'in oznacza „ukochana” albo „kochanie”) była samicą, o ile można tak powiedzieć. Właściwie Kechara była bezpłciowa, ponieważ nie miała żadnych zewnętrznych cech charakterystycznych dla samic gryfów. Jej piżmowy zapach nie był zapachem płciowym tylko dziwną, „prymitywną” wońią.

— Ojciec tu przychodzi, Ojciec odchodzi — powiedziała Kechara. — Ojciec przynosi mi jedzenie. Ojciec przynosi zabawki, bawi się ze mną. Kiedy go nie ma, bawię się sama.

— Jak Ojciec wygląda, Kecharo? — spytał Skan.

Małe stworzenie zmarszczyło brwi, najwyraźniej usilnie myśląc.

— Dwie nogi, nie cztery — powiedziała z wahaniem. — Ani skrzydeł ani piór. Nie ma dzioba. Na nogach i ciele ma coś długiego, pokrycie, ale nie pióra. Tutaj — dotknęła swojej twarzy — skórę, gładką skórę. Tutaj na czubie, długie włosy — przeciągnęła skrzydłem po czaszce, gdzie ludzie mają włosy. — I Ojciec wydaje piękny głos, kiedy przychodzi, abym wiedziała, że już jest. Śpiewa jak słowik i tańczy ze mną.

To rozwiązywało sprawę. Jediną osobą, która tutaj potrafiła gwizdać, był Urtho. Skan zauważył, że większość magów nie potrafi gwizdać. W tym obozie jedynymi wyjątkami byli Vikteren i Urtho.

— Od jak dawna jesteś tutaj? — spytał.

Samica popatrzyła na niego tępo, a kiedy powtórzył pytanie kilka razy, powiedziała, że dla niej nie ma czegoś innego jak — „tutaj”. Tylko Ojciec gdzieś wychodzi.

Znaczyło to, że Urtho więził to małe biedactwo w Wieży Przez całe życie. W budowlu tej były miejsca, gdzie mógł ją zabierać i gdzie ona mogła wyglądać przez okna. W ten sposób słyszała i widziała słowiki, ale na tym kończył się jej świat.

Przez ułamek sekundy w Skanie zawrzało. Ale usiłując zadać jej jeszcze kilka pytań, zrozumiał, dlaczego Urtho uważał, że lepiej będzie ją tutaj trzymać.

W normalnej społeczności gryfów nie mogłaby prawdopodobnie funkcjonować bez ochrony. Nie potrafiła robić niczego produktywnego. Kiedy Zhaneel dorastała, była pośmiewiskiem. To biedactwo przechodziłoby bezustannie męki, gdyby przez cały czas ktoś jej nie pilnował. Zhaneel miała wybitną inteligencję, co pozwalało jej robić niesamowite rzeczy. Ta mała nawet nie wiedziałaby, jak się bronić.

Wyglądało, że jest na tym samym poziomie inteligencji, co niektóre ulepszone zwierzęta Urtho, z tym, że potrafiła trochę mówić. Nie miała także poczucia upływu czasu. Rozumiała, co do niej mówił, ale czasami Skan musiał długo czekać na

odpowieź po zadaniu pytania. Przerwy te zazwyczaj spowodowane były tym, że bawiła się, ścigając swój cień.

*To nie musi być rezultat braku inteligencji... Być może po prostu zachowuje się tak, jak Urtho, bo nie zna nikogo innego.*

Skan nakłonił ją pieszczotami do zejścia ze stołu i przespacerowania się z nim, ponieważ wydawała się bardzo niespokojna i bezustannie się kręciła. Po spacerze rozmowa zaczęła przebiegać trochę lepiej. Kiedy przechadzali się wzdłuż galerii modeli, wybiegała do przodu lub zostawała w tyle. Nie zwracała na nie żadnej uwagi, co go nie dziwiło. Musiała już tak się do nich przyzwyczaić, jak on był przyzwyczajony do ptakówpoślanców lub oślepiająco kolorowych szat Bursztynowego Żurawia.

Nagle, gdy przechodzili obok modelu Skandranona, spojrzała na model, a potem na niego i znowu na model, jak gdyby nie wierzyła własnym oczom. Zamrugała, pokręciła głową i znowu spojrzała na niego.

— To ty! — powiedziała, jak gdyby oznajmiała coś niezwykłego.

— Niezupełnie — odparł niedbale. — Jest do mnie tylko trochę podobny.

Z tymi słowami odszedł, a ona chyba zapomniała o tej sprawie.

Chwilę później zaprowadziła go do drugiego pokoju, a potem do jeszcze następnego. Kiedy wchodziła, zapalały się światła. Skierowała się prosto do miski umiejscowionej obok czegoś, co z pewnością, było jej łóżkiem, do pięknie wykonanego gniazdka z plecionej słomy, wymoszczonego miękkim, jedwabnym materiałem. Było tam też pudełko, w którym leżała sterta jaskrawych przedmiotów, pewnie zabawek. Te na wierzchu wyglądały jak zwykłe piłeczki i klocki, którymi bawią się młode gryfięta, zanim się opierzą. Samica nabrała z miski pełną garść czegoś brązowego i lepkiego, a potem, jak dziecko nagle przypominające sobie o zasadach wychowania, nieśmiało zaoferowała mu trochę swojego jedzenia. Nie wyglądało zachęcająco, więc Skan odmówił, ale Kechara połknęła je z widocznymi oznakami zadowolenia.

*Nie umiem określić, w jakim jest wieku — pomyślał, obserwując sposób pożywiania się. Robiła to zupełnie zgrabnie. Gryfy nie były najelegantsze, jeśli chodzi o jedzenie. Nie mu pojęcia o upływie czasu. Stąd nie może widzieć zachodów i wschodów słońca. Je, kiedy jest głodna, śpi, kiedy zmęczona, a Urtho przychodzi i odchodzi nie wiadomo kiedy. Gdybym jednak miał zgadywać — wyrodki nie żyją zbyt długo — to przypuszczam, że niewiele czasu jej zostało.*

Wzdrygnął się na tę myśl podobne jak wcześniej na widok jedzenia. Ta gryfica całe życie spędzi w zamknięciu, nigdy nie poczuje swobodnego wiatru, rzadko tylko widzi niebo, słońce, księżyc i gwiazdy.

*Przecież została zrodzona dla nieba i tyłku przypadek albo pech spowodował, że jest taka, jaka jest. A nie taka jak Zhaneel...*

*...albo ja...*

Przygębiony, pochylił nieznaczące dziób. Była jeszcze druga strona medalu.

Jak mogłaby żyć na zewnątrz? Może właśnie dlatego była tutaj, ponieważ poza Wieżą nie przeżyłaby. Wyrodki przeważnie były bardzo delikatne, podatne na choroby, miały słabe płuca i inne organy.

Być może tylko w całkowitym odosobnieniu mogła w ogóle przeżyć.

*Może tak jest lepiej, ale Urtho, stwarzając Kecharę, oddał jej niedźwiedzią przysługę.*

Zauważył, że już nie krwawi i to przypomniało mu o jego własnym wewnętrznym poczuciu czasu. Był zdziwiony, że tak długo przebywał tu z nią.

— Muszę już iść, Kecharo — powiedział.

Spojrzała na niego. A potem spytała o coś, czego się zupełnie nie spodziewał.

— Wrócisz tu? — zapytała z nadzieją. — Wrócisz pobawić się ze mną?

I spojrzała na niego rozszerzonymi i proszącymi oczami.

*Na dalekie wiatry i skaliste zbocza! Być może ona nie wie, co to są uczucia, ale z pewnością jest samotna. Co mam jej powiedzieć?*

Opuścił na chwilę dziób, a potem powiedział prawdę.

— Nie wiem, Kecharo. Muszę najpierw porozmawiać z Ojcem. On tu ustala zasady, przecież wiesz.

Skinęła głową, jakby miała coś tutaj do powiedzenia.

— Ja także zapytam Ojca — powiedziała zdecydowanie. — Powiem, że chcę, abyś się ze mną bawił.

Potem gdy zatrzymał się przy drzwiach, przysiadła na tylnych łapach, a przednie wyciągnęła ku niemu, rozkładając szeroko. Była to tak dziwna postawa, że Skan nie miał pojęcia, o co jej chodzi. . .

Nagle zrozumiał. Czekwała, aby ją uściskał, tak jak ściskają się ludzie. Tak jak to zawsze robiła z Ojcem, kiedy on wychodził.

Ten prosty gest powiedział Skanowi wszystko, co chciał wiedzieć. Bez względu na to, jakie motywy kierowały Urtho, aby trzymać tutaj to maleństwo, musiały być istotne. Widać też dawał jej tyle uczucia, ile tylko mógł.

Nie było to łatwe, ale jakoś udało się Skanowi ją uściskać. A potem pożegnał się z nią w prawdziwie gryfi sposób, muskając jej piórka na karku.

Byłoby znacznie gorzej, gdyby zaczęła grymasić z powodu jego odejścia, ale nic takiego nie zrobiła. Po prostu pokiwała mu szponem na pożegnanie, odwróciła się i potruchtowała z powrotem do swojego pokoju z gniazdem, przypuszczalnie, aby się pobawić.

*Nauczyła się, że kapryszenie niczego nie zmienia* — stwierdził, kiedy szedł oszołomiony przez pokój z książkami. Dotkną drzwi prowadzących na korytarz, aby je otworzyć. *Nauczyła się że ludzie przychodzą i odchodzą z jej życia, a ona nie ma na to żadnego wpływu. Biedactwo. Biedne maleństwo.*

Światła gaśły za nim, kiedy wolno schodził po schodach na dół. Choć wchodzenie nie sprawiało gryfom trudności, ze schodzeniem miały sporo kłopotu. Kiedy dotarł na dół, kusiło go, by spróbować wejść w inne drzwi w holu. . .

*Głupi gryfie! Nie kuś losu. I tak będziesz miał kłopoty z Urtho, gdy tylko spróbujesz poruszyć temat Kechary.*

No tak. To jest problem. *Jak będziesz rozmawiał o Kecharze, nie zdradzając sposobu, w jaki się dostałeś do zamkniętego pokoju? A jeśli potrafiłeś wejść tam, gdzie nie powinieneś, to ile jeszcze innych rzeczy mogłeś zrobić?*

Strażnik kiwnął głową Skanowi, gdy ten wychodził, i uśmiechnął się.

— Niełatwe dla was, czubatych, te schody, co? — powiedział, a Skan uświadomił sobie w tym momencie, że jest podrapany przez Kecharę. Tamten z pewnością to zauważy.

Nie wchodził przecież ze świeżymi ranami. Strażnik jednak podsunął mu znakomitą wymówkę, którą ten podjął z wdzięcznością.

— Cholernie trudne — zagrzmał. — Co dziesięć stopni poślizg i lądowanie. A reszta, co? Czeka na mnie? Ależ skąd! Spieszno im do tego ich uzdrawiania. W ogóle nie zauważyli, że mnie nie ma!

Strażnik zaśmiał się współczująco i poklepał Skana po ramieniu.

— Wiem, jak się czujesz — rzekł. — Z moją pozszywaną nogą też niełatwo mi wchodzić po schodach. Nigdy nie myślałem o tym, jak sobie radzicie, zanim sam nie dostałem strzałą w łydkę.

*Trochę pogawędki dla niepoznaki nie zaszkodzi, a i tak teraz nie mam specjalnie dokąd pójść. . . Tamsin i Cinnabar rozszyfrowują przepisany tekst i przekładają go na terminy, których używają gryfy. Na pewno tak są tym zajęci, że nie zauważyli mojej nieobecności.*

— Kyree i hertasi dobrze sobie z tym radzą — odparł. — Jednakże dla nas, dyheli i tervardi schody są prawdziwym przekleństwem, a inne rzeczy jeszcze gorsze! Pomyślałbyś, że dla tych wszystkich weteranów, którzy byli ranni i nie mogą chodzić, zrobią jakieś pochylnie? Ale kogo to obchodzi.

Strażnik westchnął.

— No cóż, taki jest świat. Każdy widzi go według swoich potrzeb. Jeśli ktoś nie potrzebuje specjalnej drogi na górę, nie pomyśli, że komuś innemu jest potrzebna.

Skan parsknął.

— Dobrze to powiedziałeś, bracie! Moja biedna głowa całkiem się z tobą zgadza!

— Lepiej dokoń tych swoich przyjaciół uzdrowieli i każ im, niech cię pozszywają — poradził strażnik. — Może potem pomyślą dwa razy, zanim zostawią cię samego!

Skan zaśmiał się i obiecał, że tak zrobi. Strażnik pokuśtykał na swój obchód, przyjaźnie mu pomachawszy, a Skan ruszył z powrotem do obozu, na Wzgórze Uzdrowiciela.

*No dobrze. Teraz muszę to wszystko uporządkować. Wykradliśmy sekret płodności, przekażę go reszcie. Potem, kiedy będę wiedział, że wszyscy go znają —*

*pójdę do Urtho i powiem mu, co zrobiłem. A potem poruszę temat Kechary. To zajmie co najmniej kilka dni. Niełatwo mu było pogodzić się z myślą, że zostawiają samą na tak długo. . .*

*Ale przecież była tam sama przez całe swe życie. Kilka dni mniej czy więcej nie robi różnicy. Pojawiła się jednak dodatkowa komplikacja. A jeśli Urtho odwiedzi swoją. . . pupilkę? Jeśli Kechara wspomni mu o Skanie. . .*

*Muszę mieć nadzieję, że mu o mnie nie powie. A jeśli nawet, to Urtho pomyśli, że ona mówi o modelach.*

Komplikacje. Komplikacje.

*Głupi gryfie. Chcesz zrobić zbyt wiele rzeczy naraz. Ale czy nie trzeba tego zrobić? Jeśli ty tego nie zrobisz, to kto?*

Droga z powrotem do obozu dłużyła mu się. W nocy nie było na dworze zbyt wielu ludzi. Ci, którzy nie spali, prowadzili życie towarzyskie, reszta miała służbę albo sprawdzała ekwipunek do jutrzejszej walki. Szczególna rzecz, ta wojna między czarownikami; linia frontu była strasznie daleko, a jednak oddziały biwakowały tutaj, pod fortecą Urtho, w sercu tej ziemi.

Tylko Bramy umożliwiały takie rzeczy. Bramy i gryfy.

Te pierwsze oznaczały, że Urtho mógł przerzucać wszędzie w jednej chwili wiele oddziałów. Istniały nawet stałe Bramy z określonym miejscem wyjścia, które wymagały tylko zwykłego uruchamiającego zaklęcia, z czym potrafił sobie poradzić nawet uczeń. Z tego powodu oddziały Urtho były bardzo mobilne i problem zaopatrywania linii frontu faktycznie nie istniał.

Oczywiście, to dotyczyło także ludzi Ma'ara. Obrońca miał w takiej sytuacji przewagę — mag konstruujący Bramę musiał znać miejsce, gdzie zamierzał się przenieść, a Urtho i jego magowie znali każdy cal terytorium, którego bronili. Magowie Ma'ara mogli wznosić Bramy tylko tam, gdzie już byli, w miejscach, które znali, a więc Bramy Ma'ara musiały zawsze znajdować się za jego liniami.

Na początku kampanii dokonano jednego czy dwóch udanych najazdów, kiedy Urtho przerzucił oddziały za linie Ma'ara. Jednakże to mogło się udać tylko raz czy dwa razy, zanim wróg nie zaczął śledzić energii Bram, aby je zniszczyć, gdy dopiero zaczynały się kształtować. W takim momencie mag mógł stracić życie. Dlatego w siłach Urtho nie robiono już podobnych rzeczy, a w całej armii nie było maga, który chciałby wykonać taki rozkaz.

*Jedynie Shaiknam próbował. Ale tylko raz.*

Gryfy były drugim czynnikiem umożliwiającym prowadzenie tej wojny na tak wielkim terytorium. Potrafiły pokonywać ogromne odległości, a ich niesamowicie ostry wzrok umożliwiał im prowadzenie zwiadów z tak wysoka, że nawet makaary nie mogły im dorównać. Chyba że te bestie znalazły się wyżej od nadlatujących gryfów, ale to nieczęsto się zdarzało. Makaary nie wytrzymały wiatrów i chłodu panującego na dużych wysokościach, w przeciwieństwie do gryfów, które jednak nie były najlepszymi wojownikami.

Gryfy zostały przystosowane raczej do długodystansowych zwiadów, podczas których miały możliwość pokonywania swych fizycznych ograniczeń czyniących je niezdarnymi do walki. Jedyńm gryfem, który lepiej sobie radził w boju, wydawała się Zhaneel.

*Ale przecież jest to tylko jeden gryf. Chyba że... pewnego unia będzie ich więcej.*

Skan wzniósł się w powietrze, aby odbyć krótki lot na Wzgórze Uzdrowiciela. Byстрыm wzrokiem odszukał blask dochodzący z namiotu Tamsina i Cinnabar. *Nadal siedzą pogrążeni w pracy... Gdy tam przybędę, prawdopodobnie będą jeszcze zajęci. To dobrze.*

Czarny Gryf wykorzystał prąd ciepłego powietrza, aby udać się w tym kierunku, zadowolony, że noc była taka jasna i spokojna. Zauważył, że również w namiocie Bursztynowego Żurawia pali się światło.

*Także ciężko pracuje? Zachichotał. No cóż, większość swojej pracy zazwyczaj wykonuje w nocy. Wielu musi podnosić na duchu, ze mną włącznie. Jest tam, gdzie go potrzebują, nawet o tak późnej porze. Nie będę mu dokuczał z tego powodu.*

*Przynajmniej tym razem!*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dopóki nie wyszli z Wieży, Bursztynowy Żuraw nie zauważył zniknięcia Skana. Odwrócił się, aby powiedzieć coś do Czarnego Gryfa. . .

A Czarnego Gryfa nie było.

Znajdowali się już poza bezpośrednim obwodem Wieży. Bursztynowy Żuraw zaklął po cichu. Było za późno, aby się po niego cofnąć. Drzwi prawdopodobnie nie otworzą się po raz drugi, a strażnik zacznie coś podejrzewać.

Lekki wietrzyk powiał w plecy Bursztynowego Żurawia i przyniósł odgłosy z leżącego w dole obozowiska. Lepiej, jak gdyby nigdy nic, wrócić zgodnie z planem do swojego namiotu. Gryfom niewygodnie schodzi się po schodach. Być może strażnik wie o tym. Pewnie będzie myślał, że Skan gdzieś utknął, z trudem posuwając się stopień po stopniu.

Oczywiście Skan nie miał żadnych trudności w pokonywaniu klatek schodowych, spiralnych czy innych. W każdych okolicznościach był zwinny jak kot; zawdzięczał to tańcowi. Bursztynowy Żuraw widział, jak Skan wchodzi na drzewa, wije się wśród krzaków i wspina po murach z jednakową łatwością i ostentacją. Jednak Bursztynowy Żuraw był jednym z nielicznych, którzy o tym wiedzieli.

Żuraw pozostawał w tyle, podczas gdy Tamsin i Cinnabar pędzili na przędzie. Miał słabą nadzieję, że jego przyjaciel idzie sobie wolnym krokiem, jak gdyby czas nie miał żadnego znaczenia. *Jego stosunek do czasu był powszechnie znany. . . „To tylko pojęcie” — zwykł mawiać.*

Skan nadal się nie pojawiał. Wyglądało na to, że nie było to zwykłe ociąganie się. *Gdzie, u licha, podziewa się ta pierzasta głowa? — myślał zirytowany kestra’chern. — Co go tak zainteresowało?*

Może znalazł jakąś książkę, która przyciągnęła jego wzrok, i przerzucił ją, nie bacząc na upływający czas. A jeśli nie książka, miał nadzieję, że było to coś równie niewinnego.

Jednak czas uciekał, a przynajmniej dla Bursztynowego Żurawia. Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, Czarny Gryf będzie musiał sam się tłumaczyć i ratować z opresji. Bursztynowy Żuraw nie mógł dłużej czekać. Miał spotkanie. Spotkanie umówione w ostatniej chwili przez samego Urtho. Klient nie może czekać.

Szczególnie nie dziś wieczorem. Gdyby wizyta nie doszła do skutku albo on



spóźniłby się choć odrobinę, ktoś mógłby to powiązać z Tamsinem, Cinnabar i ich wyprawą do Wieży. Potem dodać dwa do dwóch i stałoby się jasne, że wspólnie coś uknuli. A tym kimś mógł być Urtho.

Skandranon jest dorosły, sam może o siebie zadbać. Jeśli go ktoś o niego zapyta, właśnie tak odpowie.

Droga powrotna do obozu była pusta jak nocne niebo, nikogo w zasięgu wzroku. To oznaczało, że nikt nie może zauważyć, że nagle zaczął biec, i zastanawiać się dlaczego. Przynajmniej nikt nie znajdował się wystarczająco blisko, aby rozpoznać w biegaczu kestra'chern Bursztynowego Żurawia. Żuraw biegł bez zatrzymywania się, aż ujrzał swój namiot.

*Jestem w lepszej formie, niż sądziłem* — pomyślał ze zrozumiałą dumą, doprowadzając się przed wejściem do porządku. — *Nawet nie jestem zdyszany.*

Na szczęście jego asystent, Gesten, już wcześniej przygotował dla klienta wszystko, co trzeba. Od dawna hertasi wykonywał proste posługi, które towarzyszyły jego zawodowi — wyciąganie stołu do masażu, podgrzewanie olejków, wkładanie ręczników do parownika, przygotowywanie kadzidła. Proste posługi, ale czasochłonne. Sprawy, z którymi nie zdołałby się uporać tuż przed przyjściem klienta, gdyby naszemu kestra'chern zdarzyło się robić coś, o czym nie chciał, aby ktoś się dowiedział. Na przykład, gdyby kestra'chern musiał coś zwałdzić z Wieży Wielkiego Maga.

*Niech Opatrzność błogostawi hertasi.*

Klienta nie było w środku, co mogło oznaczać dwie rzeczy: albo się zwyczajnie spóźnia, albo ma opory przed przyjściem do uzdrowiciela. Nowi klienci często je mieli, dopóki nie przekonali się, jak niewiele praca kestra'chern ma wspólnego z amorami. Świetnie, zatem ma jeszcze czas, by przebrać się spokojnie w swoje rzeczy do pracy. Mógł wykonać masaż w codziennym ubraniu, ale nie chciał. Miał dobrą opinie, a zawdzięczał ją między innymi swojemu wyglądowi. Klienci zawsze powinni go widzieć w najlepszej formie, ponieważ dawał im to, co najlepsze. Rozsunął więc kotarę i wszedł do prywatnego pomieszczenia. Szybko zdjął ubranie i wybrał jeden z trzech odpowiednich strojów do masażu, które Gesten mu przygotował: tunikę i bryczesy z miękkiego, przewiewnego materiału w kolorze ciemnopurpurowym z jaskrawym niebieskim obramowaniem. Krój był na tyle luźny, aby kestra'chern mógł swobodnie się pochylać nad klientem, by przynosić mu ulgę w naciągniętych lub bolących mięśniach. W przytłumionym świetle namiotu strój prezentował się wspaniale: kosztownie i niezwykle. Miał sprawiać, aby i klient poczuł się niezwykle.

Swoje długie włosy Żuraw związał z tyłu w warkoczyki, a na końcu każdego z nich umieścił małe dzwoneczki, które lekko podzwaniały, kiedy się poruszał. Stwierdził, że podczas masażu rytmiczny dźwięk dzwonka uspokaja klienta.

Gdy wszedł z powrotem do „oficjalnej” części namiotu, nowego klienta ciągle jeszcze nie było. Zaczął zatem sprawdzać to, co przygotował Gesten. Nie wątpił

w jego dokładność, ale nigdy nie zaszkodziło sprawdzić. Tak to już jest na tym świecie, że gdyby akurat raz nie sprawdził, na pewno czegoś by zabrakło.

Butelki z aromatycznymi olejkami czekały w swoim kociołku z ciepłą wodą i miały odpowiednią temperaturę. Na spodzie parownika z ręcznikami leżały gorące kamienie, a para wydobywająca się ze szczelin, niosła z sobą zapach gorącego, czystego płótna, mówiąc mu, że wszystko jest w porządku. Stół do masażu był rozłożony i oczywiście przykryty miękkim pledem, a purpurowe krzesło stało obok na wypadek, gdyby klient był zbyt sztywny czy obolały, aby wejść na stół bez niczyjej pomocy.

Drewniane rolki były przygotowane, podobnie jak maść po masażu, potrzebna gdyby mięśnie wymagały kuracji ziołowej. W czajniku parzyła się herbatka ziołowa, gdyby klient okazał się zbyt spięty.

A co najważniejsze dla nowego i prawdopodobnie nieśmiałego pacjenta, wszystkie pozostałe przyrządy, których Bursztynowy Żuraw używał do innych zajęć, zostały spakowane i usunięte z pola widzenia. Większość z nich piętrzyła się teraz w prywatnej części namiotu. Oznaką tego, że nie był zwykłym uzdrowicielem, był zapach kadzidła rozchodzący się w powietrzu, kosztowne draperie i stopy poduszek na podłodze.

Przechadzał się po pokoju, przekładając poduszki, upewniając się, czy przez przypadek nie pozostawiono czegoś, co powinno być uprzątnięte, sprawdzając, czy olejki nie zjełczały ani odrobinę. Wszystkie te czynności były tylko trwonieniem energii. Wiedział o tym, ale energia, którą tracił, brała się ze zdenerwowania, a poza tym należała do niego i mógł z nią robić, co mu się podobało.

Nie byłoby go teraz tutaj, gdyby miał inny wybór. Czekalby pod Wieżą na Skana albo czatował nieopodal miejsca spotkania magów.

*Ciekaw jestem, co dzieje się na tym zebraniu — pomyślał niespokojnie. — Pewnie hertasi posiali tam kogoś spośród swoich. Jeśli tak, Gesten będzie znał wyniki, gdy tylko zebranie się skończy lub nawet wcześniej. Mam taką nadzieję, choć i tak Vikteren opowie mi o wszystkim. . .*

*Bogowie, mam nadzieję, że Skan wydobędzie się z Wieży, nie wtaczając żadnego alarmu. Mam nadzieję, że strażnik się nie domyśli, że coś wykombinował. Mam nadzieję, że Czarny Gryf nie przeskrobał czegoś, tylko przeglądał książkę, której nie potrafił się oprzeć. Jestem pewien. Mam nadzieję, że Tamsin i Cinnabar rzeczywiście znajdą sposób, aby dać gryfom płodność. . .*

Niepotrzebne myśli. Niepokojenie się o rzeczy, nad którymi nie miał kontroli ani nie mógł mieć. Jeśli mógł coś zmienić, robił to. Jeśli nie mógł, umierał z niepokoju w nadziei, że znajdzie sposób, który wpłynie na sytuację.

Na szczęście nie miał zbyt wiele czasu, by dręczyć się spotkaniem magów albo Skanem. Nareszcie bowiem Gesten wetknął swój nos przez klapę namiotu i zapowiedział, że ktoś czeka na zewnątrz.

Kobieta, ale o tym Bursztynowy Żuraw wiedział wcześniej. Teraz natomiast

przekona się, dlaczego Urtho nie powiedział mu, kto dokładnie ma przyjść, gdy aranżował spotkanie.

Sztywna, surowa postawa, matematyczna precyzja fryzury z trzema cienkimi warkoczykami spadającymi na plecy, ściągnięte rysy twarzy, dokładnie odprasowany mundur. *Zimowa Łania? Bogowie.*

Poczuł napięcie w mięśniach ramion i zaczęła go boleć głowa. W porę powstrzymał się przed grymasem niesmaku i znowu przybrał kamienny wyraz twarzy.

*Jestem zawodowcem. Urtho przysłał ją do mnie, a honorarium, które mi wypłacił, powinno w zupełności wynagrodzić ten przykry obowiązek. Mogę się nią zająć bez angażowania się w cokolwiek. Przyszła tutaj tylko po terapię fizyczną. Nie muszę poznawać jej najtajniejszych sekretów, nawet nie muszę z nią rozmawiać, wystarczy, że wymienię kilkanaście koniecznych słów.*

Wszystkie te myśli przemknęły przez jego umysł, podczas gdy na jego twarzy malowała się grzeczna obojętność i zawodowy uśmiech. Zimowa Łania poruszała się bardzo sztywno, nawet bardziej niż sobie przypominał, i to nie tylko z powodu, że była nieszczęśliwa, przychodząc tutaj. Co takiego było w tej notatce, którą przysłał Urtho? *Uraz pleców.* Interesujące, była o wiele za sztywna jak na zwykły uraz pleców.

*Nie muszę się nawet otwierać na nią, żeby wiedzieć, że jest napięta jak naciągnięta katapulta, ma to wypisane w każdym mięśniu. Nie będę mógł z nią pracować, jeśli się nie rozluźni a najwyraźniej ona nie ma takiego zamiaru. . .*

*Interesujące, ale chyba mnie nie poznaje, nie kojarzy, że bytem wtedy ze Skanem. Być może to zasługa przyciemnionych świateł.*

W jej oczach początkowo nie było oznak, że go rozpoznała. Potem się co prawda pojawiły, ale nie cofnęła się nagle, co bezsprzecznie wskazałoby, że widziała go w tłumie, gdy Skan i Zhaneel robili z niej głupią.

No cóż, właśnie z powodu takiego napięcia parzyła się herbatka z uspokajających ziółek. Zimowa Łania nie była pierwszą klientką, która przyszła do kestra'chern zbyt spięta, aby wynieść jakąś korzyść z zabiegu.

— Chyba masz pragnienie — powiedział szybko, gdy rozglądała się wokół podejrzliwie. — Proszę, napij się lej herbatki, zanim zaczniemy. To ci pomoże.

Herbatka z ziół zawierała wiele minerałów, a ktoś z urazem pleców ich potrzebował.

Niechętnie wzięła filiżankę z napojem, machnięciem dłoni dała znak, że nie chce posłodzić jej miodem. Pociągnęła łyk. Jej oczy rozszerzyły się, gdy rozpoznała smak napoju. Jednak nie odezwała się i wypita go duszkiem.

*Pięknie* — pomyślał. Jakby spodziewała się po nim najgorszego.

No cóż, nie zrobi najgorszego. Zrobi to, co umie najlepiej, i do diabła z nią i jej opiniami.

— Proszę się rozebrać — powiedział, zabierając pustą filiżankę i odkładając ją na bok. — I położyć na stole.

Dopóki Zimowa Łania nie weszła do tego namiotu, nie wiedziała, że Urtho oddał ją w ręce kestra'chern. Znała jednak Bursztynowego Żurawia z widzenia — wahał się tu i ówdzie z uzdrowicielami albo gryfami — i orientowała się, jaki wykonuje zawód.

Myślała, że z uwagi na swoje dolegliwości z plecami Urtho wysłał ją do drugorzędnego uzdrowiciela, pozbawionego daru. Ta raczej bolesna rozmowa z Magiem Cisy nastąpiła po sprzeczce z Zhaneel. W jaki sposób zorientował się, iż coś jej dolega, nie miała pojęcia.

Co więcej, powiedziała mu o wielu innych sprawach, o których nie zamierzała mówić, a ta jej dolegliwość była tylko jedną z nich. Przynajmniej sprawa kontuzji i bólu z nią związanego uwolniła ją od kary. Urtho najwyraźniej uznał to za przyczynę jej rozdrażnienia na cały świat, a w szczególności na gryfy.

Kiedy jej o tym powiedział — i zalecił jej zabieg — była trochę obrażona, ale też poczuła ulgę.

Teraz była obrażona i zła — nie czuła żadnej ulgi — i prawdę powiedziawszy, była bardzo przerażona. Zła, że Urtho przysłał ją tutaj, nie mówiąc wcześniej, z kim ją umówił. Obrażona, że wtrącał się do jej prywatnego życia, stwierdzając arbitralnie, że coś jest nie tak w jej kontaktach seksualnych, i przysyłając ją do kestra'chern.

I przerażona tym, co mogło się stać z nią w rękach tego szczególnego kestra'chern.

Słyszała o uzdrowicielach, a szczególnie o tym, wiele krępujących opowieści, które mogły sprawić, że włosy na głowie każdej dobrze urodzonej, przyzwoitej młodej kobiety stanęłyby dęba. Bursztynowy Żuraw miał opinię człowieka, który robi rzeczy — raczej egzotyczne. Conn Levas poszedł do tego niezwykłego kestra'chern, by później naśmiewać się z jej braków. To, co jak opowiadał, tu się działo, było zdecydowanie więcej niż egzotyczne.

A co najgorsze, nie miała pojęcia, co Urtho zalecił jej... jako leczenie.

Jeśli ktoś z jej dywizjonu dowie się, że ona tutaj była, opowieściom i plotkom nie będzie końca.

A jej plecy ciągle boją! Był to wystarczający powód, aby chciała znaleźć się zupełnie gdzie indziej!

*Bogowie tytko wiedzą, co się stanie z moimi plecami, gdy... gdy...* Stwierdziła, że się rumieni, i rozgniewała się na swoje zakłopotanie. *Zbyt wiele wyginania się bardzo źle wpłynie na mój kręgosłup. Wątpię, żeby on miał o tym jakieś pojęcie.*

Jej podejrzenia zmieniły się w pewność, kiedy rozpoznała smak herbatki z vetrorawy. Działa uspokajająco, tak, ale powszechnie uważa się, iż wzmaga także

co innego. Jednak działa również rozluźniająco na mięśnie, a teraz...

*Teraz moje plecy tak strasznie jej potrzebują, że wypitam to obrzydlistwo — pomyślała gorzko. — Może on myśli, że gdy mnie wystarczająco oszołomi, będę zbyt słaba, aby mu się opierać. No cóż, nie z tymi plecami. Jedna filiżanka herbaty wystarczyła tylko, aby trochę osłabić ból.*

Wtedy on spojrział na nią, jak gdyby taksował nowy nabytek i powiedział: — Proszę się rozebrać i położyć na stole.

Spojrzała na niego, porażona zarówno jego klinicznym chłodem, jak i znaczeniem słów. Czy w tym wszystkim nie ma miejsca na... no... choć odrobinę finezji?

Przeniosła wzrok z Bursztynowego Żurawia na stół i z powrotem na niego.

— Co mam zrobić? — zapytała nadal oszołomiona.

Bursztynowy Żuraw westchnął rozdrażniony. Co jest z tą głupią kobietą? Czy ona nie rozumie, że aby on mógł zrobić jej masaż, ona musi się rozebrać i położyć na stole? Chyba nie myśli, że on weźmie się do pracy, gdy ona sterczy na środku pokoju jak posąg!

— To ciebie Urtho przysłał do mnie, prawda? — spytał z lekką ironią.

Przełknęła z trudem ślinę.

— Tak... — odparła.

— Masz uraz pleców, prawda? — ciągnął. Co dzieje się w jej umyśle?

Odparła z jeszcze większym oporem niż wcześniej.

— Tak...

Westchnął już naprawdę rozdrażniony, co wydawało się ją niepokoić. No cóż, dobrze. Do tej pory to on był zirytowany tą kłopotliwą sytuacją. Niech teraz ona trochę się pomęczy tym stanem.

— Zatem proszę pozwolić mi sobie pomóc, gdyż w takim celu tutaj jestem. Nie mogę ci ulżyć, jeśli się nie rozbierzesz i nie położysz na stole.

— Pomóc? W jaki sposób? — odparła ostro, strzelając oczami na wszystkie strony. — Myślałam, że przysłano mnie do uzdrowiciela!

Zacisnął zęby, aż zabolęło.

— Przysłano cię do uzdrowiciela — odparł tonem, który miał jej bezwzględnie powiedzieć, że jest rozdrażniony. — Najwyraźniej nie wiesz, że nie można przeprowadzić skutecznego masażu, gdy klient jest w ubraniu. Jeśli wolisz, aby masował cię ktoś inny, zawsze możesz stąd wyjść. Będziesz jednak musiała się wytłumaczyć przed Urtho, dlaczego zrezygnowałaś z tej raczej kosztownej sesji. Wykonuję swoje usługi w całkowicie profesjonalny sposób, nawet na opornych klientach. A to, co chciałem zastosować wobec ciebie, nie ma nic wspólnego z tym, o czym, jak przypuszczam, myślisz.

Na zewnątrz był spokojny i zimny, ale w środku w nim wrzało. Tak mocno zacisnął tylne zęby, że zdziwił się, iż nie popekały! *Kolejna przekłeta, czysta jak łoża uzdrowicielka. Powinienem się domyślić, że tak zareaguje. Tamsin i Cinnabar bardzo dokładnie ją opisali. Świetlisty Kerosie, ile razy jeszcze będę musiał się męczyć z ludźmi podobnego pokroju? Niech mi dadzą w końcu spokój!*

*A jeśli chodzi o Czystą Zimową Łanię — że ściągniętego wyrazu jej twarzy można wywnioskować, że najwyraźniej broni swej reputacji Księżniczki Sztwywnych i Cnotliwych,*

Nie drgnęła nawet o centymetr, gdy zaczął mówić. Była tak spięta, że zdziwił się, iż oczy nie wyszły jej na wierzch.

Oczywiste było, że ona nie tylko nie wierzy, iż on jest uzdrowicielem, ale sądzi, że została zawiązana jakaś brzydka intryga przeciwko niej.

*Tak jak gdyby to był mój pomysł. Dziękuję, ale zdecydowanie wolę chętnie partnerki. Jego ból głowy narastał. Dziwne. To nie był tylko jego ból, pochodził również od niej. Nic dziwnego, że miała tak krzywą i kwaśną minę.*

*Jak mam ją teraz przekonać, że jestem uzdrowicielem? Odrąbać Gestenowi rękę i sprawić, by z powrotem się zrosła? Jestem ciekaw, czy ta tutaj, Jej Wysokość Lodowata Dama, w ogóle by na to zareagowała! Ona i ten jej kochanek o stalowym karku są siebie warci. Gdyby nie to, że Urtho ją do mnie przysłał, poprosiłbym ją, aby wzięła swój żeton i wyniosła się tam, gdzie pieprz rośnie.*

Jednak dzięki długiej praktyce nie zdradził niczego ze swoich uczuć.

— Nie stanowią zagrożenia dla twojej... cnoty, zapewniam cię. Możesz się rozluźnić. To jest stół do masażu. Mam popracować nad twoimi plecami. Być może jest tam coś, co można uzdrowić. To takie proste.

Poklepał dłonią po stole i uśmiechnął się chłodno.

Przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę i nieznacznie poruszyła się w kierunku stołu.

*Jeśli tylko na tyle ją stać, minie cała noc, zanim wejdzie w końcu na ten cholerny stół.*

— Masaż — powtórzył, jakby mówił do niedorozwiniętego dziecka. — Jestem bardzo dobrym masażystą. Lady Cinnabar tylko mnie pozwala się masować.

Zrobiła jeszcze kilka kroków w kierunku stołu. Bursztynowy Żuraw zamknął na moment oczy i policzył do dziesięciu. To, co miało być zwykłą sesją, zmieniło się w tortury dla nich obojga!

— Jeśli się wstydzisz rozebrać przed obcym, odwróć się na chwilę. Możesz się owinać w prześcieradło, które jest złożone obok stołu — powiedział i odwrócił się do niej plecami.

Szelest ubrania powiedział mu, że w końcu przekonał ją przynajmniej o swojej szczerości, a za chwilę przekona zapewne i o umiejętnościach.

Głowa pękała mu od współodczuwanego bólu. Osłonił się przed nim i z wolna ból trochę zelżał. To wstyd. Zazwyczaj nie musiał się osłaniać przed innym

uzdrowicielem, wręcz przeciwnie, otwierając się szeroko, dzięki empatii uzyskiwał potrzebne informacje. Empatia zwiększała jego wrażliwość na rany i ból, pozwalając go powstrzymać. Zanim klient w ogóle się zorientował, że coś go boli, on potrafił usunąć problem i przejść do następnego.

*Usunąć problem.* No cóż, dobrze wiedział, dlaczego Urtho przysłał tę kobietę właśnie do niego. Kilka uwag, które przekazał mu na jej temat, wskazuje na jakiś uraz w jej życiu, na coś, z czym nie potrafi sobie poradzić — co sama zrobiła lub jej zrobiono. Trondi'irn zazwyczaj nie byli tak zajęci, aby nie dbać o swoje zdrowie. Istniało prawdopodobieństwo, że ona zaniedbywała swój stan, w ten sposób za coś się karząc. Nie miał wątpliwości, że uraz fizyczny był prawdziwy. Jednak jej postępowanie powiedziało mu, że nie była ona zdrową, dobrze przystosowaną kobietą. Urtho musiał również to dostrzec. W tym tkwiła ukryta przyczyna, z powodu której ją do niego przysłał.

*Podobno uzdrawiasz umysły, zatem uzdrów i ten.*

Co Urtho powiedział o niej?

*Że miała rodziców, którzy ją gnębili. Nie sądzę jednak, aby gnębili ją fizycznie...*

Urtho był znany z tego, że miał dość oryginalne rozumienie słowa „gnębić”.

Nie, ta kobieta nie była źle traktowana czy zaniedbywana fizycznie, ale emocjonalnie — tak, ta teoria pasuje do wzorca.

*Założyłbym się o sztukę jedwabiu, że jej matka i ojciec byli zimnymi, wymagającymi rodzicami, którzy żądali doskonałości — i otrzymywali ją. Doznała bardzo mało prawdziwego uczucia w swym życiu, a większość była jej okazywana wtedy, gdy jej się udało w jakiś sposób zrealizować niemożliwe do osiągnięcia cele, postawione przez rodziców. Tak, to pasuje do całości.*

A teraz była tak samo wymagająca wobec innych, jak jej rodzice byli wobec niej. Co więcej, była tak samo surowa wobec siebie.

*No cóż, dlatego pewnie związała się z aroganckim manipulatorem, jakim jest ten podły mag. Zimowa Łania nie uważa, aby „zasługiwała” na kogoś troskliwego, dlatego też wzięła sobie kogoś, kto przypomina jej to, w czym wzrastała. A potem traktuje go tak samo, ponieważ nigdy nie nauczyła się postępować inaczej.*

Przeciagnał palcami po czole, gdy skrzypienie łożka za nim powiedziało mu, że jednak udało mu się ją przekonać, aby mu zaufała. *Nie jestem w stanie naprawić wyrządzonej jej krzywdy podczas kilku miarek świecy. Zacznijmy od najłatwiejszego zadania i postarajmy się złagodzić ból. A potem go usuwamy.*

Bursztynowy Żuraw odwrócił się. Zimowa Łania leżała na brzuchu przykryta od stóp do głów prześcieradłem, skromna niczym wiejska dziewczyna. Wybrał jeden z olejków — ten na bazie lawendy; świeży i na tyle przyzwoity, aby zdołał ją przekonać, że nie ma zamiaru jej uwieść. Potem zanim zdążyła zareagować, ze zręcznością Gestena zsunął w dół prześcieradło. Nalał trochę olejku w garść, aby

go ogrzać, i roztarł w dłoniach. W chwilę później masował mięśnie jej pleców i ramion.

Nie przechwalał się; szczególnie dobry był właśnie w masażu. Lady Cinnabar rzeczywiście wolała jego usługi od usług kogokolwiek innego z obozu czy spoza niego. Z wolna, kiedy likwidował napięcie w jej plecach i barkach, poczuł jak odpływa także inne napięcie. Jego biegłość w masażu przekonała ją, że przynajmniej po części był tym, za kogo się uważał.

Niektóre z barier, jakie przed nim stworzyła, opadły. Jednak on nie wykorzystał tej chwilowej przewagi.

*Nie, moja droga pani Sopol Lodu, mam zamiar pokazać ci, że jestem tym wszystkim, o czym mówiłem, i jeszcze kimś więcej.*

*Jesteś wyzwaniem. A ja nigdy nie mogłem oprzeć się wyzwaniu. A Urtho, niech go łycho, dobrze o tym wie.*

Kiedy Zimowa Łania uświadomiła sobie, że ten człowiek rzeczywiście wie, co robi — przynajmniej jeśli chodzi o masaż — poczuła, jak napięcie odpływa z jej ciała. Im bardziej się rozluźniała, tym lepiej jego ręce usuwały ból z jej biednych pleców.

*Dziwne. Zawsze myślałam, że masaż powinien być bolesny...*

W rzeczywistości był tak łagodzący, że poczuła, jak zapada powoli w półsen. Minęło kilka chwil, zanim uświadomiła sobie, że mrowienie w jej plecach jest jej całkiem znajome... Różnica polegała na tym, że nigdy nie doświadczyła go wcześniej jako odbiorca.

Jej oczy otworzyły się szeroko, chociaż nie poruszyła się. Nie śmiała. Ten mężczyzna ją uzdrawiał, a nie wolno przerywać uzdrawiającego transu!

— No cóż — doszedł ją głos zza pleców. — Z pewnością nadwreżyłaś sobie kręgosłup w bardzo efektowny sposób.

On mówił! Jak można wejść w trans i jednocześnie mówić?

— W najgorszym stanie jest dysk między kręgami — ciągnął głos. — Zgniółł się raczej brzydko. Postaram się go jakoś wyprostować. Jeśli uda mi się cofnąć zapalenie, ból powinien częściowo ustąpić.

— Och — odpowiedziała słabo. — Myślałam, że złamałam jakiś kręg...

— Nic podobnego — odparł głos. — Jednakże mogło być znacznie gorzej. To dobrze, że Urtho przysłał cię do mnie. Czy w tym miejscu czujesz jakieś napięcie?

Zimowa Łania poczuła ukłucie zimna pośród morza ciepła, jakie zalewało jej plecy. Ten człowiek ją zadziwiał. Uzdrowiciele, których znała, potrafili uczynnić nerwy w szczególnych punktach ciała, ale nigdy nie wywoływali szczególnych doznań. W czasie gdy kończyła swoje szkolenie, nie potrafiła uaktywnić kłębu nerwów mniejszego od jej kciuka, nie wywołując u pacjenta uczucia gorąca, zimna, nacisku i bólu jednocześnie. A ten tutaj — kestra'chern — określił precyzyjnie nerwy w jednej dziesiątej tego obszaru i wywoływał u niej uczucie tylko zimna. Bez bólu!



Była w stanie jedynie chrząknąć z uznaniem i pozwolić, aby znikły dzielące ich bariery. On wiedział, co robi, i był taki kompetentny, taki dobry...

Bursztynowy Żuraw wysyłał fluidy do naruszonego kręgu wolniej niż to było konieczne, częściowo z ostrożności, ale głównie dlatego, żeby zyskać na czasie.

To nie było takie proste, jak myślał.

Zimowa Łania przypominała cebulę. Zdjąłeś jedną warstwę, myśląc, że dotarłeś do rdzenia, po to tylko, aby znaleźć kolejną. Stawiała tyle zapór, że musiał zastanawiać się, czy to, o czym akurat ona myśli, nie jest tylko kolejną obroną przed nim.

— Jak do tego doszło? — spytał cicho, pozwalając, aby spokój w jego głosie jeszcze bardziej uspił jej czujność. — Taki uraz nie zdarza się zawyczaj od razu. Czy wcześniej niczego nie zauważyłaś?

— NO cóż, już od jakiegoś czasu plecy sprawiały mi kłopot — odparła z wyraźnym oporem — ale nigdy się tym nie przejmowałam. Moja rodzi... zawsze miałam kłopoty z kręgosłupem, wiesz, jak to jest, napięcie zawsze uderza w najsłabszy punkt, prawda?

— Prawda — odparł, zastanawiając się, dlaczego zmieniła słowo „rodzina” na „ja”. W jaki sposób opowieść o rodzinnych kłopotach z kręgosłupem mogła zdradzić cokolwiek o niej? — Rozumiem więc, że twój kręgosłup jest twoim najsłabszym punktem. — Zastanowił się dokładnie, zanim zadał następne pytanie. Nie miał zamiaru zmuszać jej do jeszcze większej obrony. — Przypuszczam, że widziałaś, jak bardzo zajęci są wszyscy uzdrowiciele i postanowiłaś po prostu zlekceważyć ból. Niekoniecznie było to mądre, ale szlachetne z twojej strony.

Chrząknęła, a skóra na jej karku trochę poczerwieniała.

— Nie lubię się skarżyć — powiedziała. — Szczególnie na coś, czego nie mogę zmienić. Zatem milczałam i piłam dużo ziół. Pamiętam, że po obronie w Połdzie przyniesiono jednego gryfa z Szóstego Dywizjonu z ciężkimi ranami podbrzusza w stanie absolutnej hysterii. Kiedy próbowaliśmy go unieruchomić, wpadł w szal.

Interesujące. Czuje urazę. Jak gdyby myślała, że ten gryf postępował niedorzecznie.

— Kto to był? — spytał Bursztynowy Żuraw.

— O kogo ci chodzi? — zapytała podejrzliwie.

— Kim był ten gryf? — odparł obojętnie. - Słyszałem o oparzeniach Aubriego, ale nic nie wiem o tym, że ktoś z Szóstego Dywizjonu miał rany szarpane. Czy nie chodzi czasem o Sheran? Jeśli tak, nie dziwi mnie, że tak zareagowała na próbę unieruchomienia. Była jednym z gryfów, które uratowano z Trzeciego Dywizjonu w Przełęczu Stelvi. Ma'ar trzymał je wszystkie zakute w łańcuchy i miał zamiar odciąć im skrzydła. Nie wiemy, co jeszcze im zrobił, ale wiemy, że były torturowane w jakiś szczególnie wymyślny i sadystyczny sposób.

*No właśnie. Spraw, aby my siata o tym gryfie jak o osobie, a nie jak o zwierzęciu. Sprawdź, do czego to doprowadzi.*

— Być może to ona — odparła Zimowa Łania wolno, jak gdyby ta uwaga nią wstrząsnęła. — Miała wiele blizn, których nie potrafiłam wyjaśnić, i była samicą...

Bursztynowy Żuraw, zanim znowu przemówił, zbadał chore miejsce.

— Ma'ar przeznacza dla gryfów najgorsze ze swoich tortur. Urtho uważa, że postępuje tak specjalnie. Ma'ar wie, że Mag Cizy traktuje je jak swoje dzieci, a nie tylko jak „stworzenia”.

— Nie wiedziałam o tym.

Przez chwilę milczeli. Płomyki w latarniach zawieszonych nad ich głowami płonęły ze słabym sykiem i trzaskiem.

— Lubię zwierzęta. Zawsze byłam dobra dla koni i psów. Dlatego zostałam trondi'irn.

— Gryfy... — zaczął. — Gryfy nie są zwierzętami — powstrzymał się w porę.

— Myślałam, że gryfy to tylko zwierzęta, tak jak konie bojowe Kaled'a'in. Myślałam, że one tylko mówią, tak jak ptakipostańcy... że naśladują ludzi, nie rozumiejąc niczego więcej poza zwykłym rozkazem.

Westchnęła. Mięśnie na jej plecach uniosły się i lekko drżały pod jego palcami, a on dołożył starań, aby to lekkie drżenie nie przerodziło się w bolesny spazm.

— Zawsze sobie powtarzałam, chociaż to nieprawda, że one są tylko zwierzętami. Nienawidzę patrzeć na ból. Świadomość, że gryfy będące w tak strasznym stanie myślą, była dla mnie nie do zniesienia.

— No cóż — odparł Bursztynowy Żuraw, ostrożnie dobierając słowa — zawsze myślałam, że gorsze jest patrzeć na cierpiące zwierzęta niż na ranne stworzenia, jak hertasi, gryfy, kyree czy tervardi. Zwierzęciu nie można wytłumaczyć, że trzeba mu przez chwilę sprawić trochę większy ból, aby później mu się polepszyło. Jednak myślącemu stworzeniu można to powiedzieć i liczyć na to, że uwierzy i będzie współpracować. Dla mnie najgorszy był widok umierającego zwierzęcia — szczególnie takiego, które było przywiązane do człowieka. Uważają nas, kestra'chern, prawie za bogów i spodziewają się, że zmienimy wszystko na dobre. Kiedy jednak nie można nic zrobić, świadomość, że się zdradza tę ich wiarę, jest straszna.

— Mówisz tak, jakbyś już nieraz o tym myślał — powiedziała. Jej głos jednak brzmiał dziwnie, był kontrolowany, a właściwie przesadnie kontrolowany.

— Na tym polega moja praca — przypomniał jej z ironią. — Byłabyś zdziwiona, widząc, ilu ludzi przychodzi do mnie nawiedzanych przez koszmary, w których widzą, jak ich zwierzęta giną na polu bitwy. Częścią tego, co robię, jest wyjaśnianie im, dlaczego widzą ginące zwierzę a nie umierającego przyjaciela. Tylko nie mówię im tego w ten sposób.

Nie potrafiła nic odpowiedzieć, żalem po kilku westchnieniach wróciła do bezpieczniejszego tematu.

— W każdym razie próbowałam leczyć tego gryfa. Pochyliłam się nad nią w dziwacznej pozycji, aby założyć jej szwy bez krępowania jej. Kopnęła mnie obiema tylnymi nogami. Wyrzuciła mnie w powietrze i paskudnie upadłam. Już gdy się podnosiłam, czułam, że mnie bardziej boli. Nie bolało jednak mocno, więc pomyślałam, że nic mi nie jest.

*Dobrze. Gryf przestał być „to” i zaczął być „ona” postęp.*

— Ale ból był coraz gorszy, prawda? — ciągnął. — To oznaka, że stało się coś niedobrego z którymś z twoich dysków międzykręgowych.

— Nie zapominam tak szybko raz danych mi lekcji — skontrowała równie ironicznie, jak on przedtem. — Ale jak powiedziałeś? uzdrowiciele byli zajęci poważniejszymi urazami niż mój, a ja nie zamierzałam narzekać na coś tak błahego, jak ból pleców.

— Mówienia o dotkliwym bólu nie nazwałbym narzekaniem — powiedział tylko.

Rozluźniła się trochę, nieznacznie, ale dostrzegalnie.

— Ten uraz wymaga dłuższego leczenia — ciągnął. — To znaczy powinnaś się zmusić i udać się do prawdziwego kestra'chern.

Skóra na jej karku znowu poczerwieniała.

— Ja... Jesteś lepszym uzdrowicielem ode mnie — odparła z pokorą. To, że musiała się do tego przyznać, nie sprawiło jej radości. — Gdybyś był tak miły... Wiem, ile wynosi twoje honorarium... Gdybyś jednak znalazł czas...

— Aby upewnić się, że uzdrowiciel moich przyjaciół jest w dobrej formie, poświęciłbym nawet królewskie honorarium — odparł Bursztynowy Żuraw z godnością. — Kiedy cierpisz na bóle, nie możesz dobrze wykonywać swojej pracy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Skan nie jest moim jedynym przyjacielem spośród gryfów, a ja pragnę, aby moi przyjaciele mieli jak najbardziej kompetentną i dobrą opiekę.

— O — odezwała się słabo. — Dziękuję. Znowu zbadał chore miejsce.

— Z dyskiem zrobiłem wszystko, co na razie było można — powiedział zgodnie z prawdą. — Skończę masaż, a potem możesz pójść. Myślę, że powinnaś odczuć różnicę.

— Już czuję — przyznała.

Nabrał trochę świeżego, pachnącego olejku w dłonie, potarł je, by je ogrzać, i zaczął gładzić mięśnie jej pleców, których wcześniej nie dotykał. Tylekroć doznawały skurczu, że stały się napięte i twarde jak struny harfy, i tak poskręcane jak nitka, którą po raz pierwszy szyje dziecko.

Kiedy przyszło początkowe rozluźnienie, zaczęła sapać i drzeć na całym ciele. Bursztynowy Żuraw doskonale znał taką reakcję, ale ona najwyraźniej nie.

— O! — wykrzyknęła i znowu się napięła. — Ja...

— Wszystko w porządku, nie ruszaj się — nakazał. — To normalna reakcja, gdy rozluźniam napięte mięśnie. Nie zwracaj to uwagi, jeśli możesz, albo spróbuj się tym cieszyć.

Nic na to nie odpowiedziała. Interesujące. Kiedy ostatnio zrobił tę szczególną uwagę, pewien prosty żołnierz odrzekł mu z niebezpieczną ironią: — „Zupełnie jak przy gwałcie”. Była to normalna reakcja u zwykłego żołnierza, który nazbyt często bywał w pozycji ofiary.

Jednak u Zimowej Łani nie było żadnego napięcia mięśni karku, żadnego skurczu, który by wskazywał, że taka myśl pojawiła się w jej głowie.

*Interesujące. Bardzo interesujące. A więc bez względu na to, czego ona się boi, nie o to chodzi. I nie jest „zwyczajną duszą”, tak jak twierdzi.*

— Jeśli cię zabol, powiedz mi — rzekł. — Dobry masaż nie powinien boleć. W twoim przypadku, jeśli zacznę sprawiać ci ból, znowu się napniesz i zepsujesz wszystko, co do tej pory zrobiłem poza prawdziwym uzdrawianiem.

— Powiem — obiecała. — Ale to nie boli. Po prostu czuję się dziwnie. Moje ma... masaż, które miewałam w przeszłości, nigdy nie były związane z urazami.

*Jaki może być inny rodzaj masażu? Nie może mieć na myśli erotycznego. A więc — upiększający?*

Na to mógł wskazywać stan jej skóry. Była jędrna i gładka. Kiedy poza i sztywność opuściły ciało Zimowej Łani, była uosobieniem ludzkiego piękna. Skrupulatnie dbała o swoją skórę i włosy. Miała wypielęgnowane paznokcie stóp i nigdzie żadnych zgrubień ani odcisków, nawet tych związanych z jazdą konną czy walką.

Niezwykłe. Z pewnością były to oznaki kogoś wysoko urodzonego. Bursztynowy Żuraw sądził, że zna wszystkich ludzi ze szlacheckich rodów, którzy kiedykolwiek żyli w pobliżu Wieży Urtho.

*Być może ona była tutaj wcześniej, zanim ja przybyłem? Ale to oznacza, że musiała tu przybyć na samym początku wojny.*

— Jak ci się wiedzie z twoimi dowódcami? — spytał, dodając: — Muszę to wiedzieć, ponieważ jeśli ci się nie układa, wpłynie to niekorzystnie na twoje mięśnie i będę cię musiał prosić, abyś piła zioła powodujące rozluźnienie, kiedy będziesz znajdować się w pobliżu swych przełożonych.

Milczała przez długą chwilę.

— Uważają mnie za poprawnego podwładnego. Przypuszczam, że taka jestem. Pewnie dlatego stan moich pleców tak nagle się pogorszył. Nigdy im się nie sprzeciwiłam, nawet teraz. Chyba uważasz mnie za tchórza, ale chociaż nie zgadzam się ze sposobem, w jaki traktują gryfy, nie chcę; zostać zdegradowana i odesłana gdzie indziej.

— Nie stałoby się tak, gdybyś przedstawiła sprawę Urtho — stwierdził. — Jesteś trond’irn i twoim obowiązkiem jest odwoływać się od rozkazu dowódcy, jeżeli uważasz, że twoi podwładni są źle traktowani.

— Nie mogę tego zrobić. — Jej skóra była zimna. Zimowa Łania bała się. Czego? Konfrontacji? Pójścia bezpośrednio do Urtho? — Poza tym — ciągnęła pośpiesznie — mój k. . . kochanek jest jednym z magów Shaiknama. Nazywa się Conn Levas. Gdybym poszła do Urtho, mogłabym być przeniesiona, a chcę być z nim w jednym dywizjonie.

*Nieprawda!* Jej mięśnie mu to powiedziały, a intuicja Bursztynowego Żurawia to potwierdziła. Sposób, w jaki zająknęła się na słowie „kochanek” (wcale nie wstydziła się je wypowiedzieć, ale czuła wstręt, nazywając go w ten sposób), tylko go w tym upewnił. Bursztynowy Żuraw pamiętał Conna Levasa, maga, który przyszedł do niego, aby zawstydzić swoją kochankę. Tą kochanką była Zimowa Łania. Być może ona i ten mag dzielają pasję do zwierząt, ale między nimi z pewnością nie ma miłości. W ogóle nie obchodzi ją to, czy zostanie przydzielona do innego miejsca niż on.

*W tym wszystkim jest coś istotniejszego. W jakiś sposób ten człowiek ją chroni. Niekoniecznie musi o tym wiedzieć, ponieważ gdyby tak było, wykorzystałby to przeciw niej.*

Z upływem czasu wszystko stawało się coraz bardziej skomplikowane.

— No cóż, powiedziałbym, że nie potrzebujesz się o to dłużej martwić — rzekł obojętnym tonem.

— Co masz na myśli?

Widać było, że się naprawdę zdenerwowała, coś ją zaniepokoiło, nawet się wzdrygnęła.

Położył dłoń pośrodku jej pleców i gładził rozedrgane mięśnie.

— Dzięki Zhaneel Urtho już został powiadomiony o sytuacji panującej w Szóstym Dywizjonie. Nie będziesz musiała teraz przed nikim stawać. Spodziewam się, że Mag Cisy sam zajmie się tą sprawą. Jak to zwykle robi.

— Ach tak — znowu się rozluźniła.

*Co, u licha, postawiło ją w taki stan gotowości? Musi to być coś związanego z tym, czego tak bardzo się obawia.*

Co to mogło być, nie miał pojęcia. Być może powinien zagłębić się w przeszłość, ale tak, żeby nie przstraszyć Zimowej Łani.

— Wszystkich swoich umiejętności nauczyłem się jeszcze jako dziecko — powiedział ostrożnie. — Moi rodzice wysłali mnie do bardzo dziwnej szkoły, takiej, która nie wierzy w istnienie daru uzdrawiania ani empatii. Nauczyłem się niemało o uzdrawianiu bez używania tych darów — wszystkiego od anatomii po masaż i ziołolecznictwo. Jednak pracując z chorymi, czułem się jak w pułapce. Byłem silnym empatą, a nie potrafiłem się odciąć od nich. Byłem nieszczęśliwy, a moi rodzice nie rozumieli, dlaczego. Pisałem o tym w listach, błagając, żebym mógł wrócić do domu. Myśleli, że robią to dla mojego dobra, i nie potrafili zrozumieć, dlaczego nie jestem im wdzięczny.

— Moi rodzice byli podobni — powiedziała sennie. — Uważali, że ich dzieci

są wyjątkowe, i nie zgadzali się na nic, co nie byłoby doskonałością. Nigdy nie rozumieli, dlaczego nie jestem im bezgranicznie wdzięczna za wszystkie możliwości, jakie mi stworzyli.

*Tak myślałem! A więc mamy coś, od czego można zacząć, już teraz.*

— Z pewnością twoi rodzice, podobnie jak moi, myśleli, że kierują się twoim najlepszym interesem — odparł szybko. — Być może byli zbyt młodzi na dzieci. A może po prostu nie rozumieli, że dziecko nie jest wierną kopią rodziców. Wielu ludzi myśli w ten sposób. Uważają, że dziecko musi mieć te same potrzeby i zainteresowania co oni, dlatego że jest ich potomkiem. Nie rozumieją, że dziecko może być zupełnie inne od swoich rodziców.

— A więc? — spytała, może ostrzej, niż zamierzała. — Czy to ich tłumaczy? Pozwolił jej to przemyśleć, zanim odpowiedział.

— To ich nie tłumaczy — powiedział w końcu — ale wyjaśnia pewne sprawy, choćby przyczyny, dla których jesteście tacy a nie inni. Przyczyny, dla których musimy tacy być. Nawet Ma'ar w tym, co robi, kieruje się jakimiś swoimi racjami.

Potem sprowadził dyskusję na tory filozoficzne.

A kiedy Zimowa Łania wyszła po skończonym zabiegu, stwierdził, że jest mu jej nie tylko żal, ale że nawet ją trochę polubił.

Wiedział, że ona chciałaby się zmienić. Z pewnością będzie jej ciężko, gdy zostanie sama z tym problemem. Będzie musiał jej pomóc. W stanie, w jakim się znajduje, grozi jej niebezpieczeństwo, zarówno ze strony jej samej, jak i od każdego, z kim się zetknie. Bez względu na to, jak bardzo pragnie to ukryć, jej równowaga jest zachwiana, ona czegoś się boi.

A lęk był najlepszą bronią Ma'ara.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skandranon odchylił delikatnie szponem klapę roboczego namiotu Tamsina. Powiew wiatru dostał się razem z nim do środka, głaszcząc pióra na jego grzebieniu. Tak jak się spodziewał, Tamsin i Cinnabar mrużeli coś do siebie pochyleni nad notatkami, obojętni na cały świat. Wyglądali wspaniale — oni, blat stołu i cenny stosik papieru. Światło lampy padało na dwie głowy: jasną i ciemną. Byli uosobieniem spokoju. Jednak Skan w tej chwili nie szukał żadnych pięknych obrazów. Dopóki istniał Ma'ar, spokój był tylko iluzją. Wiedział o tym, dlatego zdecydował się na kradzież sekretu, pomimo że była to niebezpieczna zabawa.

Ten sekret przynajmniej zapewni przeżycie jego ludowi, bez względu na to, co przytrafi się Urtho.

— Sporo czasu potrzebowałeś, aby tu dotrzeć — powiedział Tamsin, nie podnosząc głowy, podczas gdy Cinnabar spojrzała na niego przymrużonymi oczami, uśmiechając się z przekąsem. Napisał jeszcze dwa czy trzy słowa, po czym odsunął kartkę i uniósł oczy, napotykać wzrok Skana. — Co robiłeś? Zatrzymałeś się, aby uwieść pół tuzina gryfie po drodze?

Nozdrza Skana poczerwieniały, ale udało mu się zapanować nad głosem, aby się nie zdradzić. Pół tuzina gryfic? No cóż, chodziło tylko o jedną samicę, a uwiedzenie nie wchodziło w grę. I chociaż nie miał czasu, by wymyślić jakąś solidną wymówkę, postanowił raczej nie mówić nikomu o Kecharze.

— Wcale nie, po prostu zatrzymałem się, aby popatrzeć na coś bardzo interesującego w Wieży. Zatem, co odkryliście?

Po błysku w oczach Tamsina można by sądzić, że wieści były bardzo pomyślne.

— Twoje „czary” nie są dokładnie czarami — odparł Tamsin. — Umożliwienie płodności u samców i samic gryfów wymaga kombinacji pewnych rzeczy, które są czymś w rodzaju przygotowania, jakie każdy gryf może przejść bez pomocy magii, chociaż odrobina magii czyni je łatwiejszym. Urtho po prostu cały proces okrył mistycyzmem, abyście sądzili, że jest to coś silnie magicznego. Jego notatki zawierają wskazówki, co robić, aby osiągnąć najlepsze efekty prawie bez utraty energii. Oszukał was wszystkich, Skan.

Skan potrząsnął głową tak szybko, że uderzył się we framugę i zamrugał. Li-

czył na to, że wymagane czary nie będą zbyt trudne, ale w życiu nie spodziewał się czegoś takiego.

— Co? — wykrzyknął.

Tamsin śmiał się, odchylając się do tyłu w fotelu i splatając ręce za głową.

— Kiedy was projektował, chciał mieć jakąś automatyczną kontrolę nad waszą płodnością, dlatego pożyczył niektóre rzeczy od innych zwierząt. Weźmy na przykład sowę białą — samice nie zniosą zapłodnionych jaj, dopóki samiec ich najpierw nie nakarmi myszami. Nagły wzrost spożycia mięsa wyzwała w ich ciałach odpowiednie procesy i umożliwia zapłodnienie jaj; a im więcej mięsa zjedzą, tym więcej złożą zapłodnionych jaj. No cóż, Urtho wykorzystał ten mechanizm dla waszych samic. „Rytualem” dla samic gryfów jest dwudniowy post, a potem objedzenie się świeżym mięsem tuż przed lotem godowym. Ich podświadomość odbiera sygnał, że wokół jest dość pożywienia, aby wykarmić rodzinę, tak jak u sów, i stają się płodne.

— Ale... — Skan słabo zaprotestował. — My nie składamy jaj. Jak to może...

Tamsin go zlekceważył.

— Od śnieżnych tygrysów także coś zapożyczył. Mogą mieć młode cztery razy w roku, kiedy klimat jest cieplejszy, ale mają je tylko raz, ponieważ temperatura ciała samców jest tak wysoka, że jego nasienie jest bezużyteczne z wyjątkiem okresu zimowego. A więc Urtho zaprojektował wasze samce tak, aby temperatura waszego ciała była normalnie tak wysoka, że wasze nasienie pozostaje „uśpione”, tak jak u tygrysów. A więc częścią waszego „rytuału” jest spanie i medytowanie w jaskini przez dwa dni, kiedy samice poszczą. To obniża temperaturę wystarczająco, aby wasze nasienie stało się aktywne. Bardzo prosty czar powoduje, że temperatura ciała samca pozostaje niższa niż normalnie aż do chwili zakończenia lotu godowego. I to jest ten jedyny fragment magii wprowadzony przez Urtho, zaklęcie kluczowe. Jest to tak niewielki czar, że nawet nie wyuczony uzdrowiciel mógłby tego dokonać. Po prostu są pewne środki, napary, które możemy ci dać, a one za jakiś czas wywołają podobny skutek.

— Albo możesz posiedzieć trochę na kawałku lodu — dodała wesoło Cinnabar, odrzucając włosy do tyłu. Następny powiew wiatru wpadł przez otwartą kłapę namiotu i spowodował, że płomyk w latarni przez moment zachybotał.

— Dziękuję wam — powiedział Skan z taką godnością, na jaką mógł w tej chwili się zdobyć. — Wątpię jednak, abym to wytrzymał.

— Mówiąc poważnie, oznacza to, że w przypadku zupełnego braku uzdrowicieli czy ziół, samiec gryfa może utrzymać swoje nasienie w aktywności, parząc się w zimie podobnie jak tygrysy śnieżne, czy śpiąc przez dwa dni w jaskini, a potem lecąc wysoko podczas lotu godowego tam, gdzie powietrze jest zimne nawet w lecie — rzekł Tamsin. A potem wybuchnął śmiechem. Już bardzo dawno Skan nie widział, aby uzdrowiciel tak beztrudnie się śmiał. Był to wspólny widok. —



Ale stworzenia tak gorąco krwiste jak Czarny Gryf prawdopodobnie będą musiały udać się aż na północny kraniec świata!

Cinnabar przyłączyła się do śmiechu swego kochanka i nawet Skandranon słabo zachichotał. Już od bardzo dawna Tamsin oczekiwał na coś, co dotyczyłoby raczej tworzenia niż niszczenia. Przez ten krótki czas być może zapomniał o wojnie i o wszystkim, co ona oznaczała.

— A jeśli chodzi o sam lot godowy, to im lepszy lot, tym łatwiej, aby... aby wszystko zadziało. Powoduje, że krew lepiej krąży i ciało lepiej funkcjonuje. Im bardziej wyteżony lot, o tutaj — powiedział i wyciągnął jedną kartkę ze swoich notatek — im lepszy lot, tym bardziej jest prawdopodobne, że będzie poczęte więcej niż jedno gryfiątko. A przecież o to chodzi.

Skan opadł ciężko w samym wejściu. Trudno mu było uwierzyć, że tak tajemniczy proces mógł być taki prosty.

— I to wszystko? — spytał, zbyt zdziwiony, aby czuć uniesienie.

— Tak — odparła Cinnabar, wzruszając ramionami i bezmyślnie splatając kosmyk włosów. — Reszta jest tylko wynikiem niemałego zamięłowania Urtho do teatralnych gestów. Jest prawie artystą. Większość jego notatek dotyczy tylko tego. Ostrzegam, że jeśli te wskazówki nie będą ściśle przestrzegane, wy, gryfy, pozostaniecie bezpłodne jak dotąd. — Pochyliła głowę na jedną stronę i przyglądała się Skanowi ciemnymi zamyślonymi oczami. — Zaprojektował was bardzo dobrze i sądzę, że powinniście wiedzieć, dlaczego uczynił was bezpłodnymi, dopóki nie wykonacie pewnych przygotowań. Dokładnie wyjaśnia to w swoich notatkach.

Skan czekał, aż ona sama mu powie, ale najwidoczniej Cinnabar zależało, aby zapytał.

— A zatem, dlaczego to zrobił? — zagrzemiał gryf. Znowu poczuł gniew na Urtho. — Przychodzi mi na myśl wiele powodów: mamy być wojownikami, a zbyt trudno jest siać wokół zniszczenie, gdy w gnieździe znajdują się gryfięta, o które trzeba się troszczyć.

— Masz skłonność do dramatyzowania. „Siać wokół zniszczenie?” — zadrwiła Cinnabar.

Skandranon próbował to zlekceważyć.

— Być może nie chciał nagle znaleźć się wśród samych żółtodziobów. Mogłoby to oznaczać wyczerpanie zasobów pożywienia, a głodne gryfy zostałyby zdziesiątkowane, uczestnicząc w dzikich bojach. Poza tym jesteśmy jego stworzeniami, być może chciał mieć większą kontrolę nad tym, jakie pary będą miały potomstwo.

*Ten program hodowlany. Być może chciał uzyskiwać tylko czyste „typy” bez żadnych hybryd. Hodowcy zazwyczaj nie lubią lamalli.*

— A być może chciał tylko trzymać nas w szachu i dlatego wymyślił cały ten sekret.

Gorycz, jaką poczuł, odkrywszy stan Kechary i zapisy „programu hodowlanego”, objawiła się bardziej, niż tego pragnął. — A więc, czy jestem blisko?

Cinnabar miała współczujący wyraz twarzy, a ton jej głosu złagodniał. Pochyliła się do przodu, była poważna.

— Skan, to nie był żaden z tych powodów. Powód był inny, mam go tutaj, wyrażony jego własnymi słowami. Pozwól, że ci go przeczytam. Sądzę, że poprawi ci samopoczucie.

Pochyliła się nad notatkami i przeczytała je na głos.

„Zbyt często widywałem wśród ludzi rodziców, którzy byli zbyt młodzi, zbyt chwiejni lub w jakiś inny sposób nie nadawali się do tego, by mieć dzieci. Płodzili jednak dziecko po dziecku. Nie chciałbym, aby podobne rzeczy działy się u moich gryfów. Obserwując je, a później szkoląc innych, by je obserwowali, mogę stwierdzić, które pary się kochają i są trwałe, którzy przyszli rodzice mają dość cierpliwości i rozsądku, aby mieć dzieci. W ten sposób być może moje stworzenia będą miały szczęśliwszy start w życiu niż większość otaczających je ludzi. Chociaż nie mogę być ekspertem w tych sprawach, nauczyłem się przynajmniej, jak obserwować zachowania innych, a doświadczenie może dać mi podstawę do osądzania, które pary są przygotowane na młode. Ci, którzy chcą mieć dzieci, nie mogą ich sprowadzać na ten niebezpieczny świat powodowani tylko chęcią posiadania swojej repliki, stworzenia, które mogliby kształtować i kontrolować, aby ono osiągnęło to, czego oni sami nie byli w stanie. Nie mogą kierować się potrzebą posiadania czegoś, co zaspokoi bez żadnych warunków ich pragnienie miłości. Muszą tego szukać gdzie indziej, najprawdopodobniej w samych sobie”

Cinnabar przerwała na chwilę, aby dać Skanowi czas na zrozumienie słów Urtho, a potem czytała dalej.

„Powodem zrodzenia młodych powinna być po prostu miłość i szacunek dla przyszłego dziecka oraz do świata, na który zostanie ono wydane. Jeżeli zrodzenie dziecka będzie wymagało więcej wysiłku, niż tylko zaspokojenie swej własnej chwilowej żądzy, być może będzie mniej nieszczęścia na tym świecie. Być może moje gryfy będą szczęśliwszymi stworzeniami niż ich stwórca”.

Cinnabar spojrzała na niego wyczekująco. Skan siedział, mrugając oczami i milcząc. Hałasy obozowe dochodziły bardzo odległe i jakby nie z tej rzeczywistości.

Obraz Urtho, który Skandranon miał w swym wnętrzu, uległ licznym, drastycznym przemianom w trakcie tego jednego wieczora. Ale to...

Uniesienie — i szalona radość — na nowo zaczęła w nim narastać. Prosta, nieskomplikowana radość; taka sama radość, jaką odczuwał z przyjaźni z Urtho, a którą uważał już za straconą na zawsze. *To więcej niż kiedykolwiek spodziewałem się usłyszeć. Prawdziwy powód, dobry, słuszny powód. Powód, z którym się mogę nawet zgodzić. Napisał o tym własnoręcznie, dla siebie i dla innych. Nagle cała ta tajemnica nabiera sensu. I nawet wszystkie środki ostrożności wydają się na miejscu. Błąd zawsze może się zdarzyć. Tak stało się w przypadku Zhaneel. Jej rodzice umarli, a ona została odrzucona przez innych, którzy uważali ją za wyrodka. Nie sądziłem, że Urtho myślał w ten sposób...*

— Urtho jest... mądrzejszy niż myślałem — powiedział w końcu głosem napiętym od hamowanych emocji, których po prostu nie mógł wyrazić. — Miał rację, że tak nas prowadził.

— O, śmiem powiedzieć, że wy wszyscy możecie sobie doskonale sami poradzić — rzekł Tamsin z błyskiem w oczach — To wszystko wymaga jednak znacznego wysiłku ze strony gryfów, i każda para prawdopodobnie dokładnie się zastanowi, zanim podejmie się zobowiązań.

Skandranon zacisnął mocno powieki i wziął głęboki oddech, potem zatrząsł się cały i nastroszył pióra na piersi i na grzbiecie.

— Nie ma żadnego „prawdopodobnie” w tej sprawie — odrzekł Tamsinowi i już w lepszym humorze, dodał. — Możemy okazać się tak samo leniwi jak wszystkie pozostałe rasy. Będzie więcej młodych, ale przynajmniej na początku niezbyt wiele. Z powodu jednej rzeczy związanej z wojną: niewiele jest czasu na takie wyczerpujące przygotowania.

Cinnabar uśmiechnęła się i pokiwała ze zrozumieniem głową. Tamsin westchnął.

— Przy okazji — powiedział — z notatek jasno wynika, że samiec i samica nie mogą być za grubi, jeśli chcą mieć młode, a lot godowy musi być cholernie imponujący, żeby organizm zaczął działać odpowiednio, by zapewnić płodność. Jeżeli nie dasz z siebie wszystkiego w tym locie, no cóż, trochę poćwiczysz i tyle. — Uniósł sugestywnie jedną brew.

— Czasami ćwiczenia mogą przynieść wiele korzyści — odparł Skan z godnością.

— No cóż — rzekła Lady Cinnabar z tak niewinnym wyrazem twarzy, że Skan wiedział, iż ma zamiar go ukłuć. — Słyszałam, że jesteś prawdopodobnie największym ekspertem w dziedzinie gryfich ćwiczeń, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Powinieneś więc to wiedzieć.

— Ja? — Skan usiłował wyglądać tak samo niewinnie jak ona. Nigdy nie marnował okazji, aby trochę poartować w dobrym towarzystwie. Zawsze znaleźli się chętni, którzy chcieli trochę poszydzić z tak znanej osoby jak on. A zatem,

czyż mógł odpowiedzieć inaczej? — Sądzę, że ponieważ jestem ekspertem tańca, pociągającym i uzdolnionym w akrobatyce powietrznej, więc chyba masz rację.

Ramiona Tamsina zatrzęsły się od cichego śmiechu. Cinnabar tylko się niewinnie uśmiechnęła i rozpuściła kosmyk, który przez cały czas splatała.

— Martwiłabym się o ciebie, gdybyś odpowiedział inaczej, Skan — odparła poważnie chwilę później. — W tym wszystkim bardzo łatwo zatracić siebie.

— Nie powiem, że czuję się jak piórko na wietrze, moja pani. Ale muszę sobie radzić takim, jakim jestem. A ponieważ jestem pociągający, moim obowiązkiem jest zapewnić was, że nie jestem przeciążony.

— Jestem wam winien gorące podziękowania, moi przyjaciele — dodał szybko, zmieniając temat, zanim Cinnabar zdołała go zapytać, dla kogo jest taki pociągający. — Nie mógłbym tego wszystkiego dokonać sam. I prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni możecie słyszeć o czymś, czego Czarny Gryf nie mógł dokonać sam.

— Rzeczywiście! — Tamsin uniósł brwi — Wasza Wysokość, cóż za niezwykle wyznanie. Mieliśmy zamiar prosić cię o wszystkie twoje dobra jako zapłatę, ale to wyznanie jest większą rzadkością niż...

Cinnabar szturchnęła ostro swego kochanka.

— Głupi, on mówi poważnie — skarciła go. — To znaczy jeśli chodzi o podziękowania.

— Jestem wam tak wdzięczny, że nie wiem, jak wam wynagrodzić — powiedział łagodnie Skan. — Nie tylko ja wam wiele zawdzięczam, ale my wszyscy.

Cinnabar tylko pokręciła głową.

— Nie myśl o tym jako o długu wobec kogokolwiek — odparła z czułością w głosie. — Pomyśl o tym po prostu jako o darze od przyjaciół. Być może największym darze, jaki kiedykolwiek mogliśmy ci ofiarować, i był to dla nas prawdziwy przywilej, a nie ciężar.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie miał pojęcia, że myślała o tym w ten sposób. Oczywiście wiedział, że są jego przyjaciółmi, ale nigdy nie uświadamiał sobie, jak wiele to słowo oznacza.

— Dlaczego? — zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

Cinnabar zamyśliła się na moment.

— Myślę, że Tamsin, Bursztynowy Żuraw i ja bardziej podziwiamy twój lud, niż sądzisz. To samo dotyczy prawie wszystkich trondi'irn. Nie można myśleć o gryfach i ich nie podziwiać; jest w was tyle dobrego.

Skan pochylił głowę, rozdarty między zadowoleniem a zakłopotaniem. Jedną rzeczą było przechwalać się na temat gryfów w ogólności, a na swój temat w szczególności, inną zaś słuchać wylewnych pochwał z ust lady Cinnabar, która przemierzyła świat wzdłuż i wszerz, przebywała na najlepszych dworach i rzadko cokolwiek czy kogokolwiek chwaliła.

— A jednak jesteś dość niezdolny — ciągnęła, a w jej oczach pojawiły się figlarne ogniki. — A pokażna liczba równie niezdolnych piskląt to dokładnie to, na co zasługujesz. Mam nadzieję, że to cię nauczy prawdziwej pokory!

Skan prychnął i wyprostował się tak, że grzebieniem dotykał sufitu namiotu.

— Rzeczywiście! — odparł. — Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko będziecie tak mili i nauczycie mnie tego waszego „prostego uzdrawiającego zaklęcia”, oraz powiecie, jakie zioła są do tego potrzebne. Wtedy zacznę rozpuszczać tę informację wśród reszty gryfów.

— Wszystko przygotowane, mój przyjacielu. — Tamsin podsunął mu kartkę papieru zapisaną kaligraficznym pismem. — Zapamiętaj to i przestrzegaj dokładnie, a radość ojcostwa będzie należeć do ciebie! I do każdego gryfa, którego zamierzasz skazać na pieluchy oraz nieustanne odpowiadanie na pytanie „Dlaczegooo?”

Skan wziął od niego kartkę i szybko przelał jej zawartość do swej pamięci. Gdy tylko skończył czytać, schował kartkę do torebki na szyi.

— Mieliście już jakieś wiadomości od magów? — zapytał.

Pokręcili przecząco głowami.

— Nie zasnę, dopóki się czegoś nie dowiem — rzekł Tamsin z całą powagą. — Sprawa magów najprawdopodobniej dotyczy także was i innych nieludzi.

— Wiem. — Skan przez moment dotknął językiem końca dzioba. — No cóż, mamy rozsądny pomysł. Może poczekamy trochę na Vikterena? Będzie chciał wiedzieć, co działo się z nami tak samo, jak my chcemy wiedzieć, czego on dokonał.

Tamsin wstał i podał rękę Cinnabar.

— Chodźmy zatem zacząć się na tego człowieka.

Znaleźli zmęczonego Vikterena na ścieżce w połowie drogi między Wieżą a Wzgórzem Uzdrawiciela. Właśnie ich szukał. W końcu okazało się, że rezolucja nie miała wiele wspólnego z rezolucją. Vikteren po spotkaniu był wykończony i niewiele zdołał z siebie wykrztusić.

— No cóż, doszliśmy do czegoś w rodzaju rozwiązania. Nikogo to w zupełności nie zadowoliło, a więc jak przypuszczam, musiał to być dobry kompromis.

To wystarczyło Tamsinowi i Cinnabar, szczególnie że Cinnabar była pewna, iż usłyszy o wszystkim od samego Urtho. Skanowi jednak to nie wystarczyło.

Młody mag obiecał Skanowi, że udzieli mu szczegółowego wyjaśnienia, gdy tylko trochę odpocznie. Umówili się na następny dzień.

Szli w kierunku toru przeszkód Zhaneel. Vikteren powiedział trochę więcej na temat tego, co okazało się najbardziej anarchistycznym spotkaniem, jakie wyda-

rzyło się w szeregach Urtho.

— Było wiele narzekania, jęczenia, gadania, ale można to równie dobrze przedstawić w kilku zdaniach. Żaliliśmy się i lamentowaliśmy, padały nazwiska, było wytykanie palcami. Na tym upłynęła większość nocy. Urtho powiedział, że magowie nie znają się na strategii, a więc nie mają żadnego prawa, by ją narzucać. Zgodził się jednak, że w pewnych punktach mamy rację, a niektórzy działają tak, jak gdyby oddziały były przeznaczone na stracenie i że on sam się tym zajmie. Dopóki nie rozwiąże tego problemu, magowie mają wykonywać swoje zadania i składać meldunki bezpośrednio adeptowi Kaled'a'in — Śnieżnej Gwieździe, który z kolei będzie podlegał jemu. Na tym zebranie się skończyło. — Vikteren wzruszył ramionami. — Śnieżna Gwiazda nie był do końca ucieszony ze swej nowej funkcji, ale jest on najbardziej zorganizowanym adeptem obok Urtho, jakiego znam, toteż sędzę, że wybór był logiczny. Ma on liczny personel do robienia notatek i tuzin ptakówpośląńców. Magowie narzekali, że tak niewiele zdziałaliśmy, ale generałowie także narzekali, że musieli zrezygnować z jakiejś części swojej władzą a więc przypuszczam, że trochę posunęliśmy się naprzód.

— Też tak uważam.

Usiedli na niewielkim ocienionym wzniesieniu. Skan przyszedł tu znowu, by obserwować Zhaneel, ale Vikteren tym razem nie uczestniczył w treningu. Zhaneel nadzorowała inne gryfy na torze przeszkód. Vikteren nie mógł pomagać jej czy innym gryfom w czymś, co nadal było nieoficjalnym szkoleniem.

Oczywiście, zgodnie z plotkami, miało się to wkrótce zmienić. Trener Shire zabiegał o to i miał pewne poparcie wśród części magów, którzy widzieli tu wspaniałe miejsce do szkolenia uczniów w magii bojowej. Dopóki jednak to szkolenie nie stanie się oficjalne, możliwości Vikterena były bardzo ograniczone.

Nikt z nich nie wiedział, co zaszło podczas „krótkiej pogawędki” Zhaneel z Zimową Łanią, poza faktem, że gryfica okazała się bardziej pewna siebie. Zdradziła jedynie Aubriemu, iż „punkt widzenia” trondi'irn Zimowej Łani jest wart rozważenia. Wydawało się, że tym „punktem widzenia” było to, iż naśladują ją także gryfy, które nie nadają się do jej stylu walki atakunik. Zatem ona i trener Shire powinni je selekcjonować, aby nie zrobiły sobie krzywdy. Zhaneel została obdarzona teraz pewną władzą, co było dla niej nowym doświadczeniem.

Wydawało się jednak, że to bardzo dobrze na nią wpływało, przynajmniej według osądu Skana. Zauważył, że zaszło w niej wiele korzystnych zmian. Chodziła, stała, a nawet latała z większą pewnością siebie i energią. Patrzyła innym prosto w oczy, nawet ludziom, do których wcześniej odnosiła się z niezwykłą pokorą. Jej pióra były ufryzowane, pięknie wymuskane, a upierzenie błyszczało zdrowiem.

Krótko mówiąc, była najbardziej pociągającym stworzeniem, na którym spoczął jego wzrok w ciągu całego życia. Jednakże nie był on jedynym gryfem, który doszedł do takiego wniosku.

Nie umknęło jego uwadze, że inne samce, ilekroć Zhaneel na nie spojrzała,

prężyły się i przybierały dumne pozy. Było także widać, że ona wyraźnie jest świadoma ich zainteresowania.

Wystarczało to, by zgrzytał dziobem z przygnębienia.

Traktowała ich wszystkich z jednakową obojętnością, co stanowiło pewne pocieszenie. Nie zwracała jednak najmniejszej uwagi również i na niego. A to niestety nie było żadnym pocieszeniem. W końcu doskonale się wyróżniał, siedząc na otwartej przestrzeni. Zawsze rzucał się w oczy na tle innych gryfów, zwłaszcza w świetle dziennym. Z pewnością go widziała. Czyżby już zapomniała, jak ją obronił przed Zimową Łanią?

— Jak ci idzie z przekazywaniem twego małego sekretu? — spytał Vikteren, leniwie splatając łodygi traw w warkocz.

— Sam się przekazuje — odparł Skan, obserwując, jak Zhaneel pokazuje beczkę i zastanawiając się, czy jego biedne ciało i kości są na tyle zdrowe, aby mógł przyłączyć się do grona jej uczniów. Jego umiejętności taneczne z pewnością pomogłyby mu stać się wśród nich gwiazdą. Co się stało z tym nieśmiałym, małym gryfsokołem, który wzbudził w nim tyle instynktu opiekuńczego? Instynkt, który teraz w nim budziła, nie był wcale opiekuńczy!

— Przekazałem sekret ośmiu dowódcom dywizjonów i ich towarzyszkom. Każdy z nich przekazał kolejnym czterem gryfom, i tak dalej. Jak powiedział Tamsin, to absurdalnie prosta rzecz, gdy już się pojmie, jak wiele w tym wszystkim mistyfikacji. Spodziewam się, że w ciągu trzech dni każdy tutejszy gryf pozna ten sekret.

*Dotyczy to także Zhaneel. Ale tę informację chciałbym jej przekazać osobiście. Muszę wymyślić sposób, aby znaleźć się z nią sam na sam. Muszę jej powiedzieć, kim ona naprawdę jest.*

— Czy ktoś zapytał, w jaki sposób zdobyłeś tę informację? — Młody mag spojrział na niego z boku. — A może udawałeś głupiego?

Skan zaśmiał się i unióśł swoje czuby na uszach.

— Rzadko muszę udawać głupka! Gdyby jednak ktoś o to zapytał, to mam pół tuzina różnych opowieści. Żadna z nich nie jest prawdziwa, ale wszystkie są wiarygodne. Informacja jest dla nas wszystkich tak ważna, że nikt nie ma zamiaru dochodzić, skąd się wzięła, jeśli będzie przynosiła efekty. Nie wierzę też, iżby znalazł się choć jeden gryf, który powiedziałby swemu hertasi, że jest wtajemniczony w ten sekret. Przynajmniej nie za szybko. Nikt nie chce, aby Urtho dowiedział się, że jesteśmy w jego posiadaniu. Sam mu to powiem, kiedy będę gotów.

Vikteren unióśł brwi.

— Chcesz zostać ofiarą? Zanieść mu na ochotnika złe wieści i zostać przykutym do ściany w jego gabinecie?

Nozdrza Skandranona poczerwieniały. Wolałby tego nie słuchać.

— Urtho jest moim przyjacielem. I zły czy dobry, ale to był mój pomysł,

aby wykraść ten sekret. A więc to ja powinienem stawić czoło Urtho, a nie jakiś posłaniec. Wszystkie gryfy są zgodne, że to ja muszę mu o tym powiedzieć, iż już nie ma kontroli nad naszą prokreacją. Uważają, że ja najlepiej to wyrażę, nie wywołując u niego negatywnej reakcji.

— To znaczy uważają, że nie będzie miał ochoty pozbawić cię części skóry, jak mógłby zrobić z innym gryfem? — zauważył Vikteren. — I mają prawdopodobnie rację.

— Mam taką nadzieję — wymruczał Skan. — Mam nadzieję.

*Czy Zhaneel dowie się, od kogo pochodzi wiadomość, gdy już do niej dotrze? Westchnął. Chciałbym mieć odwagę sam jej o tym powiedzieć. . .*

Bursztynowy Żuraw postanowił spotykać się z Zhaneel chociaż przez kilka chwil dziennie, aby porozmawiać. Ten wieczór nie był wyjątkiem, ale tym razem dla odmiany miał sporo czasu wolnego. Bardzo dobrze: mimo że zyskała pewność siebie, straciła nieco piór, a poza tym musiał wyskubać wrastające lotki. Nie robił tego dla żadnego gryfa oprócz Skana od czasu, gdy był uczniem i malarzem piór. To proste zadanie jakoś dziwnie uspokajało. Twarde pióra pokrywowe i miękki puch pod jego dłońmi, uderzenia jej serca pod ciemnoczerwoną skórą i niewiarygodne ciepło, jakie wytwarza ciało gryfa, zawsze dodawało mu energii.

— On znowu tam był dzisiaj — odezwała się Zhaneel do Bursztynowego Żurawia, kiedy czyścił jej swędzące pióra. — Widziałam go. Wyglądał na wychudzonego.

Bursztynowy Żuraw nie musiał pytać, o kogo chodzi. Uśmiechnął się namyśl o potężnym Skandranonie obserwującym Zhaneel z daleka jak zakochany młodziak.

— Bo jest wychudzony — odparł. — Po części dlatego, że dopiero wraca do zdrowia. Nie pozwoliliśmy mu ćwiczyć tyle, ile on by chciał. Po kontuzjach zawsze przesadza z treningiem. Ale sądzę, że mógłby wziąć udział w jednych z twych zajęć. Chcesz, abym sprawdził, czy jest tym zainteresowany?

*Zainteresowany? Prawdopodobnie zmiotłby każdego, kto stanąłby mu na drodze do celu!*

— Och. . . — nozdrza Zhaneel pobladły. — Ja. . . on. . .

— Nie pozwól, aby cię onieśmielił, moja droga — powiedział ostro Bursztynowy Żuraw. — On jest tylko gryfem, takim jak każdy inny. Tak, jest piękny, ale obok swych zalet ma wiele wad. Jesteś ekspertem w swojej nowej taktyce. A on nie. — Żuraw poklepał ją figlarnie po dziobie. — Co więcej, jeśli jesteś nim zainteresowana, nie okazuj mu tego. Ma wokół siebie mnóstwo samic, narzucających mu się przez cały czas. Musisz mu pokazać, że jesteś inna niż one. Udawaj, że myślisz o nim z podziwem za to, czego dokonał, ale nic więcej.

— No, nie wiem. . . — spojrzała na niego z powątpiewaniem sponad swego



ramienia. — Nie wiem, czy będę w stanie to zrobić. On jest Skandranonem. Jakże mogę nie pokazać...?

Jej zarumienione nozdrza zdradzały zakłopotanie.

— Dlaczego nie? — odparł. — Zhaneel, przecież jesteś tak samo dobra jak on. Wiesz o tym. Trener Shire i ja powtarzamy ci to codziennie, prawda?

— Taaak — odparła powoli.

— A więc bądź sobą. Nie jest to aż takie trudne, jak myślisz, Czyż przy mnie nie jesteś zawsze sobą? Okaż mu szacunek, a co do reszty każ mu się domyślić. — Bursztynowy Żuraw ostrożnie oskubał łuskę ze świeżo wyłaniającego się pióra na skrzydle. — Próbuj myśleć o nim w taki sam sposób, jak myślisz o tych wszystkich adorujących cię gryfach, popisujących się przed tobą na twoim torze przeszkód. Żadnego z nich nie traktujesz w sposób wyjątkowy.

Zamrugwała zdumiona. Kestra'chern westchnął. Lekcje z zakresu gier miłosnych nigdy nie są łatwe. Dla Zhaneel był to temat całkowicie nowy, ale wydawało się, że co nieco do niej dotarło.

— Przepiórka, która ci ucieka, jest zawsze bardziej tłusta niż ta, którą złapałeś — zauważyła. — Spróbuję, jeśli twierdzisz, że to zadziała.

— Przypuszczam, że tak, bo nikt wcześniej nie rozgrywał tej szczególnej zabawy ze Skanem — odrzekł z rozbawieniem Bursztynowy Żuraw. — A co więcej, myślę, że dobrze mu robi, gdy zrozumie, że nie może mieć każdej pięknej damy, której zapragnie. Zdziwi się, że jest jedna odporna na jego wdzięki.

Szczotkował pióra Zhaneel lekko naoliwioną szczotką, zbierając jednocześnie łuszczące się drobiny, jak i nabłyszczając same pióra.

— No, proszę — powiedział, robiąc krok do tyłu. — Wyglądasz cudownie. Lśniąca, silna, mądra, gotowa na wszystko.

Zhaneel pochyliła głowę zakłopotana.

— Czy na każdego?

Położył rękę pod jej dziób i unióśł go do góry.

— Mówię ci, jesteś godna każdego gryfa, jaki kiedykolwiek istniał. — Pokiwał głową z aprobatą, kiedy jeszcze wyżej uniosła głowę. — Nigdy o tym nie zapominaj, a także o tym, kto ci to powiedział. Ja jestem kestra'chern. Ja się na tym znam.

— Spróbuję — przyrzekła uroczyście.

— To dobrze. — Bursztynowy Żuraw rzucił szczotkę na stos rzeczy, które Gesten miał posortować i wyprać, odchylił klapy namiotu i dał jej znać, by szła za nim. — Czy zechciałaby pani przejść się ze mną na spacer? Mam akurat czas, jeśli byłaby pani gotowa.

Ona jednak pokręciła głową.

— Z przyjemnością bym się przeszła, ale naprawdę muszę już iść. Rano mam zadanie do wykonania. — Promieniowała dumą. — Prawdziwe zadanie. A nie jakaś fikcyjna robota dla wyrodka.

Poczuł ciężar na sercu. Tak łatwo było dotąd myśleć o tych jej ćwiczeniach jako jedynie o grach, i zapomnieć, że mają one na celu przysposobić ją do walki. Można było udawać, że ona nigdy nie poleci tam, gdzie tak wielu zginęło.

— Daleko? — spytał, próbując nie zdradzić swego lęku. Nie było powodu, by lękać się o nią bardziej niż o jakiegokolwiek innego gryfa. Przeciwnie. Makaanie nie mogły przewidzieć jej ruchów, tak jak przewidywały ruchy gryfów szkolonych konwencjonalnie. Czyż właśnie nie na tym polegał sukces Skana, że makaary nie były w stanie przewidzieć, co zrobi za chwilę?

Mimo to ogarnął go chłód, który znał aż za dobrze.

*Lecz to, co zapewniało mu sukces, sprawiało, że stawał się jednocześnie celem ataków. Usuń go, a zrobisz, potworną wyrwę w wśród wszystkich gryfów, ponieważ stają się wówczas bardziej przewidywalne.*

I znowu ktoś, kogo znał i o kogo się troszczył, miał odejść, zmieniając się w obiekt, który mógł zaatakować wróg i...

To była wojna, choć wolałby o tym fakcie zapomnieć. Obowiązkiem Zhaneel było wypełniać rozkazy, bez względu na to, dokąd by ją zawiodły. Obowiązkiem, dla którego się urodziła i została wychowana.

A ona była tak zadowolona, tak szczęśliwa z powodu tego zadania, tak bardzo dumna, że jej je powierzono. Czy w tej sytuacji miał prawo wszystko zepsuć swoimi lękami i obawami?

Oczywiście, że nie miał prawa. A więc jak zawsze próbował zlekceważyć fakt, że jego wnętrze zmieniły się w bryłę lodu. Uśmiechnął się, pochwalił ją, tak jak zawsze uśmiechał się i chwalił każdego wojownika, którego wysyłał na wojnę. I pomimo niepokoju, jaki odczuwał, wierzył w każde swoje słowo.

Na tym polegał jego obowiązek. *Dodawaj im pewności, uspokajaj ich. Sprawiaj, aby zapominali o przeszłości, jeżeli powinni to zrobić, i przypominaj im powody, dla których muszą walczyć. Pokaż im, że oprócz walki mają jeszcze życie, którego warto bronić.*

— Jest to misja wysokiego lotu — ciągnęła Zhaneel, szczęśliwie nieświadoma tego, że jego serce zamiera z bólu. — Do miejsca, gdzie Skandranon znalazł jedną z tych pałeczek. Mam tam dostarczyć wynalazek Urtho, który ma je unieszkodliwić i wskazać drogę innym gryfom. Reszta Szóstego Wschodniego Dywizjonu ma zasypać wroga puszkami dymnymi. Wówczas pod osłoną dymu wkroczą wojownicy.

A więc znajdzie się ponad głównym poziomem walki, przypuszczalnie poza zasięgiem broni naziemnej. Ale co z makaarami?

*Musiałyby najpierw pokonać Szósty Dywizjon, aby się do niej dostać — uświadomił sobie. Będzie transportowała jedną z magicznych skrzynek Urtho, która sprawi, że nie utraci sił. Ona ją ochroni.*

*Jeśli będzie mogła. Jeśli makaary się nie przebiją. Jeśli magia naprawdę zadziała wobec tych różdżekbłyskawic.*

Jeśli, jeśli, jeśli. Kto dowodzi tą misją? Jeżeli generał Shaiknam, wówczas — mimo że miała transportować to cenne magiczne arcydzieło — wkalkulowano w koszta operacji jej śmierć. Dlatego, że była gryfem.

— Zaplanował to Urtho — kontynuowała Zhaneel, likwidując w ten sposób niektóre z jego nie wypowiedzianych obaw. — On dowodzi misją, a generał Sulma Farle jest dowódcą polowym. Ja mam dostarczyć tę magiczną rzecz, gdyż tylko ja mam prawdziwe dłonie, które mogą ją uruchomić. Urtho mówi, że jeśli byłaby ona uruchomiona zbyt wcześnie, nie zadziałałaby.

— Leć więc wysoko i daleko, wojowniku - powiedział Bursztynowy Żuraw, klepiąc ją po ramieniu z doskonale udawaną pewnością. — Gdy wrócicie, będę miał świeżą rybę, aby uczcić zwycięstwo.

Małe pęczki na uszach Zhaneel uniosły się.

— Świeżą rybę? — spytała, klekocząc dziobem na samą myśl o tym. — Naprawdę? — Uwielbiała świeże ryby, to znaczy jeszcze żywe, ruszające się, gdy je przetykała. Skąd jej się wziął ten specyficzny smak? Bursztynowy Żuraw nie miał pojęcia. Większość gryfów wolała surowe czerwone mięso, i żaden oprócz niej nie gustował w rybach, a na dodatek — jeszcze żywych.

*Może ma w sobie coś z rybolowa. Albo może niektóre orły lubią ryby. A może lubi je tylko dlatego, że taka jest po prostu Zhaneel.*

— Naprawdę — obiecał. — Zwycięska uczta wśród przyjaciół, chociaż moja ryba będzie dobrze usmażona.

Zhaneel zasyczała lekko z niesmakiem, aby go podrażnić, ale chętnie przystała na propozycję.

Żuraw nie powiedział jej jednak tego, że zwycięska kolacja nie miała być dla dwojga, ale dla czworga. Dla Zhaneel, dla niego, Gestena... i Skandranona. Nie powiedział o tym również i Skanowi. Powinno być zabawnie. Przy odrobinie szczęścia wszystko skończy się dobrze.

*Oby tylko wyszła z tego cało* — pomyślał, patrząc, jak odchodzi spać na swoją grzędę. *Oby tylko wyszła z tego cało...*

Zhaneel trzymała cenną skrzynkę swoimi przednimi szponami, chociaż była ona zupełnie bezpiecznie przymocowana do jej misternej uprząży klamrami i taśmami, tak aby nie przeszkadzała w locie. Rozkazy od Urtho były bardzo szczegółowe i równie specyficzne. Musiała wznieść się bardzo wysoko, znacznie wyżej od reszty Szóstego Dywizjonu, następnie zanurkować najbardziej stromo, jak mogła, potem obniżyć się na wysokość wierzchołków drzew, przelatując szybko nad głowami oddziałów Ma'ara i pociągnąć za uchwyt, który otworzy spód skrzynki.

Szpieg miał stwierdzić, czy różdkibłyskawice zostały rozdane wojownikom. Zanim wyleciała, Urtho powiedział jej — Urtho osobiście! — iż rzecz w skrzynce była czymś podobnym do latarni. Jej „światło” sprawi, że różdkibłyskawice

staną się bezużyteczne, gdy tylko je osiągnie. Miała zrobić kilka okrążeń aby się upewnić, że zniszczyła większość różdżekbłyskawic. Chciał, aby za każdym razem pikowała bardzo szybko — tak szybko, aby nikt nie zdążył użyć wobec niej swej broni i aby żaden makear jej nie dogonił. Ma spadać z góry jak sokół wędrowny na stado kaczek albo jak kobuz polujący na gołębie.

Będzie potrzeba kilku okrążeń, aby się upewnić, że większość różdżekbłyskawic została wyeliminowana. Skrzynka nie działała poza pewnym zasięgiem i nawet Urtho nie był pewien, jak wiele okrążeń potrzeba, aby je zneutralizować. Zależało to od tego, jak blisko siebie będą znajdowały się oddziały i czy magowie Ma'ara rozciągnęli tarcze ochronne na same różdżki czy na tych, którzy je niosą.

*Najprawdopodobniej na same różdżki. Ma'ar nie troszczyłby się o to, czy ludzie przeżyją — Liczyły się dla niego tylko różdżki.*

Skrzynka miała zadziałać pomimo tarczy ochronnej. Urtho był tego pewien. Ostrzegł ją, aby nie używała żadnych czarów, jeśli takie znała, gdyż skrzynka była rzeczą, która likwidowała działanie magii. Likwidowała zarówno tarcze ochronne, jak i moc uwięzioną w różdżkach. Problem polegał na tym, że nie mógł on przewidzieć skutku zlikwidowania obu czarów w tym samym czasie. Wykorzystał jedyny egzemplarz różdżki, jaki posiadali, aby sprawdzić, czy skrzynka działa w rozsądnej odległości. Zhaneel widziała efekt tego — niewielki. Mały błysk i to było wszystko.

Ale równie dobrze mogło być dwadzieścia rodzajów tarcz ochronnych — jak powiedział Urtho — a oddziały mogły być chronione przez zapory ochronne, deflektory mocy, nośniki bólu lub pola wstrząsowe. Złożonego działania trzech czarów nie można przewidzieć, nie wiedząc, jakiego rodzaju pola ochronnego Ma'ar użyje.

*Cokolwiek to jest, nie sądzę, aby nas dosięgło, chyba że rozpęta wiatry. To możliwe. Muszę się na to przygotować. Albo wielkie światło, które może nas oślepić. O tym również muszę pomyśleć.*

Zbliżali się do celu. Zhaneel dała sygnał i uniosła się ponad chmury, tak wysoko, że pozostałe gryfy z jej dywizjonu stały się zaledwie rzędkiem kropek, nawet dla jej niezwykłych oczu. Wstęga chmur przesunęła się między nimi a nią. Słońce ponad jej głową przypalało jej rozpostarte skrzydła i grzbiet, a wiatr ostro ciał ją po nozdrzach, podbrzuszu i przednich nogach.

Cenna skrzynka osłaniała jej pierś przed wiatrem, ale lodowate prądy mroziły jej gardło i powietrze ogrzewało się dopiero, gdy dochodziło do płuc. Czy jest już dość wysoko? Powietrze tutaj było bardzo rzadkie. Jej płuca i skrzydła płuły od wysiłku utrzymywania się w górze.

Niedługo spadnie na nich jak grom z jasnego nieba. Zbliżyli się do swojego obiektu, Laisfaar za Przełęczą Stelvi. Zhaneel nie widziała tego miasta, gdy znajdowało się ono w rękach Urtho. Powiedziano jej jednak, że napastnicy dokonali straszliwych spustoszeń.

*Wszędzie, gdzie szli, dokonywali straszliwych spustoszeń. Dlaczego tutaj mieliby postąpić inaczej?*

Były tam też gryfy. No cóż, dobrze wiedziała, co wojska Ma'ara robią z gryfami. Z pewnością postąpili podobnie z jej własnymi rodzicami...

Był to wystarczający powód, aby nienawidzić znajdujące się pod nią stwory. Wystarczający powód, aby chcieć, żeby to, co miała z sobą, zrobiło im krzywdę. Nadszedł odpowiedni czas. Pomału zaczęła odchyłać skrzydła do tyłu.

Tam! Tam była Przełęcz, a na jej dnie oddziały Ma'ara, przesuwająca się plama na ziemi pod jej kolegami z oddziału. Czarne makaary unoszące się ze swych grzęd do góry, roje diabłów. Uniosły się jak kąśliwe muchy, aby atakować zbliżające się wojska, ściągać gryfy na ziemię, gdzie ludzie mogli je łapać w okrutne drucziane sieci i kłuć za pomocą straszliwych dzid.

*Ludzie poniżej. Mają różdkibłyskawice.*

Złożyła skrzydła i spadała jak kamień z nieba, zaciskając przednie szpony na cennej broni, którą powierzył jej Mag Ciszy.

Szybciej, coraz szybciej. Kiedy nurkowała, napierał na nią prąd powietrza, a ziemia rosła w jej oczach, jakby chciała ją połknąć. Zmrużyła oczy i trzymała skrzydła ciasno przyciśnięte do ciała. Sterowała drobnymi ruchami lotek, ruchem ogona czy nawet pazura prostowanego na ułamek sekundy. Pozostałe gryfy nie były w stanie jej dostrzec. To ona musiała na nie uważać. Musiała je omijać, kiedy pikowała przez środek ich oddziału. Wymagało to dokładnej koordynacji i opanowania.

Ale nie na darmo wykonywała na swoim torze taniec szybkości i zręczności przeciwko domniemanym wrogom. Nawet gdyby makaar zbliżył się do pierwszych gryfów, ona niczym strzała przemknęłaby niepowstrzymana obok makaara albo gryfa.

Ziemia pędziła ku niej.

*Teraz!*

Zhaneel wyciągnęła szyję i rozpostarła skrzydła, czując, jak wibrują, jakby same góry ściągały ją ku ziemi. Na wysokości wierzchołków drzew zmieniła kąt, na tyle, by wyjść z nurkowania. Nadal jednak spadała tak samo szybko, jak na początku, a jej przednie szpony napięły się, otwierając dźwignię w magicznej skrzynce Urtho. Ślizgała się nad głowami wojowników, którzy byli jedynie zadarzonymi, obracającymi się głowami, z otwartymi ustami, zamieniającymi się w plamę. Kurs prowadził ją prosto na klif i niezłomnie ku niemu zmierzała. Nie wydaje się, aby ci żołnierze mieli magiczne różdżki, ale ci, którzy byli między tym obszarem a klifem, mogli je posiadać...

Wybuch — nie, nie światła, ale właśnie ognia — poraził ją z dołu, wstrząsając nią i sprawiając, że musiała zmienić kierunek i zwolnić. Co to było? Czyżby Ma'ar użył przeciw niej jakiejś nowej broni?

Nie namyślając się wiele, przerwała lot, zamknęła skrzynkę i wystrzeliła

w niebo. Rozpościerając skrzydła, wściekle wiosłowała, by dotrzeć do swej poprzedniej pozycji ponad chmurami.

Dopiero znalazłszy się tam, spojrzała w dół, w miejsce, skąd dobywał się ogień.

Ziemia była usłana zwęglonymi ciałami. Większość z nich nadal płonęła i nie ruszała się. Znajdujące się w pobliżu oddziały próbowały ratować się ucieczką.

Z wolna wszystko stało się jasne. Tak jak myśleliśmy, *Ma'ar ostonił swą nową broń. Urtho powiedzieli, że nie potrafi określić, jaki skutek może wywalać skasowanie dwóch czarów jednocześnie... być może tarcza jest na tyle silna, że nie przepuszcza mocy różdżekbłyskawic i zamienia je w kule ogniste.*

Dzika radość wypełniła jej serce, kiedy uświadomiła sobie jakie spustoszenie wywołała wśród swych nieprzyjaciół. Znowu złożyła skrzydła.

Tym razem zauważyli jej przylot. Wskazywali na nią, starając się za wszelką cenę przed nią ująć. Wiedziała, co dzieje się w ich umysłach. Sądziła, że ogień wydobyl się z niesionej przez nią skrzynki, a nie z broni, którą sami trzymali w rękach. Zhaneel szybko poznała zasięg oddziaływania „światła”, ścigając uciekających, unosząc się w niebo tylko po to, by znowu na nich spaść. Zostawiała za sobą ogień, śmierć i przerażenie.

Dyszała z żądz i podniecenia, a krew śpiewała w jej żyłach. Makaany próbowały ją powstrzymać, ale była dla nich niedościgła: gdy któryś podleciał zbyt blisko, uderzała tylnymi nogami. Spadając, dostawały się w szpony innych gryfów. Część makaarów próbowała wzlecieć ponad nią, jednak zimne i rzadkie powietrze sprowadzało je z powrotem na dół.

Zhaneel wciąż ponawiała swoje wypadki, a jej przeloty znaczył na ziemi pomarańczowy rozbłysk i rozkwitające płomienie. Towarzyszące jej gryfy podążały za śledzącymi ją makaarami. W końcu jednak eksplozje ustały, a makaary pokazały ogon i uciekły. Ich liczba stopniała więcej niż o połowę.

Instynkt Zhaneel domagał się, aby rzuciła się za nimi w pościg. Pamiętała jednak o rozkazach i zwalczyła w sobie ten impuls, unosząc się wraz ze swym ładunkiem wysoko w chmury. Nadszedł dla niej moment odwrotu, a dla Szóstego Dywizjonu moment chwały. Nastąpiła właściwa chwila, aby inne gryfy odwiązały pojemniki od swojej uprząży i spuściły je na dół. W ten sposób na dole powstały chmury duszącego dymu, mające zmylić wroga. Kilku magów Ma'ara próbowało zlikwidować „magiczny atak” skrzynki Urtho, nie wiedząc, że ona właśnie likwiduje wszystkie czary, jakie na nią są rzucone. Sądziła, że również dym był magiczny i tracili cenny czas, usiłując zniszczyć „iluzję” i czar dymu. Zanim zrozumieli, że był to prawdziwy dym, i wezwali wiatry, aby go rozwiały, było już za późno.

Zhaneel nie mogła zobaczyć rezultatu swej akcji. Rozkazy Urtho były jednoznaczne. *Kiedy już żaden wojownik nie będzie niósł różdżekbłyskawicy, wracaj do domu.*

Być może Skandranon zlekceważyłby taki rozkaz i walczył z makaarami. Jed-

nak Zhaneel, osiągnąwszy znów swą wysokość stłumiła w sobie podniecenie oraz żądę walki. Poczuli się zmęczona i była gotowa usiąść na grzędzie, gdy tylko nadarzy się okazja. Pomimo przygotowań na torze, bolały ją skrzydła od trzymania ich nieruchomo podczas bezustannego nurkowania. Jej kark i plecy były straszliwie napięte. Tęskniła za jakimś wysokim szczytem, gdzie mogłaby choć przez chwilę odpocząć...

*Nie ma mowy teraz o żadnym odpoczynku. Nie wiadomo, czy ktoś mnie nie śledzi, a jeden gryf z magicznym pudełkiem to nic dla Ma'ara czy innego Wielkiego Maga! A on z pewnością będzie chciał cię dopaść, mała gryfiko, za to, że zniszczyłaś jego ukochane różdżki błyskawice i zraniłaś jego żołnierzy. Leć szybko, Zhaneel! Jeżeli będziesz miała szczęście, nie zdoła cię wysledzić!*

Strach, którego nie czuła podniecona walką, wczepił się zimnymi pazurami w jej serce, i dodał jej skrzydłom nowej siły. Jak daleko sięga czar Ma'ara? Czy wie, że wystarczy mu odnaleźć tego jednego gryfa? Czy będzie szukał wysoko, czy może pośród innych gryfów?

*Nie wiadomo, Zhaneel. Jedynym sposobem, by uciec, jest lecieć z powrotem do Urtho i jego tarcz ochronnych, jego magów!*

Biła skrzydłami, wypluwając prawie płuca. Co chwile spoglądała za siebie.

Nad polem bitwy urósł gęsty i biały dym, przysłaniając wszystko z tyłu. Pod osłoną tego dymu piesi wojownicy Urtho przechodzili przez Bramę, aby odbić Przełęcz Stelvi.

A za nią, pod nią, tuż ponad obłokami dymu znajdowały się maleńkie kropki, brązowożłote, niebieskoszare i białe. Gryfy Szóstego Dywizjonu, w przepisowym szyku, zawróciły, by lecieć za nią do domu, gdyż także one skończyły swoją robotę.

Ma'ar miał teraz o wiele więcej na głowie niż przejmowanie się jednym małym szarym gryfem, szybko odlatującym do twierdzy jego wroga.

Urtho wysłał wystarczającą liczbę oddziałów, by odbiły Przełęcz Stelvi, nie przewidując niszczycielskich eksplozji wywołanych przez Zhaneel. Teraz wojownicy z Szóstego spotkają się z rozbitym i przerażonym wrogiem, zdezorientowanym dymem.

Jej lęk odpłynął. Zwolniła, aby jej koledzy mogli ją dogonić. Tak, Ma'ar miał teraz wiele spraw na głowie. Nie będzie tracił czasu, aby ścigać ją czarami. Jej zadanie skończyło się. Ale odbijanie Laisfaar dopiero się zaczęło. Ona i inne gryfy poznają wynik bitwy, gdy wszystko się skończy. Jednak ich szansę były duże, tym razem mieli przewagę.

*Na razie to musi wystarczyć.*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zimowa Łania zatrzymała się przed namiotem Bursztynowego Żurawia, mrużąc oczy od słońca. Bursztynowy Żuraw położył rękę na jej ramieniu w geście pocieszenia i wsparcia.

— Pamiętaj — powiedział — w tej chwili już nie mamy wpływu na los Szóstego. Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, aby przygotować gryfy do walki. A teraz musisz czekać na ich powrót, gotowa na wszystko. Niczego więcej nie można zrobić. Tylko bogowie potrafią więcej uczynić.

— Wiem, to znaczy moja głowa o tym wie, ale... — zaczęła Zimowa Łania.

— Zatem posłuchaj swojej głowy i przestań uważać, że musisz być nadczłowiekiem. — Poklepał ją po ramieniu, a potem wskazał na ścieżkę do lądowiska gryfów. — Myślę, że wkrótce powrócą.

— Racja i dziękuję ci, Bursztynowy Żurawiu, za radę i za masaż — uśmiechnęła się Zimowa Łania, ale to był jeden z niewielu prawdziwych uśmiechów, jakie widział na jej twarzy. Zrobiła krok w dobrym kierunku.

Odeszła, a Bursztynowy Żuraw spuścił klapę namiotu, gdy zniknęła mu z pola widzenia. Westchnął i wycofał się do zacisza swego prywatnego pokoju. Tam rzucił się na łóżko i wykonał kilka ćwiczeń mentalnych, które pozwoliły rozluźnić mu wszystkie mięśnie pleców i karku bez potrzeby masażu.

*Nie, żebym nie chciał nikogo kochać, ale po prostu nie mam teraz czasu, by zabiegać o czyjeś uczucia. Poza tym ciągle mam jeszcze na głowie moje małe „zwycięskie przyjęcie”.*

Musiał jeszcze wykonać parę rzeczy, choć przeważająca część przygotowań spadła jak zawsze na barki odpowiedzialnego Gestena. Bursztynowy Żuraw poświęcił swój zapas żetonów na zakupy, ale to właśnie Gesten dokonał niemożliwego, kiedy doszło do samej uczy. Znalazł grupę żołnierzy rekonwalescentów, którzy w zamian za żetony zgodzili się pójść na polowanie i wędkowanie. I teraz na Skana czekał pierwszorzędny koziołek, na Zhaneel — cebrzyk pełen pstrągów, i, co najlepsze, stado tłustych przepiórek jako zakąska. Bursztynowy Żuraw nie pamiętał, kiedy ostatni raz w obozie widział przepiórkę i bez żenady zarekwirował jedną z nich dla siebie. Dla Gestena myśliwi zebrali kosz pełen mięsistych grzybów, które hertasi cenili najbardziej. Zapowiada się rzeczywiście prawdziwa



uczta. Mile widziana odmiana po obozowym wikcie. Skan zawsze go zapewniał, że każde zwierzę inaczej smakuje, nawet dla mięsożernych, które nie przyprawiają swoich posiłków, i że on oraz inne gryfy znudziły się już smakiem zwierząt hodowlanych, tak jak każdy żołnierz racjami polowymi.

Zanim jednak mógł zabrać się do przygotowań, musiał przyjąć Zimową Łanię na sesję terapeutyczną, ostatnią przed uczta. Fizycznie i duchowo robiła postępy. Ale ponieważ nie było nikogo z Szóstego Dywizjonu, nie miała co robić, a to oznaczało, że zaczynała rozmyślać...

*Powinna mniej rozmyślać, a więcej działać.* Był to jeden z jej wielu problemów: zbyt wiele rozmyślała i zdarzało się, że w obliczu wielu możliwości niezdecydowanie paraliżowało ją. Każdy, kto wydawał jej rozkazy, mógł ją zranić, ale i tak wolała wypełniać rozkazy innych, aby nie brać na siebie odpowiedzialności. Przynajmniej tak jej się wydawało. Bardzo rzadko robiła coś powodowana impulsem, nie mogła nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz tak postąpiła.

*Albo tylko tak mówiła. A w takim razie to, co odgadłem na temat jej wychowania, zgadza się w stu procentach.*

Zahamowania zawdzięczała też swemu kochankowi — lepiej powiedzieć „partnerowi do łóżka”, ponieważ ich związek miał niewiele wspólnego z miłością — magowi z Szóstego Dywizjonu, Connowi Levasowi.

Bursztynowy Żuraw nadal nie miał pojęcia, jak mogła się związać z tym egoistycznym draniem, tak jak i nie wiedział, dlaczego nosiła imię Kaled’a’in, skoro miała do czynienia z tym plemieniem tyle co lady Cinnabar. Z olbrzymim trudem wydobywał z niej informacje o przeszłości.

Musiał zgadywać. I to wszystko. Wszystko, co Zimowa Łania pokazywała na zewnątrz, było iluzją, maską mającą powstrzymać obserwatora przed zadawaniem pytań.

Nie była Kaled’a’in, ale wiedziała o nich tyle, żeby wybrać ich imię, ponieważ większość trondi’irn była Kaled’a’in. Przypadkowi znajomi nie pytali, dlaczego zajęła się gryfami. Bursztynowy Żuraw przypuszczał jednak, że w przeszłości musiało ją coś łączyć z Kaled’a’in.

Miała rodziców, którzy wymagali od niej perfekcyjności i nie akceptowali niczego innego. Stąd wzięło się jej przekonanie, że musi być nadczołwiekiem.

Miała nienaganne maniery.

Zastanawiające, dlaczego udawała zwykłą trondi’irn. Kaled’a’in pomimo swych wielu zalet nie przywiązywali wagi do manier, które elita z ziemi Urtho traktowała jak coś naturalnego. Zimowa Łania starała się zachowywać tak jak Conn Levas oraz jemu podobni, ale była to tylko gra, która jej się nie udawała w chwilach zdenerwowania. Z jej ust niełatwo dobywały się obraźliwe słowa i bez względu na okoliczności nie potrafiła się zmusić, aby przeklinać.

Krótko mówiąc, ilekroć nie myślała lub była zdenerwowana, zachowywała się nienagannie i postępowała jak dama.

W obozie, gdzie nieczęsto można było znaleźć czas na gruntowną i regularną kąpiel, zawsze była schludna i czysta.

W wojsku, gdzie nikt nie dbał o to, czy mundur jest trochę sfatygowany, jej wyglądał jak spod igły, zawsze wyprany i wyprasowany.

Co więcej, miała maniery dobrze urodzonej. Chodziła wyprostowana, z dumnie podniesioną głową, jakby uczono ją tego od kolebki.

Według Bursztynowego Żurawia oznaczało to tylko jedna rzecz.

Choć nie była z ludu, udawała, że jest; była szlachcianką, być może nawet tak wysoko urodzoną jak Cinnabar. Pewnie dlatego unikała jej jak ognia. Gdyby lady przyjrzała się jej lepiej, być może przejrzałaby grę Zimowej Łani. Można przytyć lub schudnąć, zmienić twarz, sposób ubierania czy fryzurę, ale ukrycie swych manier czy przyzwyczajęń często okazuje się niemożliwe

*Swoją drogą Cinnabar to wcielenie dyskrecji. Być może już rozpoznała Zimową Łanię i milczy na jej temat. Jeżeli zdemaskowanie Zimowej Łani nie okaże się konieczne, Cinnabar zostawi przypuszczalnie wszystko tak, jak jest.*

Teraz gdy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że od kiedy zaczął leczyć Zimową Łanię, lady Cinnabar przestała o niej mówić, mimo, że sama interweniowała w sprawie „incydentu z hertasi”. Była tak samo jak wszyscy poirytowana rozkazami powtórzonymi przez Zimową Łanię. Jednak nie skomentowała ani słowem jej zachowania, chociaż inni o tym zawzięcie dyskutowali. Może Cinnabar ją rozpoznała, a może nie. W każdym razie lady była na tyle silnym empatą, aby sobie uświadomić, jak wiele z chłodu Zimowej Łani brało się z emocjonalnego okaleczenia i lęku. *W miarę jak zaczęła mi ufać, krok po kroku odstania się. Sądzę jednak, że może to być najtrudniejszy przypadek, z jakim przyszło mi się zmierzyć. W porównaniu z nią problemy Zhaneel były łatwe do rozwiązania. Gryfica musiała się tylko dowiedzieć, jak jest niezwykła, i znaleźć sposób, aby wykorzystać swoje zalety. Kiedy to zrozumiała, rozkwitła. Natomiast Zimowa Łania jest tak bardzo zamknięta, że do tej pory nie wiem, kim naprawdę jest. Wnioskuje o tym z pęknięć w murze, którym się otoczyła. Zimowa Łania bezustannie się czegoś lęka, muszę zatem dowiedzieć się czegoś.*

*Być może tylko dlatego sypia z Connem Levasem. Jednak on jest zbyt prosty, aby to zrozumieć.*

*Daj mu to, czego chce, a on będzie szczęśliwy i uzna cię za „swoją kobietę”. Ten mężczyzna stanowi pewnego rodzaju ochronę, ponieważ jest tak władczy wobec wszystkiego, co uważa za swoje. On nawet nie wie, że ona nie jest Kaled’a’in. Sądzi, że skoro nosi takie imię, musi być jedną z nas. Oto jak mało jest spostrzegawczy.*

Nie spodziewał się po Levasie niczego innego. Najemny mag biorący udział w wojnie tylko dla zapłaty musiał być ograniczony. Ktoś, kto rozważał możliwość zaciągnięcia się u Ma’ara, z pewnością był niemoralny.

Jednak Conn Levas stanowił tylko część zagadki. Bursztynowy Żuraw na

chwile zasłonił oczy przedramieniem i próbował poskładać kawałki układanki, które zdobył do tej pory, w jakąś logiczną całość. *Musiła mieć powód, aby się zaciągnąć; na razie go nie znam. Zrobiła to jednak owładnięta lękiem, przerażona, że jej tożsamość może wyjść na jaw. Mimo swej inteligencji wybrała zawód trondi'irn, ponieważ było to zupełnie niepodobne do wszystkiego, co znała w swoim poprzednim wcieleniu. Bała się czegoś innego, a trondi'irn nigdy nie znajdowali się blisko linii frontu. Wiem, że walka ją przeraża. Wiem, że strasznie boi się tego, co mogą zrobić Ma'ar i jego magowie.*

Nie jeden raz widział ją przerażoną, gdy z linii frontu nadchodziły wieści. Dobrze się kontrolowała, ale zawsze był moment, gdy na jej twarzy malowało się ogromne przerażenie, niszczące chłodną maskę, którą zazwyczaj nosiła.

*Zatem kiedy pojawił się Conn Levas uważała zapewne, że zsyłają go sami bogowie. Być może nawet ubiegał się o jej względy, czarował ją; jestem pewien, że to potrafi, kiedy chce. Miał posadę w Szóstym Dywizjonie, więc i ona ją dostała. Miał tożsamość, której nikt nie kwestionował, zatem ona jako jego kobieta również ją zyskała. Nikt nie będzie jej pytał o nic osobistego. A ona mogła nie angażować się w pracę pośród gryfów, są wszakże tylko „lepszymi” zwierzętami. Nie musiała nic im dawać oprócz odrobiny energii.*

Znalazła się jednak Zhaneel, która nieumyślnie wstrząsnęła jej światem, podobnie jak później Bursztynowy Żuraw. Gryfsokół zmusił Zimową Łanię do uznania faktu, że gryfy, które jej podlegają, nie są tylko „ulepszonymi zwierzętami” z ograniczoną możliwością posługiwania się ludzką mową, trochę większymi od ptakówposłańców.

Zhaneel jednak zmieniła wszystko. Pokazała jasno i wyraźnie, że podwładni Zimowej Łani są istotami myślącymi i ona ma obowiązek dopatrzeć, aby je odpowiednio leczono, aby zwracano się do nich z szacunkiem, grzecznie i przyzwoicie. Jej obowiązkiem było zostać ich adwokatem wobec dowódcy Szóstego Dywizjonu.

Powinna być tak samo odpowiedzialna za nie jak ich dowódca

Nie chciała tego przyjąć do wiadomości, co sprawiało, że trwała w bezustannym napięciu. Zauważył to, kiedy przyszła do niego leczyć swoje plecy. Dopóki nie uważała gryfów za istoty myślące, jakoś sobie radziła, a teraz stały się dla niej realne. Musiała patrzeć na nie jako na kogoś, kto poza dziobem i dziwnymi oczami ma osobowość, osobowość w każdym calu podobną do ludzkiej. Nie mogła dłużej lekceważyć faktu, że wojnie na pożarcie wysyła już nie bezrozumne stwory, ale istoty myślące. To obudziło jej uczucia i jak na ironię zachwiało jej związkiem z kochankiem. Dopóki nie była zdolna odczuwać, nie obchodziło ją, co on z nią robi, mówi do niej, jak ją traktuje; teraz to się zmieniło i jej uczucia znacznie ochłodziły. Bursztynowy Żuraw mógł to bez trudu wyczytać z jej urywkowych wyznań.

*Teraz go tu nie ma, ale kiedy skończy się ta operacja, on wróci, żądając swych*

„praw”. Jednak ona już nie będzie w stanie znieść jego arogancji i obojętności; będzie musiała z nim zerwać. Nie sądzę, żeby z nim często sypiała, nawet gdy był w obozie. Być może znajdowała powody, aby unikać jego namiotu. Ciekaw jestem, czy chodził do którejś z perchi? A może nie powinienem się tym zbyt interesować?

Trudno powiedzieć; ich związek nie przypominał zwykłej relacji klienta z kestra'chern. A z dwojga ludzi w tym związku tylko jedno było obecnie jego klientem. Na ile powinien się w to wtrącać? Gdzie leży granica między tym, co powinien wiedzieć, a wtykaniem nosa w cudze sprawy?

Była tak głęboko zraniona i tak straszliwie krucha. Konfrontacja z Connem Levasem wstrząsnie nią, a on nie zawaha się użyć wobec niej najbardziej perfidnych metod, jakie tylko zdoła wymyślić. A jednak pod jej wrażliwością kryła się moc, z której Bursztynowy Żuraw chciałby od czasu do czasu skorzystać. Podobnie jak ona potrzebował kogoś zaufanego. Przeczynał, że kiedy wyleczy ją z ran emocjonalnych, Zimowa Łania zaspokoi tę potrzebę lepiej niż ktokolwiek inny. Czuł, że mógłby jej zaufać, a kestra'chern ufa nielicznym. Zbyt często ten zawód stawał się kością niezgody albo przyczyną drwin. Jednak miał wrażenie, że Zimowa Łania nigdy by tak z nim nie postąpiła. Bez względu na wszystko zatrzymałaby dla siebie rzeczy, które mogłyby go zranić.

Wiedział o tym. Chociaż nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego był tego pewien.

Dzisiaj ta część obozu była bardzo cicha, inaczej niż zazwyczaj w środku dnia. Z daleka słyszał dochodzące rozkazy sierżanta. Tutaj jednak słychać było jedynie paplaninę ptakówpostaćców j sporadyczne pobrzękiwania ekwipunku. Pewnie większość kestra'chern postanowiła się zdrzemnąć, przewidując, że będą potrzebni, gdy powróci Szósty. *No cóż, całe to rozmyślanie nie zmieni faktu, że trzeba zabrać się do przygotowania kolacji. A ja mam rolę do spełnienia!*

Rozluźnił się. Ból głowy, który pojawił się podczas seansu terapeutycznego z Zimową Łanią, odpłynął. Zdjął ramię z oczu i wstał z łóżka: czas zabrać się do pracy. Po pierwsze musi dowiedzieć się, co z Szóstym, czy zdołali odbić Przełęcz Stelvi. Jeśli wszystko poszło dobrze, pierwsze gryfy z Szóstego Dywizjonu ze Zhaneel na czele powinny niedługo wrócić. Jednak w tej chwili na lądowisku będzie wielki tłok, a misja Zhaneel nie powinna być nagłośniona. Nie ma potrzeby robić spektaklu i dawać ludziom do myślenia.

Potrzebował ptakapostaćca albo odpowiedniej osoby.

Zazwyczaj nietrudno było o jakiegoś ptaka, w całym obozie było ich mnóstwo: wystarczyło rozsypać ich ulubione ziarna na ziemi i czekać. Bursztynowy Żuraw nie korzystał często z ich usług, ale miał zapas soczystych ziaren słonecznika, ponieważ podobnie jak małe ptaki także i ludzie lubili te smakowite nasiona. Bursztynowy Żuraw nie był wyjątkiem.

Obok łóżka miał ich całą torbę; nabrał garść i rozsypał je przed namiotem. Kilka chwil później znalazł się tam z tuzin różnobarwnych ptaków. Rzuciły się

na nasiona, skrzecząc i ćwierkając, czyniąc hałas nieproporcjonalny do swych rozmiarów.

Przyglądał im się przez moment, próbując wybrać najbardziej eleganckiego spośród nich, i zdecydował się na małego, bystrego, o widocznym z daleka czar-noczerwononiebieskim upierzeniu. Gwizdnął na niego, schylił się i wyciągnął dłoń. Posłał mu kilka pozytywnych myśli, aby go ku sobie przyciągnąć. Ptaszek wskoczył na jego wyciągniętą dłoń, nie zdradzając żadnych oznak lęku. Czekał na rozkazy, pochylając główkę na boki, by mu się lepiej przyjrzeć.

Choć nie należał do uszlachetnionych ptaków drapieżnych, równie dobrze jak one rozumiał nieskomplikowane rozkazy przekazywane telepatycznie. Bursztynowy Żuraw trzymał ptaka tak, aby mógł patrzeć w jego jasnobrązowe oko. Starał się, aby jego rozkaz był możliwie prosty.

*Leona lądowisko gryfów. Czekaj na gryfy. Szukaj tego jednego...*

Posłał mu w myślach obraz Zhaneel. *Słuchaj, wracaj i powtórz, co usłyszysz.*

To ostatnie polecenie było powszechnie stosowanym rozkazem, kiedy ktoś chciał wiedzieć, co się dzieje w drugim końcu obozu. Ptaki potrafiły zapamiętać i powtórzyć kilka zdań. Można było mówić o szczęściu, jeśli jedno z tych zdań dawało jakieś wyobrażenie o tym, co dzieje się w odległym miejscu. A jeśli nie — no cóż, zawsze można było posłać ptaka jeszcze raz.

Ptak odleciał, poruszając się niezdarnie niczym chrząszcz. Nie latał zbyt dobrze i mocno przy tym hałasował. Jego skrzydła furkotały z wysiłku, a lotowi towarzyszyło zazwyczaj mnóstwo skrzeczenia i ćwierkotu. Zatem jeśli nie chciałeś, aby ktokolwiek wiedział, o czym mówisz, mogłeś w porę zamilknąć, słysząc nadlatującego ptakaposańca. Wielu ludzi hodowało je również z powodu ich żywej osobowości i skłonności do błazenady. Trudno było je ominąć.

Z pewnością na lądowisku gryfów będą setki tych ptaków, chociaż to, że Szósty Dywizjon miał odbić Przełęcz Stelvi, stanowiło tajemnicę. Jednak zbyt wielu ludzi znało cel tajnej misji i lądowisko wkrótce zaroi się od upierzonych posłańców. Wysłanie ptaka było dyskretnym sposobem zasięgnięcia informacji na temat czegoś, co miało być tajemnicą.

*A dyskrecja jest najcenniejszą zaletą kestra'chern.*

No cóż, kiedy wysłał swojego skrzydlatego informatora, nadszedł czas, aby zabrać się do kolacji. Przygotowania, które należały do niego, były całkiem proste, bo trudno przyjąć gryfy na formalnym posiłku. Z frontowej części namiotu usunął wszystko z wyjątkiem poduszek: zostawił po jednej dla siebie i dla Gestena, z resztą ułożył w dwa legowiska dla gryfów. Na dywanie przed nimi rozłożył wodoodporne płótno, gryfy nie były bowiem schludnymi biesiadnikami.

Koziołek, przepiórka i cebrzyk z pstrągami znajdowały się za namiotem, gdzie Gesten doglądał gotowania swoich grzybów i przepiórki Bursztynowego Żurawia. Ten przeczuwał, że będzie jeszcze kilka małych kulinarnych niespodzianek.

Przebrał się w swój świąteczny strój Kaled'a'in; tym razem prawdziwy, a nie

fantazyjne imitacje kestra'chern. Jedwabna koszula, skórzana tunika i obcisłe bryczesy, a wszystko z frędzlami i paciorkami. Na nogi założył wysokie do kolan buty z frędzlami. Dziwne, jak wygodna jest skóra i jedwab. Wystarczyło, że zrzucił z siebie „tożsamość” Bursztynowego Żurawia kestra'chern, a już poczuł się o wiele bardziej odprężony.

*Jestem ciekaw, czy Zimowa Łania widziała kiedyś świąteczne odzienie Kalel'a'in. A może zna tylko to, co nosimy, by wtopić się w ludzi spoza klanu?*

Wiązał właśnie włosy, gdy świergot ptakapostańca kazał mu wyjść przed namiot.

Wyciągnął rękę, szukając wzrokiem czerwonej plamki na błękitnym niebie. Małe, czerwono-czarne stworzonko zatrzepotało i ze złożonymi skrzydełkami wylądowało na jego palcu, nadal zajadłe świergocząc. Położył dłoń na jego grzbiecie, aby je uspokoić, i na chwilę zamilkło.

Kiedy zabrał dłoń, ptak trochę pomruczał do siebie, a potem zaczął powtarzać zasłyszane zdania. Chociaż jego głos nie tracił ptasiej barwy, z łatwością można było rozróżnić ton i akcent poszczególnych ludzi. Czasami taki zdolny maluch mógł naśladować swoją ulubioną osobę tak dobrze, że mogłeś przysiąc, iż stoi ona przed tobą.

Na początku ptak wydał serię dźwięków naśladującą hałas tłumu, w której można było rozróżnić kilka zdań.

— „Jest wyczerpana”. „Dajcie wody!” „Wszysstko w porządku” — ten ostatni głos najwyraźniej należał do Zhaneel.

Następnie głos trenera Shire:

— „Zhaneel, mam tu łączność z Urtho, czy możesz zdać mu krótki raport?”

Ptak znowu przemawiał głosem Zhaneel, przedłużając wszystkie głoski syzyjące, tak jak robił to Skan, gdy był wstrząśnięty lub zmęczony.

— „Ssskrzynka zadziałała. Ssspowodowała wybuchy i wielu zabiła. Rrrózdżki musiały więc być osssłonięte. Kilka grrryfów jessst rrrannych, ale żaden nie zginął. Gdy wrrracaliśmy, było dużo dymu. Wtedy wkrroczyli wojownicy. Rrreszta leci za mną”.

Ptak naśladował odgłosy wiwatującego tłumu z niesamowitą dokładnością. Potem Zhaneel mówiła, że czuje się dobrze i nie potrzebuje pomocy. Następnie odezwał się głos Zimowej Łani, rozkazującej hertasi, aby byli w pogotowiu, gdy przybędą ranne gryfy.

Bursztynowy Żuraw niezwykle się ucieszył. Dał małemu ptaszкови w nagrodę owoce i puścił go, aby się przyłączył do stada; z radości o mało co dałby ptaszкови więcej owoców, niż ten mógł unieść. Ucałował go; mały komik przyjął tę pieśczętę ze świergotem i zrewanżował mu się swoim ruchliwym języczkiem.

Zhaneel zjawia się po tym, jak złoży osobiście dłuższy raport Urtho, wypocznie i umyje się. Skan zatem winien przybyć przed nią. Bursztynowy Żuraw postanowił zaprosić Czarnego Gryfa nieco wcześniej; Skan nie wiedział, że ucza ma się

odbyć na cześć zwycięskiej Zhaneel. Myślał, że przyjęcie jest tylko kaprysem Bursztynowego Żurawia.

Plotki szybko się rozeszły i zewsząd dochodził nieustanny szum rozmów. Bursztynowy Żuraw wiedział, że nawet jeśli Skan nie był na lądowisku, to i tak nim dotrze do jego namiotu, z pewnością usłyszy wszystkie nowinki.

Gesten przyszedł jeszcze przed Skanem, pchając obładowany wózek. Ujrzawszy go, Bursztynowy Żuraw uniósł brew. Nie zależało mu szczególnie na żetonach, ale gdzie w wojskowym obozie hertasi znalazł tyle różnych przysmaków?

Nieważne — lepiej nie pytać. Zawsze byli tacy, którzy gromadzili rarytasy i chętnie dzielili się nimi za odpowiednią opłatą. A żetony na wizytę u kestra'chern były cennym nabytkiem. Przypuszczalnie i tak spora liczba tych żetonów trafi z powrotem do jego kasy, czego Bursztynowy Żuraw z pewnością nie będzie żałował.

— Nadchodzi Skan — powiedział Gesten, gdy Bursztynowy Żuraw podskoczył, aby mu pomóc. — Są tu prawdziwe rarytasy. Mam nadzieję, że on je doceni.

— Zostaw najlepsze dla Zhaneel. Zasłużyła na to — odrzekł z rozbawieniem.

— Aha. Mam także kilka rzeczy dla ciebie, Żurawiu. Niemów mi, że nie zasłużyłeś na nie. Zamęczasz się, obsługując Zimową Łanię, Zhaneel i Czarnego Chłopca.

Gesten wepchnął wózek pod tylną ścianę pokoju przyjęć i otworzył go.

— Popatrz tylko. Świeży chleb orzechowy, wyśmienity ser, a nie to koszarowe paskudztwo. Niezły bukiet warzyw, pasztet i węgorki dla Zhaneel oraz serce dla Skana. Nie może być lepiej.

— Zgadzam się — odparł Bursztynowy Żuraw z lekka oszołomiony. — Pozwól, że nie będę pytał, jak to wszystko zdobyłeś.

— Legalnie — rzekł hertasi, odwracając zuchwale pysk. — Nie marudź.

— Kto tu marudzi? — powiedział Skan, rozchylając kłapę namiotu. — Czyżby Gesten próbował się tłumaczyć, dlaczego nie zorganizował właściwego posiłku?

— Przecież znasz Żurawia — rzekł hertasi, nim kestra'chern zdołał wyrzec cokolwiek na swą obronę. — Jeśli inni głodują, on uważa, że też powinien pościć. Męczennik, męczennik, po trzykroć męczennik.

— Nieprawda — odparł Bursztynowy Żuraw, podchodząc do wózka i wypychając do ust spory kawał pasztetu, aby udowodnić Gestenowi, że się myli. — Uważam jedynie, że nie powinienem czerpać korzyści ze swojej funkcji, aby dogadzać tylko sobie.

— Czyżby? — zachichotał Skan. — A co masz na myśli?

— Dogadzanie klientowi — odrzekł mu bez wahania Bursztynowy Żuraw. — Przecież jesteście moimi klientami, prawda?

— No cóż, tak. . .

— Więc chyba zasługujecie, aby wam trochę dogodzić po długiej i bolesnej kuracji?

Skan zakasłał.

— No cóż, właściwie...

— Widzisz! — Bursztynowy Żuraw zwrócił się z triumfem do Gestena. — Moralne dogadzanie!

— No, no — odezwał się hertasi, chichocząc, i zaczął wyciągać wiktuały z wózka. Skan dostrzegł serce i podszedł nieco bliżej

— Trzymaj się z daleka! — Gesten trzepnął go po dziobie — To twój deser. I przestań się ślinić.

— Wypraszam sobie — rzekł Skan z oburzeniem. — Nigdy się nie ślinię!

Bursztynowy Żuraw miał już na końcu języka: „Nawet gdy patrzysz na Zhaneel?”, ale nie chciał zepsuć niespodzianki. Mrugnął więc tylko do Gestena i zaczął pomagać hertasi w opróżnianiu wspaniale wyładowanego wózka, podczas gdy Skan stał obok i dyrygował.

— Mam nadzieję, że nie macie zamiaru od razu siadać do jedzenia — rzekł Bursztynowy Żuraw, gdy Skan usadowił się na stosie poduszek. — Dla mnie jest jeszcze trochę zbyt wcześnie. Nie chcę sobie psuć apetytu.

— Ja mogę poczekać — rzekł leniwie Czarny Gryf. — Poza tym operacja w Przełęczy Stelvi przestała być tajemnicą i przypuszczam, że chcecie usłyszeć, czego dokonał Szósty.

— Jestem pewien, że opowiedziałbyś nam, nawet gdybyśmy nie chcieli — prychnął Gesten. — Ale ponieważ nam na tym zależy, możesz dać nam popis swojej niezwykłej elokwencji.

Skandranon przez chwilę udawał, że jest obrażony, potem cisnął poduszką w Gestena, przed którą ten zrezygnacyjnie się uchylił.

— Nie jesteście w stanie zepsuć mi nastroju. Jestem zbyt zadowolony. Szósty odbił Przełęcz i miasto jest na powrót w naszych rękach. Wieści pochodzą od magów. — Opowiedział wszystko ze szczegółami, jak życzył sobie Bursztynowy Żuraw, po czym zakończył: — Jednak najlepsze zachowałem na ostatek. — Jego oczy błyszczały złośliwą radością. — Generał Shaiknam i dowódca Garber zostali odwołani ze swych stanowisk z „przyczyn zdrowotnych”, a Szósty Dywizjom przejął generał Farle w nagrodę za dobre dowodzenie nim w tej operacji oraz zacytuje — „właściwe i strategiczne wykorzystanie sił powietrznych”, koniec cytatu.

— To znaczy gryfów — rzekł z zadowoleniem Bursztynowy Żuraw — Włączając w to Zhaneel.

To nie był tylko jego wymysł: na dźwięk jej imienia nozdrza Skana rozdzieliły się i nabrały szkarłatnej barwy.

Miał zamiar go jeszcze dokładniej wy badać, ale na spuszczonej klapie namiotu padł cień.



— A oto nasz czwarty gość — powiedział zamiast tego. Wstał i podszedł do wejścia. — Piękna damo — rzekł, kłaniając się i gestem zapraszając Zhaneel. — Będziesz ozdobą naszego towarzystwa.

Mimo zmęczenia Zhaneel wyglądała bardzo ładnie; prawdopodobnie Zimowa Łania pomagała jej w toalecie. A ponieważ Zhaneel przed przyjściem tutaj musiała udać się do Urtho, trondi'irn z pewnością zadała sobie sporo trudu, by gryfca wyglądała jak najlepiej.

Wnioskując ze zdumionego wyrazu twarzy Skana, wyglądała równie wspaniale.

Weszła do namiotu i dopiero wtedy zauważyła, kto w nim siedzi. Zamarła, lecz Bursztynowy Żuraw położył dłoń na jej ramieniu, aby powstrzymać ją przed ucieczką.

— Oczywiście znasz Gestena — powiedział szybko. — A to jak wiesz, jest Skandranon. Chyba byliście już sobie przedstawieni. O ile sobie przypominam, dał ci pewną dobrą radę, jak wykorzystać żeton.

Bursztynowy Żuraw z łatwością wyczytał w oczach Skana: „Dopadnę cię za to, Żuraw”. No cóż, był to przyzwoity odwet za fałszywe wyobrażenie na temat pracy kestra'chern, jakie Skan dał biednej małej Zhaneel. Choć cała sprawa dobrze się zakończyła, Skanowi należała się nauczka.

— Pozwoliłem sobie zaprosić go na kolację, by wraz z nami mógł fetować twoje zwycięstwo, Zhaneel — dodał. — Chyba nie masz nic przeciwko temu.

— Nie — odparła słabo. — Oczywiście, że nie.

Na szczęście nie dała drapaką i nie zamknęła się w sobie. Wkrótce odzyskała rezon. Mrugnęła raz czy dwa razy, weszła do namiotu; zajęła swoje miejsce na stosie poduszek, które wskazał jej Bursztynowy Żuraw.

Skan odzyskał część — ale żadną miarą nie całość — pewności siebie. W trakcie kolacji był cichszy niż zwykle, pozwalając by Bursztynowy Żuraw i Gesten prowadzili większość rozmów. Zhaneel udało się okazywać Skanowi przyjazny szacunek, ale jednocześnie nie była przytłoczona jego obecnością, co najwyraźniej go zaskoczyło.

Gdy zrobiło się ciemno, a Gesten wstał i zapalił lampy, wydawała się całkiem odprężona. Oczywiście było to dla niej znajome otoczenie i być może dlatego zachowywała spokój. Przed końcem kolacji Skanowi udało się zapytać ją, czy nie przyjęłaby go do jednej ze swych grup, jeśli Bursztynowy Żuraw wyrazi na to zgodę. . .

— To mój uzdrowiciel, jak wiesz — dodał Skan pośpiesznie. — Najlepszy uzdrowiciel gryfów, jaki istnieje.

Potem zamilkł, a Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się.

— Dzięki ci, Skan — odparł. — Osobiście uważam, że trening jest ci niezwykle potrzebny, więc jeśli Zhaneel zechce tylko przyjąć kogoś tak niesfornego jak ty. . .

— Z przyjemnością — odparła godnie, a w jej oczach zabłyśły światła lamp.  
— Skandranon jest na tyle mądry, że wie, iż na torze nie wolno kłócić się z trenerem.

Jej nozdrza zarumieniły się, ale tylko Bursztynowy Żuraw był dość blisko, aby to zauważyć.

— Czy wiesz już, że generał Farle został dowódcą Szóstego? — spytał, zmieniając temat rozmowy. — Skan przyniósł takie wieści.

— Nie! — wykrzyknęła z radością. — Wspaniale! Naprawdę wspaniale! To świetny dowódca. Prawie wszystko szło zgodnie z planem. Nie było żadnych błędnych rozkazów. A gdy sprawy wykraczały poza plan, generał Farle miał od razu gotowe rozwiązanie.

— To stawia Shaiknama i Garbera na szarym końcu — wtrącił się Gesten. Jego głos zdradzał z troską. — Nie wiem, ale ni sędzę, że tych dwóch, nie mając nic do roboty, pogodzi się z tym.

— Przecież będą mieli robotę — zaprotestował Skandranon. — Zachowują swoją rangę i wszystkie przywileje. Po prostu nie będą więcej dowodzić.

— A to oznacza, że nie będą mieli władzy — skontrował Gesten. — Żadnego prestiżu. Spartaczyli robotę i wszyscy o tym wiedzą. Będzie im wstyd, że stracili twarz. To niebezpieczny nastrój dla takiego człowieka jak Shaiknam.

Bursztynowy Żuraw wzruszył ramionami.

— Niebezpieczny, jeśli będzie miał nadal jakąś władzę lub jakichś popleczników, ale on nie ma. A w ogóle to całe gadanie o nim zepsuło mi apetyt. Generał Shaiknam pójdzie w zasłużone zapomnienie bez naszej pomocy, zatem nie mówmy o nim.

— Popieram — zagrział Skan i zabrał się do swojego upragnionego serca, a Zhaneel połykała pstrągi.

Jednak pomimo swych słów Bursztynowy Żuraw nie potrafił jakoś zapomnieć o generale...

... Czy raczej o jego zasłużenie złej reputacji mściwego człowieka.

Skandranona bolał każdy mięsień. Potrzebował nie tylko kąpieli, ale także dłuższego moczenia, żeby pozbyć się błota i mazi, oblepiających jego pióra. Ale nie dlatego szukał Bursztynowego Żurawia. Miał nadzieję, że jego przyjaciel ma akurat przerwę między sesjami. Żurawia nie było w „publicznej” części namiotu, ale zaniedbany stan tego pomieszczenia powiedział Skanowi, że kestra'chern przebywał tam niedawno, a Gesten nie zdążył jeszcze posprzątać.

Rzeczywiście tak było. Szczęście mu sprzyjało. Kiedy gryf wsadził nos w szparę między kotarami, Żuraw leżał na górze poduszek, wyglądając podobnie jak Skan.

— Do licha! — wykrzyknął Skan. — Z kim się tak zmagasz? Czy może raczej

z czym? Wyglądasz, jakbyś samotnie stoczył wojnę!

— Nie pytaj — westchnął Bursztynowy Żuraw, podnosząc się z łóżka. — To nie to, co myślisz. Ty też nie wyglądasz lepiej. — Kestra'chern odgarnął spocone włosy z czoła i spojrzał na Skana ze zmęczonym rozbawieniem. — Zhaneel, jak sądzę?

Skan padł na dywan tam, gdzie stał.

— Tak — odparł. — Ale nie to, co myślisz. Niestety. To tylko trening. — Jęknął, gdy jego zmęczone mięśnie dały o sobie znać. — Sądziłem, że mogę zrobić na niej wrażenie. To był zły pomysł. Stwierdziła, że skoro jestem lepszy od reszty grupy, powinienem odbyć zajęcia indywidualne.

Bursztynowy Żuraw przykrył usta dłonią.

Skan popatrzył groźnie.

— Lepiej się nie śmieć — powiedział ostrzegawczo.

Przyjaciel spojrzał na niego z udawaną niewinnością.

— Dlaczego miałbym się śmiać? — spytał szczerze. — Twój wygląd mówi za siebie. Najwyraźniej dałeś z siebie wszystko. Dlaczegoż miałbym się śmiać?

Skan spojrzał jeszcze groźniej. Miał dziwne przeczucie, że Żuraw ma coś wspólnego z Zhaneel, treningiem, zajęciami indywidualnymi — jednym słowem ze wszystkim.

— Wysiłałem się, wysiłałem, a teraz jestem wykończony. Muszę pożyczyć Gestena, Żurawiu. Inaczej nigdy nie zmyję błota ze swoich piór. I chciałbym, abys użyczył mi swoich magicznych palców. A poza tym. . . — westchnął, przyznając się w końcu do porażki — . . . muszę z tobą porozmawiać.

Bursztynowy Żuraw skinął potakująco głową, jakby się tego spodziewał. *Nic dziwnego, jeśli on rzeczywiście za tym wszystkim stoi.*

— Na tematy osobiste? — spytał kestra'chern. Tak jakby nie wiedział.

— Bardzo osobiste — przyznał Skan. kładąc po sobie pędzelki na uszach, prawdziwie nieszczęśliwy. — Żuraw, chodzi o Zhaneel. Ona jest jedyna. A ja jestem tylko jednym z jej uczniów.

— A po czym to sądzisz? — spytał ostrożnie Bursztynowy Żuraw.

— Ponieważ ona. . . mimo że się staram, nie robię na niej żadnego wrażenia! — wykrzyknął z desperacją Skan. — To mnie doprowadza do szału! Nie wiem, co robić!

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem — odparł Żuraw, opierając się na łokciu. — Stwierdziłeś, że Zhaneel jest dla ciebie idealną towarzyszką i jesteś nieszczęśliwy, gdyż ona nie lata za tobą i nie głupieje na twój widok jak wszystkie inne gryfice. Zatem gdy ty puszysz się jak paw, ona nie zwraca na to uwagi. Czy o to chodzi?

Skan poczuł, jak w jego nozdrza uderzyło gorąco.

— Nie nazwałbym tak tego! — zaprotestował.

— A ja tak — rzekł Gesten zza jego pleców. Hertasi wszedł, rozchylając zasłone. — Fe — dodał — wyglądasz jak zużyta ścierka. Gdybym był samica, też nie byłbym tobą zachwycony.

— Żuraw! — krzyknął Skan.

— Wystarczy, Gesten — napomniał go Bursztynowy Żuraw. — Skan, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy pójść i porozmawiać z tą damą? Po prostu porozmawiać? Nie starać się wywierać na niej wrażenie, ale dowiedzieć się, jaka ona jest, co uważa za ważne, jaką ma osobowość? Dowiedzieć się czegoś o niej, zamiast mówić tylko o sobie?

— Och — jęknął gryf.

— Spróbuj tego czasami — rzekł Bursztynowy Żuraw, kładąc się z powrotem na poduszkę. — Rezultaty mogą cię zadziwić. Gestenie, ta zużyta ścierka chciałaby wiedzieć, czy zechcesz jej pomóc wrócić do gryfięgo wyglądu. Raz przecież mogę iść pod publiczne natryski. Gorzej wyglądam, niż się czuje.

— Skoro chcesz — odpowiedział Gesten z wahaniem. — Myślałem, że sobie coś zwichnąłeś.

— Poproszę Cinnabar, żeby mi to nastawiła — rzekł Bursztynowy Żuraw w sufit namiotu. — Ruszaj, Skan bardziej potrzebuje w tej chwili twojej pomocy niż ja. Przecież musimy się dzielić twoimi wspaniałymi usługami.

— Dobrze — odparł hertasi z rezygnacją. — Chodźmy, Czarny Chłopczyku. Ale będziesz musiał się zadowolić moim masażem. Nie ma mowy, aby Żuraw się do tego zabierał.

Skan wstał z jękiem.

— Teraz zgodziłbym się nawet na to, by masował mnie Makaar — rzekł. — I zalecałbym się do tego paskudztwa, byleby zdjęło ze mnie całe to błoto.

Gesten rzucił mu figlarne spojrzenie, udanie naśladowując flirtującą kobietę.

— Nigdy bym nie sądził, Skan. Czyżbyś darzył mnie ukrytą namiętnością?

Skan tylko parsknął i podążył za hertasi na światło słońca namiot. Gesten otworzył skrzynię wbudowaną w bok wozu, mieszczącego cały sprzęt Bursztynowego Żurawia. Wyjął z niej szczotki i specjalne grzebienie do oczyszczania skrzydeł gryfów.

— Rzeczywiście, powinieneś znaleźć wolną wannę i wziąć kąpiel — rzekł hertasi, mierząc go wzrokiem. — Przecież jesteś magiem i potrafisz ogrzać wodę na tyle, aby twoje mięśnie nie zeszywniały z zimna.

— Ale najpierw, proszę, wyszczotkuj mnie — rzekł Skan. — Jeżeli wejść do wanny w tym stanie, będzie to kąpiel błotna.

— Racja.

Hertasi chwycił jedną ze szczotek i zabrał się ochoczo do pracy. Kawałki suchego błota rozpryskiwały się pod silnymi pociągnięciami Gestena.

— A co nowego słysząc oprócz tego, że Zhaneel zawróciła ci w głowie?

Skan zlekceważył drugą część pytania i odpowiedział na pierwszą. — Nowe jest to, że mamy Przełęcz, ale Ma'ar nie cofnął się ani o krok. — Pokręcił głową i pochylił się, aby Gesten mógł go lepiej szczotkować. — Gestenie, nie umiem powiedzieć, czy sprawy wyglądają dla nas lepiej czy gorzej.

— Nikt tego nie umie powiedzieć. — Gesten odłożył szczotkę i wziął inną, z lepszym włosiem. — Słyszałem, że sam Urtho nie wie, co robić. Ma'ar nie zostawi nas w spokoju, Urtho z kolei nie poświęci oddziałów, jak to czyni Ma'ar, aby się go pozbyć. Problem polega na tym, że mamy moralnego dowódcę. Przewagę ma facet, którego nie obchodzi, ilu ludzi straci.

Skan pokręcił głową.

— To dla mnie zbyt wiele, przynajmniej w tej chwili.

Hertasi prychnął.

— Taak. Wiem, co masz teraz w głowie, a raczej, że nic w niej nie masz. A Żuraw liczy na to, że właśnie głowy użyjesz, aby zauroczyć Zhaneel. Odkąd cię znam, nie zauważyłem, abyś często jej używał.

Tym razem Skan nie odpowiedział na jego żarty.

— Gestenie — rzekł z wahaniem. — Jak sądzisz, czy ona rzeczywiście zwróci na mnie uwagę, gdy zrobię to, co powiedział Żuraw? Wszystko, czego do tej pory spróbowałem, zawiodło.

— Więc spróbuj tego, a kto wie... — Gesten poklepał go po ramieniu, wzniecając obłok kurzu. — Wiesz przecież, że serce to jego specjalność. Więc chyba wie, co mówi.

Skan zadumał się. Gesten ma rację. *Poza tym muszę jej powiedzieć, kim ona jest i czego dowiedziałem się w Wieży. Jak to mówią, mogę upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.*

— Skan, najpierw jednak musisz — zastrzegł Gesten — zrobić coś naprawdę ważnego.

Gryf odwrócił głowę, aby na niego spojrzeć. Głos hertasi zabrzmiał tak poważnie.

— Co takiego? — spytał zaniepokojony.

Gesten przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem rzekł ze śmiertelną powagą:

— Wziąć kąpiel.

Hertasi udało schronić się za klapą namiotu, zanim trafiła go zabłocona szczotka.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zhaneel spojrzała na swoją dłoń. Dłoń, a nie niekształtną kupę szponów. A więc nie była efektem przypadku. Tak jak przypuszczał Bursztynowy Żuraw, była żywym rezultatem jakiegoś planu.

— Zatem — spojrzała znad szponów na Skandranona i chociaż udało się jej zachować spokój i pozorną obojętność, jej serce waliło z radości, że ma go przy sobie, na swojej ulubionej skale, dominującej ponad torem przeszkód. — Jestem pierwszą z tej rasy, mówisz? A ty widziałeś tego dowód w Wieży Urtho?

Skan potaknął. Swoje wielkie złote oczy utkwił w niej tak nieruchomo, jak gdyby były igłą kompasu wskazującą na Krzyż Północy. Słońce oświetlało jego czarne pióra, wydobywając z nich wzory, których tak chciał uniknąć, malując je na czarno.

— Jest tam chyba około pięćdziesięciu różnych typów. Większość to szeroko-skrzydłe, w typie orła. Ty jesteś jedyna, która wygląda, jakby została stworzona na podstawie sokoła. Nie wiem, jak Urtho nazwał twój typ, ale ja nazywam go gryfsokół.

— Gryfsokół. — Obracała to słowo wokół języka. Brzmiało nawet lepiej, kiedy wymawiał je Skan, niż gdy wypowiedział je Bursztynowy Żuraw. — I nie ma w tym nic z przypadku — rozprostowała szpony. — Po prostu jestem jedyną z tego typu.

— Tak sędzę. Ale, Zhaneel... — Wahał się przez dłuższą chwilę, a ona patrzyła na niego z zaciekawieniem. Widać było, że pragnie jej jeszcze coś powiedzieć. — Zhaneel, szczerze mówiąc, nie jesteś jedynym gryfsokołem, ale jesteś pierwszym udanym. — Pochylił na moment dziób, po czym wyraźnie postanowił powiedzieć wszystko. — W Wieży jest... no cóż, prawdziwy wyrodek. Wygląda, jakby miała być gryfsokołem, ale coś się nie powiodło. Jest niekształtna, ma umysł dziecka. Sędzę, że jest obojnakiem, i jeszcze inne rzeczy są u niej nie tak.

Zhaneel uniosła pędzelki na uszach.

— W Wieży? Ale dlaczego... dlaczego Urtho miałby ją tam trzymać? Ja... — w tym momencie wszystkie obraźliwe i lekceważące słowa, żarty i kpiny z jej dzieciństwa powróciły do niej z ogromną siłą i zrozumiała dlaczego. — Nie. Rozumiem. — Gryfy nie płaczą, ale smutek sprawia, że ściskają się im gardła i wy-

zwala się w nich potrzeba wydawania przeszywających dźwięków. Pochyliła głowę i stłumiła potrzebę lamentu. *Biedne maleństwo. Być może to lepiej, że ma umysł dziecka, ponieważ nie potrafi zrozumieć, jak okrutny może być świat, i nie żał jej tego, czego nigdy nie widziała.*

— Czy to małe biedactwo ma imię?

Skan potaknął.

— Urtho nazywa ją Kechara, ona mówi, że ją często odwiedza i bawi się z nią. Nie sądzę, żeby cierpiała lub jej czegoś brakowało.

— Kechara. Ukochana. . . — Wzięła głęboki wdech, a jej gardło znowu się otworzyło. — Tak, to podobne do Urtho, troszczyć się o maleństwo, które nie jest dokładnie tym, czego by pragnął, starać się ze wszystkich sił, by była szczęśliwa.

W ciągu ostatnich kilku tygodni coraz lepiej poznawała swojego przywódcę. Zastanawiała się, czy Skandranon wie, jak wiele czasu Urtho poświęcał na rozmowy z nią. Bursztynowy Żuraw wiedział o tym i parę rzeczy, które jej mówił, wskazywały, że wcześniej rozmawiał o niej z Urtho.

— Ale co to dla nas oznacza? Myślę, że jeżeli będzie to w naszej mocy, powinniśmy znaleźć sposób, by oswobodzić Kecharę. Mając nas oboje, Kechara nie będzie narażona na pośmiewisko, tak jak ja byłam. Co o tym sądzisz? Gdybyśmy stali się dla niej rodziną. . . ? I tak na razie nie powinniśmy mieć młodych, a Kechara będzie dla nas pewnego rodzaju przygotowaniem. Teraz możemy się rozmnażać nawet bez zgody Urtho.

Pochyliła głowę na jedną stronę, rumieniąc się. Skan gapił się na nią i wyglądał strasznie głupio, jak gdyby sens tego, co powiedziała, nie dotarł do niego od razu.

W chwilę później wyglądał jeszcze bardziej głupio, ale tylko dlatego, że szumiało mu w głowie od uniesienia. Wtedy i ją ono ogarnęło.

Doskonale wiedziała, jak bardzo musi być wyczerpany po dzisiejszym treningu. Mimo to wykrzesał z siebie tyle sił, by wyskoczyć za nią w powietrze, gdy wleciała do góry, rzucając mu figlarne, zachęcające spojrzenie znad ramienia. A gdy wzeszedł księżyc, poprowadziła go na prawdziwy godowy pościg, pościg, który zakończył się na ciepłej trawie zbocza, wysoko ponad Wieżą Urtho.

W jedyny możliwy sposób. . .

Oto obraz klęski. Chaos na lądowisku, krzyki, jęki ciężko rannych gryfów. Uzdrowiciele i trondi'irn ze Wzgórza oraz ze wszystkich dywizjonów tłoczyli się, starając się na siebie nie wpadać. Zimowa Łania nie widziała tego wszystkiego, resztką sił utrzymując krwawiącego gryfa przy życiu. Składała poszarpane ciało, używając daru i obu rąk, dopóki nie dotrze uzdrowiciel o większej mocy. Zaklinała i błagała biedne stworzenie, milknąc tylko, by nabrać oddechu. Ocierała łzy z policzka poplamionym krwią ramieniem.

— Nie umieraj, Feliss! — błagała gryficę. — Nie wolno ci tego robić po tym, jak wiele pracy Zhaneel w ciebie włożyła! Jeśli umrzesz, przysięgam, poproszę Urtho, aby złapał twój ducha i wsadził w beżenne ciało kapłanki Czystej Kylan! Dostaniesz nauczkę, zobaczysz!

Łzy znowu napłynęły do jej oczu, prawie ją oślepiając. Otarła je i nie zwracała uwagi na to, że jej własna energia ucieka wraz z krwią wypływającą z ran Feliss. Bogowie, bogowie, jeszcze parę tygodni temu wszystko było o wiele prostsze, zanim zmuszono ją, by patrzyła na gryfy tak, jak patrzył na nie Bursztynowy Żuraw. Zanim zaczęło jej zależeć na nich i na tym, co się z nimi stanie. Zanim nauczyła się myśleć o nich z czymś więcej niż tylko zwykłą odpowiedzialnością. . .

Zanim Bursztynowy Żuraw kazał jej je polubić, a Zhaneel — szanować.

Do oczu napłynęły nowe łzy, ale nie było już czasu, aby je ocierać; na wpeł oślepiona żalnością, trwała niezdolna, by cokolwiek widzieć. . .

Dopóki nie przeniknął jej dar o wiele większy od jej własnego Stała się kanałem energii płynącej do Feliss, energii, której sama nie potrafiła jej dać. Szmaragdowozielona moc uzdrawiania przeniknęła przez nią i poprzez jej dłonie dotarła do ran. Ciało się zasklepiło i krwawienie ustało.

Zimowa Łania zamknęła oczy i skoncentrowała się tylko na tym, by być dobrym przewodnikiem. Podtrzymywana bicie serca Feliss, dopóki energia nie osłabła, krew nie przestała kapać na jej palce i dopóki wreszcie serce nie zaczęło samo pracować. Dopiero wtedy otworzyła oczy.

Lady Cinnabar cofnęła swe długie autokratyczne dłonie znad dłoni Zimowej Łani i popatrzyła jej głęboko w oczy. Zimowa Łania była jak sparaliżowana i zamarła w miejscu niczym przerażony królik. Usiłowała unikać obecności lady, od czasu gdy zauważyła na jej twarzy przebłysk rozpoznania.

*Któż by pomyślał, że zdradzi mnie piosenka?* Nuciała ją po cichu, wracając z sesji z Bursztynowym Żurawiem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuła bólu w piętach. Conn Levas był nadal na froncie, a nie w jej łóżku, więc była na tyle radosna, że pozwoliła sobie cicho coś nucić.

Jednak nie zdawała sobie sprawy z tego, to tak naprawdę nuci. dopóki nie minęła lady Cinnabar (pośpiesznie i odwracając twarz), a ta przeszła ją długim spojrzeniem.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nuci pieśń, która była ostatnim krzykiem mody na dworze Jego Wysokości Króla Leodhana, a pojawiła się na tydzień przed napaścią Ma'ara na jego ziemie. Niczym szlachta, która z przerażeniem uciekła przed najeźdźcą czy raczej rozpięchła się ze zwykłego strachu, pieśń poszła w całkowite zapomnienie. Tylko ktoś taki jak lady Cinnabar, która w tym czasie przebywała na dworze, mógł ją rozpoznać.

Tylko ktoś, kto w tym czasie należał do dworu, mógł na tyle poznać tę pieśń, by ją nucić.

Zimowa Łania ujrzała, jak oczy Cinnabar zwęziły się, zdradzając, że się do-



myślała. Szybko umknęła, mając nadzieję wbrew wszystkiemu, że Cinnabar uzna, iż się myliła i zapomni o tym zdarzeniu.

Lady jednak była bardziej dociekliwa i Zimowa Łania niejedną raz zauważyła, jak jej się z daleka przygląda. Obawiała się, że Cinnabar wie o kobiecie, którą niegdyś była, na tyle dużo, aby odkryć jej sekret. Wystarczyło, aby przyłapała ją na codziennych zachowaniach, których za żadną cenę nie dało się zmienić czy usunąć.

A teraz... Lady stała nad nią, patrząc jej w oczy spojrzeniem kogoś, kto w końcu rozwiązał zagadkę.

— Jesteś dobrym kanałem i pracujesz dzisiaj z lepszym rezultatem, niż widziałam to wcześniej — powiedziała Cinnabar łagodnie. — Twoje umiejętności i dodawanie otuchy utrzymały tę pierzastą przy życiu. Jesteś teraz lepszą trondi'irn i uzdrowicielką niż kilka tygodni temu.

— Dziękuję — odrzekła cicho Zimowa Łania, próbując bezskutecznie unikać dziwnych czerwono-brązowych oczu lady.

— W ogóle zrobiłaś ogromne postępy. Pozbądź się tego drania Conna Levasa i stań na własnych nogach, a będziesz wybitna — dosadne słowa Cinnabar docierały do Zimowej Łani z daleka. — On nie jest ciębie wart, a ty go nie potrzebujesz, Reanna.

Wypowiedziawszy to, odwróciła się i podeszła do następnego pacjenta, zostawiając osłupiałą Zimową Łanię.

Oszłołomiła ją nie tylko otwartość Cinnabar, ale przede wszystkim ostatnie słowo, jakie wypowiedziała.

*Reanna.*

Zimowa Łania podeszła do następnego pacjenta. Na szczęście jej dłonie same wiedziały, co mają robić, i nie musiały być sterowane przez umysł. Jej umysł wirował niczym mysz w beczce.

Lady Cinnabar w i e. Zimowa Łania została zdemaskowana.

Ile czasu minie, nim lady Cinnabar powie swemu krewniakowi Urtho, że Reanna Laury — zaginiona, a najprawdopodobniej zbiegła — pracuje tu, w jego szeregach jako zwykła trondi'irn? Ile czasu minie, nim wszyscy się dowiedzą? Nim jej hańba zostanie ujawniona przed całą armią?

Zanim jednak zdołała się otrząsnąć, lady Cinnabar wróciła.

— Teraz ty i reszta zdołacie już sobie sami poradzić — powiedziała cicho. — Muszę wracać na Wzgórze. Nie tylko gryfy zostały ranne. A poza tym, Reanna... — Zimowa Łania zadrżała na dźwięk swego dawnego imienia.

Cinnabar położyła chłodną dłoń na jej ramieniu.

— Nikt nie dowie się o tym, co przed chwilą do ciebie mówiłam, jeśli ty sama tego nie wyjawisz — rzekła cicho uzdrowicielka. — Jeżeli postanowisz być tylko Zimową Łanią, nikt o niczym się nie dowie. Sądzę jednak, że powinnaś porozmawiać z Bursztynowym Żurawiem. On jest w posiadaniu pewnych informacji,

które powinnaś poznać.

Lady uśmiechnęła się swym słynnym olśniewającym uśmiechem.

— Czasami znajdowanie się w centrum wydarzeń nie pozwala zainteresowanemu na dostrzeżenie tego, co naprawdę się dzieje. Będąc pionkiem, trudno się zorientować, dlaczego gra przebiega tak, a nie inaczej. Wiadomo tylko, że została przegrana, ale nie wiadomo dlaczego.

I wypowiedziawszy to raczej niejasne spostrzeżenie, lady odwróciła się i odeszła.

Zimowa Łania siedziała w swym skromnym namiocie i skręcała bezmyślnie kawałek rzemyka; była kłębkim nerwów. Za kilka chwil miała iść na spotkanie — na spotkanie, na które czekała z radością. Kestra'chern Bursztynowy Żuraw był osobą, z którą rozmawiało jej się tak łatwo, jak z nikim innym — chociaż ze zmianami, które wywołał, nie było jej łatwo sobie radzić.

Teraz jednak Cinnabar już wie. I chociaż obiecała, że nie wyjawি sekretu, powiedziała coś jeszcze.

„Sądzę, że powinnaś porozmawiać z Bursztynowym Żurawem”. Słowa Cinnabar nie dawały jej spokoju. Kim i czym był ten człowiek, że powinna z nim rozmawiać o tym, czego nie wyjawiała nikomu, o tajemnicy jej przeszłości, którą pragnęła pogrzebać raz na zawsze?

Dlaczego Cinnabar powiedziała coś tak wstrząsającego?

A przede wszystkim, dlaczego chce posłuchać jej rady?

*Bogowie — co mam robić? Co mam powiedzieć?*

Oczywiście, mogła niczego nie mówić, ale Bursztynowy Żuraw potrafił odczytać wszelkie niuanse mowy ciała i doskonale wiedział, kiedy jest z jakiegoś powodu przygnębiona. Potrafił wydobyć z niej wszystko, co chciał wiedzieć tak łatwo, jak ona wyjmowała cierń ze szponu swych podopiecznych.

*Mogę przestać do niego chodzić. Mogę znaleźć kogoś innego, aby dokończyć leczenie.*

Jednak nie chodziła do niego tylko z powodu swych pleców, wiedziała o tym. Już nie. Bursztynowy Żuraw stał się najbliższą osobą, jaką tutaj miała. Co więcej, był jedyną osobą, której powierzyłaby swoją tajemnicę.

*A więc dlaczego tego nie zrobić?*

Ponieważ nie chciała stracić tej przyjaźni. Jeżeli kestra'chern dowie się, kim ona jest, czy będzie mógł nadal żywić do niej szacunek?

Cinnabar powiedziała jeszcze coś: „Pozbądź się tego drania Conna Levasa i stań na własnych nogach”. O, Cinnabar nie myliła się ani trochę. Ona i Conn pasowali do siebie jak pięść do nosa. A radzenie sobie z Connem kosztowało ją więcej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Zawsze wiedziała — obojętnie czy Conn był tego świadom czy nie — że

związek z magiem był tylko chwilowy. Kiedy zgodziła się zostać „jego kobietą”, sądziła, że wszystko będzie trwało krótko, do czasu aż Ma’ar zetrze ich wszystkich z powierzchni ziemi. Kwestia kilku tygodni, najwyżej miesięcy. Urtho jednak okazał się nadszpiewanie dobrym przywódcą i oto żyła z Connem dłużej, niż zakładała.

Potem łudziła się, że prędzej czy później Conn się nią znudzi i ją odprawi. Okazało się jednak, że albo inne kobiety skupione wokół Szóstego także poznały się na magu — dużym dziecku, zaborczym i mającym napady złego humoru — albo on nadal uparcie ją cenił. Nie robił bowiem nic, aby się jej pozbyć pomimo uwag na temat jej chłodu.

Poza tym był mistrzem manipulacji, a jedną z osób, który manipulował tak łatwo, jak oddychał, była ona. Nie lubiła sprzeczek, nienawidziła scen. Łatwo popadała w zawstydzenie. Wiedział, jak i czym ją nastraszyć i kiedy przejść od gróźb do czarujących pochlebstw.

Od samego początku ten związek był tak zimny jak każde małżeństwo z rozsądku. Dzięki niemu mogła się zamaskować i dawała Levasowi to, czego mu było trzeba. Każde z nich miało oddzielny dobytek i sypialnię; łączyło ich tylko wzajemne towarzystwo.

*Ale nie wpuszcza się nikogo do łóżka bez jakiegoś emocjonalnego obciążenia.* Była na tyle mądra, aby się do tego przyznać I chociaż cieszyłaby się, gdyby odszedł, dopóki twierdził, że jej potrzebuje, wiedziała, że zostanie. Dopiero gdyby to sam zrobił uwolniłaby się od niego.

Bursztynowy Żuraw już to umiejętnie z niej wydobył, a w konsekwencji sprawił, że musiała się przyznać do najskrytszych pragnień. Nie chciała już Conna i z całego serca pragnęła, aby zniknął z jej życia. Została tylko litość. Cała namiętność, nawet ta fizyczna, rozwiła się. Bursztynowy Żuraw dawał jej więcej przyjemności niż Conn, nie wkraczając w ogóle w sferę miłosną czy erotyczną. A teraz Cinnabar mówi, że powinna się go pozbyć...

*Cinnabar pewnie myśli, że on wykorzystuje moje zasoby, moją moc. Przypuszczam, że tak jest. Ilekroć wraca do domu z linii frontu, urządza sceny, a potem przez pół nocy muszę go pocieszać, dodawać mu sił, podczas gdy czuję się coraz gorzej. Nagle łapię się na tym, że chcę, aby umarł, a potem znowu czuję się winna za to, że mu źle życzyłam...*

Och, wszystko było takie pogmatwane. Bursztynowy Żuraw na pewno pomógłby jej to rozwiązać. Jednak jeśli pójdzie na to spotkanie, on odkryje jej sekret.

Bolał ją żołądek. Zawsze ją bolał, kiedy się denerwowała. Bursztynowy Żuraw wie wszystko o ziołach; być może miałby coś na jej żołądek, tak jak przedtem na plecy. Gdyby tylko trzymała się tego tematu, uniknie zdradzenia mu czegoś ważnego.

Odłożyła na bok rzemyk, wstała z posłania i wyszła w szarobłękitny zmierzch.

Czas iść. Nie ma ucieczki. Ani powodu, by uciekać.

Już w chwili gdy Zimowa Łania wślizgnęła się przez wejście namiotu, Bursztynowy Żuraw wiedział, że stało się coś złego. Nawet gdyby nie był empatą, a tylko uczniem w różnych technikach kestra'chern, wiedziałby to. Poruszała się sztywno, mięśnie miała napięte, a mała pionowa zmarszczka między brwiami była głębsza niż zwykle. Jej oczy były zaczerwienione i podrażnione, a ramiona trzymała tak, jakby w każdej chwili spodziewała się ciosu.

— Czy Conn Levas już wrócił? — spytał ostrożnie, sądząc, że powodem jej napięcia jest mag.

Jednak zdziwione spojrzenie — jak gdyby było to ostatnie pytanie, jakiego się spodziewała — powiedziało mu, że strzał był chybiony. Powodem zakłopotania nie był zatem jej kochanek.

— Nie — odparła i odwróciła się do niego plecami, skromna jak zawsze, aby się rozebrać do masażu. — Oddziały pieszych są nadal na linii frontu. Podobno nie wiecie im się dobrze. Chyba wiesz, że Ma'ar znowu wypchnął je z Przełęczy. Szósty ma duże straty, a Czwarty i Trzeci wysłały gryfy z noszami, aby ewakuować rannych. Na lądowisku było bardzo niedobrze.

— Słyszałem.

Skana też nie było. Jako jedyny gryf potrafił dotrzymać tempa Zhaneel i Urtho wyznaczył go do jej ochrony. Wyłączono ich ze zwykłych zadań: latali tylko na specjalne polecenie Urtho, zazwyczaj przenosząc jakąś magiczną broń czy tarczę. Czarny Gryf zdał już Bursztynowemu Żurawowi lapidarne sprawozdanie ze strat, zanim wyruszył na drugi lot.

— Nie dziwię się, że po takim dniu jesteś spięta.

— I mam kamień w żołądku — powiedziała, zasłaniając się suknią, zanim się odwróciła. Na jej twarzy malowała się nadzieja zmieszana z rezygnacją, jak gdyby niechętnie przyznawała się do tego, że zawiodło ją ciało. — Może znalazłbyś coś na to?

— Zakładając, że ufasz moim zamiarom — odparł, próbując rozluźnić ją żartem. — Zaleciłbym ci mieszankę przetacznika, korzenia lili i ślazu. Akurat mam wszystko pod ręką. Nie jesteś jedyną osobą, która przyszła dziś do mnie z napiętymi mięśniami i skurczem żołądka.

Jej oczy z lekka się rozszerzyły, ponieważ wszystkie te trzy zioła miały bardzo silne działanie. Powszechnie uważano, że rozwiązują język i zwalniają również wszelkie inne hamulce.

— Nie wiem — odparła z wahaniem. — Ale może przez wzgląd na sta moich pleców i żołądka, powinnam.

Taką samą mieszankę dość często robił też dla siebie. Pokiwał więc ze zrozumieniem głową i skierował się do skrzynki z ziołami. Odmierzył równą ilość każdego z trzech składników do filiżanki i zalał je gorącą wodą. Zostawił filiżankę, aby zioła naciągnęły.

— Wierz mi, wiem, jak się czujesz. Jak już mówiłem, muszę uciekać się do ziół o wiele częściej, od kiedy trwa wojna. Jestem przy wojsku Urtho — pozwól, niech pomyślę — od czasu upadku króla, gdy Urtho dopiero zaczynał dowodzić.

Ostrożnie chwyciła filiżankę gorzkiej herbaty. Skrzywiła się, posmakowawszy napoju, po czym wypła wszystko do dna.

— To dłużej niż ja — zauważyła. — Skoro jesteś przy Urtho od tak dawna, przypuszczam, że musisz dość dobrze znać dwór.

— Ja? W ogóle go nie znam. — Zaśmiał się i mógł przysiąc, że Zimowa Łania trochę się odprężyła. — Nie, wtedy byłem kestra'chern tylko dla Kaled'a'in; wszystkie klany przybyły, skoro tylko Urtho nas wezwał. I przez kilka miesięcy żyliśmy oddzielnie. Po prostu wydawał wodzom klanów swoje rozkazy i im zostawiał sposób wcielania ich w życie. Sam zaś próbował ogarnąć resztki sił obronnych. W tym czasie nikt nie wiedział, w jakim stopniu zostałem wyszkolony — kestra'chern nie otrzymywali stopni w klanach, tak jak to się dzieje gdzie indziej. Dopiero później zyskałem rangę, kiedy już wszystko było zorganizowane.

Ułożyła się na stole do masażu.

— Znając postawę klanów, musisz być zdegustowany paniczną ucieczką dworzan.

Znieruchomiał z butelką ciepłego olejku w dłoni, słysząc dziwny ton w jej głosie. W sposobie, w jaki wypowiedziała ostatnie zdanie, było coś, co dało mu nikły przeblysłk zrozumienia. Postanowił kontynuować rozmowę.

*Poruszaj się powoli, ostrożnie* — pomyślał. — *W tym kryje się coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Jeśli będziesz bardzo ostrożny, odpowie dziś na wszystkie pytania.*

— Trwaliśmy przy Urtho, ponieważ byliśmy chronieni i nigdy nie odczuwaliśmy lęku — odparł, nalewając odrobinę olejku w zagłębienie dłoni i rozcierając go na jej plecach. — Jak wiesz, mieliśmy swych własnych magów. Dzięki temu czuliśmy się bezpieczni, gdyż oni służyli tylko Kaled'a'in, i Ma'ar nie mógł nas tknąć. Nie miał możliwości umieszczenia wśród nas swych szpiegów, nie mógł zatem nas osłabić, tak jak to zrobił z Jego Wysokością królem i dworem.

Mięśnie pod jego dłońmi zadrżały.

— Co przez to rozumiesz? — spytała niespokojnym i ostrym tonem.

Gładził jej plecy i odezwał się rozmyślnie uspokajającym tonem.

— No cóż, Ma'ar zawsze potrafił wykorzystać wszelkie okazje i nigdy nie posługiwał się bezpośrednim atakiem, kiedy mógł osiągnąć ten sam cel potajemnie. Perfidia, zdrada, manipulacja — oto jego ulubiona broń. Najpierw za pomocą tych środków zyskał kontrolę nad swoją ziemią, a teraz tak samo podbija inne, zanim wyruszy do nich ze swoimi oddziałami. Jest bez serca i okrutny, ale nigdy nie poświęca bez powodu więcej niż musi, aby zdobyć to, czego pragnie.

— Ale co to ma wspólnego z nami? — spytała chrapliwie. — Co to ma wspólnego z tymi tchórzami, którzy zwyczajnie opuścili króla, uciekli, zostawia-

jąc dwór i swych ludzi w całkowitym chaosie?

— Wszystko — odparł lekko zdziwiony. — Ma'ar miał tuzin szpiegów na dworze, czyżbyś o tym nie wiedziała? Ich praca polegała na rozsiewaniu plotek, tworzeniu podziałów, utrudnianiu wszystkiego, co robił król. Nie znam ich nazwisk, ale Cinnabar je z pewnością zna. To ona głównie ich rozpoznała i zdemaszkowała po tym, jak król się załamał. Jednak najgorsze nastąpiło później. Kiedy agenci zrobili wszystko, co się dało, aby doprowadzić dwór do wrzenia, Ma'ar wysłał jednego z nich do pałacu z małym „prezenterem” dla króla i jego sprzymierzeńców. — Wydał usta z obrzydzeniem. — Perfidia najgorszego rodzaju Czy słyszałaś kiedyś o takiej rzeczy jak *dyrstaf*?

— Nie — odparła.

— Skan może ci powiedzieć coś więcej na ten temat. Był w tym czasie w Wieży razem z Urtho, dlatego jest doskonale zorientowany. W przeciwieństwie do lady Cinnabar, Skan jest magiem. — Bursztynowy Żuraw próbował przypomnieć sobie wszystko, co Cinnabar i Skan mu opowiadali. — Dyrstaf to coś niepozornego, zazwyczaj różdżka lub coś w tym rodzaju, nasycone zaklęciem strachu. Wygląda całkiem zwyczajnie, dopóki nie zostanie uruchomiona, a nawet i wówczas nie odznacza się niczym dziwnym oprócz magicznej poświaty. Najpierw ludzie odczuwają niewielki niepokój, a po upływie dnia i nocy wpadają w panikę. A ponieważ nie atakuje nikogo ani niczego konkretnego, większość czarów ochronnych nie skutkuje. Gdy szpieg wnosił ją do pałacu, nie była aktywna, a więc nikt nie domyślił się jej obecności. Dlatego też nie uruchomiła żadnej pułapki ochronnej, które znajdowały się wokół króla.

— Czar lęku? — powiedziała cicho. — Ale dlaczego tarcze ochronne pałacu... nieważne. Była wewnątrz tarcz, kiedy zaczęła działać, a więc oczywiście tarcze nie przepuściły niczego na zewnątrz.

— A zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, było już za późno, żeby coś na to poradzić — odparł Bursztynowy Żuraw. — Najgorszą część swojej roboty wykonała po zapadnięciu zmierzchu, w nocy, w czasie, gdy ludzie są najbardziej podatni na lęki. Magowie zawsze śpią osłonięci czymś w rodzaju prywatnej tarczy, więc nie zostali porażeni. Każdy, kto był szkolonym uzdrowicielem, także spał pod tarczą. Nie zapominaj, że większość uzdrowicieli jest też w pewnym stopniu empatami, a to była emocja, a więc chroniła ich przed nią ich własna osłona.

— Ale reszta... — zadrżała.

— Reszta po prostu uciekła — Bursztynowy Żuraw westchnął. — Rano pałac był pusty. Uciekli nie tylko szlachetnie urodzeni, choć być może słyszałaś inaczej. Wszyscy uciekli. Cinnabar mówiła, że jedynymi, którzy zostali, byli magowie i uzdrowiciele. W stajniach nie został ani jeden koń, osioł czy muł, który nadawałby się do osiodłania. Uciekła służba, straż pałacowa, a król załamał się całkowicie. Cinnabar wraz z innymi wezwała Urtho z Wieży. Jednak gdy Urtho

znalazł *dyrstaf*, było już za późno. Najgorsze już się dokonało.

— Ale nie wrócili. — Nie mylił się, Zimowa Łania powiedziała to niesłychanie gorzkim tonem, przepełnionym poczuciem winy — Mogli przecież wrócić, ale nie zrobili tego. Zwykli tchórze, wszyscy bez wyjątku.

— Nie — odrzekł stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. — Nie wrócili nie dlatego, że byli tchórzami, ale dlatego że zostali zranieni. *Dyrstaf* rani serce i duszę tak głęboko, jak zwykła broń rani ciało. Pozostawia niewidoczną ranę przerażenia, która wciąż się pogłębia, ponieważ nie można jej dostrzec i nie krwawi. Nie byli tchórzami, zostali ciężko zranieni, a większość z nich odeszła, myśląc tylko o swoim lęku i wstydzie. Niektórzy, jak król, zmarli.

— Król... nie żyje? — odezwała się drżącym głosem. — Nie wiedziałam.

Bursztynowy Żuraw westchnął.

— Nigdy nie miał silnego serca, poza tym był stary. Kiedy Urtho znalazł go zamkniętego w szafie, był ogarnięty niewysłowionym wstydem. Wstyd złamał mu duszę i w ciągu następnego miesiąca król czuł się coraz słabszy. Ponieważ nie miał dzieci, a wszyscy następcy odeszli, Urtho stwierdził, że lepiej będzie, aby ludzie sądzili, iż udał się na wygnanie.

— A Cinnabar? — spytała ostro. — Dlaczego ona nie uciekła? Czyż to nie dowodzi, że wszyscy, którzy to zrobili, są tchórzami?

— Cinnabar była już wtedy wyszkolonym uzdrowicielem, moja droga — rzekł. *Nie tak jak ty, malutka. Być może miałaś dar, ale twoja rodzina nic uległa tobie i nie pozwoliła ci się szkolić.* — Pracowałaś z nią, wiesz, jak ogromną ma moc, a jej empatia nie jest wcale słabsza niż uzdrawianie. Przed zewnętrznymi emocjami chroniła ją tarcza i nawet nic podejrzewała, że coś złego się dzieje. Dopiero rano mogła stwierdzić, że lęk pochodzi z zewnątrz i była wśród tych, którzy posłali po Urtho i pomogli mu znaleźć *dyrstaf*. Wszyscy weszli prywatną Bramą Urtho do sali tronowej. Z wyjątkiem Skana, zbyt dużego, aby się zmieścić. Niestety, zanim Urtho i magowie znaleźli *dyrstaf*, było już za późno, aby cokolwiek zdziałać.

— Zawsze mówiono, że jej rodzina jest ekscentryczna — odezwała się Zimowa Łania, jakby do siebie. — Nie mieli nic przeciwko temu, aby ich dzieci zostały w przyszłości magami czy uzdrowicielami. Zazdrościłam jej...

Jęknęła, gdy zbyt późno uświadomiła sobie, że dała mu klucz do swej przeszłości.

— Gdyby twoi rodzice pozwolili ci szkolić się w umiejętności uzdrawiania, zamiast zmuszać cię do nauki tego, co mogłaś poznać na własną rękę, prawdopodobnie nie byłoby cię tutaj — rzekł cichym głosem. — Gdybyś była właściwie wyszkolona, stałabyś obok Cinnabar, pomagając jej tamtego dnia. Nikt nie jest bardziej narażony na rany od niewyszkolonego empaty. Być może byłaś w całym pałacu osobą najbardziej podatną na działanie *dyrstafu*. Pomyślałaś o tym czar Ma'ara tak bardzo zranił innych, że dziwił się, iż ciebie nie zabił.

Jej ramiona drżały od łkania.

— Chciałabym, aby tak się stało! — łkała w poduszkę. — Bogowie! Naprawdę bym chciała!

Ostrożnie, bardzo ostrożnie, usiadł obok niej na łóżku i ujął jej ramiona swymi silnymi dłońmi, pomagając jej unieść się i odwrócić. Teraz mogła wyplakać się na jego ramieniu zamiast szlochać w bezduszną poduszkę. Przez jakiś czas tylko ją przytulał, pozwalając, aby jej długo powstrzymywany ból znalazł swe ujście. Kotysał ją lekko, głaszcząc po włosach i szyi.

Drżała i miała zimną skórę. Gestem wślizgnął się, cichy niczym cień, i położył obok grubą, ciepłą tunikę. Podziękował hertasi oczami, wziął ją i owinał wokół jej ramion. Odprężyła się, kiedy zaczęło ją przenikać ciepło. Stopniowo jej łkanie osłabło.

— Dlatego wybrałaś sobie imię „Zimowa Łania” — odezwał się. — Cały czas zastanawiałem się nad tym. Wybrałaś je nie dlatego, że jest to imię Kaled’a’in. Miałaś nadzieję, że łania, to łowne zwierzę, umknie w chłód zimy, który sprawi, że nie będziesz niczego odczuwać.

— Zanim tu przybyłam, nie znałam Kaled’a’in - szepnęła.

— Ach tak. — Jedną ręką masował jej kark, a drugą przyciskał ją do piersi. — Wiesz, że nie musisz mi odpowiadać, chciałbym jednak wiedzieć, kim jesteś. Jeśli masz krewnych, którzy jeszcze żyją, pewnie chcieliby wiedzieć, że tobie nic się nie stało.

— Skąd wiesz? — odrzekła ostro, ale nie zareagował na to, po prostu odpowiedział.

— Wiem, częściowo dlatego, że jednym z moich zadań jako kestra’chern jest przekazywanie takich informacji Urtho, na wypadek gdyby jacyś krewni szukali innych żyjących członków rodu. Wiem także, ponieważ ja sam straciłem rodzinę, kiedy uciekła beze mnie, i nigdy już jej nie odnalazłem. A z tej niepewności rodzi się straszna pustka, próżnia i ból, że nie można poznać prawdy, choćby najgorszej.

— Och, przepraszam — rzekła krótko.

— Dzięki — odparł.

Wyczuł, że ona jeszcze nie skończyła, i czekał.

W końcu znowu przemówiła.

— Niegdyś nazywałam się lady Reanna Laury.

Zimowa Łania mówiła, a Bursztynowy Żuraw słuchał długo w noc. Była jego ostatnią klientką. Wyzначzył jej tę godzinę, przeczuwając, że gdy pękną bariery, będzie potrzeba wielu miarek świecy, aby skończyć rozmowę. Mieli więc dużo czasu.

Mówił do niej, głaskał, ale nie zrobił choćby najmniejszego gestu, który by nie był platoniczny. Wiedział, że ona na wpeł spodziewa się, że ją uwiedzie, wiedział



także, że gdyby w jakiś sposób ją ośmielił, ona uwiodłaby jego. Jednak sytuacja była zbyt zagmatwana, aby pozwolić sobie na jeszcze większe komplikacje. Byłoby to nie tylko nieprofesjonalne z jego strony, ale niegodne przyjaźni.

Nie żeby tego nie chciał.

Była bardzo słodka, uległa w jego ramionach. Wyczuwał u niej namiętną naturę, o której Conn Levas z pewnością nie miał zielonego pojęcia. A ona była gotowa tę naturę przed nim odkryć.

Jednak istotą talentu kestra'chern było wyczuwanie właściwej chwili, a wiedział, że ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Posłał ją zatem do namiotu wyczerpaną emocjonalnie i duchowo, a nie fizycznie. Sam zaś drżący rzucił się na łóżko, aby gapić się w sufit namiotu i fantazjować o wszystkich tych rzeczach, jakie chciałby z nią robić.

Nigdy tak naprawdę nie oczekiwał, że znajdzie kogoś, z kim będzie chciał dzielić swe życie. Zawsze sądził, że będzie miał szczęście, jeśli znajdzie jedną czy dwie przypadkowe kochanki spoza swej profesji.

Teraz miał nieoczekiwaną pewność, że znalazł kogoś, kto wspaniale do niego pasował, choć ona nie miała o tym pojęcia. Na razie wiedziała tylko, że on potrafi ją pocieszyć, ukoić prześladowające ją lęki. Nie chciał jej, dopóki ona nie otrząśnie się z tego wszystkiego. . . dopóki nie pozna, kim i czym naprawdę jest, i nie zapragnie go jak kogoś sobie równego, a nie tylko jak pocieszyciela i obrońcy.

*To już dostała od Conna.*

Bez względu bowiem na to, kim kiedyś była, Zimowa Łania stała się teraz silną, energiczną i wykształconą kobietą. Miała ogromną zdolność współczucia, której tak się bała i tak się przed nią wzbraniała w obawie, że zostanie zraniona. Pokonała swoje lęki, wyszkoliła się w czymś, co mogło być przydatne w obozie Urtho. Wróciła, aby zająć tu swoje miejsce, podczas gdy setki innych, którzy nie byli tak silnie porażeni jak ona, pozostało na wygnaniu. Co prawda, nie wróciła pod swoim nazwiskiem, jednak jakakolwiek przedwczesna próba ujawnienia swego pochodzenia mogłaby tylko zniszczyć układ, który osiągnął Urtho. Dom i siły rodu Laury odpowiedziały na wezwanie Urtho, a nie tych, którzy rządzą kiedyś nimi i ich lojalnością z racji urodzenia. Nie ma sensu teraz narażać zawartego już układu na zerwanie.

Myślał, że ją o tym przekona — a co więcej, był pewien, że ona sama również tak uważa, ale boi się do tego przyznać, by nie zostało to uznane za kolejne tchórzostwo. Oczywiście tak nie było. Przemawiał prze z nią tylko zdrowy rozsądek, który jednakże sam w sobie czasami nie wystarcza.

— Byłoby inaczej — powiedział jej — gdybyśmy mieli sytuację podobną do Lorda Cory. Wrócił na swe stanowisko, chociaż jest na emeryturze, zostawiając jednego przedstawiciela swojej linii, aby zarządzał jego ziemiami. Zrobił tak, pomimo że jest na to wszystko o wiele za stary. Jednak okazał się wspaniałym dowódcą, więc Urtho nie zamierza go prosić, aby się wycofał. Gdyby jednak ujawnił

się któryś z jego synów albo córka, chcąc przejąć po nim dowództwo, będziemy mieli nowego generała polowego, zanim się obejrzysz.

— Ale ludzie Laury są dowodzeni przez generał Micherone — zauważyła Zimowa Łania i westchnęła. — Nie potrafiłabym być tak dobrym dowódcą jak Bet Micherone. Urtho ma do niej całkowite zaufanie. Nie widzę więc jakiegokolwiek powodu, abym musiała wrócić do dawnego życia.

— Ani ja — rzekł Bursztynowy Żuraw. — Zapytaj jednak lady Cinnabar, gdyż ona lepiej zna sytuację polityczną ode mnie. Jeśli i ona powie, żeby sobie tym nie zawracać głowy, wtedy ja także nie widzę powodu, abyś nie mogła zostać Zimową Łanią do końca życia. — Zaśmiał się słabo, po czym dodał: — A jeśli ktokolwiek zapyta, dlaczego nosisz imię Kaled'a'in, powiem, że zostałeś adoptowana przez mój klan. Gdybyś chciała, mogę to zaaranżować.

Spojrzała na niego z namysłem.

— Bardzo bym chciała — odparła.

Zastanawiał się, czy ona wie lub się domyśla, co to oznacza. Kaled'a'in nie biorą nikogo spoza klanu ot tak sobie. Zazwyczaj był to ktoś, kto miał poślubić kogoś z plemienia, złożył braterską przysięgę krwi z Kaled'a'in lub oddał klanowi jakąś wielką przysługę.

A jednak nie żałował, że złożył taką ofertę. Wręcz przeciwnie. Chętnie się tym zajmie. Jeśli sprawy ułożą się, jakby tego pragnął. . .

*Nie teraz — powiedział w duchu — ale może pewnego dnia. Najpierw ona musi załatwić sprawę z Connem Levasem. Dopiero wtedy będziesz mógł cokolwiek zacząć. W przeciwnym razie utwierdzi się w przekonaniu, że go zdradziła, a i tak już ma wiele powodów, by tak myśleć.*

Potrzeba tylko cierpliwości, która nieobca była wszystkim Kaled'a'in. Potrzeba cierpliwości, gdy się chce wyszkolić jastrzębia czy konia, by osiągnęły doskonałość. Potrzeba cierpliwości, aby stać się szamanem, uzdrowicielem albo kestra'chern.

*Ale ja już bytem wystarczająco cierpliwy, starczy mi do końca życia! Teraz, chciałbym, aby dla odmiany moje wysiłki przyniosły natychmiastowy skutek!*

Bardzo by tego pragnął, ale zbyt dobrze wiedział, że nie powinien na to liczyć. Wystarczało, że pośród całego tego bólu i śmierci jest gdzieś trochę życia i ciepła, które są jego udziałem.

I z tą wzniosłą myślą zapadł w sen.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Krzyk ptaka wyrwał Bursztynowego Żurawia z twardego snu. Znał ten krzyk: wysoki i brzmiący jak płacz dziecka. Natychmiast siadł na łóżku, mrużąc oczy, by przedrzeć się do rzeczywistości.

*Co jest? Poślaniec o tej godzinie? To już rano! Co mogło się...*

Jednak jeśli ktoś przysłał ptakaposańca, drapiącego w płótno namiotu, oznaczało to jedno: kłopoty. Nie było czasu, aby posłać hertasi zamiast ptaka. Nim Gesten zdążył dotrzeć do klapy namiotu, Bursztynowy Żuraw wyskoczył z łóżka i popędził do wejścia, by wpuścić ptaka, który usiadł na jego ramieniu, skrzecząc przez chwilę w podnieceniu, a potem przemówił głosem Tamsina.

— „Żuraw, jesteś potrzebny na Wzgórzu. Zaraz”.

Cała informacja. Normalnie Bursztynowy Żuraw był ostatnią osobą, którą Tamsin prosiłby o pomoc na Wzgórzu. Kestra'chern wiedział, że Tamsin doskonale znał jego ograniczenia — nadal zdarzało mu się tracić kontrolę nad swym empatycznym darem. O wiele lepiej nadawał się do zawodu, który sam sobie wybrał — obaj o tym wiedzieli. Skoro jednak Tamsin posłał po niego ptaka, sytuacja na Wzgórzu musiała wymykać się spod kontroli. Uzdrowiciele ściągali wszystkich weterynarzy, zielarzy oraz kestra'chern, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o uzdrawianiu, potrafili przygotować ranę do zszywania albo łagodzić ból.

Naciągnął na siebie ubranie i biegiem ruszył do namiotów uzdrowicieli. Kręciło się tam mnóstwo ludzi odzianych równie niedbale jak on i tak jak przypuszczał, nie był jedynym kestra'chern. Cokolwiek się stało, musiało być gorzej, niż mógł sobie wyobrazić. O prawdziwych rozmiarach klęski przekonał się, gdy przybył do namiotów uzdrowicieli. Zatrzymał się oniemiały, dysząc z wysiłku, porażony widokiem tak ogromnej liczby umierających. Namioty przepełnione były ofiarami, leżącymi wszędzie tam, gdzie był skrawek wolnego miejsca. Krew wsiąkała w ziemię, spływała szkarłatnymi strużkami z ubrań i pośpiesznie zakładanych bandaży. Ból uderzył go z taką mocą, że przebił jego tarcze.

— Bursztynowy Żuraw!

Odwrócił się na dźwięk swego imienia. Vikteren chwycił go za ramię i ciągnął do namiotu.

— Tamsin kazał mi czekać na ciebie. Potrzebują cię tutaj przy nieludziach —

powiedział to tak szybko, że prawie nie można było odróżnić słów. — Znam się trochę na weterynarii. Jeśli chcesz, mogę ci asystować.

— Chcę — odparł krótko Żuraw, mrużąc oczy w półcieniu namiotu. Chwilę trwało, zanim jego oczy, oślepione jasnym słońcem, przyzwyczały się do mroku.

A kiedy już mógł widzieć, żałował, że nie jest ślepy. Najbliżej wejścia znajdowało się pół tuzina kyree, które były w najgorszym stanie. Obok nich na sienikach leżały tervardi i hertasi, trudno powiedzieć, jak wiele — aż tyłu namiotu trzech dyheli. Była tylko jedna dywizja w wojsku, która miała tyłu nie ludzi na pozycjach bojowych. Serce mu zamarło.

— O bogowie... Drugi?!

— O mało co, a byłoby po nim — stwierdził Vikteren. — Ma'ar zaszedł ich od tyłu. Nikt nie wie, w jaki sposób.

Nie było czasu na dyskusje. On i jego asystent zajęli się pierwszym pacjentem: kyree, ciętym od gardła do ogona. Nie było chwili do stracenia.

Bursztynowy Żuraw pracował, używając dłoni i daru, zszywając i uzdrawiając rany. Blokował ból, nastawiał kości i zablizniał cięcia. Pracował, jak gdyby świat zawęził się do jego dłoni i ciała, które pod nimi leżało, straciwszy poczucie czasu; nie rozróżniał poszczególnych pacjentów. Polegał na swej wiedzy i instynkcie, a w końcu przestał widzieć nawet własne dłonie. Był tak wyczerpany, wysmagany bólem i lękiem innych, że świat stał się szary, potem czarny, a wreszcie zupełnie zniknął...

Ocknął się w objęciach Vikterena, z głową pod strumieniem wody, którą tamten pompował w szaleńczym tempie. Otrząsnął się i dał znać Vikterenowi, by już przesiał. Ukląkł i z trudem otarł zimną wodę ze swych oczu. Nigdy w życiu nie czuł się tak słaby.

— Zemdlełeś — powiedział mag. — Pomyślałem, że pewnie pomoże ci to, co zazwyczaj skutkuje w przypadku pijaków.

— Prawdopodobnie zrobiłeś najlepszą rzecz, jaką mogłeś — przyznał Bursztynowy Żuraw i zakaszłał. Ilu rannych tam pozostało? Jego praca jeszcze się nie skończyła. — Lepiej tam wróć...

Zaczął wstawać, ale Vikteren powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. To wystarczyło, by Bursztynowy Żuraw się nie ruszył.

— Nie ma po co wracać. Zemdlełeś po tym, jak pomogłeś ostatniemu tervardi i kilku ludziom, którym jeszcze nie udzielono pomocy. Reszcie nikt już nie mógł pomóc.

Bursztynowy Żuraw zamrugał, a potem jeszcze raz. Mag był cały umazany krwią: miał ją na ubraniu, dłoniach i włosach. Jego oczy były zaczerwienione i spuchnięte, a twarz blada jak chusta.

— Skończyliśmy? — spytał, próbując nie okazać zbyt wiele nadziei.

Vikteren pokiwał głową.

— Prawie, z tego co wiem. Ostatniego z rannych przynieśli przez Bramę Jerlag. Ewakuowali tylną straż i zamknęli ją około miarki świecy temu.

*Ewakuowali? Zamknęli Bramę?* Bursztynowy Żuraw zamrugął i uświadomił sobie, że padające na nich obu światło jest zupełnie sztuczne i pochodzi z magicznych lamp używanych przez uzdrowicieli. Niebo było zupełnie czarne pełne migoczących gwiazd.

*Pracowaliśmy przez cały dzień?*

— Gdy zamknęli Bramę, właśnie zachodziło słońce — rzekł Vikteren, odpowiadając na jego niewypowiedziane pytanie. — Urtho jest teraz przy wyjściu z Bramy i...

Drgnięcie w polu magicznym i wrażenie, jak gdyby cały świat usuwał się im spod nóg, kazał obu spojrzeć ku północy, ku Bramie Jerlag. Daleko za horyzontem, za górami pojawił się ogromny błysk światła. Przykrył cały północny horyzont blaskiem tak jasnym, że Vikteren aż zaklął, a Bursztynowy Żuraw zamrugął z bólu i otarł łzawiące oczy. Sztuczne światła tańczyły mu jeszcze przez kilka chwil pod powiekami.

Przez moment nie mogli wydobyć z siebie głosu. W końcu Vikteren rzekł:

— I tyle jeśli chodzi o Bramę Jerlag.

— Czyżby on...?

Bursztynowy Żuraw prawie nie mógł w to uwierzyć, ale Vikteren był magiem i rozpoznał, co zrobił Urtho, lepiej od jakiegokolwiek kestra'chern. Vikteren po kiwał głową.

— Zastosował sprzężenie zwrotne. Ma'ar może wziął Jerlag, ale będzie go to kosztowało o wiele więcej, niż myślał. Urtho po raz pierwszy spowodował implozję jednej ze swych stałych Bram.

Zawisła między nimi złowieszcza i nie wypowiedziana myśl. *I być może nie będzie to ostatnia.*

Bursztynowy Żuraw przełknął ślinę. Nie mógł sobie nawet wyobrazić sił, jakie musiały się wyzwolić przy implozji stałej Bramy. Jednak Vikteren mógł. Młody mag mrużył oczy, patrząc na horyzont.

— Przypuszczalnie jest tam teraz dziura tak wielka jak ten obóz i tak głęboka jak wysoka jest Wieża — powiedział martwym głosem. Teraz z kolei Bursztynowy Żuraw chwycił go pod ramię i podtrzymał, bo Vikteren zachwiał się, jakby miał upaść. Był za ciężki jak na nadwątlone siły Bursztynowego Żurawia, więc podtrzymał go tylko, gdy ten osuwał się na błotnistą ziemię, a potem pochylił się nad nim. Vikteren spojrział na niego szklistymi oczami.

— Upadłeś — odezwał się do niego łagodnie Bursztynowy Żuraw. — Nie jesteś w lepszej formie ode mnie.

— Powtórz to, Żuraw. — Gesten wkroczył w krąg światła magicznych lamp wraz z Aubri i dwoma hertasi lady Cinnabar. — Lady powiedziała mi, gdzie jesteś. Ona, Tamsin i Skan są chorzy ze zmartwienia. Niech Dierne i Lysle pomogą

Vikterenowi wrócić do jego namiotu i go nakarmić, a Aubri pomoże mi zabrać ciebie do twojego — hertasi poklepał młodego maga po ramieniu. — Dobra robota, chłopcze. Tamsin mówi, że obaj zajęliście się wszystkimi ciężko rannymi nieлюдźmi. Naprawdę dobra robota. Gdybym miał stek, sam bym go dla was przyrządził

— W tej chwili wystarczy kilka gotowanych jajek i trochę sera — wymamrotał Vikteren. Jego twarz stała się całkiem szara — Nie mógłbym teraz patrzeć na mięso. Przypominałoby mi o znajomych. . .

Gesten dał znak dwóm pozostałym hertasi, którzy postawili Vikterena na nogi.

— Zjedz coś, odpocznij i wypij to, co ci dwaj tobie dadzą. Nie będziesz miał snów.

— Chciałeś powiedzieć, koszmarów — wymamrotał Bursztynowy Żuraw, podczas gdy hertasi pomagali magowi schodzić ze wzgórza, krok po chwiejnym kroku. — Pamiętam swojego pierwszego rannego na tej wojnie.

— Jak my wszyscy — odezwał się dudniącym głosem Aubri. — Gestenie, podnieś go. Żuraw, połóż się na moich plecach. . .

Wstał, lecz znowu zrobiło mu się ciemno przed oczami i Gesten syknął, gdy kestra'chern nagle z powrotem opadł na ziemię.

— Tak jak myślałem — rzekł hertasi. — Wyczerpałeś swą energię. Rano będziesz się czuł, jakbyś miał kaca.

— Już czuję się, jakbym miał kaca. — Bursztynowy Żuraw włożył głowę między kolana, aby świat przestał wirować przed oczami. — Mam nadzieję, że masz jakiś pomysł. Nie mam zamiaru spędzić reszty nocy w błocie.

— Dlatego właśnie przyprowadziłem Aubriego. Poczekaj chwilę.

Hertasi popędził do jednego z namiotów z narzędziami i wrócił z kilkoma rzemieniami i dwuosobowymi noszami. Podczas gdy Aubri mruczał instrukcje, Gesten przygotowywał uprzęż wokół zada Aubriego i przywiązał do niej za pomocą rzemyków ręczki noszy.

— Wejdz na to — nakazał hertasi. — Tak to umocowałem, żeby Aubri wziął na siebie większość twojego ciężaru.

Bursztynowemu Żurawowi udało się wgramolić na nosze, ale był tak słaby, że trwało to dłużej, niż przypuszczał. Pulsowało mu w głowie, jakby ktoś walił do drzwi. Wiedział, co to znaczy: przeforsował się i płacił za to słoną cenę. Z pewnością nie był dziś jedynym uzdrowicielem, który się czuł tak podle.

Zamknął oczy i obudził się dopiero, kiedy kładziono go do łóżka. Gdy jednak usiłował się poruszyć, jego głowa eksplodowała z bólu. Zamknął więc znowu oczy i poddawał się temu, co robił Gesten. W końcu tkwił w półsiedzącej pozycji, wsparty na poduszkach.

Kiedy znowu otworzył oczy, w namiocie oświetlonym tylko jedną słabą latarenką panowała cisza. Gesten ciągle tam był, choć Aubri i reszta rekrutów hertasi dawno już sobie poszła. Gesten sięgnął po filiżankę i podał mu ją.

— Masz — rzekł szorstko. — Wypij. Wiesz, co to jest.

Wiedział — mieszanka ziół, by mógł zasnąć, tak gęsta od miodu, że dziwił się, iż łyżeczka w niej nie uwięzła. Jednak w tej chwili był zbyt zmęczony, by protestować, i zbyt oszołomiony, aby go to obchodziło. Posłusznie przełknął zbyt słodki, lepki płyn.

Potem zamknął oczy, czekając przez chwilę, aż zioła zaczną działać. A kiedy już zaczęły, osunął się w ciemne wody snu bez jednej fali. Na jakiś czas.

Już dawno Zimowa Łania nie pragnęła tak bardzo zakopać się jakiejś dziurze i zasnąć na sto lat. Zamiast tego dotarła do swego namiotu i padła na legowisko. Zwinęła się w kłębek, czekając, aż mięśnie przestaną ją boleć ze zmęczenia, zbyt wyczerpana, aby się choć rozebrać.

Urtho przegrywa. Taka była powszechna opinia. Pozostało tylko pytanie, czy zaczną się wycofywać, czy też Urtho zdoła wymyślić coś, co przez jakiś czas powstrzyma Ma'ara.

*Rozpadamy się stopniowo; myślałam, że Ma'ar wdepcze nas w ziemię.* Nie przeraziło jej to: była zbyt zmęczona, aby odczuwać strach.

Nie zajmowała się tylko swoimi podopiecznymi, ale została wezwana na Wzgórze, gdy okazało się, jak wielu jest rannych. I nie tylko ona, ale wszyscy, którzy potrafili choćby zakładać bandaż. Widziała, jak długo i ciężko pracował Bursztynowy Żuraw: w końcu sam wyglądał jak ofiara. Nic on jeden: reszta kestra'chern pracowała równie ciężko i nawet perchi przyszły, by mieszać zioła i zmieniać bandaż. W takiej chwili zapomniano o konfliktach i kłótniach.

*Niestety, Shaiknam i Garber znowu odzyskali dowództwa* Chociaż generał Shaiknam nie miał już nieludzi czy magów pój swoją komendą, jednak zbyt wiele ofiar było jego wątpliwa zasługą. Kiedy odnosił sukces, robił to wielkim stylem, ale zawsze kosztem zdrowia i życia wojowników.

*Najlepiej byłoby, gdyby Urtho dał mu dowództwo nad maszynami oblężniczymi i katapultami. One nie umierają.*

No cóż, przynajmniej nie musiała już wykonywać głupich rozkazów Garbera ani szukać dla niego wymówek. W tym momencie Szósty trzymał się na pozycji. I być może nadal będzie się trzymał, a Ma'ar na jakiś czas popuści, pozwalając rzeczom się ustabilizować, a im dając chwilę wytchnienia.

Kroki na zewnątrz namiotu ostrzegły ją w porę. Przekreśliła się na brzuch z twarzą do ściany i udawała, że śpi. Oczywiście, był to Conn, oczekujący tego, co zwykle. Nie miała pojęcia, skąd brał siły, gdy wszyscy inni byli wyczerpani.

Energicznie rozepchnął klapy i stanął obok jej legowiska, czekając, aż się obudzi. Tylko, że ona nie miała zamiaru „się obudzić”.

*Męczysz mnie, Conn. Męczysz mnie ten twój tak zwany „temperament”. Męczysz mnie odgrywanie twojej matki czy kochanki. Nie chcę być twoją kochanką, nie*

*masz dla mnie żadnych względów.*

W tej chwili zrozumiała, że trochę względów miał, bo przecież mógł równie dobrze potrząsnąć nią, aby się obudziła. A wtedy nie miałaby wyboru i musiałaby zrezygnować z fortelu.

*Niech mnie licho, Conn, jeśli ci ustąpię. To ty doprowadziłeś mnie do tego stanu. Jestem zbyt zmęczona, by ruszyć choćby palcem, nie mam sił na nic ani dla nikogo, nawet dla siebie.*

Postał jeszcze chwilę i na próbę szturchnął ją stopą raz czy dwa.

*Bardzo romantyczne, Conn.*

Widywała już ludzi tak głęboko pogrążonych we śnie, że nie zbudziłoby ich nic prócz trzęsienia ziemi. Wiedziała, jak to naśladować. Pozostała zupełnie bezwładna, nie reagowała na jego ukłucia. W końcu wymruczał coś niepochlebnego na jej temat i wyszedł z namiotu.

Jeszcze przez jakiś czas pozostała w tej samej pozycji. Nigdy nie wiadomo, jak Conn zareaguje, gdy jego żądze nie zostały zaspokojone. Mógł się zacząć przy namiocie, aby sprawdzić, czy ona się nie poruszy, lub nawet wrócić... z wiadrzem zimnej wody.

*Nie, tego by nie zrobił. Nie chciałby potem korzystać z mokrego legowiska.*

Mógł jednak znaleźć inny sposób, by ją obudzić.

*To dobrze, że słońce już zaszło: nie będzie mógł znaleźć ptakapostańca. Najprawdopodobniej przysłałby tu jakiegoś, żeby swoim skrzeczeniem mnie obudził. Te małe tajdaki uwielbiają dramatyczne sceny. Bez kłopotu namówiłby do tego któregoś z nich.*

Nic jednak się nie stało i kiedy w końcu ścierpła jej ręka, odwróciła się, nasłuchując choćby szelestu.

Przed namiotem była latarnia i gdyby ktoś się tam czaił, na płótnie widać byłoby sylwetkę. Jednak nie zauważyła nic podejrzanego. Usiadła na łóżku, rozcierając rękę. Pomimo masowania i szczypania, nadal czuła w niej małe kłujące igiełki, ale w końcu przestały jej dokuczać.

Kraniec obozu, w którym mieszkała, był zatopiony w ciszy. Każdy, kto nie miał służby, spał, nie tracąc czasu na inne rzeczy. Wsłuchując się w ciszę, rozpoznała powolny krok wartownika chodzącego między rzędami namiotów, łopotanie flag na wietrze, skrzypienie lin i trzepotanie luźnego płótna.

I coś mruczącego nad głową.

Spojrzała do góry, gdzie maszty namiotu tworzyły krzyż. Dostrzegła tam siedzącą na żerdce małą figurkę.

Wstała z trudem i sięgnęła po nią bez zastanowienia. Dopiero gdy wyciągnęła rękę i poczuła pióra, dotarło do niej, że to mogło być wszystko — szczur, nietoperz, jakaś niemiła niespodzianka od maga.

Ale nie, był to tylko ptakpostańciec. Poglaskała go po piórkach na piersi. Obudził się i mamrotał coś sennie, potem usiadł na jej palcu jak na żerdce.



Zdjęła go delikatnie. Choć były bardzo oswojone, jednak gdy się przestraszyły, mogły uszczypnąć. Drapała go jednym palcem po szyjce, podczas gdy on się budził, ćwierkał do siebie, a potem w końcu przeciągnął się i zatrzepotał.

Przekreślił główkę i spojrzał na nią. Usłużnie stanęła w świetle, aby mógł dokładnie zobaczyć jej twarz i ustalić tożsamość.

Z namysłem kłapał raz czy dwa dzióbkiem, potem znowu nastroszył wszystkie swoje piórka i przemówił.

— „Spotkanie dziś wieczór odwołane” — powiedział głosem Bursztynowego Żurawia. Zadziwiająco, jak dokładnie ten maluch potrafił naśladować zmęczenie, jakie odbijało się w przeciąganiu słów i zdań. — „Zbyt zmęczony. Jutro. Jeśli będziemy mogli. Przepraszam”.

Usiadła z powrotem strasznie rozczerowana, chociaż sarna nie wiedziała, czy byłaby w stanie dojść do namiotu kestra’chern który znajdował się po drugiej stronie obozu. A on z pewnością nie będzie w stanie wykonać jej masażu. Nie po tak niewolniczo przepracowanym dniu.

*A jednak moglibyśmy choć porozmawiać* — pomyślała z żalem. — *Wypłakać się przed sobą. . . pocieszyć.*

Nagle zdała sobie sprawę, że nie myśli już o nim tylko jako o kestra’chern Bursztynowym Żurawiu — czy nawet uzdrowicielu. Chciała rozmawiać z nim o każdym przerażającym szczególe — o człowieku, który zmarł na jej rękach, żołnierzach, którzy już nigdy nie będą mogli widzieć, chodzić czy posługiwać się bronią. Chciała wyszlochać się na jego ramieniu, a potem ofiarować mu takie samo pocieszenie. Potrzebowała tego i zgadywała, że on również tego potrzebuje. Jego przyjaciele byli tak samo wykończeni jak on i nie znajdzie się nikt, kto by go pocieszył.

*Albo mają raczej innych, do których się zwrócić.*

Gdyby tylko nie odwołał spotkania! Gdyby mogła pójść do niego. . .

*A właściwie, dlaczego nie?* — zrodziła się spontaniczna myśl. — *Przyjaciele, by się spotkać, nie potrzebują się umawiać.*

To prawda, ale. . .

Bogowie, do niego było tak daleko! Trzymała małego ptaszka na dłoni, odruchowo głaszcząc jego grzbiet i główkę, a on ćwierkał z zadowolenia. Wystarczyła tylko sama myśl o drodze, by zaczęła płakać. On prawdopodobnie wyczerpał swe uzdrawiające moce, ale ona przez cały dzień podnosiła rannych, ciągnęła ich, transportowała, przewracała. Nic dziwnego, że jej mięśnie paliły ze zmęczenia i były tak sztywne, że nie uniosłaby szklanki z wodą.

Na żwirze ścieżki, między rzędami namiotów, zaskrzypiały czyjeś kroki. Rozlegały się coraz bliżej, ale były zbyt lekkie, by mogły należeć do Conna, więc je zlekceważyła, jednocześnie starając zebrać się w sobie i wstać. *Jeśli zdołam wstać, być może uda mi się dotrzeć do mesy. Jeśli dotrę do mesy, być może będę miała dość sił, by iść do łaźni. Jeśli zajdę aż tam. . .*

Kroki zatrzymały się przed wejściem do jej namiotu, a sylwetka na płótnie nie przypominała jej nikogo znajomego, dopóki mężczyzna nie odwrócił się bokiem, by odejść tą samą drogą, którą przyszedł.

— Bursztynowy Żuraw? — powiedziała głośno nie dowierzającym tonem. Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się z powrotem do wejścia.

— Zimowa Łania? — odezwał się ostrożnie. — Myślałem, że śpisz.

— Ja... jestem zbyt zmęczona, żeby spać, choć to brzmi bez sensu — odparła wdzięczna, że on jest tutaj, że nie musi już o niczym myśleć. — Proszę, wejź! Właśnie starałam się zebrać siły, aby iść cię odwiedzić!

Odsunął kłapę namiotu i spojrzął na nią, siedzącą na legowisku z małym posłańcem na ręku.

— Otrzymałaś moją wiadomość... — rzekł z wahaniem.

— Od kiedy to przyjaciele muszą się umawiać, żeby porozmawiać? — odparła, a on rzucił jej swój lekki, wdzięczny uśmiech. — Wydawało mi się, że oboje musimy dziś z kimś porozmawiać.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo — westchnął, opadając na łóżko obok niej.

Gdy patrzyła na niego, siedzącego tutaj w cieniu namiotu i chcącego tylko rozmawiać, poczuła w sobie rosnące ciepło, jak gdyby kawałek lodu, który nosiła w środku od tak dawna, nagle zaczął topnieć.

— Chcesz zacząć pierwsza, czy ja mogę? — spytał, grzeczny jak zawsze.

On jej potrzebuje! On jej potrzebuje, nikogo innego tylko jej! Wyczuwała ból, jaki go przepełniał, ból, który tak rzadko był łagodzony, że przestał się już spodziewać, że znajdzie kiedykolwiek ulgę. Od jak dawna już nosi to jarzmo bólu? Z pewnością nie była to sprawa tylko dzisiejszego dnia.

— Ty pierwszy — rzekła spontanicznie. — Chyba bardziej potrzebujesz rozmowy ode mnie. W końcu to ty zdobyłeś się, by przebyć tę długą drogę.

Było zbyt ciemno, by widzieć jego twarz, wyczuła jednak, że był zaskoczony.

— Chyba tak... — powiedział wolno.

Posadziła ptaszka na wieszaku i ujęła jego dłoń. Była zimna, chwyciła ją w obie swoje ręce, aby ją ogrzać.

*Dać komuś ciepło, czasami tylko tego trzeba...*

Skan skręcił w bok, robiąc Zhaneel miejsce, aby mogła rzucić się na ścigającego go makaara. Ten, który leciał tuż za nim, zdecydowany rozerwać go na strzępy, był brzydki, granatowy, nakrapiany w jasne cętki, a jego złamane rogi krwawiły, bo zderzył się ze swym kamratem. Zhaneel atakowała, gdy Skandranon odgrywał rolę przynęty, latając wśród rzadkich chmur, aby było go lepiej widać z dołu. Gryfsokół zawieszony wysoko ponad nim doskonale widział przez chmury i z niesłychaną łatwością uderzał na ścigające Skana makaary.

Uderzenie i następujący po nim krzyk mówiły mu o przybyciu Zhaneel, a potem ona sama przemykała obok niego lub pod nim z szybkością trzykrotnie większą od jego własnej. Oczy Skandranona błyszczały za każdym razem, gdy Zhaneel walczyła przy nim. Wrócił na swoją pozycję wabika, podczas gdy ona łukiem strzeliła w niebo, aby zyskać ponownie swoją wysokość ponad makaarami.

*Pięknie! I skutecznie. Jest niezrównana, gdy znajduje się w swoim żywiole. Nowe makaary są słabsze niż te z ostatniego miotu. Dwa mioty, odkąd Kili... ciekaw jestem, czy on jeszcze żyje? Oho, następna grupa.*

Pod nimi i za nimi wrzała walka, a im udawało się absorbować większość makaarów, aby nie przeszkadzały w odwrocie. *Odwrót! Kolejny! A ostrzegałem Urtho, żeby założył umocnienia i pułapki w dolinie, na wypadek gdyby Ma'ar choć odrobinę posunął się do przodu. Nie było jednak czasu ani zasobów. Teraz nasze oddziały przebijają się na tyły, aby uniknąć ostatecznej klęski. A gryfom pozostało tylko polować na makaary. Dziwne, ale mimo wszystko wolałbym teraz siedzieć tłusty i szczęśliwy w swoim namiocie, karmiąc Zhaneel przysmakiem z królika.*

W jasnym świetle dnia Czarny Gryf nie był najskuteczniejszy w ukrywaniu się, zatem on i Zhaneel wymyślili len szczególnie styl walki. Teraz jednak zmienił się on w swego rodzaju taktykę i nowe makaary najwyraźniej odkryły, że Zhaneel potrzebuje trochę czasu, aby osiągnąć swoją wysokość. Nie udawało się już im tak łatwo zabić makaara, ale przynajmniej ich liczba spadła i teraz nie mogło być ich więcej niż trzydzieści.

Kolejna eskadra makaarów — tym razem czwórka, ustawiona w nieregularny romb — zbliżyła się do Skandranona szybciej niż poprzednie eskadry. Zamierzali uderzyć na niego, zanim Zhaneel osiągnie wysokość i zdąży na nich się rzucić. Znajdowali się zbyt blisko Skana, aby on sam mógł skutecznie ich zaatakować. Rezultat — będą go ścigać i zmęczą, w efekcie czego on zwolni i nie będzie mógł na nich uderzyć.

*Taki rezultat redukuje moje szansę na przeżycie w sposób znaczący, a ja nie jestem tym w ogóle zainteresowany. Nic ci lepszego nie przychodzi na myśl, głupi gryfie? Być może zjeść coś albo zatańczyć? Tańczyć...!*

No, to jest coś, czego makaary na pewno się nie spodziewają. *Spodziewają się, że przemknę obok nich albo zwolnię. Ale jeśli się zatrzymam, to może złamać ich szyk. A makaary bez szyku są jak zagubione owieczki. Poza tym to może być nawet zabawne.*

Może przyda się to, co pokazał mu przed dożynkami hertasi Poidon, skok do tyłu z przewrotem przez plecy. Oczywiście, jeśli tylko jego plecy będą w stanie wytrzymać przyspieszenie. Uzdrawianie przez Bursztynowego Żurawia wzmocnione metodyczną opieką Tamsina i Cinnabar sprawiło, że jego ścięgna i mięśnie były wystarczająco sprawne, aby sobie z tym poradzić.

Ponieważ miał szerokie skrzydła, zagarnięcie wystarczającej ilości powietrza, aby móc się zatrzymać, nie powinno stanowić problemu. Gorzej z szybkością.

Zhaneel miała właśnie wydostać się ponad warstwę chmur, ale nie była w stanie przewidzieć, co dzieje się za nią. Będzie się spodziewać, że Skandranon znajduje się już daleko w przedzie, a on nie zdoła przybyć tam na czas. Musi zatem lecieć dalej dopóki ona go nie zlokalizuje. Gdyby zwolnił za bardzo, makaary mogłyby odgadnąć jego zamiar i napaść na niego. A nawet jeśli..

*Gadasz do siebie, zamiast coś zrobić... A w tym czasie te cztery potwory debatują, jakiego sosu użyć do twoich kości! Szczerze mówiąc, ty powinienesz wiedzieć lepiej, gryfie. Urtho dał ci nie tylko skrzydła, przecież wiesz. Masz umysł, abys mógł nim się posługiwać. Włożył czary do twej głowy, ty głupi połciu mięsa, a tego makaary na pewno się nie spodziewają, reagują tylko zgodnie z tym, co przewidują, nie pamiętasz? A spodziewają się, że będziesz martwy, martwy, martwy, nie mają zamiaru pozwolić ci być dumnym ojcem małych gryfiątek.*

Lekkie oślepienie powinno wystarczyć, ale na to potrzeba trochę czasu i trochę spokoju — *spokoju? Kto ci to powiedział? Wystarczy chwila koncentracji, nic więcej, zamartwiający się mazgaju. Nie możesz tego zrobić lecąc, ale możesz tego dokonać spadając. Spadanie będzie twoją najbliższą przyszłością, jeśli uda ci się wykonać przewrót przez plecy. Potrzeba ci tylko jednej spokojnej chwili.*

Makaary doganiały go, skrzecząc. Skan rozpoznał Kilię na przedzie i ta najbliższa przyszłość stała się teraźniejszością. Skandranon wycelował dziób w kierunku chmur i wygiął swe ciało do tyłu. Pęd powietrza, który uderzył go w gardło, prawie odciął dopływ krwi do głowy, pomimo łagodzącego wpływu piór. Wolno i ostrożnie, jak gdyby ćwiczył to od lat, zmienił kąt nachylenia swych szerokich skrzydeł i stanął pionowo. Jego szybkość gwałtownie spadła, a w tej grze o życie szybkość i wytrzymałość oznaczała wygraną.

Z początku makaary musiały myśleć, że chce się poddać. Stara maksyma o stracie szybkości na rzecz wysokości okazała się prawdą, tak długo jak Skandranon trzymał swe skrzydła pod odpowiednim kątem. Wzniósłby się jeszcze wyżej, ale wówczas przeszedł do wykonania swego fortelu i zupełnie się zatrzymał. Wtedy, jak z pewnością dobrze wiedział jego stary nieprzyjaciel Kili, zacznie spadać, a cztery makaary będą pewne, że porwą go na strzepy, gdy będzie nieubłagane pędził ku ziemi.

*Zhaneel, jeśli mi się to nie uda, nie mów nikomu, że zrobiłem coś tak głupiego.*

Makaary wrzasnęły z radości, gdy zwolnił w powietrzu, wyciągając ramiona i skrzydła. Kili zaczął wydawać swój zwycięski okrzyk. Skan wyciągnął ciało, podkurczając jedną nogę, a drugą prostując. Czarny Gryf przez chwilę zawisł nieruchomo w swej powietrznej wspinaczce.

*Przez jedną spokojną chwilę.*

*Przez tę jedną spokojną chwilę...*

Zhaneel biła wściekle skrzydłami, ciągle jeszcze podniecona walką, ale już

zmęczona. Ponad cienką warstwą chmur, które ona i Czarny Gryf wykorzystywali jako zasłonę, powietrze było rzadkie i jej płucom brakowało tlenu, gdy znajdowała się tam zbyt długo. Bolały ją także szpony od uderzania w makaary.

A jednak było zupełnie inaczej. Walka u boku Czarnego Gryfa była czymś, o czym mogła dotąd tylko marzyć. Tak dobrze im się razem pracowało, wydawało się, że wszystko musi się im udać — jednak dobrze wiedziała, że jest to tylko życzenie. Ma'ar i jego dowódcy byli przebiegli i każde uderzenie w gryfią parę mogło być ostatnim. Zatem radość z każdego sukcesu była tym większa.

Jak dotąd pokonywali wszystkie makaary, ale świadomość, że robili to, by kryć odwrót, ciążyła jej na sercu. Co innego być witanym jako bohater podczas wspaniałego ataku, a co innego zatrzymać wroga, gdy wojsko ucieka do domu. Sprawy przybrały zły obrót już w chwili, gdy armia Ma'ara zaczęła wyłaniać się z jego naziemnej Bramy, szeregi identycznie umundurowanych ludzi z mnóstwem dzid i łuków. Mag z oddziałów Urtho najwyraźniej nie zdążył przybyć na czas, aby powstrzymać wroga przed otwarciem Bramy, więc dwójka gryfów wzięła na siebie unieszkodliwienie człowieka Ma'ara. Skanandron był w stanie na niego uderzyć dopiero po przejściu większości oddziałów Ma'ara, a wtedy zaroilo się od makaarów niczym od komarów.

To dało początek jednemu z najbardziej chwalebnych czynów Zhaneel. Potężny Czarny Gryf zaplątał się w sieć maskującą, za którą ukrywał się mag. Nie był mocno zaplątany, ale dodatkowo przytrzymało go przy ziemi ciało maga, które było uwięzione w dolnej części sieci, a ludzie maga zbliżali się z okopów do Skandranona. Zhaneel spadła jak błyskawica i przecięła sieć swymi nożycami, potem odepchnęła bezwładne ciało maga wraz z siecią na kamieniste zbocze, aby opóźnić natarcie oddziału W tym czasie Skan utorował sobie drogę ku niebu. Właśnie o takim ocaleniu go marzyła!

A teraz jej ukochany Czarny Gryf znajdował się pod chmurami, czekał, aż ona znowu uderzy na makaara, który niechybnie za nim podąży. Zawisła nad miejscem, gdzie powinien się znajdować, gotowała się do natarcia, spozierając przez cienkie chmury — a Skandranona tam nie było!

Poczuła, że ma ściśnięte gardło i nie mogła wydobyć głosu — na tej wysokości jej instynktowna skłonność do lamentowania mogła ją zadusić. Z przerażeniem zdała sobie z tego sprawę. Powietrze było niezwykle rzadkie, nie mogła sobie pozwolić na lament. Ale gdzie on jest? Zamiast płakać powinna spróbować mu pomóc!

Niestety żaden szerokoskrzydły czarny kształt nie poruszał się niespokojnie pod mgłą chmur. Powinien być tutaj! Złożyła skrzydła i zanurkowała w szaleńczym poszukiwaniu...

...i wtedy zobaczyła pod sobą błysk światła. Jej oczy szukały miejsca ośle-

piającego wybuchu i pośrodku rombu czterech oszołomionych makaarów dojrzała spadającą czarną kulę.

*Skandranon!*

Zhaneel niczym grom spadła na bezradne makaary. Żaden wstrętny makaar nie będzie krzywdził jej ukochanego!

Skandranon otworzył oczy, by ujrzeć wirującą planetę, zbliżającą się ku niemu z ogromną prędkością. Biorąc pod uwagę inne rzeczy, które mógł w tej chwili zobaczyć — na przykład swoje wewnętrzne organy płamiące krwią niebo czy pazury makaara przed swoją twarzą — uświadomienie sobie, że tylko spada, było całkiem przyjemną konstatacją.

Ani pod nim, ani z boku nie było żadnego makaara, gdyż zastosował się do innej zasady swej prywatnej filozofii — *nigdy nie patrz za siebie, gdyż mogą tam być ścigające cię strzały* — i zmusił się, by trwać nieruchomo jak kamień i pozwolić sile ciężkości wyrzucić na nim jej magiczny wpływ. Jeszcze kilka sekund i powinien poruszać się wystarczająco szybko, aby mógł wykorzystać swoje skrzydła. A wtedy zobaczymy, w jakiej formie będą lecące za nim makaary. Spróbuje też znaleźć Zhaneel.

Pewnie jest jeszcze na swojej pozycji i szuka go. a jego nie ma tam, gdzie miał być. *Jak dotąd żyjesz, podniebny tancerzu, ale nie przeżyjesz tego, co ci zrobi Zhaneel, kiedy cię dostanie w swe szpony!*

Zanim zdążył pomyśleć o tym, do czego jest zdolna Zhaneel, powietrze wokół niego zadrżało od potwornego podmuchu — i skrzydła makaara pojawiły się przed jego oczami w odległości nie większej niż szerokość dłoni.

Skrzydło Kiliego!

Skan desperacko skręcił w bok, aby wbić szpony we wroga, który był tak bliiski wypatroszenia go. Ciął oboma przednimi szponami w skrzydło. Zaczepiwszy się, miał zamiar ściągnąć potwora na dół. . .

. . . i ujrzał za nim Zhaneel wydającą triumfalny okrzyk. W rękach mocno ścisnęła swoje nożyce. Sekundę później pojawiła się za nią mgiełka ciemnej, zimnej krwi z drugiego skrzydła oraz umierające ciało bezskrzydłego teraz makaara, dowódcy eskadry. Zhaneel skręciła, aby znaleźć się obok Skandranona i zaśmiała się do niego, gdy ten puścił skrzydło makaara i powrócił do kontrolowanego lotu.

*O bogowie, jestem zakochany!*

Pozostałe trzy makaary nadal oślepięte przez czar Skandranona rozproszyły się i ruszyły za resztą kamratów. Żaden już makaar nie przeszkadzał w odwrocie. A oddziały Ma'ara zatrzymały się, aby oszacować swe straty.

Znowu bezpieczna, leci obok niego, silna i piękna jak w najdzikszych snach Skana.

*Tak, Zhaneel, jestem bezgranicznie zakochany. Dla ciebie warto żyć, bez*

*względu na to, co nas czeka. Jesteś droższa ponad wszystko...*

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*W końcu spokój.*

Bursztynowy Żuraw opuścił kłapę namiotu za ostatnim klientem tego wieczora. Odwrócił się, szeleszcząc jedwabiem, aby spojrzeć na jasno oświetlone wnętrze pokoju przyjąć i westchnął z ulgą. Gesten uniósł swój tępo zakończony pyszczek znad szafki z ręcznikami, gdzie właśnie sprzątał. Spojrzał na niego, po czym wzniosł oczy, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale jednak postanowił milczeć.

*To nie miał być komentarz ani wyrzut, ani też wahanie, a więc pewnie prośba.*

— Wyduś to z siebie, Gesten — rzeki cierpliwie Bursztynowy Żuraw. — Masz jakąś prośbę. Obojętnie co to jest, zasłużyłeś na to co najmniej z tuzin razy. O co chodzi?

— Jestem zmęczony, chciałbym wyjść wcześniej i położyć się spać — przyznał Gesten — ale nie chcę zostawiać cię samego z całym tym bałaganem, jeśli też jesteś zmęczony. Myślałem, że czujesz się dobrze, dopóki nie usłyszałem, jak wzdychasz.

Bursztynowy Żuraw pokręcił głową i odgarnął do tyłu włosy.

— Westchnąłem, bo to miłe: wykonywać robotę, do której jest się przygotowanym, a nie odgrywać rolę drugorzędnego uzdrowiciela — powiedział do hertasi. — Było to westchnienie ulgi.

Odwrócił się i podszedł do przenośnego składanego stolika obok kanapy. Na stoliku znajdowało się obecnie mnóstwo buteleczek i pudełek z płynami oraz kremami, pachnącymi i bez zapachu. Chwytał pierwszą buteleczkę, wypełnioną do połowy płynem rumiankowym, i zaczął ustawiać je we właściwej kolejności. Za każdym razem, zanim odłożył je na miejsce, upewniał się, czy są dobrze zakręcone. Teraz nie potrafiłby nawet powiedzieć, gdzie zdobyć nowe zapasy. Każda kropla była zbyt cenna, aby pozwolić jej wyparować czy się rozlać. Kosmetyki czy płyny nie znajdowały się obecnie na liście priorytetów u zielarzy. Potrafił oczywiście przyrządzić je sam, ale skąd miał wziąć na to czas i odpowiednie składniki?

Może się zdarzyć, że nie będzie w ogóle potrzebował robić nowych zapasów. Problem, gdzie je znaleźć, w każdej chwili może zostać definitywnie rozwiązany przez Ma'ara.



Lepiej o tym nie myśleć. Lepiej cieszyć się chwilowym spokojem i nie zastanawiać się, jak bardzo chwilowy może on w istocie być.

— Nie, Gestenie, nie jestem zmęczony. Dość dziwne, ale sadzę, że moje wyczerpanie na Wzgórzu nauczyło mnie, jak lepiej wykorzystywać swoje źródła — kontynuował. — Albo jestem teraz lepiej przygotowany niż byłem wcześniej. To taka przyjemność wrócić do roli zwykłego kestra'chern... — Podejrzana cisza wzbudziła w nim czujność. Odwrócił się, aby spojrzeć na Gestena, który szerzył zęby w szerokim uśmiechu. Skrzywił się. — Oszczędź mi tego uśmiechu, mój mały przyjacielu. Żadnych podtekstów ani docinków. Po prostu idź spać. Musiałem sam sprzątać po sobie na długo zanim ty się zjawiłeś i chyba pamiętam, jak to się robi.

Uśmiech Gestena jakby jeszcze się poszerzył — nie było jednak wątpliwości, że hertasi był zmęczony, tak jak twierdził. A może nawet bardziej. Również dla niego te kilka ostatnich dni nie należało do najłatwiejszych. Prawdopodobnie odpoczywał mniej niż Bursztynowy Żuraw. Jego łuski były matowe, a ogon opadał, jakby nagle stał się za ciężki. Język za to nadal miał cięty.

Pochylił się i wyciągnął przednie łapy.

— Tak, o największy z kestra'chern, o mistrzu masażu, o szczycie zmysłów, o szczycie podniecenia, o prałacie... .

— Wystarczy — przerwał Bursztynowy Żuraw. — Pewnego dnia, Gestenie, naprawdę mnie rozłóścisz.

— A kiedy to się stanie, księżyc zrobi się purpurowy, na niebie będą fruwały ryby, a ptaki będą pływać w morzach — zakpił Gesten. — Ty prawie nigdy się nie złościsz, Żuraw, nawet na ludzi, którzy na to zasługują. Ostatni raz widziałem cię wściekłego, gdy przyszedł do ciebie ten uzdrowiciel ze Wzgórza tylko po to, by cię obrazić. Zdążyłeś się jednak uspokoić, zanim wróciłeś do namiotu! Powinieneś wściekać się o wiele częściej. Jesteś zbyt cierpliwy. Zbyt silna samokontrola nie wychodzi na dobre. Nieraz trzeba sobie ulżyć, sam doskonale wiesz.

Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową i nie przerwał porządków, odstawiając słoiczki i butelki na miejsce. Skrzyneczka, z drzewa sandałowego była wymoszczona materiałem, aby pomimo wstrząsów czy uderzeń jej zawartość nie zbiła się ani nie rozlała. Po tych wszystkich kłopotach, jakie ostatnio przeżywali zajęcie to przynosiło mu odprężenie, podobnie jak prosta rozmowa z hertasi, zamiast uczonych dysput na temat tego, jak rozładować kryzys i wyjść ze stanu gotowości.

— Nie chodzi o to, że jestem cierpliwy, ale ja po prostu lepiej znam naturę człowieka. Wiem, jak może być pokręcona i zniekształcona, rozumiem nawet potwory w ludzkiej skórze. To sprawia, że nie potrafię długo się złościć na nikogo, ponieważ znam jego uczucia i motywację. Po rozmowie z Urtho na temat naszego wroga wiem nawet, dlaczego Ma'ar jest taki, jaki jest. Potrafię sobie poradzić ze złością wobec niego. Chciałbym tylko poznać powody jego zachowania, aby móc go powstrzymać.

— Ale na nikogo innego nie jesteś długo zły — spierał się Gesten. — A ludzie myślą, że to dlatego, że jesteś słaby. Myślą, że mogą ci chodzić po głowie dlatego, że ty nie walczysz i tym samym przyznajesz im rację.

Uniósł brew ze zdziwienia.

— Naprawdę tak myślą? — rzekł. — Interesujące. No cóż, Gestenie, nie uważasz, że to lepiej? Jeśli uważają mnie za słabeusza, nie doceniają mnie. Jeśli myślą, że noszę w sobie poczucie winy czy wstydu, będą się spodziewać, że nie dam sobie z nimi rady. A ja udaremnię ich zamiary lub je bez wysiłku ominę. Oni natomiast będą tracili swój cenny czas, napawając się domniemanym zwycięstwem.

Gesten prychnął z sarkazmem.

— Być może ty tak uważasz, ale co z całą resztą podobną do tego cholernego uzdrowiciela? Z tymi, którzy spoglądają na ciebie z góry? Uważają, że są od ciebie lepsi i wygadują okropne rzeczy za twoimi plecami. Jak zamierzasz przeciwstawić się cichej kampanii przeciwko tobie? Jak masz zamiar poradzić sobie z tymi, którzy cię oczerniają?

Bursztynowy Żuraw wzruszył ramionami.

— Postąpię tak jak zawsze, dowiem się, kim oni są i co mówią. A kiedy będę już wiedział, do kogo należy sztylet, mam wybór: albo zrobić unik, poszukać czegoś, co posłuży mi za tarczę, albo powiedzieć odpowiednim ludziom, aby uporali się z moimi prześladowcami. Nie muszę się angażować.

Gesten mruknął z niezadowoleniem, wyraźnie nie zgadzając się ze spokojnym rozumowaniem Bursztynowego Żurawia.

— Przeważnie robisz unik. A oni tylko utwierdzają się w tym, że jesteś słaby. Co gorsze, sądzą, że skoro im ustępujesz, to widocznie mieli rację!

Pomyślał nad tym przez chwilę, potem uniósł zapakowaną już skrzynkę i postawił ją we właściwym miejscu pod ścianką namiotu.

— To prawda — powiedział w końcu. — Ale, Gestenie, dopóki to, co mówią czy robią, nie wyrządza mi krzywdy, dlaczego miałyby mnie obchodzić? Dopóki wiem, kim są i mogę się bronić przed prawdziwym zagrożeniem w przyszłości, nie ma sensu z nimi walczyć. A poza tym skoro czują się z tym szczęśliwi. . .

Gesten rozdziawił pyszczek i spojrzął rozszerzonymi oczami.

— Nie wierzę własnym uszom — powiedział zdumiony. — Ta trucizna, którą rozsiewają. . . jest jak śmierdzące gówno, powoduje, że wszystko, czego dotknie, śmierdzi równie ohydnie. Zaraża każdego, kto tego słucha! Co gorsza, również innym ludziom każe rozprzestrzeniać tę truciznę! Dlaczego miałbyś chcieć, aby oni czuli się szczęśliwi?

Bursztynowy Żuraw odwrócił się do swego małego przyjaciela i usiadł ze smutnym uśmiechem.

— Ponieważ oni są zgorzkniałymi, nieszczęśliwymi ludźmi i niewiele rzeczy jest w stanie ich uszczęśliwić. Kieruje nimi zazdrość, a ta wynika z różnych powodów. Na przykład zazdroścą mi, że prowadzę bardziej luksusowe życie od

nich, a przynajmniej oni tak sądzą. Albo tego, że wielu znaczących ludzi nazywa mnie swoim przyjacielem. Również i tego, że nie mogą zajmować się tym co ja i to wywołuje gorycz. Tak niewiele rzeczy sprawia im przyjemność, że nie widzę powodu, aby odbierać im radość, którą czerpią z szyderstw i drwin.

Gesten pokręcił głową.

— Żuraw... jesteś szalony. Zresztą tak przypuszczałem. Idę spać. To dla mnie zbyt wiele. Dobranoc.

— Dobranoc, Gestenie — rzekł miękko. Wstał i zaczął zbierać porozrzucaną garderobę.

*Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć mu całą prawdę — pomyślał, schludnie układając poduszki w narożniku. — Może on ma rację, może powinienem czasem się pozłościć — ale nie mam już dość energii, aby ją tracić na gniew. Potrzebuje jej do ważniejszych rzeczy niż zmagania z głupcami.*

Czy gdyby nie było wojny, myślałby tak samo? *Nie wiadomo. Może. Przez chwilę zastanawiał się nad „wrogami”, jakich miał w szeregach Urtho. Większość z nich to uzdrowiciele ze wzgórza, którzy uważali, że przynosi wstyd ich szlachetnemu powołaniu; kilku oficerów, którym odmówił „usług” pomimo wysokiego wynagrodzenia.*

Motywy ludzi łatwo było odgadnąć. Ci, których odesłał z kwitkiem, niechętnie przyznawali się do tego, ale odmowa doprowadzała ich do furii, ponieważ większości z nich mało kto przedtem ośmielił się powiedzieć „nie”. Motywy uzdrowicieli były prawie tak samo jasne. Fakt, że posiadał podobne co oni wyszkolenie oraz prawie identyczne dary, ale wykorzystywał je do czegoś tak trywialnego jak dostarczanie ludziom „zwykłej” przyjemności, wprawiało ich we wściekłość. Fakt, że za to, co robił, był sownie wynagradzany, rozwścieczał ich jeszcze bardziej.

Potrafił ich zrozumieć. Wiele lat stawali, aby udoskonalić swoje rzemiosło i nie mieściło im się w głowie, że może być ono użyte dla mało wzniosłych celów. Tylko czy dawanie przyjemności może być właśnie takie? Dlaczego wszystko w życiu musi być śmiertelnie poważne? Tak, znajdowali się w środku wojskowego obozu, ale jak sam stwierdził, większość ludzi jeszcze bardziej potrzebowała choć chwili przyjemności czy zapomnienia. Weźmy Skana: nawet pośród wojny i śmierci zawsze znajdzie czas na śmiech czy miłość.

Może właśnie dlatego wrogowie często umieszczają Czarnego Gryfa na liście tych, z których drwią.

*To ludzie, którzy podadzą pacjentowi zawsze gorzką pigułkę, bo boją się, że inaczej pacjent nie uwierzy, że taka pigułka mu pomoże. Nieważne, że postępowanie czegoś czyni to łatwiejszym do zniesienia — a co ważniejsze — do przelknięcia. Gdyby był to czas pokoju, najprawdopodobniej namawialiby Urtho, aby wygnał Bursztynowego Żurawia z miasta bez krzty szacunku dla jego imienia.*

*I byliby źli i nieszczęśliwi — ponieważ gdyby to był czas pokoju, byłbym bardzo*

*bogatym kestra'chern. Zresztą nie sądzę, aby było to coś, czym można się chwalić.*

W czasie pokoju Urtho wysłuchałby sączonej przez uszy trucizny, pokiwał głową, posłał po Bursztynowego Żurawia. Zjedliby razem pyszną kolację i wszystko zostałoby tak jak przedtem. Z wyjątkiem tego, że Bursztynowy Żuraw wiedziałby dokładnie, kto o nim mówił te rzeczy.

*Zresztą teraz dzieje się to samo. Tylko częściej to Tamsin, Cinnabar, Gesten i Skan przekazują mi te rzeczy niż Urtho. podobnie jak oni, my kestra'chern jesteśmy w oficjalnej służbie, i to oczywiste, że będziemy mieli tu posady, dopóki jest Urtho. Poza tym, jeżeli będą próbowali usunąć nas i perchi z obozu, szeregowcy wzneciliby bunt.*

Ale czy znieawidziłby swoich wrogów, gdyby miał czas i siły?

*Nie sądzę — stwierdził. — Byłbym jednak bardzo dotknięty ich plotkami. Teraz też jestem, chociaż próbuję nie zwracać na to uwagi. Nienawiść do ludzi jest mi obca, ale nienawidzę rzeczy, które robią. Szeptane plotki, skrywanie się za anonimowością — tego nie cierpię. Tak jak Gesten powiedział, jest to trucizna, trucizna, która działa przez dotyk. Każdy kto jej dotknie, choruje, i trzeba wiele wysiłku i energii, aby go uzdrowić.*

Pomimo śmiałych słów, jakie wyrzekł do Gestena, teraz czuł się zraniony i nie-szczęśliwy.

Skupił się na najprostszych zadaniach w swojej pracy — rzeczach, których nie robił, odkąd Gesten mu służył — aby zapomnieć o ranach. Odkładanie ręczników na miejsce, opróżnianie i mycie parownika, ustawianie mebli... wszystkie te czynności stały się ćwiczeniem medytacyjnym, zmieniającym negatywną energię gniewu w coś przydatnego. Porządkując namiot, mógł zaprowadzić porządek w swoim umyśle.

*Co prawda, Skan twierdzi, Że schludna i uporządkowana przestrzeń jest. oznaką niebezpiecznie chorego umysłu — pomyślał z rozbawieniem, kiedy składał przykrycia i układał na jednym krańcu kanapy. — To dobrze, że gryfy nie mają wiele osobistych rzeczy, bo inaczej już widzę jego legowisko.!*

— Bursztynowy Żuraw? — rozległ się za nim cichy szept kobiecy, po czym nastąpiło coś, co brzmiało jak zduszony szloch.

Odłożył ostatni koc i odwrócił się szybko, zastanawiając się czy jego umysł nie zakpił sobie z niego. Ale — nie, nie zdawało mu się. W wejściu stała Zimowa Łania, odchylając jedną ręką kłapę namiotu, cała we łzach.

Podszedł szybko, chwycił jej dłoń w swoje i wprowadził do środka. Płótno namiotu wysunęło się z jej omdłych palców i chwilę trwało, zanim Bursztynowy Żuraw zasnurował wejście zapewniając im prywatność.

— Co się stało? — spytał. Zrobiła kilka niepewnych kroków potem opadła na kanapę, przyciskając poduszkę do piersi, a nowe łzy spływały jej po policzkach.

— O co chodzi? Nie martw się, nie przeszkadzasz mi, ostatni klient już wyszedł i mam dla ciebie całą noc, jeśli tego potrzebujesz

— Chyba tak — odrzekła, ocierając dłonią oczy. — Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać, ale widziałam, jak stoisz, tak godny zaufania, taki silny... a ja czułam się tak... tak... strasznie...

Usiadł przy niej, objął ją, podając jej czysty ręcznik, aby wytarta nos. Może nie była to chusteczka, ale znajdował się pod ręką.

— Opowiedz mi wszystko od początku — powiedział. Kilka razy nabierała oddechu, ale za każdym razem kończyło się to nowym szlochem.

— Co się stało?

— Chodzi... o Conna — powiedziała w ręcznik.. — Wiesz, że nie byliśmy ze sobą już od kilku tygodni. Przeważnie dlatego, że byłam wykończona, ale czasami... po prostu nie miałam ochoty. Nic do niego nie czuję, jeśli w ogóle kiedyś coś czułam. Chciałabym tylko, żeby sobie poszedł. Dzisiaj, kiedy jego grupa wróciła i znowu zaczął... no cóż, powiedziałam mu, że chcę, aby sobie poszedł. I to nie tylko dzisiaj, ale już na zawsze.

— I? — odezwał się łagodnie Bursztynowy Żuraw.

— Powiedział... — wybuchnęła znowu płaczem. — Zaczął na mnie wrzeszczeć, mówiąc, że jestem do niczego. Powiedział, że jestem zimną dziwką bez serca, że nie jestem w stanie pokochać nikogo oprócz siebie, że jestem samolubna, zepsuta i troszcę się tylko o siebie, że byłam jego najgorszą kochanką, miał wrazenie, jakby się kochał z deską, i że nigdy nie znaję drugiego mężczyzny tak tolerancyjnego jak on. Powiedział, że zostałam trondi'irn, ponieważ ludzie nie chcieliby mieć takiej uzdrowicielki. I gdyby nie to, że kompetencji trondi'irn się nie sprawdza, nie dostałabym nawet tej pracy. Powiedział, że jestem niezdarna, niekompetentna i gdyby nie wojna, byłabym niczym... — Teraz już nie hamowała płaczu i gdyby Bursztynowy Żuraw nie słuchał uważnie, nie zrozumiałby nawet połowy z tego, co mówiła.

— A ty boisz się, że to wszystko, co powiedział, jest prawdą? — odezwał się łagodnie, gdy tylko dała mu taką szansę.

Pokiwała głową, niezdolna wydobyć słowa, miała spuchnięte oczy, rumieńce na twarzy i bardzo różowy nos. Wyglądała strasznie. Pragnął trzymać ją w swych ramionach i chronić przed resztą świata.

A potem chciał chwycić najbliższą kuszę i poszukać Conna Levasa.

*A powiedziałem Gestenowi, że nie potrafię być na nikogo zły...*

Jednak to nie załatwiłoby niczego. Jej nie trzeba było pieszczot ani obrony. Musiała odzyskać zaufanie do siebie, aby mogła stanąć na nogi bez potrzeby krycia się za czyimiś plecami.

— Myślisz, że to, co powiedział, jest prawdą, bo jesteś zbyt krytyczna wobec siebie, a ponieważ w tym, co powiedział, jest odrobina prawdy, uwierzyłaś we wszystko — rzekł stanowczo. — Oboje wiemy, jaki z niego manipulator. Gra na ludzkich uczuciach jak muzyk na instrumentach i udaje mu się, ponieważ interesuje go tylko uzyskanie odpowiedniego dźwięku. — Odsunął się trochę i spojrzął

prosto w jej oczy. — Pomyśl o nim przez chwilę. Teraz boi się tylko jednego, że ktoś pomyśli, iż to ty go zostawiłaś, ponieważ jest „za słabym mężczyzną, aby cię zatrzymać”. To, co powiedział, miało cię nastraszyć. Rozważmy wszystko po kolei. Jaki był pierwszy zarzut?

— Że j...j...jestem zimną dziwką — powiedziała cichutko.

— Przez co on zapewne rozumie, że jesteś jednocześnie obojętną i nie dającą satysfakcji kochanką — odparł. — No cóż, jeśli o niego chodzi, to prawda. Sama mi mówiłaś, że emocjonalnie nic do niego nie czułaś, gdy umawiałaś się z nim po raz pierwszy. Wykorzystałaś go, aby ukryć swą prawdziwą tożsamość. Reanna nigdy nie chciałaby mieć nic wspólnego z takim człowiekiem, co czyniło z niego wspaniałą zasłonę. Prawda?

— Reanna nie miałaby żadnego kochanka, dobrze czy gorzej urodzonego — odparła, a jej policzki pokryły się rumieńcem. Ja...ja...

Pokręcił łagodnie głową.

— Chciałaś związku bez uczuć, jednak ci się nie udało. On potrafił zauważyć twe prawdziwe uczucia i wykorzystał je przeciwko tobie. A to z definicji oznacza, że nie jesteś pozbawiona emocji. Tak?

Pokiwała głową, ciągle zaczerwieniona, ze spuszczonej oczami.

— Twierdził także, że jesteś niekompetentna i niezdarna, ale ty jesteś profesjonalistką na tyle, aby nie obawiać się takich zarzutów. — Zamyślił się na chwilę. — Najgorsze, co o tobie kiedykolwiek słyszałem — a musisz mi zaufać, kechara, gdyż kestra'chern słyszy naprawdę dużo — było to, że powtarzasz głupie rozkazy, nie starając się im przeciwstawić i traktujesz swoich podopiecznych, jak gdyby byli zwierzętami. Nikt nigdy nie kwestionował twojej kompetencji, tylko twoje... manieri. A teraz, gdy traktujesz swoje gryfy jak istoty myślące, którymi przecież są, masz u wszystkich bardzo wysokie noty. Także u Cinnabar.

— Naprawdę?

Spojrzała na niego zdumiona.

— Nie znam dobrze Conna Levasa, ani tego nie pragnę — kontynuował Bursztynowy Żuraw. — Kiedyś był u mnie jako klient i udało mi się uniknąć drugiej sesji. Widziałem już zbyt wielu ludzi takich jak on i nie uważam, abym musiał widzieć jeszcze kogoś. Co więcej, wszyscy kestra'chern, u których był, mają o nim podobne zdanie. Pępkiem świata Conna jest Conn. Inni interesują go tylko wtedy, gdy mogą coś dla niego zrobić. Jego świat dzieli się na wykorzystujących i wykorzystywanych. Gdy przestaniesz zaliczać się do tych ostatnich, wchodzisz w szeregi tych pierwszych, a to oznacza, że przestajesz być jego własnością i stajesz się rywalem. Dlatego też zarzucił ci, że jesteś samolubna i zepsuta. Dla niego świat jest zwierciadłem — wszędzie widzi swoje odbicie. Ludzie, którzy według niego są dobrzy, muszą być do niego podobni — a ludzie, którzy według niego są źli... także muszą być do niego podobni.

Pokiwała głową i otarła oczy końcem rękawika.

— A co do reszty oskarżeń... — Przerwał na moment i oceniał swe własne uczucia. *Czy powinienem? Co będzie, jeśli powiem? A co się stanie, jeśli nie powiem?* — ...czy zależy ci na profesjonalnej ocenie?

Odchyliła głowę, jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Nie był to jednak lęk ani chęć wycofania się, czego tak się obawiał.

— Nie możesz... To znaczy, chcesz...? — zająknęła się.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Ocena będzie profesjonalna — powiedział bardzo cicho — ale motyw są czysto egoistyczne. Uważam, że jesteś nadzwyczaj atrakcyjna, Zimowa Łanio. Nie chcę komplikować naszej przyjaźni ani narażać jej na szwank, ale chciałbym, abyśmy stali się czymś więcej niż tylko przyjaciółmi.

Zamrugwała kilkakrotnie. Jej policzki zarumieniły się, potem zbladły i znów się zarumieniły. Przez chwilę miał wrażenie, że ona zamierza mu odmówić i pragnął, aby lepiej nic nie mówiła...

Potem ku jego radości i zdziwieniu, nagle rzuciła się na niego. Jednak nie jak tonąca kobieta, która szuka ratunku, ale jak orzeł wracający do domu, do swego gniazda po długiej i wyczerpującej walce. Nie było najmniejszej wątpliwości co do jej uczuć, ani co do jego.

Popołudniowy odpoczynek nie zdarzał się często Skanowi, a to, że i Bursztynowy Żuraw miał wolny czas, było darem bogów. Czas na to, aby obaj usiedli razem w ciepłym słońcu. Aby nikt im nie przeszkadzał, Bursztynowy Żuraw podjął się naprawienia piór Skana połamanych w ostatnim starciu z wrogiem.

— Wieści z frontu mówią, że tkwimy w sytuacji bez wyjścia — rzekł Skan, gdy Bursztynowy Żuraw umieszczał jedno z jego starych piór w trzonie złamanej lotki. — Znowu. Jednak nie oznacza to spokoju, przynajmniej dla nas.

Ciepłe słońce wspaniale grzało go w plecy i kark... wyciągnął głowę, przymknął oczy i rozkoszując się ciepłem, położył po sobie uszy i grzebień.

— Wydaje się, że masz rację — odparł Bursztynowy Żuraw.

Zmarszczył brwi, koncentrując się na ostrożnym zakładaniu tyczki, która miała przytrzymać stare pióro w nowym trzonie

Skan odwrócił trochę głowę i obserwował go z zainteresowaniem i odrobiną zazdrości. Chciałby mieć ręce, żeby mógł sam robić podobne rzeczy wokół siebie. Nawet Zhaneel nie mogła uzupełniać swych piór sama, mimo że miała te wspaniałe, zręczne „dłonie”. Jednak potrafiła zrobić nimi wiele innych rzeczy, z którymi on musiał zwracać się do ludzi.

Nie była też gorsza z powodu krótszych szponów, co utrudniało dotąd jej walkę w powietrzu. Pewien człowiek z Szóstego który kiedyś był trenerem walki kogutów, sporządził dla niej zestaw ruchomych ostrych niczym brzytwa „szponów”, które nakładało się na grzbiet jej „dłoni”. Nadal mogła manipulować przedmiota-

mi, mając je na sobie, ponieważ działały nawet skuteczniej, gdy jej własne pazury były zaciśnięte w pięść. Teraz była tak samo sprawna jak najsilniejsze szeroko-skrzydłe, i nie musiała uciekać się do nożyc, aby powalić makaara! Te nowe pazury zrobione były ze stali, naostrzone pilnikiem i dłuższe niż naturalne.

Była tak skuteczna w walce „szponwszpon” z makaarami, gdy zakładała ten wynalazek, że ów człowiek został odwołany z szeregów i wyznaczony do wykonywania zmodyfikowanych „szponów” i „ostróg”, które mogłyby nosić także pozostałe gryfy. Makaary spadały z rosnącą częstotliwością, a gryfy zaopatrzone w te wynalazki stwierdziły, że są w stanie strącić dwa, a nawet trzy razy więcej makaarów podczas jednego lotu bojowego.

Problem oczywiście polegał na tym, że gdy tylko ktoś w szeregach wroga zorientuje się, co daje przewagę gryfom, zostanie to skopiuwane dla makaarów. Była to tylko kwestia czasu.

*Dopóki wszystkie makaary, które zbliżyły się na tyle, by zobaczyć nowe szpony, padną martwe, możemy utrzymywać nową broń w tajemnicy* — powiedział do siebie Skan. — *A każdy martwy makaar oznacza jednego wroga mniej.*

— Rozumiem, że wieści w obozie są bardziej interesujące niż te na linii — kontynuował ostrożnie Skan, spoglądając na przyjaciela spod przymrużonych powiek.

Bursztynowy Żuraw dopasował do pióra wzmacniający kołeczek, po czym wolno wcisnął go na miejsce. Skan spodziewał się, że przyjaciel zbędzie go chrząknięciem, ale kestra'chern zadziwił go, spoglądając mu prosto w oczy i śmiejąc się.

— Jeśli masz na myśli to, co zaszło między mną a Zimową Łanią, to tak — powiedział, kiwnąwszy głową. — Sytuacja między nami bynajmniej nie utknęła w martwym punkcie.

Znowu opuścił głowę i kończył pracę, smarując klejem stalowy kołeczek w miejscu, gdzie miały się spotkać oba trzony.

— Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Jeśli usiedzisz bez ruchu, dopóki tego nie włożę, wszystko będzie wspaniale.

— Nie w martwym punkcie? — spytał Skan, tłumiąc potrzebę zatrzepotania skrzydłem, co zrujnowałoby pracę Bursztynowego Żurawia. — Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Zanim przyjaciel odpowiedział, stał resztki kleju z palców i odłożył na bok ściereczkę, której do tego używał.

— Co chcesz, żebym powiedział? — spytał. — Ona jest trondi'irn Szóstego Wschodniego Dywizjonu, a ja przynajmniej teoretycznie szefem kestra'chern. Ona nie może ani nie chce zaniedbywać swoich obowiązków, podobnie jak ja. Moje zabierają mi większość wieczora i nocy, ona z kolei pracuje przez większość dnia. Ale mimo to jakoś sobie radzimy. Conn Levas wrócił z pola. Na razie nie wykonuje żadnych ruchów przeciw niej, z wyjątkiem plotek i oszczerstw, któ-



re oboje potrafimy ignorować. Pewnie stwierdził, że jest naprawdę głupia, skoro zadaje się z jakimś kestra'chern. Jeśli to ma go uszczęśliwić i trzymać z daleka od niej, to niech sobie gada, co chce. Mamy wśród magów ucho w osobie Vikterena, dzięki czemu wiemy o wszystkim, co mówi Conn.

— Hm. — Skan rzucił Bursztynowemu Żurawiowi niezadowolone spojrzenie, ale kestra'chern je zlekceważył. — Tamsin i Cinnabar mieliby o wiele więcej do powiedzenia na ten temat niż ty.

— Tamsin to romantyk, a Cinnabar była wychowana na balladach — odparł Bursztynowy Żuraw, a jego kark i uszy zaczerwieniły się z lekka. — Zimowa Łania i ja jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy. Wypełniamy pilnie nasze obowiązki. I to wszystko, co trzeba wiedzieć.

Skan uniósł ostrożnie głowę i postawił pęczki.

— Oho, przepraszam! — rzekł zdumiony powstrzymywany wybuchem Bursztynowego Żurawia. — Nie miałem zamiaru się wtrącać. Po prostu, kiedy ktoś jest zakochany, chciałby usłyszeć że cały świat też jest!

Bursztynowy Żuraw w końcu spojrzał mu w oczy i poklepał go po ramieniu.

— Przepraszam, stary ptaku! — rzekł skruszony. — Zbyt wielu ludzi chce nam wmówić jakieś romantyczne nonsensy o tym, że jesteśmy związani na całe życie. Inni z kolei zrobili ze mnie zepsutego perchi, który uwiódł cnotliwą Zimową Łanię i zabrał ją równie cnotliwemu Connowi Levasowi. Jestem trochę zmęczony tymi opowieściami.

Skan pokiwał głową. Jednak mimo całego zarzekania się uzdrowiciela gryf nie miał wątpliwości, że jego i Zimową Łanię połączyła więź życia. Tamsin i Cinnabar też tak powiedzieli, a ci, którzy sami są związani, potrafią rozpoznać ten stan u innych.

— To nie będzie łatwe dla żadnego z nich — powiedział Tamsin z namysłem. — Więź życia nie jest wcale tak romantyczna, jak to głoszą ballady. Każde z nich musi być dość silne, aby nie pochłonać życia drugiego. I lepiej sprawdźcie, czy jesteście gotowi na ten rodzaj bliskości, który daje więź życia, szczególnie między ludźmi, którzy są empatami. Nie możecie walczyć czy się kłócić — odczuwacie ból swego partnera równie silnie jak swój własny. Przestajecie być dwiema osobami, a stajecie się czymś w rodzaju dwugłowej i dwuosobowościowej jedności, TamsiniCinnabar, i lepiej sprawdźcie, czy jedno z was lubi coś, czego drugie nie znosi, ponieważ będziecie dzielić po prostu wszystko!

— Ale kiedy to się w końcu uda — dodała Cinnabar, głaszcząc czule Tamsina — jest czymś wspaniałym, partnerstwem, w którym można podzielić się siłą, a zmniejszyć słabości. Plusy znacznie przewyższają minusy — mam powody, by tak sądzić.

Żadne z nich nie kłopotowało się, by mówić, że Tamsin był tak nisko urodzony jak Cinnabar wysoko i gdyby nie wojna, mieliby poważne kłopoty, aby być razem, pomimo że rodzina Cinnabar była liberalna i otwarta. W przeszłości takie pary

musiały przeżywać straszne tragedie, dlatego jest tak wiele smutnych ballad na temat więzi życia. Nawet Skan znał je dobrze.

No cóż, jeśli Bursztynowy Żuraw postanowił nie przyznawać się do tego rodzaju związku z Zimową Łanią, to jego sprawa, a nie Skana. I jeśli woli tę relację przedstawiać jako coś przypadkowego, no cóż, widać kieruje nim rozsądek.

— Nie możesz nic poradzić na to, co ludzie mówią, a przecież wiesz, że autorem większości tych złośliwych opowieści jest Corin — zauważył Skan. — A jeśli chodzi o ludzi, którzy je powtarzają, no cóż, wiesz, kim są. Gdyby nie Zimowa Łania, wymyśliliby coś innego na twój temat. Chcę tylko wiedzieć jedno: czy jesteście szczęśliwi?

Bursztynowy Żuraw pokiwał smutno głową.

— Sądzę, że jesteście szczęśliwi, tak jak można być szczęśliwym w całej tej sytuacji. Nie jesteście nieszczęśliwi, jeśli to jakaś różnica. — Westchnął i wygładził łopatkę pióra. — Ale jest wojna. Ona walczy z ranami fizycznymi, a ja z emocjonalnymi. Każdy dzień przynosi więcej bólu. Ja pomagam jej, a ona mi. Być może...

Nie dokończył zdania, ale Skan znał jego zakończenie. Była to jakby modlitwa każdego w wojsku Urtho, od najmniejszych po największych. „Może kiedyś, kiedy skończy się ta wojna...”

Wojna trwała od tak dawna, że teraz latały już całe pokolenia gryfów, które nigdy nie zaznały pokoju. To prawdopodobnie wkrótce będzie dotyczyło też ludzi. Wojna zmieniła całe społeczeństwo. Starsi ludzie powiadali, że wszystko teraz stanęło na głowie i nawet Skan nie pamiętał większości tego, o czym starsi od niego opowiadali z taką tęsknotą. A reperkusje miały coraz szerszy zasięg.

— Włożone? — spytał Skan w końcu, kiedy cisza między nimi trwała już od dłuższego czasu. Bursztynowy Żuraw wyrwał się z melancholijnego zamyślenia i ostrożnie sprawdził połączenie palcem.

— Chyba tak — odparł. — Otrząśnij się porządnie. Jeżeli teraz wytrzyma, to będzie i później trzymało.

Skan z wdzięcznością zrobił to, co kazał mu Żuraw. Nie ma nic gorszego od nieruchomego siedzenia, gdy gryf ma ochotę dziko się otrząsnąć! Bursztynowy Żuraw zaśmiał się i odsunął, gdy Skan nastroszył wszystkie pióra, po czym otrząsnął je tak energicznie, że wzniecił tumany kurzu.

Nowo osadzone pióro trzymało mocno, sprawując się równie dobrze jak nieuszkodzone lotki. Uśmiechnął się zadowolony i zsalutował Bursztynowemu Żurawowi żwawym machnięciem skrzydła.

— Wspaniale jak zawsze, mój przyjacielu — powiedział wesoło Skan. — Powinieneś rzucić swe grzeszne zajęcia i zostać pełnoetatowym artystą od piór.

— Niewiele gryfów tak entuzjastycznie podchodzi do swych obowiązków jak ty — odparł Bursztynowy Żuraw. — Nie sądzą zatem, abym musiał zakładać więcej niż tuzin piór w ciągu dwóch ostatnich lat, a większość z nich i tak należałaby

do ciebie. Umarłbym z braku pracy.

— Oprócz gryfów zawsze możesz zajmować się też jastrzębiami — zasugerował Skan.

— A ty zawsze możesz zaprząć się do wozu zamiast konia — odparł. — Dzięki, nie. Podoba mi się moja praca. Nie bawiłoby mnie zajmowanie się psychotycznymi jastrzębiami, neurotycznymi sokołami wędrownymi, krwiożerczymi orłami czy szalonymi myszołowami. Wiesz, po czym poznać człowieka, który szkoli sokoły?

— Nie — odparł Skan i nastawił uszu. Jastrzębie i sokoły zawsze go interesowały, ponieważ zewnątrz i wewnątrz były zupełnie niepodobne do gryfów. — Po czym?

— Człowiek trenujący sokoła to ten, który ma na dłoni rany klute od jego nerwowych szponów. Człowiek trenujący jastrzębia to ten, który ma rękę białą aż po łokieć, gdyż boi się wyjść bez rękawicy. A człowiek trenujący orła to ten, który nie ma oka.

Bursztynowy Żuraw lekko wykrzywił usta, a Skan wybuchnął śmiechem.

— Jak sądzę jest to bardzo stare przysłowie Kaled'a'in — rzekł Skan z westchnieniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że Bursztynowy Żuraw cytuje zbyt wiele podobnych przysłów. — Ale co to znaczy: nerwowe szpony?

— Nerwowy ptak ma nerwowe szpony, a sokoły wędrowne są ciągle nerwowe — powiedział Bursztynowy Żuraw. Jego usta jeszcze bardziej się wykrzywiły, a w oku pojawił się złośliwy błysk. — Pamiętaj o tym, gdy następnym razem twoja mała gryfsokolica dozna wstrząsu i złapie kawałek twojego ciała w swe „dłonie”.

Skan położył po sobie uszy, skonsternowany.

— Chyba nie mówisz poważnie?

Bursztynowy Żuraw wybuchnął śmiechem i poklepał gryfa po ramieniu.

— Chyba niczego nie przeszkrobałeś, żeby Zhaneel miała powód do zdenerwowania, co?

.- Oczywiście, że nie — odpowiedział stanowczo, ale w następnej chwili zastanowił się, czy może...

Bursztynowy Żuraw tylko zachichotał.

— Już dość czasu spędziłem z tobą, pierzasta głowo. Mani jeszcze parę spraw do załatwienia i jestem pewien, że ty również. a więc jeśli nie masz nic przeciwko temu. zabiorę się do sprzątnięcia, a ty pędź do swojej towarzyszki.

Słyszac ostatnie słowo, Skan postawił grzebień z zadowolenia. *Towarzyszka*. Miał towarzyszkę. I to jaką: szybką, silną i w ogóle wspaniałą...

Zmierzył czule włosy Bursztynowego Żurawia, a potem obrócił kestra'chern w kierunku jego namiotu.

— Wracaj zatem do swoich garów, jeśli wolisz to od mojego towarzystwa. Naprawdę powinieneś wiedzieć, że czyste i schludne miejsce zamieszkania...

— ... jest oznaką chorego umysłu. Tak, wiem.

Bursztynowy Żuraw przeczesał potargane włosy palcami, uśmiechnął się i ruszył szybko do swego namiotu, nim Skan zdążył jeszcze coś wymyślić.

W czasie wojny takie chwile spokoju musiały niestety być krótkie.

Droga do legowisk gryfów była krótka i zazwyczaj nieciekawa. Jednak gdy Skan wzniósł się w powietrze i znalazł ponad szczytami namiotów, dostrzegł w obozie oznaki sporego zamieszania: ze wszystkich stron ściągały gryfy, a nieregularne ruchy ich skrzydeł zdradzały podniecenie. Nawet z tej odległości dostrzegł nastroszone pióra, opuszczone pęczki na uszach, uniesione czujnie grzebienie i zaciśnięte szpony. Jednak reszta obozu nie wydawała się zaalarmowana — a więc albo gryfy posiadały informacje, której reszta wojsk Urtho jeszcze nie znała, albo informacja ta dotyczyła tylko gryfów.

*Nie po raz pierwszy dowiadujemy się o czymś, o czym jeszcze nikt nie wie — pomyślał z zamierającym sercem.*

Natychmiast wydłużył i wzmocnił uderzenia skrzydeł, aby zyskać na szybkości. Cokolwiek to jest, on musi dowiedzieć się pierwszy!

Legowiska były zbudowane na sztucznym wzgórzu z trzema stopniami tarasów, tak aby przed każdym legowiskiem była wolna przestrzeń. Między nimi a resztą obozu była niewielka łąka, pełna nagrzanego kamieni. Tam właśnie wszyscy się zbierali. Wylądował obok gromady gryfów z Szóstego i zbliżył do Aubriego. Wszystkie słuchały uważnie tego, co mówił szerokoskrzydły, wyciągając szyje i lekko przechylając głowy na jedną stronę. Ciężko dyszały, a ich boki unosiły się szybko. Jeden z nich syczał coś do siebie i nastroszył pióra na karku jak walczący kogut. Dwa inne kołysały się w przód i w tył, uginając nogi. Wszystkie te ruchy wykonywały nieświadomie, czym zdradzały swe wielkie podniecenie.

Aubri przerwał w pół zdania, gdy Skan lądował na szczycie skały za nimi, i pomachał wyciągniętym przednim szponem.

— Mam złe wieści — zawołał, gdy Skan pośpieszył ku reszcie grupy. — W obozie jeszcze nikt o tym nie wie. ale wkrótce się dowiedzą. Generał Farle nie żyje.

— Co? — Skan nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Aubri powiedział mu, że właśnie spłonęła Wieża. Farle? Nie żyje? Jak można zabić generała, nie zmiatając całego dowództwa? Ważni dowódcy nigdy nie znajdują się blisko linii frontu!

Chociaż Farle miał opinię człowieka, który zawsze chce być blisko działań, jednak nie był głupcem i z pewnością był najlepiej chronioną osobą w Szóstym! Jak ktokolwiek mógł się do niego dostać? Czy był to wypadek? A może zdrada?

— Właśnie mówiłem innym, że najprawdopodobniej przedarła się do niego jakaś samobójcza grupa, która usunęła jego i większość ważniejszych oficerów z Szóstego — powiedział Aubri. — Nie wiemy nawet, jak i kto to zrobił. W namiocie komendy nastąpił ogromny wybuch, a kiedy opadł dym i kurz została tylko ogromna dymiąca dziura. Magowie próbują wywnioskować, co się stało, ale dla

nas najważniejszą rzeczą jest to, że go straciliśmy.

Skan zaklął — tylko jeden człowiek był teraz w randze Farle'ego i nie dowodził żadnym dywizjonem: Shaiknam, generał którego Farle zastąpił. Oficjalnie Shaiknam był na urlopie, a Farle miał nabierać doświadczenia jako dowódca, ale prawdziwym powodem usunięcia Shaiknama była jego niekompetencja.

Urtho jednak był niepoprawnym optymistą. Ciągłe dawał szansę bezwartościowym ludziom, nie udzielając im nawet porządnej nagany. Jeśli zaś chodzi o Shaiknama, Urtho ciągle pamiętał o zasługach jego ojca. Sądził poza tym, że generał dostał już nauczkę. Można mu zatem przywrócić dowództwo i nie ma potrzeby mianowania kogoś nowego.

Nie świadczyłoby dobrze o Shaiknamie, gdyby Urtho rzeczywiście promował kogoś niższego rangą, podczas gdy generał siedziałby z założonymi rękami i nie miał nic do roboty. Jak dotąd Urtho udawało się przekonać wszystkich, że Farle dowodzi tylko chwilowo, a Shaiknam znajduje się na zasłużonym urlopie.

Nie będzie jednak mógł dalej tak twierdzić, gdy reszta dowie się o śmierci Farle. Albo Urtho zawstydzi Shaiknama i poniesie konsekwencje, albo przywróci Szóstemu człowieka, który nigdy nie wypełnił właściwie choć jednego zadania.

Według Skana nie było wątpliwości, że właśnie tak się stanie. Shaiknam był zbyt dobrze urodzony i miał mocne plecy. Szósty dostanie go z powrotem.

Wydawało się, że do podobnego wniosku doszli i inni. Z Shaiknamem jako dowódcą gryfy z Szóstego znowu staną się tylko mięsem armatnim. W tej chwili pojawiło się więc ważne pytanie: co powinni zrobić w takiej sytuacji?

Skan chodził od grupy do grupy, przysłuchiwał się i milczał. Słyszał mniej więcej to samo: *To straszne, wszyscy zginiemy przez tego szaleńca, ale nie możemy nic na to poradzić.* Gryfy wpadły w panikę, ale nikt nie wystąpił z żadnym pomysłem ani nie próbował stanąć na czele niezadowolonych.

*Co oznacza, że zostają tylko ja.* No cóż, nadeszła chwila, aby wcielił w życie teorie przywództwa, które od tak dawna studiował. *Czy potrafisz być przywódcą, pierzasta głowo?* Rozejrzał się wokoło jeszcze raz, patrząc na zgromadzenie swojego gatunku. Gryfy z przygnębienia zaczęły wyskubywać sobie pióra jak rozhisteryzowane ptakiposłańcy.

*Chyba nie ma wyboru. Ja albo nikt.*

Wskoczył na najwyższą skałę i wydał okrzyk wojenny, który zmusił wszystkich do zamknięcia.

— Przepraszani — powiedział, gdy spojrzały na niego osłupiałe oczy i na w pół otwarte dzioby zwróciły się w jego kierunku. — Wydaje się jednak, że mamy poważny problem, który musimy rozwiązać. Pamiętajcie, że Urtho nie ma już nad nami kontroli? Jeżeli będziemy chcieli, możemy być tak samo niezależni jak magowie. W każdej chwili możemy odlecieć na pustkowie i zostawić tę całą wojnę za plecami.

Milczenie trwało jeszcze chwilę, po czym wszyscy naraz zaczęli wyrażać swoje wątpliwości. Kiwał głową i słuchał, nie próbując uciszyć hałasu czy kontrować wypowiedzi. Większość wątpliwości brała się z prostego faktu lojalności gryfów wobec ich stwórcy. Nikt nie chciał sprzeciwić się Urtho. Chcieli tylko pozbyć się Shaiknama.

Kiedy ostatnie obiekcje zostały wykrzyczane i zgromadzenie znowu ucichło, przemówił.

— Zgadzam się z wami — powiedział, dziwiąc się, że nikt nie kwestionował tego, iż objął przywództwo. — Jesteśmy winni Urtho lojalność, gdyż wszystko mu zawdzięczamy. Nie powinniśmy nawet brać pod uwagę jego opuszczenia, ale nie musimy mu tego mówić. Magowie odczuwali dokładnie to samo co my, ale byli zgodni co do wykorzystania jako karty przetargowej faktu, że mogą się spakować i odejść. Powinniśmy postąpić tak samo. Gdyby sytuacja nie była dla nas aż tak niebezpieczna, nigdy bym czegoś podobnego nie proponował. Wszyscy jednak wiemy, jakie było życie w Szóstym pod Shaiknamem i nie możemy pozwolić, aby ten głupiec mógł znowu nas narażać.

Wszystkie głowy potakiwały energicznie. Pióra na grzebieniach z wolna opały, pęczki na uszach wzniosły się, wyrażając zainteresowanie.

— Ale to musisz być ty, Czarny Chłopce — zawołał Aubri gdzieś z tyłu — to ty powinieneś mówić w naszym imieniu. Ty się najlepiej nadajesz do tej roboty.

Stwierdzenie Aubriego spotkało się z ogólną akceptacją. Nozdrza Skana narzmięła od zakłopotania i dumy.

— Zatem powiem wam, co zrobimy — rzekł, zastanawiając się, czy to, co robi, jest samobójczą głupotą czy raczej ocaleniem dla wszystkich. — Mam zamiar jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji, zanim Shaiknam będzie miał okazję zadziałać. Wszyscy wiemy, że tam, gdzie jest Shaiknam, jest i Garber. Jestem pewien, że to on będzie próbował przejąć inicjatywę. A oto taktyka, która może świetnie poskutkować. . .

Garber przesłał dwie wiadomości przez ptaka i obie Skan zignorował. Jeden z gryfów, który miał szczególnie dobry układ z ptakami, namówił ostatniego z posłańców na pewien podstęp. Po krótkiej rozmowie ptaszek odleciał i niedługo potem chmura jego współtowarzyszy uniosła się w górę z okolicy namiotu Shaiknama i poszybowała na odległy kraniec obozowiska.

Shaiknam i Garber nie mieli więc wyboru: musieli użyć człowieka jako posłańca. Gryfy z Szóstego ukryły się w swoich legowiskach, a reszta w ogóle się wyniosła, aby pozostał jedynie Skan. Usadził się wygodnie na nagrzaną skalę; wkrótce na ścieżce prowadzącej do ich legowisk pojawił się zmierzający piechotą adiutant w kolorach Szóstego. Szukał gryfów, które miały się niezwłocznie stawić u Garbera.

Poszukiwane gryfy ukrywały się w cieniach swych legowisk, choć doskonale widziały Skana i adiutanta. Nie miały jednak zamiaru pokazać choćby skrawka pióra, dopóki Skan nie da im jakiegoś znaku.

Młodzieniec rozglądał się wokół zdziwiony, gdyż miejsce wydawało się całkowicie opuszczone. Skan próbował odgadnąć, co dzieje się w jego umyśle. Gryfy nie były u swej trondi'irn, która oczywiście nic nie wiedziała o całym spisku. Nie znajdowały się też na poligonie ani na obecnie już legalnym torze przeszkód Zhaneel. Nie było też ich w dowództwie. Mogły być jedynie w swoich legowiskach, a jednak je opuściły, chociaż było to zabronione. Żadnego śladu gryfów ani tego, gdzie mogły pójść. Nie zażywały kąpieli w piasku ani w wodzie. Żaden nie siedział na cieniastym ganku swojego legowiska. Żaden nie wygrzewał się na skałach.

Z wyjątkiem Skana.

Czarny Gryf obserwował wyraz twarzy mężczyzny, gdy ten próbował pogodzić swoje rozkazy z tym, co zastał. Skan nic był ściśle przypisany do Szóstego, ale latał jako ochrona Zhaneel, musiałby więc wykonać jego rozkazy.

Adiutant rozejrzał się wkoło jeszcze raz, potem wzruszył ramionami i pomaszerował prosto do Czarnego Gryfa. Skan uniósł głowę, patrząc, jak nadchodzi, ale nic odezwał się ani nie wykonał żadnego ruchu.

— Generał Shaiknam wysłał tutaj dwóch ptasich posłańców, aby zebrać wszystkie gryfy z Szóstego — powiedział oschle młodzieniec. — Dlaczego nie było odpowiedzi?

Skan tylko spojrzał na niego, dokładnie w taki sam sposób, w jaki patrzył na dorodną tłusta, sarenkę.

Młodzieniec jednak okazał się twardą sztuką i najwyraźniej nie zamierzał przestraszyć się spojrzenia nieprzyjaźnie nastawionego mięsożercy, który miał na tyle wielki i ostry dziób, aby szybko rozprawić się z jego torsem.

— Generał Shaiknam rozkazuje, aby gryfy z Szóstego natychmiast zgłosiły się na lądowisku do raportu — ciągnął odważnie.

— Dlaczego? — odezwał się Skan grzmiącym głosem. Młodzieniec mrugnął, jak gdyby nie spodziewał się, że Skan coś powie, a już najmniej, że o coś zapyta. Był tak zdumiony, że udzielił odpowiedzi.

— Będziecie wykonywać loty przeciw oddziałom pod Panjirem — powiedział. — Latając na wysokości wierzchołków drzew, będziecie zrzucać kamienie i...

— I robić z siebie cel dla różnych wycelowanych w niebo miotaczy pocisków — odparł Skan z sarkazmem. — Cel prawie nieruchomy. Między tymi wysokimi klifami nie ma miejsca, aby mógł tam lecieć więcej niż jeden gryf na raz, a co dopiero gdyby chciało się utworzyć przyzwoitą formację. Będziemy wyglądać jak bańki na końcu słomki. Jeśli nie trafią nas pociski, to z pewnością dobiórą się do nas nadlatujące z góry makaary. Możesz powiedzieć generałowi, że nie przyjmujemy jego zaproszonka. Powiedz mu także, że wiadomość pochodzi od

Czarnego Gryfa.

Skan położył swoją głowę z powrotem na przednich nogach, zamknął oczy i udawał, że śpi.

Adiutant otworzył usta, ale zaraz szybko je zamknął. Na swoje szczęście nie próbował wygrażać ani się kłócić. Odwrócił się tylko na pięcie i odszedł w kierunku wzgórza, zostawiając za sobą smużkę unoszącego się kurzu. Skan obserwował go, dopóki nie zniknął z pola widzenia, po czym skoczył na nogi.

— I co teraz? — zawołał jeden z gryfów ukryty w legowisku.

— Teraz lecę do Urtho, zanim dotrze tam Shaiknam — odparł Skan i wznosił się w niebo, machając skrzydłami, i skierował się prosto do Wieży.

*Gdzie o tej godzinie może być Urtho? Prawdopodobnie w Pokoju Strategii.* Chcąc dostać się do pokoiów znajdujących się wewnątrz Wieży, musiał przejść przez bramę i natrafić na co najmniej jednego strażnika. W tym przypadku było to korzystne, Skan miał bowiem zamiar tym razem wykorzystać drogę urzędową, a nie tak jak zazwyczaj wylądować bezpośrednio na balkonie Urtho.

Sfrunął na chodnik przed Wieżą, podszedł królewskim krokiem do strażnika, stojącego przed bramą i skinął głową w salucie.

— Skandranon do Urtho w sprawie najwyższej wagi — powiedział grzecznie, zachowując wszelkie formalności. — Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał przesłać mu wiadomość i nadać bieg sprawie.

Był dumny z tego, że pomimo podniecenia jego „s” nie syczało, a „r” nie wibrowało.

Strażnik skinął głową, zapukał w bramę, poszeptał do kogoś, kto za nią stał, i zwrócił się z powrotem do Skana.

— Załatwione, Skandranonie — powiedział. — Zechciej chwilę poczekać. Sadzę, że to nie potrwa zbyt długo.

Skan kiwnął głową.

— Dzięki — odparł. Chciało mu się chodzić. Stopy go swędziały od potrzeby darcia czegokolwiek z czystych nerwów. Jednak trwał spokojny i nieruchomy niczym statua z czarnego granitu, tylko ogon podrygiwał i skakał, pomimo że Skan usilnie próbował trzymać go nieruchomo. Chwile mijały, a on przez cały czas obawiał się, że usłyszy nadchodzącego posłańca od Shaiknama. Ptakiposłańce prawdopodobnie nadal unikały generała i jego podwładnych, zatem Shaiknam musiał wykorzystać wolniejszą metodę zwrócenia się o audiencję u Maga Ciszy.

W miarę jak oczekiwanie przedłużało się, Skan miał coraz większą ochotę zgrzytać dziobem. Czul się jak ogromny cel na tle białego kamienia.

W końcu po o wiele za długim czekaniu rozległo się słabe pukanie do drzwi. Strażnik otworzył je i przez chwilę słuchał kogoś, po czym rozwarł bramę szerzej i dał znak Skanowi, aby wszedł.

— Urtho zobaczy się z tobą — powiedział. — Mag jest w Pokoju Strategii.



Obaj wiedzieli, że nie trzeba wskazywać Skanowi drogi: Skan czuł się w Wieży jak w domu. Skinął tylko głową i przeszedł przez otwarte drzwi. Drugi strażnik stojący wewnątrz kiwnął na powitanie, gdy gryf go mijał. Urtho, projektując swoją Wieżę, miał na względzie także stworzenia takie jak gryfy. Posadzki były z naturalnego ciosanego kamienia, aby nie ślizgały się na nich szpony i pazury, wysokość i szerokość drzwi oraz korytarzy przystosowano dla istot większych od ludzi. Nie było tu zbyt wiele rzeczy do oglądania, pusty hol i korytarz, bez żadnych ozdób, z pozamykanymi drzwiami po każdej stronie. Pokój, do którego musiał dostać się Skan, znajdował się za trzecimi drzwiami po prawej.

Drzwi otworzyły się przed nim, ale nie dzięki działaniu magii. Urtho stał za stołem, pochylony nad mapą używaną podczas wszystkich ważniejszych narad strategicznych. Obszary, które dzierżył Ma'ar, były magicznie zabarwione na czerwono, a pozostałe na niebiesko.

Na mapie znajdowało się alarmująco dużo czerwieni.

— Urtho — zaczął Skan, gdy tylko znalazł się w drzwiach. — Ja...

— Ty i Szósty Dywizjon gryfów planujecie przewrót — rzekł Urtho ze złowrogim spokojem.

Pęczki na uszach Skana oklapły.

— Skąd wiesz? — wygadał się, robiąc dwa kroki do tyłu. Hertasi zamknął za nim drzwi i wyniósł się z pokoju bocznym przejściem, zostawiając ich samych.

— Jestem magiem — przypomniał mu Urtho. — Chociaż nie marnuję swej mocy, jednak od czasu do czasu wykorzystuję ją aby mieć oko na niektóre rzeczy. Wiedziałem, że większość z was nie chce mieć nad sobą Shaiknama. Ale nie sądziłem, że posuniecie się do rewolty. — Skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał wzrok w Skanie. — Nie jest to najmądrzejsza rzecz, jaką mogliście zrobić. Beze mnie nie potraficie przeżyć. Przecież wiesz.

*Do diabła! No cóż, równie dobrze mogę mu powiedzieć od razu.*

— Potrafimy — odparł Skan, unosząc swoją głowę, tak że teraz patrzył na Urtho z góry, chociaż wszystko w nim krzyczało, aby się pochylić i patrzeć wprost w oczy maga, jak był tego nauczony. — Przykro mi, Urtho, ale już cię nie potrzebujemy. Wiemy, jak możemy stać się płodni. Zhaneel jest tego najlepszym dowodem. Mam nadzieję, że ufasz moim słowom.

Przez całe swoje życie Skan nie widział, żeby Urtho był tak oszołomiony. Zdziwiony, tak, zaszokowany, z pewnością. Ale zupełnie oniemiały — nigdy.

Wyraz absolutnego zakłopotania na twarzy maga był tak zabawny, że Skan nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

Twarz Urtho poczerwieniała i zakłopotanie zamieniło się w irytację.

— Z czego się śmiejesz, ty przerośnięty kurczaku? — wypluł z siebie mag. — Co jest tak cholernie śmiesznego?

Skan mógł tylko potrząsnąć głową i nadal się śmiał.

— Twoja twarz. . . — tylko tyle udało mu się z siebie wydusić, zanim zabrakło mu tchu.

Urtho poczerwieniał jeszcze trochę, ale potem niechętnie uśmiechnął się.

— A więc myślisz, że masz przewagę, co? — powiedział z wyzwaniem w głosie.

Skan szybko przywołał się do porządku, chociaż nadal w każdej chwili groziło mu, że wybuchnie śmiechem.

— I tak, i nie — odparł. — Teraz możemy odejść. Nie masz już kontroli nad naszą przyszłością. Nie oznacza to, że rzeczywiście odejdziemy, po prostu nie chcemy mieć do czynienia z takimi idiotami jak Shaiknam i Garber, którym się wydaje, że mogą nas traktować jak mięso armatnie. Czekaj! — Wyciągnął przednią łapę, gdy Urtho chciał coś powiedzieć. — Wysłuchaj mnie najpierw. Oto co zaplanował Shaiknam odnośnie gryfów, gdy tylko odzyskał dowództwo nad Szóstym.

Skan opowiedział Urtho to, co przekazał mu adiutant. Potem nakreślił na mapie zaplanowane manewry.

— Widzisz? — zapytał. Urtho zmarszczył brwi. — Widzisz, co miało się stać? Być może stworzylibyśmy wyłom w oddziałach Ma'ara, ale są lepsze sposoby, aby to zrobić, niż poświęcanie połowy eskadr!

— Widzę — odparł Urtho, kiwając z namysłem głową. — Widzę.

— Nie chcemy żadnych kłopotów Urtho — kontynuował Skan szczerze, robiąc ostrożny krok do przodu — ale nie chcemy również być zmuszani do samobójczych misji. Być może ty masz inne zdanie, ale my to widzimy w ten sposób. — Uniósł głowę trochę wyżej. — Wytworzyłeś w nas potrzebę rozmnażania się tak silną jak instynkt jedzenia i oddychania i wykorzystywałeś ją do tego, by nas kontrolować. Wolelibyśmy raczej służyć ci z czystej lojalności, a nie z przymusu.

— Ja również wolałbym, aby tak było — wymruczał Urtho, mrugając kilka razy oczami. Zakaszał, na moment ukrywając twarz, a potem spojrzał znowu na Skana. — A skąd o tym się dowiedzieliście? — spytał. — Jestem pewien, że ty maczałeś w tym palce, ponieważ nie sądzę, aby jakikolwiek inny gryf ośmielił się spróbować. Na pewno by mu się nic udało.

Skan rozdziawił szeroko dziób w zuchwałym uśmiechu, mając nadzieję, że wprowadzi Urtho w dobry humor.

— O tym właśnie, Urtho, chciałbym porozmawiać.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Na jeden krótki moment, kiedy Skandranon mu się przeciwstawił, Urtho wpadł we wściekłość. Jak śmiała ta rzecz, którą on stworzył, przypuszczać, że może dyktować warunki w tej wojnie? Jak śmiała uzurpować sobie wiedzę, do której nie miała prawa i nie była dość inteligentna, aby ją właściwie wykorzystać?

Jednak wściekłość zniknęła tak szybko, jak przyszła, ponieważ Urtho żył zbyt długo, aby pozwolić jej panować nad intelektem. Intelekt przyszedł z pomocą i odpowiedział na pytania. Skan ośmielił się, ponieważ nie był rzeczą, ale żywą, myślącą, absolutnie niezależną istotą, podobnie jak i reszta gryfów. Były dokładnie takie, jak je sobie wyśnił i zaplanował. Nigdy nie sądził, że zaistnieją za jego życia. Miały prawo panować nad swoim przeznaczeniem. Być może był odpowiedzialny za ich kształt, ale ich duch należał do nich. On nie miał prawa im niczego dyktować. I w okamgnieniu uświadomił sobie swoje niesamowite szczęście, że za to, co przed nimi ukrył, nie chowały do niego urazy. Przeciwnie, nadal były wobec niego lojalne.

*Miały absolutne prawo odlecieć, tak jak groziły — myślał, gdy Skan śmiał się z wyrazu jego twarzy. To jakiś cud, że tego nie zrobiły. Bogowie, mieliśmy szczęście...*

Nawet nie wiedział, jak wielkie szczęście, dopóki Skan nie opowiedział mu, co zaplanował Shaiknam. Szybkie zbadanie topografii tego obszaru powiedziało Urtho to, czego nie powiedział Skan: że Shaiknam zamierzał przypuścić atak typu „teraz albo nigdy” na silnie ufortyfikowaną dolinę. Kiedy takie plany udawały się, zwycięstwa były druzgoczące, ale ten szczególny Wojenny plan miał tyle samo szans, co płatek śniegu na rozpalonej patelni. Był to jeszcze jeden wyraz niezdrowego ciężenia Shaiknama do udowodnienia, że jest genialnym strategiem i bohaterem.

Problem polegał na tym, że wszyscy genialni strategowie i bohaterowie rozumowali rozsądnie, a Shaiknamowi rozsądku zdecydowanie brakowało.

Urtho przeklął w duchu tego człowieka, gdy Skan pokazywał mu, w jaki sposób gryfy mogły być strącone bez możliwości obrony. Ojciec Shaiknama był takim wspaniałym strategiem i dowódcą, dlaczego syn nie nauczył się od niego

choćby najprostszycy reguł strategicznych?

No cóż, przypadek beznadziejny. Jedynym sposobem, aby pozbyć się go raz na zawsze, było wycofanie z Szóstego wszystkich oddziałów nie ludzi i magów pod pretekstem, że inne dywizje miały niedobory w obsadzie i przydzielenie tych sił gdzie indziej. Shaiknam mógł być nadal dowódcą Szóstego, ale dowodziłby tylko oddziałami pieszych. Bez powietrznego wsparcia i bez magów będzie zmuszony do ostrożności.

*To powinno go powstrzymać i tego pieska Garhera przed wywoływaniem nowych kłopotów.*

Obruszył się trochę, kiedy Skan nie chciał powiedzieć mu, kim byli jego współkonspiratorzy. Szedłby o zakład, że siedziała w tym aż po swój arystokratyczny podbródek lady Cinnabar. A gdzie jest Cinnabar, z pewnością jest i Tamsin, no i prawdopodobnie Bursztynowy Żuraw. *Bez wątpienia wdarli się wtedy, gdy Cinnabar prosiła o pozwolenie „przejrzenia moich zapisków na temat gryfów”. Myślałem, że szuka leku na ból brzucha!* Kestra'chern musiał mieć klienta, który przygotował mu zestaw kluczy do magicznych zamków. Dzięki nim dostali się do księgi.

Najdziwniejsze było to, że udało im się zlekceważyć wszystkie fałszywe tropy i rozszyfrować tajemnicę płodności gryfów.

— Ilu z was zna zakłęcie? — spytał z niechętnym podziwem.

— Wszyscy — odparł Skan, nie mrugnawszy nawet okiem. — Nie chodzi tutaj o zakłęcie, chodzi o poznanie pewnych prawideł. Nie było sensu ukrywać tej informacji. Każdy gryf na zewnątrz Wieży zna sekret.

Nie mógł nic na to poradzić. Musiał pokręcić głową z czystego podziwu.

— I aż do tej pory utrzymaliście tę całą sprawę przede mną w tajemnicy?! Nie do wiary.

— Mieliśmy powód, by zatrzymać ją dla siebie — odparł Skan. — Istotny powód. Nie wiedzieliśmy, co będziesz czuł albo jak się zachowasz. Czekałem więc na odpowiedni moment, aby ci to powiedzieć.

— A więc to ty miałeś być kozłem ofiarnym, hmm? — Urtho przypatrywał się niepewnie Skanowi. — Nic z tego nie rozumiem. Sądziłem, że ofiara musi tłusta, a nie koścista.

Skan wyprostował się.

— Ofiara musi być najlepsza z najlepszych. Wierzę, że spełniam ten wymóg.

Spoglądał na Urtho spod swych ciężkich powiek, mrużąc oczy i rozdziawiając dziób w szerokim uśmiechu, kiedy Urtho zaśmiał się głośno.

— Zawsze godzę się z tym, co nieuniknione, mój przyjacielu — powiedział, ciągle się śmiejąc i klepiąc Skana po ramieniu. — Sądzę, że muszę na to spojrzeć jak na próbę dojrzałości, jakiej poddają Kaled'a'in swoje dzieci. Wy, gryfy, nie jesteście już z pewnością ani moimi dziećmi, ani kogokolwiek innego.

Potem spoważniał.

— Cieszę się, że to się teraz stało, Skan. Cieszę się, że jesteś tutaj. Ja również muszę przekazać ci pewne ważne wieści i chyba nadarzyła się ku temu okazja.

Wezwał hertasi, który czekał dyskretnie za drzwiami i przekazał mu pośpiesznie kilka instrukcji.

— Chcę, abyś wezwał generała Shaiknama i zaprowadził go do Marmurowego Biura. Następnie wezwij dowódców pozostałych sił do Pokoju Strategii.

Odwrócił się do Skana.

— Podzielię siły nie ludzi wśród innych dowódców. Mam ku temu powody, ponieważ wszyscy narzekają na braki. To spowoduje, że Shaiknam będzie dowodził tylko ludźmi. Jak sądzisz, u którego dowódcy gryfy z Szóstego chciałyby służyć?

Przynajmniej raz on zaskoczył Czarnego Gryfa. Zadowolenie na twarzy Skana zniknęło, zastąpione zaskoczeniem.

— Eee, u Judeth z Piątego, jak sądzę.

Urtho pokiwał głową z uznaniem dla jego wyboru.

— Wspaniale. Jak dotąd ona nie miała przydzielonych eskadr gryfów, z wyjątkiem tych, które pożyczała od Szóstego i Czwartego. Zważywszy na to, zgadzam się. — Popatrzył na Skana z namysłem. — Poza tym gryfy powinny mieć prawo głosu, podobnie jak magowie. Są pewne sprawy dotyczące was, o których nie ma pojęcia żaden człowiek. Powinien być wyznaczony jeden gryf, który przemawiałby w imieniu wszystkich, ażeby nie zdarzały się takie sytuacje, jak w przeszłości z Shaiknamem. — Wyciągnął palec. — To znaczy ty, Skan. Mianuję cię zatem głównym dowódcą wszystkich eskadr gryfów, abyś w ich imieniu rozmawiał bezpośrednio ze mną.

Zdziwienie Skana przeszło w osłupienie. Jego głowa podskoczyła, jakby ktoś dźgnął go od tyłu.

— Ja? — zapiszczał. Tak, zapiszczał niczym mała myszka. Chrząknął i spróbował jeszcze raz. — Ja? Dlaczego ja? Jestem zaszczycony, Urtho, ale dlaczego ja?

Urtho machnął ręką na jego obiekcje.

— Przecież myślałeś o tym, aby stać się przywódcą gryfów, bo inaczej dlaczego czytałybyś wszystkie moje książki o wielkich przywódcach z przeszłości? Inni z pewnością również uważają, że ty powinieneś zająć to stanowisko, bo inaczej dlaczego przysłałiby cię tutaj, abyś załatwił ze mną sprawę Shaiknama?

*Czy tu jest tak strasznie gorąco?* Skan poczuł, jak jego nozdrza czerwienieją i zwiesił głowę.

— No, tak właściwie, to oni mnie nie wybrali — przyznał. — Nie potrafili się na nic zdobyć oprócz paniki i narzekania. Zatem ja... wzięłem wszystko w swoje ręce. Nikt nie wydawał się mieć nic przeciwko temu.

— Tym większy powód, aby cię umieścić na ich czele, skoro byłeś jedynym, który nie stracił głowy — powiedział Urtho stanowczo. — A jak sądzisz, w jaki sposób ja zostałem dowódcą tej tak zwanej armii?

Skan schował głowę między skrzydła, jego nozdrza zaś płonęły.

— Nie jestem pewien, czy to jest dobre porównanie. . .

— No, teraz ja mam kilka rzeczy do przekazania tobie — kontynuował Urtho.

— Nie wiem, czy wiesz, ale kiedy po raz pierwszy stwierdziliśmy, że będziemy musieli opuścić Wieżę, wysłałem grupy składające się z rodzin wojowników i innych cywilów na zachód. — Odwrócił się do mapy i pochylił nad nią, wspierając się na rękach. — Po pierwsze, nie chciałem mieć tutaj tak ogromnego skupiska ludzi, a kiedy uświadomiłem sobie, jaki chaos mogłaby spowodować ewakuacja, nie chciałem go jeszcze bardziej powiększać.

Skan pokiwał głową z podziwem. Nie zdawał sobie sprawy, że Urtho przerzucał ludzi w tak systematyczny sposób. To już mówiło samo za siebie, jak sprytnie mag to wszystko zaaranżował.

— Przesyłałem grupy na najdalsze krańce terytorium, które jest w naszym posiadaniu, w miejsca, znajdujące się blisko stałych Bram, aby mogli nadal być z nami w kontakcie, gdyby nic się nie zmieniło. Jednak wystarczająco daleko, gdyby się coś stało. . . — Urtho nie dokończył zdania.

— Gdyby się coś stało, nasi są już na miejscu — powiedział szybko Skan. — W ten sposób ewakuacja będzie o wiele łatwiejsza i szybsza. A skoro wojownicy wiedzą, że ich rodziny są bezpieczne, skupią się na obronie zamiast na martwieniu się o los bliskich.

— Nie chcę drugiego Laisfaar — rzekł Urtho, pochyliwszy głowę nad stołem, tak że jego twarz była niewidoczna. — Nie chcę kolejnej Przełęcz Stelvi.

Skan miał swe własne powody, aby temu przyklasnąć. Zabite gryfy czasami nawiedzały go w snach, nie dając mu spokoju. . .

*. . . Znowu wzlecieć, jak pragnie tego Urtho. . .*

— Kogo wybrałbyś na swojego zastępcę, Skan? — spytał Urtho po długim milczeniu, nagle zmieniając temat. — Przypuszczam, że będzie to jakiś doświadczony wojownik. A. . . — rzucił krótkie spojrzenie na Skana, który dostrzegł w jego oczach przebiegły błysk — . . . ja za doświadczonego wojownika uważam Zhaneel.

Skan chrząknął.

— No cóż, niech będzie Zhaneel, ale dlatego, że ona cieszy się szacunkiem u pozostałych gryfów. Nawet te, które nie trenowały na jej torze, wiedzą, jak jest trudny, i podziwiają ją za to, czego dokonała. Jest jednak jeszcze coś, o co chcę cię prosić.

Urtho uniósł się znad stołu.

— Tak? — powiedział, nasycając tę jedną sylabę mnogością odczuć.

I znowu żołądek i gardziel Skana skurczyły się z niepokoju, a jego nozdrza poczerwieniały.

— Ja. . . dokonałem małej eksploracji na tym piętrze twojej Wieży.

— I? — twarz i głos Urtho były obojętne.

— I znalazłem... modele.

— Jak śmia...?! — wykrzyknął Urtho przez chwilę porażony gniewem. Szybko jednak się uspokoił. — Nieważne. Co...

Skan przerwał mu.

— Spotkałem Kecharę.

Urtho patrzył na niego przez moment osłupiały, potem jakby lekko zbladł.

— Lepiej usiądę — powiedział ostrożnie. — Musisz mnie teraz nienawidzić.

Skan pokręcił głową, a Urtho opadł na krzesło. O ile gryf potrafił rozpoznawać ludzkie reakcje, mag był dogłębnie wstrząśnięty.

— Jak mógłbym cię nienawidzić? Im dłużej z nią przebywałem, tym silniej uświadamiałem sobie, że zrobiłeś dla niej co mogłeś. A ponieważ miałem kilka dni, aby to przemyśleć, chyba udało mi się odgadnąć, dlaczego zatrzymałeś ją tutaj, zamiast umieszczać z resztą gryfów. Nie chodziło tylko o to, aby ją chronić przed drwinami i zranieniem jej uczuć. — Wziął głęboki wdech i zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. — Ale dlatego, że ona potrafi doskonale posługiwać się myślumą. Nikt z mych znajomych jej nie dorównuje.

Oczy Urtho rozszerzyły się i zabrakło mu tchu.

— Czy ona mówiła do ciebie? — spytał.

Skan pokiwał głową zadowolony z tego, że udało mu się rozwiązać zagadkę.

— Uświadomiłem sobie, że otrzymuję od niej więcej informacji, niż wypowiada słowami. Przypomniałem sobie, że dosłownie poraziła mnie myślą, zanim mnie zaatakowała. Domyśliłem się, że nie przekazuje mi słów tylko głosem, ale również umysłem.

Opowiedział Urtho całą historię od początku do końca, zatajając tylko, że dostał się do pokoju dzięki magicznym kluczom Vikterena.

— Dlatego właśnie ona jest w Wieży, w pokoju z tak silnymi tarczami, i dlatego sprawia wrażenie obecności wielu gryfów, a nie tylko jednego. Dlatego też Zhaneel i ja chcielibyśmy ją mieć u siebie. Ochronimy ją przed żartami i docinkami, a ona może funkcjonować jako... no... pewien rodzaj łączności między grupami gryfów, które będą musiały kontaktować się ze sobą. Oczywiście są u nas tacy, którzy znają myślumą, ale nie są w tym tak dobrzy jak ona.

— Widzę, że wiele nad tym myślałeś. — Urtho otarł czoło rękawem, kiedy pojawiły się na nim małe kropelki potu. — Muszę wyznać, że również i ja myślałem o jej wykorzystaniu, ale było mi jej żal... No cóż... Wyrodki zazwyczaj nie żyją długo. Przypuszczałem, że natura sama rozwiąże ten problem. Kiedy jednak nie umarła, musiałem z nią coś zrobić. Ona jest w twoim wieku, Skan. Wydaje się tylko młodsza, ponieważ jest dziecinna i słabo pamięta rzeczy, które działy się rok temu. Wiedziałem, że gdyby ktoś odkrył ją i jej moc, stałaby się celem dla naszych wrogów. W niepożądanych rękach mogłaby być straszliwą bronią. Bałem się, że zamiast zajmować się wojną, będę musiał jej bronić, a nie mógłbym pogodzić bezpieczeństwa i wolności jednego wyrodka z bezpieczeństwem

wszystkich moich poddanych. Rozumiesz? Dlatego ukryłem ją w Wieży i trzymałem tam w absolutnej tajemnicy. Inaczej nie mógłbym jej bronić. I nie mogłem pozwolić na to, żeby z jej powodu wybuchła wojna.

— Urtho, jednak z przykrością muszę ci przypomnieć, że my już mamy wojnę. I to nie z powodu Kechary — odparł Skan z sarkazmem większym, niż zamierzał. — Nikt nie zamierza wdrzeć się do obozu, aby ją ukraść, i nie ma sensu trzymać jej dłużej w tym więzieniu.

Skandranon usiadł naprzeciwko Urtho. Zdziwił się, że Kechara była w jego wieku. Tak jak Urtho powiedział, wyrodki przeważnie nie dożywały wieku młodzieńczego, a co tu dopiero mówić o dłuższym życiu. To, że żyła tak długo, doprowadziło ogromu troski Urtho.

Mag westchnął.

— Masz rację — powiedział niechętnie. — Zasluguje na trochę wolności, ale trzymaj ją tutaj. Jeśli nie w samej Wieży, to blisko niej.

— Oczywiście — potaknął Skan. — Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym także zacząć przetrzucać rodziny gryfów tam, gdzie są inni cywile: wszystkie pary z piskletami i żółtodziobami oraz młode, które są nadal w trakcie nauki. Nie widzę powodów, dla których nie mogłyby dokończyć szkolenia gdzie indziej. — Zamyślił się na chwilę. — Powiem im, że twoim zdaniem nagromadzenie nas tutaj powoduje, iż stajemy się łatwym celem dla jakiejś strasznej broni. Pragniesz, abyśmy rozproszyli się, bo wtedy nie będzie tak łatwo uderzyć w nas wszystkich.

Urtho rozważał to, studiując mapę.

— Może tutaj i tutaj... — Wskazał na dwie doliny łatwe do obrony w zasięgu najdalszej stałej Bramy. — Mogę ustawić dwie Bramy w tych miejscach i przeprowadzić nie tylko gryfy, lecz również Kaled'a'in i niełudzi, którzy są cywilami. Każdy, kto będzie chciał ich odwiedzić, będzie mógł to zrobić.

— Mam nawet lepszy pomysł — zaproponował Skan. — Ustawić drugą Bramę i przesłać gryfy dalej. Skorzystać z wymówki, że potrzebujemy dużo pokarmu, a w związku z tym większego terytorium łowieckiego. Wysłać Kaled'a'in do tej doliny na południu, a rekonwalescentów i ochotników do tej na północy. W ten sposób nie będą przeszkadzać, a mogą trenować waszą młodzież podczas rekonwalescencji.

Urtho pstryknął palcami.

— Oczywiście, a co więcej będę miał ambulatorium, a młodzież będzie zdobywać pożywienie! Będą całkowicie samowystarczalni!

— A nadwyżkę mogą wysłać do nas — dodał Skan z rosnącym entuzjazmem. — Nie będzie to dużo, ale sprawi, że poczują się naprawdę potrzebni. To im dostarczy też trochę rozrywki...

Na samą myśl ślina pociekła mu do ust. *Bydło nie ma prawdziwego smaku. Co innego młody jelonek...*



— Jeżeli będą tam hertasi, Skan, nie mówiłbym „niedużo”! Hertasi są wspinałymi zaopatrzeniowcami. — Brwi Urtho drgnęły. — Dlatego trzymam ich tutaj głównie w służbach kwatermistrzowskich. Potrafią nakarmić dziesięcioma bochenkami chleba stu wojowników.

Skan zauważył jednak, że Urtho był bardziej niż zwykle wyciszony. *Czyżby o czymś mi nie powiedział? Czyżby było jeszcze coś gorszego, niż myślałem?*

Lekkie stukanie do drzwi powstrzymało go przed stawianiem dalszych pytań. Główny hertasi Urtho wetknął ostrożnie pyszczek do środka.

— Urtho, przyszli dowódcy — powiedziała cicho jaszczurka. Urtho spojrzał ponad Skanem i wrzucił ramionami.

— Wpuść ich tutaj, Seri — powiedział. — Niech wszyscy od razu się o tym dowiedzą.

Weszli dowódcy, na końcu generał Judeth, nienaganna i surowa w wybranych przez siebie kolorach czerni i srebra. Skupili się wokół stołu. Skan zauważył, że jeden czy dwóch trochę zbladło, gdy ujrzało na mapie ostatnie podboje Ma'ara.

*Czyżby nie wiedzieli? A może oznacza to coś, czego nie potrafię odgadnąć?*

— Panie, panowie — skinął Urtho w kierunku grupy — zebrałem was tutaj z kilku powodów. Po pierwsze, generał Farle nie żyje. Na ile można stwierdzić, był to zamach.

Wszyscy wokół stołu głośno westchnęli, co powiedziało Skanowi, że jeszcze nikt z dowodzących nie słyszał niedobrych wieści.

— Obawiam się, że wobec zaistniałej sytuacji muszę zredukować Szósty i rozdzielić nie ludzi i magów pośród was. Generał Judeth... — Gdy Urtho wymienił jej imię, kobieta wyprostowała się, a wyraz zaszokowania na jej twarzy natychmiast zniknął. — Na szczególną prośbę nowego dowódcy wszystkich eskadr gryfów, eskadry, które wcześniej należały do Szóstego, przydzielam tobie. Wiem, że będziesz nimi dobrze dowodzić.

— Zrobię co w mojej mocy — odparła generał Judeth.

— Reszta z was może sama postanowić, jak najlepiej rozdzielić siły Szóstego. Generał Shaiknam zachowuje dowództwo nad pieszymi oddziałami ludzi, ale reszta jest do waszej dyspozycji. — Urtho skinął głową i Skan z zadowoleniem zauważył, że dowódcy otrząsnęli się z szoku i zaczęli zastanawiać nad zaistniałą sytuacją. — Jestem przekonany, że nic dopuścicie, aby jakakolwiek rywalizacja przeszkodziła w najlepszym podziale sił. A teraz, sądzę, że wszyscy znacie Skan-dranona. Czarnego Gryfa albo z widzenia, albo ze słyszenia.

Kiwnięcia głową i lekkie uśmiechy padły w odpowiedzi na krótki salut głową Skana w kierunku wszystkich, a szczególnie generał Judeth.

— Wyzaczyłem go na głównego dowódcę eskadr gryfów na mocy tego samego układu, który zawarłem z magami. — Urtho przerwał i czekał na reakcję.

Skan dostrzegł tylko lekkie zmarszczenie brwi i jedno czy dwa skinięcia głową. Pierwsza zabrała głos generał Judeth.

Chrząknęła delikatnie, a potem zwróciła się jednocześnie do Urtho i do Skana.  
— Układ z magami funkcjonuje lepiej, niż przypuszczaliśmy — przyznała.  
— Sądziliśmy, że mogą pojawić się jakieś problemy, a nawet jawny bunt wśród magów, ale nic takiego nie zaszło.

— Jej usta wykrzywiły się lekko, choć trudno to było nazwać uśmiechem. — Niektórzy magowie działają lepiej niż kiedyś. Najwyraźniej świadomość, że mają kogoś, kto potrafi docenić ich dokonania, kto wie, na co ich stać, powoduje, że chętniej dają z siebie wszystko. Wierzę, Skandranonie, zarówno dlatego, że wybrał cię Urtho, jak i z uwagi na twoją reputację, że będziesz postępował podobnie.

Nozdrza Skana poczerwieniały, ponieważ nic było wątpliwości, co generał miała na myśli, mówiąc „twoja reputacja”, ale odpowiedział jej w miarę pewnym głosem.

— Mogę ci obiecać, że żaden gryf nie uchyli się od wykonania zadań bez ważnego powodu — odparł. — Rozumiemy wszyscy, że jest wojna, a na wojnie można zginąć. Prosimy tylko, żebyśmy nie byli wysyłani na pewną śmierć. Mogę również obiecać, że jeśli będą jakieś sprzeczności, to tylko wówczas, gdyby straty miały być większe od zysków. Gryfy będą broniły wszystkich ras.

Generał skinęła głową na te słowa, po czym utkwiała wzrok w stole.

— Widzę, że wszyscy jesteście zaniepokojeni wielkością terytorium, które zabrał nam Ma'ar — kontynuował Urtho. — Rzeczywiście macie powody do niepokoju. Właśnie zaktualizowałem sytuację na mapie. Większość naszych zdobyczy pochodzi z ostatniego miesiąca. Wszyscy wiecie, że straciliście ziemię, jednak nikt z was nie znał prawdziwego rozmiaru strat aż do dziś. Nie będę ukrywał — jesteśmy w kłopotach. W rzeczywistości straciliśmy tak wiele, że Ma'ar przeprowadził się do pałacu i uczynił z niego swoją kwaterę główną.

Przyjęli to bez zmruczenia oka, chociaż Skana doprowadził do szału fakt, że Ma'ar zajął dla siebie pałac. Myśl o tym, że ta bestia swoimi paskudnymi buciorami zabrudza sale, które wielcy przywódcy nazywali swoim domem. . .

— Patrząc na mapę trudno nie zauważyć, że mamy kłopoty — rzekł sucho generał Movat. — Rzecz, leży raczej w tym, jak je rozwiązać?

Kiedy zapadło ciężkie milczenie, Urtho pochylił się nad mapą.

— Pierwszą rzeczą, jaką zamierzam zrobić, jest cicha ewakuacja cywilów spod Wieży. Pewne wstępne działania w tym kierunku zostały już podjęte, teraz jednak chcę, aby stało się to priorytetem. Pragnę przenieść ich na zachód. Zamierzam przy Wieży uruchomić sześć stałych Bram i wycelować je w sześć różnych punktów na zachodniej granicy. Większość obszarów to pustkowia, góry i porośnięte lasem doliny, zbyt urwiste, aby je uprawiać, niezbyt nadające się leż na pastwiska. Tam znajdowała się moja pierwsza Wieża — dodał z zadumą — i wolałem raczej zachować jej dzikie otoczenie.

— Tak, no cóż, ta dzikość może się nam teraz przydać — rzekł generał Korad. — Ma'ar nie będzie podejrzewał, że mógłbyś tam wysłać ludzi.

— Właśnie tak myślałem. — Urtho postukał w mapę, wskazując na sześć miejsc, gdzie Bramy miałyby swoje wyjścia. — Gdyby przyszło nam opuścić Wieżę, usunęliśmy wcześniej ludzi, którzy mogliby zawadzać. Z kolei oni przygotowaliby dla nas obóz. Jeśli powiemy naszym ludziom, że robimy tak, aby rozproszyć nasze siły i nie wystawiać ich na cel, wierzę, że unikniemy paniki.

Generałowie przez jakiś czas rozważali plan po cichu. Każdy z nich studiował mapę i przeprowadzał w głowie kalkulacje. Urtho obserwował ich twarze, a Skan obserwował Urtho.

*Wygląda na zadowolonego. No cóż, jeśli przyjęli ten plan, znaczy, że jest do pracowany. Oto jego metoda! Przedstawia plan, czeka, dowiaduje się, co oni o tym sądzą i zmienia go zgodnie z ich sugestiami i obiekcjami! Zastanawiam się, jak mag mógł stać się tak dobrym strategiem?*

Pierwsza przerwała ciszę generał Judeth.

— Chciałabym, aby każda grupa miała po jednym silnym magu — rzekła. — Najlepiej adepta. Być może dobrą rzeczą byłoby wysłać tych, którzy są starsi albo mają zastrzeżenia wobec magii wojennej, albo nie mają po prostu do niej zdolności. W ten sposób, jeżeli trzeba będzie budować następne Bramy, pod ręką będzie zawsze ktoś wypoczęty i przygotowany.

Urtho potaknął.

— Moi Kaled'a'in będą tutaj... — wskazał. — W ich szeregach znajduje się wystarczająco wielu. Jeśli ktokolwiek z was wie o jakichś szczególnych magach, którzy by się do tego nadawali, proszę, aby mi o tym powiedział, zwłaszcza jeśli są to ludzie znający tamte tereny.

*To znaczy, jeżeli potrafią sobie radzić w prymitywnych warunkach. Niektórzy z jego starszych magów powinni odejść z Kaled'a'in. Klany, jeżeli muszą, potrafią uczynić dom z każdego miejsca, a konni nomadzi są przyzwyczajeni do wędrówki.*

Po krótkiej dyskusji generałowie zgodzili się z Urtho. Skan był pod wrażeniem. Nie wiedział, że są ludzie, którzy potrafią dojść do zgody bez zbędnych słów.

— Jednak to jest sprawa drugorzędna — rzekł w końcu generał Korad. — Prawdziwy problem polega na tym, jak, na wszystkich bogów, obronić Wieżę?

Urtho zawahał się, a potem powiedział z pokorą:

— A czy jesteś pewien, że powinniśmy?

Rozległ się chór sprzeciwów. Jednak Skanowi wydawało się, że większość z nich sprowadzała się do słów: „Oczywiście, że powinniśmy. Przecież to twoja Wieża”.

Urtho pomachał ręką, aby się uciszyli.

— W Wieży znajduje się wiele rzeczy, które należy usunąć, gdyż nie powinny wpaść w ręce Ma'ara, jednak można je zniszczyć. Natomiast wiedza, która spowodowała, że powstały, daje się przenosić w umysłach i książkach. Być może to miejsce jest moim domem i to prawda, że spędziłem tu większą część swego

życia, ale nie ma powodu, aby tu pozostać, kiedy sytuacja zacznie wymykać się nam z rąk. Inni również stracili swoje domy i byłoby arogancją z mojej strony uważać, że mój jest ważniejszy niż tamte. Gdybym trzymał się kurczowo Wieży, okazałbym się takim głupcem, za jakiego uważają mnie moi krytycy, podczas gdy wszystkie rozsądne osoby by ją opuściły.

Spojrzał na mapę.

— Jeśli Ma'ar naruszy naszą linię obrony tutaj i tutaj, zdoła wówczas przesunąć linię frontu. Jego oddziały przewyższają nas znacznie liczebnością. Jeżeli tak zrobi, może zmusić nas do walki, aż w końcu nie będziemy zdolni się bronić. Mają wtedy otwartą drogę do samej Wieży. Nie damy mu rady, jeśli przynajmniej dziesięciokrotnie nie zwiększymy liczby naszych oddziałów.

Generałowie przyglądali się mapie z przygnębieniem.

— Masz rację — powiedział Korad spokojnie. — Do diabła, trudno się do tego przyznać, ale jeśli pójdzie mu tak, jak do tej pory, będzie nas miał.

— Jeśli zostaniemy w Wieży — przypomniał wszystkim Urtho. — Jeśli zaś się wycofamy, możemy przygotować sobie miejsce, aby stawić mu opór albo nie stawiać żadnego oporu, po prostu ciągle się wycofywać, zmuszając go do rozciągnięcia swojego zaplecza i wojska. W końcu nawet Ma'ar musi nasycić się swym podbojem! Możemy skierować się na zachód, a potem wycofać się na najdalsze południe do ziem, które znajdują się w posiadaniu władców Haighlei.

— Czarnych Królów? — spytała Judeth. Skan wiedział, że ten przydomek nie odnosił się do ich charakteru, ale do koloru skóry, która najprawdopodobniej była tak czarna jak bezkłęskowe i bezgwiezdne niebo. — Czy oni nam pomogą?

Urtho wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wiem tylko, że powinni nas chronić przed takim najeźdźcą i despotą jak Ma'ar, a ich magia jest tak inna od naszej, że, jak sędzę, nawet Ma'ar zawahałby się, zanim by ich zaatakował. Niemądrym jest atakowanie czegoś, czego się nie zna.

Judeth zagryzła wargę, potem skinęła głową wolno i z oporami. — To jest nasza jedyna nadzieja, jeśli Ma'ar dojdzie tak daleko. Mam zamiar dopilnować, aby nie doszedł. Będę się bronić do ostatniej kropli krwi.

Jej słowa zdradzały upór i zawziętość, a Skan zadrżał, jak gdyby po jego kręgosłupie spłynął kawałek lodu, a zimny wiatr hulał w jego piórach.

— Jak zamierzasz to wszystko wytłumaczyć Shaiknamowi? — odezwał się Korad po długim milczeniu.

Urtho wzruszył ramionami.

— Powiem mu, że według mnie jest najlepszy w manewrach lądowych i damę mu okazję do skoncentrowania się na nich bez rozpraszania się i niedogodności związanych z mieszanymi siłami. Potem pokażę mu to, co wam pokazałem, i wszyscy spotkamy się wieczorem, aby nakreślić strategię powstrzymania Ma'ara. W tej chwili pragnę, abyście udali się do swoich ludzi i przygotowali

tych, którzy nie są jeszcze gotowi do ewakuacji. Chciałbym od jutra zacząć przenosić ludzi.

Dla Skana, podobnie jak i dla pozostałych dowódców, zabrzmiało to jak rozkaz rozejścia. Zasalutowali i odmaszerowali z wyjątkiem generał Judeth, która została, aby zamienić słowo z Czarnym Gryfem.

— Gdy tylko zobaczysz się ze swymi podwładnymi, przyjdź do mnie ze starymi dowódcami eskadr Szóstego — powiedziała — i... życzę powodzenia, Skan-dranonie. Myślę, że Urtho dokonał mądrego wyboru.

Odwróciła się szybko i odeszła, zostawiając Skana gapiącego się na jej plecy. Odwrócił się, aby spojrzeć na Urtho. Mag uśmiechał się zmęczony.

— Ja również uważam, że mądrze wybrałem, Skan — powiedział. — A teraz idź i uporaj się ze swymi podwładnymi. Ja tymczasem muszę uporać się ze swoim problemem. Obaj mamy wiele do załatwienia. I jedynie nasza Pani Kaled'a'in wie, czy starczy nam czasu, aby tego dokonać.

Skan pochylił się nisko i głęboko, ale przy drzwiach zawahał się. Urtho zwrócił się do mapy i patrzył na nią tępym wzrokiem.

— Urtho — rzekł Skan. Mag drgnął, odwrócił do niego twarz i spojrział, jakby nie spodziewając się, że jego nowy dowódca jest jeszcze w pokoju.

— Chciałbym, abyś coś wiedział. Nigdy tak naprawdę nie braliśmy pod uwagę tego, żeby odlecieć i cię zostawić. Jesteśmy wobec ciebie nie tylko lojalni, ale cię kochamy. Dlatego właśnie jesteśmy lojalni. Na miłość trudniej zapracować niż na lojalność, a ty jesteś więcej niż moim przyjacielem. Jesteś moim ukochanym ojcem.

Szybko się odwrócił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Ale przez jedną chwilę, zanim całkiem się zamknęły wydawało mu się, że oczy Urtho błyszczą od łez.

Zbyt wielu ludzi w jednym namiocie powodowało, że w mesie było okropnie gorąco. Bursztynowy Żuraw stał na stole i jedną ręką odgarniał nerwowo wilgotne włosy. Wszyscy kestra'chern z obozu wcisnęli się do namiotu i patrzyli na niego z niepokojem.

W całym obozowisku szerzyły się szalone plotki, odkąd z Szóstego nadeszła wieść, że generał Farle został zabity i Shaiknamowi przywrócono dowództwo. Większość z nich była różnymi wariantami starych plotek, ale niektóre były zupełnie nowe. Wszystkie, które słyszał Bursztynowy Żuraw, przekazywano nieco histerycznie.

Wyciągnął rękę i od razu zapadła cisza. Światło lamp odbijało się w tuzinach utkwionych w nim oczu, rozwartych szeroko w lęku bądź nadziei.

— Słuchaliście plotek od tygodni, teraz te plotki stają się prawdą — rzekł bez osłonek. — Ewakuujemy wszystkich cywilów z okolic Wieży.

Wzniósł się szmer głosów, ale Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową i szmery ucichły.

— Urtho upoważnił mnie, abym sam ocenił, ile wam powiedzieć. Mam zamiar powiedzieć wam całą prawdę, ponieważ Urtho i ja liczymy na was, liczymy, że pomożecie utrzymać wśród ludzi spokój. Ma'ar zaczął zagrażać naszej pozycji. Urtho mówi ludziom, że chce przenieść cywilów, abyśmy wraz z tym wszystkim, co mamy zgromadzone, nie stanowili kuszącego celu. Jednak prawdziwy powód jest taki, że gdyby musiał ewakuować wojsko, nie chce mieć w Wieży cywilów, o których trzeba by się martwić.

Przerwał na chwilę.

— Będziemy jedną z ostatnich grup, która stąd wyjdzie, ponieważ jesteście także przydatni jako uzdrowiciele. Mam zamiar dziś wieczór albo jutro porozmawiać z każdym z was z osobna, abyście określili, które z sześciu miejsc ewakuacyjnych chcielibyście wybrać. Dam wam bilet przydziałowy, a kiedy ostatni cywile odejdą, złożycie swoje namioty i pójdziecie do i wybranych miejsc. Nadal będziecie mogli służyć tam swoim klientom. Bramy będą otwarte dla dwukierunkowego ruchu i Urtho przewiduje pewną ilość wyjść i wejść.

Ktoś na dole przed nim podniósł rękę.

— A jeśli Urtho zarządzi całkowitą ewakuację? Co będzie z ludźmi odwiedzającymi akurat Wieżę?

— Dobrze pytanie. Ten, kto przeniesie się ze swojego miejsca ewakuacji do Wieży, musi być świadom, że w każdej chwili, Urtho może zarządzić odwrót. W takiej sytuacji cywile będą musieli sami zatroszczyć się o siebie. Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli uda im się dotrzeć do jakiegokolwiek Bramy, swojej czy nie swojej. — Bursztynowy Żuraw wzruszył bezradnie ramionami. — Byłoby znacznie lepiej dla was, gdyby to wasi klienci do was przychodzili, a nie odwrotnie. Mamy zamiar zniechęcać do ruchu z miejsc ewakuacji do Wieży. Na przykład kiedy już cywile odejdą, chcemy wprowadzić godzinę policyjną w obozowisku. Posiłki wokół Wieży będą ściśle racjonowane, tylko dla tych, którzy mają tutaj być, a nie dla gości.

Przerwał na chwilę, by to do nich dotarło. Podniosła się kolejna ręka.

— Czy rzeczywiście jest aż tak źle? — spytała młoda kobieta.

Zawahał się na moment.

— Nie mogę powiedzieć wam wszystkiego — rzekł w końcu. — Ale Urtho jest poważnie zaniepokojony. I już od jakiegoś czasu ewakuuje ludzi z Wieży w bezpieczniejsze miejsca.

Wśród ludzi rozległy się szmery. W końcu wstała Lily i wyzywająco uniosła głowę.

— Musi być coś, do czego możemy się przydać — powiedziała. — Dobrze wiesz, że większość naszych klientów zaniecha wizyt, gdy skończy się ewakuacja cywilów. Jest więc coś, w czym możemy pomóc!

Bursztynowy Żuraw nieznacznie się odprężył, gdy zgodny chór poparł jej odważne słowa.

— Dzięki ci, Lily — rzekł łagodnie. — Miałem nadzieję, że ktoś z tym wystąpi. Tak. Jest wiele rzeczy, przy których możemy pomóc. I po tej, i po tamtej stronie Bramy. — Usiadł powoli na blacie stołu. — Po pierwsze, możemy pomagać przy dzieciach. . .

Gesten rozejrzał się wokół ogniska, policzył nosy i uzyskał satysfakcjonujący wynik. Każde plemię hertasi przysłało przynajmniej po jednym reprezentancie, a większość po kilku. Dlaczego akurat on został wybrany na przywódcę tej całej zgrai, nie miał bladego pojęcia, ale Urtho powiedział, że tak ma być i uciał dyskusję.

— No dobra — powiedział, a tuziny oczu skierowały się na niego. — Znacnie całą historię. Cywile są odsyłani, a my jesteśmy cywile. Jedynymi hertasi, które mają tu zostać, po tym jak cywile odejdą, są ci, którzy służą uzdrowicielom i gryfom. Wszyscy inni odchodzą. Kiedy przeniesiecie swoje rzeczy, wróćcie i zaczniecie pomagać rodzinom. Kestra'chern zajmują się dziećmi, a wy będziecie robili to, co potrafcie najlepiej: pomożecie przy pakowaniu dobytku i przenoszeniu go. Kiedy to zrobicie, udacie się do Wieży. Powiedzą wam, jeśli będziecie tam potrzebni. Jeżeli nie, wróćcie na swoje wyznaczone miejsce i tam zostaniecie. Kapujecie?

— A co jeśli ktoś ma podwójną służbę — u uzdrowiciela i u cywila? — zawołał ktoś z tyłu.

Lakoniczna instrukcja tego nie wyjaśniała, ale Urtho powiedział mu, że w niejasnych przypadkach powinien kierować się własnym sądem.

— To zależy od ciebie, czy jesteś w stanie wytrzymać blisko pola walki — odrzekł w końcu. — Jeżeli czujesz się na tyle odważny, zostań tutaj. Przejdź na pełny etat u uzdrowiciela. A jeżeli nie, ewakuuj się i pomagaj tam, gdzie będzie naprawdę dużo do roboty. — Pochylił głowę na jedną stronę i zwęził oczy, gdy recytował listę, jaką otrzymał od Urtho. — Trzeba postawić budynki na zimę dla wszystkich łącznie z wojownikami, na wypadek gdyby też musieli się ewakuować. Trzeba zgromadzić zapasy pożywienia, wykopać studnie, postawić sanitariaty i łaźnie. Większość rodzin będzie się składała tylko z matek i dzieci, będą potrzebować dodatkowych rąk do pomocy. Potrzeba pomieszczeń dla rannych i chorych, a także wozów, gdyby przyszło nam i stamtąd się wynosić.

— Czy będą tam jacyś magowie, którzy nam pomogą? — spytał jakiś niespokojny głos. — I uzdrowiciele? Wśród tych cywilów są kobiety w ciąży, a ja nie mam zielonego pojęcia o porodach hertasi, że o porodach ludzi nie wspomnę!

— Będziemy mieli wielu magów, wszystkich uczniów, większość terminatorów i przynajmniej po jednym adeptcie w każdym miejscu — obiecał Gesten.

— Uzdrowiciele posyłają tam niektórych uczniów, paru mistrzów, a gdy wszyscy cywile zostaną już ewakuowani, dołącza, do nich kestra'chern. Wśród nich jest wielu uzdrowicieli i każdy z nich ma przynajmniej podstawowe wykształcenie w uzdrawianiu.

Gesten wyczuł, że jego słowa zmniejszyły trochę napięcie. Hertasi uważali kestra'chern za najbardziej zrównoważonych ludzi, którzy z pewnością będą właściwiej reagować.

— No dobra — odezwał się znowu. — Uda nam się.

— Uda nam się — odpowiedziało echo wielu głosów.

W końcu takie było motto hertasi.

Bursztynowy Żuraw potarł zamglone i piekące oczy, po czym z powrotem skierował swoją uwagę na listę, którą układał. *Protea zajmuje się żłobkiem tervardi. Loren z uzdrowicielami przygotowuje paczki z zapasami dla ewakuowanych. Renton, Lily, Maiina, Riley...*

— Bursztynowy Żuraw? Mogę wejść, choć nie w porę?

Uniósł głowę i zmrużył oczy, usiłując dojrzeć gościa za kręgiem światła swojej latarni. Rozpoznał twarz Lwiego Wiatru, wodza klanu k'Leshya, własnego klanu Kaled'a'in.

— Co tutaj robisz o tak późnej porze? — spytał, zupełnie zaskoczony, widząc lego rannego ptaszka na nogach, choć było już dawno po północy.

Lwi Wiatr wszedł do środka, a jego ciężkie warkocze kołysały się z każdym jego krokiem.

— Mieliśmy spotkanie klanu — powiedział. — Gdyby Urtho się zgodził, wolelibyśmy nie iść razem z resztą Kaled'a'in.

Bursztynowy Żuraw pokręcił głową.

— Nie możecie tu zostać — rzekł bezbarwnym głosem. — Urtho nie robi żadnych wyjątków.

Lwi Wiatr uśmiechnął się słabo i zgrabnie opadł na taboret po drugiej stronie biurka.

— Nie chcemy tu zostać, chcemy być tam, gdzie gryfy — powiedział. — Większość trondi'irn opiekujących się gryfami pochodzi spośród nas. Pracowaliśmy z Urtho nad jego programem hodowlanym, a poza tym lubimy je. Będą potrzebowały jeszcze kogoś oprócz hertasi, które są w porządku, ale nie lubią polować, nie dadzą rady unieść tego, co człowiek i nie grzeszą wyobraźnią.

Bursztynowy Żuraw wysłuchał jego spokojnej przemowy z rosnącą ulgą. Sam zastanawiał się nad tym, jak gryfy dadzą sobie radę, ponieważ plan Urtho zakładał zbudowanie drugiej Bramy w miejscu ewakuacyjnym Kaled'a'in, i wysłanie rodzin gryfów jeszcze dalej. Gryfy były ogromnymi żarłokami i raczej wątpliwe, że mogłyby zostać tam, gdzie byłyby również inne rasy nie ludzi albo zbyt wielu



ludzi. Na przykład wszystkie klany Kaled'a'in. Jednak jeśli k'Leshya chcą być wysłani z dala od innych klanów, problem rozwiązałby się sam.

— Jesteście pewni, że chcecie tak zrobić? — spytał. Lwi Wiatr wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien, czy chcemy w tej chwili zrobić cokolwiek — odparł. — Nie chcemy uciekać, ale również nie chcemy tu zostać, aby zginąć. Najbardziej chcielibyśmy, aby Urtho wynalazł nagle jakąś magiczną broń, która wyeliminowałaby Ma'ara i wszystkie jego oddziały, nie robiąc nikomu krzywdy. Jednak szansę na to są małe, chyba że Bogini uczyni cud. Zatem ten wybór jest dla nas najlepszy. Jeśli Urtho się zgodzi, pójdziemy z gryfami.

— Jestem pewien, że się zgodzi — odrzekł Bursztynowy Żuraw i potarł znowu oczy, gdyż twarz Lwiego Wiatru zaczęła mu się rozmazywać. — Zajmę się tym.

Lwi Wiatr wstał i pochylił się nad stołem. Bursztynowy Żuraw znowu potarł oczy, ale nie przestawały zachodzić mgłą.

— Czy jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić? — zapytał, mrugając szybko. Ale to też nie pomogło.

— Tylko... trochę wypocznij — odparł Lwi Wiatr, pochylając się niżej. — To rozkaz wodza twojego klanu.

— Nie mogę, mam jeszcze tyle do zrobienia — zaprotestował, gdy Lwi Wiatr wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jego czoła. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Lwi Wiatr jest także uzdrowicielem umysłu, w pełni zdolnym narzucić swoją wolę nawet najbardziej opornym.

— „Najlepszym atakiem jest ten, którego nikt się nie spodziewa”, kestra'chern — zacytował i zachichotał, gdy sen pochwyił Bursztynowego Żurawia w zadziwiająco delikatne szpony i uniósł daleko...

Każda z sześciu stałych Bram była na tyle wielka, by przyjąć największe z szybujących barek lądowych. Urtho skonstruował Bramy, wykorzystując łuki ze stopionego kamienia i każdej przydał węzeł energii magicznej. Tylko Urtho udało się skonstruować Bramę, która by nie była zasilana wewnętrzną energią pojedynczego maga. Tylko Urtho odkrył sekret stałego utrzymywania takiej Bramy. Ze wszystkich jego sekretów najprawdopodobniej właśnie ten Ma'ar chciałby poznać najbardziej.

Po raz pierwszy od wielu lat Urtho opuścił na krótko Wieżę, aby przenieść się przez jedną ze swych konstrukcji i ustawić drugą stałą Bramę w punkcie ewakuacyjnym. Tę skierował daleko na zachodnie pustkowie ku pięknej dolinie, którą kiedyś sam nazwał domem. Wysłał tam wszystkie gryfy, które nie walczyły lub były ranne. Teraz k'Leshya, klan Kaled'a'in — który jako jedyny ze wszystkich klanów nie przyjął nazwy od zwierzęcia, ale nazywał się po prostu Klanem Ducha — przesuwiał się wolno przez pierwszą Bramę, aby podążyć za gryfami.

Urtho nie mógł powiedzieć, że ma jakiś „ulubiony” klan, ale w k’Leshya było najwięcej jego ulubieńców spośród Kaled’a’in. Lwi Wiatr, wódz klanu, był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znał, a jego mądrość nie pasowała do gładkiej, młodzieńczej twarzy i kruczoczarnych warkoczy. Ojciec i matka Lwiego i Wiatru byli szamanami. Być może to wyjaśniało jego niezwykle zdolności. A może, jak sam Lwi Wiatr kiedyś powiedział — nie do końca żartując — był „starą duszą”. Choć nie był jeszcze wtedy wodzem klanu, wspierał Bursztynowego Żurawia, kiedy młody kestra’chern przyłączył się do swych ziomków. Nadal był dla niego wsparciem w tych rzadkich przypadkach, kiedy Bursztynowy Żuraw pozwalał, aby ktoś mu pomógł.

Lwi Wiatr pierwszy przeszedł przez Bramę, jadąc na smukłej i bojowej klaczy. Nie oglądał się za siebie, choć z pewnością wiedział, że już nigdy nie zobaczy Wieży i prawdopodobnie wielu z tych, których zostawiał za sobą. Pożegnał się według zwyczaju Kaled’a’in, który nakazywał nie trwonić czasu.

— Długie pożegnania dają wrogowi czas na zbliżenie się do celu — rzekł Lwi Wiatr do Urtho, gdy ścisnął jego dłoń, a słowa te z pewnością staną się przysłowiem Kaled’a’in. Chociaż nie było tu teraz żadnego wroga, wszyscy k’Leshya zastosowali się do tej nauki.

Urtho patrzył, jak odchodzą, kryjąc swój ból pod spokojnym uśmiechem. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zobaczy któregoś z nich, ale był pewien, że posyła ich w bezpieczniejsze miejsce. A teraz, gdy gryfy będą miały opiekę w miejscu swego przeznaczenia, miał pewność, że bez względu na to, co zniszczy Ma’ar, gryfy przetrwają. Gdyby Ma’ar zdobył Wieżę, rozproszą się, wykorzystując swoją zwinność, aby ująć z jego rąk.

*A więc jakaś moja częśćka przeżyje, bez względu na to, co robi Ma’ar.*

Dziwne, że będą to właśnie gryfy, stworzenia, które jego współcześni uważali za ekscentryczne zabawki. Jednak on zawsze w nie wierzył. Ze wszystkiego, co stworzył, lubił je najbardziej. Dał im skłonność do czynienia wielkiego dobra. Trzeba by tylko sprawdzić, czy wypełnią ten zamysł, jak wypełniły całą resztę. Ostatni pasterz k’Leshya, prowadzący stado klanu w ogromnej chmurze kurzu, przeszedł przez Bramę. Brama zamknęła się za nim, oszczędzając moc. Przestrzeń wewnątrz łuku stała się czarna, a potem ukazała się za nim trawa.

Dopiero wtedy Urtho uświadomił sobie, że nie jest sam. Za nim, z boku stał Bursztynowy Żuraw, patrząc na pustą Bramę. Kestra’chern nie miał na sobie wymyślnego stroju, tylko parę bryczesów i jasnoblękitną tunikę. Jego włosy były związane z tyłu, a na głowie miał błękitną opaskę.

Urtho spojrział na niego z odrobiną zdziwienia. Pomyślał, że zrozumiałby, gdyby Bursztynowy Żuraw odszedł ze swym klanem. Reszta kestra’chern miała już swoje przydziały ewakuacyjne i gdy tylko dokończą swoje zadania, skierują się tam. Nie potrzebowali już przywódcy i było mało prawdopodobne, aby ktokolwiek w nadchodzących dniach znalazł wolny czas na skorzystanie z usług ke-

stra'chern, choćby najlepszego.

Bursztynowy Żuraw odgadł myśli Urtho z wyrazu twarzy maga. Uniósł jedną brew w nieświadomie eleganckim geście.

— Zastanawiasz się, dlaczego nadal jestem tutaj — powiedział.

Urtho potaknął.

— Zimowa Łania została. . . Jest trondi'irn walczących eskadr gryfów z Piątego, a ja nie mam zamiaru zostawiać jej samej w obozie, gdzie nadal jest jej dawny kochanek. — W jego głosie zabrzmiała stalowa nuta, której Urtho nigdy nie słyszał. A może była już tam wcześniej, ale Bursztynowy Żuraw lepiej ją ukrywał. — Skan jest tutaj, i Zhaneel, i Gesten, który ma im służyć. Są jedyną rodziną, jaką mam.

Urtho pozwolił, aby odrobina stali przeniknęła także do jego głosu.

— Powiedziałem: żadnych wyjątków. Słyszałeś przecież ten rozkaz, kestra'chern Bursztynowy Żurawiu. Nie masz tu przydziału.

— Jestem uzdrowicielem, Urtho. Jeśli chcesz, możesz to sprawdzić u lady Cinnabar. Zgłosiłem się do jej grupy.

Ból i lęk przez moment położyły się cieniem na oczach Bursztynowego Żurawia. Urtho wiedział dlaczego i podziwiał jego odwagę. Wiedział wszystko o przeszłości Bursztynowego Żurawia, wiedział, ile kosztuje go praca z uzdrowicielami, jak bardzo narażony jest na ból, gdy traci kontrolę nad swymi empatycznymi zdolnościami i że ból fizyczny i duchowy daje mu się we znaki bardziej niż innym.

Jednak był tutaj, stawiając czoło swemu najgorszemu lękowi, aby pozostać ze swoją dziwną i ulotną „rodziną”. Urtho lekko pochylił głowę w uznaniu jego odwagi.

— Przepraszam, myliłem się, uzdrowicielu Bursztynowy Żurawiu. Masz prawo, aby tu pozostać.

Linie w kącikach oczu Bursztynowego Żurawia z lekka złagodniały i Urtho stwierdził, że może złagodzić jeszcze jedną z jego trosk.

— Jest tu jeden mag, który nadal pracuje z Shaiknamem w Szóstym, na swoją własną prośbę. Osobiście przyjąłem jego petycję o przydział na front. Powiedział mi, że nazywa się Conn Levas — pozwolił, aby jedna jego brew lekko się uniosła.

— Sądzę, że Szósty powinien być teraz w drodze na swoje pozycje.

Potem Urtho odwrócił się, nie czekając na podziękowanie. Jego umysł był już zajęty następnym zadaniem.

Podobnie jak umysł Bursztynowego Żurawia.

„Długie pożegnania dają wrogowi czas na zbliżenie się do celu”.

A oni nie zamierzali dawać wrogowi czasu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Aubriego bolały całe skrzydła, wyczerpane mięśnie paliły przy każdym ruchu. Ciężkie, wilgotne powietrze w tej szczególnej dolinie zawsze oznaczało trudny lot, jednak nie dlatego był taki zmęczony. Od świtu odbywał lot zwiadowczy dla Piątego, a tylko kilka godzin brakowało do zachodu słońca. Latał już drugą zmianę, a skończyć miał długo po zapadnięciu zmroku.

Przynajmniej wszyscy niewinni byli daleko poza zasięgiem Ma'ara. Kilka dni temu ostatni cywile i kestra'chern przeszli przez Bramy do swoich nowych obozowisk. I tak jak się spodziewał Urtho, nikt nie wracał do Wieży. Wieść, że każdy cywil, który znajdzie się przy Wieży w chwili pojawienia się niebezpieczeństwa, będzie musiał sam się o siebie zatroszczyć, sprawiła, że ewakuowani trzymali się swoich nowych domów. Aubri tęsknił za widokiem młodych, tęsknił za głosami bawiących się piskląt — wołał jednak raczej tęsknić za nimi, niż narażać je na ryzyko przebywania w pobliżu przy Wieży. Jedno zabite młode to już o jedno za dużo, a on widział w czasie służby u Urtho znacznie więcej.

Bolały go mięśnie klatki piersiowej, napięte i sztywne od ciągłego utrzymywania się w powietrzu. Wiedział, że kiedy wreszcie wyląduje, jego ciało będzie jednym wielkim bólem. Przynajmniej teraz nie musiał walczyć z makaarami; odbywał lot zwiadowczy, podczas którego miał się upewnić, że Szósty i Pierwszy znajdują się tam, gdzie powinny, aby magowie z Piątego nie uderzali na swe własne oddziały.

*Hmm. Ładny mi „przyjazny ogień”, Kaled'a'in mają wyobraźnię.* Generałowie Ma'ara nic atakowali tego punktu przez cały dzień, broniąc się tylko. A Shaiknam nie poruszał się, więc od dwóch czy trzech dni panował spokój. Żołnierze obserwowali się z przeciwnych końców szerokiego i płytkiego wąwozu. Jedyne magowie przesłali sobie małe „prezenty”, które jednak z łatwością odpierali przeciwnicy.

Sytuacja znów była patowa.

*Nie, czekaj.* Zdało mu się, że przez gęstą mgłę dostrzega jakiś ruch. *Tam na dole coś się dzieje!*

Aubri wzleciał wyżej, aby lepiej widzieć. Jak mu powiedziano, Shaiknam nie miał dawać rozkazu do ataku, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Czyżby

to był jakiś fałszywy ruch? Małe przegrupowanie na miejscu, aby wróg myślał, że Shaiknam ma zamiar uderzyć?

Zaczął mocniej machać skrzydłami, by wznieść się, i po chwili spojrział w dół.

Najpierw nie mógł niczego dostrzec, polem mgła trochę się przeredziła, otwierając mu wyraźniejszy widok na oddziały Shaiknama. Ze zmęczenia nierówno uderzał skrzydłami i trochę trwało, zanim zawisł nieruchomo w powietrzu. *Cholera! Co on... ?*

*Dlaczego... ? Czyha nie jest aż tak głupi! Czy on może... ?*

Oddziały Shaiknama rozdzieliły się pośrodku i zaczęły wycofywać, otwierając drogę przez wąwóz.

Zwykle taki klasyczny manewr dawał wrogowi miejsce do wkroczenia, po czym kompanie brały go w kleszcze, a oddziały na tyłach odcinały drogę odwrotu. Problem polegał jednak na tym, że na miejscu brakowało innych kompanii i czasu, aby tu dotarły. Shaiknam nie bronił żadnego z dwóch najważniejszych przejść, a z tego miejsca siły Ma'ara mogły z łatwością do któregoś z nich się dostać.

*On blefuje. Dowódcy Ma'ara nie uwierzą w to i on o tym wie, daje im tylko powód, żeby się czymś zajęli...*

Nie mógł zawisnąć, jedynie obniżać się, robiąc małe kółka, dysząc ze zmęczenia i zdumienia. Aubri obserwował oba oddziały, które się cofały. Dokonywały wyraźnego odwrotu, podczas gdy armia Ma'ara wkraczała do wąwozu na terytorium Urtho spokojnie i równo. *Co, do diabła, tutaj się dzieje?*

Teraz żałował, że nie jest jednym z tych gryfów, które potrafią posługiwać się myślumą. Gdyby tylko mógł przekazać komuś, co się dzieje! Do czasu zanim zdoła dowlec się przez niebo do jakiegoś punktu łączności, będzie już za późno, aby powstrzymać pochód wroga.

*Cholera, już jest za późno... Nie mogę ich zatrzymać, ale mogę przynajmniej dowiedzieć się, kto wydał te rozkazy. Tak zrobiłby Skan. Czyżby Shaiknam stracił tę odrobinę rozsądku, którą jak dotąd się posługiwał? A może jego oddziały dostały fałszywe rozkazy?*

Aubri spadł przez mgłę, daleko za linią marszu, i wylądował w pobliżu zupełnie opustoszałej komendy Shaiknama. Włazł w gęste krzaki, nie ryzykując wypatrzenia przez wroga. *To było do przewidzenia — pomyślał wściekły. — Zaufaj Shaiknamowi. a on kompletnie zlekceważy fakt, że ktoś może wślizgnąć się do jego namiotu, gdy on siedzi sobie w cieniu przez cały dzień. Mam nadzieję, że są tam choć czerwone mrówki i gryzą go w tłusty tyłek. Zastanawiał się, dlaczego wokół namiotu tak mało się dzieje, ale stwierdził, że to pewnie dlatego, że w ogóle mało się dzieje. Chyba już wiem, Albo Shaiknam został zamordowany, albo przeniesiony, albo...*

*... albo stało się coś jeszcze gorszego.*

Starał się naśladować Skana, błogosławiąc Zhaneel za wszystkie godziny spędzone na torze przeszkód, kiedy czołgał się na brzuchu w poszyciu. Nawyki tre-

ningowe weszły mu w krew; odsuwał gałęzie dziobem, zamknął oczy i pozwolił, by prześlizgnęły się po karku, złożył ciasno skrzydła. Wyciągnął się do przodu najbardziej jak to możliwe, a potem przysunął tylne nogi, wyginając tułów. Po chwili zaczął od nowa. Poruszał się raz szybko, raz wolno, nie zostawiając śladów.

*Dlaczego do diabła wokół namiotu nie ma strażników po tym co stało się z Farle? Dlatego że Shaiknama tam nie ma? Czy dlatego, że wie, iż nie potrzeba mu strażników? Albo nie został już żaden strażnik?*

Tak bardzo skoncentrował się na cichym pełznięciu, że stracił poczucie odległości. Nagle kilka długości szponu od jego dzioba pojawiło się płótno namiotu. Usłyszał głosy.

*A jednak jest ktoś w środku.*

Zamknął oczy i słuchał. Ktokolwiek tam był, mruczał raczej niż mówił normalnym głosem, jak gdyby chciał być pewien, że nikt nie go nie usłyszy.

— ... idzie dobrze, mój panie — szeptał obłudny głos. — A Ma'ar dotrzymuje swojej części umowy. Zanim Judeth z Piątego zorientuje się w sytuacji, oddziały Ma'ra dotrą do przełęczy.

— Tak, to dobrze — To był Shaiknam, Aubri słyszał jego jęśliwy głos wystarczająco często, aby nie pomylić go z żadnym innym. — Kiedy przejmie przełęcz, możemy zbliżyć się za nim i nikt nie będzie wiedział, że go przepuściliśmy. Jego magowie będą mogli ustawić Bramy, aby przenieść oddziały na równiny, a ja się poddam bez wiedzy Urtho. Zachowam dowództwo, a moje posiadłości zostaną nietknięte. Bez ciebie, Levas, nie byłbym w stanie skontaktować się z dowódcą Ma'ara i tego wszystkiego przeprowadzić.

*Levas? Conn Levas? Czyżby to był ten mag, z którym Zimowa Łania...*

— Dzięki, mój panie — usłyszał Aubri obłudny głos. — Zawsze upewniam się, że jestem po stronie, która zwycięża, i cieszę się, że mogłem znaleźć w tobie dowódcę równie pragmatycznego jak ja sam.

Shaiknam zaśmiał się.

— Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, jeśli będziesz w stanie się go podjąć. Urtho ma kłopotliwy zwyczaj wymyślania cudów w ostatniej chwili. Ale bez Urtho...

W głosie maga pojawiła się szczególna nuta, która zupełnie zmroziła Aubriego.

— Jestem najemnikiem, mój panie, wiedziałeś o tym, kiedy zawieraliśmy układ. Za dodatkowe usługi musi być dodatkowa zapłata.

Shaiknam zaśmiał się bardzo cicho.

— Wymień ją — powiedział tak arogancko, jak gdyby złoto całego świata należało do niego. — W jakiegokolwiek walucie.

— Dwadzieścia cztery tysiące sztuk srebra i pewne ciała, mój panie. — Głos maga stał się lodowaty. — Dwa ciała, mówiąc dokładnie, oba żywe i w dobrym

stanie, żeby mogły mnie zabawić. Trondi'irn Zimowa Łania i kestra'chern Bursztynowy Żuraw.

— Zgoda — odparł natychmiast Shaiknam. — To nie są wojownicy, łatwo będzie ich złapać. Tanio bierzesz. Powinieneś bardziej cenić swoje usługi, najemniku.

— Oni mają dla mnie szczególną wartość. . .

Aubri nie mógł dłużej tego znieść.

*Muszę ich powstrzymać! Od razu!*

Dopał ściany namiotu, przeciął ją ostrymi szponami, rozwarł dziób, aby pokruszyć im kręgosłupy na pół. . .

I upadł bezwładnie na ziemię, niezdolny poruszyć nawet okiem. Wylądował z trzaskiem u stóp samego Shaiknama, ślizgając się trochę na płótnie podłogi namiotu.

Gdyby mógł walczyć, zrobiłby to, ale żaden mięsień nie chciał go słuchać. Jego serce nadal biło, a płuca oddychały, ale był to jedyny ruch, na jaki mogło zdobyć się jego ciało.

Oczywiście został porażony zakłębieniem paraliżu. *Ty idioto! Conn Levas jest magiem! Jak mogłeś być tak beznadziejnie głupi?*

Generał Shaiknam popatrzył na niego ze średnim zainteresowaniem, a potem włożył rękę do kieszeni. Odwrócił się do Conna Levasa i rzucił mu monetę. Mag schwycił ją zgrabnie i schował. Na ustach Shaiknama pojawił się uśmiech.

— Zapłata za dodatkową usługę — powiedział głosem pełnym satysfakcji.

— Rzeczywiście, mój panie — odparł Conn Levas. — Zatem spodziewam się dalszej zapłaty po wypełnieniu drugiego zadania.

Shaiknam wrzucił ramionami, a w jego oczach odbiło się znużenie.

— Oni mnie nie interesują. Dopilnuję tylko, aby zostali złapani bez uszkodzeń. To nie powinno być szczególnie trudne.

— A co z tym, mój panie — odezwał się nowy głos, ale ten również Aubri rozpoznał. *Garber. . .*

Zastępca Shaiknama znajdował się poza zasięgiem wzroku Aubriego, ale nie było wątpliwości, że to on. Czubkiem buta kopnął gryfa w żebra, wywołując falę bólu w mięśniach klatki piersiowej.

— Mogę się go pozbyć, jeśli sobie tego życzysz — zaczął Conn Levas, ale Shaiknam wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

— Nie — powiedział. — On może się nam przydać. Ma'ar bardzo lubi gryfy. Sądzę, że powinniśmy mu go posłać w darze jako zapowiedź następnych. — Kiwnął na niewidocznego Garbera. — Spakujcie go i dostarczcie generałowi Poledenowi z moimi pozdrowieniami dla Imperatora.

— A więc Imperator lubi błazeństwa z tymi stworzeniami? — powiedział Conn Levas z zainteresowaniem.

— Owszem — odparł Shaiknam. Uśmiechnął się do Aubriego. Gryf sapnął, ogarnięty czystym strachem. — Mam nadzieję, że nauczysz się kilku nowych sztuczek, bestio — powiedział słodko. — Innych niż „udawanie nieżywego”. „Tańca” na przykład, albo jeszcze lepiej „błaganie”. Bądź pewien, że to będzie „błaganie”. Im dłużej będziesz bawił Imperatora, tym dłużej będziesz żył. Przy-  
najmniej tak mi mówiono.

Urtho rzucił przez pokój talerzem, który rozbił się o ścianę, ale to nie pomogło mu rozładować napięcia.

— Bogowie! — krzyczał. Kadra hertasi i ludzkich posłańców ignorowała go. W obozie nie było już ptakówposłańców. Urtho nie chciał zostawiać tych małych i najbardziej bezradnych stworzonek. Przeszły jako pierwsze przez Bramę w to samo miejsce, co k'Leshya i gryfy.

Urtho chodził wzdłuż stołu z mapą, wydając rozkazy na tyle szybko, żeby hertasi i ludzie zdążyli je przyjąć, ze wszystkich sił starając się nie rwać sobie włosów z głowy. Na wszystkich bogów, co tam się stało? Jak ludzie Ma'ara zdołali przejść przez linię obrony? Dlaczego nikt ich wcześniej nie zauważył, dopiero gdy już wzięli Przełęcz Korbast i ustawili Bramę, aby ściągnąć więcej oddziałów?

*Nieważne, stało się, teraz trzeba się z tym uporać!* Najgorszy nocny koszmar stał się jawą: Wieża była nadal pełna rzeczy, których jeszcze nie wysłał, nie zabezpieczona pułapkami, a wróg wlewał się na równiny, na tyły jego własnych oddziałów. Szósty i Trzeci zostały odcięte od reszty i nie mogły się wycofać, musiały same się martwić o siebie. Judeth przeprowadziła Piąty, ale nikt nie wiedział, co działo się z resztą. *Przecież są z nimi magowie, mogą dostać się tutaj przez Bramy, a nawet mogą przejść wprost do miejsc ewakuacji. Wszystko będzie dobrze. Muszę w to wierzyć!*

Wysłał ostatnich posłańców ze zleceniami. Mieli się udać do uzdrowicieli z rozkazem, aby ci wraz z pozostałym pomocniczym personelem skierowali się do swoich Bram. Zmusił się, aby przestać chodzić. Uchwycił się krawędzi stołu i patrzył na mapę, jak gdyby samo patrzenie na nią miało zmienić sytuację.

— Panie! — hertasi zastukał do drzwi, tracąc oddech. — Jest tu mag Conn Levas z Szóstego!

Odwrócił się do drzwi w chwili, gdy Conn Levas wchodził, odpychając jaszczurkę. Wyglądał, jak gdyby osobiście przebijał się przez wszystkie oddziały Ma'ara, by dotrzeć do Wieży. Miał podarte, brudne i zakrwawione ubranie, a jego włosy ociekały potem.

— Idź — rzekł Urtho do zadyszanego hertasi. — Znajdź mi Skana i przypro-  
wadź go tutaj. Potrzebuję go w tej chwili.

Hertasi wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Urtho zrobił trzy kroki w stronę najemnego maga.



— Co się stało? — krzyknął, spodziewając się, że usłyszy tylko złe wieści.

Zbyt późno dostrzegł ruch ręki Levasa, pustą torbę w jego dłoni i poczuł ukłucie setek tysięcy małych igiełek na twarzy, dłoniach i na każdym kawałku ciała nie osłoniętego ubraniem. Zaczął je z furią strząsać, podczas gdy mag śmiał się.

— To nic nie da — rzekł bardzo cicho. Urtho usiłował wezwać pomoc i stwierdził, że nie może wydobyć głosu.

— Ciernie Mirandy, Urtho. Bardzo silne. Nie można ich się pozbyć za pomocą magii. Mały wynalazek mojego nowego pracodawcy, pewnie widziałeś raz czy dwa jego skutki. Magowie nigdy nie spodziewają się, że ktoś może ich zaatakować fizycznie.

Pod Urtho załamały się kolana, zrobił dwa niepewne kroki do tyłu i opadł na krzesło, zanim nogi zupełnie go zawiodły. Na całym ciele czuł mrowienie, paliło go i podrygiwał w sposób niekontrolowany. Poruszał ustami, ale żaden dźwięk się nie wydobywał. Przed oczami pojawiły mu się dziwne wiry światła i koloru, meble wyciągały się i marszczyły. Głowa Conna płynęła dwadzieścia centymetrów nad ciałem, gdy mag zaczął się zbliżać i w końcu spojrzał na niego wrogo.

— To trucizna oczywiście — powiedziała głowa, a każde słowo pojawiało się w jej ustach niczym płynący rękopis zamknięty w środku jasnokolorowej bańki. — Skutki powinny ci się podobać. Oczywiście wiem, że cała obrona Wieży jest zestrojona z tobą, tak jak i węzeł, który jest pod nią. Wiem, że gdybym cię zabił od razu, zginąłbym, zanim zdążyłbym uciec. Przypuszczam, że Shaiknam także o tym wiedział i liczył na to, że nie będzie musiał wypełnić swojej części układu. Ale ty pożyjesz wystarczająco długo, żebym zdążył zwiąć, a on będzie musiał dotrzymać swego słowa, co?

Uczucie narastającego bólu prawie rozrywało pierś Urtho, ale był w stanie wydobyć z siebie tylko żalosne skomlenie. Conn Levas przez jakiś czas pływał po pokoju, potem nagle przybrał nową postać: był wielki i pokryty futrem w kolorze jaskrawego różu. Urtho wzdrygnął się, gdy futro zmieniło się w kolce jeża. Potem Conn potrząsnął swym ciałem i igły wystrzeliły do przodu, przeszywając członki Urtho niesamowitym bólem. Meble zaczęły się wić, a ściany otworzyły się na pulsujące gwiazdami przestrzenie. — Rozumiem, że nie możesz odpowiedzieć — rzekł najemnik obłudnie. — To nie ma znaczenia.

Głowa odwróciła się, by odejść, a ciało Levasa zaczęło maszerować tyłem do drzwi. Po każdym kroku na podłodze pojawiały się krwawiące rany i Urtho czuł, jakby te rany znajdowały się na jego ciele. Znowu zaskomlał i Conn Levas odwrócił się.

— O, jeszcze jedna sprawa — powiedział niedbale. — Jeśli martwisz się o jednego małego wyrodka, czarująco nazwanego Kecharą, to dałem jej smaczny kawałek królika i poszła ze mną na nowe linie Imperatora. Postanowiłem się upewnić, że Shaiknam dotrzyma słowa, sprawiłem, żeby Imperator zapamiętał moje imię i wiedział, co mi zawdzięcza. Ona jest moim darem dla Ma'ara, otwierającym mi

drogę do tytułu i stanowiska. Spodziewam się, że zostanę przynajmniej księciem.

*Kechara! O, bogowie!* Udręka Urtho znalazła upust w skomleniu, a strugi krwi zaczęły płynąć z jego otwartych dłoni. Conn Levas zaśmiał się i odwrócił, by otworzyć drzwi, które zmarszczyły się i zdeformowały, gdy ich dotknął, stając się krwawiącą otwartą raną. Ściany pulsowały od śmiechu Levasa.

Drzwi jednak otwały się, zanim zdążył zrobić to Conn, i pojawił się w nich...

Skan pędził za zadyszczanym hertasi, skrzypiąc pazurami po kamiennej posadzce.

— Aubri zaginał, Szósty zamilkł, dlaczego zostawiłeś tego kłamliwego drania samego z Urtho? — krzyczał Vikteren na małą jaszczurkę, gdy razem biegli do Pokoju Strategii.

— Kazał mi iść po was! — bronił się hertasi, który nie wiedział, czy wykonać to, co kazał mu Urtho, czy to, co mówił Vikteren. — Nie mogłem jednocześnie być tutaj i iść po was!

— Zostaw to, Vikteren — wysapał Skan. — Stało się. Miejmy tylko nadzieję, że...

Młody mag podbiegł do drzwi, otworzył je i ujrzał zdziwioną twarz Conna Levasa. Najemny mag jednak szybko otrząsnął się i cofnął o krok przed Skanem i Vikterem.

Skan natychmiast dostrzegł Urtho pogrążonego w ogromnym bólu, wciśniętego w fotel w narożniku pokoju. Conn podążył za jego wzrokiem, zbladł i zaczął coś paplać.

— Urtho... — powiedział. — Mówił, że nie czuje się dobrze. Napięcie...

Jednak słuch Skana był lepszy niż ludzki i zrozumiał słowo, które Urtho wypowiedział toczącymi ślinę ustami.

— ...*trucizna*...

Skan nagle ujrzał świat na czerwono. Krew uderzyła mu do głowy. W porę dostrzegł ruch ręki Conna i nie zawahał się ani chwili: szponem ciął przez gardło maga, rozrywając je; rzucił ciałem przez pokój, a kręgosłup trzasnął, gdy Levas zderzył się ze stołem, na którym leżała mapa. Krew zalała lepkiem szkarłatem miniaturową Wieżę i ziemię wokół niej.

Vikteren podbiegł do Urtho, a Skan został w drzwiach, strosząc wszystkie pióra.

— Trucizna — rzekł krótko młody mag, jego twarz poczerwieniała a głos uwiązał mu w gardle. — Ciernie Mirandy, bardzo rzadkie, nie ma antidotum. Drań miał ich dość, żeby załatwić nas obu. To po nie sięgał do kieszeni.

Hertasi sapnął i wybiegł po pomoc.

Skan usłyszał i zrozumiał tylko jedną rzecz.

— Nie ma antidotum? — zaryczał, aż Urtho zaskomlał, a Vikteren zadrżał. — Jak to nie ma antidotum?

— Skan, nie mogę zmienić faktów — odkrzyknął Vikteren. — Nie ma antidotum! Stworzył to Ma'ar jako narzędzie mordy, od początku wojny użył ich trzy razy. Możemy tylko zyskać trochę na czasie i złagodzić niektóre ze skutków!

— Zrobmy to — wycharczał Skan i wyciągnął swoje ociekające krwią szpony nad ciałem swego stwórcy i przyjaciela, przywołując każdą najmniejszą cząstkę swej magii, jaką miał. Otworzył się na Urtho, znalazł w jego umyśle miejsca, które poraziła Miranda, sprowadzając na niego halucynacje i ból, i połączył się z Vikterem, aby złagodzić cierpienia maga.

Walczył z zalem i wściekłością, dając całą swą energię. A jednak to nie wystarczało: przekonał się, że Vikteren ma rację. Trucizna rozmnażała się w ciele Urtho, drażąc je niczym jakaś straszna, myśląca choroba i z każdą minutą niszczyła nieodwołalnie siły życiowe.

W końcu magiczna energia Skana wyczerpała się, opuścił wyciągnięte szpony i otworzył oczy. choć nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że je zamknął.

Vikteren podtrzymał Urtho na krześle; stary mag miał normalny wyraz twarzy.

— Ewakuacja. . . — wyszeptał Urtho chrapliwie. — Dajcie mi. . . uzdrowiciele. Muszę wstrzymać. . .

Vikteren spojrzał na zaskoczoną twarz Skana.

— Myślę, że uległ zaklęciu zniszczenia. . . jeśli opuści Wieżę, rozpadnie się ona w kawałki. A jeśli myślisz, że to, co stało się z Bramą w Przełęczu Jerlag, było imponujące. . .

Młody mag nie dokończył. *Jeśli opuści Wieżę, to znaczy, jeśli umrze. A tutaj musi być co najmniej dwa tuziny stałych Bram, nie wspominając o samej Wieży i wszystkim, co się w niej znajduje.* Skan zachwiał się, uświadamiając sobie siłę destrukcji: każdy, kto tu się znajduje, zostanie starty na pył. . .

W korytarzu rozległ się tupot nóg. Odwrócił się szybko, gotowy do ataku, jednak tym razem ujrzał przyjaciół. Hertasi wrócił z Tamsinem i trzema innymi starszymi uzdrowicielami, którzy pchali się przez drzwi. *Nie ma Cinnabar: Pewnie wystął ją przez Bramę, na wypadek gdyby. . .*

— Wszystko wiemy — rzekł Tamsin krótko i zajął miejsce Vikterena przy boku Urtho. — Spróbujemy zyskać jeszcze trochę czasu.

Skan nie usunął się z drogi. Uzdrowiciele nawet na niego nie spojrzeli, minęli go jak niewygodnie ustawiony mebel.

Gryf zaczął coś mówić, ale Vikteren dał mu znak, aby był cicho. Po twarzy młodego maga ciekły łzy, a jego ramiona drżały, tle nie wydawał żadnego głosu, powstrzymując łkanie, by nie rozpraszać uzdrowicieli w ich pracy.

Skan drżał od dzioba po szpony z wysiłku, aby powstrzymać krzyk rozpacz. Zamknął oczy, zacisnął dziób i dał szponami drewnianą podłogę, czując, jak się

pod nimi rozszczepia. Pragnął zabić Conna Levasa jeszcze ze sto razy.

Ktoś klepnął go w ramię. Przestraszył się, podskoczył, otworzył oczy i ujrzał twarz Tamsina palec od swego dzioba.

— Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy — powiedział uzdrowiciel, głosem bezbarwnym i głuchym od smutku i wyczerpania. — On chce ci coś powiedzieć.

Czterech uzdrowicieli, staniając się, wyszło z pokoju, podtrzymując się wzajemnie i nie patrząc za siebie. Vikteren nadal stał obok krzesła Urtho. Łzy nieprzerwanie ciekły po jego policzkach i spadały na przód tuniki.

— Zbierz wszystkie gryfy, jakie znajdziesz — rzekł jeden z uzdrowicieli do hertasi, który czekał drżący za drzwiami. — On zamierza spróbować otworzyć, co tylko zdąży, przed śmiercią i potrzebuje ich, aby zabrały ze sobą tyle, ile mogą.

Hertasi popatrzył na uzdrowiciela przez chwilę, zbyt porażony żalem, by odpowiedzieć. Człowiek przemówił znowu.

— Wiedza zawsze będzie najlepszą bronią przeciwko tyranom — wykrztusił. — Tak powiedział Urtho.

Hertasi pobiegł, by przekazać rozkazy.

— Skan... jest pewna broń — głos Urtho był słabszy od szeptu, ale słowa były dość wyraźne. — Nie zamierzałem jej użyć, ale... teraz, Ma'ar nadchodzi. Pomóż mi... Pokój Broni.

Vikteren pomógł mu się podnieść i schwycił go pod jedno ramię, podczas gdy Skan podtrzymywał go z drugiej strony. Obaj wiedzieli, gdzie znajduje się Pokój Broni i że jest zamknięty tak, że może go otworzyć tylko sama obecność Urtho. Zanieśli go przez Pokój Strategii do drzwi po drugiej stronie korytarza. Urtho nie miał więcej sił niż nowo narodzone kocię. Padł na drzwi do Pokoju Broni i otwartszy je, skierował ich obu do skrzynki na stojaku w odległym końcu pomieszczenia.

— To jest... jak skrzynka, którą dałem Zhaneel. Ale większa. Jedną mam taką na dachu Wieży. Rozwiązuje więzi... czarów. Kiedy będziesz mógł, zanieś to do Ma'ara i uruchom. Stanie się to, co w Jerlag — Urtho nie patrzył na Skana. — Zrobiłem ją dla gryfów. Wetknij szpony... w dziury. Wszystkie naraz.

Wtedy Skan zobaczył, że to, co uważał za dekoracyjne nacięcia po bokach, było uchwyty pasującymi do szponów gryfa.

— Musisz... doliczyć do stu i uciekać — skończył Urtho. — Lepiej miej pod ręką Bramę. I zamknij ją czym prędzej.

Mag Ciszy próbował się zaśmiać, ale zamiast tego zakaszał.

— Idź — wyszeptał gorączkowo, kiedy przestał kaszleć. — Idź. Powstrzymaj Ma'ara. A potem ratuj się.

Skan uniósł skrzynkę ze stojaka i zobaczył, że jest zaopatrzona w pasek, który zawieszało się na szyi. Niezgrabnie przeciągnął go przez głowę i zwrócił się znowu do Maga.

Oczy Urtho zakrywała mgła bólu. a jego usta ułożyły się w słowo: „Idź!”  
Zacisnąwszy dziób, żeby nie zawyć w lamencie. Skan wycofał się z pokoju. Zanim jednak wyszedł, zobaczył, jak Vikteren pomaga Urtho otworzyć kolejne drzwi.

Potem przybył pierwszy z gryfów, aby zabrać tyle, ile mógł.

„Wiedza zawsze będzie najlepszą bronią przeciwko tyranom”. Niezdolny, by dłużej się powstrzymać, Skan przebiegł korytarzem i wzbiał się w kierunku zachodzącego słońca, a jego lament odbijał się echem o ściany Wieży.

Zimowa Łania wrzucała w Bramę książki i paczki ilekroć akurat nikt jej nie przekraczał. Przed nią uformował się cały ich stos, bo gryfy przynosiły je do niej. Bolały ją ramiona i plecy. Gdy Urtho odejdzie, będzie jeszcze trochę czasu, nim otoczenie stanie się niebezpiecznie niestabilne. Wszyscy powinni zdążyć się stąd wynieść.

Wszyscy z wyjątkiem Urtho. . .

Jej oczy były zalane łzami, ale będzie mogła go opłakiwać później, kiedy oni wszyscy będą bezpieczni, przynajmniej na jakiś czas.

Gdzieś po drugiej stronie lej Bramy był drugi trondi'irn, który przesyłał paczki przez kolejną Bramę do k'Leshya. Im dalej dotrze ta niebezpieczna wiedza, tym lepiej dla nich wszystkich. Nie myślała teraz, w jaki sposób dalej będą prowadzić wojnę, ani nawet o tym, czy będą w stanie się ponownie połączyć. Najważniejszą rzeczą było po prostu uciekać, przeżyć, a o resztę będzie martwić się później.

Kolejne gryfy, zbyt zmęczone, aby się do czegoś przydać, przykuśtykały do Bramy i weszły w nią, a ona na ten czas przerywała pracę. Przy przejściu pojawiali się też ludzie, hertasi, tervardi i kyree, dyheli, obciążeni wszystkim, co zdołali unieść. Było ich teraz mniej niż onegdaj. Również wojownicy, którzy docierali tu z pola, chwyтали, co im się nawinęło, i kierowali się do swych Bram ewakuacyjnych. Do tej pory wszyscy, którzy mogli, dokonali odwrotu.

Zostało tylko kilku najwierniejszych, jak ona i Bursztynowy Żuraw, którzy zostaną do samego końca, aby pomagać w ocaleniu przed zniszczeniem tego, co zdołają wynieść.

Nadal nie wiedziała, dlaczego właściwie Urtho umierał, chociaż wierzyła w tę wiadomość. To nie mógł być zwykły zawał, bo przed tym uzdrowiciele mogliby go ocalić. Czyżby Ma'ar magicznym atakiem przeniknął przez ich linie obrony?

Kolejna para wyczerpanych gryfów i grupa umazanych błotem kyree podeszła do Bramy. Zimowa Łania przerwała pracę na kilka chwil, by mogli przejść. Zanim jednak zdążyła podnieść kolejną paczkę ze stosu, pojawił się człowiek. Jednak zamiast do Bramy, skierował się ku niej i chwilę trwało, nim rozpoznała Bursztynowego Żurawia. Jego twarz była jak maska grozy i blada jak śmierć. Podskoczyła ku niemu, kiedy się zachwiał i zaczął upadać. Złapała go i pomogła

mu stanąć prosto.

— Co?... — zaczęła.

— Właśnie widziałem się ze Skanem — odparł głucho. — Pożegnałem się z nim.

Sposób, w jaki to powiedział, zmroził ją. Pożegnał się? Czyżby na zawsze?

— Musimy zabrać stąd Zhaneel. Od razu do k'Leshya — ciągnął bezbarwnym głosem. — Nie możemy pozwolić, aby dowiedziała się, że Skan odleciał, bo inaczej będzie chciała lecieć za nim. Urtho dał mu broń i kazał mu jej użyć, by powstrzymać Ma'ara. Skan twierdzi, że Urtho kazał mu iść od razu.

Zimowa Łania uświadomiła sobie, że szarpie włosy, dopiero gdy poczuła ból. Wyplątała z nich dłonie.

— Nie mogłeś go powstrzymać?! — krzyknęła mimo woli.

— Próbowałem, ale mnie nie słuchał. — Bursztynowy Żuraw patrzył na nią pustymi, martwymi oczami. — Powiedział mi, że Shaiknam, Garber i Conn Levas przeszli na stronę wroga.

Strach ścisnął ją za gardło, zapierając dech.

— Ale...

— Powiedział, że złapał Conna Levasa zaraz po tym, jak tamten otruł Urtho cierniami Mirandy. Rozszarpał mu gardło, ale było za późno. Nie mogli już nic zrobić dla Urtho, jedynie zyskać trochę czasu.

Czuła jego ból, jak gdyby był jej własnym. Jeśli ona pragnęła płakać, Bursztynowy Żuraw chciał umrzeć z bólu; a ból po stracie Skana był dziesięciokrotnie większy.

— Ja... Czekać, to ona.

Zhaneel pojawiła się z jednym pakunkiem książek w dziobie, a drugi przyciskała do piersi. Biegła na trzech nogach i biła skrzydłami dla utrzymania równowagi. Zimowa Łania przytrzymała ją za brzeg skrzydła, aby ta mogła pozbyć się swego ciężaru.

— Zhaneel! — krzyknęła. — Potrzebuję kogoś po stronie k'Leshya. aby się upewnić, czy to wszystko jest przenoszone jak najdalej od Bramy. Nie wiemy, jak dalece te rzeczy są niestabilne.

Zhaneel pokiwała głową i ruszyła przez Bramę, nie czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Idź za nią — rozkazała Zimowa Łania. — Ja do was dołączę, gdy tylko przerzucę ostatnią z tych rzeczy.

Przynajmniej miała co robić. Coś, co powstrzymywało ją przed myśleniem...

— Dobrze się czujesz? — spytał nagle Bursztynowy Żuraw i odrobina życia pojawiła się w jego oczach. Wiedziała, co miał namyśli.

*Conn nie żyje. Conn jest zdrajcą i nie żyje.* Powstrzymała się i zebrała w sobie, badając swe serce.

— To lepiej, że Skan zajął się tym problemem — rzekła stanowczo, patrząc Bursztynowemu Żurawowi głęboko w oczy, aby wiedział, że mówi szczerze. — Gdyby on tego nie zrobił... zrobiłabym to sama, choć z mniejszą elegancją.

Przez ból i żal w jego oczach przebiła się ulga. W tym momencie to wystarczyło. Pchnęła go łagodnie w kierunku Bramy.

— Zobaczmy się po drugiej stronie — rzekła. — Zajmij się nią.

Bursztynowy Żuraw po raz ostatni objął Wieżę długim, tęsknym spojrzeniem. Potem odwrócił się i ślepo przekroczył próg.

Podniosła kolejną paczkę, gdy tylko zniknął i wrzuciła przez Bramę.

Skan wiedział dokładnie, kogo szuka — adepta Kaled'a'in Śnieżnej Gwiazdy, osoby, którą sam Urtho wyznaczył na szefa magów. Znał Śnieżną Gwiazdę, wiedział, że ten człowiek był naprawdę drugi po Urtho, jeśli chodzi o wiedzę i zdolności. Wiedział także jeszcze o jednym istotnym fakcie.

Śnieżna Gwiazda pracował z Urtho jeszcze na długo przed upadkiem króla i był jednym z magów, których Urtho miał przy sobie, kiedy Cinnabar wezwała ich do pałacu tamtego strasznego poranka.

Znał pałac równie dobrze jak Skan, co oznaczało, że w przeciwieństwie do wielu innych magów mógł zbudować tam Bramę.

A Ma'ar był w pałacu. Po trzech nieudanych próbach Skan zlokalizował Śnieżną Gwiazdę w stajniach Wieży, wycofującego się z ostatniego pustego boku. Gdyby nie był Kaled'a'in, Śnieżna Gwiazda zadziwiałaby obecnością w tym miejscu, jednak konie tutaj były cennymi wojennymi rumakami. Skan uśmiechnął się dziko do siebie. Śnieżna Gwiazda nie spodziewał się zasadzki i bez wątplenia zamierzał skierować się do Bramy Kaled'a'in wraz ze swymi końskimi ulubieńcami.

Trochę się spóźni.

Kiedy mag się odwrócił, w przejściu między bokami stał Skan, rozpościerając skrzydła, by zablokować drogę. Śnieżna Gwiazda spojrzał na niego martwo.

— Skandranon? Co...?

— Potrzebuję przysługi — rzekł Skan cicho, ale stanowczo. — A ty nie masz wyboru. Potrzebuję Bramy w dawnym pałacu. I to zaraz.

Oczy Śnieżnej Gwiazdy rozszerzyły się, pokręcił głową ze zdziwieniem.

— Oszalałeś? — krzyknął, próbując usunąć Skana z drogi. — Nie ma czasu na takie nonsensy! Musimy się stąd zabierać!

— Jest czas i zrobisz to — wysyczał Skan. — Mam prezent od Urtho, który muszę dostarczyć Ma'arowi.

Śnieżna Gwiazda zbladł i spuścił wzrok na skrzyneczkę wiszącą na szyi Skana, jakby dopiero co ją zauważył. Nie pierwszy raz Skan stawiał wszystko na jedną kartę: Czarny Gryf był uważany za powiernika Urtho. Śnieżna Gwiazda

powinien się domyślić, że prośba Urtho była rozkazem i miała być wykonana od razu, bo wiedział bardzo dobrze, w jakim stanie był Urtho. Nie tracił więc cennego czasu, aby znaleźć kogoś, by potwierdził słowa Skana. Mógł nawet przypuszczać, że Urtho nakazał Skanowi znaleźć go, wiedząc, że adept będzie jednym z niewielu mogących zbudować tak bardzo oddaloną Bramę.

Ulubieńcy Śnieżnej Gwiazdy rozproszyli się, gdy wszystkie te myśli — i prawdopodobnie jeszcze kilka — przebiegały przez umysł maga.

— Dobrze — powiedział, nadal blady, ale wyraźnie zdeterminowany. — Nie mogę przesłać cię do samego pałacu, niestety. Nie mam pojęcia, kogo lub co Ma'ar tam ulokował. Mógłbym przesłać cię do kwater służby i okazałoby się, że są pełne żołnierzy czy pułapek. Jest jednak jedno miejsce, które znam bardzo dobrze, gdzie nie natrafisz na duży opór. A jeśli trafisz na jakiś, to sądzę, że dasz sobie z nim radę.

— Stajnie — wydyszał Skan, pełen podziwu dla rozumu Śnieżnej Gwiazdy.

— Właśnie.

Śnieżna Gwiazda odsunął Skana, by zrobić sobie miejsce do pracy.

— Umieścuję Bramę wyjściową w ostatnim boksie na końcu stajni. Jest to wielki boks oddzielony od reszty przegrodami aż po sufit i bez okien wychodzących na zewnątrz. Nigdy nie trzymaliśmy tam żadnego konia, dopóki nie znalazł się jeden tak chory, że potrzebował ciemności i ciszy. Przypuszczam, że żaden stajenny niczego tam nie zmienił.

Brzmiało to dobrze i Skan potaknął.

— Ustaw tam Bramę i zniszcz ją, kiedy będę już po drugiej stronie — powiedział zdecydowanie. — A potem zabieraj się stąd.

— A co? ... — zaczął Śnieżna Gwiazda, lecz zaraz natknął się na wzrok Skana i niemal oślepiła go żądza zemsty bijąca z oczu gryfa. Śnieżna Gwiazda pobladł jeszcze bardziej, potem odwrócił się, uniósł ręce i zaczął zakłęcie.

Adept przez dziesięciolecia ulepszał swoje rzemiosło. Brama powstała bez najmniejszego szmeru w energiach maga. Skan nawet mu nie podziękował. Przytrzymując cenny ciężar jedną łapą, skoczył na drugą stronę.

*Kiepsko zaplanowane, głupi gryfie, ale nie ma czasu. Urtho nie może umrzeć, nie dowiedziawszy się, że Ma'ar umarł albo zniknął. Nie potrafisz znieść bezradności i choć nie potrafisz ocalić Urtho, możesz przynajmniej coś zrobić.*

Wylądował i poślizgnął się na słomie w ciemnym i pustym boksie. Jak przypuszczał Śnieżna Gwiazda, nie był on używany od dawna, a słoma pokrywająca kamienną posadzkę pachniała stęchlizną i była pełna kurzu. Stłumił kichnięcie i ruszył ostrożnie ku wyjściu. Bacznie nasłuchiwał, natężając wszystkie zmysły w ciemności.

*Dziwne. Wiele głosów i dźwięk jakiegoś zmagania. Co takiego oni tutaj trzymają? Czyżby jakiegoś zdziczałego ogiera?*



— Czy jesteś pewien, że to powstrzyma tę bestię? — głos był pełen wątpliwości i lęku. — Mówię ci, rozkaz nie rozkaz, ale jeśli to się uwolni, nie myśl, że będę tu stał i próbował to zatrzymać.

Trzask dłoni o ciało i okrzyk bólu.

— Rób, co ci kazano i nie gadaj, tchórze! — zadudnił drugi głos. — Jeśli każe ci tu stać, masz stać, choćby to coś miało urwać ci rękę.

*Zatem nie ogier. Byk? Jakiś nowy potwór wymyślony przez Ma'ara?*

Stłumione ponure przekleństwo. Odgłos splunięcia. Oddalające się ciężkie kroki. Dalsze zmagania; brzęk łańcuchów. Stłumione uderzenie, mruczenie, strumień złorzeczeń skierowanych przeciw drugiemu głosowi, jego rodzinie i wszystkim jego przyszłym potomkom.

Cienkie, wysokie zawodzenie młodego gryfa.

— Ojczeee!

Głos, który znał. Kechara! Pchnął drzwi boks. Otworzyły się szeroko, a on wściekły wypadł na zewnątrz. Jego oczy spotkały się ze wzrokiem brudnego stajennego, który w jednej ręce trzymał widły, a drugą przytrzymał zakrwawioną szmatę przy ustach. Chłopak nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Spojrzał na Skana, zrobił się biały jak mleko i zemdłał.

Skan przeszedł ponad nim i zajrzał do boks, którego tamten strzegł.

Były tam dwa przykryte płótnem toboły — jeden się rzucał, a drugi skamlał głosem Kechary.

*Jak ona... nieważne. Conn Levas albo Shaiknam, albo obaj.* Szybko wcisnął się do boks, ale nie uwolnił mniejszego tobołka, jeszcze nie. Większy także pachniał krwią i gryfem, i był to zapach, który wydawało mu się, że rozpoznaje.

— Spokojnie — wyszeptał. — To ja, Skan.

Tobołek natychmiast zastygł bez ruchu. Chwilę zajęło mu przebadanie sytuacji.

Więźnia owinięto łańcuchami, na szczęście nie umocowanymi do ściany lub podłogi. Gdyby mógł przygiąć trochę gryfa, który znajdował się w środku, byłby w stanie zdjąć cały łańcuch bez otwierania kłódki.

— Czy możesz pochylić się w tę stronę — wyszeptał chrapliwie, przyginając coś, co jak sądził, było tyłem głowy gryfa. Ciało ugięło się pod jego naciskiem i udało mu się zdjąć łańcuch. Kiedy uwolnił jedną pętlę, z łatwością zdjął dwie następne, a za nimi cały łańcuch, przy współpracy spętanego gryfa.

Teraz mógł zdjąć płótno i sprawdzić, czy zawartość stanowił ten, o którym myślał. Rozdarł płótno cięciem szpona i ujrzał głowę przykrytą ogromnym sokolim kapturem z mocno związanym dziobem.

Zdjął wszystkie więzy i dziób się otworzył.

— Cholera, Skan — zaskrzeczał Aubri, szeptem nie głośniejszym niż przedtem jego własny. — Nie mogłeś wybrać bardziej odpowiedniej chwili.

Trochę to trwało, zanim udało im się przekonać Kecharę, że musi być cicho. Przynajmniej raz działania ludzi Ma'ara okazały się przydatne: obcięli lotki Kechary i Aubriego i mała gryfica nie potykała się już o własne skrzydła.

Kechara nie pamiętała, jak się tu znalazła, ale jej ostatnim wspomnieniem był Conn Levas, który dawał jej coś smakowicie pachnącego. Skan zapewnił ją, że Levas „odszedł” i Skan dopilnuje, żeby już nigdy nie wrócił.

*W każdym razie nie w tym życiu.*

Aubri zaś dokładnie pamiętał, co się z nim działo, i swoje wyjaśnienie zawarł w kilku krótkich zdaniach. Chciał tylko wiedzieć jedno.

— Urtho? — spytał, spoglądając w bok, czy Kechara nie słucha.

Skan zamknął oczy, pozwalając, aby jego głęboki smutek przez moment się uzewnętrznił i potrząsnął głową.

Dziób Aubriego zamknął się z kłapnięciem i kiedy Skan znowu otworzył oczy, oczy szerokoskrzydłego były czerwone z wściekłości jak u każdego jastrzębia.

— Zabiłem Conna Levasa — powiedział Skan, pokonując swą żądzę zemsty i ból, które ścisnęły mu gardło. — A to załatwi Ma'ara. Jeśli tylko uda nam się dostać do niego. — Pochylił głowę na jedną stronę. — Powiedziano mi, że należy policzyć do stu i zabierać się, gdyż ta rzecz wywoła coś podobnego jak w Jerlag. — Pokręcił głową. — Jeżeli tylko przychodzi ci na myśl, jak mógłbyś się stąd wydostać, zabierz Kecharę i uciekajcie...

Żrenice Aubriego rozszerzyły się i zaśmiał się chrapliwie.

— Z obciętymi lotkami? Nie sądzę. Poza tym zawsze zależało mi tylko na tym, żebym mógł walczyć. Przykro mi z powodu tej małej, ale załatwimy to czysto, prawda?

Skinął głową.

— Tak czysto jak ogień. A ja nadal jestem w stanie posłać was ku Światłu, jeśli sprawa będzie beznadziejna.

*Tak jak to robiłeś już tyle razy — Urtho, dlaczego musimy dźwigać to jarzmo? Dlaczego?*

— No cóż — chrząknął Aubri. — Potrzebujesz mnie. Założę się, że nawet ta mała nam się przyda. A skoro mamy wykończyć Ma'ara... — Dziki śmiech Aubriego i drapanie jego pazurów o kamień posadzki powiedziały mu resztę. — I... do diabła, Skan; ty zawsze byłeś najfartowniejszym skurczygryfem, jakiego znam. Z twoim szczęściem, znajdziesz sposób, by nas stąd wyciągnąć. Stawiam na ciebie, bracie.

Skan wypuścił powietrze, które wstrzymywał od pewnej chwili.

— No cóż — powiedział lekko. — To była ta gorsza część. A teraz ta łatwiejsza.

— To znaczy? — spytał Aubri. Kechara wydała cichy pisk radości i rzuciła się na coś w ciemnościach. Chwyła to w dziób i spojrzała niewinnie, podczas

gdy ogon szczura zwisał z jednego kącika jej dzioba, zanim zdążyła go całego połknąć.

Skan rozejrzał się ostrożnie wokoło. Drzwi do stajni stały otworem, a przed nią rozciągał się najwyraźniej pusty dziedziniec, aż do budynków pałacowej kuchni.

— To nic takiego — odparł bezceremonialnie Skan. — Musimy tylko dostać się do pałacu i sali tronowej.

Ostatnie drzwi w Wieży zostały otwarte. Nadal znajdowały się tu książki i przyrządy, które Urtho pragnąłby ocalić, ale najważniejsze rzeczy zostały wyniesione. Przekonał Vikterena i pozostałych, aby już poszli. Teraz została tylko niewielka sprawa, z którą trzeba się uporać — przeżyć każdą możliwą kolejną sekundę, ponieważ każda sekunda oznaczała, że jego ludzie mają więcej czasu, aby dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Po Wieży hulały przeciągi. Czasami rozlegał się odgłos spadającego przedmiotu, dudniący echem po nagle opustoszałych korytarzach. Nigdy w życiu Urtho nie czuł się taki samotny.

Nie spodziewał się, że będzie umierał sam, a już najmniej, że w taki sposób. Dobrze, że magowie i uzdrowiciele zablokowali ból, zlikwidowali halucynacje i konwulsje, zostawiając go tylko z rosnącym osłabieniem.

Był tak zmęczony, tak bardzo zmęczony. . .

*Nie! Musi to zwalczyć, nie tracić świadomości! Każda sekunda jest ważna!*

*Tyle dokonałem i tyle się nauczyłem, a nie potrafię opóźnić procesu swego umierania choć o jedną miarkę świecy!*

Nigdy nie myślał o zemście, teraz jednak jej żądza wprost go spalała. *Zemsta — nie, chcę bronić swoich ludzi, swoich dzieci. A skoro Wieża ma zniknąć, chcę, aby to było coś więcej niż zwykły koniec. Chcę, aby to coś znaczyło, aby zrealizował się jakiś plan! Zawsze miał nadzieję, że jeśli już do tego dojdzie, będzie mógł zwabić Ma'ara lub przynajmniej któregoś z jego głównych magów do Wieży, która teraz była pułapką. Przez cały czas to planował. Desperacki gest, ale Ma'ar musiałby najpierw usunąć zniszczenia, a w tym czasie dzieci Urtho i jego ludzie zdołają uciec daleko poza zasięg wroga.*

Teraz, gdy umierał, Wieża też umrze w rozprzestrzeniającym się kręgu światła i dźwięku i stanie się najbardziej imponującym stosem pogrzebowym, jaki kiedykolwiek widział świat. . .

*. . . czekaj chwilę.*

Pod marazmem, jaki w jego umyśle wywołała trucizna, coś drgnęło. Pomysł, nadzieja. *Ma'ar przeciętnie może wiedzieć, że Connowi Levasovi się udało. A co by było, gdybym rzucił mu wyzwanie?*

Była przecież jedna stała Brama, niewielka, mogąca pomieścić tylko jednego człowieka, nie większa niż wejście do pokoju. Nie będzie trzeba wielkiego wy-

siłku, aby ją otworzyć. Chwila jasnego myślenia i znalazłby się w sali tronowej. Urtho używał jej, aby przenieść się ze swej sali audiencji do króla — była to niewielka fanaberia, mająca zadziwiać i straszyć cudzoziemców. Właśnie tamte-  
dy dostał się do pałacu tej nocy, gdy Cinnabar go wezwała. Dla Skana otworzył  
większą Bramę gdzie indziej. Nie był pewien, jaki może być efekt, gdy ktoś bę-  
dzie próbował precyzyjnie się przez zbyt małą Bramę, a to nie była odpowiednia  
chwila, by się o tym przekonywać.

*Jest pewna szansa na to, że będzie siedzieli w sali tronowej, by wysłuchiwać  
wieści od wojska. A gdybym otworzył Bramę i rzucił mu wyzwanie, aby tu przy-  
szedł? Ogarnęła go gorączka i dzika radość i po raz pierwszy zrozumiał, jak czują  
się gryfy, gdy zabijają. Otworzę Bramę, nie może mnie pokonać przez Bramę, mu-  
si tu przyjść. Zamknę ją. Nie będzie mógł jej otworzyć, kiedy go czymś zajmę, a do  
czasu gdy ustawi swą własną Bramę, ja umrę. A on ze mną. Gdybym miał żyć,  
nigdy bym się na to nie zdobył, ale jestem już prawie martwy.*

Straszliwa radość dodała mu sił, aby wstać, powlec się do następnego poko-  
ju i zasiąść na swej skromnej wersji tronu. Nie był to właściwie tron, ale duży,  
wygodny fotel, umieszczony na podeście o wysokości pół stopnia. Nigdy nie wi-  
dział powodu, aby budować salę przyjęć, wszystko w tym niewielkim pokoju było  
wykonane ze starego, pokrytego patyną czasu drewna. Parę razy, gdy musiał wy-  
wrzeć na kimś wrażenie, zmieniał ten pokój za pomocą iluzji. O wiele tańsze  
i o wiele łatwiejsze do sprzątnięcia.

Sapał z wysiłku, kiedy wspinał się na podest i usadawiał na swoim tronie.  
Przez chwilę był oszołomiony i dezorientowany. Zamknął oczy, a kiedy je znowu  
otworzył, wszędzie ujrzał słabą tęczę.

*Halucynacje lub ich resztki. Nie zostało mi już wiele czasu. Nawet jeśli mi  
się nie uda — to przynajmniej próbowałem. A pewnego dnia Skan spróbuje. Sa-  
mo to już go trochę pocieszyło. Skana wspomogą najtęższe umysły Kaled'a'in.  
Ma'ar nie może zwyciężyć i nie zwycięży. Nie, dopóki jest choćby jeden gryf czy  
Kaled'a'in, który stawia mu opór.*

Wpatrzył się uporczywie w ozdobny łuk wbudowany w ścianę po drugiej stro-  
nie pokoju, który wydawał się tylko obramowywać płytką, nie mającą zastosowa-  
nia niszę. Spowił swój umysł i słabnące moce w magiczne energie wplecione  
w drewno i kamień pod nim, i zakreślił.

Wewnątrz łuku biała ściana zadrgała, a potem na bardzo krótką chwilę zmie-  
niła się w wirującą mgłę kolorów, niczym oliwa na wodzie.

Potem kolory pociemniały, ustaliły się — i Urtho zobaczył przez setki mil salę  
tronową pałacu najwyższego króla Leodhana, ogromny pokój zbudowany z sze-  
ściu różnokolorowych rodzajów najrzadszego marmuru. Miejsce to wydawało się  
puste, nawet wtedy gdy było tam pełno dworzaków. Teraz znajdował się tam tylko  
jeden człowiek, ale jego obecność wystarczyła, aby je wypełnić.

Ma'ar utkwiał wzrok w Bramie, która nagle otworzyła się w jego sali tronowej,

Bramie, o istnieniu której nie miał zielonego pojęcia. Ma'ar nie był z urodzenia przystojnym mężczyzną, ale przez lata wyrzeźbił swe ciało na wzór młodego boga. Jego twarz o kwadratowym podbródku, precyzyjnie wyrzeźbionych kościach policzkowych i zmysłowych ustach okalała grzywa włosów w kolorze ciemnej miedzi. Jego ciało mogło być przedmiotem zazdrości każdego wojownika z jego szeregów. Ze starego Ma'ara zostały tylko oczy, małe, przeszywające, o dziwnym, żółtozielonym kolorze.

— Kiyamvir Ma'ar — powiedział żywo Urtho. — Dawno się nie widzieliśmy. Ma'ar odzyskał rezon o wiele szybciej, niż Urtho przypuszczał.

— Urtho — wyciągnął się na swym tronie, prawdziwym tronie, o wiele bardziej imponującym niż ten alabastrowy, którego używał król. Być może nie był z litego złota, ale z pewnością na taki wyglądał, a czerwonoczerwony rubin, znajdujący się nad głową Ma'ara wyrzeźbiony w kształcie głowy kota, był dwa razy większy niż najokazalszy rubin, jaki kiedykolwiek Urtho widział. — Czyżbyś mnie wzywał, aby się poddać?

Urtho uśmiechnął się łagodnie.

— Wprost przeciwnie — odparł. — Pamiętam, że zawsze lubiłeś hazard. Mam właśnie zamiar zaproponować ci coś w tym rodzaju.

Ma'ar wybuchnął śmiechem.

— Ty? A co takiego możesz mi dać, czego sam nie mógłbym wziąć?

Urtho machnął ręką, gest ten znowu go lekko oszołomił.

— No cóż, to. Jestem pewien, że wiesz, iż większość tego, co tu miałem, wyniesiono, ale wiesz także, że znajduje się tu znacznie więcej, niż można by kiedykolwiek wynieść. Jesteś zapewne świadom również tego, że to, co zrobiłem w Jerlag, mogę zrobić i tutaj.

Twarcz Ma'ara pociemniała, a jego wargi rozciągnęły się w bezgłośnym warknięciu.

— Jednakże... — Urtho uniósł palec, aby powstrzymać odpowiedź. — Proponuję zakład. Stawką — Wieża i wszystko, co w niej jeszcze zostało. Jeśli zdołasz mnie zabić, nie będę mógł uruchomić czaru zniszczenia. — *Miejmy nadzieję, że nie domyśli się tego, czego domyślił się Conn Levas, że to nie czar powoduje zniszczenie, ale jego brak.* — Dostaniesz Wieżę i wszystko, co chcesz. Gdy jednak to mnie uda się ciebie zabić... no cóż, twoi podwładni natychmiast zaczną walczyć ze sobą i zostawią mnie i moich ludzi w spokoju. Kłótnia jest nieunikniona, a ja zachowam swe włości.

Ma'ar zmarszczył brwi, ale widać było, że jest wyraźnie zaintrygowany.

— Nie doceniasz tego, co ja tu zrobiłem, Urtho. Przejąłem słabą ziemię, rozdartą wewnętrznymi waśniami i zniszczoną żądzą krótkowzrocznych idiotów, którzy nie widzieli więcej niż czubek własnego nosa. Zmieniłem ją w Imperium, któ-

re będzie żyło dłużej niż ja. A ja zamierzam żyć bardzo długo! Jak sądzisz, w imię czego narażałbym to wszystko dla twojego głupiego zakładu?

Urtho pochylił się na krzesło, nie zważając na kolejną falę oszołomienia, i wypowiedział tylko dwa słowa.

— Wiedza. Władza.

Potem z powrotem się oparł i zamknął oczy.

— Pomyśl o tym, Kiyamvirze Ma'ar. Albo ty wygrasz, albo ja. Cała wiedza i cała władza dla jednego. Mogę poczekać, ale czuję, że powinienem się wycofać. Twoja armia jest w drodze i powinienem ustawić tę Bramę... gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest ciepło, i zostawić tu twoim wojskom jakąś nieprzyjemną niespodziankę.

Jego usta z lekka się rozwarły i zobaczył ku swemu zadowoleniu, że Ma'ar patrzy na Bramę, zagryzając niespokojnie wargi.

*Zdecyduje się!*

— Zawsze mówiłem, że masz najwięcej szczęścia... — wymruczał Aubri, zanim Skan dał mu znak, by zamilkł.

— To nie szczęście — odparł cicho. — Tylko pamięć. Cinnabar bawiła się z księżniczką i pokazała mi potem tajemne przejścia. Liczę na to, że Ma'ar nie odkrył wszystkich i że zdołam zdjąć pałapki w tych, które odkrył.

Nie lubił myśleć o tym, w jaki sposób Cinnabar pokazała mu te sekretne przejścia — przekazała je wprost do jego umysłu, a to nie było ani przyjemne uczucie, ani okoliczności. Zobowiązała go do przeszukania przejść, by znaleźć ten cholerny *dyrstaf*, ponieważ był jedynym magiem, któremu mogła to powierzyć.

*Ona wzięła na niebie mniejsze przejścia, wielkości człowieka, a ja te, które były wystarczająco duże dla gryfa...*

Odrzącił te wspomnienia. Najważniejsze jest teraz to, ilu strażników ma Kiyamvir Ma'ar w sali tronowej.

*Błagam, błagam, błagam, o Pani Kaled'a'in. spraw, żeby był aż tak arogancki i nie miał żadnej straży! Błagam...* Gryfy nie miały swego bóstwa i po raz pierwszy w ogóle poczuł potrzebę wzywania jakiegokolwiek. Gryfy miały tylko Urtho i siebie.

*A kiedy to się skończy, zabierz Kecharę w ciepłe i bezpieczne miejsce i przyprawdź do niej Urtho... i zachowaj Bursztynowego Żurawia i Zhaneel w szczęściu.*

W tym przejściu nie było otworów i żaden człowiek nie byłby w stanie określić, co dzieje się w sali tronowej. Każdy, kto stąd miał do niej wejść, musiał zrobić to po omacku, ufając, że w środku nikogo nie ma.

*Chyba że tym kimś był gryf.*

Zamknął oczy i dzięki koncentracji stał się w swym umyśle tylko parą wielkich bystrych uszu, nasłuchiwał...

*Rozmawia z kimś? Cholera! Teraz albo nigdy!*

— Idziemy! — wysyczał do Aubriego. Szerokoskrzydły napał ramieniem na kaseton, który ustąpił pod jego ciężarem, i wpadł do środka. Skan skoczył za Aubrim, ślizgając się z lekka na marmurze posadzki, a za nim Kechara weszła lekkim swawolnym krokiem niczym lalka.

Ma'ar odwrócił się, by spojrzeć na wyłamany kaseton i stanął tyłem do...

*Urtho? O Gwiedznooka Pani, czyżby to była Brama ?*

Cóż innego mogłoby to być, skoro Urtho siedział oparty w fotelu w obramowaniu łuku, z którego dobywała się lekko drgająca energia?

Skan nawet nie zatrzymał się, by pomyśleć o tym niesamowitym, niewiarygodnym zbiegu okoliczności; nie zatrzymał się, aby zastanowić się nad zdziwionym wyrazem zmęczonej twarzy Urtho.

— Aubri! — zaskrzeczał. — Zabieraj stąd Kecharę, no już...

Aubri jednak nie musiał nic robić, gdyż Kechara ujrzawszy Urtho, krzyknęła: — Ojcie! — radosnym, rozedrganym głosem i niczym strzała pomknęła ku łukowi i przecisnęła się przez Bramę, jak gdyby była nasmarowana tłuszczem.

Aubri skoczył za nią — i utknął.

Skan sięgnął do skrzynki, podczas gdy Ma'ar gapił się na nich, jakby byli jakąś halucynacją. W końcu przemówił.

— Wszystko po to, by ocalić dwa gryfy?

Czarny Gryf trzymał skrzynkę przed sobą, włożył szpony w odpowiednie nacięcia i uruchomił ją.

— Nie. Aby uratować nas wszystkich.

Zdjął pasek z szyi i pchnął skrzynkę po podłodze ku Ma'arowi, który przytomnie jej uniknął, ale ten unik nie zdał się na nic. Pasek od skrzynki okręcił się wokół jego nogi i podciął go. Upadek odebrał magowi dech i opóźnił reakcję.

Ma'ar chwycił skrzynkę, która zaczęła błyszczeć i sypać iskrami. Na jego twarzy odmalowało się oburzenie, zdumienie i strach. A potem — szalony gniew. Wstał, trzęsąc się z wściekłości, i kopnął skrzynkę na bok. Potoczyła się z grzechotem po marmurowej posadzce do stopni tronu.

— Myślisz, że to wystarczy?! — wrzeszczał. — Że ta zabawka Urtho mnie zabije? Tylko patrz!

Imperator wyciągnął błyszczący srebrny nóż i obiema rękami zatopił go w swej piersi.

Jego twarz wykrzywiła się w jakimś maniakałnym uśmiechu. Utkwił oczy w Skandranonie. Krew tryskała na jego wspaniałe szaty, a uśmiech stawał się coraz szerszy.

— Widzisz, znam pewne rzeczy, których ty nie znasz. Wygrałem! Będę żył wiecznie! I będę was wiecznie nienawidził — wszystkich ludzi Urtho, wszystkich waszych dzieci i zawsze będę z wami walczył. Słyszysz mnie!

*Skandranonie Rashkae! Obudź się! Ma'ar gra na zwłokę! Będzie cię zajmował tym małym spektaklem, aż skrzynka zadziała i zabierze cię z sobą!*

Gryf potrząsnął głową, aby nie słuchać hipnotyzującego głosu. Ma'ar wyjął sztylet ze swojej piersi, krew trysnęła na podłogę. Imperator zamilkł, a jego twarz stała się popielata. Utkwił oszalały wzrok w Skandranonie. Trzymając sztylet obiema dłońmi, skierował go do swego gardła, pod podbródkiem — i jednym szybkim ruchem zanurzył go w nim po samą rękojęść.

Skandranon ruszył ku Bramie, zanim Ma'ar upadł. Za sobą usłyszał, jak rękojęść sztyletu rysuje o marmur, a potem ciało Kiyawira pada na posadzkę z głuchym plaśnięciem. Czarny Gryf pędził do Bramy, w której nadal tkwił uwięziony Aubri, i jeśli to nie poskutkuje, obaj przepadli.

Całym swym ciężarem uderzył w tył Aubriego.

Z krzykiem bólu dobywającym się z dwóch gardeł przepchnęli się przez Bramę, zostawiając za sobą trochę piór i skóry, a Brama zamknęła się za nimi tak szybko, że prawie przycięła koniec ogona Skana.

Kechara tuliła się już w objęciach Urtho, niezdolna pojąć, dlaczego jej ojciec tak źle wygląda. Skan podniósł się z podłogi i pokuśtykał do maga, który patrzył na nich ze łzami w oczach.

— Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę — wyszeptał chrapliwie. — Coś ty w ogóle narobił? Przecież miałeś. . .

Zanim Skan jednak zdołał odpowiedzieć, potrząsnął ostrożnie głową, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból.

— Nieważne, jesteś zbawieniem wszystkich, dzielny i próżny gryfie. Wszyscy, których ocaliliśmy, już zawsze będą bezpieczni. Nigdy w swoim życiu nie byłem tak dumny ze swego stworzenia i nigdy nie czułem się tak was niegodny.

Skan otworzył dziób, próbując powiedzieć coś wspaniałego, ale zdołał tylko wydukać:

— Ojcie, kocham cię.

Urtho uniósł drżącą dłoń, a Skan przysunął głowę, aby mag mógł ją na niej położyć.

— Synu — powiedział ciepło — synu wszystkiego, co we mnie najlepsze. Kocham cię.

Gardło Skana ścisnęło się, gdy Urtho zabrał swą dłoń i nie był w stanie już niczego powiedzieć.

Kechara popatrzyła na nich obu przestraszonymi oczami.

— Ojcie? — powiedziała bojaźliwie do Urtho.

— Ojciec teraz musi odejść, Kecharo — rzekł łagodnie Urtho. — Przez jakiś czas twoim ojcem będzie Skan, rozumiesz. To może potrwać długo, ale Skan będzie dobrym ojcem. Gdy wszyscy źli ludzie, którzy cię skrzywdzili, odejdą, będziesz mogła do mnie przyjść.



Pokiwała głową wyraźnie nieszczęśliwa, ale wspomnienie „złych ludzi” wystarczyło, by nie protestowała. Patrzyła na Urtho z najwyższym zaufaniem, wierząc, że on zdoła uporać się ze złymi ludźmi. Skubała jego palec pieszczotliwie. Wreszcie dokuśtykał do nich obu Aubri.

— Przepraszam, Urtho — wtrącił z pokorą. — Czy ta Brama nie ma drugiego wyjścia?

Urtho zamknął oczy, potem otworzył je z wyraźnym wysiłkiem.

— Mogę spróbować — powiedział.

Bursztynowy Żuraw sądził, że był przygotowany na nieuniknione. Gdy jednak wielki błysk światła na wschodzie na straszliwie długi moment zmienił noc w pełny dzień, zdał sobie sprawę, że nie był gotów. Pogodził się ze stratą Skana, Urtho i wszystkiego, co znał, ale jego serce nie mogło tego zaakceptować. Cały świat zapadł się w ciągu jednego uderzenia serca. Tak jak wtedy, gdy przekraczał Bramę, kosmos trząsł się i drżał, a wzrok mu się zaćmił, ale nie było żadnej Bramy, to wszystko działo się w nim. Potem wszystko wróciło do normy: nocne niebo znów błyszczało gwiazdami, jedynie na wschodzie rozchodziły się wielokolorowej kręgi światła, a zimny wiatr przyniósł zapach spalonej trawy.

Normalne — tylko, że wszystko się skończyło.

— Nie! — wykrzyknął. Jeszcze jeden głos daremnego protestu. — Nieee!

Upadł na kolana. Z jego piersi dobył się straszliwy jęk. A po policzkach toczyły się łzy bólu. *Urtho... Skan...*

Jakieś ręce złapały go, aby podnieść. Zimowa Łania. Jeszcze jedna para rąk ujęła go pod ramiona i potrząsnęła nim.

— Do licha, człowieku, nie wolno ci się jeszcze poddawać! — krzyczał Vikteren, a po jego brudnej twarzy ciekły łzy, żłobiąc czyste rowki. — Nie jesteśmy bezpieczni! Nie czujesz, co się stało tam dalej? Kiedy Wieża wyleciała w powietrze, stało się coś jeszcze, czego nie przewidział Urtho! Bogowie tylko wiedzą, co teraz. Musimy zbudować tarczę...

— Ale... — protestował. — Ale...

— Nie załamuj się. Ludzie na ciebie patrzą! Zrobisz to później, gdy już zorganizują tarczę, dobra?

Vikteren podkreślał każde słowo, potrząsając Bursztynowego Żurawia za ramiona, i ten w końcu słabo pokiwał głową. Vikteren puścił go, a kestra'chern spróbował powściągnąć emocje, nakładając na twarz opanowaną maskę, chociaż ból prawie go pożerał. Vikteren odwrócił się od niego i dziko zamachał rękami nad głową.

— Słuchajcie! — krzyczał ponad lamentem i płaczem. — Wszyscy! Zasadzka nie zadziałała tak, jak myśleliśmy. Nie wiemy, jak wiele sił Ma'ara zostało. I nie wiemy, w jakiej odległości jesteśmy bezpieczni. Nie wiemy, kto ani ilu przeżyło.

Wiemy tylko, że to, co się stało, jest gorsze, niż myśleliśmy. Zostało nam kilka godzin, aby się do tego przygotować! Przypuszczam, że nastąpi coś w rodzaju magicznej burzy, nie wiem jak silnej. Posłuchajcie, potrzebuję wszystkich magów, aby tu stanęli, bez względu na to, jak są wyczerpani, a reszta niech zbiera rzeczy i wiąże je jak przed prawdziwą burzą. Najgorszą, jaką widzieliście.

Desperacja w jego głosie przekonała ich. Hertasi zanieśli złe wieści do reszty obozu, do tych, którzy byli za daleko, aby go słyszeć. Magowie przepychali się przez tłum, aby dotrzeć do Vikterena; inni przestali panikować i zaczęli rozsądnie działać, co jakiś czas zerkając na wolno rozchodzące się kręgi światła z respektem i odrobiną lęku.

Zimowa Łania poszła szukać gryfów. Jej obowiązkiem było być z nimi. Bursztynowy Żuraw pozwolił jej odejść. Potem dowlókł się w ciemności do niewielkiej barki, w której znajdował się jego dobytek.

Kiedy tam dotarł, nagle wszystko go opuściło. Został w nim tylko tępy ból i żal. Nie mógł się zmusić, by myśleć o tym, co miało nadejść.

Usiadł na brzegu barki, a jego dłoń opadła na pióro, które nadal miał przywiązane do pasa. Pióro Zhaneel.

Jak ma jej to powiedzieć? Przecież ona jeszcze nie wie...

*Nic nie zostało, nic już nam nie zostało.*

Nawet nie usłyszał, jak do niego podeszły. Był tak pogrążony w rozpacz, że nawet nie mógł wycisnąć z oczu łez. Jeszcze przed chwilą był sam, a teraz po jednej stronie siedziała Zhaneel, a po drugiej Zimowa Łania.

— Domyśliłam się, kiedy się nie pojawił — rzekła Zhaneel głosem cichszym od szeptu, i choć myślał, że jego rozpacz nie może już być większa, teraz była tak ogromna jak olbrzymia paszcza.

Łzy odbierały mu oddech i wzrok, niczego nie zostawiając.

*Niczego?* — rzekł głos w jego umyśle, podczas gdy jakaś ręka spoczęła na jego dłoni.

— *Niczego?* — rzekła Zhaneel na głos. — Czy my jesteśmy niczym?

I Bursztynowy Żuraw poczuł, jak one obie łączą się, sięgają do jego serca, aby je uzdrowić, wyciągają go z ciemności. Gryfsokół dotknęła jednym szponem pióra, które nadal trzymał.

— Nie chciałbyś teraz tego wykupić, mój przyjacielu, mój bracie? — rzekła łagodnie. — Tak bardzo potrzebujemy się nawzajem...

— A reszta potrzebuje was — dodała Zimowa Łania. — Słyszałam, że miałeś zwyczaj pytać „kto uzdrowi uzdrowiciela?”, a my mamy dla ciebie przynajmniej tę jedną odpowiedź.

— Ci, których on uzdrowił — rzekła Zhaneel. — Oddając to, co on nam dał.

Objęli się nawzajem i tak spleceni drżeli od płaczu, który w końcu przyniósł mu ulgę.

Spłynął pierwszy potok łez, gdy usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię.

— Bursztynowy Żurawiu! — zabrzmiał głos Vikterena. — Bursztynowy Żurawiu! Brama znowu się otwiera!

*Co takiego?* Wstał z trudem i pobiegł do miejsca, gdzie było wyjście ze starej Bramy, łuk z nie obrobionego kamienia. Rzeczywiście, pojawiło się w nim migotanie energii, która skrzyła i trzaskała. Kiedy na to patrzył, robiło mu się niedobrze.

— Co to jest? — spytał, gdy Vikteren podbiegł do niego przez polanę.

— Nie wiem. . . to chyba nie Ma'ar. — Energia wewnątrz Bramy zaczęła znowu napływać. — Ktokolwiek lub cokolwiek to jest, będzie dotknięty magicznym podmuchem. — Zwrócił pełne nadziei oczy na Bursztynowego Żurawia. — Nie sądzisz, że to może być Skan?

Uzdrowiciel Kestra'chern pokręcił tylko głową, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Energia znowu zamigotała. Brama zrobiła się oślepiająco biała. . .

I wypadła z niej Kechara, piszcząc ze strachu. Zimowa Łania i Zhaneel krzyknęły i rzuciły się, by ją uspokoić. Zanim jednak do niej dotarły, Brama rozbłysła bielą po raz drugi i przez jej próg przetoczył się Aubri, rozsiewając zapach przypalonego futra i piór.

— Skan! — skrzeczał szerokoskrzydły, wykręcając głowę w kierunku Bramy. — Jeszcze Skan tam jest!

Brama raz jeszcze się rozjarzyła i z wolna zaczęła się zapadać w siebie, zrywając kamienie z łuku. Cała konstrukcja zaczęła się chwiać, jak gdyby w jakimś śnie.

— Nie! — wrzasnął Vikteren.

Bursztynowy Żuraw nie był pewien, czy młody mag wie, co robi. Przecież był tylko mistrzem, a Bursztynowemu Żurawowi zawsze mówiono, że jedynie adepci mogą budować Bramy. Vikteren jednak wyciągnął ręce w desperackim geście i Bursztynowy Żuraw poczuł, jak w kierunku walącej się Bramy zaczyna z nich wypływać energia, przenikają i utrzymuje w całości!

Bursztynowy Żuraw dostrzegł, że Vikteren się chwieje i do mocy maga dołożył swe własne siły. . .

. . . a potem przyłączyła się Zimowa Łania i Zhaneel. . .

Brama rozbłysła po raz trzeci i ostatni. Tym razem jednak była tak jasna, że Bursztynowy Żuraw oślepiiony krzyczał z bólu.

Vikteren także krzyczał, ale w triumfie.

Bursztynowy Żuraw zamrugął, potarł oczy i powoli odzyskał wzrok. Przed sobą ujrzał leżącego oszołomionego i niepodobnego do siebie Skandranona. Elegancka czarna sylwetka, z której ten zawsze sływał, była jakby smuklejsza, a jego pióra wybielały niczym śnieg. Jednak z pewnością był to Skandranon.

Brama i Vikteren załamali się jednocześnie.

Nie było czasu, aby o czymkolwiek myśleć, gdyż wschodni horyzont znowu wybuchnął ogniem, i z jakiegoś powodu, którego Bursztynowy Żuraw nie mógł

zrozumieć, poczuł, że gdzieś daleko umarł Mag Cisy, zadowolony, że jego ludzie, włącznie z tymi, których kochał najbardziej, są w końcu bezpieczni.

Ledwo zdążyli założyć ochronne tarcze, gdy uderzył w nich podwójny magiczny sztorm. Najgorsze rozpętało się przed świtem i trwało do zachodu słońca. Jednak ich umocnienia wytrzymały i wszyscy wyłonili się ze swych schronień, aby spojrzeć na krwistoczerwone słońce, które przeświecało nad zwodniczo zwykłym horyzontem.

Zwykłym — dopóki nie zauważyło się miejsc, gdzie leżały połamane drzewa, gdzie dziwne małe pola energii tańczyły nad zwiniętymi i skręconymi kopczykami na wpół stopionych skał, dopóki nie zapadła noc i zamiast przynieść ciemność, sprowadziła dziwną poświatę, pełną wstęg błyszczącej mgły i tańczących fluoryzujących kuł.

— Nie możemy tu zostać — powiedziała Zimowa Łania zmęczonym głosem, wróciwszy do pośpiesznie rozbitego namiotu Bursztynowego Żurawia. Jedyne ten namiot był na tyle duży, by pomieścić cztery gryfy — Skana, Aubriego. Zhaneel i Kecharę. Skan i Aubri byli ranni, a Zhaneel i Kechara nie miały zamiaru opuszczać księżycowo białego Skana.

— Spodziewałem się tego. Musimy się spakować i ruszyć na zachód. — Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a potem skierował swój wzrok na drzemiącego Skandranona. — Nie mam nic przeciwko temu, jeśli i ty nie masz.

— No cóż, chciałabym tylko wiedzieć, ilu spośród nas przeżyło — westchnęła. — Ale magowie nie potrafią niczego się dowiedzieć z powodu tego... magicznego hałasu i dymu. Nie da się wróżyć z kuli ani przysłać magicznych wieści. A nie chcą narażać tych biednych małych ptasich posłańców. Tervardi nie chcą iść pieszo, kyree są prawie tak samo przerażeni jak my, hertasi są w szoku, a gryfy nie mają zaufania do wiatrów. Musimy iść na zachód i liczyć na to, że inni także zrobią to, co najrozsądniejsze.

— A więc wracamy do zwykłych ludzkich zmysłów. — Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. — To nie taki zły pomysł, jeśli się zastanowić.

— Nie mam nic przeciwko. — Oparła głowę na jego ramieniu i pogłaskała jedno ze śnieżnobiałych piór na skrzydle wciąż znajdującego się w szoku Skana. — Z jednym wyjątkiem.

— Tak? — zapytał. *Pewnie chciałaby, abyśmy zostali tu dłużej na wypoczynek... gdybyśmy chociaż wiedzieli, że nikt za nami nie idzie...*

— Z wyjątkiem tego — wskazała na Skandranona, zwiniętego przy Zhaneel niczym rzeźba z najczystszej alabastrowej. — Teraz będzie dwa razy bardziej zarozumiała!

— Oczywiście, że będzie! — dobył się senny pomruk. Jasnoblękitne oczy otworzyły się i zamrugwały leniwie. — I to za służenie!

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się i objął swą ukochaną. Bez względu na to, ile łez musieli wylać i jakie próby przejść, niektóre rzeczy pozostaną zawsze takie

same. Zawsze będzie noc i dzień, gwiazdy i niebo, nadzieja i odpoczynek. Zawsze będzie miłość, współczucie, i zawsze będzie Skandranon. A w sercach wszystkich klanów na zawsze pozostanie Urtho. I na jego pamiątkę — chwila ciszy.